

PRZEGLĄD POWSZECHNY.



BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO
Ps. 143.

ROK DWUDZIESTY CZWARTY. — TOM XCIII

STYCZEŃ, LUTY, MARZEC.

1907.



KRAKOW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1907

Errata.

Str.:	wiersz od góry:	zamiast:	ma być:
191	22 i 36	Arrtenius	Arrhenius
192	13	musi ono	może ona
193	12	właściwą	właściwszą
196	5	borowy	barowy
198	28	Boisbaudrau'a	Boisbandran'a
198	31	ekobar	ekabar
198	32	gerum	germu
198	33	ekosilicium	ekasilicium
199	10	gerum	germu
199	19	koznon	kunon
199	31	biłu	helu
297	33	Kukunoon	Kukunoor

CHRYSTUS I KOŚCIÓŁ.

Z chwilą Wniebowstąpienia Zbawiciel przestał być widzialnym fundamentem i widzialną Głową swojego Kościoła. Ale związek między Nim a tym jego Kościołem nie został zerwany. Przeciwnie — stał się jeszcze ściślejszym, głębszym. Chrystus żyje w Kościele jako jego najwyższa Głowa niewidzialna. Kościół i Chrystus są teraz i do końca świata jedno.

Zwierzchnik państwa jest mocą swej władzy w każdej wsi i mieście swojego państwa. Wielcy prawodawcy jak Lykurg i Solon żyli wciąż w swym narodzie przez mądre prawa, które ziomkom dali. Także o fundatorze szkoły, parafii, szpitali mówimy, że żyje on wiecznie w swej fundacyi.

I nasz wieszcz nie powiedział za wiele o sobie, kiedy głosił: »duszą jam w moją ojczyznę wcielony. Ciałem polknąłem jej duszę... Ja i ojczyzna to jedno... Nazywam się milion, bo za miliony kocham i cierpię katusze... Ja kocham cały naród. Objąłem w ramiona przeszłe i przyszłe jego pokolenia. Chcę go dźwignąć, uszczęśliwić! Chcę nim cały świat zadziwić«.

Życie pośmiertne Mickiewicza w narodzie jest istotnie dla nas prawie realniejsze, niż dawne jego życie cielesne. On naprawdę przez swe wielkie myśli w ojczyznę wcielony. Jego dusza stała się jakby wspólną i powszechną duszą całej Polski.

Czy tylko w ten sposób jak imię fundatora złączone z jego fundacją i jak wieszcz jedno jest ze swoim narodem, także Chrystus jedno jest ze swym Kościołem dlatego, że za niego cierpiał,

że w nim złożył swoją naukę i łaskę, że w nim i przezeń obejmuje w swe ramiona jego przeszłe i przyszłe pokolenia, chce je dźwignąć aż do nieba, uszczęśliwić i ich szczęściem świat aniołów zadziwić?

Nie wolno tu wdawać się w domysły. Patrzmy jak Pismo św. pojmuje wzajemny stosunek Chrystusa i Kościoła.

»*Już nie jesteśmy goście i przychodnie, pisze św. Paweł do Efezjan, ale współobywatele z Świętymi i domownicy Boży, wybudowani na fundamencie apostołów i proroków, gdzie głównym węgielnym kamieniem sam Jezus Chrystus, na którym wszystko budowanie wywiezione, rośnie w Kościół święty*« (2, 19—21).

Według tego podobieństwa, Kościół, jako żywy organizm, buduje, rośnie, wywodzi się wciąż z dusz na żywym niewidzialnym kamieniu węgielnym, którym jest Pan nasz, Jezus Chrystus. Początki tej budowy schodzą się w myśli Bożej z początkiem świata, a jako pierwsze kamienie weszli w nią aniołowie, a już w każdym razie pierwsi nasi rodzice. Myśl to nie moja. Już św. Augustyn powiada, że chrześcijaństwo istnieje odkąd ludzie istnieją. Tylko jego imię było inne w Starym Zakonie. Publicznie został Chrystus obwołany kamieniem węgielnym Kościoła w chwili, kiedy Bóg ogłaszał w Raju, że zesze Odkupiciela, aby stał głowę węża. Potem ułożyli się na tym niewidzialnym kamieniu węgielnym Abel i Henoch, patryarchowie, prorocy i wszyscy Święci Starego Testamentu. Z chwilą wcielenia Chrystusa, kamień węgielny razem i główny budowniczy Kościoła, stał się na krótki czas widzialnym i wybrał sobie w Piotrze i innych apostołach głównych swych współpracowników, a obok nich i po nich powołał ludzi najszlachetniejszych, świeckich i duchownych z wszystkich narodów, aby razem z Bogiem pracowali nad budową tego Kościoła i wspólnego szczęścia w niebie. Odtąd też mężowie nauki dają na usługę tego Kościoła swoją wiedzę; artyści, poeci natchnienie swego geniuszu; święci swoje cnoty heroiczne, inni ukryte swoje cierpienia, posty, umartwienia. Są i inni niemniej cenni budownicy, których mi zapomnieć nie wolno. Mam na myśli matki i ojców, którzy wychowują na podobieństwo Chrystusa swoje dzieci, dalej katechistów świeckich, uczących katechizmu

sierotki, których nikt nie uczy. Wszyscy oni, jak z jednej strony są żywymi kamieniami w budowie Kościoła, tak z drugiej współbudowniczymi.

Nikt Chrystusowi nie jest za lichy, ani na budulec, ani jako współbudowniczy. Trzeba tylko, aby człowiek dał się dobrowolnie użyć na materiał budowlany, żeby pozwolił się wyrwać z gór pychy, wyciągnąć z błota nieczystości, »o c i o s a ć« krzyżem, wygładzić cierpieniem, opieczętować jakby marką fabryczną imieniem i wizerunkiem Chrystusa. Albowiem nie się przy tej budowie nie robi gwałtem. Wolność anioła i człowieka uszanowana jest tak w powołaniu na budulec i współbudowniczego, jak też w wytrwaniu w budowie do końca. I tak będzie do skończenia wieków, aż cały Boży plan będzie wykonany, budowa dojdzie do zamierzonej wielkości i doskonałości i Chrystus ukaże się znowu w postaci widzialnej, aby oddać Królestwo swoje — Kościół Ojcu, *żeby Bóg był wszystko we wszystkich* (I. do I Kor. 15, 24—28). Za cement zaś w tej budowie służy wszystkim Krew Chrystusowa, łaska poświęcająca, krew męczenników, miłość Boga i bliźniego.

Jeszcze dosadniej określa św. Paweł wzajemny stosunek Chrystusa i wiernych, kiedy kilkakrotnie powtarza, że Kościół i Jezus należą do siebie jak członki ciała do głowy tego samego ciała. Chrystusa — powiada on — dał (Bóg) głowę nad wszystkim Kościołem, który jest ciałem Jego (Efez. I. 20, 23). A dalej nieco czytamy, że wierni są z ciała Jego i kości Jego (Efez. 5, 30). W liście do Koryntyan mówi, że Kościół to Chrystus (I Kor. 12, 12; zob. też I. do Kolos. 3, 11; Efez 1, 3).

Tę samą myśl znajdujemy w Dziejach apostoelskich. Kiedy mianowicie, Szawel jechał do Damaszku, aby wygubić chrześcijan, spadł on z konia, olśniony cudownym blaskiem i usłyszał głos: »Szawle, Szawle, czemu mię prześladujesz? A gdy zapytał: Panie, kto jesteś, który do mnie tak mówisz? usłyszał drugi raz głos z nieba: Jam jest Jezus, którego prześladujesz (Dzieje Ap. 9, 4, 5). Nie mówi tu Chrystus: Czemu prześladujesz sługi moje, braci moich, moich świętych, ale czemu mię prześladujesz, jak człowiek,

któremu ktoś udepce nogę, powiada: czemu mię depcesz, a drugi, któremu ktoś kaleczy rękę: czemu mię kaleczysz?

Tu należą też słowa, które Chrystus powie w dzień sądu do błogosławionych: *Łaknąłem, a daliście mi jeść; pragnąłem a napiiliście mnie; byłem gościem a przyjęliście mnie; nagim a przyodziliście mnie; chorym a nawiedziliście mnie; byłem w więzieniu, a przyszlście do mnie... Zaprawdę powiadam wam: Coście uczynili jednemu z tej braciej mojej najmniejszych, mnieście uczynili* (Mat. 25, 35, 36, 40). »Zbawiciel, powiada św. Augustyn, wskazuje temi słowy, że jest On w biednych, jako w swych członkach. To też, gdy biedni cierpią głód, Chrystus ten głód cierpi«. A potem dodaje św. biskup z Hipony te przepiękne i głębokie słowa: Dziękujemy Bogu, że jesteśmy nie tylko chrześcijanami ale Chrystusem (In Matth. 34, 35—2). Chrystusem staliśmy się, powtarza w komentarzu do św. Jana (Traet. XXI. Nr. 8). W objaśnieniu zaś do psalmów pisze św. Augustyn: »Jezus Chrystusi wszyscy ludzie, którzy są Jego członkami to dwoje w jednym ciele«. Podobne określenia naszego stosunku do Chrystusa mógłbym przytoczyć z ust innych Ojców i Pisarzy Kościoła. Dodam jeszcze tylko słowa św. Atanazego, który powiada, że człowieczeństwem Chrystusa jest teraz cały Kościół. Jakoby powiedział: gdy w chwili swego wcielenia Syn Boży przyjął do swej osoby i natury Bożej tylko jedno ciało, wzięte z Najśw. Maryi Panny: to w Kościele swoim i z Kościoła formuje sobie od początku świata ogromne ciało społeczne z całej ludzkości.

Chodzi teraz o to, jak rozumieć te słowa, że jesteśmy członkami Ciała Jezusowego, którego On tu jest głową, słowa, które i dzieci powtarzają przy katechizmie i starsi wciąż słyszą z kazalnicy.

Rzecz to nie łatwa do pojęcia. Chodzi tu o szczyty chrześcijaństwa i największe jego głębiny. Apostoł wyraźnie zaznacza, że wielką tajemnicą jest przebywanie Chrystusa w nas. Z tego też powodu nauczyciele Kościoła nazywają ten nasz stosunek z Chrystusem związkiem mistycznym, czyli duchowym, tajemniczym, a Kościół cały ciałem Chrystusa mistycznym. Z drugiej strony znowu nie lepiej nie maluje niezmiernej godności chrześcijanina i nie bardziej nie wzbudza miłości ku Zbawicielowi,

jak właśnie możliwie najdokładniejsze pojmowanie tego tajemniczego związku Boga - Człowieka z duszami. Przedewszystkiem trzeba przypomnieć, że wielkie to zbiorowe Ciało Chrystusowe, którem jest Jego Kościół, nie buduje się z naszych ciał, jeno z dusz choć rzecz pewna, że z połączenia się Chrystusa z naszymi duszami, także na ciała nasze spływa poświęcenie. Stąd św. Paweł niekiedy także ciała nasze nazywa członkami Chrystusowymi (I do Korynt. 6, 15).

Dalej jest rzeczą jasną, że ponieważ chodzi tu o wielką spółkę dusz z Chrystusem, czyli o wielkie ciało duchowe, ten stosunek między nami, członkami, a Chrystusem-Głową, nie może być całkowicie taki sam, jak ten, który istnieje między głową naszego ciała ludzkiego i między członkami tego samego naszego ciała. Ręka bowiem, noga, oczy i inne członki naszego ciała nie istnieją każdy dla siebie i nie mają całego życia ludzkiego, ale dopiero wszystkie razem wzięte tworzą jedno ciało ludzkie. W ciele zaś duchowem, jakim jest Kościół, każda dusza także po połączeniu się z Chrystusem zachowuje całą swoją odrębność i całą daną sobie od Boga wolność.

Ale chociaż stosunek dusz naszych do Chrystusa-Głowy nie jest całkiem ten sam, co między ręką, nogą, oczami naszymi a głową naszego ciała ludzkiego, to jednak podobieństwo obopólnego stosunku tak jest wielkie, że apostoł nie mógł go lepiej opisać jak nazywając nas członkami Chrystusa a cały Kościół jego ciałem. Wszystkie członki zwyczajnego ludzkiego ciała mają bowiem z głową tego samego ciała tylko jedno wspólne życie i tworzą między sobą żywą organiczną całość. Podobnie dusze nasze, złączone z Chrystusem, choć każda ma swoje osobne życie, mają jednak równocześnie jedno wspólne nadprzyrodzone życie z Chrystusem i między sobą, tworząc żywą całość skojarzoną na podstawie prawa podobnego do owego, które łączy w jeden organizm i na wspólne życie przyrodzone wszystkie członki zwyczajnego ciała ludzkiego.

Dalej, jak w zwyczajnem ciele ludzkim przez powiązanie wszystkich członków w jedną całość, każdy członek służy drugiemu i całemu ciału, i jak w wielkiej ogólnoludzkiej społeczności

świeckiej, choć jednostki umierają, jednak dorobek ich pracy duchowej, moralnej, fizycznej nie ginie, lecz przechodzi cały na pożytek ludzkości teraźniejszej i przyszłej: — tak też dzieje się w Kościele właśnie dlatego, że jest on nadprzyrodzoną całością organiczną, nie zaś martwem tylko arytmetycznem zesumowaniem jednostek, spisanych w metrykach i żyjących tylko obok siebie. Męka i zadasyćuczynienia Chrystusowe wychodzą na korzyść całości i każdego członka. Z tego też powodu nie przepadła w tej społeczności religijnej żadna łza Najśw. Panny. Nie idzie na marne ani poświęcenie dobrych matek, ani praca rolnika uświęcona pieśnią »Kiedy ranne wstają zorze«, ani mozół ucznia i nauczyciela, podjęty z miłości Pana Boga, ani zakonnicy pokuta. Wszystkie owoce i błogosławione skutki, wynikłe z tego »Obcowania Świętych« wyjdą na jaw dopiero w dzień sądu. Pokaże się wtedy, że niejednen będzie miał do zawdzięczenia swoje zbawienie Karmelitance, która się za niego, nieznanego sobie, biczowała, i ofierze Szarytki i modlitwie Franciszkanki, która dniem i nocą wołała przed Najśw. Sakramentem: przepuść mu Panie, przepuść... bo on nie wie, co czyni!

Nie zgłębiłby jednak jeszcze należycie stosunku Kościoła do Chrystusa, ktoby stanął na tem, że Jezus i dusze mają tylko wspólne życie nadprzyrodzone. Wciąż trzeba mieć przed oczyma, że dusze tylko z Chrystusa mają nadprzyrodzone swoje życie i działanie:

Jam jest winna macica: wy latorośle, powiedział Zbawiciel... Jako latorośl nie może przynosić owocu sama z siebie, jeśli nie będzie trwać w winnej macicy; także ani wy, jeśli we mnie mieszkać nie będziecie... Kto mieszka we mnie a ja w nim, ten siła owocu przynosi, bo bezemnie nic czynić nie możecie (Jan 15, 4, 5).

Jak w porządku przyrodzonym słońce materyalne jest jakby szafarzem, skarbnicą i — rzec można — sakramentem naturalnym światła, ciepła, ruchu, życia, tak człowieczeństwo Jezusowe wszczepione wraz z Jego Bóstwem i duszą ludzką w Kościół jest najwyższym i powszechnym dawcą i niejako Sakramentem wszelkiej łaski, natchnienia, działania, słowem, całego nadprzyrodzonego

życia tego Kościoła. Usuń słońce a zagaśnie życie naturalne. Odejmij z Kościoła Jezusa, źródło, przyczynę, narzędzie, pryzmat łański, a ustanie w Kościele wszelkie życie nadprzyrodzone.

Jezus jako Głowa nadaje też wedle swej świętej woli kierunek, jakim idzie historia całego Kościoła, życie każdej duszy. Bo i tu, podobnie jak w zwyczajnem ciele ludzkim, każdy członek inne ma do spełnienia zadania, czynności, a wszystkie dopiero razem z Jezusem odtwarzają i powtarzają całe Jego trzydziestotrzyletnie Bożo-ludzkie życie, które przeżył w widzialnej postaci na ziemi. Nie jest to znowu, co teraz mówimy, żaden wymysł ludzki, ale najrzeczywistsza prawda, wynikająca między innymi ze słów apostoła, że Chrystus dał niektórym ludzi na apostołów, innych na proroków, innych na ewangelistów, a innym inny powierzył urząd ku doskonałości świętych, ku robocie posługiwania, ku budowaniu ciała Chrystusowego (Efez. 4, 11, 12). W jednym więc świętym objawia się bardziej duch apostołstwa i żarliwości o szerzenie między niewiernymi wiary świętej, w życiu drugiego góruje bezmierna cichość, łagodność Jezusowa. W innych Jego wielka miłość ku biednym, chorym, kalekom tak, że całują ich rany i stają się trędowatymi z trędowatymi. U jeszcze innych przebija się tak wielkie pragnienie dzielenia z Chrystusem Jego męki, iż wołają: cierpieć i nie umierać, aby ciągle módz cierpieć! Wszyscy też razem, zdobywając w pocie czoła świętość, dorabiają swojemi umartwieniami to, czego nie dostaje męce i cierpieniom Chrystusa (Kolos. 1, 24), a nie dostaje właśnie spólcierpienie nasze z Chrystusem, który nas stworzył bez nas, ale nie uświęci i nie zbawi nas bez naszego współdziałania. I tak rośnie wciąż społeczne ciało Jezusowe aż liczba członków, i stopień ich świętości dojdzie przy końcu świata do swej właściwej miary i doskonałości, którą apostoł nazwał *pełnością Chrystusową* (Efez. 4, 13).

Kiedy po raz pierwszy człowiek staje się członkiem mistycznego ciała Chrystusowego? Przy chrzcie świętym. W tym sakramencie Chrystus po raz pierwszy jakby namaszcza duszę krwią swoją, zamkniętą w łasce poświęcającej, pieczętuje ją swoim podobieństwem, zaszczenia dziczkę na szlachetnym szczepie Bożym a włączając w Siebie powiada: *nazwałem cię imieniem mojem*:

mójesz ty (Izaj. 43, 1). Zjednoczenie to i wspólne życie zacieśnia się jeszcze więcej przez każdą następną łaskę sakramentalną a dochodzi do szczytu na ziemi przy Komunii świętej. Tu następuje już nie tylko podniesienie naszych władz przez zetknięcie się z Jezusem światłością, miłością, siłą, czystością, słodyczą, pokorą, ale transfuzya czyli przelanie krwi Jego w krew naszą, zetknięcie się Jego duszy ludzkiej z duszą naszą, Serca Jego Najświętszego z biednem sercem naszym. Tu Jego Bóstwo zjednoczone z Jego człowieczeństwem stokroć bardziej przenika całą naszą istotę niż ogień rozżarzone przenika żelazo, tak — że człowiek po przyjęciu godnie Najśw. Sakramentu w całej prawdzie może powtórzyć za św. Pawłem: *żyję ja, już nie ja, żyję we mnie Chrystus* (Gal. 2, 20).

I to jeszcze dodać należy, że podczas gdy ucięta raz ręka lub noga już nigdy na tym świecie nie zrośnie się ze swem ciałem, to dusza, która miała nieszczęście przez grzech odpaść od Chrystusa, może każdej chwili wrócić do dawnej wspólności Bożego z Nim życia a nawet jeszcze więcej miłością zacieśniać dawne z Chrystusem węzły.

* * *

Kościół, jak widzieliśmy, nazywa się w Piśmie św. wielkiem ciałem, którego Chrystus najprzedniejszą jest częścią, bo Głową. Jeśli zaś Chrystus jest tego ciała duchowego prawdziwą częścią składową, to wolno się zapytać, kto tego całego ciała jest ostatcznym i najwyższym pierwiastkiem, przyczyną życia i ruchu, czyli duszą, jak się teologowie wyrażają? Kto taki? Cała Trójca przenajświętsza. Bo gdzie jest Jezus, Bóg-Człowiek, tam musi być osoba Ojca i Ducha świętego. Ponieważ jednak każdej Osobie Bożej stosownie do Jej szczególniejszego charakteru osobistego osobne przypisujemy dzieła, Ojcu stworzenie, Synowi odkupienie, Duchowi świętemu poświęcenie, więc też w szczególniejszy sposób jedną z Osób Boskich nazwać będziemy mogli duszą Kościoła. Którą?

Gdy Bóg stworzył ciało Adama, wziął technienie miłości ze swego serca i zamknął je w tem ciele, ulepionem z ziemi. I oto! Ciało otworzyło oczy, serce bić zaczęło, i stanął w raju człowiek żywy.

Kiedy Jezus wstępował na niebiosa, ciało Jego mistyczne,

to jest Kościół, już było uformowane z Piotra i innych Apostołów i wiernych. Ale to ciało jeszcze nie miało ruchu. Boże siły w nim złożone były jeszcze jakby w uśpieniu. Nikt jeszcze nie opowiadał słowa Bożego. Nikt nie chrzczył, nie bierzmował, nie odpuszczał grzechów, nie odprawiał mszy świętej. Brakowało bowiem jeszcze temu ciału ostatecznego tchnienia miłości — duszy Bożej. Kiedy je otrzyma? W dzień Zielonych Świątek. Wprawdzie Pan Jezus już przedtem udzielił Apostołom Ducha Świętego, ale uczynił to jakby prywatnie (Jan 20). W dzień Zielonych Świąt udzieli Go publicznie, uroczyscie i w pełni, nie tylko Apostołom, ale całemu Kościołowi. Duch św., który wstąpił w postaci ognistych języków, będzie odtąd duszą tego Kościoła aż do skończenia wieków. (Jan 14, 16, 17). Pod jego też tchnieniem zaraz w Kościele nadprzyrodzone życie poczęło swój obieg. Stał się ruch wielki. Trzy tysiące ludzi się nawróciło, przyjęło chrzest święty.

I życie to Boże już nie zamrze, bo Duch święty, jak gołębicą Noego unosić się będzie nad nową arką Bożą aż do skończenia wieków (Jan 14, 16, 17).

Nigdy też Kościół nie zapomni tego wielkiego dnia Zielonych Świątek, w którym Duch święty wziął go uroczyscie w swe posiadanie, napełniając swoją obecnością.

Zbierze się niezadługo po Wniebowstąpieniu Chrystusa, powszechny sobór w Jerozolimie. Do kogo Piotr i Apostołowie zwrócą się po światłość? *Veni Creator Spiritus* — przyjdź Duchu święty, zawołają. A potem ogłoszą Kościołowi, że to, co uradzili, postanowili za natchnieniem Ducha świętego. *Zdało się Duchowi świętemu i nam* — Visum est enim Spiritui Sancto et nobis, piszą do wiernych, komunikując im uchwały soborne (Dz. Ap. XV, 28).

I w czasach następnych, ile razy zgromadzą się papież i biskupi, aby rozjaśnić wątpliwości w wierze lub potępić heretyków, zawsze zebrani zwrócą się myślą najpierw tam, kędy jest dusza całego Kościoła. Przyjdź Duchu św., oświeć nas, błagać będą, a uchwały powezmą znowu w Duchu Apostołów: Visum est Spiritui Sancto et nobis — *zdało się Duchowi św. i nam*.

Kiedyindziej znowu zbierze się kolegium kardynałów, aby

Kościółowi nowego wybrać następcę św. Piotra. I oni błagać będą: Przyjdź, ach przyjdź Duchu święty — *Veni Creator Spiritus!*

Stale też będzie Kościół potrzebował biskupów, kapłanów. Kto ich potrzebną opatrzy łaską, miłością i siłą, aby ludowi byli ojcami i pasterzami — a nie najemnikami? Znowu Duch św., do którego i tym razem z ust konsekраторów i wiernych popłynie wołanie błagalne: *Veni Creator Spiritus!*

A gdy para młoda, jedna po drugiej przyjdzie klękać na stopniach ołtarza, żeby sobie ślubować dożgonną wierność i miłość, a zarazem uprosić światła do wychowania dzieci na wierne syny świętego Kościoła: do kogo ona i błogosławiący jej kapłan wzniosą ręce o pomoc na tę ich nową drogę życia? I tym razem świątynia napełni się pieśnią błagalną: *Veni Creator Spiritus!*

* * *

Jakże tedy piękna jest ta nauka o Kościele Chrystusowym! Syn Boży stał się jednym z nas i w całej prawdzie członkiem społeczności ludzkiej, bo jej Głową i niejako fundamentem, osią a nawet punktem zbornym wszelkiego stworzenia od początku świata i na całą wieczność. Duszą zaś tej społeczności religijnej jest Duch św., który mieszka w niej razem z Ojcem i Synem jako w najwspanialszej świątyni jedynie godnej Boga, będącego najdoskonalszym duchem.

Teraz rozumiemy lepiej pierwsze stronicę Pisma św., na których jest opowiedziane dzieło stworzenia świata. Jest tam napisane, że Bóg stworzył światło i ujrzał, że było dobre. Rozkazał, aby wody okalające ziemię zebrały się w morza i okazał się ląd suchy. I stało się tak. I widział Bóg, że było dobre. Uregulował stosunek księżyca do ziemi, ziemi do słońca. I widział, że było dobre. Rozkazał, aby ziemia rodziła rośliny, drzewa. I stało się tak. I widział, że było dobre. Rozkazał, aby w wodach mnożyły się ryby, ptactwo w powietrzu, różne rodzaje zwierząt na ziemi. I stało się tak. I widział, iż było dobre. Wreszcie stworzył człowieka. Mężczyznę i białogłową stworzył je. Potem przejrzał Bóg jeszcze wszystkie rzeczy, które był uczynił i widział, że były bardzo dobre (Gen. rozd. 1).

Skąd, ten zachwyt Pana Boga na widok świata, że aż woła, że wszystko jest dobre, bardzo dobre? Czyżby Bogu rzeczywiście miały wystarczać drzewa, kwiaty, morze, słońca? Miałeby On, Nieskończony, znaleźć istotnie tak wielkie upodobanie w ludziach i aniołach i zadowolić się szczebiotaniem aktów miłości ze strony choćby rozumnego, ale zwyczajnego stworzenia? Byłoby to prawie niepojętem. Zato dobrze rozumiem akcenty i drżenia miłości, zamknięte w stwierdzeniu, że wszystko jest dobre, bardzo dobre, jeśli przyjmę, że Bóg w pośrodku tego stworzenia dojrzał swojego Syna, który od wieków postanowił stać się pierworodnym między wielą braci (Rzym. 8, 29), aby całą ludzkość wszczepić w siebie, a potem razem z nią jako jeden wielki zbiorowy człowiek ukłknąć przed Ojcem niebieskim i zawołać:

Boże i Ojcze! stworzenie Twoje samo nie zdolne było podziękować Ci godnie za życie, które mu dałeś. Ja także, jako Tobie równy Bóg, nie mogłem rzucić się przed Tobą na kolana za to, żeś mię zrodził od wieków. Dlatego stałem się człowiekiem. Przybrałem sobie ludzkość całą jako swoje ciało i teraz razem z nią jako Kościół Twój święty upadam przed Tobą na oblicze, wołając: Wielbimy Cię, kochamy Cię, Święty, Święty, — jak zasługujesz — nieskończenie!

Na ten widok wielkiej rodziny ludzkiej, której serce bije w zgodny takt i akord z Najświętszem Sercem Syna Bożego, Bóg nie mógł nie wpaść w zachwyt i nie powiedzieć: że w s z y s t k o było dobre, bardzo dobre.

† *J. Bilczewski.*

BROSZURY SZECHA.

Kiedy przed kilku miesiącami ktoś mnie zachęcał do tego, bym zabrał głos w sprawie broszur Szecha, zbyłem propozycję powiedzeniem, że za wiele chyba byłoby po dwu broszurkach pisać aż traktaty.

Tymczasem jednak przekonałem się potem, że około tych broszur szeregowało się tyle walk formalnych i zapasów, tyle interesów duchowych, że mniejszy już jest dziś wzgląd, czy to na autora, czy na treść tych broszur, w stosunku do wpływu, jaki się za nimi roztoczył.

Przypisać ten objaw należy głównie przełomowej chwili, jaką Kościół i społeczeństwo w zabranych prowincjach przeżywają i temu także, że treść broszur utrafia w te punkta, któreby nazwać można osiami myśli i idei, zaprzatających umysły wszystkich.

Kościółowi za kordonem błysła nowa chwila; wychodzi z katakomb, w których główną swą energię wkładał w cierpienie, wychodzi on do roli czynnej: a oto broszura Szecha roztacza program pracy katolickiej, wogóle program reformy.

Spółczenstwo chrześcijańskie po raz pierwszy zetknęło się z lawiną socjalizmu: i oto socjalizmowi poświęca autor drugą broszurę. Jeżeli dodamy do tego, że broszury te nie są napisane zimno i po doktrynersku, ale drgają i kipią formalnie życiem, które odbija się w podniosłej formie i stylu, że dotyczą ze zdumiewającą śmiałością mnóstwa różnorodnych a palących kwestyi, że

wreszcie autorem ich jest gorliwy kapłan i zakonnik, który się pod pseudonimem Szecha kryje, to będziemy mieli dopełnienie do zrozumienia kwestyi, skąd i dlaczego tyle wrzawy o dwie broszury.

To też kiedy poraz drugi zwrócono się do mnie już z innej strony z tą samą propozycją, co poprzednio — nie odmawiam więcej — i zabieram głos w tak drażliwej sprawie w tem przeświadczeniu, że zajmując się temi dwiema broszurami, dotykam się nie tylko na dziś tak bardzo jątrzącej sprawy, ale że dotykam tych idei, około których dalsze życie duchowe, jego zapasy, przeobrażenia, szeregować się będą.

* * *

I.

Pierwsza broszura, nad którą się tylko pokrótce zatrzymam, ma tytuł: »O pracy katolickiej«.

W pierwszej części broszury, autor krytykuje działalność katolicką, wytykając jej, że już to była zanadto konserwatywna, lub też, że ignoruje wielkie prądy świata, jak prąd naukowy i prąd wolnościowy, już też, że się ograniczyła na działalności czysto wyznaniowej, już że się zbyt oparła o kruchą podstawę rządów.

Po tych premissach, autor stawia program pozytywny, co robić należy, ażeby skierować działalność na tory właściwe i tutaj mówi, o potrzebie wyrabiania sobie działaczy reformy w seminariach, reformy nauczania religii w szkołach i z tą złączoną zmianą podręczników, dania pewnej wolności pracy katolicko-społecznej, a nie więzienia jej przez zbyt nadzór władzy kościelnej, zrzeszenie wszystkich katolików, a to w tym celu, ażeby później każdy pracował w jakiej dobrej, choć niekatolickiej organizacyi. Po tych premissach autor rozdziela akcyę katolicką na trzy działy: akcyę czysto religijną, od której się domaga, by ideał wiary w katechizmach, naukach i kazaniach, był akkomodowanym do umysłowości ludzi XX wieku, by też unikano zbytnej formalistyki w stosowaniu prawa kościelnego; od akcyi etyczno-humanitarnej żąda Szech, ażeby się katolicy przyłączali do

instytucyi humanitarnych, albo też sami zakładali takie instytucye, w którychby opanowali zagrożone punkta etyki społecznej. Tu następuje szereg postulatów, jak walka z prostytutką, z alkoholizmem, z analfabetyzmem, jak wreszcie potrzeba zreformowania wychowania religijnego.

Mówiąc o działalności narodowej chce autor, by Kościół śmiało się ujmował za krzywdy narodu; księży zaś przestrzega, by się nie stawali członkami partyi. W kierunku socyalnym zachęca katolików do realizowania programu socyalnego i ujmowania się za uciśnionymi i maluczkimi, wyrzucając katolikom, że przez obojętność dali się uprzedzić i hasła ich pozabierali inni.

Jak z tych rozdziałów, które zamknięte są w niewielkiej broszurze, widać, są to wszystko rzuty, jakie przy pewnej jeszcze nieścisłości określeń — tu i tam mętności pojęć, prawie wymykają się ściślejszej analizie.

Trzeba przyznać jednak autorowi, że z postawionego programu, pomimo pewnej nieścisłości, a nawet błędów, wogóle znać, że ma zmysł dla tego wszystkiego, coby dziś czynić należało.

Któż się nie zgodzi na to, że dzisiaj potrzeba wielkiego zszeregowania się katolików ku bronieniu Królestwa Bożego na ziemi; że jeżeli mają oddziaływać na swój wiek i społeczeństwo, to muszą je znać i mieć czucie z tem wszystkim, co w niem drga, co przez nie przechodzi; że winni się postarać o to, by ideał wiary był w swej formie i sposobie wykładu tak przedstawiony, aby ten wykład odpowiadał smakowi i potrzebom dzisiejszych umysłów; że następnie powinni stać katolicy na posterunkach wszędzie tam, gdzie kwestye narodowe, moralne i socyalne, tak dziś rozognione, gotowe się stać środowiskami antyreligijnych dążeń, jeśli Kościół ich w ręce swe nie ujmie.

Etyka i moralność bez Boga, duch narodowy, szowinistyczny i pogański i kwestya socyalna: oto trzy pokusy, które dadzą się zwyciężyć opanowaniem ich warsztatów przez katolików i Kościół.

Oczywiście zdania ogólne autora raz po raz potrzebują jakiejś korektury:

Nie można przecie bezwzględnie katolików odwozić od ja-

sno określonej akcji katolickiej ilekroć potrzeba, by ogólną zasadę katolicką przełożyć na jakiś program poszczególny i koło niego ich zszerzować;

Nie można też tak lekko rzucać określeniami tego, co jest esencjonalne w nauce Chrystusowej, a co nie esencjonalne, tem bardziej, skoro się tego bliżej i jaśniej nie określa.

Ale pomijam te i inne usterki, których już nie mam czasu wyszukiwać, tylko w ogólności jeszcze raz powiadam, że ma się wrażenie, iż autor wszystko zanadto snuł ze siebie, za mało, a może wcale nie pogłębiał uczucia wiadomościami o ruchu katolickim, umysłowym i społecznym.

Ma się wrażenie czytając broszurę, że Kościół w XIX i XX stuleciu przedstawia się autorowi jako czysta, biała i niezapisana karta, na której on pierwszy pisze programy.

Arcydzieła literatury katolickiej, dzieła Hettingera, przez protestancką najnowszą teologię podziwiane, niektóre dzieła Szella, nareszcie księdza Bougaud, Monsabre'go te i tysiączne inne, które zaszczyt przynoszą umysłowości katolickiej, a ideał wiary szeroko rozświecają, przystosowując wykład właśnie do dzisiejszego dnia, te wszystkie zdają się nie istnieć dla autora; bo czyżby nie inaczej mówił, jak mówi, »że trzeba cudu łaski Bożej, aby człowiek dzisiejszy mógł przezwyciężyć różne przeszkody do wiary, jakie napotkać musi w szukaniu prawdy, czytając dzieła katolickie — lub słuchając różnych wykładów religii«.

Czy, pytam dalej, autorowi nie są znane zjazdy katolików uczonych, z których, np. ostatni, odbył się w Monachium, gdzie zabierali głos ludzie głębokich przekonań katolickich, a sławy naukowej powszechnej?

A pomijam już akcje humanitarne i filantropijne... — autor mówię dalej, jakby nie wiedział o całej akcji socyalnej, mającej tytuł mistrzów i przewodników, poczynszy od Kettelera.

Przyznaje, katolicy tak w kierunku intelektualnym i socyalnym byli nieraz zbyt za powolni, czasem zbyt za niedowierzający. Ale i to na uwagę wziąć potrzeba, że intelektualizm dzisiejszy łącząc się z bezwyznaniowością i ateizmem, a kwestya socyalna z rewolucją, uzasadniały nieraz wstrzemięźliwość i obawy.

Tego wszystkiego trzeba było autorowi dotknąć, a wtedy siebie kryjąc za bogaty plon działalności katolickiej, mógłby był z tem większą siłą do swoich przemówić.

Na sam już koniec omówienia tej broszury zostawiłem sobie ogólne słowo o krytyce katolicyzmu, wprost zdumiewającej, zarówno powierzchownością jak i lekkomyślnością sądu.

Otóż zestawienie obrazu jest tego rodzaju, że katolicyzm przedstawia się w nim jako organizm tak bezduszny, tak skostniały, taki formalistyczny, iż samym widokiem swoim odrzącić musi każdego.

Tu uderza wprost dwojaka miarka. W broszurze swej o socyalizmie autor ludzi idealizuje, a błędy, ile być może uniewinnia i usprawiedliwia, a tam, gdzie tego uczynić mu niepodobna, ledwo się ku krytyce rozpędzi, już zaraz zmięknie i w ton przebaczenia uderzy.

Z katolicyzmem czyni autor wręcz inaczej. Pomijam już ignorancję, o której nadmieniałem, sposób wyrażania się, sposób traktowania katolicyzmu, jest tego rodzaju, iż ma się wrażenie, jakby autor nie chciał dopatrzeć się żadnej jaśniejszej w nim strony, jakby się lubował w wynajdywaniu ciemnych stron. Tam rzeczywistość idealizuje — tu z ideałów, jakie tkwią w tej rzeczywistości, zupełnie ją ograbia.

Ma to może być taktyka, ale taka taktyka nie prowadzi do celu.

Pytam się, co za pożytek może być z tego?

Czy to nie jest szkoda tylu pięknych myśli autora, które przecie przyjąć się nie mogą, skoro ci, do których są one skierowane, muszą wręcz powiedzieć: »ależ on nas depce, ponieważ«!

Dla wrogów dosęby wystarczyło powybierać cytaty z broszury, aby się nimi posługiwać, jako bronią przeciw Kościołowi, by więc uczynić z tej broszury to, czegoby autor najmniej chciał i najmniej się spodziewał.

Człowiek zaś obojętny nauczy się o rzeczywistości sądzić przez szkła autora. Wzruszy ramionami i odejdzie.

A w takim razie dla kogo autor pisał?

Wszakże nie dosyć myśli swe wyładować, dać im upust, potrzeba i o tem pomyśleć, jak je przystosować, aby owoc wydały.

Żałować doprawdy należy, że autor mając wszystkie dane

po temu, aby przysłużyć się wszystkimi myślami swemi i nawet krytyką swoją sprawie Kościoła i ojczyzny, zgrzytem niecierpliwym, i rzekłbym, namiętym, to psuł, co dopiero budował.

II.

A teraz przejdźmy do broszury o socyalizmie.

Powiedział O. Faber, że czynnikiem składowym dobrze czującej katolickiej duszy jest nienawiść herezyi, oczywiście nie nienawiść ludzi, ale doktryny.

Jako konwertyta przeszedł on na sobie i doświadczył tych uczuć, o których pisał.

Istotnie, im więcej punktów stycznych znajduje się między prawdą a jej herezyą, tem więcej złudzeń ona dla duszy kryje, tem dalej też ją od samej prawdy odrzuca, tem silniejszej przeto ta dusz łowczyni nienawiści przedmiotem się staje.

Nie mówmy jednak obecnie o nienawiści.

Mówmy tylko o zimnej, spokojnej samoobronie prawdy przed doktryną fałszywą, choć dużo ziarn złota w sobie mającą i przystosujmy wskazówkę o samozachowaniu siebie do ruchu socyalistycznego i socyalizmu.

Dla Królestwa chwila zwarcia się socyalizmu ze społeczeństwem już nadeszła, a nadeszła jak ciężka i straszna pokusa. W walce tej jednak dopomógł dobrej sprawie sam socyalizm. Miasto nęcenia ideałem odkrył on swoją maskę i siedł ze sztandarem broczącym się krwią a znaczącym swe ślady terroryzmem, zbójceckimi napadami i wprost najpospolitszą kradzieżą.

W takiej chwili nawet zwolennicy idei socyalistycznej zatrwożyli się o nią, widząc, że idealizm bez etyki i religii, sam sobie będący religią, uświęcający zbrodnie, cofnąć ludzkość musi do najstraszniejszego barbaryzmu.

Nawet uczeni, jak Sombart i inni, dali publiczny wyraz za-niepokojeniu swemu i obawom.

Zdawałoby się więc, że każdy z tych, co myślą swą chce pomódz społeczeństwu w ciężkiem jego przejściu, zużytkuje pogrom własny socyalizmu i okaże go we właściwem świetle; wszakże niebezpieczeństwo stąd idące dla idei socyalistycznej odczuli i zro-

zumieli sami socjaliści. Wszakże jeden z ich menerów publicznie przestrzegał przed następstwami zgubnymi partyi bojowej dla socjalizmu.

Tymczasem w takiej krytycznej chwili rodzi się dla socjalizmu obrona ze strony, z której najmniej się jej spodziewać można.

Broszurę Szecha p. t. »Uwagi o socjalizmie« wzięli prawie wszyscy za apologię socjalizmu. I niewątpliwie broszura ta, pominiawszy już samo założenie, nawet zewnątrz zbiera zarzuty, które się już przyjęły w gwarze popularnej przeciw socjalizmowi i próbuje uzasadnić, że socjalizm nie jest wrogiem religii, nie jest wrogiem narodowości; nie obniża ideałów, nie wypędza Boga, że owszem idea socjalistyczna będąc ruchem ludowym i demokratycznym godzi się z Kościołem i pracą kleru i ziszcza ideał potrzebnej reformy społecznej. Oto w krótkim tem zdaniu już się mieszczą wszystkie prawie napisy rozdziałów Szecha, które same za siebie mówią. Lecz gdyby nawet nie ta treść, to jeszcze ton sam broszury całej, zdradzający żywą sympatyę dla socjalistycznej idei, podanej w pięknej, nastrojowej szacie stylu, byłby tonem sam już przez się budującym złoty most socjalizmowi do społeczeństwa.

Autor wogóle uważa socjalizm w swych zgubnych skutkach tylko za sprzeniewierzenie się jednostek, sprzeniewierzenie częściowe, »odmianę z przymieszką pewnych błędów idei szczytnej, wzniosłej, będącej w treści swojej z ideą chrześcijańską w ścisłym pokrewieństwie«.

Tu w zmieszaniu socjalizmu z socyalną sprawiedliwością tkwi korzeń wszystkich błędów broszury, tu jest klucz do rozwiązania ciągle gmatwających się myśli autora, tu wytłumaczenie jego nieomal namiętnych sympatyj dla socjalizmu. Tutaj tkwi błąd zasadniczy.

Socjalizm został zrodzony przez kapitalizm, powiedział jeden z dzisiejszych ekonomistów.

Idea subiektywizmu, bezwzględnej wolności i panowania kapitału wniosła na polu ekonomicznem ucisk i wyzysk biednych o tyle prawie beznadziejny, o ile kapitalizm w imię hasła wol-

ności rozbroił robotnika, który przedtem pod skrzydłami Kościoła łączył się w związki i organizacje.

O ile więc socjalizm ujął się za uciśnionymi, o ile zsolidaryzował rozproszonych i rozbitych — miał w sobie pierwiastki słuszności i sprawiedliwości — miał tem samem pierwiastki chrześcijańskiej idei, wielającej w sobie zarówno sprawiedliwość jak i solidarność.

I czyż podobna przypuścić, ażeby ruch olbrzymi, potężny, czepiający się i myśli i wyobraźni i uczuć dzisiejszych, nie miał w sobie ziaren złotych, nie nęcił zwłaszcza ideałem sprawiedliwości, który się wznosił nad gruzy wolności obiecywanej przez kapitalizm, nad łzy, ucisk i kajdany, jakie w zamian za złudne obietnice egoizm kapitalizmu ludzkości w darze przynosi.

Lecz niestety ideał ten nie wznosi się ani na podstawach etyki ani religii.

Chce sam być i jest bożyszczem sobie.

Jedną ręką zdobywa wolność a drugą niesie strasliwszą nad wszystko niewolę terroryzmu.

Socjalizm broniąc społeczeństwo przed jedną ostatecznością, popchnął je w drugą przeciwną.

Ujął się słusznie za ziemskim cierpieniem, ale też stanął na tym biegunie, do którego słońce nadziemskie już nie wgląda. Cele jego wszystkie tak mają w ziemi swe źródło, że niebo zostawia wedle słów poety: »Wróblom i klechom«.

Poczęcie jego samo, wzięte z materyalizmu, który przeniknął jego całe jestestwo — i wszedł w jego krew, nie da się zeń wyrzucić, z żył jego więcej wypruć.

Ujął się socjalizm za jedną klasą uciśnionych, ale też dla tej klasy poświęcił znowu całe społeczeństwo, znosząc wszystkie inne i tak niesprawiedliwość jedną zamienił na drugą.

Wypowiedział walkę kapitalizmowi — i walkę najślusniejszą, ale też poszedł w niej poza granice przyrodzonego prawa, konfiskując wolność osobistą i prawo własności i oddając mienie i swobodę Molochowi państwa.

Stąd wynika jasno, że jeśli socjalizm błyszczy kruszynomami złotemi, które wzięł z ewangelii, to jednak pokrewieństwa i związku

między ewangelią a między socyalizmem — niema. Przeciwnie jest przepaść niezapełniona.

Jest to nawet psychologicznie uzasadnione.

Jeżeli ktoś mój ideał odemnie przejmie, tak jak socyalizm przejął go od Kościoła, ale go wypaczy, ale nadużyje a nadużycie do zasady podniesie, a zasadę doktryną i systemem poprze, wtedy wszystko w nim mię odtrąca i tem bardziej odtrąca, im ideał był szlachetniejszy, im więcej przezemnie umiłowany, i im bardziej obecnie jest wynaturzony.

Lecz przedewszystkiem uzasadnioną jest przepaść w samych wnętrznościach, tak doktryny chrześcijańskiej, jak socyalistycznej.

Mamy na to słowa Leona XIII, który się odzywa w encyklice swej *quod apostolici*, »aczkolwiek socjaliści nadużywają samej ewangelii, aby tem łatwiej bałamucić źle uświadomionych ludzi, i mają w zwyczaju myśl Jego przekręcać, aby się zdawało, że zgadza się z ich naukami, to jednak jest prawdą niezbitą, że różnica i odstępy między ich przewrotnemi naukami a prawem czystej nauki Chrystusowej są tak wielkie, że już większe ani pomyśleć się nie dadzą ani istnieć mogą«.

A gdyby kto, jak Szech, o encyklikach papieskich próbował twierdzić, że nie wiążą ściśle w sumieniu, to znajdzie jeszcze w dalszym ciągu słów papieża powołanie się na maksymy przekazane Pismem św. Ojciec św. w uzasadnieniu swych słów powołuje się na słowa Apostoła (II Cor. VI, 14): »Nie ciągnijcie jarzma z niewiernymi. Albowiem co za uczestnictwo sprawiedliwości z nieprawością? Abo co za towarzystwo światłości z ciemnościami«.

Pomimo tak zasadniczego rozdziału i niczem niezapełnionej przepaści pomiędzy ideą socyalistyczną, a ideą chrześcijańsko-socyalną — tu i owdzie jednak pojawiają się zakusy, ażeby dwa te światy i dwa wykluczające się pojęcia zidentyfikować.

To też i pod względem próby samej, broszurka Szecha nie jest nowością; nowem to tylko chyba jest, że podobne próby były dotąd ze strony protestanckiej. Katolicyzm dzięki swym zwartym i określonym pojęciom i tradycjom dotąd się nawet o to nie kusił.

Protestantyzm, nie mając w sobie treści, z równą łatwością

i giętkością przyczepia się do socjalizmu, jak niedawno jeszcze podszycwał się pod szkołę manchesterską i wielbił i opiewał kapitalizm.

Lecz trzeba powiedzieć, że i te nawet próbki są bardzo sporadyczne. W każdym jednak razie czułe zawracania oczu w stronę socjalizmu, wmawianie, że nie jest on antyreligijnym, że niema nic do czynienia z marksyzmem i z wolną miłością, — wszystkie te stare i oklepane sposoby bronienia go najmniej rozczulają samych socjalistów.

Ze swego pokładu, na okręcie swoim, nie myśli wcale socjalizm, gwoli swoich pobożnych pasażerów, chociażby jeden tylko pakuneczek usunąć niewygodny, by im na dobre ustąpić miejsca, a na przekór wszystkim patetycznym deklamacyom o religijności, rzucił teraz świeżo socjalista Vivani, z wyżyn ministeryalnego krzesła, słowa, oklaskiwane przez cały obóz socjalistyczny i radykalny, iż zasługą socjalizmu jest, że zgasił światła na niebie, a ludowi pokazał, że niebo jest próżne:

»Wyrwaliśmy sumieniu ludzkiemu wiarę; nasi ojcowie i my zwarliśmy się razem do dzieła bezbożności. Myślicie może, że dzieło jest już ukończone? przeciwnie ono się dopiero poczyną, gotuje się«. W zamian zaś za religię pociesza Vivani: »Żywiemy realiami, których człowiek może się dotknąć jeszcze przed swoją śmiercią, a to przez to, iż na ziemi zgotuje się taką obfitość bogactwa, że podwójne dziedzictwo ojczyzny i ludzkości granice przybiera nieskończone«.

Co sądzić o broszurze Szecha, której tendencya tkwi w tem, iż od początku do końca identyfikuje socjalizm z chrześcijańską ideą socjalną i ewangelią, nasuwa się z tych przesłanek samo przez się, tak iż od samego omawiania broszury pod tym względem czuję się być zwolnionym, jedno tylko dodając, że autor zdaje się odnajdywać naukę kolektywizmu w ewangelii, toby zaś było nowością, na jaką precedensu dotąd nie było.

* * *

Lecz Szech poszedł jeszcze dalej.

Socjalizm stawia swoim adeptom jako ideał i to ideał, który zastępuje bałwochwalczo ideał religijny.

Mają słuszość, którzy mówią, że socjalizm nie mieści się cały w budzeniu tylko grubych apetytów, ale też płytko patrzy, którzy nie dostrzegają, iż entuzjazm, który budzi u swoich adeptów, iż nadmiar duchowy, który poza walkę sięga, nie w czem innem ma źródło, jak tylko w jednym, w obudzeniu fanatycznej wiary w swój ideał i nadziei w odkupienie ludzkości przez ziszczenie się obietnic socjalizmu. Innemi słowy: Socjalizm nie tylko przeciwny jest chrystyanizmowi w swej doktrynie, ale nadto bałchwochwalczym kultem i ślepą wiarą w swój ideał bierze zmysł religijny człowieka w swoją posługę a odbiera go Bogu.

Lecz ten ideał sam w sobie jest ideałem i bożyszczem pogańskim. Nie rozgrzeje, nie rozpali i nie oświeci serc wychowanych w ciepłocie uczuć chrześcijańskich. Socjalizm buduje królestwo ziemskie, ale nie kusi się nawet o to, ażeby mówić o ideałach moralnych, i ażeby apostołować przez miłość.

Lecz oto co czyni Szech w swej broszurze:

Naprzeciw socjalizmu rzeczywistego, jakiego się dotykamy wszędzie, stawia nam Szech socjalizm wymarzony i ożywia go ideałem, któremu wszystko w socjalizmie zaprzecza, bo ideałem chrześcijańskim. Ideę socjalną, wykołysaną we własnej piersi, zasobną własnym ogniem, ideał chrześcijaństwa, każe nam autor za jedno brać z rzeczywistym ideałem socjalistycznym.

Czytając te karty miałoby się czasami pokusę zawołać: Autorze szanowny, daj nam taki socjalizm, jaki ty malujesz, a wszyscy do niego wstąpimy, wraz z tobą będziemy się żalić na duchowieństwo, iż miasto mu błogosławić, złorzeczy, wraz z tobą podalibyśmy się na ojców duchownych tego ruchu, przebacząc i uniewinniając złowrogię jego objawy, boć te są tylko przeciwieństwem szczytnemu ideałowi, ale nie jego konsekwencyą. Wraz z tobą najgorętsze serca będziemy wpędzać w objęcia tego ruchu, wraz z tobą zżymać się na społeczeństwo zimne, samolubne, że szczytnej idei nie pojmuje i stara się ją uprzedzeniami zabić. Wraz z tobą będziemy jego idee wysoko wynosić, wraz z tobą o tem marzyć będziemy, ażeby i inne błędy przez

ewolucyę powolną ulepszać, ażeby z niego wykrzesać tę wielką ideę królestwa Bożego na ziemi, o jakiej ty śnisz i marzysz. Ale niestety, pomiędzy światem przez ciebie wymarzonym, a rzeczywistością jest przepaść nieskończona. Ty nam pokazujesz socjalizm, który kocha ludzkość, a my widzimy tylko ten, który nienawidzi, posługuje się zaś nienawiścią jako narzędziem, które ma mu zastąpić te pobudki, jakie wyrugował z ludzkiego serca.

Ty nam go ukazujesz Chrystusowym, my zaś go widzimy zwalczający wszędzie Chrystusa i Kościół z zaciekłością sekciarską i z przeświadczeniem, że między materialistycznym poglądem na świat a chrześcijańskim, kompromisu być nie może. Twój socjalizm przemawia do najszlachetniejszych pobudek ludzkości, ten zaś rzeczywisty szerzy swoje królestwo pod znakiem terroryzmu, nie cofającego się przed żadną bronią, gotowego choćby na łupieztwa i zbrodnie...

Lecz gdyby nawet twój ideał miał warunki przyjęcia i gdyby taka ewolucya socjalizmu była istotnie możliwa, to jeszcze i wtedy jej ziszczenie na tak daleki należałoby odłożyć czas, że tysiące, a tysiące serc przedtem znalazłoby śmierć duchową dla swych chrześcijańskich uczuć, religii i wiary.

I czy ty, pytam dalej, Autorze szanowny, ty, który przecież kochasz dusze, bo miłością napisane są twoje karty, czy ty byś chciał wziąć odpowiedzialność przed Bogiem i ojczyzną za tych maluczkich i nieuświadomionych, których twój właśnie wymarzony ideał socjalistyczny, puszczony pod etykietą rzeczywistości uwiódł, którzy bronili mu się, wiedzeni instynktem chrześcijańskim serca, posłuszeństwem dla głosu kapłanów, ale ulegli dopiero wtedy, gdy się z ust twych dowiedzieli, że ideał chrześcijański tkwi w samym socjaliźmie i że przestroga duchownych jest kłamliwą i niewczesną. I wziąłżebyś, pytam, odpowiedzialność za to, żeś ty kluczami poświęconymi, przodując w odzieniu kapłana i zakonnika, otwierał dla nich wrota do wymarzonego raju, którego niszczące wyziewy potem ich ubiły.

Nie — tej odpowiedzialności, wiem, że na siebie nie zechcesz wziąć, myślę, że zbyt wiele kochasz, by względ wszelaki osobi-

sty, wynieść ponad miłość dusz, a w takim razie uczyni wszystko, by z drogi tej zawrócić.

*

*

*

Lecz teraz odwróć się od broszur autora, ażeby słówko powiedzieć o autorze broszur.

Podniósłszy, co dobre, a wytknąwszy i potępiwszy, co złe, muszę wziąć w obronę jednak jego osobę, przed zarzutem złej woli.

Św. Paweł mówiąc o szkodzie wyrządzonej przez siebie Kościołowi, dodaje, że jednak nieświadomie ją wyrządził.

Ja myślę — za Szecha można śmiało to słowo pod jego obronę podpisać.

To, co napisał, jakkolwiekby nie było bez przymieszek ludzkich, to jednak wyszło z pobudek czystych, najszczerzych.

Ważno już tłumaczy sama psychoza Szecha, o ile ta z pism jego się odbija.

Przedewszystkiem znać w nim gorące, powiedziałbym, kipiące serce, które wybrykuje literalnie raz po raz i zdradza się w stylu, któryby można określić stylem aktów strzelistych; forma, ścisłość pojęć i określeń, definicje, wszystko to nie istnieje wobec lawiny wciąż rozlewającego się uczucia.

Powiem również, że umysł i wiedza nie dotrzymują kroku gorącej aż do namiętności naturze Szecha. Więcej pogłębienia teologicznego i filozoficznego, więcej znajomości ruchu chrześcijańskiego, lepsze zaznajomienie się z socjalizmem i z jego historią, a większe panowanie i pokój duszy, uchroniłyby niewątpliwie Szecha od zboczeń, które popełnił.

Jeżeli Szechowi tak ciasno w dzisiejszym katolicyzmie, to dlatego tylko, że nań patrzy z ciasnego swego okienka. Jeżeli wyciąga ręce ku socjalizmowi, to dlatego znowu, że takim go widzi, jakim go sobie w swych stworzył dumaniach.

Lecz nawet cała szkodliwa i niewłaściwa krytyka Kościoła i cała namiętna miłość socjalizmu idzie z serca, które kocha sprawę Bożą, chociaż tę miłość miesza z całym niespokojem, z całym niesprawiedliwym rozdziałem uczuć, z katolicyzmu bo-

wiem wyssał, to co jest idealnego, w socjalizm zaś wlał te soki ciepłe i gorące.

Gwałtowny jego temperament, żądny czynów, zżyma się na powolne wzmaganie się katolicyzmu w królestwo przystosowywane do nowych potrzeb i do nowych ideałów socjalnych.

Niema stąd Szech potrzebnej wyrozumiałości, że katolicyzm z długiego ucisku, przychodzący do życia i zdrowia, jak chory po długiej niemocy, od razu przecież chodzić nie może. Zżyma się i ciska gromami potępienia i to w stronę tych właśnie, którychby miłością potrzeba do nowej idei chrześcijańskiej podnieść, a nie miażdżącą, nielitościwą i tylekroć niesprawiedliwą krytyką odtrącać, nie oszczędzając nawet i władzy, wobec której (pomijając już wszystko), zdradza brak taktu i uszanowania.

Ma się wrażenie, jakoby już powiedział sobie, znowu gnany temperamentem: »Tu skostniałość, której nic nie poradzę, a tam w zastępach przeciwnika tętni, drga życie«. I znowu nie patrzy, jakie to życie, z jakich pobudek idzie, co przyniesie; czyn i życie upaja go, żądza czynu nasycza i już radby szeregować zastępy. Niechce nawet głębiej patrzeć w sprężyny i motory tych objawów życia, woli raczej złowrogie kształty socjalizmu wrzątkiem chrześcijańskich uczuć oblać, aby potem móżdżk wmówić i w siebie i w innych — »oto, oni tacy«.

Krótko więc mówiąc, wiedza i wytrawność umysłu mu nieodpisały, a gwałtowność i kipiąca namiętność uniosły go i zdradziły.

Gdyby można było obrać samo jądro myśli przewodniej Szecha, z tego wszystkiego co ją spaczyło, tobym u końca samego powiedział, że jednak w skorupce jest ziarno zdrowe i ideał na dziś potrzebny.

I gdyby Szech zamiast się błąkać po błędnych drogach socjalizmu, po prostu był szukał w samym, dziś tak dużym ruchu chrześcijańsko-socjalnym ostoji dla swego ideału, gdyby był owinał swe myśli o dwie epokowe encykliki Leona XIII, o demokracji chrześcijańskiej i ruchu robotniczym, byłby sam znalazł i ukazał społeczeństwu swemu te drogi, po których ono kroczyć musi, jeśli chce żyć i chce się rozwijać.

Bo nieda się zaprzeczyć, że w obozie katolickim i był i jest podwójny kierunek, zresztą widoczny zawsze we wszystkich organizacjach społecznych.

Jeden skłonny bardziej ku temu, żeby w sposobach działania publicznego, więcej się trzymać utartych dróg tradycyi, a o ile możliwości najmniej się puszczać na nowe, ryzykowne eksperymenta. Drugi, gotów raczej za daleko odejść od tradycyjnych ścieżek, ażeby tem rychlej się przychwycić prądów nowych, jakie wstrząsają ludzkością i jakie trzeba wobec Kościoła postawić i oczyszczone pod działanie Kościoła skierować.

Odnosnie do kwestyi socyalnej, kierunek pierwszy wśród katolików zawinił niejedno w samych programach i akcyi katolickiej. Tu i tam katolicy bezwiednie nawet zostawali w pojęciach socyalnych, pod wpływem doktryny liberalnej, wykładanej przez manchesterską szkołę.

Nie zdawali sobie nawet sprawy, do jakiego stopnia ich pojęcia odchodzą od pojęć Kościoła, jak wykraczają przeciwko idei chrześcijańskiej sprawiedliwości; co więcej — każdą akcyę katolicką, która miała na celu wyrwanie z rąk socyalistom tych haseł, które idąc w obronę uciśnionych były sprawiedliwe — nazywali zaraz demagogią, a zdrową chrześcijańską politykę socyalną — identyfikowali z socyalizmem. Ale ideał chrześcijańsko-społeczny przez wielkich wodzów Kettelera, Maninga i innych, torował sobie zwycięsko drogę, aż został publicznie uprawniony w Kościele, przez encykliki Leona XIII.

Lecz, za kordonem, z natury już rzeczy ów kierunek socyalny jest jeszcze nieznanym, potrzeba budzić i cucić katolików i przypominać im, że socyalizm nie zwalcza się samem narzekaniem, lecz pracą rzetelną, opartą o program chrześcijańsko-socyalny.

Potrzeba pod sztandar ten nowy szeregować kler, z hasłem tem iść w lud, przez dzienniki, przez broszury, przez zgromadzenia robić propagandę dla chrześcijańskiej demokracji.

To wszystko potrzebne i bardzo potrzebne, bo od tej akcyi zależy zwycięska walka ze socyalizmem i przez tę akcyę tylko

bogate pokłady wiary i chrześcijańskich uczuć złożone w sercach ludu zostaną zużytkowane dla dobra Kościoła i ojczyzny.

I Szech więc nie potrzebuje obcych szukać bożyszczy, jeszcze ma czas, niechże swe talenta i swe gorące serce, oczyszczone jednak i podniesione i wytrawione, włoży całe w usługi tego nowego, w Królestwie i zabranych prowincjach, a tak niezbędnego kierunku. Niech idzie z rozwiniętym sztandarem chrześcijańskiej demokracji.

† *J. Teodorowicz.*



NOWE TEORYE KOSMICZNE.

Nigdzie zapewne wyobrażenia nauki, lub raczej ludzi oddających się ścisłym badaniom, nie buja tak wysoko, rywalizując śmiałością i zawilocią swych kombinacyi, z najodważniejszymi powieściopisarzami, jak w astronomii, zwłaszcza w tej jej części, która zajmuje się ową zagadką, na pozór obojętną, prawdopodobnie nierozwiązalną, a przecież ciągle niepokojącą umysł ludzki, bo ustawicznie narzucającą się, bo porywającą ducha naszego poza progi życia na naszej planecie, aż gdzieś może ku nieskończoności — zagadką budowy wszechświata. Konieczność posługiwania się wyobrażnią nie leży tu w tem, by tworzyć o wszechświecie, jak to nieraz bywa, jakieś pomysły, niby wielkie, a w gruncie płytkie, lub wprost śmieszne, bo nie oparte na głębszem zrozumieniu przyrody i znajomości jej praw a tylko na dowolnej spekulacyi. Astronom lub astrofizyk, śledzić musi bacznie postępy nauk ścisłych, doświadczalnych, zwłaszcza fizyki i chemii, a fakta zdobyte przez siebie lub innych w mozolnych badaniach w pracowni, stosować śmiało, jednak z zachowaniem wszelkich ostrożności i zastrzeżeń, do owego niezmierzonego laboratorium, które nazywamy makrokosmosem, a za którego my tylko jeden bezpośrednio trzymamy rąbek.

Dwie kategorie zjawisk, wykrytych w ostatnich czasach, oczekiwały na takie zastosowanie. Jedna, to ciśnienie światła, mianowicie fakt, że światło i ciepło, czyli wogóle energia promienista, padając na powierzchnię jakiegokolwiek ciała, wywiera nań

pewne mechaniczne parcie. Kategorję drugą stanowią ciała promieniotwórcze z radem na czele. W fizyce i chemii dają one początek nowej epoce, jest więc prawdopodobieństwo, że i w zjawiskach kosmicznych ogromną odgrywają rolę, a uwzględnianie ich własności zupełnie nowe przed badaczami odsłoni pola.

I właśnie w ostatnich kilku miesiącach ze strony najkompetentniejszej, najbardziej do tego powołanej, bo ze strony dwóch znanych fizyków angielskich, Poyntinga i Strutta, uczyniono ten śmiały krok i odważono się na rozglądnięcie się, jak dwie powyższe grupy zjawisk przedstawiają się we wszechświecie, jakie one tam mieć mogą znaczenie. Wyniki rozumowań tych uczonych badaczy, chociaż bardzo ściśle i z ogromną czynioną ostrożnością, przecież przedstawiają się wprost niezwykle, prawie awanturniczo. Mimo to trzeba się z nimi zapoznać, choćby tylko dlatego, by się oswoić z teoryami, które długą może jeszcze mają przed sobą przyszłość i z pewnością nie od razu po swem pojawieniu się zajmą miejsce pomiędzy starożytnościami myśli ludzkiej.

* * *

Że światło wywiera ciśnienie na nieprzeźroczyste przedmioty¹, to jeszcze przed pół wiekiem twierdził genialny fizyk angielski, Maxwell, oparty na swych teoretycznych poglądach o naturze światła i elektryczności, podobnie, jak oznajmił on światu, że istnieją fale elektryczne, które dziś zaprzągnięto już do posługi ludzkości w telegrafach bez drutu. Doświadczalnie udowodniono prawdziwość twierdzeń Maxwella znacznie później, bo pierwszy Lebedew w r. 1892, po nim zaś Amerykanie Nichols i Hull (r. 1901). Dwaj ostatni nie tylko wykazali istnienie ciśnienia światła, ale nadto udowodnili, że i cyfry podane przez Maxwella są prawdziwe, że mianowicie liczba mierząca ciśnienie, jakie światło wywiera na centymetr sześcienny powierzchni ciała czarnego, a więc całkowicie światło pochłaniającego, mierzy także energią

¹ *Przegląd Powszechny*, t. 86, str. 274.

światlną, zawartą w centymetrze sześciennym, położonym tuż przy danej powierzchni.

Ażeby to lepiej zrozumieć, wyobraźmy sobie jakiś punkt świecący, lub wogóle jakieś źródło światła, np. lampę elektryczną. Lampie takiej, by świeciła, trzeba dostarczać ustawicznie prądu, który czerpiemy np. z maszyny elektrycznej, obracanej przez maszynę parową. Mamy tu więc przed sobą bardzo skomplikowaną i wielokrotną przemianę energii: chemicznej węgla, na ciepłą przy spalaniu go pod kotłem maszyny parowej, następnie tę energię ciepłą zamienia maszyna na mechaniczną, która się znowu zużywa na obracanie dynamomaszyny. Wreszcie wytworzony w ten sposób prąd elektryczny zamienia się w lampie łukowej częściowo na światło, które więc także przedstawia jeden z rodzajów energii. Oczywiście energia świetlna, wyszedłszy z lampy, nie ginie, lecz rozchodząc się kulisto, wypełnia całą przestrzeń naokoło lampy aż do nieskończoności. W każdym więc centymetrze sześciennym tej przestrzeni znajduje się pewna ilość energii świetlnej. Im dalej od źródła światła czyli od lampy, tem tej energii będzie w jednym sześciennym centymetrze mniej, ta sama bowiem ilość energii, która przy lampie wypełniała małą kulę, o promieniu np. pół metra, rozlewa się kulisto coraz dalej i dalej. Jeżeli teraz gdzieś w przestrzeni umieścimy centymetr kwadratowy np. czarnego papieru i to tak, by promień lampy padał prostopadłe na jego powierzchnię, to papier ten dozna od światła ciśnienia tak wielkiego, jak wielką jest energia świetlna, zawarta w centymetrze sześciennym, wziętym tuż przed owym papierkiem, czyli mającym za jedną ze ścian ten centymetr.

Ciśnieniu takiemu podlega każde ciało, na które padają promienie ciepłe lub świetlne, doznają go więc także ciała niebieskie, należące do naszego układu słonecznego, odpowiednio do swej odległości od słońca. Ucisk wywierany przez światło słońca na naszą ziemię jest bardzo mały, bo wynosi tylko 75 tysięcy ton, czyli około pół kilograma na kilometr kwadratowy, stąd wobec siły grawitacyjnej, z jaką słońce ziemię przyciąga, jest on znikająco mały. To samo powiedzieć można o innych wielkich planetach, należących do systemu słonecznego. Odpychanie świetlne,

przeciwdziałające olbrzymiemu przyciąganiu grawitacyjnemu, nie może mieć żadnego dostrzegalnego wpływu na ruchy tych ciał.

Inaczej jednak rzecz się przedstawia u drobnych ciał i pyłków, jakich niezliczone mnóstwo włóczy się po wszechświecie. Gdybyśmy zmniejszali promień ziemi, to siła grawitacyjna, pochodząca od słońca, maleje znacznie szybciej, niż siła odpychająca światła, a to z tego powodu, że przyciąganie zależy od objętości ciała przyciąganego, zaś wielkość ciśnienia od jego powierzchni. To też wedle obliczeń Poyntinga, ziarnko materji, znajdujące się w tej samej odległości od słońca, co nasza ziemia, a mające promień 40 bilionów razy mniejszy od promienia ziemi, nie podlega zupełnie żadnemu działaniu słońca, albowiem siła grawitacyjna i odpychanie świetlne całkowicie się równoważą. Widać z tego przykładu, że mechaniczne oddziaływanie światła, z powodu swej drobnosci zupełnie bez wpływu na planety większe, nabiera ogromnej wagi, gdy chodzi o ruchy partykułek i pyłów kosmicznych — i w tem właśnie leży jego wielkie znaczenie dla zjawisk we wszechświecie. Wymieniony wyżej angielski uczony Poynting zajmuje się świeżo tym przedmiotem¹ i do bardzo interesujących i ważnych dochodzi rezultatów, które teraz poznamy.

Drobne cząstki materji kosmicznej, unoszące się we wszechświecie, podzielić możemy na dwie kategorie. Jedne są to partykuły i ziarnka, rozsypane bezładnie po całym przestworzu, dla oka, w większej przynajmniej części, zupełnie niewidzialne. Drugą kategorię tworzą cząstki również drobne, lecz ugrupowane w pewne środowiska, uderzające często wspaniałością zjawisk. Należą tu komety, zwłaszcza zaś ich ogony i ów jedyny twór kosmiczny, od czasu jego odkrycia stanowiący przedmiot ciągłych badań i wielu hipotez, pierścień Saturna. Przypatrzmy się każdej z tych grup po kolei.

Gdy cząstki kosmicznej materji są dostatecznie drobne i znajdują się w odpowiedniej odległości od słońca, przyciąganie słoneczne nie wywiera na nie, jak już wyżej wspomniano, żadnych

¹ *Nature*. Listopad 1906.

skutków, bo równoważy je i paraliżuje odpychanie, spowodowane przez światło słoneczne. Mimo to Poynting dochodzi do ciekawego rezultatu, że wszystkie te pyłki muszą prędzej lub później pospadać na słońce, właśnie wskutek odpychającego działania światła.

Zanim przystąpimy do wyjaśnienia tej pozornej sprzeczności, przypomnijmy sobie zjawisko, na które zawsze zwraca się uwagę już przy nauczaniu elementarnych zasad akustyki. Jeżeli przedmiot jakiś wydając stale ten sam ton, np. lokomotywa, zbliża się szybko ku nam, to łatwo rozróżnić, że ton ten się podwyższa. Wiadomo, że wysokość tonu zależy tylko od ilości drgań ciała ton wydającego, w naszym więc wypadku, od ilości drgań słupa powietrznego świstawki lokomotywy. Jakże więc wytłumaczyć sobie owo podnoszenie się tonu z powodu przybliżania się źródła dźwięku? Wyjaśnia to Doppler w zasadzie, noszącej jego imię, którą najłatwiej zrozumieć można z następującego przykładu. Kamień, rzucony w staw, wywołuje na zwierciadle wody zaburzenia, rozchodzące się kolisto w postaci fali. Z łatwością obliczyć możemy, ile takich fal, czyli dolin i gór fali, dojdzie do nas na minutę. Oczywiście, że jeżeli, zamiast stać spokojnie, pomkniemy łódką ku miejscu, z którego się fale rozchodzą, to teraz fale uderzać będą o łódkę daleko częściej, bo my sami biegniemy na ich spotkanie, uprzedzamy ich przybycie. Tak samo, gdy stoimy spokojnie, a koło nas maszeruje wojsko, mija nas np. trzydzieści szeregów na minutę. Jeżeli jednak poczniemy sami iść w kierunku przeciwnym, to w ciągu jednej minuty spotkamy daleko więcej szeregów. Te przykłady przenieśmy do zjawisk akustycznych. Wysokość tonu zależy tylko od tego, ile fal głosowych uderzy o nasz narząd słuchu. Jeżeli więc biedz będziemy naprzeciw źródła głosu, to tych fal ucho nasze pochwyti większą znacznie ilość na sekundę, niż gdyby odległość między nami, a ciałem ton wydającym, była stała, stąd też otrzymamy wrażenie tonu wyższego.

Zasada Dopplera jest zupełnie ogólną, ma zastosowanie wszędzie, gdzie chodzi o ruch falowy, a więc i w przypadku energii promienistej, jak światło i ciepło. Używa się jej np. już od dość dawna do poznawania, czy gwiazda jakaś oddala się lub zbliża

do ziemi. Obserwuje się mianowicie widmo optyczne gwiazdy badanej; jeżeli gwiazda się zbliża, to na mocy zasady Dopplera »ton światła« czyli to, co nazywamy barwą, podwyższa się, co dostrzedz można w ten sposób, że linie widma optycznego przesuwają się ku stronie fioletowej, gdy zaś gwiazda się oddala, linie te przesuwają się ku stronie czerwonej widma, bo barwa się obniża. Dalsze zastosowanie w optyce znalazła zasada Dopplera właśnie teraz przy ciśnieniu światła. Pamiętać trzeba, że fala światła jest roznosicielką energii i że właśnie od ilości tej energii zależy wielkość ciśnienia światła. Jeżeli więc ciało jakieś ku źródłu światła, np. ku słońcu, się zbliża, to więcej tej energii chwyta niejako na sekundę, aniżeli gdyby znajdowało się ciągle w tej samej odległości, stąd i ciśnienie, wywierane przez światło na to ciało, zwiększyć się musi.

W tem miejscu przypomina Poynting, że trzecie prawo dynamiczne Newtona, tak zwane prawo akcji i reakcji, ważne wszędzie tam, gdzie mamy do czynienia z masami i siłami, także i w dziedzinie tych zjawisk siły ciśnienia światła na masy kosmicznej materji, ma koniecznie swoją ingerencyę. A prawo to orzeka, że do każdego działania należy równe mu oddziaływanie, w kierunku wprost przeciwnym. Jeżeli cisnę ręką na stół, to i stół wywiera ucisk na naszą rękę, w kierunku przeciwnym, lecz z tą samą siłą. Podnoszę do góry ciężar ważący jeden kilogram, to doznaję od niego ciągnięcia w dół z siłą jednego kilograma. Otóż podobnie. jeżeli ciało jakieś wydając ze siebie światło lub ciepło, odpycha przez to inne ciała, to i samo doznaje odpychania z siłą taką samą, lecz w kierunku przeciwnym. To samo światło słoneczne, które padając na ziemię, odpycha ją z siłą 70 tysięcy ton, odpycha z tą samą siłą i słońce, z którego wychodzi.

Uprzytomniwszy sobie te prawidła, wyobraźmy sobie małe ziarnko materji kosmicznej, biegnące w tej samej od słońca odległości, co nasza ziemia. Jak widzieliśmy, działa nań oprócz grawitacyi, także siła odpychania światła słonecznego, która paraliżuje po części wpływ grawitacyi. Całkowite przyciąganie słońca, będące wypadkową z dwóch powyższych sił, jest mniejsze, niż sama grawitacya, stąd też i rok takiego pyłku, czyli jego całko-

wity obieg koło słońca, jest dłuższy od roku ziemi, na której ruch, jak widzieliśmy, ciśnienie światła nie może mieć prawie żadnego wpływu. Biegnijmy teraz myślą w ślad za takim pyłkiem. Ma on pewną temperaturę, przypuśćmy, że tę samą, co średnia temperatura ziemi, więc koło 300 stopni absolutnych, czyli przeszło 20° Celsjusza. Skoro jest ciepła, więc wydaje ze siebie promienie cieplne, które padając na rozmieszczone naokoło ciała, odpychają je. Lecz to odpychanie nie będzie ze wszystkich stron jednakowe. Ciała, które znajdują się przed partykulką, doznają, odpowiednio do zasady Dopplera, odpychania silniejszego, bo do nich źródło energii promienistej, to jest nasza partykułka, się zbliża. Przedmioty natomiast leżące z tyłu, oddalają się od promieniującego pyłku, stąd i ciśnienie, jakie na nie wywierają jego promienie cieplne, jest mniejsze. Lecz nie chodzi tu o owe ciała, na które to minimalne odpychanie żadnego nie wywiera działania. Pamiętać trzeba, że na mocy prawa akcji i reakcji Newtona, partykułka, za którą biegniemy, doznaje także odpychania od ciał ją otaczających, odpychania pochodzącego od jej własnych promieni. Odnosnie do powyższych rozważań widać jasno, że odpychanie to będzie większe na powierzchnię partykułki przednią, zwróconą do kierunku biegu, niż na tylną. Ta różnica ciśnień, chociaż niesłychanie mała, będzie jednak, ze względu na drobne rozmiary pyłku, oddziaływała wcale wybitnie, hamując szybkość jego ruchu. W miarę zaś, jak ta szybkość maleje, siła grawitacji słońca ściągać będzie ku sobie ową partykułkę i to tak dzielnie, że według obliczeń Poyntinga, już po roku pyłek nasz przybliży się do słońca o 800 mil, zaś po 100 milionach lat — czas to w działaniach kosmicznych wcale nie wielki — dosięgnie powierzchni słońca.

Taki sam los czeka wszystkie inne drobiny materii, rozsiane po naszym układzie planetarnym. Podobna siła energii promienistej, która je od słońca odpycha, sprawi, że wprawdzie nie wprost, lecz drogami spiralnemi, dostać się muszą do najobfitszego źródła energii i światła t. j. do słońca i tu zakończyć swą samotną tułaczkę po wszechświecie.

A jakże na ciśnienie światła reagują komety, owe okrucy zrzeszone, wielką gromadą pędzące po przestrzeniach świata? Przypatrzmy się takiej niezmiernej chmurze, w chwili, gdy w ślepym swym biegu wpadnie w nasz system planetarny, w sferę grawitacyjnego działania słońca. Już od pierwszego momentu dwie te siły, przyciągająca grawitacyi i odpychająca światła, rozpoczynają swą robotę dezorganizacyjną. Pyłki najdrobniejsze zostaną pod wpływem światła, przynajmniej na razie, daleko odrzucone precz od słońca. Większymi kawałkami materyi zajmie się grawitacya, która wkrótce znacznie zmieni i zmodyfikuje ich ruchy. Kawałeczki natomiast średniej wielkości, od paru centymetrów w dół, jak owe opisywane powyżej samotne okruszki, zwolnią swój bieg, rozwleką się po przestrzeni i utworzą to, co nazywamy ogonem komety. Jeżeli to przesiewanie powtarzać się będzie częściej, to kometa ulegnie wreszcie zupełnemu rozbićciu, a raczej rozprószeniu.

Zwróćmy się teraz do Saturna. Obraz tego dziwnego planety przynajmniej z opisu znany jest każdemu. Świecąca pięknie kula, otoczona jaśniejszym jeszcze pierścieniem, — przedstawia jedyne na całym firmamencie widowisko. Pierścień ten, znacznie, bo przeszło 9 tysięcy kilometrów, od głównej kuli odległy, opasuje ją jakby kilkoma obręczami, silnie wprawdzie świecącemi, lecz o konsystencyi wiotkiej. Według przypuszczenia Maxwella, jest on złożony z pojedynczych, małych kawałków materyi, wirujących szybkim a wspólnym ruchem koło kulistego planety.

Dwie!głównie zachodzą tu trudności teoretyczne. Najpierw, skąd wogóle wziął się ów pierścień, z pomocą jakiego mechanizmu czy obrazu wytłumaczyć sobie jego powstanie? A dalej, w jaki sposób się to dzieje, że partykułki, wchodzące w skład pierścienia, biegną luźnie obok siebie, nie zbijając się pod wpływem wzajemnego przyciągania w jedną masę? Jako odpowiedź na pierwszą trudność podaje Poynting rezultat swych obliczeń, z których wynika, że dwie cząstki materyi, każda o średnicy około 2 centymetrów, a o temperaturze naszej ziemi, ani się nie przyciągają, ani też nie odpychają, albowiem ciążenie wzajemne, wynikające

z grawitacyi, zrównoważy się odpychaniem, pochodzącem od promieni cieplnych, jakie wzajemnie na siebie wysyłają. Odpowiednio też i cząstki w pierścieniu Saturna biedz mogą koło swego planety od siebie zupełnie niezależnie i oddzielnie.

Co do trudności pierwszej, odnoszącej się do pochodzenia pierścienia, to Poynting wychodząc z zasady, że »tam, gdzie nasza niewiedomość jest zupełna i nieograniczona, wszelkie hipotezy są dopuszczalne«, podaje obraz, któregooby się i Verne nie powstydzil. Przedstawmy sobie — mówi on — że jakaś wielka kula niebieska, gorąca prawie jak słońce, wpada na kometę. Natychmiast zaczyna się działanie opisanych wyżej sił przyciągających i odpychających, stąd pył, tworzący kometę, zostaje rozdzielony według wielkości i poczyną się poruszać naokoło zwycięskiej planety, tworząc odpowiednio do różnej wielkości pyłków liczne obłęcze, jakie rzeczywiście u Saturna znachodzimy. »Czy jest rzeczą możliwą, by Saturn poszedł za tą dziką myślą?« — pyta Poynting, kończąc swój interesujący wykład.

W każdym razie teorya ta jest z tego względu bardzo ciekawa, że uczy nas patrzeć na zjawiska kosmiczne pod zupełnie nowym kątem widzenia, a przytem daje choć słaby obraz trudności, z jakimi walczyć muszą astronomowie przy swych teoretycznych rozważaniach nad wzajemnem oddziaływaniem ciał niebieskich na siebie.

* * *

Kopiąc się do wnętrza ziemi dostrzegamy, że temperatura coraz się zwiększa, a wzrost ten wynosi na każde trzydzieści metrów w głębi, mniej więcej 1 stopień Celsjusza. Wniosek stąd prosty, że w ziemi musi być jakieś ciągle, niewygasające źródło ciepła.

Przypatrującego się przez szkła astronomiczne księżycowi widać uderzyć musi dzika, w rozmaite kształty pagórkami i brózdami poorana powierzchnia tego planety. I nie trudno odgadnąć, że nierówności te są śladami olbrzymich, a niezmiernie licznych krate-

rów wulkanicznych, świadczących dowodnie, że i księżyc, jeżeli nie jest, to był przynajmniej zbiornikiem wielkiej ilości ciepła, nurtującego w jego wnętrzu, a powodującego bardzo liczne i gwałtowne wybuchy wulkanów.

A cóż mówić o tem źródle wszelkiej energii, do istnienia tak naszego, jak i całego roślinnego i zwierzęcego życia na ziemi niezbędnej, jakim jest słońce? Masy wód, wzbijające się wyłącznie siłą słońca w obłoki i spływające stamtąd pod postacią rzek w nasze oceany, są tylko słabym obrazem fal tej energii, jaka ciągle przez wieki nie wiadomo, jak długie i nie wiadomo, kiedy skończyć się mające, wylewa się z tego centrum życia i spójności naszego układu planetarnego. I mimowoli, a często narzucać się musi pytanie, jakie jest źródło tych sił elementarnych, jak wygląda mechanizm, podtrzymujący jego niewyczerpaną i tak obfitą wydatność.

Znaną jest teoria, przyjęta dziś ogólnie, że wszystkie te ciała niebieskie tworzyły niegdyś jedną całość. Wynikałoby z tego, że i ciepło w wygasającej ziemi i księżycu, jak również w całej jeszcze pełni gorejącem słońcu, wywiązuje się w sposób zupełnie analogiczny. A jednak żadna z dotychczasowych teorii nie zdołała zupełnie zadowalniająco zdać sprawy z tej jedności i obecnie innym czynnikom przypisuje się ciepło ziemi, innym temperaturę słońca. Nie też dziwnego, że w ostatnich czasach postawiona hipoteza, która tę jedność sił przyrody czyli raczej jedność ich powstawania, jasno tłumaczy, wielkie wywołuje zajęcie. Hipoteza ta, od paru lat tu i ówdzie w formie bardzo nieśmiałego przypuszczenia stawiana, doczekała się obecnie systematycznego i gruntownego obrobienia i rozszerzenia. Uczonym, który nie tylko teoretycznie, lecz co ważniejsza, badaniami doświadczalnemi przyczynił się do jej rozwoju, jest znany fizyk angielski Strutt¹, syn sławnego chemika lorda Rayleigh. Według tej teorii źródłem ciepła ziemi, księżyca i zapewne innych ciał niebieskich, jest wykryty przed kilkoma laty przez naszą rodaczkę p. Curie-Skłodowską rad.

Że substancja ta jest rzeczywiście źródłem ciepła, o tem dwa lata temu przekonał prof. Curie, który dostrzegł, że rad, w jakichkolwiek znajduje się warunkach, czy w temperaturze pokojowej czy płynnego powietrza, lub nawet płynnego wodoru, zawsze jest stale cieplejszym od swego otoczenia, tak, że już bromek radu, więc ciało mniej energiczne od radu czystego, którego jeszcze dotychczas otrzymać nie zdołano, w godzinie więcej lodu stopić zdoła, niż sam waży. Z drugiej strony w ciągu bardzo licznych badań przekonał się Strutt, że rad znajduje się wszędzie w skorupie ziemskiej, w skałach, wodach mineralnych i zwykłych źródłanych, w soli wody morskiej i także, co również jest ważne, w meteorytach, to jest owych okrucach materji kosmicznej, które błądząc po wszechświecie i dostawszy się przypadkiem zbyt blisko w sferę przyciągania ziemskiego, zostają przez siłę przyciągającą na naszą planetę ściągnięte. Z poszukiwań Strutta wynika, że w jednym kilometrze sześciennym skorupy ziemskiej znajduje się średnio 5 kilogramów radu.

Dwa te fakta, to jest rozpowszechnienie niespodziewane radu w całej przyrodzie i jego właściwość wysyłania ze siebie ciągle i stale energii cieplnej, skłoniły Strutta do postawienia twierdzenia, że całkowite ciepło naszej ziemi, ukryte i wytwarzane ustawicznie w jej wnętrzu, pochodzi wyłącznie od radu. Ścisłe obliczenia, przeprowadzone przez tego uczonego pokazały, że ażeby zdać sprawę ze wzrostu temperatury, jaki w ziemi spotykamy, wystarczy, że przypuścimy, iż w każdym kilometrze sześciennym ziemi znajduje się tylko dziesiąta część kilograma radu. Tymczasem, jak widzieliśmy z poszukiwań doświadczalnych wynika, iż jest go koło trzydzieści razy więcej. Niezgodność tę wytłumaczyć sobie można tylko w ten sposób, że rad nie znajduje się w całej ziemi, lecz tylko w jej skorupie, mającej około 70 kilometrów grubości. Według więc Strutta i jego dalszych teoretycznych wywodów, opartych na analizie matematycznej, budowa ziemi przedstawiałaby się w sposób następujący: Bryła mniej więcej kulista, otoczona skorupą na 70 kilometrów grubą, w której to skorupie prawie równomiernie rozsiany jest rad. W miarę, jak zapuszczamy się w głąb tej osłony ziemskiej, temperatura się wzmacza, a przy-

biera wartość najwyższą, około 1500°C wynoszącą, na samej jej granicy dolnej. Tutaj też dochodzimy do jądra ziemi, utworzonego przez jakąś substancję bardzo sztywną, jednolitą, rozgrzaną do 1500 stopni. O jej naturze chemicznej nie można jednak nic bliższego powiedzieć, jak chyba tylko to, że nie zawiera ona w sobie radu prawie zupełnie i dalej, że nie jest z żelaza. Wniosek ostatni wynika stąd, iż średni ciężar naszej ziemi, wynoszący 5,5 jest daleko mniejszy od ciężaru gatunkowego żelaza. Ponieważ zaś jądro ziemi stanowi największą część naszego planety, więc musi być ono z jakiegoś materiału lżejszego niż żelazo lub inne ciężkie metale.

Główny zarzut, jaki dotychczas przeciwko tej teorii podniesiono, pochodzi od geologów, a mianowicie, jak wytłumaczyć wobec tego fakt, że ziemia posiadała niegdyś temperaturę daleko wyższą, niż obecnie, tak, że była prawdopodobnie w stanie płynnym lub gazowym. Na to odpowiada Strutt, że wówczas było znacznie więcej radu, bo obfitszym był także uran. Uran mianowicie, według badań najświeższych, rozkładając się tworzy aktyn, a z tego znowu tworzy się rad. O radzie zaś wiemy już dziś dobrze, że także wcale trwałym nie jest, lecz rozkłada się wydając hel, przyczem promieniuje ze siebie wielką ilość energii, która właśnie stanowićby miała źródło ciepła planet.

Z księżycem rzecz się ma całkiem podobnie, tylko że tu, według przypuszczenia Strutta, niema jądra, jak w ziemi, a cały księżyc zbudowany jest z materii tej samej, co skorupa ziemi. Wynikałoby stąd, że w księżycu znajduje się stosunkowo daleko więcej radu, bo ten byłby rozsiany równomiernie po całej masie księżyca, jak w skorupie ziemskiej, a więc po 5 kg. na kilometr sześcienny. Wobec tego należałoby się spodziewać, że w księżycu jest ciepła stosunkowo daleko więcej, niż w ziemi, a więc i temperatura tego planety musiałaby być znacznie wyższą. Tymczasem ogólnie przyjmuje się, że księżyc jest ciałem zimnem, prawie całkowicie wygasłym. Otóż na poparcie swych wywodów przytacza Poynting badania amerykańskiego astronoma Pickeringa, który przez wiele lat zajmował się bardzo dokładnymi i specjalnymi obserwacjami powierzchni księżyca, a który uważa wprost za

rzecz niewątpliwą, że powierzchnia księżyca wcale nie jest ustalona, lecz owszem ulega ciągłym zmianom i przekształceniom. Jest więc prawdopodobnem, że i czynności wulkaniczne księżyca nie ustały, a tworzące się wciąż ciepło wewnątrz planety, przełamuje raz po raz zamarzłą, bo płaszczem atmosfery nieosłoniętą skorupę.

Zdawałoby się, że najmniej prawdopodobieństwa ma za sobą cała ta hipoteza w zastosowaniu do słońca, którego temperaturę oceniają na 5 do 6 tysięcy stopni, a więc wyższą jest ona prawdopodobnie, od najsilniejszych sztucznie nawet wytworzonych płomieni nam znanych. Mimo to właśnie dla słońca teorię tę podano najwcześniej, a Wilson jeszcze w r. 1903 obliczył, że do otrzymania tak olbrzymich temperatur i źródeł energii, jakie znajdujemy na słońcu, wystarczy przyjąć, że w każdym metrze sześciennym objętości słońca znajduje się tylko trzy i pół grama radu, a więc ilość wcale nie zbyt znaczna. Dodać trzeba nadto, że jak wykazuje analiza spektralna, na słońcu znajduje się hel, który powstaje właśnie jako produkt rozkładu radu.

Jeżeliby hipoteza powyższa znalazła potwierdzenie, to musieliśmy rad, a względnie ciała promieniotwórcze wogóle, uważać za źródło wszelkiej energii, a więc także i energii życiowej. W nowym tedy systemie przyrodniczym słońce, owego monarchę absolutnego, dotychczasowe źródło wszelkiej potęgi i centrum wszelkiej siły, odarto z jego uroku, a cały wpływ i moc przyznano — atomom.

Ks. Feliks Hortyński.

Z PASTUSZKAMI.

Z życia Tercyarzy.

Zima nie jest martwością! To nie letarg, to tylko skupienie, to pierś wzniesiona oddechem wstrzymanym, który ją wypełnia i rozszerza, a na chwilę zastanawia tętno krwi, by ją tem samem odnowić; ten potężny oddech drży życiem i życie daje.

Zima gorąca mrozem, promienna białością, stała właśnie w pełni swej siły, wesela i powagi. Jasna! jasna zima!

Tęcze grają po śniegach, skry błyszczą w ściętych mrozem kropłach. Drzewa strojne w okiście bielą się i mienią błękitnie.

Biały przestwór w promieniach słońca śpiewa radosne »Gloria!«

Taka zima, to zachwyt, to chwila uniesień tak wielkich, że ziemia milknie, że leży cicho, bez drgnień, a żyją tylko blaski i barwy i ognie ziemi nieznane.

Stworzenia wszystkie umilkły, wody nawet stanęły; rośliny nie pracują nad swym rozrostem.

Wszystko cichnie, tylko biały, świetlisty, jasny duch wyrwał się z głębi tych istnień i rwie ku górze, ku słońcu i nad całym przestworem hymn głosi wesela, hymn porywu, nad uciszoną ziemią, nad zmartwiałym zwierzem, nad skamieniałą roślinnością.

Na wzgórzu, zasypana śniegami, daleka od domostw i ludzi, stoi niezwykła zagroda, złożona z kilku budynków nędznych, słomą krytych, okolona szczelnem oparkaniem; nad bramą wi-

dnieję prosty czarny krzyż; na dziedzińcu stoi mała dzwonnica, a raczej na dwóch żerdziach kołysze się dzwonek, daszkiem osłoniiony.

W szarych, grubych sukniach, kilku ludzi krząta się koło domostw. Jedni, zakasawszy rękawy, rąbią drzewo, drudzy sanie gotują, inni śnieg zgarniają, niektórzy w stajniach koło bydła porządku czynią. Zwyczajni ludzie, przywykli do służebnej roboty, znać to po ich ruchach wprawnych. Nie mitrzą i nie rozmawiają, widocznie zajęci bardzo pracą.

Do niskiej izby, przez małe, mrozem zakute okno, światło wpada złotawym snopem.

Nędza tu panuje, sprzętów prawie niema, zgrzebne płótna porozwieszane dzielą dość dużą izbę na małe klatki; w każdej przegrodzie tapczan, burym kocem nakryty.

Dziwne rzeczy się dziś w tej izbie dzieją; brat Seraf się zbuntował! Wybiera się sam, nie w chórze swoich braci, ale jak sobek jaki, pierwszy, nie zważając na starszeństwo, wybiera się z kolendami na dwór niebieski do Chrystusa.

— Oj bracie Serafie, godzi się to tak kapitulować, — mówi do niego brat starszy — wszyscy krzątają się jak przystoi, by wigilię godnie obchodzić, a ty się pieścisz? i o głosie niema co mówić, nie przebudziłbyś Jezuska, taki z ciebie śpiewak znakomity!

Brat starszy żartował i dogadywał, zrzedził i burezał niby, a brat Seraf, leżąc na tapczanie, uśmiechał się co chwila.

— Na jakie to wygody brat sobie pozwala, jakie to bogactwa, fiu, fiu, korzuchy, jak u wójta co najmniej!

Na sienniku nie rysowała się prawie nikła postać brata Serafa, przywalona ciężką baranicą. Ale głowa występowała wyraźnie w złotawem świetle, wpadającym przez drobne, zamarznęte okienko. Dwoje ocz płonących, czarnych, patrzyło przed siebie, patrzyło nie na zgrzebne płótna, dzielące izbę, nie na ciężką nisko powalę, nawet nie na Brata starszego, nawet nie na obrazek Częstochowskiej Matki Bożej, ale już w obraz widziany gdzieś dalej, ponad tą powalą, ponad tem białem sklepieniem obłoków, wiszącym nad klasztorną chatą.

Wynędniała, ściągała twarz, jaśniała w promieniach zimowego słońca.

— Oni też bracie dużo nie przynieśli Jezusowi, tylko poszli na anielskie wołanie chętnie i skwapliwie. Jezus ich przyjął i przygarnął; ja idę chętnie i mnie spieszo bracie!...

A mówił to szeptem i temu mu brakowało.

Brat starszy, wyniosła postać, o siwej, strzyżonej brodzie, wysokim, myślącym czole, o spokojnych, jasnych oczach, stał koło jego łóżka, do końca kierownik i opiekun, oddawał już tę gorącą duszę Boskiemu Pasterzowi, ale chciał ją oddać wesołą i swobodną, jaką była za życia.

— Takto bracie Serafie, wybierasz się na dwór niebieski nie pomnając obedyncyi! A pytałeś się o pozwolenie na takie gody. A przystoi to braciom zostawiać troski i kłopoty, a samemu, jak królewiątko jakie, maszerować na pańskie pokoje i parade niebieską?!

— Daj bracie pozwolenie i puść mnie, zwolnij... bom już wam tu nieprzydatny na nic, nawet śpiewać kolęd nie zdołam... Wypraw mię bracie, bom już tam duszą przeszedł... wypraw, bom między wami został, jako ten nędzny strzęp. A chciałbym... pragnąłbym wraz z pastuszkami stanąć przed świętą Dzieciną, bo jak mędry przyjdą, to nie będę w swojej kompanii.

— Kiedy się już tak przez gwałt domagasz tego zaszczytu, żeby pierwszy hołd złożyć Bożej Dziecinie, to trzeba cię pożegnać, jak przystoi i zlecenia dać od nas, którzy idziemy nie tak spiesźnie!

I wyszedł brat starszy, by kazać zedzwonić braci...

Drobny dzwonek dyszkantem począł wołać, a każdy metaliczny jego dźwięk odbijał się radosnem uderzeniem w sercu brata Serafa.

— Wolno już, wolno!...

On lata całe był mu posłuszny, już prawie bezwiednie rzucał robotę, urywał rozmyślanie, kończył modlitwę na odgłos nawołującego dzwonka.

— Idę już... idę; rzuciłem com w rękach miał i jestem gotów... idę Panie, idę bracie starszy!...

A słońce złotem zabłysło przez szyby i było w niskiej izbie radośnie.

Bracia pokładli narzędzia, odgięli założone rękawy i kurz osiadły przy robocie strzepywali z odzieży. Spokojnie i bez namysłu zbierali się do powrotu. Już ich było sporo w sieni; z ciężkiego obuwia obijali śnieg, by na świeżo wyszorowaną podłogę błota nie naznosić, ale milczeli; nikt się nie dopytywał, poco ich dzwonek dzwęczący odwoływał od naglącej przedświątecznej roboty. Dzwonek wciąż dzwonił, jeszcze dłużej niż zazwyczaj, bo miał dolecieć do każdego zakątka i dotrzeć nawet tam, gdzie bardziej hałaśliwe zajęcie głużyło nikły jego głos.

Bo wszyscy, wszyscy bracia mieli stanąć na apel.

Cienki, metaliczny głos biegł poza ogrodzenie na pola stężale, bielące się radośnie.

— Brat Seraf wybiera się w drogę, trzeba go pożegnać.

Weszli ze świecami w rękach, ciężkie ich kroki napełniły łoskotem całą chatę.

Poklękali, grube ich habity z twardego sukna układały się w sztywne fałdy, niby drewniane, prostacze rzeźby. Krótko strzyżone głowy robią wrażenie przysypanych popiołem. Zarost ocienia starcze twarze; kilka wśród nich młodzieńczych, z wyrazem wielkiego oderwania; klęczą wszyscy bez wzruszenia, spokojni, jakby obojętni, swobodni; przyszli zwykły spełnić obowiązek, brata pożegnać...

Zaczęli odmawiać modlitwy.

Drżą struny głosu w tych ludzkich harfach, poważnymi i głębokimi tonami.

Rytm miarowy pacierzy odmawianych chóralnie męskimi głosami, spokojny układ, twarze skupione, a nędzna, niska izba przepełnia się duchem pokoju.

Światło słoneczne pada przez małe, zakute okienko, tworzące złote tło, szarym, klęczącym postaciom.

Czerwone płomyki świec rozświetlają ich rysy i aureolą drżącą obejmują głowy.

A brat Seraf patrzy w obraz Matki Bożej i gromnicę woskową w żółtej, wychudłej dłoni ściska.

Wzniósł się cokolwiek na posłaniu.

Brat starszy przy nim.

Podtrzymuje jego drobną postać.

Pozwala mu odejść.

Gromnica światło rzuca w ciemne źrenice brata Serafa, a widna w nich radość błyszczy i pali się żarliwym ogniem. Jasne, zamysłone oczy brata starszego czytają tę radość i dziwnem, pogodnem światłem patrzą na odchodzącego i na tych, co żegnają go chóralną modlitwą.

— Idę, idę do Jezuska... idę wraz z pastuszkami.

Z dworu dolatywał jakiś śpiew i nagle rozbrzmiał potężnie tuż przed oknem okrzykiem: *Gloria! gloria! in excelsis Deo!*

To kołędnicy ze wsi przyszli braciom zaśpiewać.

Młode ich głosy powtarzały z przejęciem okrzyk anielski:
Gloria! Gloria!

Brat Seraf uśmiechnął się jeszcze, usta otworzył, jakby chciał im wtórować, lecz zamiast śpiewu dusza jego uleciała i płynęła przez mroźny przestwór ku niebu, żegnana z ziemi poważną modlitwą braci i wesołym okrzykiem wiejskiej dziatwy:

Gloria! Gloria!

Celina Dębicka.



CERKIEW ROSYJSKA W OSTATNIEJ DOBIE.

W poprzednich sprawozdaniach z ruchu w Cerkwi rosyjskiej zaznaczaliśmy przedewszystkiem przygotowania do przyszłego narodowego Soboru. Jeszcze przed kilku miesiącami prasa rosyjska, zarówno świecka, jak cerkiewna, żywo zajmowała się tą sprawą, spodziewając się od projektowanego zgromadzenia wielu doniosłych reform w życiu kościelnem i religijnem. W ostatnim wszakże czasie to pierwotne zainteresowanie się Soborem znacznie osłabło. Koła świeckiej intelligencji okazują kompletną obojętność wobec zgromadzenia »popów«, na którem będą omawiane »popie sprawy«. I wśród sfer cerkiewnych mało kto zadowolony z kierunku, jaki Komisya przedsoborowa wytknąć usiłuje działalności przyszłego Soboru, by precyzyjnie się między Scyllą a Charybdą dwóch wrogich sobie stanowisk, mianowicie obrońców praw biskupiej hierarchii i zwolenników szerokiego udziału świeckich w reformie Cerkwi. Wobec takiej niezgody i nieufności ku Soborowi jeszcze przed jego zwołaniem, można poważnie się obawiać, — i to głośno wielu wypowiada, — że cały ten nakład pracy i przygotowań, cały pierwotny entuzjazm i ogrom nadziei może tylko odtworzyć ową przysłowiową »góre w połogu«. Jeśli się nie stanie coś gorszego.

Bądź co bądź, sprawa Soboru postępuje naprzód. Komisya przedsoborowa, po długiej przerwie wakacyjnej, w początkach listopada rozpoczęła znowu swe prace, które kazano jej ukończyć w grudniu. Samego soboru cerkiewnego spodziewają się w ciągu

roku 1907, może już na wiosnę. Sprawozdania z ostatnich posiedzeń Komisji uwydatniają dążność jej do ograniczenia ingerencji państwa; w szczególności oberprokuratury, w rządach i sprawach cerkiewnych. Jeśli przyszedł Sobór zdoła te wskazania przeprowadzić, bez wątpienia odda Cerkwi niepoślednią usługę.

Decyzja Komisji przedsoborowej o składzie Soboru wywołała nieskończone teoretyczne spory w prasie cerkiewnej, dotyczące samego pojęcia o Kościele. Tradycyjna nauka rosyjskich teologów o Kościele niewiele się różni od nauki katolickiej. Taki np. zmarły metropolita Makary Bułgakow, w swojej teologii dogmatycznej zna podział Kościoła na nauczający i słuchający, mówi o nieomyślności biskupów zebranych na Soborze powszechnym, o obowiązku wiernych przyjęcia orzeczeń takiego Soboru i t. d. Brak jedynie papieża. Na takim pojęciu Kościoła wsparła się większość członków przygotowawczej Komisji i dlatego poczyniła niewielkie ustępstwa zwolennikom t. zw. »soborowości«, zacierającej zasadniczą różnicę między biskupami, a niższym klerem i wiernymi. Przegłosowana mniejszość zabrała się, choć po niewczasie, do analizy tradycyjnej nauki o Kościele. Na usługi swe posiada łamy kilku czasopism cerkiewnych, nawet akademickich. Najruchliwszy z wyznawców »soborowości« członek Komisji, Aksakow (człowiek świecki), w całym szeregu artykułów, umieszczanych w tygodniku *Cerkownyj Głos*, namiętnie polemizuje ze swymi zwycięskimi kolegami z Komisji. Wtórzy mu kijowski protojerej i profesor Swietłow i kilku innych pisarzy. Wszyscy ci »soborowcy« zarzucają zwycięskiej większości, a pośrednio szkołom teologicznym i większości duchowieństwa i teologów rosyjskich, ni mniej ni więcej tylko zagubienie »iście prawosławnej« nauki o Kościele i naukę ogólnie przyjętą piętnują jako »pseudoprawosławie«.

Podług Aksakowa nie może być mowy o decydujących i doradczych głosach na Soborze cerkiewnym, gdyż decydować w rzeczach wiary¹ może tylko powaga nieomylna, nikt zaś nie jest

¹ Właściwie walczy tu Aksakow z wiatrakami, gdyż przyszedł Sobór niema zamiaru rozpatrywać kwestyi wiary.

nieomylny oprócz Chrystusa i samego ciała Kościoła wziętego w całości. Nauka Makarego o nieomylności hierarchii, zdaniem jego, jest to tylko »kryptopapizm« lub »polypapizm«, nie zaś »prawosławie«. W katolickim systemie teologicznym nauka ta jest na miejscu, albowiem nieomylna hierarchia uwieńcza się tam nieomylną Głową — papieżem. Przy różnicy zdań w łonie samego Soboru tam pozostanie nieomylność, gdzie będzie papież. Lecz wykrojona z katolickich podręczników i przeniesiona na grunt prawosławny, z pominięciem rozdziału o papieżu, nauka taka o Kościele jest połowiczną, niekonsekwentną, w praktyce niemożliwą. Wszak były Sobory biskupów, które potem za zborzyszcza zbójckie poczytano. Zgromadzenie biskupów samo przez się nie daje gwarancyi nieomylności. »Dogmatycy w rodzaju Makarego — są słowa Aksakowa, — prowadzą prostą drogą do Rzymu, lecz dochodzą tylko do Praenesta lub innego przedmieścia«. Ich teoria to stożek z odłamanym wierzchołkiem, gmach bez fundamentu. Chcą oni poruszyć ziemię tą samą dźwignią, co i katolicy, lecz zapominają o archimedesowym punkcie oparcia, jakim u katolików jest papieństwo.

Po takich trafnych uwagach spodziewałyby się należało, że Aksakow zachęci swych oponentów, aby zrobili stanowczy krok poza Praenestę, weszli w bramy Rzymu... Gdzie tam! Raczej Tobolsk lub Astrachań, niż Rzym. Widma »herezyi papieskiej« używa on na to jedynie, aby zmusić teologów rosyjskich do odwrotu, do wyrzeczenia się całego systemu, którego częśćkę od katolików poczerpnęli. Z drugiej strony nie okazuje skłonności ku protestanckiemu indywidualizmowi w rzeczach wiary, przynajmniej w teorii. Czy jest jeszcze jakaś trzecia droga? Aksakow nie darmo nosi nazwisko, którego poprzednich posiadaczy widziano w szeregach moskiewskiego panslawizmu. Teolog tego obozu, Chomiakow, policzony przez swego ucznia Samarina w poczet doktorów Kościoła, sądził, że palcem w niebo trafił, kiedy »wynalazł« rzekomo definicyę Kościoła mniej więcej taką: »organizm miłości i prawdy«. Tę całkiem prawdziwą, lecz kanoniście nie mówiącą definicyę komentują dzisiejsi spadkobiercy poglądów Chomiakowa, a komentują ją z krzywdą historii a nie-

kiedy i zdrowego rozumu. Tak np. łatwo było p. Aksakowowi dowiedzieć się z historii, dlaczego Synod efezki 449 r. został w historii znanym tylko pod mianem »zbójckiego«, a chalcedoński 451 r. uznany, jako powszechny i prawowity. Lecz szperając zbyt ciekawie w historii, można znowu natknąć się na papieństwo, a tego teolog, zakładający nieledwie istotę prawosławia na negacyi papizmu, dopuścić nie może. Musiał się więc Aksakow uciec do mglistych, nieuchwytnych słowianofilskich marzeń. A zatem stróżem wiary prawdziwej jest samo »Ciało Kościoła«; biskupi nawet na Soborze mogą się pomylić, lecz w takim razie Cerkiew ich orzeczeń nie przyjmie i t. d. Pracy swej na ten temat jeszcze nie skończył p. Aksakow, nie wiadomo więc, jaki będzie końcowy rezultat, lecz to na pewno można powiedzieć, że jeśli autor pozostanie do końca wierny logice, to znajdzie w taki las trudności w swojej teorii, że przeciwnicy jego tryumfować będą. Można powiedzieć w pewnej mierze słusznie, że lud jest stróżem prawowierności, jeśli chodzi o prosty skład wiary, lub o jakąś sumę zwyczajów czy praktyk religijnych; lecz skoro mowa o takich subtelnościach, jak określenie Kościoła, jak prawa biskupów, lud ten albo nic z tego nie wie, albo idzie chyba za swymi nauczycielami i pasterzami, a tych właśnie p. Aksakow i jego towarzysze odsądzają od prawosławia. Wolno więc zapytać: gdzież jest owo »Ciało Kościoła«, stróż prawowiernej nauki? Chyba tylko w obozie Aksakowa. Wynik, nie grzeszący wcale skromnością.

Wielka szkoda, że weszli na chomiakowskie manowce właśnie ludzie o najlepszych chęciach, najbardziej pragnący dobra dla swojej rodzinnej Cerkwi. Do nich zaliczyć się da znana naszym czytelnikom z poprzednich na tem miejscu sprawozdań »grupa 32-ch« duchownych petersburskich, która niedawno przeobraziła się w »Bractwo zelatorów odnowienia Cerkwi«. W maju 1905 roku uzyskało ono od władzy dyecezyjalnej potwierdzenie swej ustawy tytułem próby na 3 lata. Bractwo postawiło sobie za zadanie służyć sprawie reformy całego życia cerkiewnego »na podstawie powszechnej prawdy Chrystusowej, według zasad apostołskiego i ekumenicznego prawosławnego chrześcijaństwa«. W szczególności ma dążyć do oczyszczenia pojęcia o Kościele od »obcych

mu naleciałości», do uwolnienia Cerkwi od zależności od władzy państwowej, do ściślejszego zjednoczenia wszystkich członków Cerkwi najprzód w grupach parafialnych, następnie w obszerniejszych jednostkach terytoryalnych, »aż do zrealizowania żywej i zupełnej jedności wszystkich kościołów chrześcijańskich; dalej—do przeprowadzenia zasady »soborowości« w całym życiu kościelnem, wreszcie do spożytkowania wszystkich gałęzi kultury ludzkiej w celach Królestwa Bożego na ziemi (Ustawy § 1 i 2). Względem innowierców Bractwo obiecuje kierować się prawem chrześcijańskiej prawdy i miłości, zapatrując się jednak na świat cały, jako na »materyał, mający być przez chrześcijan przeobrażonym w Królestwo Boże«. — Bractwo odbyło już przeszło 20 posiedzeń. Program Bractwa, bez wątpienia, obszerny i śmiały, lecz silnem podkreśleniem swej osławionej zasady »soborowości«, i samym tonem swej redakcyi zdradza blizkie pokrewieństwo z chomiakowską teologią i tendencyami, które Bractwu przeszkodzą niezawodnie, przynajmniej względem katolicyzmu, powodować się prawem chrześcijańskiej prawdy i miłości. Jeśli chodzi o Zachód, to sympatye Bractwa prawdopodobnie znajdują się po stronie starokatolików i anglikanów.

W Anglii świeżo powstało stowarzyszenie »zjednoczenia anglikańskiego i wschodnio-prawosławnych kościołów«. Należą doń niektórzy anglikańscy biskupi i uczeni; ze strony greckiej i rosyjskiej również nie brak przedstawicieli nawet z pośród hierarchii. 10 października inaugurowano nowe stowarzyszenie w Londynie anglikańskiem nabożeństwem. Rzecz dziwna, że i przedstawiciele wschodniego duchowieństwa brali w niem udział, nie zważając nawet na *filioque* wspólne anglikanom z katolikami. Sądząc z poprzednich prób tego rodzaju, można sceptycznie zapatrywać się na myśl podobnego zjednoczenia. Skończy się zapewne na wzajemnem przesyłaniu sobie całusów, które mogą się zdawać tem serdeczniejsze, że daleka przestrzeń dzieli Londyn od Konstantynopola i Petersburga. Z blizka rzecz przedstawia się inaczej. Ci sami Grecy, którzy w Londynie *de facto* uznali ważność anglikańskiego kapłaństwa, w Konstantynopolu mają za zasadę chrzcić ponownie przyłączających się do ich wyznania mieszkańców Za-

chodu, nie wyjmując anglikanów. O ileż raczej stosunki między rosyjskiem prawosławiem a katolicyzmem nadawałyby się do tego, aby próbować tego rodzaju stowarzyszeń dążących do zjednoczenia! Wszak oba wyznania uznają wzajemnie ważność udzielanych przez się sakramentów, a i inne różnice doktrynalne są bez wątpienia mniejsze między nimi, niż między prawosławiem, a protestantyzmem angielskim. Niestety, lęk przed papieństwem uniemożliwia Rosyanom wszelkie próby tego rodzaju »filadelfii« względem katolicyzmu. A może i to się przyczynia, że te »dwie rodzone siostry« (wyrażenie jednego metropolity kijowskiego) t. j. Cerkiew wschodnia i Kościół katolicki, dlatego tak się nienawidzą, że zbyt blisko siebie mieszkają«. W każdym razie przynajmniej katolicy, którym sprawa Unii Kościołów leży na sercu, winni nie zaprzestawać w czynieniu kroków ku wzajemnemu zbliżeniu i poznaniu się. Jak na razie, wielkieby tej sprawie mógł oddać usługi np. jakiś organ katolicki, wydawany po rosyjsku i w Rosyi, któryby zajął się *ex professo* zaznajamianiem odnośnych sfer społeczeństwa rosyjskiego z katolicyzmem i uchylaniem nagromadzonych wiekami przesądów.

Wróćmy do prasy rosyjskiej. Obok dyskusyi na temat przyszłego Soboru, prasa cerkiewna zajmuje się żywo niektórymi kwestyami moralnemi i społecznemi. Prawo własności, małżeństwo, kara śmierci, sprawy narodowościowe, udział duchowieństwa w polityce, — nie schodzą ze szpalt tygodników i miesięczników cerkiewnych. Piszący jednak o tych kwestiach, po większej części okazują brak pewności siebie, chwiejność zasad, chodzenie po omacku. W kołach cerkiewnych umysły przechodzą obecnie jakąś ewolucyę moralną, choć nie zawsze w dobrym kierunku. Idee myślicieli, których przed paru laty nazywano *nowoputiejcami* (od miesięcznika *Nowyj Put'*) lub neochrześcijanami, zaczynają trafiać i do pewnych głów wśród duchowieństwa. *Nowoputiejcom*, Mereżkowskiemu, Rozanowowi i t. d. nie podobała się moralność dotąd przynajmniej w zasadzie pielęgnowana przez Cerkiew, narzekali na jej krańcowy ascetyzm (sic), żądali »uświęcenia« ciała, materyi, ziemi, t. j. przyznania im równych praw z »duchem«. Odbija się to przedewszystkiem na nauce o małżeństwie i dziewictwie. To

ostatnie coraz mniej znajduje uznania; dla małżeństwa zaś poczęto się domagać nowego, łagodniejszego prawodawstwa. Do niedawna Cerkiew rosyjska, chociaż dawała rozwody z powodu złamania wiary małżeńskiej z jednej strony, jednak za karę zabraniała stronie winnej wstępować w nowe związki małżeńskie. Dwa lata temu zniesiono i to ograniczenie, a obecnie prasa świecka i część duchownej domaga się ułatwienia rozwodów i w innych razach. Kompromis z zepsuciem postępuje jeszcze dalej. Niedawno na zjeździe duchowieństwa prawosławnego we Władywostoku pod przewodnictwem arcybiskupa uznano za rzecz konieczną odstąpić od dawnej surowości względem nałożnictwa. »Dzisiejsze życie religijne — tak rozumuje zjazd — bardzo odbiegło od czystości ewangelicznej pierwszych czasów chrześcijaństwa i stosowanie surowych i wzniosłych zasad kościelnych w całej ich sile i pełni nie zawsze jest możliwem i pożytecznem, niekiedy może być nawet szkodliwem dla spokoju i całości Kościoła; stąd staje się rzeczą niemożliwą zawsze i bezwarunkowo usuwać od komunii św. osoby żyjące w nałożnictwie«. Spowiednikom więc dano radę, aby niekiedy, według okoliczności, pozwalali tego rodzaju jawnogrzesznikom przystępować do Stołu Pańskiego (*Cerk. Głos* nr. 43, str. 1177). Dotąd tę pobłażliwość podobno usankcjonowano w jednej zapadłej syberyjskiej eparchii, lecz kto zaręczy, że nie rozszerzy się ona i gdzieindziej, że nie znajdzie zastosowania i względem innych »słabości ludzkich«, skoro nie stoją jej na przeszkodzie, ani pewne niezmiennie zasady moralne, ani niema autorytetu, któryby z całą władzą mógł i miał prawo wypowiedzieć swoje: *Non possumus?* Winniby zastanowić się nad tem ci pisarze cerkiewni, którzy katolikom zarzucali laksyzm moralny, chociaż Kościół dla żadnych modnych haseł, ani dla żadnych względów pobocznych nie wchodził w takie konszachty z jawnym występkiem.

Na tle ogólnego zdzieczenia obyczajów jaskrawo występują coraz częstsze w ostatnich czasach rabunki cerkwi i znajdujących się w nich świętości. Bandyci rzucają się przedewszystkiem na »ikony«, które »błagoczeszcie« rosyjskiego ludu pokryło znacznemi kosztownościami. Głośnym był fakt skradzenia słynnego obrazu Matki Boskiej kazańskiej; w roku bieżącym gazety notowały po-

dobne kradzieże w Aleksandro-Gruszewsku nad Donem, w Nowoczerkawsku, Marynpolu i innych miejscowościach. W Marynpolu wartość skradzionej ikony z kosztownościami oceniano na 100 tysięcy rubli. Zarząd cerkwi w Nowoczerkawsku wystosował nawet odezwę do bandytów, aby sobie wszystkie kosztowności zatrzymali, byleby samą ikonę czczoną bardzo przez lud, zwrócić chcieli w sposób dla siebie bezpieczny. (*Cerk. Głos* Nr. 30, str. 824 i nast.). Doszło do tego, jak skarży się *C. G.*, że przy każdej świętości w cerkwi, nawet podczas nabożeństwa, trzeba stawiać stróża, lub zamykać kosztowności w skarbcach.

W trudnem położeniu znalazła się progresywniejsza część duchowieństwa prawosławnego z powodu obecnego politycznego stanu Rosyi. Petersburski metropolita Antoniusz, w okólniku do biskupów imieniem Synodu nawołuje duchowieństwo do łączenia się ściślejszego i pracy »w celu zachowania prawosławnej wiary, wzmocnienia moralności na zasadach miłości chrześcijańskiej i utrzymania ładu państwowego« (*Cerk. Wiestnik* Nr. 36). Reakcyjny związek »prawdziwych Rosyan« (*istinno ruskich ludiej*) wyraził metropolicie swoje niezadowolenie, że w orędiu wzmiankowanem nie wskazał wyraźnie duchowieństwu, jaką partję polityczną ma popierać. Lecz i bez tego duchowieństwo przeważnie w duchu »prawdziwych Rosyan« działa i poniekąd działać musi. Ten bowiem kierunek jak najbardziej odpowiada dotychczasowym tradycjom stanu duchownego w Rosyi, a przytem jest obecnie do brze widzianym u góry. Wiadomo, że duchowni, którzy w Dumie do progresywniejszych partji przystali, zostali zasuspendowani w swych funkcyach kapłańskich przez Synod; a i inni za sympatye ku partjom lewym są również ścigani przez obydwie władze. Natomiast »Związek prawdziwych Rosyan« rozszerza się i promieniuje najbardziej z monasterów prawosławnych, jak Ławra Poczajowska i inne. Samodzierżawie, jako forma rządu, prawosławie, jako panująca religia, żadnej autonomii, żadnego równouprawnienia innych narodowości i wyznań! oto hasła Związku, a z niem i tej wielkiej części duchowieństwa, która doń należy, lub z nim sympatyzuje.

Ale i życie ma swoje prawa. Wbrew najserdeczniejszym

pragnieniom skrajnego konserwatyzmu »prawdziwych Rosyan« ogólne zasady kwietniowego z r. 1905 ukazu tolerancyjnego zaczynają powoli oblekać się w formę konkretnych przepisów prawnych. 17/30 października r. b., a więc w pierwszą rocznicę nadania Rosyi »konstytucyi«, podpisaniem zostało przez cesarza Mikołaja prawo dotyczące »staroobrzędowców« i innych sekt, odłączonych od cerkwi panującej. »Staroobrzędowcy« po 250 latach ucisku doczekali się zupełnego uznania i wolności swojej religii.

Pozwolono im, jak również wszystkim innym sektom (z wyjątkiem tych, których zasady sprzeciwiają się kodeksowi moralnemu lub zagrażają bezpieczeństwu społecznemu), jednoczyć się w związki religijne według zasad swojego wyznania. Wystarcza 50 podpisów do utworzenia gminy, a nawet nowej religii. Związki takie otrzymują obszerną autonomię, a działalność swą rozciągają nie tylko na zaspokojenie potrzeb kultu, lecz mają prawo służyć celom oświaty i dobroczynności publicznej. Przewodników duchownych wybierają sobie same gminy wyznaniowe, przyczem od kandydata wymaga prawo, aby umiał czytać i pisać, ukończył 25 lat życia i posiadał pewne kwalifikacje społeczno-polityczne. Duchownym osobom »staroobrzędowców«, uznających kapłaństwo (popowcy) wolno odtąd używać tytułów i odznak biskupich, kapłańskich i zakonnych; nadto duchowieństwo to zwalnia się od służby wojskowej. Wszystkim uznanym sektom wolno będzie budować świątynie. Sekty, uznające kapłaństwo będą prowadziły akta stanu cywilnego przez swoich duchownych. Zwrócono już »staroobrzędowcom« wszystkie przedmioty kultu, kiedykolwiek im przez rząd skonfiskowane, między którymi jest немало rękopisów starożytnych rzadkiej wartości. Może już wkrótce na głównych ulicach stołecznych miast ujrzymy świątynie »starowierców«, którzy do niedawna ze swym kultem kryć się musieli. Z tego wszystkiego wynika, że odłączone od Cerkwi urzędowej sekty znalazły się w korzystniejszym poniekąd położeniu, niż sama Cerkiew, posiadają bowiem więcej samodzielności i większy zakres działalności, niż wyznanie panujące, sprowadzone do rzędu jednego z kółek maszyny państwowej. Nic dziwnego, że wśród sekciarzy, a zwłaszcza wśród »staroobrzędowców« radość nie do

opisania. Przez długie lata ucisku przyuczeni do solidarności i kar-
ności, zawsze żywo interesując się losami własnego wyznania, za-
brali się obecnie rąco do pracy, odbywają zjazdy, narady, zbierają
fundusze na budowę świątyń, szkół i dobroczynnych zakładów. Głową
najliczniejszej sekty popowców na razie zostaje po da-
wnemu metropolita z Białej Krynicy na Bukowinie. Na godność
tę został świeżo wyniesiony Makary Łobów, do niedawna stojący
na czele gminy popowców w Jassach. Można jednak się spodzie-
wać, że i w samej Rosyi staroobrzędowcy zdobędą się na jakąś
dekorację hierarchiczną, w rodzaju np. patryarchatu. Wobec wol-
ności danej sekciarzom, »prawosławne« czasopisma cerkiewne kon-
serwatywnego kierunku rozwodzą swe żale, przepowiadając Cer-
kwi wielkie straty; liberalniejsze zaś nadrabiają miną, twierdząc, że
teraz właśnie cerkiew ocknie się ze śpiączki i rozwinie swe siły mi-
syjne i nauczycielskie, kiedy rząd ją pozostawił samej sobie w walce
z sekciarstwem. Dla katolicyzmu nowe prawo również nie jest
bez znaczenia, gdyż na podstawie jego możnaby formować nowe
gminy unickie, gdyby się znalazł materiał do ich utworzenia.

Oprócz sekciarzy i odszczepieńców, wiele przykrości spra-
wiają Cerkwi urzędowej kaukascy Gruzini. Po podbiciu Kaukazu
przez Rosyę przed stu laty, Cerkiew narodowa gruzińska straciła
swą samodzielność: poddano ją pod władzę petersburskiego
Synodu, który wysyłał na Kaukaz biskupów rosyjskich w roli
egzarchów, t. j. nadzorców i pełnomocników swoich. Zaprowa-
dzono wszędzie rosyjskie porządki. Obecnie widać sprzykrzyły
się one Gruzinom. Od pewnego czasu pomiędzy duchowieństwem
miejscowem i egzarchatem stosunki niezwykle naprężone i kraj
zamierza domagać się dla swej Cerkwi zupełnej niezależności.
Jak w krajach bałkańskich, tak i na Kaukazie mści się na pra-
wosławiu własna jego zasada. Kościół, nie uznający boskiego
ustanowienia centralnego organu jedności religijnej, skazany jest
na ustawiczne rozłamy i podziały, odpowiednio do granic polity-
cznych i różnic narodowościowych.

Cerkownyj Wiestnik, organ akademii petersburskiej umieścił
w Nr. 35 i nast.: »Głos prawosławnego z litewsko-białoruskiego

kraju». Wołający tym głosem prawosławny duchowny zwraca uwagę swych współwyznawców na niebezpieczeństwa grożące »prawosławiu« ze strony katolicyzmu i podaje sposoby, jak złemu zaradzić. Wyraża obawę, że jeśli przyszedł Sobór cerkiewny w swej pracy reformacyjnej będzie się powodował tylko potrzebami ogólnorosyjskimi, w takim razie nie uchyli niebezpieczeństwa grożącego Białej Rusi. Tu inne potrzeby niż w głębi Rosyi. Propagandy sekciarskiej lub »staroobrzędowców« bać się nie trzeba. »Jedynym wrogiem, a wrogiem niebezpiecznym dla białoruskiego prawosławia jest katolicyzm. Tylko na walkę obronną z tym mocnym a zręcznym nieprzyjacielem winna białoruska cerkiew obrócić wszystkie swe siły i środki« (C. W. str. 1139). Białorusina nie obchodzi wcale zasada »soborowości« ani udział ludu w rządach Kościoła, to wszystko, o czem tyle dzisiaj się rozprawia. Nie lubi on długich rosyjskich nabożeństw, woli natomiast kazanie, śpiew ludowy i inne zwyczaje, jakie miał za czasów unii i jakie dotąd widzi w łacińskim kościele. Nawet chrzest przez zanurzenie nabawia go strachu i wywołuje silne protesty (str. 1136). Pomimo 70 lat prawosławia, Białorusin i dzisiaj nie wiele podobny do prawosławnego w guście wielkorosyjskim. »Wielki akt« połączenia unitów z prawosławną Cerkwią z 1839 »został przygotowany i przeprowadzony właściwie bez żadnego udziału ludu białoruskiego i niższego duchowieństwa« (str. 1137). Nie byłby się jednak spotkał z protestem, gdyby działacze *wozsojedinienia* pozostawili byli ludowi wszystko, co on ukochał. Oni jednak, nie rozumiejąc tego ludu ani swego posłannictwa, nie poprzestawali na »prawosławiu«, lecz chcieli koniecznie »prawosławia wielkorosyjskiego« i poczęli rugować wszystkie chociażby obojętne dla wiary obrzędy i zwyczaje zapożyczone od katolików. To zraziło Białorusinów i odstręczyło ich od Cerkwi. »Do ich zakłopotanych i niemądrych głów, — pisze korespondent C. W. — wkradło się i wzrosło podejrzenie, że ich oszukują, że im jakąś nową wiarę narzucają, inną niż ta, w której żyli i umierali ich ojcowie« (str. 1269). Ten pocziwie szczery ustęp zdradza plan, według którego winni byli, zdaniem korespondenta, postąpić sobie misjonarze prawosławia w r. 1839. Mianowicie winni byli pozostawić

ludowi ukochane przezeń obrzędy i osobliwości liturgiczne, aby lud »zjednoczony przez miłość« (napis na pamiątkowym medalu) z Cerkwią prawosławną myślał nadal i był przekonany, że się nie w jego wierze nie zmieniło. Rozumie się, tem bardziej nie mogli mówić i o różnicy dogmatów z tegoż samego powodu. Słowem, winni byli usunąć z kraju katolicyzm, zachowując lud katolickim! Na obecną dobę daje korespondent radę czynnikom decydującym, aby rozpatrzyć się chciały, czem mianowicie katolicyzm pociąga lud ku sobie i to dały temu ludowi w Cerkwi. Głównie chodzi mu o język białoruski w nabożeństwie. Zaniepokojonych licznymi odstępstwami od prawosławia do katolicyzmu uspokoja korespondent, dowodząc, że nie jest tak źle, jak się na pierwszy rzut oka wydaje. »W ogromnej większości ci, co teraz odpadli, nigdy prawosławnymi nie byli. Nie z własnej woli przestąpili progi cerkwi, lecz wpędzeni tam nahajkami kozackimi po powstaniu 1863 roku. Po 17 kwietnia uczynili to, co czyni każdy więzień, kiedy bramy więzienne przed nim się otworzą« (str. 1269). Wyznanie cenne i zgodne z prawdą. Jak dotąd, właściwych nawróceń z prawosławia do katolicyzmu prawie jeszcze nie było: wyszli z więzienia otwartego więźniowie i to bynajmniej nie wszyscy...

To są kierunki, idee i objawy, poruszające dziś społeczność Cerkwi rosyjskiej.

Ks. J. Urban.



REFLEKSYE.

I.

Rozum nierozumiejący — wiara niewierząca.

Kiedy rozumne, gromowładne czoło
Zgiąłem przed Panem, jak chmurę przed słońcem,
Pan je wzniósł w niebo, jako tęczy koło,
I umalował promieni tysiącem.

I będzie błyszczeć na świadectwo wierze,
Gdy luną klęski z niebieskiego stropu;
I gdy mój naród złąknie się potopu,
Spojrzy na tęczę — i wspomni przymierze.

Nigdy pono stosunek wiary do rozumu nie został określony prawdziwiej i wznioślej aniżeli w tych przedziwnych wierszach Mickiewicza. A co narozprawiano się o nim, co przeróżnych, krańcowo sobie przeciwnych wypowiedziano mniemań, począwszy od surowego: *credo quia absurdum* teologów średniowiecznych aż do osławionej *déesse raison*, którą rewolucya francuska ośmieliła się umieścić na ołtarzu kościelnym!

Podnoszono nieraz niezgładzone rzekomo przeciwieństwo pomiędzy rozumem i wiarą, na co odpowiadano z drugiej strony wykazywaniem zasadniczej pomiędzy nimi zgodności. A owa zgodność jak różnie była pojmowana! Gdy jedni rozum całkowiec wierze poddają, inni zupełne roztopienie wiary w rozumie uznali za jedynie słuszne rozwiązanie wielkiego problemu. Po

jednej stronie filozofia, służebnica teologii — po drugiej nowożytny absoluty filozoficzne, mające zastąpić osobistego Boga, lub też doktryny pozytywistyczne, chcące raz na zawsze zamknąć go przed myślą ludzką w niedostępnej jej dziedzinie »niepoznawalności«.

Nie jest tu oczywiście mojem zadaniem choćby pobieżne dotknięcie tych różnych ustosunkowań wzajemnych rozumu i wiary; chciałbym tylko bez pretensyi do ścisłych określeń zwrócić uwagę na jeden punkt wielkiego zagadnienia, który poeta nasz z taką mocą niezmierną uwypatnił w natchnionych swych wierszach.

»Rozumne, gromowładne« czoło schyla on przed Panem! Czyż nie widnieje tu cały majestat rozumu ludzkiego w najwyższej swej potędze stojącego przed obliczem wiary?... A wspomnijmy dalszą ośnowę przewspaniałej pieśni. Jakże głęboko i wzniosło opiewa w niej poeta swą własną, ludzką wielkość w jej stosunku do nadludzkiej, Bożej wielkości. Pamiętajmy, że mamy tu do czynienia z dumnym, wielkiego lotu wieszczem, co w młodości lat chciał być »rozumny szalem«, a potem na przełomie lat męskich, w szale pychy najpotężniejszymi słowy, jakie kiedykolwiek w poezyi zabrzmiały, Boga w zapasy wyzywał, aż wkońcu uznał się zwyciężonym i w najgórnijem ducha swego wzniesieniu blask swoich natchnień określił jako »słabe Bożych ogniów odbicie«.

Pewną jest rzeczą, że Mickiewicz nie tylko był wielkim poetą, ale także człowiekiem wielkiego rozumu i serca — i ośmielił się powtórzyć tu za Odyńcem — wielkiej świątobliwości. Stopniowe wzniesienie się do tej ostatniej, tak rzadko przez geniusz poetycki osiąganey, było wynikiem olbrzymiego rozwoju duchowego, który szczyt swój osiągnął w godnej podziwu harmonii rozumu i wiary. Szał rozumu i szal pychy zostają przewyżczone w uroczystem oświadczeniu przed Bogiem wierzącego poety:

Panie! Mą pychę duch pokory wzniecił.

To uchylenie rozumnego czoła w pełnem poczuciu jego gromowładztwa jest najwyższem wzniesieniem szarmonizowanych tonów rozumu i wiary.

Krańcowem przeciwieństwem tego harmonijnego nastroju

duszy jest rozstrój obu zasadniczych jej władz, spowodowany przez niedociągnięcie ich tonów powołanych jednak do współbrzmienia w najgórniejszym swem natężeniu.

Mówią nieraz o abdykacyi rozumu wobec wiary. Jakież z gruntu fałszywe wyrażenie! Czy może ktoś zrzekać się panowania w tej dziedzinie, w której nigdy nie panował i panować nie może? Dziedzina władztwa rozumu oznaczona jest przez własną jego naturę. Tam, gdzie on działa normalnie, z naturą swą zgodnie, rozumie i uznaje ograniczoność przyrodzoną swego zakresu. Widzimy różne objawy takich jego działań na całym, niezmierzenie rozległym obszarze życia umysłowego, poczynwszy od rozważnego postępu człowieka, przeciętnie rozsądnego, aż do wysiłonej abstrakcyi kantowskiej krytyki czystego rozumu. Czemże jest ta krytyka jeśli nie dążnością do ustalenia przyrodzonych granic rozumu w najwyższym i najszerszym jego działaniu?

A co poza obrębem tych granic? Jaka siła duszy władać tam może? Wiadomo, że Kant umieścił tam rozum praktyczny w jego dążeniu do najwyższych ideałów moralnych ludzkości. Czyż tej dziedziny, nie należy wziąć w odmiennem rozumieniu? Czyż dla ducha nie tylko rozumiejącego, lecz i wierzącego nie jest to nadprzyrodzona dziedzina wiary objawionej w jej dążeniu do moralnych i religijnych zarazem ideałów ludzkości? Rozum w tej dziedzinie działać może, może nadawać ujawniającym się tu ideom odpowiedni kierunek logiczny, ale skoro tylko samodzielnie władać tu zechce, nieuchronnie wpadać musi w zboczenia. Prawowite władztwo należy tu nie do rozumu, ale do wiary.

Wszelako jest ono istotnie prawowite o tyle tylko, o ile wiara naprawdę jest wierząca. Czy może ona być inną? Wiemy, że bywa słabą; t. j. mało wierną, ale gdyby zupełnie nie wierzyła, jakże byłaby wiara?

Podobne pytania bardzo liczne nastroczają się w naszym życiu duchowym. Co chwila napotykamy w niem objawy, które same sobie zdają się zaprzeczać. Sprzeczniostwo wewnętrzne wydać się może czasem najistotniejszym jego prawem. Jak rozum nie rozumie często przyrodzonej ograniczoności swego zakresu,

tak zdarza się, że wiara nie wierzy w nadprzyrodzoną nieograniczoność swych bezkresów. Te bezkresy obejmują zewsząd nizki, przyziemny krąg naszego życia, podobnie jak przestwór kosmiczny roztacza się dokoła naszego widnokregu. Nie widzimy ich, jak nie widzimy bezmiaru wszechświata, ale wierzymy w nie i wiemy, że w nich, ku jakimś nieznanym, niepojętym celom unosi się doczesna sfera naszego bytu. Wiara skrzydli naszą duszę do lotu w owe wiekuiste bezkresy; ale skrzydła jej często, aż nadto często słabną, opadają, bywa, że i na zawsze martwieją. Wtedy doczesność staje się nieprzepartą naszych lotów zaporą. Uwięziona w jej obrębie wiara z martwemi skrzydłami przestaje być ptakiem niebieskim — poziomem, przyziemnem staje się jestestwem.

Taką bywa ona w duszach ludzi, których religia jest stemplem bezdusznych formułek i rutynicznych praktyk, obracających się jednostajnie na osi odwiecznych przyzwyczajzeń jak modlitewny młynek bigotów buddyjskich. Nazwałem ją wiarą niewierzącą, bo czyż nie jest ona zaprzeczeniem własnej swej istoty, stworzonej do górnych nadziemnych lotów, nie do obrotów młynkowych na niskich poziomach?

Taka młynkująca wiara owym niskim poziomom życiowym oddaje znaczne usługi: reguluje wewnętrzny ruch duszy, nie dopuszcza nagłych w nim porywów i gwałtownych wstrząśnień, ale wpływ jej dobroczynny nie sięga poza ściśle określone granice danej sfery religijno-moralnej. Ludzie, których życie duchowe w obrębie jednej z tych sfer upływa, osiągają w niej nieraz doskonałość wyborowego mechanizmu; — ale mówcie im o szerokich i górnych przestworach dążeń duchowych, o bezkresnych dziedzinach udoskonalenia w duchu ideału chrześcijańskiego, — mówcie im o nich jako o czemś prawdziwem, rzeczywistem lub mającem się urzeczywistniać w życiu jednostek ludzkich i całego człowieczeństwa, — okaże się, że wszystko to dla nich puste słowa. Nie w duchu, który ożywia, lecz w literze, która zabija, pojmują oni prawdę nauki chrześcijańskiej. Żywe słowo Ewangelii staje się dla nich martwą formułą, którą uznają na kartach świętej księgi, w ustach kapłana nauczającego w kościele, ale poza tekstem

ewangelicznym, poza obrębem murów kościelnych dla życia i dla realnych jego zadań wydaje się im czemś zupełnie niepotrzebnem.

A jednak i taka wiara, niewierząca sama w siebie, we własną swą istotę, żąda niekiedy, aby się przed nią chyliły wszystkie rozumne, gromowładne czoła!... Toż taka wiara jest brakiem pełnej wiary. Przed brakiem wiary zaś ugiąć się, tożby była prawdziwa abdykacja rozumu, abdykacja ze słusznych praw, jakie mu niewątpliwie przynależą w całym obrębie doczesnego naszego bytu. Skoro tedy w obrębie tym jedynie działająca wiara martwych formułek i młynków modlitewnych rozumowi chce rozkazywać — czyż prawie nie wyzywa go ona, by odmówił jej posłuszeństwa? Wszakże ona zamierającą kaleką a on w czerstwości swych sił — więc wyzywa się, aby wskazywać ludziom drogi i cele poza obrębem ciasnych jej kręgów? Ale dlaczego ten rozum tak często wieść ich pragnie i w te dziedziny, gdzie nic nie widzi, gdzie niczego osiągnąć nie może: — w nadprzyrodzone dziedziny szczerych, prawdziwych objawień i natchnień wiary? — dlaczego nie rozumie przyrodzonej swej ograniczoności, która mu w tym kierunku wszelkie drogi zamyka?...

Sądzę, że istotną przyczyną tych nadmiernych rozszerzeń się nierozumiejącego rozumu i zacieśnień niewierzącej wiary jest oderwanie czy odosobnienie ich od życia, od szczerego, pełnego życia duszy. Wiara odosabnia się od niego w martwych formułkach, rozum w bezdusznej abstrakcyi i tracą wtedy zarówno swą siłę żywotną, popadają w sprzeczność ze swą istotą wewnętrzną, która iść się może tylko w jak najdoskonalszej pełni szczeroludzkiego bytu. -

Taką pełnię widzimy w życiu ludzi jaśniejących mądrością, geniuszem lub świętobliwością — w ich życiu duchowem widzieć też możemy niekiedy doskonałą harmonię rozumu i wiary. Wymowny jej przykład wskazałem tu na wstępie u Mickiewicza, w tym momencie jego rozwoju duchowego, który, jako wynik długoletnich walk wewnętrznych, tak przedziwnie harmonijnym zabrzmiał nastrojem w natchnionej liryce religijnej naszego poety. Ogniów Bożych odbiciem zajaśniało tu na świadectwo wierze rozumu, gromowładne jego czoło, a ta, z całej pełni jego ludzkiego

jestestwa czerpiąc swe siły, wzniosła się następnie do najwyższych sfer życia religijnego. Nieuniknęła w nich błędzeń i zбочeń, ale kto ich unikał z tych, co przed ludzkością niosą gorzącą pochodnię ducha?

Zapewne, nie błędzą ci, co tkwią w miejscu, a młynkują w zaklętem kole martwych formulek, ale smutna zaiste byłaby dola człowieczeństwa, gdyby mu nie stało tych, co naprzód dążą w pełni życia swej wierzącej i rozumiejącej duszy.

II.

Świat bez duszy.

Więc żadnych niema duchów? — Świat ten jest bez duszy?
 Żyje, lecz żyje, jak kościotrup nagi,
 Który lekarz tajemną sprężyną poruszy?
 Albo jest to coś nakształt wielkiego zegaru,
 Który obiega popędem ciężaru:
 Tylko nie wiecie, kto zawiesił wagi?...

Temi ironicznemi słowy odpowiada Gustaw mickiewiczowski na arcycrozumne uwagi księdza o zabobonach, tkwiących w prastarym obrzędzie ludowym Dziadów. Słyszemy tu jeden z wariantów zasadniczego motywu, który ciągnie się wzdłuż całej poezji i całego życia naszego wieszczą, poczynawszy od słynnego wykrzyknika:

Czucie i wiara silniej mówią do mnie,
 Niż mędrca szkiełko i oko!...

aż do wzniosłych prawd — i aż do błędów towianizmu.

Jest to przewodni motyw pobudki bojowej, wzywającej do walki przeciw światu bez duszy. Nie pierwszy Mickiewicz wypowiedział mu wojnę. Od wieków toczy się ona w duchowem życiu ludzkości; u nas nikt śmielej jej nie podjął i wytrwalej nie prowadził od twórcy »Dziadów«. A wojna to trudna zaiste. Świat bez duszy olbrzymią jest potęgą, szeroko rozpostartą od wschodu do zachodu słońca. Napotkać go można we wszelkich dziedzinach naszego bytu: w teorii i w praktyce, w ideach, uczu-

ciach i czynach ludzkich, w głębokomyślnych naukach mędrców i w bezmyślnych przesadach głupców, w zasadach i formułach wiary religijnej i w doktrynach wrogiego jej krytycznego rozumu. Jednem słowem jak daleko sięgają czyny i myśli ludzkie, tak daleko rozpościera się świat bez duszy.

Oczywiście nie wszystkie czyny i myśli ludzkie. Są takie między nimi, które należą do najpotężniejszych przejawów duszy świata, ale są i takie, co wszelką duszę zamieniają na bezduszny mechanizm, wszelką swobodną, żywą jej siłę ujmują w systemat martwych kół i sprężyn.

Wytlumaczyć się muszę przedewszystkiem z tego, co rozumiem przez duszę świata. Owóż daleki jestem od przypisywania jej jakiegokolwiek panteistycznego charakteru. Biorę to wyrażenie w znaczeniu, jakie niewątpliwie nadał mu Mickiewicz w przytoczonym ustępie »Dziadów«, jakie mu nadaje Biblia w 1-szym rozdziale Księgi Rodzaju i oznaczam przez nie po prostu wszelki samorzutny bezpośredni objaw życia odniesionego do ostatecznych twórczych jego źródeł.

»Rzekł Bóg: niech zrodzi ziemia duszę żywiącą według rodzaju swego« (Gen. 1, 24). Jakaś ludzka, aż nadto ludzka Biblia nowożytna mogłaby w ten sposób np. uzupełnić słowa świętej Księgi Stworzenia: »A człowiek z myśli swej i z tworów ziemi wywiódł maszyny przeróżne, którymi umyślił zastąpić wszelką żywiącą duszę świata«. Oczywiście zło tkwi nie w maszynie, użytecznem narzędziu pracy ludzkiej, lecz w dążności do rozszerzenia maszynowego, mechanicznego elementu na zbyt rozległy obszar życia, na te jego dziedziny, w których on nie powinienby mieć do czynienia.

Ot po prostu ludziom często nie chce się żyć, choć pragną istnieć jak najdłużej. Życie jest trudem, życie jest walką, bojowaniem nieustannem. Tak zawile bywają jego sprawy, tak burzliwe jego potoki wiosenne. Czyż nie bezpieczniej ująć je w system sztucznych tam i kanałów, zmechanizować systematycznie wszelki ruch życiowy?

Ostatniemi czasy wynaleziono nowy rodzaj gimnastyki lecz-

niczej, przy której chory nie potrzebuje wcale poruszać się samodzielnie; poddaje się tylko biernie działaniu maszyn, wprawiających w ruch członki jego ciała. Podobno gimnastyka taka ma być bardzo przyjemna: daje wrażenie ruchu, bez towarzyszących mu przykrych uczuć wysiłku i utrudzenia. Ale nie nowego pod słońcem; wszystko już bywało. W powszedniej praktyce życia podobny system gimnastyczny od wieków na wielką skalę był i jest stosowany do czynności ludzkich. Rolę maszyn poruszających odgrywają w nim rozliczne zmartwiałe w bezdusznej rutynie obowiązki stanu i zawodu, ugrzęzłe w codziennej powszedniości przyzwyczajenia i nawyknięcia, przyswojone przez naśladownictwo niewolnicze zasady i pojęcia. Dosyć poddać się biernie tym rozlicznym działaniom i oddziaływaniom, przystosować do nich cały swój tryb życia, aby istnieć bez trudu i wysiłku, działać bez potrzeby ciągłego zwalczania przeróżnych oporów świata zewnętrznego, które już przez samo urządzenie mechanizmu życiowego w znacznej części usuwane bywają.

Oczywiście całkowite ich usunięcie dotąd skutecznione nie zostało; bardzo nawet do niego daleko. Jest to ideał świata bez duszy, świata - maszyny, ideał, ku któremu w obecnej dobie swego rozwoju kulturalnego dąży on z wytrwałą żarliwością, godną lepszej sprawy. Teraz w ustroju maszyny światowej tak dużo jeszcze braków i niedokładności! To też ci, co w niej i przez nią jedynie istnieją, poruszają się i działają, nie mogą być niestety uwolnieni od wszelkiego samodzielnego ruchu życiowego, od wszelkich związanych z nim nieodzownie trudów i wysiłków, cierpień i zawodów; chcą czy nie chcą muszą żyć i w niektórych przynajmniej chwilach doznawać całej mocy wrzących we własnym ich jestestwie i w świecie otaczającym potęg życiowych, przez mechanizm kulturalny dotąd nieujarzmionych.

Jednem słowem, świat bez duszy, choć od wieków tak szeroko rozpościera się w dziedzinach bytu ludzkości, dotąd zupełnie ovladnąć nim nie zdołał i niezdolał się obronić zalewającym go od czasu do czasu częściowo lub nieomal całkowicie burzliwym falam duszy żywiącej. Czy kiedykolwiek osiągnie swój ideał

wszechogarniającego mechanizmu? Nie brakło marzycieli, którzy o tem ideale piękne sny roili, filozofów, którzy wskazywali doń drogi, z myśli swej wysnute, działaczy praktycznych, którzy na tych drogach podejmowali się być przewodnikami ludzkości.

Wspomnijmy *l'homme-machine* i *système de la nature* racjonalizmu ośmnastowiecznego. W podobnych pomysłach i odpowiadających im dążeniach widzimy najdonioślejsze, najbardziej krańcowe zakusy teoretyczne zmechanizowania świata ludzkiego, usunięcia zeń czy też tłumienia w nim duszy żywiącej i czującej. Były one w wieku XVIII-tym naturalnym objawem bytu społecznego i umysłowego, skupiającego się całkowicie w obrębie klas uprzywilejowanych, które same nawykłe żyć bez trudu i wysiłku, poruszane łagodnie, niby przez ową gimnastykę mechaniczną, przez różne urządzenia otaczającego je ustroju kulturalnego, w swej optymistycznej naiwności i żarliwości humanitarnej ten wygodny byt na świat cały chciały rozszerzyć, jako najwyższy ideał doskonałości i szczęścia.

Jakżeż srogi zawód spotkał te dążenia! Człowiek-maszyna w rzeczywistości okazał się człowiekiem-zwierzęciem, który z rykiem wściekłości wyrwał się z rąk chcących nim powodować mechaników-doktrynerów, aby burzyć wszystkie ich dzieła. System natury okazał się naturalnem przeciwieństwem wszelkiego racjonalnego systemu, do bezrozumnego wiodącym chaosu. Przekonano się, po raz nie wiem który w dziejach ludzkości, że świat bez duszy w swym ideale doskonałym, sam przez się i dla siebie niezdolny jest do istnienia, że jeśli wogóle świat ludzki istnieć i rozwijać się może, to nie p o m i m o, lecz z p o w o d u owej szczupłej liczby dusz wybranych, które poza obrębem wszelkich bezdusznych jego mechanizmów żyją i życie dokoła siebie rozsiewają.

Wziąłem tu przykład jeden z wielu, w którym szczególnie dobitnie w świecie bezduszny wydają się brak zasadniczego czynnika, warunkującego pełne życie duszy: mianowicie czynnika religijnego. »Oświecony« racjonalizm XVIII wieku nie o nim wiedzieć nie chciał; bijące zeń światło życia nadprzyrodzonego usiłował zastąpić przez przyrodzone światło martwych abstrakcyi

rozumowych. Ale zadania tego spełnić nie zdołał. Czynniki religijny odzyskał swoje znaczenie w duchowym rozwoju ludzkości europejskiej. Wogóle odzyskiwał je zawsze jako zasadniczy czynnik życia dusz ludzkich, ilekroć czasowo usunięty z nich został przez jakieś wrogie antyreligijne prądy kulturalne.

Dlaczego jednak mógł być usunięty? — dlaczego i dzisiaj tak często usuwany bywa? Jakim sposobem to, czem dusza żyje, może być jej odjęte?

Oto dlatego, iż ten pierwiastek życia, często, aż nadto często, niestety sam zdaje się zamierać, a przynajmniej na czas jakiś zdaje się tracić swą siłę żywotną. Świat bez duszy, świat martwej bezwładności bytu powszedniego, usiłuje ogarnąć go swym wpływem, wciągnąć go do swego ustroju mechanicznego, uczynić go jedną ze sprężyn wielkiej maszyny, poruszającej biernie, zmartwiałe w swej bezdusznosci masy ludzkie, którym nie chce się żyć prawdziwą pełnią życia, a chce się tylko istnieć, jakkolwiek i jednostajnie bez wysiłku poruszać się w ciasnem kole swego istnienia.

Na szczęście pierwiastek religijny nie przestaje nigdy rozwijać się w duszach wyborowych całą pełnią żywotwórczej swej siły. Są dusze, w których owa siła jego najwyższe osiąga natężenie i wywiera pobudzające działanie na rozległe przestwory bytu społecznego poprzez długie okresy czasu. Sądzę, że w epoce najnowszej plemię słowiańskie najwięcej takich dusz wydało, a żadna z nich nie przewyżczyła Mickiewicza doskonałą pełnią i energią szczerego życia religijnego. Czyżby to miał być tylko przypadkowy, uboczny wynik naszego rozwoju duchowego? — Czyż nasz wieszcz narodowy nie jest przyrodzonym przewodnikiem zbiorowych naszych w tym rozwoju dążeń? — Sam on chciał błyszczeć przed narodem jako »tęcza przymierza na świadectwo wierze«. Chciał, aby naród »gdy luną kłęski z niebieskiego stropu, spojrział na tęczę i wspomniał przymierze«.

Kto wie, czy obecnie nie zbliża się groźna epoka całego popopu kłęsk. Świat bez duszy, świat bezdusznego używania naszej kultury współczesnej gotuje sobie może jakąś katastrofę wielką, po-

dobną do tych, które nieraz następowały po epokach zupełnego wyczerpania siły duchowej w społeczeństwie. Czyż obecnie nie słuszna spoglądać nam na tęczę przymierza, na świadectwo wiary jaśniejącą? — Czy nie należy nam zaczerpnąć ożywczej siły i ducha religijnego z tych pokładów naszego plemiennego jestestwa, z których zaczerpnął ją natchniony twórca »Dziadów«?

Walery Gostomski.



PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Mozart (w 150 rocznicę śmierci). Napisał *Zdzisław Jachimecki*. Kraków 1906. Nakładem administracji *Przeglądu Polskiego*. 8-ka, str. 178.

Stanowisko, które autor tej rozprawy zajął wobec twórcy *Ave rerum*, jest odmienne aniżeli to, które spotyka się w dziełach historyków muzyki lub u monografów tego mistrza. Jest ono subiektywne, a raczej »anachroniczne« — że tak powiem. Autor nie zastanawia się nad stanowiskiem Mozarta w dziejach muzyki, lecz stara się w drodze rozumowań estetycznych podzielić dzieła Mozarta na te, które po dziś dzień zachowały swą świeżość i pełny urok dzieł »nieśmiertelnych« i na te, które mają tylko historyczne znaczenie i które szanuje się li tylko dlatego, że twórcą ich jest Mozart. Autor nie należy do tych entuzyastów (*Mozartheuchelei*!!), którzy w roku jubileuszów i uroczystości dają się porwać mniej lub więcej szczerym entuzjazmem i z bezkrytycznym zapalem unoszą się nad wszystkim, co Mozart stworzył. Jest to więc poniekąd rewizya poglądów istniejących. Nie wiem czy ta metoda, wymagająca zarówno wiele dobrego smaku i doświadczenia, jak i absolutnej bezstronności, nie jest przypadkiem dość niebezpieczną ze względu na to, że sztuka Mozarta jest sztuką epoki przed-zaprzęskiej (Mozart — Beethoven — Chopin i Schumann — Berlioz i Wagner). Pomyślmy bowiem, że nawet wielcy twórcy nowsi wypowiadali o swych muzycznych przodkach zdania co najmniej dające wiele do myślenia. Pomnijmy zdanie Czajkowskiego (któremu nikt chyba nie odmówi błysków genialności) o Bachu i Händlu, nie ustępujące w swej płytkości sądowi dyletanckiego profana, a zrozumiemy, jaką ma wartość sąd sub-

jektywny muzyka współczesnego o muzyku dawnym. Ale Jachimecki nie sądzi na ślepo i dalekim jest od sensacji, jaką niedawno zrobił najbardziej politowania godny niemiecki recenzent-dyletant, Paweł Zschorlich, autor ohydnej broszury p. t. *Moxartheuchelei*. Każdy swój sąd uzasadnia na podstawie estetycznych wywodów, historycznych wiadomości lub przez rewizję całej niemal ważniejszej literatury Mozartowskiej, w czym mu wiele pomaga barwny i przekonujący sposób pisania. Autor chce być bezwzględnie szczerym i szczerze bezwzględny wbrew »zasadzie« historyków, skryształowanej w osławionem powiedzeniu Nietzschego: *Auch der Mutigste von uns hat nur selten den Mut zu dem, was er eigentlich weiss...* Jeżeli byśmy zatem położyli na książce Jachimeckiego skalpel historyczno-naukowy, to zapewne nasza krytyka nie mogłaby wypaść zawsze na korzyść autora, a to ze względu na współczesny pietystyczno-autorytatywny charakter umiejętności muzycznych wraz z ich muzealno - archeologicznym szematem i metodą zapożyczoną z pewnej kategorii wiedzy, która już nieraz przyczyniła się do podniesienia duchów *minorum gentium* na piedestał mistrzów. Zarówno jednakże kruchą okazuje się metoda subiektywnego (»estetycznego«) sądu o dziełach z epok minionych, jak i usiłowania ujęcia współczesnych zjawisk muzycznych w formę naukową, o ile się nie chce popełnić niewinnych zresztą błędów, bo wynikających z subiektywnego, apriorystycznego stanowiska *pro* lub *contra*. Wydając sąd subiektywny (»szczerzy«) o jakimś twórcy dawniejszym i rozdzielając jego dzieła na tylko o historycznej wartości i na dzieła mające niezmienną wartość artystyczną, biorę co prawda odpowiedzialność na siebie przed teraźniejszością lecz zarazem muszę być przygotowanym, że co najmniej połowa dzieł uznanych przezemnie żyjącego w wieku XX będzie uznana w wieku następnym już za historycznie wartościową, a tem samem wykaże się, o ile w swym sądzie subiektywnym jeszcze pozostawałem pod wpływem epoki dawniejszej, w tym wypadku — epoki Mozarta. Nie mówię tu kombinując, lecz z praktyki, na podstawie zajmowania się literaturą muzyczną XVIII wieku. Pisarze muzyczni (Mattheson, Marpurg, Scheibe i t. d.) też uznawali część dzieł z epok poprzednich za zupełnie i za warunkowo doskonałe i trwałe. Dziś »dzieła warunkowo trwałe« zostały zmiecione falą rozwoju i udoskonalenia się smaku artystycznego. Jak więc widzimy — krok śmiały, nawet ryzykowny, a w każdym razie bardzo odpowiedzialny choćby przed sobą samym. Nie można zapomnieć, że Jachimecki jest także kompozytorem pieśni, którym mogą sobie recenzenci piszący również

pieśni odmawiać wszystkiego, czego chcą, ale wytworności, smaku i rzetelnej kultury artystycznej nikt mu odmówić nie może. Są one niejako rękojmią, że sądy Jachimeckiego o Mozarcie będą w każdym razie sądami estety nie znoszącego banalności. A teraz przystąpmy do krytyki!

Pierwszy rozdział zajmuje się skreśleniem życiorysu mistrza. Cenić należy, że autor wyjął najważniejsze momenty z życia Mozarta, opuścił anegdotki, wtrącił epizody, charakteryzujące epokę i jej stosunek do muzycznych zwyczajów, jej kulturę muzyczną, jej tyranizującą twórców swem bezgranicznem filisterstwem płytkość (*der galante Stil*), a wkońcu rzucenie światła na społeczne warunki i stanowisko muzyka w XVIII wieku. Bardzo obszernie omawia Jachimecki stosunek Mozarta do swego ojca, Leopolda, tak charakterystyczny dla Mozarta jako człowieka i twórcy. Zdaje mi się jednakże, iż ta epoka, w której Mozart zostawał pod »rządami« swego papy, jest nieco za obszernie opisaną, w przeciwieństwie do lat późniejszych. Również należałoby może szczegółowiej zastanowić się nad peryodem salzburskim, gdy M. zostawał w służbie (inaczej trudno powiedzieć!) hrabiego Colloredo, gdy był członkiem jego kapeli, w której wówczas był czynnym także Michał Haydn, brat Józefa. Salzburg był poniekąd grobem twórczości Mozarta, którego twórczość byłaby bardziej zmęźniała, gdyby się była rozwijała w takim centrum, w jakim żył Beethoven. Zauważył to już Schumann pisząc pamiętne słowa: *Schliesst Beethoven zehn Jahre in ein Krähwinkel und seht zu, ob Er darin eine D-moll-Symphonie fertiggebracht*. Tu można było dać ekspozycję tej tragedii, która ciągnęła się przez życie pozornie wesołego i pogodnego Mozarta. Niezawodnie słusznem jest spostrzeżenie Jachimeckiego, że »dla Mozarta stałby się pobyt w Anglii tak zbawiennym, jakim był dla Haydna« (str 29), albo jeszcze więcej Händla, ale gdyby Mozart był wcześniej opuścił Salzburg i udał się nie tyle do Wiednia, gdzie — jak prof. Fleischer w swym »Mozarcie« (Berlin 1900, str. 119) mówi — panowały *laxe Auffassung, starke Sinnlichkeit und frivole Weltanschauung*, lecz do innego miasta. Mozart bowiem nie był tym bajecznym ignorantem Beethovenem ani Bachem, umiejącym skupić się i w jakichkolwiek warunkach tworzyć, stosując się do tych środków, którymi rozporządzał bądź jako organista, bądź jako koncertmistrz, bądź też jako kantor, a nawet jako nauczyciel gry na cymbale. Ta szarpanina z losem, która czy wcześniej czy później byłaby Mozarta wtrąciła w rozpicie się, jak to było u Schuberta, była już dalszym ciągiem

tragedyi. Zyskałaby może biografia (I rozdział), gdyby autor był nieco więcej rozwinął ten rozłam między Mozartem stosującym się do potrzeb swego czasu, a Mozartem cierpiącym ból niemożności tworzenia dla siebie. Poza tem spotykamy w tej części książki Jachimeckiego wszystko, co jest koniecznem. Opuścił tylko Jachimecki pobyt Mozarta w Londynie (1764). A nie był to epizod bez znaczenia, gdyż tam wszedł Mozart w bardzo bliskie stosunki z Janem Chrystyanem Bachem (»Medyolańczyk« czyli »B. angielski«). Ostatni zeszyt *Jahrbuch der Musikbibliothek Peters* (Lipsk 1906, za rok 1905) zawiera rozprawę prof. H. Kretzschmara p. t. *Mozart in der Geschichte der Oper*, w której słynny ten muzyk rozważa bardzo gruntownie wpływ J. Chr. Bacha na Mozarta. Przez niego Bach zapoznał się wcześniej z metodą pisania oper, następnie poznał technikę polifonii wokalne i znaczenie klarнету, lecz niestety i upodobanie w najlżejszym stylu¹ ówczesnego symfonizmu nie pochodzącego w prostej linii z Mannheimu, i upodobanie w koloraturach, które wzmogło się przez stosunki z sopranistą Manzolinim i tenorzystą Raaffem. Zmodyfikowałbym także przypuszczenie, że Mozart zyskałby na przeniesieniu się do Londynu. W Londynie bowiem zmieniły się na dobre stosunki te, które tam panowały za czasów Händla i Haydna. Wystarczy spojrzeć na programy ówczesnych *Bach-Abel-Concerts* i *Professional Concerts*, aby się przekonać, że utwory Jana Chrystyana Bacha, Dittersdorfa, Pleyela, Rossettiego i Włochów nie wpłynęły na Mozarta tak umacniająco jak Purcell na Händla. Londyn był wówczas międzynarodowym jarmarkiem muzycznym, podobnie jak Paryż i Wiedeń. Zresztą ta uwaga moja nie jest negatywną, jest tylko jednym więcej argumentem, że Mozart liczył się z gustami i upodobaniami epoki. W drugim rozdziale zastanawia się autor nad operami Mozarta (»Wesele figara«, »Uprowadzenie z seraju«, »Cosi fan tutte«, »Flet zaczarowany« i »Don Giovanni«) i wykazuje z wielką trafnością sądu słabe strony tekstów i ich ogólną wartość oraz stosunek Mozartowskiej muzyki do libret, jego pojmowania muzyki dramatycznej. Osobiście godzę się z autorem na wszystkie jego twierdzenia. Znowu jednak zastrzegam sobie kilka punktów do dyskusyi.

Przedewszystkiem nie mogę zgodzić się na to, że Mozart »u Glucka nauczył się ekspresyi dramatycznej« (str. 37). Czem bowiem dokumen-

¹ Już Filip Emanuel Bach, syn Jana Sebastjana i nauczyciel Jana Chrystyana był »lekkim«.

tuje się Gluckizm u Mozarta, mimo twierdzenia Schumannna, że *Mozart steht auf seinen Schultern sichtbar?* Recytatywy Glucka są wybornie deklamowane, u Mozarta mniej, lepiej już nawet u Hassego; Gluck daje charaktery, Mozarta na to nie stać w odpowiedniej mierze do geniuszu; chóry, które zresztą nie są istotą reformy Glucka, poznał Mozart w takich przykładach, jak Jomelli, Fux, Chr. Bach, Traetta, Händel — ale też tylko chóry Glucka interesowały Mozarta, a nie jego reforma, której znaczenia niestety nie pojął, dlatego mamy u Mozarta takie i tyle rozdźwięków między tekstami a muzyką, co już Jachimecki z całą godną uznania skrupulatnością zaznaczył i zanalizował. I dlatego o ile mniej zgodzę się na kąt patrzenia Jach. na tę sprawę, t. j. wagnerowski dramat muzyczny (str. 40), o tyle bezceremonialne wytknięcie błędów, tak często rażących u Mozarta, uważam za bezwzględnie słuszne, a to właśnie ze względu na reformy Glucka. Następnie śmiem wątpić, czy »utarło się zdanie, że Mozart nie jest mistrzem młodzieży, nie w znaczeniu, żeby jego sonat nie mogły grać dzieci niżej dziesięciu lat — ale, że duch młodości nie lgnie do jego muzyki« (str. 43). Zdaje mi się, że jeśli który kompozytor, to Mozart jest najodpowiedniejszym. Pozwolę sobie przytoczyć zdanie Schumannna: *Gebt Beethoven den Jüngern nicht zu früh in die Hände, trinkt und stärkt sie mit dem frischen, lebensreichen Mozart!* Pedagogicznie rzecz biorąc, M. bardzo wyrównuje grę i nawet w tym razie, gdybym był sędzią najlepiej grających kwartetów i miał osądzić, który z nich najlepiej gra, wybrałbym jeden z kwartetów Mozarta jako konkurs. Również nie mogę się zgodzić na to, aby muzyka XVII wieku była pod wieloma względami sztuką stosowaną, ponieważ kompozycje były pisane na zamówienie (str. 46). Prawda, że $\frac{4}{5}$ dzieł było okolicznościowych i zamówionych, ale i pomiędzy temi znajduje się msza h-moll Bacha (1733), kantaty i brandenburskie komosty (1721) tegoż mistrza, nie mówiąc o utworach Händla i innych. Tylko że Mozart miał tylko kilka chwil w życiu na skupienie się; musiał pisać na zamówienie nie mając posady, tak samo jak Bach, nie mając włoskiego patentu był prowincjonalnym organistą, gdy tymczasem włoskie szarlatany, primadonny i kastraci zajmowali najwyższe urzędy. Dlatego Jachimecki czyni słuszne spostrzeżenie, gdy pisze, że my obecni »rozwijamy się znacznie szybciej niż przodkowie z przed 150 lat«, jakkolwiek tylko o małej garstce kompozytorów dzisiejszych można powiedzieć, że nie ulega zachciankom epoki. I dziś powstają opery na zamówienie tylko nie dyrektor trupy (str. 49), lecz nakładca muzyczny jest za-

mawiającym. Co niegdyś znaczyło stagione, z nowościami, to dziś znaczy senzacja («Schlager») czy w postaci operetki, czy nawet symfonii, choćby ofiarą paść miał nawet wielki talent, ponieważ posiada »markę«. Przyznaję Jachimeckiemu, że temat fugi z »Zaczarowanego fletu« jest identyczny z tematem sonaty b-dur Clementiego (str. 71) z *Gradus ad parnassum* (adagio) i że Cl. przypijając do Mozarta napisał słowa Vergilego: *Tulit alter honores*, ale obydwa tematy są podobne do utworu z kantaty niejakiego Collo, która równocześnie się ukazała, ale w takim razie należałoby temat z »Eroiki« Beethovena (es-dur) uważać za plagiat z pastorałki (g-dur) *Singspielu Bastien und Bastienne*, przeciw czemu słusznie protestuje autor na str. 11. Nie mogę następnie zgodzić się z autorem, że »odmienne uczucia« Don Juana i Zerliny »pragnął M. zaznaczyć tylko różnicą w wyrazie śpiewu«, ale wyrazem orkiestry nie przyszedł w pomoc sytuacji (str. 90). Przeciwnie, M. mógł wszystkiego nie zrobić, ale właśnie orkiestra była dla niego »pewniejszym fundamentem«, o czym już wspomniał Mottl w słynnej salzburskiej mowie, a w niedawno wydanym opracowaniu instrumentaty Berlicza, pisze R. Strauss (str. 209): *Den Charakter xärtlicher Schüchternheit, der dem Fagot in der oberen und mittleren Lage im piano so eigen ist, hat Mozart wundervoll zum Ausdruck gebracht im Duett »Reich mir die Hand, mein Leben« (Don Juan) bei Zerlinens Worten »Nein, ich kanns nicht wagen«*. Wogóle Strauss jest dla Mozarta z najwyższą czią. I znowu zaznaczam, że poruszane przeze mnie szczegóły nie zmieniają wartości tego rozdziału, w zasadzie zgadzam się osobiście ze wszystkim, co Jachimecki pisze w tej partyi. A ostatni szczegół tem mniejszem jest przeoczeniem, że autor przyznaje (str. 91), że »Mozart doskonale umiał dostrajać ton orkiestry do tła dramatu«.

»Tytus« i »Idomeneo« są treścią trzeciego rozdziału. Słabe strony Mozarta są jeszcze gwałtowniej udowodnione, przyczem znowu przyznać trzeba Jachimeckiemu słuszność sądów, popartych zresztą cytataми z pism takich muzyków lub pisarzy muzycznych jak Schaul, R. Wagner, Brahms, Hanslick, Ulibiszew, nawet Pfohl. Coprawda wolałbym, aby dokładne zbadanie stosunku tekstu (dramatu) do muzyki, w operach Mozarta był przedmiotem jednego rozdziału, a estetyczne wywody były objęte również osobnym rozdziałem, ale wzajemne ustępstwa są już przez to samo urozmaicające tok książki. Oczywiście w estetyczne wywody autora nie mogę wchodzić choćby z racji poszanowania osobistych przekonań. To jednakże co J. w tym przedmiocie na-

pisał, zdradza polot ducha i dłuższe zastanawianie się nad istotą muzyki, a przede wszystkim szczerść przekonań. Zdaje mi się, że »Tytus« za wiele zabrał miejsca, gdyż ta opera jest rzeczywiście nad wyraz słaba: nawet Schumann woli milczeć, niż pisać o niej. Jachimecki pisząc, że »Mozart był tak samo mało Niemcem, jak Weber Włochem« (str. 108) powinien był pozytywnie wykazać w czym leży włoskość Mozarta, a przynajmniej — co ważniejsze — jaki wpływ wywarła na niego szkoła neapolitańska. To ostatnie jest co prawda bardzo trudne, gdyż dotychczas jeszcze nie ukazała się praca Sandbergera i Kretzschmara o operze włoskiej, począwszy od szkoły weneckiej do czasów przed Mozartem, Schiedermayer również nie wydał tych studyów nad tym przedmiotem, ale dziś możemy stwierdzić, że Jahn ma słuszość, jeśli pisze o Mozarcie, że *M. hat die Tradition einer langen Entwicklung... zum Abschluss gebracht*, jako mistrz mistrzów. Dziwnem jednak jest, że Włosi go nie przyjęli, natomiast Gluck, Händel i Hasse byli dla Włochów wyroczniami. Między r. 1770—1790 byli we Włoszech grywani: Hasse, Bach londyński, G. Naumann, Rust, Schuster, Winter, Stärkel — lecz nie Mozart. Koło r. 1795 M. był we Włoszech znany tylko jako kompozytor fortepianowy. Słynny badacz Chrysander »obalił« włoskie właściwości oper Mozarta w pracy *Mozarts Jugendopern* (*Allgemeine musikalische Zeitung* 1878 i 1882), ale nie przekonał nas. Dziś widzimy dzięki pracy Kretzschmara (*Jahrbuch Peters* 1905, 1906), że u M. znać wpływy Galuppiego i Francesca di Majo i Neapolitańczyków Lampugniano i Latilli (zwłaszcza w *opera seria*), którzy akcentowali owe *popolare*, tak leżące na sercu Leopoldowi Mozartowi. Główna wina braków »Tytusa« i innych oper »poważnych« leży w tem, że M. zanadto wczesnie wziął się do pisania ich; stąd wzięły się nie nie znaczące wielkie interwale w aryach, koloratury w niewłaściwych miejscach (*curiosum* — jak pisze prof. Kretzschmar), modlitwy wyglądające raczej na przekleństwo, przeważanie czysto muzycznego pierwiastku nad dramatycznym i t. d. Ale i opera buffa zdradza znajomość Mozarta z Gluckiem (*Rencontre!*), Anfossim, Piccinim, Paesiellim, a zwłaszcza Guglielmim (przerywanie melodyi gamami, parlando, pauzy, fermaty, prozaiczne epizody, przejścia chromatyczne i t. d.). Ale Mozart jest od nich wszystkich szlachetniejszy.

Rozdział czwarty jest zupełnie pięknie napisany i zasługuje na szczególną uwagę. Znajduje się jednak w nim ustęp, który zupełnie — mojem zdaniem — jest niemożliwym do dyskusyi, ze względu na wielce subiektywny podkład. Rozchodzi się o pojęcie fugi i o twierdzenie

autora, »że nie było jeszcze na świecie motywu fugi..., któryby w swej pierwotnej, a więc czysto melodyjnej szacie, był owocem szczerzego natchnienia« (str. 127). Muszę założyć niechęcy protest i poprosić Jana Sebastjana Bacha o łaskawą, choć niegodną mej mniejszości, pomoc. Jeśli chodzi o temat, to w całej literaturze muzycznej, nie znalazłem głębszych, okazalszych, pełniejszych natchnienia i wyrazu, jak tematy IV, VIII i XXII fugi z *Wohltemperiertes Klavier*. Również nie mogę nazwać szczęśliwem porównania fugi do »mostu o żelaznej konstrukcyi«, gdyż fuga jest czemś odrębnem, nie potrzebującym opierania się na słupach lub »przeciwległych ścianach wąwozu«; nazwę ją raczej wieżą gotycką z motywami skracanymi, wydłużanymi w miarę potrzeby konstrukcyi, wznoszącą się zawsze dumnie w górę, tak jak to widzimy w stopniowaniu tematycznym, aby ginać w przestworzu zatrzymywanego ostatniego współbrzmienia. Tem się tłumaczy fakt, że osoby muzyczne nie znające kontrapunktu znajdują często niezwykłą rozkosz w słuchaniu fugi wokalne (Händel) czy instrumentalnej (Bach), gdyż można mimo jej przepisanej konstrukcyi dać najgłębsze natchnienie, a dać je w fudze potrafił tylko Bach i niewielu. Przekonany jestem, że p. Jachimecki zmieni na przyszłość swe zdanie. Poza tem to, co pisze w IV rozdziale o *Requiem* i *Ave Rerum* jest bardzo trafne. Piąty i ostatni rozdział poświęcił J. instrumentalnym dziełom Mozarta, a przede wszystkim symfoniom i muzyce kameralnej. Poglądy naturalnie są te same, nic więc nowego w sprawozdaniu nie można dodać. Jakkolwiek zgadzam się w ogólności na sąd p. Jachimeckiego o symfoniach Mozarta, to jednak właśnie przy nich nie mógłbym mówić o akomodacyi Mozarta do gustów współczesnych: wszak te symfonie jeszcze z końcem XVIII wieku (tuż koło r. 1800) były za ciężką strawą dla współczesnych umysłów (por. Riemann *Geschichte der Musik seit Beethoven*, str. 33). Nie zgadzam się z autorem, jakoby wpływ Mozarta dał się odczuć i u Schumanna. Nigdzie go nie można u genialnego romantyka znaleźć. Natomiast wpływ Mozarta na innych twórców obok Mendelsohna da się nawet bardzo detailicznie wykazać: Süsmayr, P. Winter, J. Wölfl, W. Müller, Lindpaintner, Schubert (w operze *Zwillingsbrüder*), K. Kreutzer, F. Reichardt, Spohr, Meyerbeer, Marschner, Lortzing, Weber; Paer, Cimarosa, Cherubini, Spontini, Rossini, Mercadante, Donizelli... Nakoniec muszę wyrazić lekkie zdziwienie, że autor zaszczylił niemieckich grafomanów muzycznych Marsopa i Zschorlicha cytowaniem zdań ich aroganckich i zdradzających brak dobrego muzycznego wychowania broszurek. Wszak autor »Mozarta« umie więcej

od nich i ma delikatniejsze podniebienie muzyczne. W mem sprawozdaniu dotknąłem tylko najważniejszych punktów, z którymi się nie zgadzam. Zdaje mi się, że należałoby coś jeszcze napisać o koncertach fortepianowych, skrzypcowych, klarnetowych i waltornianych. Jakkolwiek nie jestem zwolennikiem metody Jachimeckiego, bo pisząc historyczną monografię o Mozarcie już tem samem zaznaczamy, które dzieła Mozarta są trwałe, a które nie, i jakkolwiek przez porównywanie Mozarta z Wagnerem i Brucknerem wie się naprzód, że Mozart na tem dobrze nie wyjdzie, to jednak muszę nazwać książkę p. Jachimeckiego pierwszą u nas książką muzyczną, napisaną fachowo i ze znajomością rzeczy.

Adolf Chybiński.

Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk. Monografia historyczna, osnuta na źródłach archiwalnych, przez *Aleksandra Kraushara*. Tomów osiem. Kraków-Warszawa. 1900—1906.

Z pewnym niepokojem spogląda człowiek na osiem tomów, traktujących dzieje Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Gdybyśmy na tytule czytali np. słowa: »Materyały do monografii«, to i tak istniałby ów niepokój i niedowierzanie; stają się zaś one tem silniejsze, gdy czytamy: »Monografia historyczna«. Monografia ośmiotomowa (a tomy liczą przeciętnie po przeszło 400 stron), to zjawisko dość ciekawe. Ta monografia obejmuje trzydzieści dwa lata dziejów Towarzystwa. Niedawno Harnack napisał dzieje berlińskiej Akademii nauk, która chyba więcej zaważyła w dziejach nauki, już nie wyłącznie tylko niemieckiej, i której historia większą chyba ilość lat obejmuje, a ani w przybliżeniu takiej masy papieru nie potrzebował. Olbrzymie rozmiary monografii o Towarzystwie warszawskiem dziwią nas z tego względu, że pomimo wszystko dobre, coby o tem Towarzystwie można powiedzieć, nie było ono znowu tak znakomitem, żeby wszystkie minuty jego żywota notować i opowiadać, nie była też jego historia tak długą, żeby samo jej opowiadanie tyle zajmowało miejsca. Te rozmiary książki p. Kraushara nie wynikły z rozmiarów okresu, o którym ona mówi, ani z ważności niesłychanej przedmiotu. Zrodziło je najpierw pragnienie, żeby książka była koniecznie »duża«. Pragnienie bardzo naturalne, bardzo ludzkie i zrozumiałe, ale egoistyczne, bo niema względu na czytelnika, zmuszonego przebijać się przez kilka tysięcy stron dla zdobycia pewnej sumy choćby ważnych wiadomości. Dalej zaś rozmiary dzieła spowodowane zostały zupełnym brakiem

metody historycznej, naukowej. Umiejętność pisania historii naukowo zastąpiło tutaj gawędziarstwo, które może nieraz być bardzo miłym, czasem bardzo cennym, i w pewnych razach oddać niemałe usługi — w naszej historyografii mieliśmy wielu gawędziarzy zasłużonych —, ale ostatecznie jest tylko surogatem umiejętności, surogatem prawdziwej historii.

Te dwie przyczyny razem sprawiły, że książka o warszawskim Towarzystwie Przyjaciół Nauk przybrała rozmiary tak niestosunkowo wielkie. One też, a zwłaszcza druga, sprawiły, że sąd o tem dziele krótko da się sformułować: jest to zbiór materyałów, nieraz nawet bardzo cennych, zbiór, którego wadą jest to, że został podany nie *in crudo*, i nie w formie materyałów, ale w formie nibyto monografii, niby opracowane. Tytuł »monografia historyczna« jest złudzeniem, któremu autor uległ w najlepszej wierze. W pierwszym tomie lepiej sam się wyraził, że pragnie napisać kronikę Towarzystwa; ale już w następnych zrzeka się tego skromniejszego tytułu, i tłumaczy, że dzieło jego jest monografią. Z własną szkodą: bo o kronice każdy powie dużo dobrego, chwalić będzie jej dokładność, sumienność, chwalić będzie pracowitość autora, który tyle szczegółów nieznanych na jaw wy dobył — o monografii zaś musi wydać sąd raczej niepoehlebny.

Ale że mógłby kto powiedzieć, iż rozprawa toczy się o nazwach a nie o rzeczy, więc dajmy nazwom pokój, i przypatrzmy się, co w książce jest przedstawione i jak.

Warszawskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, założone w r. 1800, rozwiązane 1832, odegrało znaczną rolę w historii nauki polskiej; stąd pochodzi interes, jaki budzi jego historia. Ponieważ zaś należeli do niego najwybitniejsi ludzie, działający w Księstwie Warszawskim i Królestwie, przeto jego historia będzie przyczynkiem do ogólnej historii Polski w tym czasie. Tendencye, które są widoczne w działalności Towarzystwa, idee, które ono pielęgnowało, dążności, którym służyło, tak ściśle są związane z nastrojem umysłów Polski ówczesnej, że bez znajomości dziejów Towarzystwa obraz Polski w pierwszych dziesiątkach XIX wieku nie będzie zupełny. Dzieje Towarzystwa, jako zajmującego się także i literaturą piękną, będą przyczynkiem do historii pojęć literackich w owym czasie. Wiedzieliśmy zaś dotąd o tem Towarzystwie niewiele: mieliśmy dla jego poznania parę notatek pamiętnikarskich, niewystarczających do odtworzenia historii, i Roczniki. Te ostatnie podają rezultat pracy, i to rezultat, uznany przez Towarzystwo, jako w danych warunkach najlepszy i ostatni; podają tedy

owoc pracy, ale o przebiegu tej pracy, o wewnętrznych dziejach Towarzystwa nie mówią wiele. Otóż p. Kraushar znalazł się w tej szczególniej sytuacji, że uzyskał dostęp do archiwum generał-gubernatora warszawskiego, a w tem archiwum znalazł kopalię wiadomości o Towarzystwie: papiery po niem, protokoły posiedzeń, listy, rachunki i t. p. Nic dziwnego, że taki skarb znalazłszy, postanowił podzielić się nim ze społeczeństwem i napisał dzieje warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Jakże się wywiązał z tego zadania? Historia takiego towarzystwa obejmować będzie dwa niejako działy. Jednym będą dzieje ściśle wewnętrzne, których przedstawienie wystarcza, jeżeli jest prostem opowiadaniem; więc sprawy administracyjne, organizacja, przebieg posiedzeń, wybory i t. d. Drugi dział, jeżeli książka ma być istotnie monografią historyczną, narracją się nie zadowoli; tu należą kwestye łączności działania towarzystwa z powszechnem życiem ówczesnem, tu stanowisko jego wobec stanu wiedzy we własnym kraju i w innych, tu sprawa, o ile towarzystwo takie posunęło naprzód wiedzę, i t. p. W tym drugim dziale historyk musi wybornie znać epokę, musiałby być specjalnie obeznany z rozwojem nauk. Ten ostatni zwłaszcza postulat jest zapewne niewykonalny wobec tego, że aby rozwój nauki dobrze rozumieć, trzeba tę naukę znać gruntownie; że zaś towarzystwa uczone takie, jak warszawskie, w kilku swych działach wiele nauk obejmują, przeto trudno chyba znaleźć człowieka, któryby we wszystkich był biegły do tego stopnia. To też historię jakiegokolwiek akademii co do tego punktu wyobrazić sobie można jedynie jako pracę zbiorową, gdy reszcie zadania mogą zdołać siły jednego człowieka.

Autor dzieła o Towarzystwie warszawskiem rozpoczyna jego historię od obrazowania stanu szkolnictwa na ziemiach polskich, należących od r. 1795 do Prus; poczem podaje przegląd umysłowości polskiej w końcu XVIII i na początku XIX wieku. Potem dopiero (na 123 stronie I tomu) dowiadujemy się o zawiązaniu Towarzystwa. Ten ustęp dzieła wstępny zawiera w sobie jakby w streszczeniu wszystkie zalety i wady książki, jest jakby jej obrazem.

Wiadomości o szkolnictwie polskiem w Prusiech południowych są niewątpliwie bardzo cenne; tem więcej, że autor opiera się tu na materyałach nowych. Ten objaw jest największą zdobyczą całego dzieła, istotnie osnutego na źródłach archiwalnych, podającego mnóstwo szczegółów nowych, nieznanych dotąd, nieraz bardzo cennych; te szczegóły odnosić się będą albo do anegdotycznych dziejów Towarzystwa,

więc może niezbyt ważne, ale przynajmniej interesujące, albo też, co dla nas najważniejsze, do poznania umysłowości polskiej z owych czasów, do charakterystyki ludzi, którzy w rozwoju tej umysłowości duże mieli znaczenie, Niemcewicza, Brodzińskiego, Lelewela, Staszica i tak dalej, wreszcie do historii nauk w Polsce. Niepodobna wymieniać tu wszystkich tych szczegółów nowych — na kilka najważniejszych zwrócimy później uwagę.

Ale te wiadomości o szkolnictwie, choć same dla siebie cenne, zupełnie niepotrzebnie znalazły się w książce o Towarzystwie. Autor tłumaczy dlaczego je umieścił: na tle dziejów tego szkolnictwa działalność Towarzystwa w pierwszych latach jego istnienia staje się zrozumialszą, a jego historia dla czytelnika donioślejszą. Tak jednak nie jest. Zapewne, że jakiś związek między jednym a drugim był, ale bardzo daleki, nie genetyczny. Tak samo możnaby rozumować, że skoro Towarzystwo zajmowało się np. slawistyką, to trzebaby w książce podać cały kurs filologii słowiańskiej. Decydującem było tu owo pragnienie, aby książka miała rozmiary możliwie wielkie. Ta tendencya widoczną jest we wszystkich ośmiu tomach. Pod jej wpływem autor monografii przedrukował rzeczy, które są łatwo dostępne: wiersze, znajdujące się we wszystkich wydaniach, całe artykuły z dzienników ówczesnych, rozprawy, które z rękopisów wydano przed kilkunastu laty. Jest to może i wygodne dla czytelnika, ale w tem altruistycznym dążeniu autor idzie za daleko, umieszczając i takie rzeczy, które znowu bezpośredniego związku z dziejami Towarzystwa nie mają. Tu należy także ogromna liczba rycin, którym przypatrujemy się z wielką przyjemnością, ale które do rzeczy nie należą. Pomieszczenie tych wszystkich rzeczy niepotrzebnych rozszerzyło ramy monografii, bo przypadłyby na nie chyba ze dwa tomy. Z tomów ośmiu schodzimy tedy na sześć, i będziemy odtąd mówili tylko o sześciotomowym dziele, a zobaczymy później, że i ta liczba spadnie.

To pomieszczenie rozmaitych rzeczy miało i drugą pobudkę, bardzo piękną. Autor pragnął dzieje Towarzystwa oświecić wszechstronnie, pokazać je na tle ówczesnego życia umysłowego, pragnął też przez taką kombinacyę wytworzyć dzieło, któreby około historii Towarzystwa obwinęło wiadomości o całokształcie polskiej kultury ówczesnej, zwłaszcza w Warszawie. Taki pomysł ambitny jest najzupełniej usprawiedliwiony i nader piękny. Możliwość wprowadzić dysputować, czy Towarzystwo tworzyło istotnie takie centrum, żeby obraz kultury polskiej ówczesnej grupować około niego. Ale przypuśćmy, że tak było,

zgódźmy się na zasadę. Chodzi o wykonanie, o to, jak autor opracował materyał, który mu dały archiwa i Roczniki.

Otóż ów obraz umysłowości polskiej na przełomie wieków XVIII i XIX jest jakby typowym dla tej strony monografii: nie zadawał nawet bardzo skromnych wymagań. Jest to katalog Polaków, którzy w tym czasie cokolwiek pisali, bibliografia do tego niedokładna, bibliografia, która obok Krasickiego i Czackiego spokojnie wymienia Przybylskiego, Wolskiego i t. p.

Całe przedstawienie dziejów Towarzystwa jest takim katalogiem, t. zn. w zakresie historyi opowiadaniem zdarzeń jednego za drugim, bez grupowania, bez łączenia w całości związanych z sobą genetycznie faktów, bez uwydatnienia ważniejszych. Jest to kronika w najstarszym znaczeniu wyrazu, roczniki, w których w wiekach średnich spisywano wydarzenia jedno za drugim. Kronika z wadami kroniki, a bez jej zalety: bez pierwotnej naiwności. Od połowy pierwszego tomu do połowy ósmego przedstawienie rzeczy jest takie. Opowiedziawszy historię założenia Towarzystwa i jego zorganizowania, jego starań o utrwalenie bytu wobec rządu pruskiego, autor opowiada teraz jedno posiedzenie za drugim, tak szczegółowe pojedynczych wydziałów, jak i ogólne. Nie daruje ani jednego posiedzenia. Można sobie wyobrazić, jak miłą jest lektura książki tak zbudowanej. Mniejsza zresztą o przyjemność lub nieprzyjemność, znieść można wiele rzeczy; ale tak się »monografii historycznej« nie pisze. Wskutek takiego przedstawienia obraz rozwoju zaciera się, powstaje chaos, spowodowany nadmiarem jednostajnie i monotonicznie powtarzających się tych samych ostatecznie rzeczy. Ciekawe, że przy całej dokładności, przy nieustannem powtarzaniu, autor nie pokazał w całości ani jednej dyskusyi. Mówi tyle razy o protokołach posiedzeń, a nie pokazuje tego, coby było istotnie interesujące; zostawia nas też w nieświadomości, czy te protokoły notują szczegółowiej przebieg dyskusyi, czy nie. Dzieje t o w a r z y s t w a, gdzie niemal wszystkie sprawy załatwiano kollegialnie, takie fakta powinnyby notować szczegółowiej.

Opowiedziawszy tak i wymieniwszy wszystkie posiedzenia roku, autor opowiada o dorocznem uroczystem posiedzeniu, przedrukowując każdorazową przemowę prezesa. Pomijam już ten fakt, że wszystkie te przemowy, jedna w drugą, nie przysparzają wieńców zasłużonym prezesom, Albertrandiemu, Staszicowi, Niemcewiczowi, że absolutnie żadna z nich nie postarała się o to, aby w jakiś żywy a sympatyczny sposób przedstawić pracę ubiegłego roku; pomijam więc ten fakt, że

z tego już powodu nie zasługiwały na przedruk w całości. Ale zauważyć należy, że te przemowy są powtórzeniem tego, co autor podawał w dziejach ubiegłego roku, powtórzeniem tak samo bezbarwnem i monotonnem, jak tamto opowiadanie. Takim jest główny korpus książki. Pomędzy to opowiadanie autor wsuwa rzeczy inne, więc różne wydarzenia z dziejów Towarzystwa, raz ważniejsze, więc np. przeniesienie się do pałacu na Krakowskie Przedmieście albo wystawienie pomnika Kopernikowi, drugi raz mniej ważne i błahe.

Takiem jest opowiadanie o dziejach Towarzystwa, czysto kronikarskie, rozwlekłe, powtarzające się. Gdyby je należycie przebrakować, wyrzucić rzeczy zgoła zbyteczne, opowiadać zwięźle, możnaby to samo, co się mieści w sześciu tomach, umieścić bardzo dobrze w dwóch. Książka byłaby mniejszą, ale powiedziałyby to samo i tyle samo.

Teraz druga, ważniejsza strona dzieła: ocena Towarzystwa i jego znaczenia, wykazanie skutków jego pracy, związku ze stanem ówczesnym umysłów i t. p.; zadanie, którego spełnienie przedewszystkiem dawałoby książce prawo do tytułu monografii historycznej. To zadanie spełnione jest w książce p. Kraushara słabiej, aniżeli poprzednie. Dążność do jego spełnienia jest w dziele bardzo widoczną; widocznem jest także rozumienie jego ważności i ogólne zrozumienie tego, jak spełnienie takiego zadania wygląda. Ale wykonanie chybiło. Wiemy już, jak wygląda obraz umysłowości polskiej XVIII/XIX wieku — a obraz taki jest bardzo ważny, bo on nam przecież ma pokazać warunki, wśród których zaczynała się praca Towarzystwa. Związek dziejów Towarzystwa z ówczesnymi wydarzeniami historycznymi autor przedstawił tak, że opowiada o wojnach napoleońskich, o pogrzebie Kościuszki i Poniatowskiego, o założeniu Królestwa, o sejmach — wszystko luźnie jedynie zajmuje miejsce, a o istotnym związku nie mówi nic. Zbytecznem jest też i ze względu na czytelnika. Jeżeli przedruk np. artykułów dziennikarskich można usprawiedliwić względem na wygodę czytelnika, to tutaj takie tłumaczenie nie byłoby usprawiedliwieniem, bo chyba taki czytelnik, który będzie czytał książkę o Towarzystwie, ma na tyle wiadomości historycznych, ile ich autor w tych ustępach podał. Natomiast nie podał autor rzeczy nieraz bardzo ważnych. Na przykład. Towarzystwo obok nauki dla nauki zajmowało się też żywo jej zastosowaniem do życia. Sprawy przemysłowe są bardzo często na porządku dziennym jego posiedzeń. Jakże wdzięcznem byłoby pokazać, jak się to łączy z tą dążnością do uprzemysłowienia i wogóle do rozwoju ekonomicznego Królestwa, która tak

bardzo zajmuje ówczesnych ludzi, stojących na czele rządu, z działalnością Staszica (prezesa Towarzystwa!) jako ministra, z działalnością Lubeckiego, i t. p. Drugi przykład z dziedziny samej nauki. Towarzystwo liczy w swem gronie kilku ludzi, zajmujących się rzeczami słowiańskimi. Ale to zajęcie się slawistyką jest w ówczesnej Polsce bardzo silne, tak, że jego przewaga jest poza Towarzystwem. Otóż związek tych studyów w Towarzystwie, z tem, co się działo poza niem, jest rzeczą dotąd nie wyjaśnioną należycie i tego spodziewaliśmy się po naszej monografii. Tego ona nie robi.

Najważniejszym punktem w ocenie i w przedstawieniu działalności Towarzystwa naukowego musi oczywiście być wykazanie, co ono zrobiło dla nauki, dla posunięcia jej naprzód; w drugiej linii pytanie, jak ten rozwój nauki oddziałał na ogólny poziom wiedzy i kultury w narodzie. Metoda, którą się posługuje omawiane dzieło, sprawia, że tej najważniejszej rzeczy autor nie pokazał. Omawianie jednego posiedzenia za drugim, nie mogło doprowadzić do tego celu. Nie zajął się też autor wcale Rocznikami, nie poświęcił im choćby niewielkiego osobnego ustępu. O ile nauka polska w Towarzystwie się rozwijała, to z dzieła p. Kraushara widzimy pośrednio, cząstkami — całość sami mustmy odtwarzać, autora zastępując. Ale takie odtworzenie może być jedynie dorywcze, do własnego niejako użytku, nie zastąpi naukowej syntezy, którą winien nam autor.

W przedmowie do przedostatniego tomu znajdujemy taki najogólniejszy obraz wyników, do których Towarzystwo nasze doszło. Ten obraz jest syntezą autorską. Na nim najlepiej poznać stanowisko autora wobec tej ważnej kwestyi. Musimy się dlatego zastanowić nad nim szczególniej.

Uważa tedy p. Kraushar, że Towarzystwo doprowadziło do pięknych wyników w językoznawstwie, w dziedzinie literatury, badań historycznych, w sztukach pięknych i w naukach przyrodniczych (zwłaszcza w fizyce i w chemii). Z tego przeglądu wyłączmy od razu sztuki piękne. W całym obszernym dziele p. Kraushara znajdują się, jeżeli dobrze pamiętam, coś dwie wzmianki, któreby świadczyły, że Towarzystwo zajmowało się sztuką; i to oczywiście nie w znaczeniu twórczości, bo pod tym względem przypisywać Towarzystwu jaką zasługę, jest nonsensem, ale jako teorią, jako nauką o sztuce. Co do językoznawstwa: zdaniem autora, Towarzystwo na tem polu zrazu niesystematycznie, później już celowo dąży do uformowania pisowni poprawnej. To już wszystko i to ma być językoznawstwo. Równem pra-

wem krawiec, który stara się, aby ubranie dobrze na człowieku leżało, może powiedzieć, że zajmuje się antropologią. Autor mówił przecież o słowniku Lindego, jako pracy pod egidą Towarzystwa wykonanej; w Rocznikach miał rozprawy Lindego o języku; wspominał przecież o pracach Majewskiego nad sanskrytem: to wszystko widać nie jest językoznawstwem, a jest niem pisownia. Takie same dziwne pojęcia o tem, czem jest dana nauka, panują w całym tym ustępie. Mówiąc o literaturze, autor miesza pojęcie literatury i nauki o niej; historię miesza z jej naukami pomocniczymi, a nadto włącza do niej sławistykę, nadając przez to temu wyrazowi znaczenie odmienne, włącza ją zresztą do historii nietrafnie, bo owe badania nad Słowiańszczyzną, pięknie u nas w owym czasie rozwinięte, częścią zajmowały się przedhistoryczną archeologią słowiańską, częścią prawoznawstwem, głównie zaś językiem, literaturą i folklorem. W dziedzinie historii ojczystej autor spostrzega »pierwsze próby zbiorowego opracowania epok dziejowych i panowań królów, pierwsze usiłowania do zobrazowania dziejów nowoczesnych krajowych«, w trakcie zaś dzieła pokazał, że to były przeważnie tylko próby i plany, wykonane w bardzo małej części. Tego chyba do plusów Towarzystwa wliczać nie można. Jak również nie można go chwalić za to, że poruszyło plan ułożenia obszernej encyklopedyi rzeczy polskich i słownika synonimów, a nietylko nie wykonało obu dzieł, ale nawet do pierwszego ani się nie zabrało. O ile słusznem jest zapatrywanie autora na rezultaty, do których doszło Towarzystwo w naukach przyrodniczych, wyrokować nie mogę, dziwię się tylko słowom: »w dziedzinie skraplania gazów, przez czas długi za nierozkładalne poczytywanych«.

Wogóle przy ocenianiu rezultatów naukowej pracy Towarzystwa decydować mogą wyłącznie Roczniki i dzieła wydane osobno pod firmą i z natchnienia Towarzystwa. To, co się działo na posiedzeniach, to było niejako pracą przedwstępną. Ale przy dziełach osobno wydanych, jesteśmy nieraz w kłopotcie. Słownik Lindego wyszedł pod auspicjami Towarzystwa, ale czy ono, jako takie, dało ku niemu podniecie i kierunek pracy? Zdaje się, że tak jednak nie było. Tak samo miała się rzecz z Bentkowskiego »Historią literatury polskiej«. Otóż tu się wyłania kwestya ogólniejsza, w istocie swojej bardzo trudna do rozwiązania: jaką jest w rozwoju nauki rola towarzystwa naukowego, jako towarzystwa, jako korporacyi. Skłaniałbym się do zdania, które tej roli nie uważa za wielką w samej technice nauki. Towarzystwo naukowe rozwija naukę przez mecenasowanie jej, a więc uła-

twianie studyów, przez gromadzenie bibliotek i wogóle środków naukowych, ułatwianie wydawnictwa dzieł przez druk swoich publikacji i przez nagrody. W samą istotę rozwoju nauki Towarzystwo wkracza chyba tylko o tyle, o ile odbywają się w niem dyskusye naukowe wśród członków, z daną nauką dokładnie obeznanych. W Towarzystwie warszawskiem pewne działy nauki obsadzone są bardzo nielicznymi jednostkami. Więc np. indolog jest tylko jeden, Majewski. Wobec tego zaś nie wiem, czy studia nad sanskrytem, które Majewski w publikacjach Towarzystwa wydał, należy przypisać za zasługę Towarzystwu, czy też samemu Majewskiemu. Chyba to drugie. Otóż w takich niepewnościach odczuwamy silnie brak w dziele p. Kraushara szczegółowszych jakich wiadomości o dyskusjach na posiedzeniach wydziałów. Każda praca, przedłożona Towarzystwu, a więc także i jego członków, przechodziła przez referat wyznaczonych do tego akademików. Autor te referaty rejestruje bardzo sumiennie — a wielka ich ilość mówi o pracach, które później do druku się nie dostały. Taki referat mógł być — i sądzić należy, że bywał — punktem wyjścia dla ustnej dyskusyi. Tych autor nie podaje (a jeżeli ich nie było to należało to zaznaczyć) i to uważamy za defekt dzieła, wychodząc z zapatrywania, że takie dyskusye są dla nas ważnym czynnikiem sądu o naukowej skali Towarzystwa.

Ostateczne wrażenie dzieła jest chaotyczne, wskutek luźnego nagromadzenia obok siebie wielkiej masy szczegółów, wskutej nieustosunkowania faktów. Po przestudyowaniu książki p. Kraushara, pozostaje nam w pamięci znaczny poczet wiadomości, ale całości syntetycznego obrazu Towarzystwa nie otrzymujemy. »Monografią historyczną« dzieło to nie jest; »historia« Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk jest jeszcze »do napisania«.

Człowiek, któryby taką historję napisał, oparłby się (oprócz Roczników) prawie wyłącznie na książce p. Kraushara. I tu czas i miejsce podkreślić, co w niej dobrego. Cenne są materiały w niej podane. Niestety i tu trzeba wyrazić pewien żal. Ośmiotomowe dzieło z materiałami nie ma indeksu! Rezygnujemy chętnie ze szczegółowego indeksu rzeczowego, ale spis nazwisk osób był tak łatwy do sporządzenia, a tak byłby pożyteczny i ułatwiał szukanie! Ale pomijając już tę niedogodność, pomijając dalej mnóstwo rzeczy błahych i niepotrzebnych, przyznamy jak najchętniej, że w dziele p. Kraushara znajdziemy dużo rzeczy ważnych i ciekawych. Zasługa autora, który je wydobył, jego sumienność, pracowitość, umiłowanie przedmiotu są

istotnie bardzo wielkie i wielkie przynoszą nauce naszej korzyści. Nie mówię tych słów dlatego, żeby załagodzić uwagi poprzednie, których nie cofam, nie osłabiam, bo książka napisana jest źle. Ale rzeczy w niej dobrych dużo. Więc najpierw cała wewnętrzna historia Towarzystwa jest nam obecnie przystępną dzięki p. Krausharowi; znajome nam się stają te codzienne wydarzenia, codzienne prace, wśród których upłynęło przeszło trzydzieści lat bytu pierwszego, na większe rozmiary, polskiego towarzystwa naukowego; poznajemy nowe szczegóły z życia i działalności ludzi, którzy w dziejach Polski ówczesnej ważną odegrali rolę; poznajemy innych, nie tak pierwszorzędnych ludzi, o których historya, ta wielka, może i nie wspomni, ale którzy razem z wielkimi dzielnie pracowali i budowali Polskę XIX wieku. Dalej zaś, książka p. Kraushara będzie na długo bardzo ważnym źródłem do poznania dziejów nauki polskiej i do historii ludzi uczonych. Będzie ważnym np. dla historii krytyki i pojęć literackich w Polsce; do Brodzińskiego przynosi wiele rzeczy nowych, do historii jego pojęć, do jego stosunku ze światem słowiańskim — przez to znowu książka ta staje się źródłem koniecznym, nieodzownym dla każdego, kto zajmie się początkami romantyzmu w Polsce. Po dziele p. Kraushara rozumiemy lepiej związek studyów indyjskich Majewskiego z kierunkiem ówczesnych literatur; jak wiadomo i ten kierunek studyów związany jest ściśle z romantyzmem. I rzecz szczególna: w Towarzystwie, które jako korporacja wrogo występuje przeciwko poetom romantycznym, pracuje się w kierunku romantyzmu bardzo skutecznie. Rzeczy te jeszcze nie są należycie rozjaśnione. Dla literatury czeskiej wykonał je Murko — książka nasza ułatwia takie studium o literaturze polskiej. Sławistyka ówczesna także jest na wskrós romantyczną — dzieło p. Kraushara przynosi dużo szczegółów do jej historii (listy np. Chodakowskiego, Szafarzyka, Rakowieckiego i i.). Co do nauk przyrodniczych: zdaje mi się, że historii tych nauk w Polsce autor oddał również wielkie usługi, między innemi przez uwydatnienie działalności Skrodzkiego; nie wdaję się tu w rzeczową stronę wywodów, referatów Skrodzkiego, ale widać z jego sposobu przedstawienia rzeczy, z samego stylu już, że to był człowiek i uczony niepospolity.

Jeden jeszcze szczegół zanotujmy, choć on z nauką polską bezpośrednio związku nie ma. Autor przedrukował w tłumaczeniu polskim memoriał, jaki o Towarzystwie napisał po powstaniu jeden z urzędników rosyjskich. Ten memoriał powinniśmy czytać Rosyanie, którzy

studują stosunek dwóch narodów do siebie. Jest to dokument psychologiczny pierwszorzędno znaczenia. Dokument duszy rosyjskiej w jej typie złym, duszy urzędniczej. Nie łatwo zebrać razem na kilkudziesięciu stronach tyle złej woli, przewrotności i nikczemności w stosunku do zwyciężonych, tyle głupoty a równocześnie tyle chytrłości i sprytu. Bardzo dobrze autor zrobił, że go umieścił. Nowych faktów on nam nie daje, ale rzuca światło na kilkadziesiąt lat historii i daje dużo do myślenia. Ale czytaćby go powinni przede wszystkim Rosyanie.

Kończmy nasze przydługie już sprawozdanie. Książka p. Kraushara nie napisana dobrze, zawiera rzeczy cenne i ważne i na długie lata pozostanie dziełem, do którego często trzeba będzie zaglądać. Jest to książka przede wszystkim bardzo pożyteczna.

St. Dobrzycki.

Mistrz z Nazaretu. Napisał *Antoni Wyslouch*. Warszawa 1905. Str. 174.

Dziwną jest historia duszy ludzkości na ziemi. Ustawicznie dąży do czegoś, wzdycha do czegoś, zawsze nieukończona, zawsze w pogoni za czemś. Jest ona, według trafnego porównania autora, tym odwiecznym Sfinksem, który wzrok swój gdzieś hen... w górę skierował i wygląda czegoś zawsze, nieustannie a niecierpliwie. Cóż tak okrutnie targa tem sercem ludzkim? Dążność do prawdy, szczęścia, piękna, — nieskończoności, a na ziemi tego nie znajduje.

Autor wskazuje na Chrystusa, jako źródło ukojenia dla spragnionej ludzkości. W szeregu poetycznych opisów kreśli na tle postaci i zdarzeń z Ewangelii św. znamienny jakiś rys duszy ludzkiej i w Chrystusie odsłania nam źródła, mogące jedynie pragnienia jej wypełnić. Na tem więc obszernem tle dążeń i porywów duszy ludzkiej występuje Chrystus, jako uosobienie prawdy, jako Bóg uszczęśliwiający, pełen litości i przebaczenia, Bóg — miłość nieskończona. W literaturze nie często napotyka się na taki rysunek osoby Chrystusa. Może tylko za mało przebija w przedstawionym przez autora Chrystusie element Boski, chociaż wyznać należy, że jest się zmuszonym walczyć z trudnościami wielkimi, ilekroć razy chce się Boga ściągnąć z nieskończonych Jego wyżyn do poziomu konkretnego, poetycznego obrazka.

I dusza ludzka jest tu w całej swej rzeczywistości podpatrzona i zrozumiana bardzo głęboko. Ona potrafi być bardzo wielką, ale umie też być aż nazbyt małą, niską. W ogóle w odtwarzaniu i kreśleniu różnych objawów życia duszy ludzkiej znać u autora wielką siłę.

Sposób przedstawienia odznacza się wielką różnorodnością opisów przyrody Ziemi św. Szczególnie pięknie wypadły opisy w rozdziałach: »Słowo stało się Ciałem«, »Nikodem«, »I zapłakał Jezus«.

Styl książki refleksyjny, aforyzmowy, bardzo odpowiedni i naturalny w tego rodzaju dziełach, bo jest, jakby wiernem oddaniem rozmowy, jaką sama ze sobą prowadzi dusza ludzka, która w tej samotnej zadumie nigdy nie troszczy się o potoczność okresów, o efekt retoryczny, ale cicho, zwolna, a czasem z ognistym żarem, namiętnie spowiada się niebu — sobie.

Dla tych zalet treści i formy dzieło to znajdzie zapewne miłe przyjęcie u warstw szerszych, dla których głównie jest napisane, a zarazem posłuży za wymowny dowód, że treść religijna może dostarczyć literaturze pięknej wielce obfitego przedmiotu, oryginalnych a szlachetnych pomysłów.

K. Feliś.

Z piśmiennictw obcych.

Le maître et l'élève. Fra Angelico et Benozzo Gozzoli. *Gaston Sortais.* Paris 1906.

Był czas, kiedy całą sztukę i nieomal całą kulturę nowożytną wyprowadzano z epoki odrodzenia. Średnie wieki, poczytywane były naówczas za okres barbarzyństwa i ciemnoty, rozpościerający się ponad cmentarzyskiem cywilizacji klasyczno-pogańskiej, która stopniowo powstawała ze swego grobowca wiekowego aż w końcu zmartwychwstała, odrodziła się w pamiętnej epoce, uznanej za początek nowoczesnego rozwoju kulturalnego.

Jak jednostronnym wydaje nam się dzisiaj ten pogląd. A jednak trzeba było całego stulecia prac i badań, aby go zwalczyć, trzeba było długiego szeregu znamienitych talentów twórczych i krytycznych, poczynwszy od Chateaubrianda aż do Ruskina, aby przywrócić do czci kulturę średniowieczną i w sztuce jej odnaleźć skarby wysokich samodzielnych natchnień, wobec których sztuka renesansowa przy całym swem wydoskonaleniu zewnętrznem, zda się zbyt poziomą i niewolniczo naśladowczą w swej treści wewnętrznej.

Ślady długotrwałych uprzedzeń nieprędko znikają. I dzisiaj, pomimo Ruskina i prerafaelitów, spotkać można bardzo nawet wykształ-

conych estetycznie ludzi, którzy słabe mają pojęcie o wielkich malarzach włoskich, poprzedzających Rafaela. Błąkają się nieraz w pamięci imiona: Giotto, Fra Angelico, Perugino, ale indywidualności twórcze mistrzów, którzy je nosili, bardzo niejasno zarysowują się w myśli lub całkiem są jej obce.

Jednego, najpierwszego pono z owych mistrzów średniowiecznych, oraz najbardziej uzdolnionego jego ucznia przedstawia nam autor wymienionej wyżej, pięknej i starannie wydanej monografii.

Obaj ci znakomici malarze — Fra Angelico z Fiesoli i Benozzo Gozzoli — z tego względu szczególnie godni są uwagi w historii sztuki, iż stoją na przełomie dwóch epok, u kresu średnich wieków, u źródeł odrodzenia, — i wcielając w swej twórczości artystycznej ideał pierwszej z nich, przyswajali sobie, o ile mogli, udoskonaloną technikę malarską, jaką druga przynosiła.

Mamy tu więc jedno z licznych stwierdzeń tej prawdy, udowodnionej znakomicie przez Ruskina, a poprzednio przeczuwanej już przez Mickiewicza, że dla pełnego rozkwitu sztuki renesansowej niekoniecznie potrzeba było zniweczenia sztuki średniowiecznej, że ta ostatnia posiadała dość siły żywotnej, aby przyswoić sobie wyższą kulturę artystyczną, jaką tamta wysnuła z wzorów starożytnych. Pierwiastki pięknej formy pogańskiej służące ku ozdobie natchnień ducha chrześcijańskiego: — oto jaki powinienby być wynik odrodzenia sztuki klasycznej. Niestety, u największych nawet mistrzów renesansowych zachodzi często stosunek wprost odwrotny: duch chrześcijański podporządkowany bywa pięknu pogańskiemu, przyczem w zewnętrznym artystycznym swem odtworzeniu niemało traci ze swej treści wewnętrznej.

P. Gustaw Sortais ukazuje nam w swej pracy uzewnętrznienie artystyczne tej treści bądź w najgłębszej jej istocie — u mistrza, bądź w bardziej powierzchownem jej ujarzmieniu — u ucznia, ale u obu w całej jej prawdzie duchowej, podporządkowującej sobie zupełnie plastyczne, zmysłowe środki sztuki, przez które się wyraża. Autor daje nam przedewszystkiem pogląd ogólny na istotny charakter tej czysto chrześcijańskiej sztuki przedrenesansowej. Zaznacza, że niesłusznie bywa ona poczytywana za idealną wyłącznie w przeciwieństwie do bardziej jakoby realnej sztuki z czasów odrodzenia. Rozróżnienie bezzasadne; gdyż artyści średniowieczni z wielkim niekiedy realizmem wyrażają bardzo uduchowione swe natchnienia, a odwrotnie artyści renesansowi okazują znowu wyraźną skłonność do idealizacji swych zmysłowo pojętych przedmiotów. Różnica przeto tkwi ra-

czej w samej treści natchnień twórczych, aniżeli w sposobie artystycznego ich uzewnętrznienia.

Mamy tu wieczne przeciwieństwo zarazem życia i sztuki. Dusza ludzka wyraża się przez ciało, nie może jednak być z niem utożsamiona. Może jej być mniej lub więcej w danem ciełe, żywym czy malowanym, może się w tem i w tamtem ujawniać wyraźniej lub mniej wyrażnie. W sztuce średniowiecznej było jej bardzo dużo, było niezmiernie bogactwo duchowego, chrześcijańskiego jej życia, a wyrażenie jej zewnętrzne, choć nie zawsze jednako szczęśliwe, w pewnych chwilach osiągało bardzo wysoki stopień artyzmu. Z bizantyńskiego, oschłego formalizmu wyzwolił ją na zachodzie Europy w wieku XIV-tym naprzód Giotto, szukający dla swej twórczości wzorów w naturze i w nielicznych jeszcze naówczas zabytkach sztuki starożytnej. W ślady jego wstępuje długi szereg uczniów i naśladowców. Są to tak zwani przez Włochów *trecentisti*, pomiędzy którymi spotykamy artystów pierwszorzędnych, jak Taddeo Gaddi, Andrea i Lionardo Oreagna, Antonio Veneziano, oraz wielu naśladowców miernot, które ostatecznie cały ten kierunek artystyczny doprowadziły do upadku i zastoju w ciasnym konwencyonalizmie.

W chwili gdy tracił on swe siły żywotne na początku w. XV, poczęły się w sztuce włoskiej nowe prądy twórczości zwane niekiedy pierwszym odrodzeniem. Przedstawiciele ich — *quattrocentisti* — rzeźbiarze: Brunelucio, Ghiberti, Donatello i malarze: Masaccio, Fra Lippi zajęli się udoskonaleniem techniki, studyując w tym celu gorliwie anatomię i modele bardzo zaniedbywane przez artystów poprzedniego okresu. Wyniknął stąd następnie nadmiar dążności naturalistycznej, dającej się widzieć w malarstwie włoskiem drugiej połowy XIV wieku.

Przedtem jednak zajaśniał w nim jeden z największych geniuszów spirytualizmu w sztuce, genialny malarz dusz chrześcijańskich, który wysoki artyzm wykonania swych pomysłów twórczych (przy pewnych jednak niedostatkach techniki) łączył z niezmierną podniosłością natchnienia, będącego ich źródłem. Nazwa Fra Angelico (Brat Anielski), nadana mu przez wielbicieli, jakże dobrze odpowiada anielskiemu iście nastrojowi duszy świątobliwego zakonnika-artysty. W zakonnie nosił on imię Fra Giovanni (Brat Jan), w życiu Guido di Pietro (1387—1455). W 22-gim roku życia, jako początkujący malarz, uczeń Starniny, wstąpił do klasztoru Dominikanów we Fiesole i odtąd życie swe całe i cały swój talent twórczy wyłącznie Bogu i boskim rzeczom poświęcił. Jest on najdoskonalszym typem artysty religijnego, którego wiara

zlewa się ze sztuką, w niej znajduje pełne swe ujawnienie i z wielką wyrazistością oraz pociągającym urokiem piękna przemawia do wrzliwych dusz ludzkich.

Zapewne, Fra Angelico nie należał do najdoskonalszych mistrzów formy plastycznej. Jako zakonnik nie mógł on studyować nagich modelów, a przez to pozbawiony był możliwości wydoskonalenia się w rysunku ciał ludzkich, ale jakież osiągnął mistrzostwo w malowaniu ludzkich twarzy, w odtwarzaniu przez ich wyraz ogromnych bogactw ducha, które posiadał we własnem swem życiu wewnętrznem i które unaoczniał ludziom w boskich i świętych postaciach, jakie na swych obrazach przedstawiał.

Jeden z malarzy, co najbardziej dbali o formę plastyczną, Meissonnier, powiedział jednak, że główną rzeczą w dziele sztuki jest wyrażenie uczucia. A jakież malarz wyraził uczucia swej duszy zupełnie i piękniej od świątobliwego zakonnika z Fiesoli? — »W niebie chyba być musiał, mówił o nim Michał Anioł, i stamtąd przyniósł pierwotzory świętych postaci, które namalował«. Fra Angelico posiadał tajemnicę zespolenia nieposzlakowanie pięknej formy z ogromną siłą i różnorodnością wyrazu uczuciowego, umiał oddać wielką boleść w rysach twarzy i postaciach nieziemskich, nacechowanych spokojem, dał nam istną symfonię niebiańską, w której harmonijnie rozwiązują się wszystkie rozdzwęki życia.

A jakimiż cudownymi tonacyami barw i blasków gra nam ta przedziwna symfonia. »Wszystko tu światłem, mówi Taine, wybuchem oświeśleń mistycznych. W tym przepychu złota i lazuru panuje zasadniczy ton słońca i nieba. To niezwykły dzień ziemski: nazbyt jest promienny. Najżywsze barwy w nim gasną, otacza on ze wszech stron ciała; rozpływają się w nim jako cienie. Mamy tu tylko dusze; materya jest przemieniona, zawartość jej znika, pozostają tylko formy eteryczne, pływające w blasku i w lazurze«.

Czyż ma być niższą w czemkolwiek ta sztuka, odtwarzająca pełnię życia duchowego od owej, co odtwarza pełnię życia fizycznego? Przecież pragnienia ducha wznoszące się ku niebiosom są również rzeczywiste, jak pożądania ciała szukającego na ziemi swych zadowoleń. Fra Angelico precudnie odtwarza nam pierwsze: w tem jego wielkość i chwała. Drugie zupełnie są mu obce. Nie szukać też ich wcale w jego sztuce. Nie szukać w jego dziełach tegich, silnych ciał w całym bogactwie materyalnego ich życia. Daje on swym kreacyom

tylko ciała, ile go potrzeba dla uwidocznienia w nich życia ducha, ni mniej, ni więcej.

W ukształtowaniu artystycznym przeduchowionych, eterycznych ciał swych postaci Fra Angelico niemniejszym jest mistrzem aniżeli Michał Anioł, tworzący postaci nadludzko wspaniałe w potęgę i pełni ich życia materyalnego, nie przenikniętego jeszcze odpowiednią mocą ducha. Każdy z nich wyraża z nieporównanym artyzmem pewien moment rozwoju nowożytnego: światobliwy zakonnik fiesolski odtwarza harmonię religijno-ascetycznego ideału średnich wieków — tragiczny Tytan odrodzenia oddaje straszliwy niepokój poczętych w owej epoce i dotąd nieziszczonych dążeń do szarmonizowania ducha chrześcijańskiego z pogańską pięknoscią i mocą materyalnego bytu. Twórczość Fra Angelica to ostatni, najczystszy pono i najpiękniejszy w sztuce barw akord średniowiecznego hymnu wiary. Twórczość Michała Anioła to pierwsze potężne uplastycznienie tragedii nowożytnego zmagania się ducha z materyą.

Z natury rzeczy wynika, że to ostatnie zadanie wymagało bogatszych środków techniki artystycznej, ale i tamto posiadało właściwą, przystosowaną do swych celów technikę, którą genialny mistrz z Fiesole w całej pełni sobie przyswoił.

Sortais ukazuje nam stopniowy rozwój jego twórczości i podaje zwięzłą charakterystykę głównych jego dzieł, uzupełnioną przez liczne i piękne, niekiedy wielobarwne odbicia. Naprzód młodzieńczy, osiemnastoletni (1418—1436) okres pobytu we Fiesole, upamiętniony licznymi obrazami religijnymi, przedstawiającymi Matkę Boską w otoczeniu świętych, Ukrzyżowanie, Zdjęcie z Krzyża, Złożenie do grobu, Koronację Najświętszej Panny. Potem okres pełnego rozkwitu talentu, w którym Fra Angelico obok wielu najpiękniejszych swych obrazów wymalował wspaniałe freski w klasztorze św. Marka we Florencji (1436—1445). Wreszcie ostatni dziesięcioletni okres spędzony w Rzymie (1445—1455), gdzie powstały ostatnie dzieła podeszłego już wiekiem artysty, szczególnie znamienite freski w pracowni (*studio*) papieża Mikołaja V-go, zamienionej następnie na kaplicę. Przedstawiają one sceny z życia św. Stefana i św. Wawrzyńca i, niezależnie od piękności wspólnych im z poprzednimi utworami, godne są uwagi ze względu na ujawniający się w nich postęp w technice malarskiej, wymowny dowód gorliwej i wytrwałej pracy światobliwego mistrza, który do samej śmierci nie rozstawał się ze swą sztuką i ani na chwilę nie zniżając lotu swych natchnień, doskonalił się wciąż w technicznych środ-

kach potrzebnych do pełnego ich uzewnętrznienia, a takie usnuł z nich bogactwo pomysłów twórczych, iż może być zaliczony do najpłodniejszych malarzów całego świata, a przytem do najszczerzych, najbardziej samorzutnych, gdyż wszystko, co utworzył wysnuł bezpośrednio z własnej duszy z przepełniającego ją nadmiaru religijnych wyobrażeń, idei i uczuć.

Jakże interesująco w pracy Gastona Sortais uzupełniona jest ta charakterystyka świątobliwego i genialnego mistrza przez charakterystykę nedorównywającego mu ani geniuszem ani świętością, choć wysoce też uzdolnionego i szczerze religijnego ucznia.

Benozzo Gozzoli czyli właściwie Benozzo di Lesa di Sandro z dodanym mu później przydomkiem Gozzoli (1420—1497), podobnie jak Fra Angelico, wyobraża dobę przejścia od średnich wieków do odrodzenia: do pierwszej epoki należy przez kierunek i rodzaj swych natchnień twórczych, do drugiej przez właściwe jej udoskonalone środki techniki malarskiej, jakimi się posługuje. Był on również malarzem wyłącznie religijnym, ale o ileż mniej aniżeli Fra Angelico uduchowionym, ściślej z ziemskimi złączonym sprawami. Wynikało to zresztą już z jego charakteru jako człowieka świeckiego, ojca licznej rodziny, z którą bardzo przykładny wiódł żywot we Florencyi, w Montefalco i w Pizie. Ale i w usposobieniu artysty była wrodzona skłonność, pociągająca go ku bogatej pełni życia współczesnego, które chętnie wprowadzał do swych obrazów religijnych, popełniając przez to dziwaczne ale bardzo interesujące dla nas obecnie pełne charakterystycznych rysów epoki anachronizmy.

Urodzony we Florencyi, kształcił się naprzód na rzeźbiarza pod kierunkiem słynnego Ghibertiego, wcześniej jednak porzucił ten zawód, zwrócił się do malarstwa i został uczniem Fra Angelica. Udał się z nim do Rzymu, gdzie mu pomagał przy malowaniu fresków w kaplicy Mikołaja V-go; następnie pracował wspólnie z mistrzem nad freskami przyozdabiającymi katedrę w Orvieto. Od r. 1449 poczyną się okres samodzielnej jego twórczości, w której niebawem bardzo wyraźnie zaznaczyła się odrębna jego indywidualność artystyczna. Sortais słusznie go zowie opowiadaczem w malarstwie, gdyż istotnie ze szczególnem upodobaniem i z wielkim talentem przedstawia on na swoich obrazach fakty życiowe, które snuje nieraz długim szeregiem niby z wątku powieściowego. Naprzód w klasztorze i w kościele Franciszkanów w Montefalco odtwarzał w ten sposób niekiedy bardzo realistyczne żywoty świętych Hieronima i Franciszka z Assyżu. Nieba-

wem szersze otworzyły się przed nim zadania, z których wywiązał się bardzo szczęśliwie z wielką dla siebie chwałą.

Poruczono mu wykonanie fresków w kaplicy Medyceuszów we Florencyi. Tematem był pochód Trzech Królów do Betleem. Benozzo, nie troszcząc się zgoła o historję, przedstawił pochód współczesnego możnowładztwa florenckiego w całym przepychu jego bogatych ubiorów i uzbrojeń w otoczeniu licznej i strojonej służby, paziów, giermków, straży przybocznej. Cały ten długi i świetny orszak, mieniający się jaskrawością barw, blaskiem złota i drogich kamieni, rozwija się wśród typowego krajobrazu włoskiego, na którym tu i owdzie widać wspaniałe wille, malownicze wioski, wzgórza, doliny, gaje. W oddali jeleni pomyka, a za nim pogoń myśliwców, ptaki unoszą się w powietrzu, wszędzie bujne życie rozciąga się i wre dokoła.

I zawsze w podobny sposób przedstawiał Benozzo tematy religijne, dając im za tło przyrodę i życie swego kraju i swej epoki. Głównem jego dziełem z czasów późniejszych przepyszne freski w pizańskim Campo Santo: »Olbrzymia epopea biblijna«, jak się wyraża Sortais, zawierająca sceny pełne wdzięku, jak małżeństwo Izaaka i Rebeki, uroczyste i gwarne jak budowa wieży Babel lub groźne i tragiczne, jak zburzenie Sodomy. We wszystkich mnóstwo ruchu i życia, mnóstwo charakterystycznych szczegółów i dosadnych epizodów, a w artystycznym ich wykonaniu przy wielkiem bogactwie pomysłów harmonia i jasność układu obok wysoce udoskonalonej techniki malarskiej. Anachronizmy Benozza, odtwarzanie przedmiotów ewangelicznych i biblijnych, a także życia świętych z pierwszych wieków chrześcijaństwa (np. św. Augustyna) w formach i wśród stosunków życia otaczającego artystę — to ogólna właściwość sztuki średniowiecznej, która dzisiaj nas razi, ale bardzo była naturalna u ludzi pozbawionych naszego wykształcenia historycznego, a w swej wierze naiwnej tak przejętych faktami mającymi związek z religią, iż te zdały się im jakby obecne, dokonywujące się wciąż w życiu realnem. Zresztą, niezależnie od tych przyczyn, działała tu i pewna osobista skłonność wielu artystów, którzy jak Benozzo z natury swych uzdolnień i usposobień wewnętrznych mieli dążność do odtwarzania życia otaczającego, ale, przejęci nastrojem duchowym swej epoki, jedynie przedmioty religijne poczytywali za godne uwiecznienia w sztuce. Stąd wynikły te dziwne, a jednak tak naturalne anachronizmy malarstwa średniowiecznego dzięki którym freski Benozza uprzytomniają nam tak żywo ludzi i stosunki współczesnej nam epoki, a jednocześnie dają nam odczuć

zasadniczy jej nastrój religijny, przenikający wszystkie natchnienia artysty i panujący przemożnie nad otaczającymi go ludźmi pełnymi wiary głębokiej, zwróconymi całą mocą swych uczuć i pragnień ku złączonym z nią wyobraźniom i wspomnieniom.

Tak więc uczeń, choć z wielu względów bardzo różny od mistrza, nie przeniewierza się odziedziczonej po nim sztuce, owszem uzupełnia ją poniekąd, odtwarzając na swój sposób a z jednakim petyzmem główny, religijny motyw jej twórczości. U Fra Angelika motyw ten ukazuje się nam w najczystszej swej postaci wysoko wzniesiony ponad ziemią, przeniknięty ekstazą wiary mistycznej, opromieniony blaskiem świętości, — u Benozza widzimy go w bezpośrednim zetknięciu ze sprawami ziemskimi, tak iż te zdają się niekiedy na pierwszy plan występować w bogactwie swych kształtów różnorodnych, w świetności swych barw i blasków, ale w istocie rzeczy wszystkie one przez uczucie szczerej wiary i pobożności podporządkowują się religijnym faktom i nastrojom duszy. Cała wspaniałość dworu Medyceuszów, wszystkie bogactwa patrycyatu florenckiego na fresku Benozza służą tylko do uświetnienia stajenki betleemskiej i dokonanej w niej wielkiej tajemnicy wcielenia Bożego.

Dusza chrześcijańska naszych czasów, która od schyłku średnich wieków tyle przeżyła zwątpień i tyle zaprzeczeń, jakże mało jest zdolna do świętej ekstazy, promieniejącej z utworów wielkiego mistrza z Fiesole i do szczerej, naiwnej wiary, przenikającej twórczość jego ucznia florenckiego. Duch zwątpienia zaślepił nawet często ludzi nowożytnych na skarby artyzmu zawarte w dawnej sztuce chrześcijańskiej; znakomici jej przedstawiciele, jak Fra Angelico i Benozzo Gozzoli, przez długi czas zupełnie byli zaniedbani i zapomniani. Przywróceniu zostali do czci w historyi sztuki z jednej strony przez postęp kultury estetycznej rozbudzający wrażliwość na różne style i różne typy piękna — z drugiej przez zwrot do promieniejącej z ich tworów wiary chrześcijańskiej, która nieraz omdlewała w sercach ludów Europy, ale nigdy całkiem w nich nie zamarła.

Ten dwoisty stosunek do dzieł wielkich mistrzów średniowiecznych nieraz ujawniał się w uczuciach i sądach ich wielbicieli. Czyż trzeba dowodzić, iż szarmonizowanie obu jego stron: wrażliwości estetycznej i uczucia religijnego jest nastrojem jedynie odpowiadającym pełnemu działaniu tej wielkiej sztuki przez wielką wiarę natchnioną?

Z takiego harmonijnego zrozumienia jej i odczucia powstało piękne dzieło p. Gastona Sortais o dwóch znamienitych jej przedsta-

wicielach. To też, jakkolwiek nie odznacza się ono ani szczególną głębokością myśli, ani wyższemi zaletami formy literackiej, jako owoc dokładnej znajomości przedmiotu i wniknięcia w jego wewnętrzną treść duchową pożyteczne jest ono wielce i pouczające tem bardziej, że piękna forma wydawnicza i liczne, dobrze wykonane odbicia dzieł obu mistrzów przyczyniają się niemało do uprzytomnienia nam rozwoju ich twórczości.

Walery Gostomski.

Grundzüge des kath. Kirchenrechtes. Erste Abteilung. *Haring Ioh. B.*, Dr. theol. et iur. Graz 1906. Verlag von U. Moser. Str. VIII, 310.

Podręczników prawa kościelnego, uwzględniających także stosunki austriackie, posiadamy niemało. Z nich jednak niektóre, jak np. Pachmanna, Permanedera, Ginzla, Schöpfa, Rittnera w znacznej części już są przestarzałe, a z najnowszych cenne *Compendium iur. eccl.* Aichnera dla samego języka łacińskiego, w którym jest pisane, nie cieszy się sympatją wszystkich. *Handbuch d. K. R.* Scherera nie do czekało się ukończenia i dla uczących się jest stanowczo za obszerne, a Grossa *Lehrbuch f. K. R.* więcej ma na oku potrzeby prawników, niżeli kapłanów, a w szczególności duszpasterzy. Wobec tego zdaje nam się zupełnie usprawiedliwionem pojawienie się na półkach księgarskich nowego podręcznika, w którym autor, jak to sam w przedmowie zaznacza, »nie zamierza dać ze wszech stron wyczerpującego przedstawienia przedmiotu, lecz tylko wprowadzić słuchaczy teologii w naukę prawa kościelnego«.

Biorąc za podstawę prawie ogólnie już przyjęty podział prawa kanonicznego na prawo publiczne i prawo administracyjne, autor poświęca pierwszą część swego dzieła nauce o ustroju kościelnym, a w szczególności zajmuje się stanem laików i kleryków (str. 115—173), urzędami kościelnymi (str. 173—290) i synodami (str. 290—301). Główną tę część pierwszego tomu poprzedzają wstępne pojęcia prawnicze, teologiczne i kościelno-polityczne czyli o stosunku państwa do Kościoła, oraz nauka o źródłach prawa kościelnego.

Praca Haringa zasługuje na szczere uznanie. Gruntowność i samodzielność, jasność i przejrzystość, świeżość i zwięzłość języka — oto główne i niepospolite jej zalety. Szczególniejszą wartość nadaje książce okoliczność, że uwzględnia stosunki państwa austriackiego. Aby podręcznik prawa kościelnego dla kapłana pracującego zwłaszcza w duszpasterstwie, miał wartość aktualną, jest niezbędnem uwzględnienie nie

tylko partykularnych praw kościelnych, lecz także ustaw cywilnych kraju, w którym żyje i pracuje. Nie tylko wiedzieć powinien, o ile ustawy świeckie w pewnej materii zgadzają się lub różnią od prawa kościelnego i w jaki sposób można uniknąć kolizyi między temi prawami, ale przede wszystkim znać powinien prawa, jakie jemu i Kościołowi samo państwo przyznaje lub daje, by ich w danym razie mógł bronić nie tylko ze stanowiska kościelnego, lecz także ze stanowiska prawa cywilnego. Bez wątpienia najświetniejszą część książki stanowią: przedstawienie rozwoju stosunków kościelno-politycznych w Austrii (str. 52—60) i rozdziały o kapitułach katedralnych i kolegiackich (str. 246—260), o dziekanach (str. 270—275), proboszczach i ich pomocnikach (str. 275—287). W podaniu literatury ogranicza się autor wogóle do wskazania najgłówniejszych monografii w danym przedmiocie i kilku nowszych najwybitniejszych dzieł, jak np. Wernza, Sägmüllera, Scherera; pojedyncze zasady prawne i twierdzenia swoje uzasadnia główniejszymi tylko tekstami źródeł prawa kościelnego. To *minus* znajdzie usprawiedliwienie w samym założeniu książki. Najważniejsze kwestye sporne porusza autor bądź w tekście bądź w przypiskach i wypowiada wobec nich swoje zdanie w słowach krótkich i jędrnych. Trafne i wcale przekonywujące są zapatrywania autora w kwestyach najbardziej aktualnych, np. o seminariach duchownych i studiach uniwersyteckich (str. 120), o celibacie księży katolickich (str. 163 sq.), o potrzebie państwa kościelnego (str. 201). Wszędzie poznać wytrawność prawnika i kanonisty i stanowisko autora na wskrós kościelne, katolickie. Dalekim jednak jest autor od wszelakiego niepotrzebnego i nieuzasadnionego rygoryzmu.

Zauważyliśmy wprawdzie także kilka niedokładności w książce Haringa, ale są one podrzędne i wartości i nadzwyczajnej pożyteczności dzieła wcale nie obniżają. I tak odprawianie ćwiczeń duchownych przed święceniami tylko prawem partykularnem jest przepisane (str. 125). Obowiązek celibatu rozciągnięty został na subdyakonów nie dopiero w XII w. (str. 41). Nie wszyscy, którzy przy niedozwolonym powtórzeniu chrztu usługują, popadają w *irregularitatem* (str. 140). Decyzya *cap. 2, X, de apost. et reiter. bapt. X, 9*, na którą autor się powołuje, mówi tylko o akolicie i zabrania go święcić w tym wypadku, gdyby występki powtórzenia chrztu był notoryczny. Również apostazya od zakonu (str. 141) naszym zdaniem nie pociąga za sobą *irregularitatem*. Do str. 126, IV dodaćby można, jako rzecz w kościele zresztą niesłychaną, przywilej przyjmowania wszystkich święceń wyż-

szych od subdyakonatu do kapłaństwa włącznie w jednym i tym samym dniu, jakiego Franciszkanom w Bośni dla nadzwyczajnych, teraz już nie istniejących powodów, udzielił Paweł III brewem *Dudum felicis* z dnia 30 maja 1544, i który po Soborze Trydenckim potwierdził Pius IV brewem *Circa religionem* z dnia 1 grudnia 1564 (por. Wadding: *Annal. Minor.* t. 18, p. 381, t. 19, p. 588).

Ks. Jan Roth.

Dictionnaire de poche. Français-Polonais et Polonais-Français. Par le Prof. Oskar Callier. Leipzig. Otto Holtzes Nachfolger 1906. Tom I, str. 478. Tom II, str. 478.

Wymagania, jakie słownikowi języka kulturalnego można stawiać, są tak różnorodne i daleko idące, że ten dokazał wiele, kto przynajmniej po części potrafił je zaspokoić. Otóż co się tyczy słownika p. Callier możemy powiedzieć śmiało, że mu się to udało nie tylko w pewnym, ale prawie w każdym kierunku, tak, że długoletnia i żmudna jego praca — to w swoim rodzaju coś wykończonego i doskonałego.

Żaden język europejski czy to starożytny czy też nowoczesny nie został dla użytku Polaków zestawionym z językiem polskim tak wyczerpująco i krótko zarazem, — tak gruntownie a jednak bez pedanteryi i niepotrzebnego balastu, — tak naukowo a przytem praktycznie, jak język francuski w książce p. Callier. Nie przestając być słownikiem kieszonkowym, co tytuł jego zapowiada, jest ten słownik, mimo swej niepokątej objętości, prawdziwą skarbnicą źródłosłów, form pochodnych, zwrotów, wyrażen w obu językach charakterystycznych, tak, że na zwykłe, codzienne potrzeby może on zastąpić wielotomowy słownik francuski Littrego i polski Lindego, pokrewny mu swym rozmachem.

Dlatego też polecamy czytelnikom naszym jak najgoręcej, aby się zapoznali z tym nowym nabytkiem językoznawstwa polskiego. Nie pożałują oni tego choćby dla samej zewnętrznej formy, zgrabnej i łatwej do użycia, — dla czcionek typu francuskiego, nie męczących oczu, — dla łatwej w korzystaniu orientacyi. Na pierwszy rzut oka wiemy, jaki jest źródłosłów, gdzie forma pochodna, gdzie objaśnienie gramatyczne. Te ostatnie, przynajmniej w znacznej części, skrócone wedle możliwości, figurują u góry, drukiem drobniejszym. Stąd komu o nie nie chodzi, ten z łatwością je przeskoczy. Szkoda tylko, że p. Callier nie trzymał się tej zasady przy wszystkich objaśnieniach natury czysto gramatycznej (*abl., acc., dat., fut. o. i t. p.*). Podobnie pogładowość

i przejrzystość słownika zyskałaby wiele, gdyby objaśnienia natury rzeczowej, jak: anat., bud., muz. i t. d. różniły się zewnętrznie od uzupełnień samego tekstu, podawanych tak samo jak i one w nawiasie kursywą. Możeby się dało uwydatnić je w znacznej części hieroglifami na sposób tych, które spotykamy np. w słowniku francusko-niemieckim Sachs-Villatte albo w Encyklopedyi powszechnej Herdera.

Ponieważ ten słownik nie jest przeznaczony dla użytku cudzoziemców, tylko dla Polaków — czego dowodzą choćby same skrócenia, w obu częściach podawane po polsku (o ile tu i ówdzie autor nie uważał za odpowiedniejsze oprzeć się na języku łacińskim) — więc poczytujemy mu za zasługę, że co do pisowni polskiej w niektórych punktach spornych przeprowadził konsekwentnie zasadę fonetyczną, pisząc np. Anglja, djabeł, tragedia, przez *j*, gienerał, ewangelia — przez *ie*, a *y* zamiast *é* pochylonego. Gramatyki, a jeszcze bardziej słowniki, są drogą najpraktyczniejszą do przeprowadzenia tych zmian językowych, przed którymi konserwatyzm starszych generacyi się wzdryga, które jednak prędzej czy później wprowadzone być muszą, bo wypływają z ewolucyi, będącej następstwem koniecznem żywotności każdego języka żywego.

Ks. Aleksander Mohl.

Figures byzantines: La vie d'une impératrice à Bysance. Athénaïs. Théodora. Irène. Les romanesques aventures de Basile le Macédonien. Les quatre mariages de l'empereur Léon le Sage. Théophano. Zoé la Phorphyrogénète. Une famille de bourgeoisie à Byzance. Anne Dalassène. *Charles Diehl*, professeur adjoint à l'Université de Paris. Paris. Librairie Armand Colin 1906, str. 342.

Trudno dziś wyliczyć wszystkich poważnych historyków pracujących nad dziejami Wschodniego Cesarstwa — począwszy od monumentalnych publikacyi francuskich Schlumbergera, Rambaud, Bréhier i t. d., angielskich prac sympatycznego p. Ramsay, a kończąc na rosyjskich Wasilewskiego, Rosena i wielu innych z różnych narodowości. Zda się, jakoby jakiś prąd niewidzialny pchał w tę stronę umysły uczonych, znużonych ulicznym gwarem polityki współczesnej i nasłuchujących ciekawie, jak taki gwar brzmiał przed dziesięcioma wiekami w świecie, z którego wszystko zniknęło na zawsze. Stary Rzym był wielokroć strатовany nogą barbarzyńców, stał długie, długie lata otworem pod moralną tylko strażą papieży, zaznał więcej burz niż Bizancjum — a przecież z przeszłości jego pozostało więcej; pozostał cały

pokład gmachów i oświaty, na którym dalej budowały dzieje. Snać Hunowie, Gotowie i Wandalowie mniej ciężką mieli rękę od Islamu, który tak zrównał z ziemią chrześcijańską cywilizację Wschodu, iż jeszcze trochę, a byliby ludzie zapomnieli, że kiedykolwiek istniała.

Czy w tem jedynie winą Islamu? Czy nie zawinił i wyłączny nacisk, kładziony przez setki lat na starą kulturę pogańską, rzymską i grecką, a z nim zakorzeniony błąd historyczny, że to wiara Chrystusowa zdusiła starożytną sztukę? Przesąd ten i dziś u niektórych istnieje; sam prof. Diehl snać go dzieli, skoro go spotykamy wraz z przytoczonym ustępem z Renana, w rozdziale o *Athénais*. Jest to wszakże jedyny raz, co się w całej książce objawia przypominając w nieprzyjemny sposób »Zgon bogów« Mereżkowskiego. Od żalu do kultury grecko-chrześcijańskiej, do wzgardzenia jej bardzo blisko, a od pogardy do zapomnienia jeszcze bliżej... Cóż zatem wskrzesiło zajęcie się Cesarstwem Wschodniem? Najprawdopodobniej odkrycie a raczej przypomnienie sobie historii bizantyńskiej Michała Psellośa. Ów autor z XI wieku posiada w niezwykłym stopniu dar, dzięki któremu długo od-mawiano powagi Herodotowi: umie opowiadać żywo i barwnie, a choć, opowiadając w znacznej części to na co patrzył i służąc dwom basileusom sam przeżył, musi być niekiedy stronniczym — lepszy taki sąd, takie drgające życiem wrażenia, niż martwa, z trzeciej lub czwartej ręki relacja. Obok Psellośa jest drugi historyk Skylices i trzeci Zonaras; jest co niemiara historyków armeńskich, ci jednak bardziej surowi czy nawet złośliwi a mniej obrazowi, nie cieszą się równą z nim sympatją.

O ile można wiedzieć, p. Diehl głównie z Psellośa, nie licząc wielkich dzieł nowoczesnych, czerpał materyał do swej galerii bizantyńskich obrazów. Są to bowiem obrazy całe a nie tylko portrety, jakby się z tytułu zdawało. W dwóch tylko dotyczących Ireny i Theodory, żony Justyniana, więcej jest psychologicznej frazeologii, niż faktów; w innych główne figury ukazują się na bogatym tle, uwydatniającem ich rysy we właściwym świetle i znaczeniu tak, iż nie zasłaniają sobą swego otoczenia, co się tak często w monografiach wydarza.

Pierwszy obraz jest bezosobowy, przedstawia bowiem ramy w jakich obracało się życie monarchii bizantyńskich, owo gineceum, niepodobne wcale do haremu, ale raczej do pałaców z »Tysiąca i jednej nocy«, z ważnym dodatkiem, iż zamieszkujące go kobiety wychodziły gdzie i kiedy chciały, przyjmowały kogo chciały i kogo z urzędu przyjmować musiały, brały udział w ceremoniach i zabawach dwor-

skich, a nawet prowadziły nieraz swoją politykę osobną. Nie było śladu odosobnienia zamykającego niegdyś pogańską Greczynkę, w ciasnej klatce drobnych obowiązków i zajęć: kobieta bizantyńska wprawdzie pobierała tylko w domu nauki, które mogła następnie uzupełnić jak chciała, żyła jednak całą pełnią życia, często bardzo nawet górując nad mężem siłą rozumu i woli. Na żadnym tronie nie przeszło tyle rządów niewieścich i — nie były gorszymi od innych. Pałaców cesarskich było kilka w Konstantynopolu: Augusteion, Bukkoleon, Mangane i t. p.; najpiękniejszą atoli była zda się, najczęstsza rezydencya basileusów nazywana »Świątym Pałacem«. Główne jego bogactwo stanowiły mozaiki tworzące u stóp niby wzorzyste kobierce »rzekłbys łąki umajone kwiatami«, a malujące ściany i sklepienia w religijne i historyczne obrazy. Cesarz posiadał apartamenta zimowe dobrze zamknięte i obwieszane w miarę potrzeby oponami z aksamitu i złota; letnia sypialnia zaś otwierała się arkadami z drogich marmurów na czarodziejskie ogrody, pełne chłodu i szmeru wód. Gineceum, to jest mieszkanie cesarzowej i innych księżen łączyło się z komnatami cesarza, podobnie jak dwór męski mieszał się bezustannie z niewieścim dworem. Cesarze jednak zazwyczaj nie bardzo trudnili się tem, co się działo w żeńskiej stronie pałacu; basillissa miała nawet swój majątek osobny, którym rozporządzała bez niczyjej kontroli. Dziwny to był zaiste ten dwór bizantyński! Niejeden »autokrator, Isapostol, Przedstawiciel Boga na ziemi« i jak się jeszcze tytułowali wschodni »rzymscy« cesarze, doszedł do purpury siłą czystego przypadku, niejeden urodził się w biedzie — a już cesarzowa Augusta, która obok niego, a nieraz i sama zajmowała tron, ta zawsze, z reguły zawdzięczała swe wyniesienie chwilowemu upodobaniu lub kaprysowi. Rzecz działa się tak, że gdy basileus miał się żenić z woli własnej, lub woli matki czy siostry, wtedy rozsyłano po całym cesarstwie w poszukiwaniu najpiękniejszych dziewcząt bez różnicy stanu; gdy zaś tak upolowane piękności przybywały (zwykle z rodzicami) do Konstantynopola, czyniono między niemi selekcję i tę dopiero ukazywano młodemu cesarzowi, który po zamianie kilku słów z każdą, czynił swój wybór. Łatwo się domyśleć, że i tu intryga i uprzedzenie odgrywały swą rolę. Szczęśliwa oblubienica bywała koronowaną, wyprowadzaną w szatach cesarskich na balkon, gdzie przyjmowała hołdy ludzi, a następnie do Św. Zofii, gdzie jej z kolei bili pokłony wyżsi dostojnicy. Potem dopiero odbywał się ślub, tak, że gdyby basileus był nagle zmarł przed zawarciem związku, ona będąc już cesarzową, byłaby mogła za-

chować swe dostojęństwo, a nawet gdyby umiała zyskać popleczników, zachować tron i podzielić go z nowym małżonkiem. Dzieci cesarskie winny były rodzić się w pewnej komnacie, wyłożonej porfirem i stąd ich nazwa »porfirogenetów«, przysługująca tylko tym, którzy przyszli na świat podczas panowania ojca. Syn urodzony za życia poprzedniego monarchy »porfirogenetem« być nie mógł. W tygodni po urodzeniu ozdabiano komnatę cesarzowej w złotogłów i perły i oświetlano drogocennymi lampami, poczem cały dwór męski i żeński przesuwiał się składając poklony matce a podarki dziecięciu. Żniwo to musiało być nie lada zważywszy kolosalne fortuny posiadane przez bizantyńskich panów.

Z tych rzadko który był Rzymianinem lub Grekiem; większość ich pochodziła z Armenii lub rekrutowała się z różnej narodowości królewskich jeńców, którym w zamian za utracone państwa dawano pałace w stolicy i ogromne dobra z zamkami lub z całemi miastami. Najwięcej takich wielkich wasali, trzymających się ściśle między sobą, było w Anatolii; stąd też zazwyczaj wychodzili pretendenci do tronu, co zmuszało cesarzy do ciągłego dozoru tej pięknej, bogatej, a niebezpiecznej prowincyi. Cesarz Bazyli II, z dynastyi macedońskiej usiłował osobnem, a w gruncie niesprawiedliwem ułożeniem podatków zmniejszyć nieco te fortuny; sam jednak, a raczej jego dynastya zawdzięczała jednej z nich dziwne swe powołenie, założyciel jej bowiem Bazyli I gdy jeszcze był koniuszym krewnego cesarskiego Teofiliscesa wpadł był w łaski niemłodej wdowy, Greczynki, nazwiskiem Danielis, która go wyposażyła dostatnio, a umierając zapisała synowi jego 80 kilka majątków ziemskich, tysiące niewolników, z których 3.000 obdarzywszy wolnością wysłał do Włoch na kolonistów, a prócz tego takie skarby w złocie, klejnotach, sprzętach i drogich tkaninach, tak, że wysłańcy cesarscy nie wiedzieli jak do inwentarza przystąpić. A była to tylko część majątku, bo resztę zabrał syn zmarłej...

Na skarbach nagromadzonych w rękach cesarskich i prywatnych zyskały najwięcej kościoły i monastery. U niektórych basileusów owe kosztowne budowle stawały się rodzajem manii: np. Roman Argyros, mąż »porfirogenetki« Zoe, gwoli im gnębił lud podatkami, a nigdy nie zadowolony ze swego dzieła kazał je burzyć i stawiać na nowo, aż tragiczna śmierć jego przerwała tę istną pracę Penelopy. Monastery zakładał kto chciał; p. Diehl opowiada między innemi dzieje zamożnej rodziny mieszczańskiej, gdzie wskutek egzaltowanej pobożności żony, imieniem Theoktisty, małżonkowie rozeszli się zakładając każde osobny

monaster i zabierając do nich nieletnie swe dzieci. Kilku chłopaczków, a między nimi uczony później Teodor ze Studionu, zostało postrzyżonych na mnichów. Sam ów Teodor opowiada z podziwem, jak matka surowo odepchnęła od siebie najmłodsze dzieciątko, tulące się jej z płaczem do łona.

Twierdzenie to atoli nie przeszkodziło, że gdy później mąż jej i synowie (wszyscy mnisi) byli prześladowani, więzieni i katowani dla sprawy Bożej, Theoktista z zapamiętałą gorliwością pracowała nad ich uwolnieniem a nie uzyskawszy go, dzieliła ich niewolę, pocieszając i wzmacniając do końca. Działo się to w IX wieku, a tak wtedy jak później wstąpienie do monasteru nie oznaczało koniecznie zakonnych ślubów. Obok takich, którzy je składali, byli inni, którzy przebywszy niejaki czas, czasem kilka lat w klasztorze, wracali do życia świeckiego. Wyjawszy epokę Ikonoklastów, mnisi bywali wielce czczeni u dworu; cesarz Nicefor — sam niemal mnich w koronie — utrzymywał z Ławrą na górze Athos bardzo bliskie stosunki; biedny Michał IV pokutując za śmierć Argyrosa, którego stara Zoé kazała w kąpieli utopić aby jego, młodego i pięknego poślubić — upokarzał się słowem i czynem, kładł na ziemi u stóp zakonników, całując ich nogi i szaty. Przed śmiercią przywdział habit, wyrzekając się światowych marności, pomimo, że Zoe żyła i nie myślała o żadnym klasztorze. Co prawda, adoptowany przez nią siostrzeniec męża Michał V kazał ją zamknąć i postrzyż w mniszki; zaledwie jednak była znów na wolności, pojęła trzeciego małżonka Konstantego Monomacha, lekkomyślnego i rozrzutnego, jak ona. Przyszło jej to niepojęcie łatwo, zważywszy opozycję stawianą przez Kościół wschodni powtórny ślubom. Pan Diehl przedstawia nam ją w całej pełni w szkicu zatytułowanym: *Les quatre mariages de Leon de Sage*. Ten następca Bazylego I miał nieszczęście z żonami. Pierwszej nie lubił, bo go nudziła zbyt surową dewocją; lekceważył ją, zdradzał i był rad, gdy jej zgon powrócił mu wolność. Pojął tedy ukochaną kobietę, ale i ta umarła nie dawszy mu syna. Leon VI był jeszcze młody, chodziło o dynastję a zarazem i o etykietę »Świętego pałacu«, wymagającą obecności Augusty, bez której mnóstwo ceremonii nie mogło się odbywać. Ale trzecie śluby uważane były wprost za rozpustę, więc cesarz pozostający wtedy pod wpływem mnicha Euthrymiosa wahał się długo. Wreszcie zdecydował się na skandal i na trzecią żonę, ale i ta niebawem umarła. Z czwartą było jeszcze gorzej; teraz Leon miał naprzeciw sobie nie już przyjaciela mnicha, ale patriarchę Mikołaja, człowieka ze szkoły Focysza.

Póki związek był nieprawidłowy, patryarcha ani się burzył ani protestował; przychodził nawet na obiady we trójkę do cesarskiego pałacu. Basileus jednak nie chciał żyć w grzechu; chciał ślubu i znalazł księdza, który mu go prywatnie udzielił, poczem natychmiast nowa cesarzowa została ukoronowaną a związek ogłoszony wszem wobec. Mikołaj odpowiedział klątwą: podwoje św. Zofii zamknęły się przed basileusem. Ten jednak miał na patryarchę dwie bronie; pierwszą była dawna sprawa udziału Mikołaja w buncie Dukasa, drugą — odwołanie się do innych patryarchów a przedewszystkiem do Rzymu. Stąd niebawem przyszła odpowiedź pomyślna: żadna ustawa kościelna nie wzbraniała kilkakrotnych ślubów. Wkrótce też przybyli legaci z zawiadzeniem wyroku. Leon tedy tryumfował, ale Mikołaj wściekły na ingerencyę Stolicy św. nie chciał ani klątwy odwołać, ani pozwolić cesarzowi wstępu do Kościoła. Dopiero po użyciu drugiej broni, to jest pociągnięciu go do odpowiedzialności za zdradę i przekonaniu go, że wyższy kler grecki nie stanie po jego stronie, udało się zwyciężyć upór patryarchy. Nie mógł nawet zachować swojej stolicy, bo już mu obrano zastępcę w osobie Euthymiosa, przyjaciela cesarza. Mikołaj pod naciskiem legatów i biskupów uległ; niemniej przeto poszedł na wygnanie i był spokój przez 7 lat t. j. do zgonu Leona (912). Wtedy atoli wszczęła się o opiekę nad młodym Konstantym VII walka między cesarzową-wdową Zoe a jej szwagrem Aleksandrem. Ten zwyciężył i wygnawszy Zoe z pałacu, przywołał napowrót Mikołaja. Patryarcha powrócił zięjący zemstą i gniewem; za jego poduszczeniem Euthymios złożony z godności, został w obecności Mikołaja zelżony i niemal zabity pięściami tegoż pachołków. Nadto pragnąc mieć odwet i wobec Stolicy św., wydał długi memoriał, potępiający zuchwale nie tylko postępowanie zmarłego cesarza, ale i »słabość Sergiusza III uwiedzionego przez kłamstwa legatów«. Następnie udzielał w nim nauki łacinnikom i żądał zadosyćczynienia za zgorzenie sprawione przez ten czwarty ślub, który mieniał być »czynem rozpusty, związkiem ohydny, zwierzęcym, sromotnym dla natury ludzkiej«. Tym razem skończyło się na odezwie, bo Aleksander niebawem umarł, Zoe wróciła do władzy i odtąd pomiędzy nią i stronnikami Euthymiosa z jednej strony a Mikołajem i przeciwnikami Rzymu z drugiej wszczęła się walka, która trwała do roku 920. Zakończyła się dzięki poparciu nowego basileusa Romana Lekapenosa, dzielącego tron z młodym Konstantym VII — zupełnem zwycięstwem Mikołaja. Czwarte małżeństwo Leona VI zostało unieważnione, podobny czyn zabroniony surowo na przyszłość —

wszystko to przed obliczem prawego basileusa, który w dodatku musiał co roku obchodzić solennie rocznicę aktu rzucającego srom na jego rodziców! Patryarcha był zadowolony, bo zrobił na złość Stolicy św. — i swemu monarsze!

Pan Diehl ugrupował swoje szkice chronologicznie tak, iż z pewnemi przerwami rzucają promyki światła na dzieje bizantyńskie od V do XI wieku, uwydatniając przeważnie choć nie wyłącznie postaci niewieście. Można by i z męskich typów, tak psychologicznie różnych, utworzyć ciekawą galeryę; portrety ich wszakże objęte są ogólnemi dziejami. Dla niewiast zazwyczaj potrzeba mniejszych ram, tylko te jedne kobiety bizantyńskie nie mogą się w nich pomieścić. Niektóre z nich widzimy w ciemnem odzieniu o kroju zakonnym, zasłuchane w śpiew psalmów, zapełniający z ich woli cesarskie pałace, to znów w ciężkich jedwabiach klejnotami zasianych, wydające z wysokości tronu wyroki. Inne, jak piękna Zoe lub Theophano, strojne w powiewne szaty i sploty złocistych włosów, wesołe, lekkomyślne, rzucające złoto pełnemi garściami i nie wahające się nawet przed zbrodnią dla zaspokojenia kaprysu. Ten ostatni rodzaj rzadszy; tak na tronie jak zda się w sferach prywatnych przeważa typ kobiety rozumnej, silnej, niesłuchanie energicznej i często ambitnej dla siebie albo dla swoich. Nie mówiąc już o pierwszej Theodorze, o Irenie, która się tytułowała basileusem rzymskim i o wielu innych opisanych w tej książce warto jeszcze zwrócić uwagę na dwie pokrewne sobie duchem postaci Theodoty, matki Michała Psellosa i cesarzowej Anny Delassenos matki Komnenów. Obu im wdzięczni a ulegli synowie postawili pomniki opisując ich cnoty, obie były głowami swych domów, obie po życiu poświęconem powodzeniu i chwale swych dzieci, skończyły w murach klasztornych. Mówiąc o matce Psellos równocześnie odślania stosunki domowe rodziny średniej klasy i majątku: ojciec szlachcic żyjący ze swego urzędu, pocziwy, dobroduszny i małoznający; matka, posażna mieszczańska, surowych cnót, pobożności ascetycznej, kierująca interesami a zarazem i wychowaniem dzieci. Douczając się sama, służyła synowi za korepetytora, objaśniała ciemne ustępy, pomagała zwyciężyć trudności. Jej woli i wpływowi zawdzięczył, że mu radzące nad jego karierą zgromadzenie familijne pozwoliło nauk dokończyć; ona potem pchała go do wyższych posad, w których miał chlubnie się wstawić podczas odrodzenia nauk za Monomacha i za jego dwóch pierwszych następców. Anna Delassenos prowadzi nas w epokę wielkiej walki między stronnictwem wojskowem a zmurszałą

biurokracya, która rozpanoszywszy się w Bizancyum od zgonu Bazylego II prowadziła rządy twarde dla swoich a miękkie dla wroga. Prowincye jęczały pod brzemieniem podatków, wymuszanych łapówek, konfiskat i kar pieniężnych. Wojny zaś gdy tylko było można oddawano układami, obietnicami, złotem; w każdym zwycięskim wodzu podejrzewano wroga, w armii widziano raczej niebezpieczeństwo, niż podporę. Komnenowie i matka ich stali po stronie wojska; wyniesienie swoje zawdzięczyli własnym czynom wojennym i jej politycznym staraniom. To też Aleksy wstępując na tron dał jej udział w honorach i władzy, był przez lata całe prostym wykonawcą jej woli. Gdy zaś Anna spostrzegła, że jej przewaga zaczyna ciężać synowi, sama oddała berło i usunęła się w ciszę monasteru, do której pono całe życie wzdychała — w krótkich przerwach swych doczesnych zabiegów.

Książkę p. Diehla czyta się lekko — można z niej nabrać zaciekawienia do poważniejszych dzieł historycznych w dziale bizantyńskim. Należałoby mu zarzucić parę drobnych pomyłek, wyglądających wszakże raczej na wynik chwilowej nieuwagi, niż nieświadomości. Jedynym poważnym zarzutem jest ten ustęp o kulturze pogańskiej — tak rzadko jednak spotyka się teraz książkę nieposzlakowaną pod względem religii, iż jest się prawie wdzięcznym autorowi, że na tych kilku słowach porzesał.

T. Wodzicka.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Benedicti XIV. Papae opera inedita. Primum publicavit *Dr. Fr. Heiner.* Friburgi Brisgoviae. Herder. 4-ka (XVI i 464).

Dzięki wydawcy, powiększyła się znów liczba cennych prac, wyszłych z pod pióra wielkiego papieża-pisarza. W skład nowo wydanego dzieła wchodzi prace: *De Graecorum Ritibus* (po łacinie), *De Festis Apostolorum*, *De Sacramentis* (po włosku). Wartość tych dzieł, jak i innych Benedykta XIV, stanowi zdumiewająca erudycja, olbrzymi materiał historyczny, nadzwyczajna sumienność w przedsta-

wieniu rzeczy. Bogactwo historycznych szczegółów podziwiamy zwłaszcza w II-giej części t. j. *De Festis Apost.* Skutkiem tego część tę należy powitać, jako ważne źródło do studyów heortologicznych (o świętach kościelnych). Cz. I z licznymi wzmiankami o różnych wschodnich obrządkach, rzuca przedewszystkiem wiele światła na wzajemny stosunek obrządku łacińskiego do greckiego najdawniejszych czasów. Znosił wprawdzie Rzym niektóre zwyczaje greckie, jako nieodpowiadające duchowi jednej świętej wiary, atoli względem wszyst-

kich innych zachował wielką cześć i poszanowanie. Bez błędu historycznego można powiedzieć o tem, wieki trwającym, współpożyciu, co zanotował o swych czasach Leon IX: *Nul-lum (sc. monasterium vel ecclesia Graecorum) ... perturbatur vel prolibetur a paterna traditione, sive sua consuetudine; quin potius suadetur et admonetur eam observare.* Str. 12.

Wreszcie cz. III, jest to nad wyraz poważne studyum o Sakramentach św., opracowane wszechstronnie tak pod względem dogmatycznym, jak moralnym, kanonicznym, historycznym. I tu jest Benedykt XIV wielkim znawcą obydwu obrządków kościelnych.

K. F.

De Evangeliorum inspiratione. De dogmatis evolutione. De arcani disciplina. Auctore P. Reginaldo Fei O. Pr., Professore in Univ. Friburg. apud Helvetias. Paris 1906. Beauchesne. 8-ka, str. 114.

Już ta okoliczność, że trzy tak aktualne i trudne kwestye obrał autor za przedmiot swej broszury, wskazuje, że nie chodzi tu o wyczerpujące studyum, ale raczej o referat, mający poinformować o nowszych poglądach na wspomniane zagadnienia. Trudno stąd, na podstawie tego dziełka wyrobić sobie jakiś sąd sprawiedliwy i jasny o tych spornych kwestyach, jakkolwiek autor zdaje się mieć zamiar rozwiązania tychże, skoro na czele dziełka wypisał hasło: *Doctrinis variis et peregrinis nolite abduci.* Hebr. 13, 9.

»Natchnienie Ewangelii« obejmuje trzy rozdziały, dość niesystematycznie określone. Pierwszy i trzeci rozdział zawiera pojęcia ogólne o istocie irozeciągłości natchnienia wogóle, drugi (od str. 27—34) stanowiący ósmą część rozprawy, nosi ten sam tytuł, co cała

praca, i zajmuje się faktami natchnienia Ewangelii. Pod względem oryentalnym wobec dzisiejszych kontrowersyi dziełko to ma praktyczną wartość, choć nie może iść w porównanie z pracą O. Pescha *De Inspiratione Scripturae Sacrae.* 1906.

Kwestya o rozwoju dogmatów roztrząsaną była żywo w ostatnich latach, i to szczególnie we Francyi. Czasopismo *La Quinzaine* 1905 umieściło całą kontrowersyę naukową, którą wywołał w kwietniu 1905 roku Edward Le Roy. Ks. Fei zestawia krótko rozmaite poglądy nowszych pisarzy, poddaje je krytyce i wykazuje, że można, owszem trzeba przyjąć rozwój dogmatów, ale rozwój taki, który wyklucza wszelką istotną zmianę. Bliższego określenia takiego rozwoju autor nie daje, poglądy zaś nowsze zdaje się lekceważyć, skoro nie wyciąga z nich tego ziarenka prawdy, które w nich się kryje i z pożytkiem dałoby się wyzyskać.

W kwestyi dawnej praktyki ukrywania tajemnic wiary wobec heretyków i katechumenów, skłania się autor do zdania d-ra Battifol, który przyjmuje istnienie tej praktyki w okresie od końca II aż do V wieku i przypisuje jej znaczenie czysto pedagogiczne. Należałoby zaznaczyć, że dotąd w tej kwestyi nie wypowiedziano jeszcze ostatniego słowa.

Przyznajemy, jak już wyżej nadmieniono, dziełku wartość informacyjną, zwłaszcza dla słuchaczy teologii dogmatycznej. Rzeczą profesora będzie dać bliższe wskazówki dla wyrobienia sobie sądu, zwłaszcza w pierwszym i drugim zagadnieniu. Styl jest zrozumiały i potoczny; rażą dość liczne błędy drukarskie, nie sprostowane na końcu, a zwłaszcza nieznośna interpunkcja.

Ks. E. M.

Museum biblických starožitností. Napsal *Dr. Jaroslav V. Sedláček.* Praga, Księgarnia Fr. Rivnáče. 1906. 4-ka, str. 118.

Że Muzeum biblijne, mające ułatwić zrozumienie ksiąg tak Starego jak i Nowego Zakonu, zostało przez towarzystwo dla szkół niedzielnych urządzone w Londynie, może już nie jeden wiedział, że także Niemcy od niedawna w Jerozolimie podobne Muzeum urządzają, zapewne również już niejednemu wiadomo, że zaś takowe, choć w skromnych rozmiarach, znajduje się w seminaryum arcybiskupiem w Pradze, dowiadujemy się dopiero z niniejszej pracy bardzo praktycznej i pouczającej. Autor na początku swej pracy umieścił kilka fotografii przedmiotów znajdujących się w Muzeum praskim, między którymi znajduje się np. tefillin, tallith, model pługa i jarzma, modele: domków wschodnich, bramy miejskiej, świątyni, nowej i starej Jerozolimy; obrazy różne, przedstawiające mieszkańców krajów wschodnich i miejsca święte; płody ziemi świętej, zwój z Pismem św. Starego Zakonu, płótno, na którym Mizrach z Jerozolimy i t. d. Niektóre z tych przedmiotów są modelami zrobionymi według wzorów znajdujących się w Muzeum londyńskim, inne autor niniejszej pracy przywiózł sam z Ziemi świętej. W pierwszej części swej pracy autor na podstawie Muzeum praskiego omawia różne zwyczaje, urządzenia, pomniki kultury wschodniej, szczególnie żydowskiej. Tak np. mówi o mieszkaniach wschodnich, o trybie życia w Palestynie, o grobach i grobach, o świątyni i synagogach, o sprzętach domowych i płodach ziemi, przyborach pasterzy, o kalendarzu wschodnim i t. d., pokazując wszędzie, jak muzeum przyczynia się do łatwiejszego i przystę-

pniejszego zrozumienia Pisma świętego. Krótkie ale treściwe te wywody, zdradzające wielką znajomość biblijnych starożytności i wschodnich zwyczajów, przeczyta nie tylko laik ale i uczony egzegeta z wielkim pożytkiem i dla tego ostatniego będą wielką zachętą, aby sam o założenie takiego muzeum biblijnego się postarał. W drugiej części swej pracy dodał autor krótki opis świąt biblijnych u Żydów, podając krótki zarys ich historycznego rozwoju i omawiając liturgiczne przepisy i zwyczaje dla tych świąt. Nie tu wprowadzić autor nowego nie podaje, ale wszystko jasno i pięknie zestawione.

Praktyczna ta praca z pewnością cel swój osiągnie i jest chlubnym świadectwem dla arcyb. seminaryum praskiego.

A. S.

Analekta sandeckie do XVI i XVII wieku.
Arendy klasztoru staro-sandeckiego w XVI i XVII w. Ks. Jan Sygański T. J.

Autor, a raczej wydawca, znany badacz przeszłości Sącza i autor 2-tomowej historii tego miasta zebrał w tych dwóch wydawnictwach wiązaną kę źródeł odnoszących się do dziejów miasta, któremu głównie swe badania poświęca.

W Analektach ogłasza naprzód »Dyaryusz Jędrzeja Tymowskiego«. Był to rajca sandecki (1559—1631). Dyaryusz jego obejmuje zapiski odnoszące się do jego spraw prywatnych, majątkowych i do jego handlu. Są one cennym dokumentem do poznania życia mieszczaństwa, jego stanowiska i stosunku do szlachty, stosunków handlowych i życia prywatnego mieszczaństwa tej epoki.

Dalej pomieszcza tu wydawca zbiór inwentarzy mieszczan z tej epoki. Źró-

dło to łącznie z poprzedniem daje nam poznać sposób urządzenia mieszkań, sprzętów, naczyń, okazałość ubiorów w czasie od 1570—1637. Wydawca pomieszcza tu trzynaście testamentów i inwentarzy z tego okresu.

Dodaje objaśnienia wielu wyrazów w tem źródle przychodzących, szczególnie nazw części ubrań, materyi, sprzętów, obecnie dla ogółu mało znanych.

W dalszym ciągu ogłoszone tu mamy druki znalezione w zbiorach krakowskich, lwowskich i warszawskich, zawierające przeważnie panegiryki na cześć dostojników grodu sandeckiego. Najwięcej panegiryków poświęconych jest rodowi Lubomirskich, jako najwięcej znanemu i najmniejszemu w tej ziemi. Panegiryki podane są tu tylko w tytułach, inne, jak np. uniwersał kasztelana Franciszka Dembińskiego w sprawie pospolitego ruszenia przeciw Karolowi XII w całości.

Czwarty dział obejmuje nieznane dotąd dyplomy starosandeckie z czasów od r. 1346—1765. Jest tu wybranych 9 dyplomów przeważnie natury prywatno-prawnej.

Kończy analecta plan miasta Nowego Sącza z r. 1783, znaleziony w papierach miejskich, naszkicowany nie wiadomo przez kogo. Nie jest on zupełny, bo bez planu przedmieścia węgierskiego z stojącymi tam 3 kościołami, i 7 ulic w obrębie murów fortecznych. Do planu tego ogłoszone jest również łacińskie objaśnienie z tego czasu.

Drugie wydawnictwo odnosi się wyłącznie do klasztoru Panien Kларыsek w Starym Sączu. Poprzedza je krótka wzmianka historyczna o klasztorze. Następnie mamy tu pomieszczone kontrakty i nadania o dobra klasztoru tego. Następnie ogłasza tu

autor inwentarz kmieci i zagrodników wsi klucza Strzeszyckiego z r. 1614 i inwentarz dóbr z r. 1698. Te dokumenty ogłasza wydawca we własnem zestawieniu i streszczeniu.

Dalej ogłasza wydawca zestawienie pamiątek przeszłości klasztoru sporządzony przez siostrę Domicellę Barbarę Fox w latach 1844—1860.

Pamiętnik klasztoru z lat 1761—1784 daje wiele ciekawych szczegółów z dziejów klasztoru szczególnie co do konfiskaty dóbr przez cesarza Józefa II.

W aktach miejskich Starego Sącza zachował się opis wizytacji klasztoru przez biskupa Kajetana Sołtyka w r. 1763.

Ks. Sygański daje nam opis tej wizytacji a raczej przyjęcia ks. biskupa przez miasto Stary Sącz, opierający się na dokumencie z r. 1763.

W czasie tej wizytacji przedstawili mieszczanie swe sprawy sporne z klasztorem. Tyczyły się one sporów z klasztorem o daniny, mieszano się w sprawy sądowe zapisów na rzecz klasztorów na posiadłościach miejskich. Ks. biskup rozpatrzywszy te sprawy wydał dokument, przytoczony w całej osnowie. Zakazuje w nim zabezpieczenia sum na rzecz kościołów na realnościach lub też zapisu samych realności na rzecz kościoła i dozwala tylko zapisów w gotówce.

Zakazuje, by pojedyncze zakonnice stawiały się u urzędów ze zbrodniarzami. Pozwala na to tylko samej ksieni. Dalej rozstrzyga ten dokument sprawę przyjmowania poddanych wsi klasztornych do prawa miejskiego. Wedle woli ks. biskupa nie wolno tego czynić bez zezwolenia klasztoru.

Dalej mamy zestawienie wydatków klasztoru w latach 1740—1741.

Następnie są tu wykazane niektóre

nieznane dyplomy klasztoru odnoszące się częściowo do klasztoru, a częściowo do miasta Starego Sącza.

Nie odnosi się do klasztoru PP. Klarysek pomieszczona tu wizyta kościoła OO. Franciszkanów przez kardynała Jerzego Radziwiłła w r. 1597 z ksiąg *Visitationes Ecclesiasticorum* 1570—1650.

Autor pomieścił w swym wydawnictwie również odbicia rycin z pamiętek klasztoru.

Zakończy zestawieniem bibliografii odnoszącej się do fundatorki klasztoru bł. Kunegundy.

A. B.

Materyały i prace Komisji językowej Akademii Umiejętności w Krakowie.
Tom III, zeszyt 1 i 2.

Mamy tu prace Kazimierza Nitscha: »Stosunki pokrewieństwa języków lechickich«, »Dialekty polskie Prus zachodnich«, wraz z słowniczkiem, — »Kilka uwag o wymowie nosówek w polszczyźnie literackiej«.

Jana Lenka: »Modlitwy czeskie z r. 1424«. Stanisława Dobrzyckiego »Samogłoski nosowe w gwarze kilkunastu wsi góralskich w powiecie myślenickim i limanowskim«.

Jana Witka: »Gwara kobrzyńska«. Tytusa Bennego »Drobne spostrzeżenia w dziedzinie polskiego sandhi«.

Dr. A. B.

Dzieje Kościoła katolickiego. Napisał ks. Józef Boczor. Lwów 1906. 8-ka. str. 132.

Rzadko napotkać książeczkę tak jasno, przystępnie, gładko napisaną a treściwą. Skorzysta z niej dziecko szkolne, prostaczek dorosły i człek uczony. Widoczna, że autor jako katecheta przyszłych nauczycieli nie tylko przerobił, przyswoił sobie i jasno sformułował obszerny materiał,

ale znalazł dla niego wypowiedzenie odpowiednie i styl.

Ważne i to, że dziejom Kościoła katolickiego w Polsce dość obszerne (str. 48, 73, 102, 123) zostawione miejsce. Być może, że niektóre rozdziały, jak 24: »Papież w Awinionie«, zbyt kuso opowiedziane, ale o toby się spierać można. Książeczka tak jak jest, jest dobrą i arcyużyteczną.

S. Z.

Die Musik im Zeitalter der Renaissance.
Von Max Graf. XII Bd. der *Musik* herausg. von R. Strauss. Berlin 1906. Bard, Marquardt et Co. 12-ka, str. 59.

Trzeba przyznać, że jest to chyba pierwsza praca w swym rodzaju; nie zajmuje się ona muzyką lecz muzykalnością w epoce renesansu, a więc raczej kulturą, niż sztuką muzyczną. W czasie, gdy subiektywizm i indywidualizm zaczynają dopominać się o swe prawa, gdy średniowieczny system muzyczny ustępuje miejsca nowożytnej harmonii, gdy powstaje monodya i śpiew dramatyczny, jednostka wchodzi w zupełne prawo rozporządzania swojemi zdolnościami dla siebie samej. W takim czasie budzą się uczeni dyletanci i muzykalna publiczność; rzecz bardzo dziwna a raczej charakterystyczna, że pomiędzy dyletantami spotykamy wiele nazwisk kobiecych (Maddalena Casulana, Vittoria Aleotti, Cesarina Ricci de Tingoletti, i t. d.); w klasztorach żeńskich muzyka zapelnia coraz bardziej ciżbę mistyczną. Potrzeba muzyki budzi się a raczej zmartwychpowstaje. Poeci i malarze zajmują się muzyką nie po dyletancku: Leonardo da Vinci, Giorgione, Tintoretto, Bellini, Rafael, S. del Piombo, P. Veronese, B. Cellini i t. d. Ulegając ogólnej potrzebie zaczynają teoretycy muzyczni pisać traktaty po włosku

nie po łacinie jak dotychczas. Wynalezienie druku muzycznego działa popularyzująco. Nawet publiczne odczyty z zakresu muzyki nie należą do rzadkości. Wreszcie muzyka zaczyna stawać się powszechną manią, czego dowodem są ulotne pisemka przeciw temu prądowi skierowane. Ten tomik, jeden z najlepszych tego zbioru, jest ozdobiony podobiznami dzieł Łukasza della Robbia, Andrzeja Orcagna, Fiesole, D. Ghirlandajo, B. Veronese, Giorgione, Rafaela, S. del Piombo, Tycyana, Donatella i t. d.

A. Ch.

Montalembert et son confesseur laïque.
1904.

Broszurka niewielka a w zajmujący sposób opowiadająca na podstawie listów wymienianych między myślicielem francuskim a polskim generałem Skrzyneckim, o wpływie tegoż na wrażliwą, młodzieńczą a smutną doznaniem świeżo zawodami duszę Montalemberta.

Montalembert poznał Skrzyneckiego w Pradze i najpierw uderza go piękna, wspaniała postawa żołnierza, jego duchowa świeżość, pomimo siwizny, a po bliższem zetknięciu umysł głęboko chrześcijański i wysoka pobożność.

Sympatya wzajemna wytwarza między ich niepospolitymi duchami ścisły stosunek. Tak ścisły, jak między kapłanem a penitentem, bo myśliciel i wytworny pisarz nazywa polskiego wojaka swoim spowiednikiem i ojcem duchownym; tak serdeczny, jak między ojcem a synem, bo generał nie tylko przesłuchuje rady dla duszy daje, ale myśli o wskazaniu młodzieńcowi pracy społecznej, odpowiedniej wysokiemu rodowi i zdolnościom, i uczy, jak ma pielegnować,

hartować i zaprawiać w męzkich ćwiczeniach ciało.

Z przytoczonej w wyjątkach korespondencyi Skrzyneckiego, widać, jakie głębokie zaufanie miał do niego Montalembert — jakie sprawy poruszał i pełne żywej wiary i Bożego ducha listy odbierał. Nie było to frazesem u Montalemberta, że generała swoim ojcem duchownym nazywał, bo słuchał go — stosował się do kierunku, według rady odprowadzał rekolekcyę — rozmyślanie, czytania duchowne i t. d.

Z listów tych dalej widzimy, że wódz polski, jako żołnierz i chrześcijanin może być nazwany polskim generałem Sonis, którym, jako znakomitym wyznawcą i żołnierzem chlubi się Francya ubiegłego stulecia. Głębia pokory, pełnia wiary, dziecięca miłość ku Bogu i czułość dla młodego przyjaciela z nich przezierają. Montalembert cenił ten stosunek, serdecznym listem do wdowy, śmierć swojego przyjaciela uczcił i z wysokiem uznaniem o nim zawsze się wyrażał.

A. R.

Notatka historyczna o cudownym obrazie M. B. w Poczajowie i tamtejszym klasztorze. *Krystyn Mazowiecki.* Lwów 1905.

Matka Boża Łaskawa w Machirowie, Sierocinie i Krożach. Tenże.

Broszurka naprzód wymieniona przedstawia w kilku słowach założenie klasztoru w Poczajowie, jego historię oraz historię cudownego obrazu.

Druga mówi o cudownych obrazach N. M. P. w Machirowie, Sierocinie i Krożach, a raczej kreśli również w kilku tylko słowach historię tych miast.

A. B.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Zkulturkampfu Wzrastająca z dniem każdym zaciekleść rządu francuskiego wobec Kościoła, pewne zacietrzewienie, z którym coraz to nowe, małostkowe często a prawie zawsze o poziomej nienawiści świadczące przepisy i ustawy wydaje, zdają się stwierdzać, że rząd znalazł się w położeniu trudnem, tem trudniejszym, że prawdopodobnie nieoczekiwanem i nieprzewidzianem. Rozporządzenia, wydane przez papieża, aczkolwiek o charakterze negatywnym, były jasne i stanowcze: nieuznanie prawa o rozdziale, bierny opór, wykonywanie kultu i po jedenastym grudniu.

Wobec tak stanowczo objawionej woli zwierzchnika Kościoła nie mogli katolicy francuscy przystąpić do tworzenia Związków wyznaniowych, oddających nadzór nad nabożeństwem w ręce świeckich i stawiających kler w zupełnej zależności od parafian. Briand postanowił więc zostawić duchownym kościoły do wolnego użytku, opierając się przy tej decyzji na ustawie o stowarzyszeniach z r. 1881. Ustawa ta nakładała obowiązek każdorazowego uwiadomienia odpowiedniej władzy o mającym się odbyć nabożeństwie czyli »zgromadzeniu«, i żądała, żeby dla tego »zgromadzenia« wybrano prezydenta i żeby na nim był obecny przedstawiciel rządu. Na coś podobnego Kościół zgodzić się nie mógł,

dlatego też Briand orzekł, że o nabożeństwie wystarczy zawiadomić rząd raz na rok, a nabożeństwo samo odbywać się może bez wyboru prezydenta i obecności urzędnika. I tego ustępstwa Kościół nie przyjął, gdyż trudno chyba od niego wymagać, aby nabożeństwa kościelne stawiał na równi ze zgromadzeniami publicznymi; trudno też papieżowi zgodzić się na to, aby proboszcz był w kościele z wszelkich praw wyzuty, a urzędnik tamże panem. Zresztą katolicyzm chyba dość we Francyi jest znanym, pocóż tedy każdorazowych czy też rocznych zgłoszeń!

Zakaz papieża ma jednak jeszcze głębsze uzasadnienie. Dotychczasowe ustępstwa rządu były wyłącznie aktami prywatnymi pojedynczych ministrów; któż zareczy, że w niezadługim czasie Briand lub Clémenceau nie wydadzą całkiem przeciwnych przepisów, kiedy już teraz wpadają w różne sprzeczności? Wszelkie ustępstwa ze strony rządu będą bezowocne, jak długo wolność Kościoła ustawą publiczną zatwierdzoną nie będzie i jak długo państwo w jakiegokolwiek formie mieszać się będzie do wewnętrznych urządzeń Kościoła. Trzeba na prawdę bardzo krótko się patrzeć, lub tkwić w zastarzałych a nieuzasadnionych uprzedzeniach, żeby z takiego postępowania robić papieżowi zarzut, mówić o jego nieprzejednanym duchu — to nie jest nieprzejednalność, lecz konsekwencya zasad i stałość przekonania o boskiem posłannictwie Kościoła. Tak też pojmują rzecz konserwatywne dzienniki Francyi, twierdząc, że religia, którą wyznaje czterdzieści milionów, wymaga nie tolerowania, ale prawa i że lepiej wybrać wojnę religijną, jak poddać się pod jarzmo wolnomularzy.

Zdaje się, że rząd i tym razem natknął się na trudności, których nie przewidział. W różnych interviewach ministrów czuć wielkie rozdrażnienie. »Kościół żąda wojny, woła Clémenceau, będzie ją miał. Prawo o stowarzyszeniach szanowali dotychczas wszyscy Francuzi. Papież rozkazał duchowieństwu: tego prawa nie uznacie, owszem możecie je przekraczać. I ci wszyscy, którzy już się poddać mieli, ustępują przed wolą papieża. Nie jestże to dowodem, że obok prawdziwego rządu, jeszcze drugi w kraju istnieje? Wszak to urzędnicy zagraniczni. Tego dłużej nie ścierpimy«.

I rząd chciał pokazać, że nie ścierpi, postanowił więc stanowczo domagać się uwiadomienia o nabożeństwie i to pod grozą kary; rozpoczęto nawet skazywać opornych księży na grzywnę, i postanowiono zatrzymywać pensję tym księżom, którzy mają do niej prawo, jeżeli przepisom państwowym się nie poddadzą. Na razie jednak postępowanie rządu było dość spokojne, mogło się nawet wydawać taktowne. Nie trzeba jednak przeoczać w ocenie sprawy tego szczegółu, że chodziło tu o pogwałcenie zasadniczego prawa Kościoła a wszelkie pozorne ustępstwa rządu przypisać należało tylko osobistym zapatrywaniom ministrów, które nie dawały żadnego poręczenia na przyszłość i nie załatwiały sprawy zasadniczo. To też nawet takie *Berliner Neueste Nachrichten*, choć liberalne i protestanckie, stały po stronie papieża. »Do kazań mają się odnosić te same prawa i obowiązki, jak do literackich lub naukowych odczytów! Można zrozumieć, że Kościół czuje się pokrzywdzonym, gdy jego religijne ceremonie stawiają na równi z zabawami i rozrywkami, gdy proboszcza równają z agitatorem lub prelegentem«.

Pozornie łagodne postępowanie rządu miało też na celu uspić czujność katolików a szerokim tłumom, które często ze złej woli, częściej z braku osobistych zapatrywań i przekonań na Kościół ujadają, podać do tego ujadania więcej jeszcze materiału. Gdy jednak rząd poznał, że Kościół wykrył i zrozumiał podstęp, uciekł się do środka, który każdy szlachetny człowiek wprawdzie potępi, ale który taki rząd i tacy jego stronnicy za dobry uważają, tam przedewszystkiem, gdzie naprzeciw brutalnej przemocy staje tylko siła moralna; wydalil załatwiającego sprawy paryskiej nuncjatury sekretarza, ks. Montagnini i skonfiskował archiwum nuncjatury, stojące na zasadzie prawa międzynarodowego pod opieką dyplomatyczną; chciał widocznie powetować tę chwilę, kiedy w Algeciras wił się i giał w pokorze przed przemocą niemiecką, której poświęcił nawet jednego ze swych lepszych i zdolniejszych ministrów.

Krok ten, jak wywołał radość i zadowolenie w sferach radykalnych i socyalistycznych, które tyle o wolności piszą i głoszą, tak został potępiony przez wszystkich spokojnie, bezstronnie i ro-

zumnie myślących ludzi. »Przeciwko wydaleniu sekretarza nuncyatury, pisze we włoskiem *Momento*, profesor międzynarodowego prawa w Turynie, z punktu dyplomatycznego niczego zarzucić nie można; z punktu widzenia moralnego nie można postępkowi rządu uniewinnić i można się słusznie zapytać, czy skutkiem zerwania dyplomatycznych stosunków, msgr Montagnini stał się na prawdę politycznie tak niebezpiecznym człowiekiem, że bezpieczeństwo państwa wymagało aż jego wydalenia. Przeciwnie skonfiskowanie archiwum i naruszenie tajemnicy jest absolutnem bezprawiem. To archiwum jest na mocy prawa międzynarodowego nienaruszalnem«. *Nowa Reforma* pouczała swoich polskich czytelników, że cała sprawa jest drobnostką, nie zasługującą na żaden rozgłos ani uwagę. Rozumiemy, że krakowska *Reforma* inaczej pisać nie może, choć ludzie nauki, nie krępowani stronnictwością poglądów ani nie powodowani chęcią poniżania rzeczy, inne w tej sprawie wygłaszają zdanie. Poważniej też zapatrywali się na to zajście niektórzy deputowani, jak np. Grousseau, który wpadł na bardzo niemądry koncept; przypomniał bowiem prezydentowi ministrów jego gwałtowną mowę przeciwko nieuzasadnionym rewizjom domowym i paragrafowi dziesiątemu prawa karnego, który na takie rewizye pozwala. »Jakąż zbrodnię zarzucić można sekretarzowi dawniejszego nuncjusza Lorenzelli'ego? Czy to może, że zakomunikował arcybiskupowi Paryża zakaz papieski co do uwiadamiiania rządu o odprawianiu nabożeństw? Rząd twierdząc, że chce postępować sprawiedliwie i łagodnie, dopuszcza się kłamstwa«.

Odpowiedź Clémenceau wypadła blado, gdyż trudno chyba robić ks. Montagnini'emu na seryo zarzut z tego, że pośredniczył między papieżem a episkopatem francuskim. Tego prawa nie odmówiły dotychczas Kościołowi nawet te państwa, które konkordatu nie zawarły.

Jako ostateczna w tej walce broń, pozostał Ojcu św. tylko protest, który już przedstawicielom mocarstw doreczono. Celu swego on pewnie nie osiągnie, ale moralne zwycięstwo zostanie po stronie Piusa X, przynajmniej w oczach wszystkich ludzi dobrej woli. W spokojnych lecz stanowczych słowach potępił Pius postępek rządu, jako wielką i ciężką obrazę, wyświadczoną nie

tylko Stolicy Apostolskiej, ale i wszystkim cywilizowanym monarchstwow, mającym swój interes w tem, żeby ich dyplomatyczne tajemnice były uszanowane; potępił dalej rząd francuski dlatego, że odmawia papieżowi niezaprzeczalnego a przyznawanego mu zawsze prawa znoszenia się z katolikami świata, i że opiera się na fałszywych zarzutach stawianych sekretarzowi nuncjatury; rozwija wreszcie znane nam już przyczyny, dla których nie mógł przyjąć ustawy separacyjnej i kończy: »Gdyby rząd francuski dał się powodować słuszniejszymi uczuciami i uszanował przynajmniej istotne i zasadnicze prawa Kościoła, Stolica Apostolska, choćby nie uznała ustawy separacyjnej, tolerowałaby jednak takie położenie, podobnie jak to czyni w innych krajach, dlatego aby zapobiedz gorszym jeszcze następstwom«.

Rząd, który już się za daleko zapędził, nie mógł stanąć w połowie drogi i poszedł dalej. Jedenastego grudnia postawił Briand następne wnioski, które prezydent republiki potwierdził: cofnięcie pensyi i zapomóg dla tych księży, którzy nowych praw nie uznają, natychmiastowe zlikwidowanie dóbr kościelnych, skonfiskowanie probostw, pałaców biskupich i seminarjów na rzecz gmin, departamentów i państwa, powołanie do wojska wszystkich, a więc około 5500 seminarzystów, którzy do dwudziestego grudnia spraw wojskowych ostatecznie nie załatwią. Kościoły mają jednak służyć celom wyznaniowym.

To prawo, które nakazywało więc natychmiastową konfiskatę dóbr kościelnych, wyjęcie Kościoła z pod prawa, i zdanie służby Bożej na łaskę i niełaskę gmin i policyi, zostało uchwalone 433 głosami przeciwko 166; niedługo potem przyjął je i senat. W ślad za tem prawem szło jego stosowanie.

Siłą i przemocą opróżniano pałace biskupie, probostwa i seminarja; do 18 grudnia opróżniono w ten sposób 34 pałaców i 72 seminarjów. Lud się burzył, tu i tam przychodziło nawet do czynnych zniewag, ale ostatecznie siła była po stronie rządu a uspokajający głos biskupów i księży nie dopuścił do większych wykroczeń. W rezultacie więc walka zacięta toczy się na całej linii a choć ufać przychodzi słowom Chrystusa o opoce i bramach piekielnych, dużo jednak poleje się łez, więcej jeszcze zaginie dusz.

W ostatnich dniach słyszeć się dały pogłoski, że Briand, w niejednej rzeczy byłby wobec zdecydowanego stanowiska Rzymu ustąpił, gdyby go coraz dalej nie parły łoża wolnomularskie. Trudno dziś określić, ile w tej pogłosce prawdy, faktem jest jednak, że łoży tę walkę wyłącznie przypisać trzeba. Zaledwie bowiem rząd z całą bezwzględnością nową ustawę stosować zaczął, telegrafował wielki mistrz łoży włoskiej, Ferrari, do Wielkiego Wschodu w Paryżu w te słowa: »dzisiejszy dzień oznacza dla Francji nowy, chlubny krok na ciężkiej drodze ogólnoludzkich dążeń. Podczas gdy my pragniemy ten godny pamięci dzień uwiecznić w złotej księdze postępu, przesyłamy równocześnie braterskie pozdrowienie wam, którzyście w imieniu wspólnych ideałów walczyli i zwyciężyli«. Awantury urządzone z powodu przeprowadzania nowej ustawy przez różne stronnictwa radykalne, socjalistyczne i wolnomularskie we Włoszech, owacye urządzone ambasadorowi francuskiemu w Rzymie i przez tegoż, wbrew wszelkim regułom taktu i dyplomatycznego wychowania, chętnie przyjmowane, wskazują również na właściwy cel, o który tu chodzi. Warto to sobie zapamiętać, aby nie dać się brać na lep pięknych słów niektórych gazet, w rodzaju *Nowej Reformy*, które ślicznie deklamują o tolerancji i dobrej woli rządu francuskiego, a zataczały opórze katolików.

Niestety! ten opór nie jest takim, jakimby być powinien! »Papież, pisze Cornély w *Siècle*, jest trochę podobnym do prezydenta izby, Dupin'a. Kiedy po zamachu stanu zarzucono mu, że nie stawiał oporu, odpowiedział: czegoż żądacie odemnie. Gdybym był miał, choćby tylko jednego, jedyne go żołnierza, byłbym go wysłał, aby się dał zabić. Ale i takiego nie miałem i dlatego poszedłem do domu. Papież ma wprowadzić więcej żołnierzy, jak prezydent Dupin. Ma księży, których religijne wychowanie czyni zdolnymi do posłuszeństwa idącego aż do całkowitego poświęcenia. Ale on ma tylko księży. Wierni nie idą z nim razem, a jeżeli idą, to są to fałszywi wierni; to politycy, którzy wiernych udają, to stronnicy monarchii lub cesarstwa, którzy pod sztandarem Kościoła wojnę prowadzą. Co się tyczy wyborców, ci nie są za Kościołem. To ludzie, którzy zatwierdzili rozdział Kościoła i pań-

stwa i to w całej tej sprawie zadziwia. Francuzi są przecież poważnie katolikami, ale nigdy nie głosują, aby bronić religii. Prawda! jeżeli chodzi o wyrabianie alkoholu z winogron, jagód, jabłek lub gruszek, posługuje się wyborca kartką wyborczą, by bronić swej wódki. Nigdy zato nie używa karty wyborczej, by bronić swej religii. I to najwięcej cudzoziemców zadziwia. „Ponieważ wszyscy jesteście katolikami, czemuż nie wybieriecie takich deputowanych, którzy zawrą nowy konkordat? Przecież izba ustąpiła przed naporem fabrykantów alkoholu! Nikt ich nigdy nie tyka, gdyż deputowani wiedzą dobrze, że wyborcy bezlitośnie odrzucają tego, który przeciwko fabrykantom alkoholu głosowaćby chciał. Pokażcie więc waszym deputowanym, że przynajmniej tyle cenicie wasz Kościół, ile wasze gorzelnie, tyle waszą wiarę, ile waszą wódkę i otrzymacie wszystko, czego żądacie. Fabrykanci alkoholu umieliby prawdopodobnie umrzeć dla swej idei, katolicy tego nie potrafią. Nie są nawet w stanie dać tylu posłów, ilu potrzeba dla opozycji, z którąby się rząd rachować musiał».

To gorzkie słowa; o ile się odnoszą do wszystkich katolików, nawet fałszywe — ale prawdziwe, jeżeli uwzględni się tylko większość narodu, która potrafi wprawdzie demonstrować i łatwo wpada w zapał, który jednak niebawem gaśnie i znika. Na uwagę zasługują w każdym razie wywody protestanckiej *Kreuzzeitung*: »Papież, którego Combes i Clémenceau tak chętnie ignorują, wypowiedział tylko jedno słowo, a prawa dumnej republiki upadają jedne po drugich, jak domki z kart, a ministerjum jest zmuszone cofać się krok za krokiem przed wolą Rzymu, jeżeli nie chce narażać kraju na bardzo ciężkie przesilenie. Konstatujemy tylko sam fakt, bo cieszyć się z niego nie mamy racji. Cieszyć moglibyśmy się chyba z tego, żeśmy od początku przewidzieli, dokąd ta, tak lekkomyślnie rozpoczęta walka kulturalna, zaprowadzi. Z pomocą prokuratora i żandarma nie zdławi się religii; ludzi może państwo ścigać, chrześcijaństwa jednak nie zamknie do aresztów, jak opornych księży. Gdy już raz chciano Kościół od państwa rozdzielić, trzeba było szlachetnie postępować a nie operować pułtymi a faryzeuszowskimi frazesami».

Epilog sprawy
szkolnej
w Anglii.

Sprawa szkolna w Anglii została ostatecznie załatwiona, w ten jednak sposób, że nowe prawo rządowe upadło. Walka była zacięta i długa, a niezwykajnem zjawiskiem w tej walce był fakt, że rząd przez różnych ministrów występował publicznie i bardzo ostro przeciwko izbie lordów, w której zwykle widział pewną ostoję, a która tym razem stanowczo ustawę rządową potępiła, opierając się na niezliczonych petycjach rodziców, pragnących zabezpieczyć swym dzieciom wychowanie religijne.

Podczas gdy minister Lloyd George porównał izbę lordów z filistrami krepującymi Samsona i z motłochem, który przy zaprowadzeniu pierwszych maszyn te maszyny zdemolował, — gdy twierdził, że teraz kolej na naród rozprawić się z izbą, która nikogo nie reprezentuje, której nikt nie obrał i która wdaje się w rzeczy, których od niej nikt nie wymaga, utrzymuje dawny prezydent ministrów, Balfour, że izba lordów ma za sobą nie tylko wszystkich stronników Kościoła w Anglii, ale i wszystkich przyjaciół prawa; rząd dobrze czuje, że nie bardzo bezpiecznie rozpocząć walkę i apelować do narodu, podczas gdy opozycja chętnie w szranki stanie. — I opozycja stanęła.

Gdy rozpoczęły się debaty nad paragrafem czwartym ustawy, orzekającym, że w pewnych warunkach można się zgodzić na wykłady religii w szkole, izba lordów postawiła poprawkę tej treści, że w każdym wypadku trzeba się na te wykłady zgodzić, i tę poprawkę mimo wszelkich przeciwnych usiłowań przedstawicieli rządowych przyjęła 131 głosami przeciwko 45. Tak, i w innych jeszcze punktach zmodyfikowana ustawa, która jest właściwie już tylko karykaturą pierwotnej, została odesłana do parlamentu; ten postanowił zwrócić ją bez żadnych rozpraw izbie lordów, ponieważ główny cel prawa jest uniemożliwiony. »Odrzucamy, mówił Birrell w parlamencie, prawo w jego obecnej postaci. Jeżeli jednak izba lordów cofnie swoje poprawki, a inne, które jeszcze uczynić zamierza, ograniczy, jest nadzieja, że ustawa zostanie uchwalona«.

Izba lordów, otrzymawszy zwróconą ustawę, zapytała rządu stanowczo, na jakie ustępstwa się zgadza, żeby ustawę ratować

równocześnie jednak zaznaczyła, że te ustępstwa muszą iść bardzo daleko, jeżeli mają zadowolić opozycję. Rząd opozycji nie zadowolnił i lordowie uchwałą, przyjętą 138 głosami przeciwko 52 potępił krok parlamentu i 132 głosami przeciwko 52 postanowili trwać przy uczynionych poprawkach. Tym sposobem prawo upadło.

Jakżi będzie ostateczny rezultat wszystkiego? Zapatrywania się rozchodzą. Dzisiaj już nikt, nawet liberalne stronnictwo, nie wierzy w możliwość rozwiązania parlamentu i rozpisanie nowych wyborów. Ponieważ jednak przedstawiciel rządu groził lordom »czynami« i smutnymi następstwami, przypuszczają, że rząd w najbliższym sezonie wniesie na nowo to samo, albo prawie to samo prawo, a jeżeli lordowie znowu je odrzuca, odbierze wszystkim szkołom, otrzymującym państwowe zasiłki, pomoc materyjalną. To jednak droga nie bardzo bezpieczna, i nie prowadząca do celu, gdyż różne gminy wyznaniowe są gotowe i do największych ofiar, byle tylko uratować religię dla dzieci a jest prawie pewnem, że takiego postępowania rządu naród nie pochwali.

Z Hiszpanii. Z Hiszpanii też spokojniejsze i weselsze nadchodzą wieści. Gabinet Lopeza Domingueza, który wypowiedział wojnę Kościołowi, upadł i to dlatego, że grupy liberalne nie mogły się z sobą porozumieć co do prawa o kongregacjach, mimo że gazety liberalne uroczyście głosiły, że wszystkie liberalne stronnictwa połączyły się z sobą, by stłumić raz wreszcie »klerykalną dumę i zakusy«. »Rządy, pisze *Frankfurter Zeitung*, przechodzą znowu w ręce umiarkowanej liberalnej większości i tym sposobem ustawa kongregacyjna jest już chyba pogrzebaną. Jakieś nieubłagane fatum sprawia, że rozdzielenie i zazdrość liberalnych przywódców każde poważne dzieło reformacyjne w zarodku zdławiają«.

Gabinet Moreta trwał zaledwie kilka godzin i musiał skutkiem postawy liberalnych senatorów, solidaryzujących się z Lopezem Dominguezem, ustąpić. Jakie stanowisko zajmie nowe ministerium Vegi de Armija, trudno dziś powiedzieć, w każdym razie, choć sztucznie wywołany i rozdmuchany ruch przeciwko-

ścielny w szerokich masach jeszcze nie ustał, jednak i przeciwny ruch już się szerzy.

Znamiennem jest, że do walki stanęły kobiety. Na zgromadzeniu w Madrycie, w którym brało udział 2000 pań, wysłano telegram z wyrazami hołdu i poddania dla Ojca św. i delegację, protestującą przeciwko prawom o zakonach, do króla. Adres protestującej podpisało do 10 grudnia 30.000 kobiet.

Epilog sprawy W ostatniej chwili dochodzi nas dekret św. Kongregacji Inkwizycji, zawierający ostateczny sąd Kościoła o Maryawitach. Przytaczamy go w całości:

»Sekta kapłanów Maryawitów, grasująca nieszczęście od kilku lat w niektórych dyecezyach Polski, do takiej stopniowo doszła zaciętości i obłędu, że wymaga stanowczego ze strony Stolicy Apostolskiej poskromienia. Choć bowiem ta sekta rozwijała się w zawiązku pod hasłem szczególnej troski o chwałę Bożą, to jednak wkrótce, pogardziwszy przestrogi i karami swych biskupów, nie zważając nawet na ojcowskie zrazu wezwania, a następnie i na surowsze pogrożki Najwyższego Zwierzchnika Kościoła, nie bacząc też na cenzury, w które z różnych przyczyn wpadła, nareszcie całkowicie z pod powagi Kościoła się usunęła, uznawszy za swą głowę kobietę, niejaką Felicyę lub Maryę Franciszkę Kozłowską. Tę kobietę zwolennicy sekty mianują »matką pełną świętości«, równą w tej mierze Najświętszej Bogarodzicy, twierdząc, że bez jej pomocy nikt zbawiony być nie może. Ona też wyznaczyła Jana Kowalskiego, aby w jej imieniu, jako minister generalny, całem stowarzyszeniem Maryawitów zarządzał.

»Skoro więc pewnem i wiadomem jest, że pomienione osoby: Jan Kowalski i Marya Franciszka Kozłowska, całej tej sekty przywódcy, pomimo niejednokrotnej przestrogi, obstają uporczywie przy swych przewrotnych doktrynach i usiłowaniach, któremi lud prosty mamia i na manowce wiodą, skoro tem samem w ściągniętych na się cenzurach grzęzną, przeto Kongregacja św. Oficjum, z wyraźnego polecenia Ojca św., bacząc na to, aby kto, ze szkodą dla wiecznego zbawienia, nie brał nadal udziału w złośliwych czynach (2 Ioan. II) Jana Kowalskiego i niewiasty Kozłowskiej,

orzeka i ogłasza, że pomieniony kapłan Jan Kowalski i wmiarkowana niewiasta Marya Franciszka Kozłowska podlegają imieniu i osobiście ekskomunice większej i że oboje, z łona św. Kościoła Bożego całkowicie wyłączeni, noszą na sobie brzemię wszystkich kar, na jawnie wyklętych spadających; że więc Jana Kowalskiego i Maryi Franciszki unikać i stronić od nich należy.

»Nadto zaleca Czcigodnym: Arcybiskupowi warszawskiemu, biskupowi plockiemu, lubelskiemu, kieleckiemu oraz innym, do którychby się to odnosić mogło, biskupom polskim, aby w imieniu Stolicy św. orzekli, że wszyscy w ich dyecezyach kapłani, do bezecznej sekty maryawickiej dotąd należący, o ile w ciągu dwudziestu dni od daty ogłoszenia tego dekretu szczerze się nie opamiętają, jako podpadający tejże ekskomunice większej osobistej i imiennej, również unikani być mają.

»Pomienieni zaś pasterze niech z całą usilnością starają się wiernych z pośród trzód swych, zasadzkami i kłamstwami kapłanów Maryawitów nieszczęsnie uwiedzionych, przestrzegać i objaśniać, że ci, co świadomie do potępionej sekty Maryawickiej należą, przestają być prawymi św. Kościoła Bożego synami«.

Tym sposobem dla sumienia katolickiego sprawa została rozstrzygnięta.

Ks. Wiktor Wiecki.

Enuncyacye wskutek reformy wyborczej.

Prawie dosłownie spełniło się to, co, rok temu, pisaliśmy o przyszłości powszechnego głosowania w Austrii. Reforma wyborcza jest już faktem dokonany.

Tak istotna zmiana ustroju państwowego musi, oczywiście, wpłynąć rozstrzygająco na wszystkie dziedziny życia publicznego i spowodować w dzisiejszych stosunkach daleko idące przekształcenia. Jak wypadną w szczegółach te przekształcenia, jakie przyjmą rozmiary, jakie pociągną za sobą następstwa? — na te i tym podobne pytania, trudno byłoby dać już dziś dokładną odpowiedź, zwłaszcza, że pewnych możliwości dziś nawet przewidzieć nie można. Ale z pewnych ogół-

nych następstw, każdy, stosownie do swego stanowiska, już dziś musi sobie zdać sprawę, i to pod grozą wykreślenia z liczby żyjących.

Jakie są te najogólniejsze wskazania dla stanowiska katolicyzmu?

Pisano już o tem niejednokrotnie w przeszłorocznej prasie codziennej, poruszano również tę sprawę dość szeroko w naszej Ankiecie o zadaniach katolicyzmu. Sprawa więc sama w zasadzie znana. Mimo to, pisać o niej trzeba i pisać o niej, bez wątpienia, będzie się wiele, tak dla wszechstronniejszego jej oświecenia, jak i dlatego, by przypominać ciągle jej ważność.

Jesteśmy dziś w tem szczęśliwem położeniu, że ogólne te wskazania podane już zostały w ostatnich dniach, i to z dostojnego miejsca. Przy obradach nad reformą wyborczą, toczących się w Izbie panów, zabrał także głos ks. arcybiskup Teodorowicz i uzasadniał nie tylko swoje stanowisko, dlaczego za reformą głosuje, ale też podał ogólną dyrektywę i *memento* dla katolicyzmu w Austrii. Znakomita ta mowa, znana ogółowi tylko z krótkich sprawozdań dzienników, domaga się obszerniejszego omówienia, zwłaszcza pod pomienionym powyżej względem.

W pierwszej części swej mowy zajmował się dostojny mówca samem przedłożeniem rządowem, jako takim. Wskazywał na dodatnie jego strony, zwłaszcza, o ile chodzi o dobro szerokich warstw ludowych, równocześnie jednak nie szczędził słów krytyki. O ile chodzi o niedomagania samego projektu reformy, to można mieć ufnosć, że same doświadczenia przyszłości będą na nie najlepszem lekarstwem i najsilniejszą pobudką, by je usunąć. Bardzo psychologiczną w tej sprawie była uwaga mówcy, że reforma wyborcza stając się faktem dokonanym przestaje być tem samem ideałem i wymarzeniem bożyszczem ludu, w którym żadnej nie dostrzega się skazy. O ile jednak chodzi o faktyczne stanowisko rządu, zwłaszcza w początkach przedłożenia, to trudno wstrzymać się od niekorzystnej jego oceny. Dla wywarcia nacisku na pewne stronnictwa, rząd zbrałał się ze stronnictwem socjalistycznym, by w ten sposób rozagitować lud i siłą terroryzmu ludowego wymusić na nich ustępstwo. Poszło stąd, że w pierwszej chwili było wrażenie, jak gdyby hasło reformy padało z obozu przewrotu, co, oczywiście, do samego hasła, nie mogło budzić zaufania.

W drugiej części tej mowy, naturalnym biegiem rzeczy, przechodzi mówca do naszej sprawy, do ogólnych wskazówek dla stanowiska katolicyzmu.

Pierwszem wskazaniem jest to, że katolicy mają bezwzględny

obowiązek, większy obecnie niż kiedykolwiek, by brać udział czynny w życiu politycznem państwa. Obowiązek ten, wiążący bezpośrednio sumienie katolików, tem samem pośrednio odnosi się do samego Kościoła.

»Kościół — mówił dostojny mówca — musi brać pośredni udział w życiu politycznem. I jakżeż mogłoby być inaczej? Jakżeż mógłby Kościół świecić nieobecnością na tem polu bitwy, na którem tak często jest zwalczany?

»Co sądzić o tem, że tak często broń polityki jest wymierzana przeciw Kościołowi, gdy równocześnie jemu samemu używania tej broni odmawia się. Mówią niektórzy, że Kościół powinien pozostać poza polityką, w zakrystyi. Lecz jakież byłyby tego następstwa? W poprzednich mowach słyszałem wzmiankę o Francyi — pytam się więc: co jest przyczyną oplakanych stosunków tego kraju? Zapewne, szukać ich należy także w usposobieniach ludu, które wielka rewolucya ukształtowała. Poza tem jednak jest w tem niewątpliwie wina tamtejszych sfer katolickich o tyle, że w życiu i rozwoju ludu mały brały udział.

»Nie wdaję się w krytykę tego objawu, stwierdzam tylko fakt, że we Francyi, długie lata persadowano Kościołowi: Zostań w zakrystyi! Jakież tego następstwo? Oto, że i ze zakrystyi dziś go tam wyrzucają! Co więcej! Nawet z mieszkań prywatnych wypędzają dziś gwałtem czcigodnych książy Kościoła... Ograbia się nawet tych najwerniejszych synów ojczyzny z ich praw obywatelskich!

»Jeżeli Kościół w Austrii nie chce popełnić samobójstwa, nie może swoim kapłanom rzucić innego hasła, jak to: Idźcie w lud, bierzcie czynny udział w jego życiu i pracy, piszcie i rozrzucajcie broszury, uczęszczajcie na zgromadzenia ludowe, mimo trudności wracajcie na nie tak długo, dopóki nie dadzą posłuchu waszym słowom.

»To wszystko płynie z samego obowiązku samoobrony. Z drugiej jednak strony, bynajmniej nie jest ideałem Kościoła, by duchowieństwo wysuwało się w polityce na pierwszy plan, przeciwnie, w politycznem i społecznem życiu może ono tylko torować drogę ludziorz świeckim«.

To pierwsze wskazanie: obowiązek brania udziału w pracy społecznej i politycznej. Drugie wskazanie odnosi się do kierunku, w jakim ta praca podążać powinna.

Reforma wyborcza zwraca się w pierwszym rzędzie ku szerokim warstwom ludowym, idzie pod znakiem demokracji. Mówca zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństw, jakie nowa epoka z sobą niesie. Ale

poza demokracją nienawiści widzi też i inny ustrój, który jedyny może dziś przynieść z sobą harmonię społeczną. »Naprzeciw demokracji nienawiści widzę w przyszłości inny obóz, demokrację miłości. Witam cię demokracjo, która wykwitłaś z ziarna ewangelii, która w duchu Kościoła i Ewangelii byłaś wychowaną, która zanim czarne chmury kapitalizmu zakryły słońce, byłaś wcieleniem zasady solidarności wśród klas pracujących, która dzisiaj, gdy maska fałszywej wolności z oblicza kapitalizmu spadła, otrzymałaś w wielkich słowach Leona XIII swoje imię chrzestne, imię demokracji chrześcijańskiej. Twoim duchem jest chrześcijańska miłość«.

To jest ten ogólny kierunek katolickiej pracy społecznej na obecną dobę. Demokracja chrześcijańska powinna i może zespolić w sobie wszystkie warstwy społeczne. W tym duchu zwraca się mowca do dzisiejszych przedstawicieli demokracji chrześcijańskiej, by w walce o prawa ludu nie zapominali, iż do tej samej demokracji należeć mogą i ci, co pewne problemy polityczne inaczej rozwiązują. Zwraca się też i do tej drugiej strony, która przez obecną reformę wyborczą jest »wydziedziczoną«, i żąda od niej, by, mimo wszystko, nie wycofywała się z widowni życia społecznego, owszem, by szła również w lud, a szła z wielkimi kapitałami serca, inteligencji, tradycji i majątku. »Nie twierdzę — ciągnął ks. arcybiskup — że zaraz zbierać wawrzyny będziecie, ani też, że osiągnięcie zaraz rezultat polityczny, zwracam tylko przedewszystkiem uwagę na to, że wy macie obowiązek nie dopuścić ludu do tych sojuszów, w których dusza jego musiałaby być spaczoną... Wy macie obowiązek iść z ludem ręką w rękę... I, moi panowie, jeżeli tylko szczerze u samych podstaw rozpoczniecie pracę, to przyjdzie chwila, w której wasze rzetelne wysiłki bardziej będą przez lud cenione, aniżeli próżne ułudne obietnice agitatorów nienawiści«.

Mowa naszego Księcia Kościoła, na samym progu nowego ustroju państwowego wygłoszona, jest znaczącym zjawiskiem. Nie powinny pójść w niepamięć jej naczelne wskazania, normujące stanowisko dzisiejsze katolicyzmu w życiu publicznym.

*
*
*

Korzystamy też z tej sposobności, by słów parę poświęcić przeszlicznemu listowi Episkopatu ruskiego do swego duchowieństwa. Okazją do tego listu było też położenie, wywołane reformą wyborczą.

Dziś, gdy radykalne stronnictwa ruskie raz po raz rzucają hasło: »precz z duchowieństwem w życiu publicznem«, szczególnej nabiera ważności ten podniosły głos Episkopatu.

List zaczyna się od pytania, czy i w jakiej mierze powinno duchowieństwo brać udział w życiu publicznem i obywatelskiem. Stwierdziwszy, że nie wolno duchowieństwu mieszać polityki do pracy ściśle kapłańskiej, oświadcza następnie list, że księdzu poza ściśle kapłańską pracą, wolno brać udział w publicznych sprawach — a choć ntema obowiązku a nieraz i możliwości stale zajmować się polityką, to jednak zajść mogą wypadki i sytuacje, w których jest obowiązany do wzięcia i w tej pracy udziału.

Głównym celem listu jest, aby, wśród wichrzeń agitacyjnych, na jakie obecnie wystawione jest całe państwo, wskazać duchowieństwu, że jego obywatelska praca powinna być dziś solidarną pracą w duchu chrześcijańskim. »Żądamy, abyście wy nie tylko w niczem ani na włos nie odstąpili od Bożego prawa i od zasad wiary, ale nadto, aby te zasady były dla was i dla ludu przewodnią myślą w obywatelskiej pracy. Oprócz tego żądamy solidarności pomiędzy wami«.

Ta solidarność ma swoje uzasadnienie nie tylko jako środek wogóle niezbędny do przeprowadzenia jakiejkolwiek sprawy, ale też, jako szczególniejsza pomoc w dzisiejszem położeniu.

I tak, między innemi, czytamy w liście:

»Przeciwnicy wiary tak umieją okrasić swoje teorye światłem naukowości, patryotyzmu, narodowego dobra, — że ani się nie spostrzeżemy, gdy nam narzuca np. hasło, że każdy dobry Rusin musi być socyalistą, ateistą lub czem tam jeszcze. Oczywiście, że ksiądz każdy w takiej chwili zrozumie, gdzie obowiązek, gdzie prawda, ale potrzeba będzie solidarności i organizacyi do tego, ażeby takiej fali złego się oprzeć, ażeby stać przy proporcju Chrystusa, chociażby wroddy nam i zdradę zarzucali; potrzeba będzie organizacyi, ażeby w takiej chwili słabsze jednostki podtrzymać. gorętsze hamować, zagrząć i do czynu pobudzić ospalsze. Zbliżamy się do czasów, gdzie solidarność może sama ze siebie znaleźć się pomiędzy nami, ale już teraz czem raz częściej spotykamy się w publicznem życiu ze sprawami, w których rozstrzyga jakaś zasada Chrystusowej nauki.

»Raz wraz widzimy brak miłości, niesprawiedliwość, nienawiść i bez względu na nasze polityczne przekonania, wszyscy solidarnie musimy stanowczo każdą niesprawiedliwość i każdą nienawiść osądzać.

Musimy bronić nasz naród i przed polityczną niesprawiedliwością i uszczerbkiem a zarazem strzedz go, ażeby nie miał w sercu politycznej partyjnej nienawiści do strony przeciwnej. Musimy w imię Chrystusa pracować nad usunięciem wszelkiej niesprawiedliwości i nienawiści, nad wprowadzeniem i w życie publiczne zasad sprawiedliwości i miłości. Solidarnie musimy za złe, za niemoralne uważać rozbudzenie namiętności, zazdrości względem posiadających, gniewu, pożądliwości na cudze dobro. Grożenie gwałtami, terroryzowanie, bałamucenie ludzi obietnicami nie mogącymi się ziścić, narzucanie siłą swego sposobu postępowania musimy uważać za niemoralne i niechrześcijańskie środki, których nie tylko nie wolno nam samym używać, ale na które nie wolno nam i milczeć. Gdyby np. niesumienni agitatorowie obiecywali rzeczy niemożliwe, przeciwne sprawiedliwości i miłości bliźniego, każdy ksiądz będzie uważać za prawdziwy obowiązek przed takim tumanianiem ludzi przestrzedz. Gdyby np. na jakimś zebraniu lub wiecu choć jeden głos dał się słyszeć pochwalający zbrodnię, np. podpalenie — mord, każdy ksiądz musi uważać za święty obowiązek takie wystąpienie napiętnować publicznie, jako przeciwne Bożemu przykazaniu; milczenie byłoby pochwaleniem złego, byłoby więc ciężkim grzechem. Wogóle czem raz częściej trzeba nam śmiało nasze zdanie wypowiadać; cnota obywatelska, którą »odwagą cywilną« nazywają — coraz więcej schodzi na moralny obowiązek katechizmu »o grzechach cudzych«.

»Ale nie tylko w podobnych wypadkach życia publicznego, gdzie jasnym i wyraźnym jest związek z zasadami ewangelii, te zasady będą dla nas podstawą solidarności: znajdują się one i tam, gdzie ich większość, a może i ogół nie łatwo dostrzega. Znajduje się zasada moralna w popieraniu kandydatury na posła i obowiązek pytania się o jego przekonania co do wiary; okaże się rzeczą zasadniczo niemożliwą tolerowanie akeyi, wpływu na lud człowieka, niepewnego co do przekonań religijnych, a bardziej jeszcze przeciwnika wiary albo ateisty; raz wraz potrzeba będzie lud uspokajać, wstrzymywać porywy, w których rozbudza się namiętność niebezpieczna, chociażby się wydawała nią nie być. Nie raz, ale tysiące razy, trzeba będzie przypominać ludziom obowiązek miłości bliźniego i przestrzegać przed nienawiścią, a robić to nie tylko w kościele, ale i w obywatelskim życiu, zbijać sofizmaty, którymi niektórzy dowodzą, że w polityce nienawiść dozwolona, a krzywda samoobroną«.

List kończy się przesłicznym ustępem o potrzebie katolickiej pracy społecznej dla dobra ludu i organizacyi tej pracy.

Tak więc w całym kraju sposobi się Kościół na idącą ważną chwilę.

Ks. J. Pawelski.

Listy z Warszawy.

Dwa lata w życiu Warszawy.

II.

Jeszcze przed ogłoszeniem Najwyższego Manifestu z dnia 30 października 1905 r. zaczęły się zarysowywać przeciwnarodowe tendencje socjalizmu, w pierwszej chwili uważanego za pioniera wolności narodowej.

Socjaliści, idący zrazu ławą, rozpadli się na trzy odłamy, na »Proletaryat«, na »Polską Partję Socjalistyczną« (P. P. S.) i na »Socyal-demokratów Królestwa Polskiego i Litwy« (S. D.). Określenie różnic tych trzech partyi trzeba zostawić przyszłości, w tej chwili bowiem robią wszystkie to samo: burzą, druzgocą. A z jakiego stanowiska wychodzą, burząc, druzgocąc, jest dla niesocjalisty rzeczą obojętną. Rezultat ten sam i zasada ta sama: partje socjalistyczne są *par excellence* wywrotowcami.

Na bardzo wyraźne zabarwienie międzynarodowe naszego socjalizmu wpłynął dużo liczny udział Żydów w jego »partyach«.

Żydzi są nieprzejednanymi wrogami idei chrześcijańskiej i wszelkich »akumów«. Złożyła się na to robota ich wodzów, polityków, tanaizmów i rabinów lat trzech tysięcy.

Siedzący zawsze klinem wśród państw potężnych, mały narodek, ciągle zwyciężany, bity, wleczony z niewoli w niewolę, byłby się był stał dawno cieniem historycznym, zabytkiem archeologicznym, gdyby jego wodzowie i politycy nie byli wmówili w niego, »wybraństwa«. Od Esry i Nehemii począwszy aż do najmniejszego współczesnego rabina z Pacanowa, kładli, kładą dotąd w uszy Żyda wszyscy jego przewodnicy i nauczyciele: ty jesteś synem pierworodnym Jehowy; ty jesteś ludem świętym Panu, Bogu Twemu i wybrał cię Pan, abyś Mu był za lud osobliwy ze wszystkich narodów, którzy są na obliczu ziemi; Pan będzie błogosławił błogosławiącym tobie, a przeklinające

cię będzie przeklinał; niechaj ci służą wszyscy ludzie i niech ci się kłaniają narodowie i t. d.

Nie można się dziwić, że się takie »wybraństwo« podobało bardzo biedakom, których każdy mocarz danej chwili brał za kołnierza i tarmosił bez litości, że było im ono słodką pociechą w niewoli. I my pocieszaaliśmy się kiedyś, w czasach romantyzmu, że »jesteśmy Chrystusem narodów«.

Wodzów i polityków żydowskich należy podziwiać za ten pomysł genialny, bo on to ocalił pokolenie Judy od zagłady, od złania się z innymi ludami, pomiędzy które rzucił je los mu nieżyczliwy.

Zrazu byli dla Żydów »akumami« Babilończycy, Egipcjanie, Filistyni, potem Rzymianie, wkońcu wszystkie narody chrześcijańskie. Wszystkie powinny im służyć, powinny im się kłaniać, albowiem są ludem osobliwym, wybranym, synem pierworodnym Jehowy.

Nawet na ostatniem, najdłuższem tułactwie (od zburzenia Jerozolimy przez Tytusa), bo trwającem już blisko dwa tysiące lat, nie zapomnieli Żydzi o swoim »wybraństwie«. Wszakże przypominali temu lat kilka, rabini niemieccy syonistom, usiłując ich powstrzymać od emigracyi, pociechę rabi Eleazara: »jako rolnik rozrzuca nasienie po całym polu, aby wydało dobry owoc, tak rozproszył was Bóg po całym świecie, byście wszędzie prawdę jego głosili« — i pociechę rabi Oszu: »nie za karę zabrał Bóg Żydom ich plemię, oddając im na własność cały świat, lecz dlatego, aby cały świat nawrócili«.

Tak potężne, pracą lat tysięcy, w serce Żyda wszczepione poczucie wyłączności, »osobliwości«, musiało w nim wyrobić niezwykłą arogancję, nienawiść i pogardę dla wszystkich innowierców, za co im innowiercy płacili i płacą tą samą monetą.

Żydzi są w swoim mniemaniu »narodem osobliwym«, któremu wszystkie inne służyć powinny, a tymczasem nie kwapi się nie tylko nikt do tej służby, lecz przeciwnie, broni się przed nią każdy nogami, rękami, zębami. Więc gniew naturalnie, więc nienawiść do wszelkich instytucyi innowierczego otoczenia. Nienawiść ta wybucha od czasu do czasu w formie ogromnej radości, gdy się coś, gdzieś, w jakimś państwie chrześcijańskiem chwieje, rozpada.

Nasz socjalizm wojujący zaczął od razu burzyć, przeto nie dziwnego, że mu Żydzi z całego serca przyklasnęli. »Goimy drą się za łby, huzia jednego na drugiego, niech się dobrze potłuką, może my na tej bójce co zarobimy«.

Bo o to głównie idzie.

Położenie Żydów nie jest w Rosyi przyjemne i wygodne. Rosyanin niecierpi Żyda. Socjaliści w całej Rosyi zabrali się do istniejącego porządku bez ceremonii... A nuż zwyciężą, przewrócą do góry nogami *ancien régime* i zbudują na jego miejscu nowy gmach państwa? Trzeba się ich trzymać za poły, trzeba ich prowadzić, aby w razie wygranej, nie zapomnieli o Żydach.

A potem...

Mówi się dużo o bogactwach żydowskich. Ale te bogactwa są skoncentrowane zaledwie w kilkuset rękach. Wielkie masy, miliony, walczą ciężko, krwawo o byt powszedni, żyją gorzej psa, więcej niż ubogo, należą do szarego proletaryatu, który nie wie dziś, co jutro w usta włoży.

W tę okrutną nędzę wpadają nagle jaskrawe dźwięki fanfary socjalistycznej, obiecujące wolność i dobrobyt. Jakże nie lecieć na osłep za hałaśliwą pobudką hałaśliwych agitatorów?

Nienawiść do chrześcijaństwa, żądza jakiegokolwiek zmiany i nędma pchnęły Żydów w objęcia socjalizmu. Całemi gromadami otoczyli oni czerwony sztandar. W polskiej partii socjalistycznej jest ich połowa, w socjalnej demokracji dziewięć dziesiątych, a w »bundzie« niema oczywiście wcale chrześcijan.

Wchodząc do socjalizmu, wnieśli do niego Żydzi swojej rasy antypatyę i pojęcia — swoją nienawiść do Krzyża, do patriotyzmu innowierców i swoje marzenia kosmopolityczne.

Antychrześcijańskie i antynarodowe dążności naszego socjalizmu zarysowały się wyraźnie zaraz po ogłoszeniu Najwyższego Manifestu z dnia 30 października 1905 r., zapowiadającego konstytucję.

Tego Manifestu nikt się u nas nie spodziewał. Przyszedł on nagle nie poprzedzony żadnymi znakami.

Budzi nas wrzawa uliczna. To chłopcy redakcyjni, roznosiciele gazet, wrzeszczą na całe gardło: Konstytucya, konstytucya, konstytucya! wymachując ogromnemi płachtami bibulanemi, — dodatkami nadzwyczajnymi.

Kogo choroba nie przykuwa do mieszkania, do łóżka, ten wybiega na ulicę, kupuje dodatek nadzwyczajny i czyta. Całe miasto czyta Manifest Najwyższy:

»Zamieszki i zaburzenia w stolicach i wielu innych miejscach cesarstwa Naszego napelniają serce Nasze wielką i ciężką boleścią. Szczęście Cesarza rosyjskiego jest nierozdzielne od szczęścia narodu, a smutek narodu jest Jego smutkiem. Z powstałych dziś zaburzeń

może wynikać głęboki rozstrój narodowy i groźba dla całości i jednności państwa Naszego«.

»Wielkie śluby służby cesarskiej nakazują Nam wszystkimi siłami rozumu i władzy Naszej dążyć do jak najszybszego przerwania tak niebezpiecznych dla państwa zamieszek przez polecenie odpowiednim władzom, aby przedsięwzięły środki dla usunięcia bezpośrednich objawów nieporządku, nadużyć i gwałtów, dla ochrony ludzi spokojnych, dążących do spokojnego spełniania swoich obowiązków. Uznaliśmy za rzecz niezbędną do najskuteczniejszego wykonania środków ogólnych, wskazywanych przez Nas dla uspokojenia życia państwowego, zjednoczyć działalność wyższych władz rządowych. Wkładamy na rząd obowiązek wykonania niezłomnej woli Naszej, ażeby:«

»I. Nadać ludności niewzruszone podstawy wolności obywatelskiej na zasadach rzeczywistej nietykalności osób, wolności sumienia, słowa, zebrań i stowarzyszeń«.

»II. Nie wstrzymując wyznaczonych wyborów do Dumy państwowej, powołać zaraz do udziału w Dumie, w miarę możności i stosownie do krótkości czasu, pozostałego do zwołania Dumy, te warstwy ludności, które dziś pozbawione są zupełnie praw wyborczych, pozostawiając dalszy rozwój zasady powszechnego prawa wyborczego we wskazanym teraz nowym porządku prawodawczym, oraz

ustalić jako prawidło niezłomne, żeby żadne prawo nie mogło otrzymać siły obowiązującej bez zatwierdzenia go przez Dumę państwową i żeby wybrańcy narodu mieli zapewnioną możność rzeczywistej kontroli nad prawnością postępowania ustanowionych przez Nas władz«.

»Wzywamy wszystkich wiernych synów Rosyi, aby, pomnąc na obowiązek swój wobec ojczyzny, dopomogli do przerwania obecnego, niesłychanego zamętu i wspólnie z Nami wyteżyli wszystkie siły dla przywrócenia spokoju i pokoju w ziemi ojczystej«.

Równocześnie z Najwyższym Manifestem ogłosiły dodatki nadzwyczajne raport hr. Wittego, sekretarza stanu, w którym czytaliśmy pomiędzy innemi:

»Wzburzenie, jakie opanowało różne warstwy społeczeństwa rosyjskiego, nie może być uważane za wynik częściowych usterek ustroju państwowego i społecznego, ani za rezultat zorganizowanych działań stronnictw skrajnych. Przyczyny tego wzburzenia niewątpliwie tkwią głęboko. Szukać ich trzeba w zachwianiu równowagi między dążeniami ideowemi myślącego społeczeństwa rosyjskiego a zewnętrznymi for-

mami jego życia. Rosya przerosła formy obecnego swego ustroju. Dąży ona do ustroju praworządnego na zasadach wolności obywatelskiej. Zewnętrzne formy życia rosyjskiego powinny być zastosowane do przenikającej, rozważną większość społeczeństwa, idei.

Więc »Rosya przerosła formy swego obecnego ustroju« — przyznaje to sam rząd — więc Rosya zrówna się nareszcie pod względem prawnopanstwowym z resztą Europy?

Trudno się dziwić, że się Rosya upiła tą wiadomością, jak mocnym, musującym narkotykiem. I kończyły się nareszcie rządy znienawidzonej powszechnie biurokracyi, naród weźmie czynny udział w rządzie, miejsce samowoli urzędniczej zajmie prawo... Któżby się nie upił, nie odurzył taką zapowiedzią.

Upiła się także Warszawa. Kiedy wolność, to wolność.

Nagle, z pod ziemi, ze wszystkich ukrytych dotąd kuźni różnych doktryn politycznych wylał się na ulice cały legion mowców. Pod latarniami, na wylotach ulic, na schodach kościołów, w bramach domów, na placach stanęli mowcy polityczni, wygłaszający swoje teorie i mrzonki. Przemawiali narodowcy, przemawiali socjaliści, tacy i owacy, przemawiali bundyści. Najgłośniej oczywiście wszelacy wywrotowcy, wszędzie i zawsze najgorętsi.

Ludność na razie ostrożna, bojaźliwa, widząc, że władza nie tłumi siłą tego entuzjazmu, że patrole wojskowe znikły z ulic, a policya przypatruje się spokojnie naturalnemu wybuchowi radości, zaczęła się gromadzić dokoła mowców, słuchać ich uważnie, oklaskiwać ich wrzaski bezładne.

Nazajutrz, od samego rana zaczęły się ukazywać na ulicach gromady robotników, niosących różne sztandary, amarantowe, czerwone, czarne (bundystów). Gromady, w pierwszej chwili nieliczne, rosły z każdą godziną, nabrzmiewały, zmieniając się wkońcu w potok szumiący. Pod wieczór wylały się wszystkie przedmieścia, wszystkie zaułki na śródmieście. Głowa przy głowie, ramię przy ramieniu, dorosli, wyrostki, dzieci, kobiety, toczył się tłum nieprzejrzany Krakowskiem Przedmieściem i Nowym Światem, pijany entuzjazmem. Niech żyje wolność! — krzyczał, wrzeszczał, śpiewał, powiewając sztandarami. Kogo spotkał po drodze, tego zabierał z sobą, i kto nie zdjął przed nim kapelusza, czapki, temu zdzierał, strącał z głowy nakrycie. Znaj mores przed wolnym ludem, burżuju!

Na ulicach demonstrował lud a w salach Filharmonii, resurs, klubów, wszędzie, gdzie można było pomieścić większą ilość osób,

133

rzvt

10

wall

i sie

przysłużyli się sprawie publicznej w pierwszych dniach po ogłoszeniu Najwyższego Manifestu. Ich jaskrawe, krzykliwe frazesy podnieciły fantazję ludu, spowodowały wybuchy pijanej wolności.

Nazajutrz po ogłoszeniu manifestu wracałem pod wieczór do domu. Na schodach kościoła św. Aleksandra stał jakiś Danton z Ryczywoła i darł się w niebogłosy: precz z caratem, zburzmy bastylię caratu i t. d.!

Bastylią warszawską nazwano ratusz, w którym, oprócz biurowego prezydenta miasta, oberpolicmajstra i tajnej policji znajdują się więzienia.

Gdyby ten Dantonik z Ryczywoła miał pięć klepek w porządku i jakieś wyobrażenie o psychologii władzy, wiedziałby, że żaden rząd, jakikolwiekby on był, monarchiczny, republikański, a choćby nawet demagogiczny, dopóki rozporządza wojskiem czyli siłą zbrojną, nie zgodzi się nigdy na samorząd tłumu, że odeprze gwałt gwałtem. A wiedząc o tem, nie pchałby naiwnych entuzjastów do nierozważnego czynu, do nieszczęścia.

Ale improwizowani Dantonowie, pijani swoją doktryną, oślepi namiętnością, drwią sobie z pięciu zdrowych klepek. To dobre dla burżujów, dla filistrów... Im, wodzom, trybunom ludu, wystarcza zapał.

Podniecony przez takich Dantonów tłum, otoczył ratusz, żądając uwolnienia wszystkich więźniów (31 października 1905 r.).

Stało się oczywiście, co było do przewidzenia. Nadbiegło wojsko, — rozległy się salwy, poszły i szable w ruch. Kilkadziesiąt trupów i rannych runęło na bruk, obryzgało młodą wolność krwią gorącą.

Ta krew rozkołysała oczywiście jeszcze więcej już rozkołysane namiętności. Improwizowani politycy i mężowie stanu nie chcieli zrozumieć, że zapowiedź konstytucji nie jest jeszcze konstytucją, że dopóki nie ustanowiono nowych praw, czego mógł po wydanym manifestie dokonać tylko parlament (duma), obowiązują jeszcze stare, istniejące prawa, żadne bowiem państwo, jeśli się nie ma rozpaść na strzępy, utonąć w bezładzie anarchii — nie może się zgodzić na rząd w rządzie.

I nie chcieli zrozumieć nasi mężowie stanu od wczoraj, że w naszych warunkach trzeba być bardzo ostrożnym z eksperymentami politycznymi. Bo nie jesteśmy sami z sobą. Ponad nami stoi dotąd legion rządców, urzędników, których my niewiele obchodzimy. Było im, jest im dotąd tak dobrze u nas, iż wszelka zmiana na naszą korzyść musi ich przerażać. Więc korzystają z każdej naszej, choćby najniewinniejszej niezręczności, aby kopać pod nami dołki.

O tem wszystkiem zapomnieli nasi młodzi, improwizowani politycy. Niósł ich wichur podnieconych namiętności i rozdmuchanych manifestem nadziei. Był to wybuch naturalny po czterdziestoletniem milczeniu. Zapowiedź swobody politycznej wzięto za fakt dokonany, co było wielką omyłką. Nie na to ogłosił rząd manifest, aby rozdmuchać płomień rewolucyi, lecz na to, aby go przytłumić, aby uspokoić zapowiedzią koniecznych reform wzburzone umysły.

Umysły nie uspokoiły się, przeciwnie rozpałyły się do czerwoności. Wszystko, co można było powiedzieć, wykrzyczeć, wypluć z siebie radykalnego, najradykalniejszego, wygłosili, wykrzyczeli, wypluli mowcy wywrotowi na wiecach i na ulicach w pierwszych dniach po ogłoszeniu manifestu. Wywrotowcy przemawiali tak głośno, tak często, iż zdawało się, że stanowią znakomitą większość narodu, że reprezentują cały naród, że jesteśmy wszyscy socyalistami, demagogami, kosmopolitami, bundystami.

Tymczasem tak nie jest. Wielkie masy narodu rdzennego, polskiego, nie stanęły pod czerwonym sztandarem. Książd, szlachcic, mieszczanin, chłop polski, czyli właściwy naród, zgrupowali się dokoła przywódców stronnictwa narodowo-demokratycznego.

Trzeba to było pokazać socyalistom, aby oprzytomnieli. Stało się to dnia 5-tego listopada (1905 r.).

Na ulice wyszła cała polska Warszawa: arystokracja rodu i inteligencji, tytuły, talenty największe, głośnie w kraju, intelligencja przeciętna, mieszczaństwo, młodzież, rzemieślnicy, lud, nienależący do organizacyi socyalistycznych. Pochody socyalistyczne zbladły wobec wspianiałego pochodu narodowego.

Szpalerem domów, ustrojonych w wieńce, kwiaty, kobierce, amarantowe chorągwie z białymi orłami, posuwał się we wzorowym porządku olbrzymi tłum Krakowskiem Przedmieściem, Nowym Światem, Alejami Ujazdowskiemi, witany z balkonów, z okien radosnymi okrzykami, oklaskami. Powiewały nad nim sztandary narodowe, rozbrzmiewały nad nim mowy płomienne, niesłyszane na ulicach Warszawy od lat czterdziestu pieśni narodowe (»Boże coś Polskę«, »Z dymem pożarów«) wzbijały się z jego głębi, z jego polskiej duszy w górę, szły ku niebu.

W mieście panował nastrój uroczysty. Czuć było w powietrzu, że tym razem nie taka lub inna partya przemawia, występuje publicznie, lecz naród, cały naród, bez różnicy stanów.

Wspaniały pochód z dnia 5 listopada był jedyną poezią stra-

sznego roku 1905, jedyną jasną, bezkrwawą chwilą chaosu pojęć, wyobrażeń i czynów, w który namiętna ruchliwość wywrotowców pograżyła kraj.

Był chwilą jasną, ale niestety, ostatnią. Zaraz nazajutrz rozpoczęła się reakcja przy akompaniamencie strajków. Dnia 6 listopada zabroniła władza dalszego wiecowania i wybuchnął strejk telefonów.

Rząd zawiedziony w swoich nadziejach optymistycznych, postanowił uśmierzyć siłą, czego nie zdołał dokonać obietnicą konstytucyi. Z chwilą ogłoszenia stanu wojennego (dnia 12 listopada 1905 r.) zaczyna się bezwzględna represya, na którą rewolucya odpowiada strajkami politycznymi i ekonomicznymi.

Teraz następują szybko po sobie wielkie strajki, paraliżujące ruch ekonomiczny kraju: strajk kolejowy, pocztowy, tramwajowy, nie licząc mnóstwa drobniejszych bezroboci. W przeciągu dwóch miesięcy (aż do końca roku 1905) stawała Warszawa kilka razy martwa, bezradna, jak zepsuta maszyna.

A każdemu ze strajków poszczególnych towarzyszył prawie zawsze strajk powszechny, trwający kilka dni, do którego wywrotowcy zmuszali terrorem.

Strajk powszechny jest w istocie bronią potężną w rewolucyach. Miasto milionowe dowiaduje się nagle, że nic niema: chleba, mięsa, mąki, krup, że gaz ma zgasnąć na ulicach, woda przestanie tryskać z wodociągów. Bogatego nie straszą takie niewygody, bo może się naprzód zaprowiantować, ubogi jednak, żyjący z dnia na dzień, z »ręki do gęby«, bywa skazany na głód.

A tego właśnie chcieli socjaliści. Roznamiętnić chcieli głodem, zimnem, rozpaczą uboższą ludność Warszawy, zmusić ją chcieli do czynnego udziału w rewolucyi. Gdy głód obojętnym dokuczy — rezonowali — rozgrzeją się oni i rzucą się na »burżujów«.

Idee wywrotowców są, jak lawiny. Drobną garstką śniegu zaczynają się toczyć na dół, a spadają w niziny całym potokiem, który zalewa wszelkie życie.

Niewinnem przewracaniem tramwajów i rozbieraniem dorożkarzów z liberyi zaczęła się nasza rewolucya w styczniu, a w listopadzie zatrzymywała już w biegu koleje żelazne i cały ruch miasta.

Zatrzymywała je teraz siłą, przemocą, rozkazem, popartym przez browningi i bomby. Kto opierał się komendzie tajnego rządu, ten dostawał kulą w łeb, nożem pod piątę żebro, temu rzucano bombę do fabryki, kamienie w okna sklepu i t. p.

Opierało się niewielu. Strach padł na miasto i oddał je w ręce wywrotowców. Bogatsi uciekali gromadnie z Warszawy, z kraju, ubodzy cierpieli. Żaden rząd nie miał takiego posłuchu, jak rząd podpisanych komitetów, rząd bomb i browningów.

Skutki strajków okazały się wkrótce. Tysiące robotników, rzemieślników, posłańców i t. d. znalazły się bez chleba. Ulice zaroily się żebrakami, którzyby się jeszcze temu kilka miesięcy wstydzili wyciągać rękę, dzwonki w mieszkaniach dzwoniły od rana do wieczora: dawajcie, dawajcie.

Ale hojne zrazu ofiary zmniejszały się z każdym tygodniem. Bogatsi wyjechali, ubożsi zaś byli już tak obżebrani, tak wyszlamowani, iż stracili ochotę do dalszego podtrzymywania swoją krwawicą »roboty wolnościowej«. Zaczęto zamykać szczelnie drzwi na łańcuchy, rygle, kłódki, zaczęto nie otwierać ich nikomu, nawet znajomym.

A nędza rosła w mieście z każdym dniem. Trzeba było coś na to poradzić, Wówczas utworzono »komitet narodowy pomocy dla ubogich« (dnia 15 listopada 1905 r.). Cóż jednak znaczą komitety dobroczynne tam, gdzie trzeba nakarmić dziesiątki tysięcy głodnych? Sztuki tej może dokazać tylko regularna praca, regularny zarobek, a regularnie pracować, zarabiać nie pozwalali ci, co marzyli o »szczęściu powszechnem dla całej ludzkości«.

I znów prorocy odczuli na sobie skutki strajków. Obżebrana Warszawa tak dla nich z początku hojna, płacąca tak chętnie różne »podatki«, zamknęła kieszeń. A oni potrzebowali dużo pieniędzy na agitację, na pensye dla swoich mówców i naganiaczy, na podtrzymywanie strajków, na broń wkońcu. Bo zdawało im się, że są już tak silni, iż mogą rzucić jawnie, odważnie rękawicę rządowi i zmusić go do posłuszeństwa, zdawało im się, że wojsko poprze ich zamiary, stanie po ich stronie. Złudzeni, ośmieleni, sporadycznie występującymi buntami poszczególnych pułków i okrętów, sądzili, że już są panami położenia.

Rok 1905-ty, pierwszy rok straszny skończył się wystąpieniem zbrojnym rewolucjonistów w Moskwie i słabemi echami tych walk ulicznych w Królestwie (27 grudnia).

Pierwszy zbrojny debiut rewolucyi nauczył wywrotowców, że przecenili swoje siły. Wojsko nie stanęło po ich stronie, wojsko strzelało do nich bez litości.

Rok 1906-ty zastał naszych rewolucjonistów rozczarowanych

niepowodzeniem towarzyszków moskiewskich, i co ważniejsza, bez pieniędzy.

Trzeba było koniecznie wydostać skąd większe pieniądze na cele agitacyjne, na podtrzymanie rewolucyi. Ale skąd? Po prostu brać tam, gdzie są pieniądze, gdzie leżą w większej ilości: w bankach, w kasach kolejowych, pocztowych, fabrycznych, powiatowych, gminnych, monopolowych i t. d. — pomyślał któryś z pionierów powszechnej szczęśliwości — »wywłaszczać« rząd i burżujów, »konfiskować« ich mamonę. Ale rząd i burżuje nie otworzą dobrowolnie swoich skarbów, będą ich bronili... Więc trzeba uformować, uzbroić, wymusztrować legion »bojowców«, gotowych na wszystko, nawet na śmierć, gdy będzie trzeba zginąć w służbie partyi. Niech bojowcy »konfiskują« monetę, gdzie się da, a w chwilach wolnych od grabieży niech wykonywują wyroki śmierci, na osobach, wskazanych im przez podziemnych władców.

Już w pierwszych dniach stycznia 1906 r. rozpoczęli »bojowcy« swoją działalność w Warszawie i w kraju. Bezustannie przez cały rok, to tu, to tam, w stolicy i w mniejszych miasteczkach »konfiskowali« pieniądze rządowe i »burżujów«, nie szczędząc bomb i browningów, gdy znajdowali opór. Napady urządzali zawsze z wielką śmiałością i sprawnością, prowadzeni widocznie przez zdolnych organizatorów i komendantów. Zjawiali się z nienacka, działali szybko i znikali bez śladu. Każda wiadomość dziennikarska o ich występach kończyła się zwykle przez dłuższy czas stałą uwagą: »sprawcy zbiegli«. Świadczyły tylko o ich »sprawności bojowej« puste kasy i krew zamordowanych ludzi. Dużo krwi ludzkiej splamiło »skonfiskowane« pieniądze, a przełana niewinnie krew ludzka nie przynosi nikomu szczęścia.

Kiedy socjaliści zabiegali w ten sposób o pieniądze, inne partje polityczne zabierały się tymczasem do wyborów do dумы państwowej.

Było tych partyi, czyli stronnictw na początku 1906 r. cztery: narodowi demokraci, realiści, spójniacy i postępowi demokraci.

Z wieku i z urzędu należy się pierwsza wzmianka realistom czyli byłym ugodowcom. Zajmowali się oni jawnie polityką już wówczas, kiedy inne stronnictwa, albo pracowały pod ziemią, albo trzymały się z daleka od wszelkiej polityki, dłuższa praktyka wyrobiła w nich spokój i umiarkowanie, które są zawsze skutkiem doświadczenia. Byli oni od pierwszej chwili politykami legalnymi, czyli: dążyli do polepszenia naszego położenia na drodze legalnej. Ta ich legalność nadała im tytuł ugodowców (ugoda Polaków z Rosyanami).

Pp. Józef Ostrowski, Michał Sobański, Stanisław hr. Łubieński, Eustachy Dobiecki, ks. Zygmunt Chełmicki, Mściśław Godlewski, Antoni Donimirski, Kazimierz Puffke, Władysław Kosiakiewicz, mecenas Suligowski, Erazm Piltz i Ludwik Straszewicz tworzą sztab działaczy i publicystów »realistycznych«. Organami ich w Warszawie *Słowo* i *Kurier Polski*.

Wojna japońsko-rosyjska, która wyróciła w Rosyi wszystko nanie, wpłynęła oczywiście także na zmianę poglądów byłych ugodowców. Nie schodząc ze stanowiska legalności i liczenia się z warunkami istniejącymi, byli ugodowcy rozszerzyli i pogłębili swój program, za barwili go wyraźną barwą narodową i nazwali się realistami.

Ale ta nowa suknia nie powiększyła szczupłego koła ich zwolenników. Naród nie zapomniał im niepopularnej w kraju »ugodowości«, nie uwierzył w ich patryotyzm z wielką szkodą dla sprawy publicznej, w gronie bowiem realistów znajduje się dużo sił wyrobionych politycznie, rozważnych i rozumnych. Realisci są dotąd stronnictwem bez armii, nie posiadają żadnego wpływu na szersze masy.

Ogniskiem, w którym się zbiegły, znalazły wyraz marzenia i dążności większości narodu, jest stronnictwo narodowo-demokratyczne.

Powstało ono *mutatis mutandis* z grona ludowców i wszechpolaków z natury swojego programu nie mogących występować jawnie przed zmianami, zaszkłemi po wojnie rosyjsko-japońskiej. Próbował wprowadzić warszawski tygodnik *Głos* (pierwotny, nie mający nic wspólnego z późniejszym) krzewić temu lat kilkanaście ideę »podporządkowania wszelkich spraw społecznych interesom ludu«, ale musiał ustąpić z posterunku, zepchnięty z niego przez niesprzyjające w owym czasie swobodzie słowa warunki. Do głównej idei ludowców dodali wszechpolacy »jedność wszechpolską«. Ludowość i jedność wszechpolska stanowią rdzeń dzisiejszej demokracji narodowej. Opiera się ona na wielkich masach narodu, na materyale przyszłości i stąd jej powodzenie, stąd jej ogromna armia, jaką rozporządza. W ostatnim roku zmodyfikowali narodowi demokraci program, podporządkowując wszystkie sprawy społeczne, a więc i ludowe »sprawie narodowej« wogóle w najszerszym tego określenia znaczeniu.

Organami narodowych demokratów są *Dzwon Polski* (dawniejszy *Goniec*) i *Myśl Polska*. Na czele stronnictwa stawia głos powszechny Romana Dmowskiego.

W pośrodku, między realistami a narodowymi demokratami stoi t. zw. Spójnia, której organem aż do śmierci ś. p. Jana Gądomskiego

była *Gazeta Polska*. Spójniacy są właściwie narodowymi demokratami, pokostowanymi umiarkowaniem realistów. Możliwy ich także nazwać bezpartyjnymi.

Wszystkie trzy stronnictwa: realiści, narodowi demokraci i spójniacy tworzą jeden wielki obóz narodowy, są — narodowcami. Dzieli ich tak niewielkie różnice w poglądach (właściwie tylko w metodzie działania), iż w razie potrzeby, w walce z żywiołami wywrotowymi, mogą iść bardzo dobrze razem, wspierać się nawzajem, co może być z wielkim pożytkiem dla sprawy publicznej.

(Dok. n.)

T. Jeske-Choiński.



JEDNA Z NASZYCH SPRAW I DRAMAT O NIEJ.

I.

Czytałem już kilkakrotnie ostatni dramat Lucyana Rydla.

Czytałem zrazu dla osobistej ciekawości, bez żadnego zamiaru pisania o nim. Ale już po drugim akcie czułem, że idzie z tych kartek siła, która zmusi do ujęcia za pióro.

Liryka, która zawsze dotychczas w twórczości dramatycznej Rydla, miejscami przynajmniej przejawia się, znika w tym dramacie zupełnie. Nic liryki, nic uczuciowości, nic tego, co nazywamy poetycznością w dramacie. Usunięte też na bok wszystkie akcesorya, wszystkie efekty, wszystkie teorye, wszystkie reminiscencye literackie, wszystkie wzory. Od pierwszej kartki do ostatniej litery, utwór ten wypełniony jest samym wrzątkiem dramatycznym. Samo życie, sama rzeczywistość, o ile życie i ta rzeczywistość przesiąknięte są na wskrós konfliktem, występują w tym utworze na widownię, a występują w zwartej precyzji dramatycznej akcji.

Poprzez każdy ruch, każde słowo występujących w dramacie postaci czuje się, że dramaturg sam jest wstrząśnięty do głębi rozgrywającym się konfliktem, czuć nadto, że wstrząśnięty nim jest nie tylko jako artysta, ale też jako Polak i obywatel, który ten konflikt odtwarza dlatego w sztuce, ażeby go usunąć z życia — ale zarazem widać, że autor rozmysłem artystycznym opanował uczucie, że zrozumiał, iż samo artystyczne odtworzenie rzeczywistości bez jakichkolwiek tendencyjnych przystawek, swój wpływ

społeczny na życie wyrzucić musi. I dzięki temu stworzył dzieło, które ma wielkie społeczne, obywatelskie znaczenie, a zarazem ma swoje szczególne znaczenie artystyczne.

Bodenhain — taki jest tytuł tego utworu — jest słowem, z którym w całym ciągu dramatu nie spotykamy się nigdzie, spotykamy je dopiero na samym końcu i to jako słowo ostatnie. Jest to ta chwila, w której Niemiec Thiede, nabywszy w Poznańskim polski majątek Bodzantowo, zmienia tę nazwę na niemieckie Bodenhain. I oto w samym tytule mieści się cała treść dramatu i cały jego tragizm.

Sama fabuła dramatyczna nie wykracza prawie poza pierwszą, lepszą dziennikarską notatkę o dzisiejszych sprzedawczykach ziemi w Księstwie poznańskim. Młody obywatel Bodzantowa, Ziemowit Zbąszyński, doprowadza przez lekkomyślność i marnotrawstwo, majątek do ruiny. Przez chwilę świeci mu jeszcze, jak ostatnia gwiazda, nadzieja, że poślubi bogatą siostrę stryjeczną. Ale rodzina narzeczonej stawia mu jako nieodzowny warunek, by zmienił życie. Jeszcze wyrzucić kurtyzanę z domu przyszyłoby łatwiej, ale oddać cały zarząd majątku w kuratelę rodziny, to już przechodzi jego możność. To też ostatnia gwiazda gaśnie, a w tej ciemności losy Bodzantowa staczają się ku przepaści. Przez chwilę jeszcze trwa jakiś próżny wysiłek obronny, jakiś nerwowy odruch słabej woli, a w posiadanie nowego działu polskiej ziemi wchodzi komisya kolonizacyjna.

I oto wątek opowieści.

A opowieść ta, bardzo zwykła, rozsnuwa się od początku do końca w najprostszych epizodach, w potocznych wypadkach codziennego życia. Raz błaznuje kurtyzana, to znowu grają karciarze, to rodzina usiłuje odwieść marnotrawcę od przepaści, za chwilę toczą się układy z agentem komisji kolonizacyjnej, wreszcie zjeżdża nowy właściciel Niemiec.

Ta prostota była dla niejednego krytyka tego dramatu kamieniem obrazy. Nie zauważono, czy nie chciano zauważyć, że nie jest to prostota zwykłego rodzaju i rzędu.

Poza powszedniością epizodów roztacza się przed okiem widza, od samego początku dramatu, szeroki widnokrąg. Można

powiedzieć, że przez okna domu, w którym toczy się akcja, widzieć jedną stronę życia tej dzielnicy, a w toczącą się akcją raz po raz wpada ton, który sprawia, że nie tyle patrzymy na kłopoty finansowe bankruta, jak raczej na zagrożoną narodową sprawę:

Masz dany kawał polskiej ziemi
Ojczyzny kawał dany masz,
Byś go siłami strzegł wszystkimi —
Jakże ty spełniasz nad nim straż?

Jak stajesz w ziemi tej obronie,
Gdy na nią czycha wróg zażarty?
Czy na pradziadów swych zagonie
Jak żołnierz na placówce trwasz?

I to odczucie zaatakowanej placówki narodowej, obleganej twierdzy, twierdzy mniejszej zapewne rozmiarem znaczenia niż Zbaraż lub Okopy, ale nie mniejszej istotą rzeczy, to daje nam ten dramat. I stąd to ponure przygnębienie, jakie przez cały ciąg tego dramatu niewymownie przygniata duszę, gdy zamiast usilnej obrony, widzi się wśród obleżonych coraz większe rozprężenie, nawet lekkomyślność graniczącą z szaleństwem, potworny taniec orgii nad rozchylającą się przepaścią.

A gdy w końcu wszystko runęło w tę przepaść, gdy w kolumnach milknie chichot szaleńców, a na ganku bodzantowskim staje junkier i oznajmia tłumom nową niemiecką nazwę miejscowości, to trudno oprzeć się wrażeniu, że nazwa ta to czarno-biała, pruska chorągiew, zawieszona na świeżo zdobytej twierdzy polskiej — że to nowy rozbiór Polski.

W tem świetle, które sam dramaturg w przybytku swojej sztuki rozniecił, prostota tej sztuki nabiera szczególnego znaczenia. To światło, to światło gromnicy, przy którym sumienie narodowe odbywa rachunek i sąd nad narodową zdradą. To, co od lat szeregu w tysiącach serc polskich kotłowało, wściekłość i oburzenie na hołotę marnotrawców, sprzedawczyków i zdrajców, to w tym dramacie przychodzi do głosu, a przychodzi nie w błyskawicy i gromie, lecz dużo silniej, w niewzruszonym majestacie sprawiedliwego sędziego, który wszystko kładzie na szali i z nieubłagana ścisłością prawdy odmierza.

Czyż taka prawda bawić się może w efekty świetlne, w rozlewne odcienie lub w abstrakcyjne teorie? Czyż bawi się w ten sposób rozsądzające sumienie? Czyż w chwilach takiego sądu nie panuje największa prostota w przytaczaniu i określaniu faktów, w procesie myśli i uczuć i czy ta prostota nie jest wielką prostotą majestatu prawdy i sądzącej sprawiedliwości?

Ten charakter dramatu sprawia, że utwór ten ma wielką społeczną doniosłość. To nie jest zapożyczanie się sztuki w aktualność społecznego życia, która w następstwie ma tylko literackie znaczenie i z tego też punktu tylko ocenianą swego wyrazu bywa, to jest sama aktualność życia, która dochodzi do pełnego w sztuce. Poza całą realistyczną fakturą dramatu-satyry jest to, w istocie rzeczy, ten sam odcień twórczości, który w dniach naszej wielkiej poezji pchał ją do roztrząsania zagadnień współczesnych, a za dni naszych każe Wyspiańskiemu wyprowadzić na scenę chochoła.

To tak pojęte społeczne znaczenie tego utworu, domaga się, ażeby je jak najsilniej zaznaczyć. Jest to protest narodowego sumienia i sąd.

Hulaszcza zgryza marnotrawców i lekkoduchów staje tu pod pręgierzem — tak ci, którzy pobyt w kraju, ten dla nich »grzęski świat wiecznej nudy, wiecznej słoty« umieją sobie umilić, jak i ci, co za tym krajem trawiają majątek i cześć...

ZIEMOWIT

Rok temu, właśnie tak jesienią
Z Adasiem byłem na Riwierze...
Tam teraz laury się zielenią!

KLEMENS

Co laury! Ale te kobiety!
Zrobiłem tam znajomość taką,
Że koniec świata!...

(po chwili, kwaśno)

Do ruletki

Nie miałem szczęścia... Eh, Monaco
Dobilo mnie!

ZIEMOWIT

Lat temu cztery

Czy trzy — już nie wiem — na Ceylonie

Z Ninie Granowskim na pantery
 Polowaliśmy i na słońce
 I na tygrysy... Cuda! Cuda!
 Wierz mi, to raj na ziemi szczery!
 A tu co? W błocie człowiek tonie...
 Ten deszcz! Ta nuda, szara nuda!

(po chwili)

Ninio w tym roku w Himalaje
 Wybiera się na polowanie...

I tak idzie w tym dramacie, nieprzerwanym tokiem, w dyalogach i w akcyi, cały szereg lekomyślności, występków i marnych ludzi, ludzi zrazu bezmyślnie używających życia, potem oszustów, sprzedawczyków, zdrajców wprzágających się nawet w służbę kolonizacyi niemieckiej — ludzi wkońcu przeciskających się z rozpaczą przez ciasny przesmyk między piętnem hańby a samobójstwem.

Sami oni czują konieczność sądu nad sobą. Jako krótka przerwa w hulaszczem życiu, jak pauza po chwilach przesytu, przychodzi im świadomość położenia:

Ten ułan, to mój dziad Wincenty
 W trzydziestym pierwszym... Powiedz, powiedz,
 Ktom ja?... Utracysz! Zero! Zero!

(po chwili)

Żeby ja hart ich miał i siłę!
 Ale jak jabłko, co nadgnięło
 I co zczerniało już połową,
 Choć drugą jeszcze ma różową —
 — Cóż z tego? Będzie gnić, aż zgnije.

To też jak jasny promień wpada w tę ponurą ciemnię sąd, jaki nad sprzedawczykiem składają członkowie rodziny. Zjechali, by ratować marnotrawcę. I oto przez usta starca, najstarszego członka rodu, pada wyrok:

Strwonileś marnie całe krocie:
 Zbytki, wojaże, dziewczki!...
 I ziemia twoja — już w istocie
 Nie twoja — z rąk ci dziś wypada...

Mów, co w tym domu jest?

(długie milczenie)

Rozpusta

I wiarałomny fałsz! I zdrada!

(po chwili)

Jak ciebie nie zdjął święty strach,
 Że śmiałeś jawną ulicznicę
 Wprowadzić pod rodzinny dach,
 Tu, gdzie dziadowie i rodzice
 Żyli!? Jak mogłeś do ostatka
 Zbezczęścić domu tego progi
 Gdzie konał ojciec twój i matka.

.....
 O! Bóg nas ciężko, srodze karze
 Tobą i podobnymi tobie!
 Wy rozpustnicy, wy karciarze,
 Grzebiecie żywą Polskę w grobie!!

(zasłania twarz i wybucha cichym płaczem)

A cóż, gdy, jak w tym wypadku, nie pomoże rada rodzinna?

Czy istnieje u nas w Polsce, jakiś ludzki środek, by tych ludzi zwrócić na prostą drogę, a przynajmniej innych początkujących od tej drogi odstraszyć? Skutecznym środkiem byłaby jasna niezłomna opinia publiczna, któraby marnotrawcę wykluczała ze społeczeństwa na zawsze, a przynajmniej do chwili stanowczej poprawy. Niestety, takiej opinii wogóle u nas nie ma. I to jest jedna z najbardziej groźnych, wiecznie jątrzących się ran naszego społecznego życia. W pierwszej chwili, w podobnych wypadkach, wybucha silne oburzenie, jak pożar sterty, które też, jak słomiany ogień prędko gaśnie. Sprzedawczyk Bodzantowa umie coś o tem powiedzieć:

Opinia? Eh, ludzi bez liku
 Prusakom sprzedało majątek,
 A gdzież ta opinia? — Ot krzyku
 Narobią tam gdzieś gazeciarze
 I na tem opinii początek
 I koniec. Nikt palcem nie wskaże
 Nikt ręki nie cofnie, nie zgromi —
 Przyjmują, witają znajomi —
 Świat cały cię widzi nie gorzej
 Niż przedtem. Cóż stało się księżnie?
 Sprzedała, jak nie Damianowo —
 Czy na nią opinia się sroży?
 Krzyk gazet umiała znieść mężnie

Do Lwowa zjechała w karnawał,
Był grosz, więc bawiła się zdrowo,
Dom każdy otworem jej stawał...
Opinią niech pan mnie nie straszy!

Tak jest, niestety, i jak długo ten warowny mur opinii nie stanie, nic nie uchroni nas przed zalewem niemczyzny i przed podobnemi nieszczęściami. Niema innej drogi, jak ta, którą wskazuje poeta w dramacie, przez usta prawego Poznańczyka:

Tak! Należało nam przed laty,
W kolonizacyi pierwsze czasy,
Wyciąć, wypalić jak gangrenę
Każdego ziemi sprzedawczyka.
By zginął sam jak trędowaty!
A moglibyśmy za tę cenę
Dziś patrzeć w przyszłość bez obawy.

Tymi słowy stawia poeta, z całą mocą przekonania, jedną z najważniejszych naszych spraw społecznych, sprawę niezłomnej opinii publicznej, ważną wogóle dla wszystkich trzech dzielnic. Problem sam przez się oczywisty, teoretycznie nic nowego nie mówiący, a jednak w praktyce jakżeż nieodzowną potrzebą było przypomnieć go pamięci! Czy sprzedaż polskiej ziemi w ręce niemieckie nie zagraża dalej? A nawet, czy niema teoretycznych prób, aby w tym względzie bałamucić sumienie publiczne? Mniej więcej przed rokiem toczyła się w prasie dyskusya o »Czarną księgę«, książkę peryodycznie wydawaną przez kilku ludzi prywatnych, w której imiona sprzedawczyków poznańskich przekazywano smutnej pamięci. Zasadniczo biorąc, była to jedna z godziwych prób do stworzenia publicznej opinii w tym względzie. Nagle, naokoło Czarnej księgi zatoczyła się burza. Nie wchodzimy w *meritum* tej sprawy. Oczywiście, jeżeli gdzie, to przy takich wydawnictwach niezbędną jest ostrożność, aby nie potępiać niewinnych, a winnych tylko w granicach winy. O ile więc w tym względzie zawiniło wydawnictwo, walka przeciw Czarnej księdze miała rację bytu.

Ale spotkaliśmy się w tej walce i z innymi akcentami. W pismach konserwatywnych czytaliśmy wtedy pewien zwrot zdziwionego oburzenia, skąd ktoś w społeczeństwie może przy-

właszczać sobie prawo trybunału opinii, prawo wydawania publicznych wyroków o kimś!

Pomijając przeoczenie, wskutek którego te pisma zapomniały, że dzięki temu samemu prawu mogą one istnieć i działać, musimy podobne zwroty nazwać bałamuceniem narodowego sumienia. I nie tylko narodowego. Wobec tego, że krok w krok za niemieczyzną idzie protestantyzm i każdą zdobytą piędź polskiej ziemi nie tylko germanizuje ale i protestantyzuje, każdy prawy Polak i katolik nie tylko może ale powinien rzucić każdemu sprzedawcy wyrok potępienia. Publiczne występkę, godzące w dobro ogółu, ma prawo względnie i obowiązek każdy piętnować.

Te myśli nasuwa zagadnienie, śmiało i słusznie i z wielką zasługą narodową podniesione przez poetę, gorący odzew i protest wiernego miłośnika ojczyzny. Obiektywny ton realistycznego dramatu nie dozwolił poecie roztoczyć całego napięcia uczucia w najbardziej dojmujących jego tonach, co jednak w głębi duszy czuł, to dość wyraża ustęp z Kraszińskiego, wzięty przez poetę za motto tego dramatu:

Nie znam na was hańby słowa!
 Nie, że język mój ubogi,
 Lecz, że boską ludzką mowa,
 Nadto piękna, czysta, święta,
 By was nazwać po imieniu!
 Jaby rzucił w grzmiącym pieniu
 Wam serc wszystkich wszechprzekleństwo!
 I jak zemsty jęzga wściekła
 Gnał was biczem żmij do piekła,
 Startł wam z czoła człowieczeństwo!
 Błędnych, krwawych, skutych w pęta,
 Stawił w wieków sądnem kole,
 By wydeptały na czole
 Wam nagrobek ten — »zwierzęta«.

II.

Wskazaliśmy na zagadnienie społeczne, ideę utworu; zastanówmy się teraz nad jej artystycznym wykonaniem. Co sądzić o dramacie, jako o dramacie?

Mogłoby się komu zdawać, że stoimy wobec przesądzanego sta-

nowiska. Dramat był grany na scenie krakowskiej, więc z biegu rzeczy wydała o nim sąd prasa codzienna. Sąd nie był jednolity, decydujący jednak odłam prasy, z konserwatywną na czele, nie zachwycał się zbyt artystyczną wartością utworu. Natomiast dziennik socjalistyczny, który na ogół tak mało sprawami sztuki interesuje się, poświęcił dramatowi estetyczną i wcale sympatyczną ocenę. Ten ostatni szczegół może mieć i może nie mieć głębszego znaczenia, ostatecznie jednak mógłby może nasunąć refleksję, jak łatwo przy ocenie sztuki, poruszającej aktualne społeczne zagadnienia, te ostatnie wpływają na estetyczny sąd.

W każdym razie i stanowisko społeczne, jak również i miejsce i chwila ważną przy takich sztukach grają rolę. Zaznaczono to gdzieindziej wymownie, że gdyby ta sztuka była grana nie nad Wisłą ale nad Wartą, w tem otoczeniu, do którego się bezpośrednio odnosi, to wzbudziłaby nieopisany entuzjazm. Czyż więc w Krakowie nie odczuwa się stosunków z nad Warty? Najpierw, oczywiście, niema się tu na ogół tej bezpośredniej intuicji i wrażliwości, jaką daje bezpośrednia rzeczywistość. Nadto nad Wartą jest większy hart charakteru, do którego ten dramat apeluje. A potem, wchodzi tu w grę jeszcze inny, bardzo ważny moment psychiczny, jakim jest główny rys obecnej chwili w Poznańskim. Długoletnia walka narodowa w tamtej dzielnicy obfitowała, w ostatnich czasach, w tyle podniosłych a wstrząsających momentów, dzielnica ta stanęła na tak wysokim poziomie, na pierwszym jej planie tak zarysowały się bohaterskie dzieci, że dziś na Księstwo nie tylko Kraków i Polska ale i Europa i świat cały z podziwem patrzą. Taki moment ma to następstwo, że przesłania sobą wszystko, zwłaszcza wszystkie ujemne objawy, olśniewa jasnością swoją tak, że cieniów żadnych dokoła nie widać. Wie się o nich, że są, ale nie chce się ich widzieć, a, jeżeli się je już widzi, to nie przywiązuje się do nich tej wagi i wrażliwości, jakąby przywiązywać należało i jakąby się w innej chwili przywiązywało. Owszem, jest dążność, by w ocenie takich ujemnych objawów, może nie tyle dążyć do ich usprawiedliwienia, co raczej, do podania w wątpliwość sprawiedliwej ich oceny.

Ten ostatni rys zaznaczył się podobno dość wyraźnie, wśród

publiczności krakowskiej, na pierwszym przedstawieniu tego dramatu. Nie chodziło, oczywiście, o samą zasadę, w której obronie stawiał dramat, ale o osoby, o typy, na których życiu osnuta była zasada. Pytano się z niedowierzaniem, czy takie typy w rzeczywistości istnieją, czy takie wypadki zachodzą, odczuwano pewną przesadę w silnych liniach rysunku charakterów i epizodów¹. Z kompetentnej strony dano już odpowiedź, że osnowie i fizyognomii dramatu odpowiada rzeczywistość zupełnie. Typ Poznańczyka zachował w sobie coś jeszcze z pierwotnej czerstwości natury; mniej od typu dwu innych dzielnie oglądzony, bardziej rogaty, za to bardziej stanowczy tak w dobrem jak i w złym, w jednym lub drugim kierunku do dalszych dochodzi granic, jak to zazwyczaj przy polskim charakterze bywa. To też i w tym dramacie obok szumowin widzimy typy obywatelskie wprost wspaniałe. Co się zaś epizodów tyczy, to najprostsza znajomość stosunków poznańskich przekonywa, że dramaturg w ich doborze był nawet oględny.

Ten ostatni moment »wierność dokumentu ludzkiego«, wchodzi już w wartość sztuki jako sztuki, dwa poprzednio omówione momenty — stanowisko społeczne, chwila i miejsce — są momentami zewnętrznymi, przypadkowymi. W objaśnienie tych przypadkowych momentów wdaliśmy się dlatego tylko, by wskazać, jak doraźna ocena tego dramatu, oparta na pierwszym wrażeniu tylko, nie może być miarodajną. Pierwsze wrażenie estetyczne bywa często najlepszym probierzem wartości artystycznej — ale nie przy sztukach, poruszających aktualne zagadnienia społeczne. Przy tych sztukach trzeba wziąć tekst do ręki i urządzić nad nim refleksję.

Przejdźmy już teraz do artystycznej strony.

W życie bodzantowskie wchodzi dramaturg krokiem pewnym i to odrazu w sam środek bieżących spraw i zawikłań. Sytuacja jest pojęta tak, że mamy przed sobą tylko ostatni peryod zbliżającej się katastrofy, a więc okres najbardziej dramatyczny, w któ-

¹ Pewną przesadę, bardzo ujemnie wpływającą na sam utwór, wprowadziła zła gra aktorów, w dwu głównych rolach, męskiej i kobiecej. Stwierdziły to bardzo silnie wszystkie dzienniki. Niestety, naczelna rola męska wypełnia sobą prawie cały utwór. Wskutek tego możnaby powiedzieć, że utwór w swoim właściwym charakterze, nie jest znany publiczności teatralnej.

rym wszystkie zawikłania, zboczenia, projekty, myśli i uczucia następują szybko jedno po drugim, w różnym tempie, w konturach ostrych i wyrazistych. Jak nad pobożowiskiem dogorywających czarny kruk, tak koło zrujnowanego Bodzantowa krąży Niemiec i właśnie w pierwszej scenie widzimy, jak przyszły bankrut, budując na złudnej nadziei a podniecony ambicją, wyrzuca Niemca, proponującego kupno Bodzantowa, za drzwi. Napięcie to nie łagodnieje już do końca. Raz po raz waży się nadzieja z rozpaczą, orgia karcarska z samobójstwem, trzeźwa refleksja z histerycznym gorączkowaniem. Akcja dramatyczna trwa kilka dni czy tygodni jesiennych, tyle ile trzeba, by liście straciły gorączkowe wypieki i obumarłe opadły.

W całej ekspozycji tego peryodu panuje niezwykle zwarta artystyczna jedność dramatu. Nie tylko żaden epizod nie psuje tej jedności ale ani jeden zwrot niepotrzebny nie wprowadza dysonansu w przewodni ton utworu. O ostatniej części utworu, która wydaje nam się zboczeniem z tej linii, piszemy niżej. Poza tą jednak częścią, którą ostatecznie rozmaicie można oceniać, dramatyczna ta precyzja roztacza się w całej pełni swej siły.

Dotykamy się tu momentu, który ma donioślejsze znaczenie, aniżeli się to na pierwszy rzut oka zdawać mogło. Dramatyczna ta precyzja nie jest w tym dramacie tylko wynikiem artystycznego rozmysłu i wielkiej artystycznej miary, to jest nadto i przede wszystkim wynik ogromnego odczuwania tego, co w danej rzeczywistości jest dramatem samym. Dramatyczna ta rzeczywistość opanowuje całą twórczość poety i nie dozwala jej na samoistną akcję poza obrębem przełomowego momentu tej rzeczywistości, nie dozwala na rozpraszanie się w przygodnych epizodach, nie dozwala zwłaszcza na żaden ekskurs liryczny, na żadną dowolną grę wyobraźni. Twórczość wprzagnięta w ten rzeczywisty moment przełomowy, jest wprzagnięta we wszystkie jego tryby i koła, w jego rozpęd i jego bieg; sceny i akty nie powstają na podstawie dowolnie subiektywnego kojarzenia się myśli i uczuć artysty, ale dlatego, że koła rzeczywistej maszyny życia tak biegną, że niezłomna logika faktów i psychologia dusz tą drogą idzie.

Że twórczość taka różni się istotnie od twórczości lirycznej

i od twórczości epicznej, że jest to odrębna, właściwa twórczość dramatyczna, uzasadniać tego nie trzeba. W określeniu, jakie dałimy, nie mieszczą się, oczywiście, wszystkie cechy twórczości dramatycznej, mieści się jednak jej najistotniejszy psychiczny moment, ten właśnie, który obserwujemy i podziwiamy w tym dramacie Rydla.

Dlaczego tak podnosimy ten moment? Oto, bo w dotychczasowej polskiej literaturze dramatycznej tego momentu prawie, że nie ma — a bez tego momentu nie ma dramatu.

Stwierdzamy tylko to, co już niejednokrotnie w krytyce naszej literackiej stwierdzonem było. Był nawet jeden głos, że twórczość poetycka polska, z naturalnego uzdolnienia swego zaawansowana w kierunku liryki i epiki, niezdolną jest do stworzenia dramatu. I nie bez siły jest dowód, że lotna wyobraźnia i żywe uczucie, dwa znamiona twórczości polskiej, rzadko idą w parze ze zdolnością do ożywionej nerwem dramatycznym filozoficznej syntezy życia, tej nieodłącznej towarzyszki prawdziwej twórczości dramatycznej. Jakkolwiek zresztą w teorii rzecz ta się przedstawia, nie da się zaprzeczyć, że w rzeczywistości poszczycić się prawdziwym dramatem dotychczas nie możemy. Mamy cały szereg dobrych nawet pierwszorzędných komedyi — ale to rodzaj tylko pokrewny z właściwym dramatem. Pokrewnym także tylko rodzajem jest poemat dramatyczny, rodzaj w którym kilka wybitnych utworów posiadamy. Poza tem wskazać można na szereg utworów, w których te lub owe sceny lub szczegóły są dramatyczne, ale nie całość. Natomiast setki naszych dramatów są to tylko uscenizowane powieści.

Pod hasłem stworzenia polskiego dramatu poczęła się najnowsza doba naszej poezyi. Wysiłki mnożą się wciąż i rezultaty ich są znaczne, między rezultatami wszakże niema właściwego w całości dramatu. Najgłośniejszy z twórców tej doby, Wyspiański, daje nam rzeczy niezwykle, ale to są poematy dramatyczne. I powiedzielibyśmy nawet, że Wyspiański przez swój przemożny wpływ oddala dobę właściwego dramatu w Polsce. Wysoki jego ton uczuciowy, silna gra wyobraźni, romantyczna efektowność, przymioty, które nie zawsze dadzą się pogodzić z właściwym dramatem, za-

czynają wyrabiać w dzisiejszej publiczności miarę, jak gdyby obowiązujać każdy wybitniejszy utwór dramatyczny. Jeżeli tej publiczności jakiś utwór ma się podobać, to muszą w nim być wielkie efekty, wielkie hasła, wielki patos — dramatyczność sama co raz mniej jest w naszym teatrze potrzebna. Bodaj, czy nie można by się założyć, że niespostrzeżenie u nas przejdzie dramat wybitny, perła pierwszego rzędu, jeżeli autor, wzgardziwszy efektowną dekoracją, osnuje konflikt dramatyczny na powszedniej, szarej fabule. »Bodenhain« Rydla doświadczył na sobie częściowo tej doli; nie tylko część publiczności, ale nawet niektórzy krytycy zgorszeni byli mocno, jak może fabuła dramatu nie różnić się od zwykłej kronikarskiej notatki. Na tym poziomie artystycznym stanęła *Krytyka*, czasopismo p. Feldmanna. Maluczko, a idąc w myśl takich ocen, dojdziemy do chwili, gdzie koniecznym postulatem wielkiej sztuki będzie pewna ilość rakiet i mózdzierzowych wystrzałów.

I dlatego z nietajoną radością witamy w dramacie Rydla ten nieodzowny przejaw wielkiej dramatycznej sztuki, jej najistotniejszy moment, podstawę jej istnienia. Może nie wszystko w tym dramacie jest w tem odczuciu dramatycznym utrzymane, ale w każdym razie, utrzymaną w niem jest właściwa część dramatyczna. Do niezaprzeczonego dorobku naszej nowej twórczości dramatycznej przybywa znaczny kapitał.

Jednym z bezpośrednich przejawów tego odczucia rzeczywistości dramatycznej wogóle, jest psychologia działających osób, ich charakterystyka, ich żywa fizyognomia. I to nam daje dramat Rydla w wysokim stopniu. Ci ludzie, którzy zapełniają scenę tego dramatu, to nie są typy wzięte z literatury, to są ludzie żywi, szlachcice z zagonu i panicze z budoarów. Każdy z nich wnosi z sobą cały swój świat odrębny nawyków, przekonań i dążeń, jeden hreczkosiej z cnotą twardą jak granit — drugi obywatel z pewnym polorem francuskiej ogłady, pokrywający niedołęstwo hasłem braterskiej wyrozumiałości — inny znowu frant, którego jednak życie zmusza do ratowania pozorów i do dorywczej pracy. Na pierwszym planie złota, hulaszca, poznańska młodzież.

Najbardziej wykończony typ dał nam poeta w nieszczęsnym

bohaterze dramatu, w utracyuszu Ziemowicie Zbąszyńskim. Tak wycieniowanej postaci, przy całej komplikacji psychicznych rysów, nie znajdzie się łatwo w naszej literaturze. Bywalec, a może raczej wojażer, lekkoduch i hulaka, typ chwiejny, połowiczny, łączący silną ambicję ze zdolnością do podłości, inteligencya wrażliwa, refleksyjna, a przytem płaska, człowiek, który nie tai przed sobą swej moralnej nędzy i potępia ją, a jednak nie ma siły dosyć, by z niej się podnieść. Jakaś drobna resztką dobrej woli tli jeszcze na dnie tej duszy, ale ta zdolna już tylko czepiać się pozorów i oczekiwać szczęśliwego trafu. Staropolskie »jakoś to będzie« gra w tej kombinacyi ważną rolę. Charakter taki, z natury rzeczy, wejść musi w kolizyę bez wyjścia, a w nią webrnąwszy stwarza co krok paradoksalne sytuacje, stwarza komedję w dramacie, ale komedję tragiczną. Już układy o sprzedaży majątku skończone; logicznie rzeczy biorąc, nie pozostaje nic innego, jak pakować manatki. Nie — Ziemowit Zbąszyński siada i rozpisuje listy do krewnych, by go jeszcze z tej ostateczności ratowali — a potem o pierwszym świecie siada na konia i on, który całe życie o gospodarstwie nie pomyślał, teraz, jak najwzrowszy gospodarz lustruje folwark. Ta chwiejność, oszukująca samą siebie, ta lekkomyślna chęć ratowania pozorów choćby przed samym sobą, przyczem o nic innego nie chodzi, jak tylko o własne samolubne uczucie, ta nie opuszcza Ziemowita nawet w tej chwili, kiedy już wszystko stracone. Zbliża się ostatnia chwila, kiedy to po sprzedaniu majątku trzeba opuścić pałac — i oto, o co chodzi Ziemowitowi w tej chwili:

Ja wiem, że smutki czas uleczy,
Lecz nie wiem, jak ja przewyciężę
Mój żal i smutek w takiej chwili...

Warto jeszcze dalszego toku tych wynurzeń posłuchać, co mówi ten, który, w rzeczy samej, niczego nie zaniedbał, coby od sprzedaży majątku odwieść mogło.

LILI

Sei stark mein Liebster!

ZIEMOWIT

Mów to komu.

Kogo nie ziębi ani grzeje

Nic tutaj, lecz ja się w tym domu
 Rodziłem... Minionych lat dzieje...
 Dzieciństwo wspominam... i płacę...

.....
 Gdy wiosna się tu zazieleni
 W ogrodzie i w lesie i w polu —
 Gdzież będę?!

LILI

Któż wie? — w Neapolu
 Czy w Monte Carlo?

ZIEMOWIT

(spoziera na nią stropiony, potem gniewnie)

Głupiaś Lili!

Czy ty nie rozumiesz mnie wcale?
 Odarli mnie, wydziedziczyli!...

Jak świetnie na to odpowiada kurtyzana, niemka z praktycznym rozumem:

LILI

Już przestań wywodzić te żale,
 Gdy miną chwilowe chimery
 Znów będziesz w przepysznym humorze...

Takich rysów i szczegółów, raz drobnych, raz ważniejszych, oświetlających aż do dna psychologię tego charakteru, rozsianych jest w tym dramacie mnóstwo całe. Przy tej charakterystyce dramaturg cofa się na dalszy plan, występuje tylko jako portrecista, któremu jedynie o wierność rysów chodzi, ale im jest wierniejszym portrecistą, tem coraz bardziej chłoszczącym jest satyrykiem. Z ram portretu wychodzi moralna karykatura człowieka. Dochodzi do tego, że ten ambitny człowiek, który wzdrygnął się na samą myśl familijnej opieki nad sobą, klęka przed uliczną dziewczką i ją o litość błaga. Moralnie i nerwowo rozbity, obrzucony przekleństwem i kamieniami przez chłopów, znika marnotrawca z widowni.

Czy to jest tylko typ poznańskiego sprzedawczyka? Czy cały ten charakter, z całą swoją lekkomyślnością, niekonsekwencją i słabą wolą, nie jest typem ogólnym marnotrawcy — Polaka?

Nie nie stoi na przeszkodzie takiemu mniemaniu. Sam dramaturg pojmuje swój dramat ogólniej, gdy w motto dramatu prócz ustępu Krasieńskiego, przytacza także takie ogólne zdanie Orzechowskiego: »Byś serce moje rozkroił, nie znalazłbyś w niem nic innego, jedno to słowo: Zginiemy!» A wtedy miałby ten dramat ogólniejsze znaczenie. Byłaby to w nowy sposób ujęta synteza wszystkich naszych nieszczęść narodowych, tem od innych prawdziwsza, że w naszych wadach szukająca rozwiązania a opierająca się w ich ocenie na niezłomnych zasadach etycznych i na nieubłaganej logice życia.

Na tej psychologicznej analizie Ziemowita spoczął z natury rzeczy najsilniejszy nacisk dramatu. Czy nie pociągnęło to jednak za sobą pewnych ujemnych następstw dla dramatu? Zdaje nam się, że tak. Nie dlatego, jakoby psychologiczna analiza, wogóle, mogła kolidować z naturą dramatu, ale dlatego, że psychologiczna analiza nie może być ostatecznym celem dramatu, a to ponieważ zdaje się mieć miejsce w ostatnich dwu aktach, w akcie czwartym i piątym »Bodenhainu». Właściwa akcja kończy się w akcie trzecim, sprzedaniem Bodzantowa. Jakaś akcją widzimy także i w akcie czwartym i piątym, ale jest to już tylko drobny strumyk, przesączający się z akcji głównej trzech pierwszych aktów. Przyczyną tej akcji dalszej jest resztką dobrej woli Ziemowita, który radby odwrócić to, co się stało. Przewlekanie takie jest rysem, tłumaczącym nam doskonale psychologię Ziemowita, ale jest też przewlekaniem i osłabieniem momentu dramatycznego, który polega, jeżeli nie na nagłości, to przynajmniej na pewnej precyzji. Tu psychologia i dramat kolidują. Jest w tych dwu ostatnich aktach cały szereg szczegółów, wysoce dramatycznych, jak, na przykład, gdy zjawia się niespodziewanie Niemiec po swoją własność — ale są to szczegóły o swojej sile stojące a nie idące z silnym prądem akcji. To zaś, co uwagę do tych dwu ostatnich aktów przykuwa, to jest świetna analiza psychologiczna.

Jest też w jednym z tych dwu ostatnich aktów jeden jeszcze szczegół jedyny, który można nazwać efektem, a który może być rozmaicie oceniany — scena duchów. Wiemy, że ta scena ma swoich wielbicieli i rozumiemy, że jest zupełnie psychologicznie

umotywowaną. Powiedzielibyśmy to jedno tylko, że nie widzimy, czy ta scena jest konieczną. A to pytanie winien sobie dramatysta przy każdej scenie stawiać.

Oto najogólniejsze i najgłówniejsze wrażenia, odniesione, z czytania tego dramatu. Suma tych wrażeń nie jest obfitą, ale taką być musi z samego założenia tego dramatu, za to jest w wysokim stopniu intensywną.

Jeżeli jeszcze w estetyczną stronę tego dramatu wciągniemy jego pierwiastek narodowy i społeczny, o czym w pierwszej części ze stanowiska społecznego mówiliśmy, otrzymamy wartość artystyczną wysoką. Ta społeczna strona dla pewnych krytyków przesądzała już o wartości artystycznej, w imię zasady, że tendencja obniża sztukę. Zasada ta może być słuszną normą oceny, ale pod jednym warunkiem, ażeby krytyk przy każdym danym utworze sprawdził i uzasadnił, że w nim tendencja w rzeczywistości obniża sztukę. Inaczej zasada łatwo wyradza się w frazes. A cóż wtenczas, jeżeli pierwiastek tendencyjny, pierwiastek narodowo-społeczny, jest harmonijnie z estetycznym zespolony — jak często bywa w naszej wielkiej poezji, jak dziś bywa u Wyspiańskiego?!

Tę doniosłą wartość posiada i ten dramat.

Ks. J. Pawelski.

----- •••• •-----

REFORMA FILOZOFII KATOLICKIEJ?

Coraz częściej dają się słyszeć głosy wołające o reformę filozofii w katolickich szkołach. Głosy te wprawdzie nie zawsze dochodzą do wiadomości publicznej; kto atoli badawczem okiem śledzi objawy współczesnego ducha, znajdzie niejedną fakt, niejedną, choć może drobną, delikatną rys, stwierdzający to przekonanie. Tu lub ówdzie odzywa się ktoś śmielszej natury, ale, jak to w takich prądach zwyczajnie bywa, za daleko się posunie. Inni znowu nie słowem, ale cichym, spokojnym czynem stwierdzają, że i oni są przekonani o potrzebie reformy na tem polu.

Do najśmielszych głosów w tym kierunku należy bezsprzecznie artykuł Günthera w czasopiśmie *Natur und Offenbarung*¹. Jeżeli chcemy wierzyć jego wywodom, uczeni nasi pracują prawie bez wyjątku w duchu jednej szkoły, filozofia nasza jest filozofią szkolną o takim charakterze ekskluzywności, że zatraciła niemal zupełnie styczność ze współczesnym życiem i postępem naukowym. Nie można zaprzeczyć, powiada Günther, że prawie wszystkie materje i problemy, których średniowieczna scholastyka nie знаła, i nam także są nieznane, że traktujemy filozofię w zupełnej zależności od teologii, że tylko takie kwestje filozoficzne nas obchodzą, które mają łączność z teologią, i że wszystkie inne zostawiamy na boku. A jeżeli takie przedmioty dalsze wciągamy w tok naszych badań, to i one przedstawiają się wreszcie w świetle religij-

¹ Tom 51, str. 103 nast.

nem, zabarwione pojęciami i zasadami filozofii arystotelesowskiej. Tak więc duch scholastyki jest duchem zależności i zupełnej niesamodzielności, duchem antypatii do doświadczenia i nauk pozytywnych.

Wobec takiego położenia współczesnej filozofii katolickiej Günther określa trzy własności, które ta filozofia posiadać musi, ażeby mogła się spodziewać pomyślniejszego rozwoju i szybszego, niż dotąd wzrostu.

»Pierwsza własność, jaką naukowa filozofia dziś posiadać musi, jest *niezależność*. Badanie filozoficzne jest niezależne, jeżeli odczuwa wszelki świadomy wpływ nie wynikający z natury badania ludzkiego...

»Druga własność, jakiej umysłowa kultura współczesna się domaga od filozofii, jest to charakter bardziej empiryczny, t. j. jak najszybsze opieranie się na doświadczeniu i jak najściślejszy związek z naukami empirycznymi.

»Trzecia własność, jaką filozofia dzisiejsza posiadać musi, jest relatywizm, t. zn. świadome przekonanie o względności naszego poznania filozoficznego«.

Trzy więc postulaty stawia Günther filozofii katolickiej: postulat *niezależności*, postulat *empiry* i postulat *relatywizmu*.

Rozpatrzmy te postulaty w samej ich podstawie. Zostawivszy polemikę i wywody Günthera na boku, zobaczymy, w jakich rozmiarach te trzy postulaty mogą i powinny być stosowane w katolickiej i wogóle w każdej filozofii.

Najmniej dyskusyi, tak, że możemy ją pomieścić w granicach tego wstępu, wymaga pierwszy postulat.

Postulat *niezależności* był w zasadzie zawsze uznawany w filozofii i także w filozofii katolickiej. Wszyscy filozofowie zgadzają się na to, że jedynym źródłem wiedzy filozoficznej jest poznanie rozumowe, oparte na poznaniu umysłowym.

Oczywiście, że i tu sama natura rzeczy wymaga pewnych ograniczeń.

Czy filozofia jest zupełnie wolną, od niczego niezależną?

Sądzymy, że nie. Każde myślenie opiera się ostatecznie na

pewnych prawach i prawidłach, bez których obejść się nie może. Filozofia więc gardząca temi prawami, odrzucająca np. jak filozofia heglowska zasadę tożsamości i głosząca jako punkt wyjścia zasadę sprzeczności, staje się tem samem niemożliwą i tylko za pomocą niekonsekwencji dochodzi do pewnej systematycznej na pozór całości. Każde myślenie, a zatem i filozofia musi mieć jakiś punkt wyjścia, jakąś prawdę pierwszą, na której dalsze budować może. Nie jest bynajmniej obowiązana do ślepego uznawania takiego punktu wyjścia, owszem, powinna krytycznie zbadać jego słusność, — ale czy ten czy ów, jakiś punkt wyjścia uznać musi, jeżeli chce być na prawdę filozofią. Prócz tego musi uznać pewne prawidła myślenia, bo nie mając takowych do żadnych rezultatów dojść nie może. Tak więc filozofia ma pewne granice, wynikające z jej własnej istoty. Nie może być zatem mowa o bezwzględnej niezależności. To też słuszenie Günther określa tę niezależność bliżej, jako niezależność od jakichkolwiek wpływów nie wynikających z natury ludzkiego poznania.

Inną wreszcie granicą, to fakta bezsprzecznie stwierdzone; takie fakta musi filozofia uznać i nie może ich lekceważyć. Stąd też stary aksjomat filozoficzny: *contra experimentum nullum argumentum*.

W tych granicach każda, i katolicka filozofia najzupełniejszą cieszy się wolnością.

Nie umniejsza zaś tej wolności, bynajmniej, stosunek filozofii katolickiej do objawienia. Owszem, Objawienie, wskazując na pewne prawdy, do których filozofia sama nie dotarłaby, otwiera jej nowe widnokreśli, pobudza ją do rozglądnięcia się w nich, do rozumowego nowych zagadnień zbadania względnie i uzasadnienia. Nie umniejsza też tej wolności filozofii szkół katolickich ta zasada, która na nieomyślności Objawienia opiera się, że między prawdą objawioną a jakąkolwiek inną prawdą nie może być sprzeczności. Filozof bada z całą swobodą daną kwestyę, a gdy na końcu roztrząsań dojdzie do rezultatu sprzecznego z prawdą objawioną, to ma w tej prawdzie wskazówkę, że cały tok rozumowania poddać należy ponownej, ściślejszej autokrytyce. Prawda taka nie jest żadnym więzem, ale drogowskazem do odnalezienia

dobrej ścieżki, a przynajmniej do zejścia z błędnej. Wyczerpujące zresztą omówienie tej bardzo rozległej kwestyi, opierającej się na bardzo silnej podstawie, przekraczałoby ramy niniejszej pracy. Odwołujemy się więc do odnośnej, obfitej literatury — a może i nam samym o tej sprawie kiedyś osobno pisać wypadnie.

Każdy więc filozof katolicki może i powinien cenić sobie tę wolność w swoim badaniu. Nieuzasadnione krępowanie się względami zewnętrznymi było może przyczyną, dla której filozofia ta w ostatniej. epoce tak skromne robiła postępy. Filozof katolicki postawiwszy sobie jakąś kwestyę, może, jak każdy inny, zupełnie przedmiotowo dążyć do jej rozwiązania, zapomocą metod odpowiednich, na nic innego nie oglądając się, jak tylko na to, ażeby jak najbliżej dotrzeć do prawdy i jak najjaśniej poznać przedmiotowy stan rzeczy. Nic nie jest tak potężnym, tak skutecznym bodźcem w filozofii, jak czysta, nie przymieszana żadnymi względami, miłość prawdy.

I.

Przejdźmy do obszerniejszego omówienia dwu innych postulatów. A najpierw postulat empiryi.

Czy i o ile filozofia musi się więcej, niż dotąd opierać na doświadczeniu, na naukach empirycznych?

Na pomienione pytanie odpowiedź nie trudna. Jasną jest rzeczą, że każda filozofia, bo i każde myślenie musi się ostatecznie opierać na doświadczeniu. Nie mamy ani jednego pojęcia, którego albo wprost nie czerpalibyśmy z doświadczenia, albo do którego doświadczenie zmysłowe nie byłoby dało podstawy empirycznej. Bierzmy pojęcia przyczyny, absolutu, nieskończoności, pojęcia i prawa matematyczne: jakkolwiek samo doświadczenie zmysłowe nigdy nam tych pojęć dostarczyć nie może, tak jednak pewną jest rzeczą, że się na tem doświadczeniu budują, i że bez wszelkiego doświadczenia zmysłowego nigdy do tych pojęć dojść-byśmy nie mogli.

Że już pospolite doświadczenie zmysłów naszych dużo problemów filozoficznych nam nasuwa, o tem świadczy historia filozofii na każdej stronie. Ale poznanie zmysłów jest w najwyższym

stopniu niedokładne. I nie dziwnego, gdyż pierwszy cel tego poznania nie jest teoretyczny i naukowy, lecz biologiczny. Ta niedokładność pociąga jednak za sobą tworzenie niedokładnych, jednostronnych lub nawet fałszywych pojęć, a że te pojęcia są materiałem budowlanym filozofii, więc i całokształt tejże będzie pod niejednym względem jednostronny, niedokładny lub nawet fałszywy. Przypominam tu tylko naukę starych filozofów, że ruch po obwodzie koła jest najprostszy i najdoskonalszy, że ciała niebieskie zupełnie innej są natury, niż ziemskie i t. d. Dziś wiemy, że ruch po obwodzie koła nie jest pojedynczy, gdyż wymaga dwóch działających sił; a analiza spektralna przekonała nas już zupełnie o różnorodności ciał niebieskich z naszą ziemią. Stąd upadają naturalnie wnioski, jakie starożytni filozofowie opierali na tak niedokładnem doświadczeniu zmysłowem.

Im dokładniejsze więc poznanie zmysłowe, im staranniej usuniemy błędy, jakim podlega, im ściślejszą jest analiza i dokładniejszy opis danych zjawisk przyrodniczych, tem dokładniejsze i prawdziwsze będą także pojęcia oparte na takim doświadczeniu empiryicznym. Że zaś nauki przyrodnicze pod tym właśnie względem od wieków średnich ogromne zrobiły postępy, to chyba ten zaprzeczy, kto z nimi żadnej nie miał styczności. Ile zyskałimy na dokładnem poznaniu świata przez konsekwentne przeprowadzenie zasady mechanicznego tłumaczenia zjawisk, ile korzyści teoretycznych przynosi nam zasada zachowania energii, teoria elektromagnetyczna światła i t. d. Nie należy się łudzić, jak gdybyśmy już byli wniknęli we wszystkie tajniki przyrody — i najpewniejsze prawa nauk przyrodniczych zostaną tylko teoryami a po części nawet hipotezami; i najdokładniejsze wymiary fizyczne lub chemiczne nie dają nam jeszcze wglądu w istotę materii i we właściwe przyczyny tak różnorodnych zjawisk. Lecz jak olbrzymi jest postęp w dokładnem opisywaniu zjawisk przyrodniczych, w matematycznem sformułowaniu praw przyrody! Wskutek tego także pojęcia filozoficzne dużo zyskują na ścisłości i treści. Bierzmy np. pojęcie przyczyny i zasadę przyczynowości. Możemy już nie tylko powiedzieć, że każde nowe zjawisko musi mieć jakąś przyczynę, ale możemy w licznych przypadkach naj-

dokładniej podać rodzaj przyczyny jako też prawo, jakiemu działaniu danej przyczyny podlega. Postęp ten istnieje nie tylko w fizyce i chemii, widzimy go także w biologii i psychologii, jednym słowem we wszystkich naukach przyrodniczych.

Z istoty więc naszego poznania opierającego się na poznaniu zmysłowym wynika konieczność ściślejszego związku pomiędzy filozofią a naukami przyrodniczymi. Jak w każdej gałęzi przemysłu ludzkiego produkty będą tem doskonalsze, im lepszy materiał, im doskonalszą technika, im bardziej świadome poznanie odpowiednich środków pomocniczych: tak też filozofia tem większe zrobi postępy, im ściślejsze i bogatsze będzie doświadczenie, z którego bądź co bądź w wielu kwestyach wychodzić musi. A właśnie w naukach przyrodniczych zdolność poznania zmysłów naszych znacznie się potęguje; przypominam tylko aparaty miernicze w elektryce, termometry, spektroskopy, fotometry i t. d., przypominam mikroskopy z immersją, metody farbowania preparatów, przypominam lachistoscypy, sphygmografy i t. p. w psychologii empirycznej. Experiment już od dawna z takim skutkiem stosowany w fizyce i chemii, od lat kilkunastu stosuje się także do psychologii człowieka a w ostatnim czasie do psychologii zwierząt i przyczynia się wielce do rozszerzenia i pogłębienia naszej wiedzy na tych polach. Każdy zaś postęp prawdziwy nauk przyrodniczych powinien się zarazem przyczynić do postępu filozofii.

Każdy zatem filozof powinien posiadać gruntowną, głęboką, wszechstronną wiedzę z dziedziny nauk przyrodniczych, powinien nie tylko znać najnowsze ich wyniki, ale także ich metody badania i wartość tychże, powinien wiedzieć, z jakich założeń te nauki wychodzą i jaką wartość przedmiotową posiadają ostatecznie ich wnioski. Niemożliwą jednak jest rzeczą, ażeby filozof na wszystkich tych polach samodzielnie, fachowo pracował. Sądzymy więc, że to jest niezbędnym warunkiem skutecznej pracy na polu filozofii, zwłaszcza filozofii psychologii i filozofii przyrody, ażeby filozof przynajmniej jedną z tych nauk, jedną ich specjalność gruntownie studyował tak, by na tem polu mógł samodzielnie pracować. Praca taka pokaże mu, jak mozolną i długą jest nieraz

droga do ścisłego określenia choćby jednego tylko pojęcia lub prawa, przyuczy go do ciągłej, surowej autokrytyki, do metodycznego badania także w samej pracy filozoficznej. Filozof nie znający dobrze metod używanych w naukach przyrodniczych, nie przyzwyczajony do mozolnej, drobiazgowej nieraz pracy fachowej, będzie zawsze skłonny do przedwczesnego określenia różnych pojęć i praw, do fantastycznych nieraz konstrukcji metafizycznych, do zbyt szybkiego rozszerzenia i uogólnienia praw panujących w pewnych tylko granicach.

Z tem łączy się drugi postulat niezbędny dla skutecznego rozwoju filozofii. Niemal wszyscy filozofowie katolicy zadowalają się najogólniejszem przedstawieniem całego systemu filozoficznego. Przy takiej metodzie niemożliwą jest rzeczą, ażeby wszystkie tak rozliczne problematy wchodzące w całokształt systemu gruntownie, naukowo przerabiano. Stąd wynika, że zadowalają się oryginalnem tylko ułożeniem znanych już od dawna nauk, luźnem przytaczaniem różnych faktów przyrodniczych mogących służyć za poparcie danej teorii i tylko bardzo rzadko można znaleźć gruntowne obrobienie jakiejś kwestyi. Co innego, jeżeli się pisze podręcznik służący dla słuchaczy filozofii; tam może taka metoda prędzej znajdzie usprawiedliwienie. Lecz czyż zadanie naszej filozofii kończy się na pisaniu podręczników? Stąd to te żale, że każdy filozof ciągle to samo pisze, tylko innemi słowami, w innem, mniej lub więcej zgrabnem ułożeniu. Nie możemy — należy konstatować ten fakt dość smutny — pochwalić się ani jednym dziełem fachowem np. na polu logiki, psychologii i t. d. Należy więc i na tem polu koniecznie stosować zasadę podziału pracy. Ileż nowych zagadnień powstaje dzisiaj co do podstaw różnych nauk, np. samej logiki, geometryi, fizyki i t. d. Ileż problemów trudnych zawiera w sobie taka logika na przykład, metodologia nauk, kryteryologia, filozofia psychologii, filozofia biologii, historii i kultury, etyki i sztuki i t. d. i t. d.! Jeżeli zaś każdy, wychodząc ze swej dziedziny specjalnej, na której zdobył sobie gruntowną i krytyczną wiedzę, będzie obrabiał pewne tylko kwestye filozoficzne, wtedy naprawdę będzie w stanie posunąć wiedzę w tym kierunku naprzód, nie będzie potrzebował

ograniczyć się na powtarzaniu rzeczy już znanych, bo będzie mógł czerpać z własnej obfitości. Taki podział pracy zaś jest w naszej filozofii o wiele więcej możliwym, niż w filozofii antychrześcijańskiej, ponieważ zgadzamy się w pierwszych założeniach i głównych zasadniczych naukach. Zgodność ta, dająca nam tak olbrzymią wyższość nad filozofią antychrześcijańską, nie powinna nas zatem usypiać w uczuciu bezpieczeństwa, lecz zachęcać do tem gorliwszej pracy nad kwestyami jeszcze nie rozstrzygniętymi. Ograniczamy się za dużo na pisaniu apologii filozoficznych i na zbijaniu systemów przeciwnych, przyczem aż zbyt często wraz z błędami odczuwamy prawdziwe, rzetelne zdobycze wiedzy. Gruntowne, naukowe obrabianie pojedynczych części filozofii będzie najlepszą apologią, najskuteczniejszym zwalczaniem fałszywych teorii.

Tak więc ściślejsza łączność z naukami przyrodniczymi i stosowanie zasady podziału pracy jest niezbędnym warunkiem rozwoju filozofii katolickiej.

Nie należy się atoli z drugiej strony łądzić w ocenie korzyści, jakie nauki przyrodnicze filozofii przynieść mogą. I tu przychodzimy do drugiego pytania, o ile filozofia więcej, niż dotąd na naukach empirycznych opierać się powinna. Wszystko, co nam doświadczenie, jako takie, dostarczyć może, jest bądź co bądź tylko materiałem, dobrym wprowadzie i koniecznym, ale materiałem jeszcze surowym. Dopiero na tym materiale zaczyna się właściwa praca filozoficzna. Zresztą nauki przyrodnicze nie wyczerpują bynajmniej całej rzeczywistości, mają tylko jedną jej część za przedmiot. W ocenie więc potrzeby i wartości nauk przyrodniczych dla filozofii należy się jak najbardziej uchronić od błędów, w jakie popadła filozofia naturalistyczna, pozytywistyczna i metafizyka indukcyjna. Nie należy więc sądzić, jakoby metody, używane w naukach empirycznych miały być bezwzględnie i bez krytyki używane w filozofii, jakoby pojęcia i prawa, do których tamte nauki dochodzą, były już pojęciami i prawami posiadającymi bezwzględną wartość i na innych polach filozoficznych. Przestroga ta nie zdaje się być zbytęcną; widzimy bowiem, jak wielki wpływ wywierają dzisiaj poglądy czysto przyrodnicze

na kwestye należące do filozofii. Przestroga ta jest także koniecznym równoważnikiem naszego powyższego postulatu, żeby każdy filozof oddawał się fachowej pracy na jednej dziedzinie nauk przyrodniczych. Łatwo bowiem stać się może, że oddany z zamiłowaniem swojej specyalności, umysł zacieśnia się i zaciemnia dla innych gałęzi wiedzy, że przyzwyczajony do pewnych poglądów i metod, we wszystkich częściach filozofii je zastosować usiłuje. Jak więc studyum przyrody ma być środkiem dla pogłębienia filozofii, tak też filozofia powinna ciągle być dyrektywą w badaniach fachowych. Fizyk lub chemik uznający we wszystkich poszukiwaniach swoich prawo zachowania materyi i energii dochodzi do wniosku, że ani odrobiny tej materyi, ani cząsteczki tej energii zniweczyć nie zdoła. Lecz z tego wniosku, że on lub że siły przyrodnicze tej materyi lub energii zniszczyć nie mogą, łatwo posuwa się do dalszego wniosku, że wcale nie da się zniszczyć, że więc materya i jej energia jest niestworzoną, wieczną. Tu filozofia powinna mu przyświecać, powinna go przestrzedz, by nie rozszerzył znaczenia tych praw poza granice im przynależne. I to samo się ma w wielu innych kwestyach.

Filozofia nasza powinna się zatem więcej niż dotąd opierać na naukach pozytywnych, ale zarazem powinna czuwać nad tem, by ani sama nie wkroczyła w pole przynależne tym naukom, ani te nie usiłowały pochłaniać i paczyć właściwych badań filozoficznych.

II.

Dalszym wreszcie postulatem jest postulat relatywizmu. Jest to może kwestya najbardziej drażliwa. Sądzę jednak, że dokładnem określeniem tego terminu można i tu dojść do pewnego porozumienia się i do prawdy.

Nauka i filozofia współczesna głosi na każdym kroku relatywizm swoich wniosków i teorii. I w rzeczy samej, ciągły postęp w poznawaniu tak u jednostek jak całej ludzkości, ciągłe spory między najrozmaitszemi teoryami, ciągłe odrzucanie dawniejszych teorii a stawianie nowych: to wszystko dowodzi oczywi-

stością faktu relatywizm naszej wiedzy. Można więc i trzeba przyznać, że nasza wiedza wzięta jako całość, jest względną.

Lecz w obrębie tej wiedzy, czy pojedyncze prawdy także wszystkie są względnymi? I tu należy rozróżnić. Najpierw każde poznanie bez wyjątku jest względne o tyle, o ile sam akt poznania jako taki jest pewną relacją pomiędzy przedmiotem poznającym a rzeczą lub prawdą poznawaną. W tem więc znaczeniu każde i najdoskonalsze poznanie jest względnem.

Ale nie o tę względność — samo przez się oczywistą — tu chodzi, nie o względność prawdy poznanej, o ile jest przez nas poznawaną, lecz o ile jest prawdą, przedmiotem poznania. Wśród tych prawd zwykliśmy rozróżnić prawdy wieczne, niezienne, konieczne i prawdy niekonieczne, zmienne, tymczasowe, t. zn. sądy, które na podstawie współczesnej wiedzy wydawają się nam najbliższymi rzeczywistości, które jednak z postępem nauk mogą być zastąpione innemi. Do pierwszej kategorii zaliczamy np. zasadę tożsamości i zasadę racji, do drugiej teorię atomistyczną, teorię elektromagnetyczną światła i t. d. Czy ta różnica jest uzasadnioną, lub czy także prawdy pierwszego rodzaju są w tem ostatniem znaczeniu względnymi, t. zn. czy mogą kiedykolwiek być zastąpione innymi? Sądzę, że nie. Nie wszystkie prawdy przez nas uznawane, mogą być w tem znaczeniu względnymi. Są relatywnymi w powyższem znaczeniu, o ile są poznaniem; są relatywnymi także w tem znaczeniu, że postępem wiedzy ich wartość coraz bardziej pogłęwiamy, że umysł wyższy od naszego z pewnością bez porównania lepiej, jaśniej, wszechstronniej ich zewnątrz wartość i ich związek z innemi prawdami poznaje, ale nie są relatywnymi w tem znaczeniu, że mogą kiedykolwiek być zastąpione innemi, zgoła różnemi. Kto naprawdę sądzi, że zasada tożsamości, zasada racji i wynikające z niej prawo przyczynowości mogą kiedykolwiek być fałszywe, że przy tem samem znaczeniu składników 2 i 3 ich suma może kiedykolwiek wynosić nie 5, ale 6, albo ich iloczyn nie 6, ale np. 7; kto naprawdę twierdzi, że widzi jasno i poznaje możliwość, że dwie wartości te same mogą się kiedykolwiek, będąc te same, stać się różne, że nowe zjawisko może kiedykolwiek powstać bez

wszelkiej racyi, ten musi konsekwentnie o wszystkim wątpić, albo raczej i tego nie może, gdyż o konsekwencji jakiegokolwiek mowy wtenczas niema. Taki umysł popełnia samobójstwo; z nim dysputować absolutnie się nie da.

Więc nie wszystkie prawdy mogą być względniemi w tem ostatniem znaczeniu.

Mówi się czasem, że każdy sąd opiera się ostatecznie na pewnych przesłankach, że więc zawsze zostaną takie twierdzenia, których udowodnić nie można, że zatem wszelka nasza wiedza bez wyjątku jest hypotetyczną, względną. Lecz i tu mgliste pojmowanie i pomieszanie rzeczy zupełnie różnych zdaje się być źródłem takiego zarzutu. Prawda, że nie wszystkie prawdy mogą się opierać na jakichś przesłankach, bo w takim razie i owe przesłanki musiałyby się opierać na innych i t. d. tak, że ostatecznie nie mielibyśmy żadnego fundamentu naszej wiedzy. Lecz czy prawda koniecznie musi czerpać rację swej prawdziwości z innej prawdy? Czy nie może sama w sobie zawierać rację swej prawdy? *A priori* tej kwestyi rozstrzygnąć nie można; fakt jednak naszego poznania, fakt istnienia wiedzy i nauki jest dowodem, że mamy pewne ostateczne prawdy, na których się wszędzie opieramy i które same w sobie zawierają rację swojej prawdziwości. I któż poznając np. zasadę tożsamości nie widzi bezpośrednio, że tak być musi, że inaczej nigdy być nie może? że nie tylko subiektywnie jest zmuszonym do uznania tej prawdy, lecz że ona sama jest taką, iż wymaga od nas koniecznego przyzwolenia?

Czy jednak mamy kryterium do rozróżnienia prawd bezwzględnie pewnych od prawd hypotetycznych? Oto kwestya bardzo ważna oraz bardzo trudna do rozstrzygnięcia w zastosowaniu praktycznem. Że takie kryterium przedmiotowo istnieje, o tem chyba uzasadnionej wątpliwości niema, jest niem zupełna zgodność pomiędzy prawdą poznaną a przedmiotową rzeczywistością i poznanie tej zgodności. W pojedynczych atoli kwestiach czasem bardzo trudnem, czasem nawet niemożliwem jest skuteczne zastosowanie tego kryterium.

Z tych ostatnich rozważań wynikają znowu wnioski wiel-

kiej doniosłości, dla skutecznego pracowania na polu filozofii. Należy bowiem na pierwszym miejscu uznać, że bardzo mało jest takich prawd, których bezwzględna prawdziwość i konieczność zupełnie jasno poznajemy. Następnie należy przy wszystkich wnioskach, które z takich prawd za pomocą rozumowania wyciągamy, z wielką zachować się restrykcją, gdyż bardzo łatwo można popełnić błąd w dłuższem rozumowaniu, łatwo można przeoczyć czynnik zmieniający nieraz zupełnie stan rzeczy. Z tego zaś wynika dalsza konsekwencya, że z całą sumiennością badacza należy rozróżniać pomiędzy prawdami koniecznymi a takimi, które mają tylko większe lub mniejsze prawdopodobieństwo za sobą i że należy najdokładniej, o ile to możebne, określić stopień tego prawdopodobieństwa.

Pomieszanie prawd hypotetycznych z bezwzględными, uważanie teorii tylko możliwych za nienaruszalne, jest największą szkodą i krzywdą, jaką myśliciel swojej filozofii wyrządzić może. Z takiego bowiem zdania wypływa pewna trwożliwość przed przedmiotową krytyką podstaw takich teorii, uświęconych może całowiekową tradycją. Prawda żadnej krytyki bać się nie potrzebuje, owszem im surowsza jest jej krytyka, tem bardziej dochodzi do znaczenia i wagi. Uchylanie jakiegokolwiek zdania filozoficznego przed poważną krytyką jest zawsze podejrzanem, podsuwa bowiem łatwo myśl, że bronimy go nie z przekonania o jego prawdzie, lecz z wygody i przyzwyczajenia. Jak nauczyciel powierzchownie tylko zaznajomiony ze swoim przedmiotem boi się zarzutów uczniów, tęszących i wskutek tego zabrania wszelkiej dyskusyi i podnoszenia trudności, dobry zaś profesor właśnie w tem widzi wielką dźwignię dla rozwoju umysłowego słuchaczy i dla wyswietlenia wyłożonej prawdy: tak też tylko taka filozofia boi się krytycznego oka, która nie jest zupełnie przekonaną o sile swych podstaw.

Z mniemania, że się ma do czynienia z doktrynami bezwzględnie pewnymi, wynika także stanowisko bardzo niebezpieczne względem innych systemów filozoficznych. Wystarczy bowiem, że jakiegokolwiek zdanie z naszym się nie zgadza, byśmy je *a priori* odrzucili. I jakież następstwo? Stajemy się niezdolnymi

do przedmiotowej, krytycznej oceny innych systemów; odrzucamy nawet takie nauki, którebyśmy zupełnie bezpiecznie mogli uważać za wzbogacenie naszej własnej filozofii, gdyby nie były częściami systematów nam przeciwnych; patrzymy z pewną wzgardą i lekceważeniem na inne prądy, przesądzając swoją własną pozycję, a przez to wywołujemy tylko nawzajem wzgardę i lekceważenie u innych, którzy nie zaślepieni przyzwyczajeniem, z większą bystrością spostrzegają czynniki hypotetyczne w naszej filozofii.

Postulat uznawania relatywizmu jest więc zupełnie słusznym, ale tylko w pewnych, powyżej wymienionych granicach. Postulat ten daje się sformułować w innych, bardziej konkretnych określeniach.

Dla gruntownego, szybkiego i przytem trwałego postępu potrzeba naszej filozofii konieczniej większej, surowszej autokrytyki. Owocem jej zaś będzie dokładne rozróżnianie prawd pewnych od teorii i hipotez, będzie większa bezstronność i swoboda umysłu, skłaniająca nas do skorszego przyjmowania prawdy, gdziekolwiek ją znajdziemy. Owocem jej będzie bardziej przedmiotowa, bardziej bezstronna ocena innych także kierunków, szczere uznawanie ich zalet i zasług, gdzie rzeczywiście istnieją. Owocem jej będzie dalej przekonanie, że różnorodność dróg i zdań w kwestiach mniej istotnych jest nie tylko nieuknioną konsekwencją natury ludzkiej, niejako prawem rozwoju umysłowego, ale także potężnym środkiem do szybkiego rozszerzenia wiedzy i wyświe-tlenia prawdy, że zatem nie odosabnianie się ludzi inaczej myślących, ale właśnie zetknięcie się z nimi i wspólna z nimi praca mogą nam przynieść prawdziwe korzyści. Jak szkodliwą jest taka izolacja, wynika choćby z tego faktu, że wielu sądzi, jakobyśmy nie już innego nie czynili, jak tylko powtarzali naukę średniowiecznych filozofów i to średniowieczną terminologią. Gdzie ta terminologia jest dobrą i uzasadnioną, tam może i powinna być zachowana. Nie możemy znowu wpadać w błąd, w jaki popadła nowożytna filozofia od Kartezjusza począwszy, zrywając zupełnie z wszelką tradycją. Tradycya może i powinna nam być cenną, bo jedynie w ten sposób możemy na podstawach raz już utrwa-

lonych pracować dalej i nie potrzebujemy ciągle na nowo zaczynać. Ale pamiętać musimy, że każdą tradycję należy brać krytycznie i że tradycja jest tylko materiałem, na którym dalej, stosownie do wymagań czasu i do postępu wiedzy, budować powinniśmy. Jak każdy objaw życia umysłowego i społecznego, tak i filozofia bądź co bądź jest dzieckiem swego czasu, tak i filozofia średniowieczna była dzieckiem wieków średnich. Prawdy niezachwiane, zawarte w tej *philosophia perennis*, pozostaną na zawsze cennym skarbem ludzkości; ale szata w jakiej się w tych lub innych czasach przedstawia, jest inną, inny związek z życiem i z przyrodą, w jakim się te prawdy porządkuje. A obok tych prawd odwiecznych jest dużo kwestyi zupełnie podrzędnych, które dziś tylko historyczne mają znaczenie, dużo kwestyi, które tylko na podstawie ówczesnych przekonań przyrodniczych, społecznych i religijnych rozumieć można. Dlatego nie należy się zamykać w ciasnych ramach jednego wieku, nie należy uważać tych czasów za normę na zawsze panującą. Nie ludzkość jest dla filozofii, lecz filozofia dla ludzkości; to też filozofia — w pewnych granicach — do jej potrzeb stosować się powinna. Jeżeli całokształt objawienia w ciągu wieków się rozwija, jeżeli w teologii Kościół zawsze takie nauki najbardziej wysuwał naprzód, które pewnemu czasowi najbardziej odpowiadały, jeżeli określenia dogmatyczne zawsze i przedewszystkiem uwzględniały potrzeby czasu — to tem bardziej filozofia, jako utwór rozumu ludzkiego, w ten sposób rozwijać i do potrzeb czasu stosować się musi. Tylko wtedy nie pozostanie martwym szablonem i zabytkiem starożytności, ale będzie prawdziwą królową nauk i panią życia umysłowego.

Obecnie już zaczyna się zwrot w tym duchu; należy go wspierać wszystkimi siłami. Tak rozpocznie się trzecia, najbogat-sza w plony faza w nowożytnej filozofii katolickiej. W pierwszej fazie, od końca wieków średnich, aż mniej więcej do połowy przeszłego wieku, zadawano się skromnymi wyciągami i streszczeniami filozofii średniowiecznej. Od połowy przeszłego wieku zaczął się w niej objawiać świeższy prąd, lecz brak mu jeszcze jednolitości i samodzielności. Polega on szczególnie na tem, że

poprzestając na naukach dawnej filozofii, wciąga się zdobywcze nauk specjalnych tylko o tyle, o ile mogą służyć do poparcia dawnej teorii. Nazwalibyśmy to stadyum fazą jukstapozycyi czy-sto zewnętrznej, jak poprzednie było fazą bierno-konserwatywną. Obecnie zaczyna się już, choć jeszcze słabo, nowe stadyum, gdzie sami filozofowie katoliccy starają się posunąć naprzód badanie rozlicznych specjalnych kwestyi. Możemy je nazwać stadyum intus-suscepcyi, w którym filozofia wraz z naukami specjalnemi będzie stanowiła jeden, jednolity, silny organizm, który o własnych siłach się rozwija i harmonijnie wzrasta. Fachowe pielegnowanie nauk specjalnych, już to przyrodniczych, już to historycznych będzie żyznym gruntem, na którym ten organizm pomyślnie roz-rastać się może. Dopiero gdy tak ze wszystkich sił na rozlicznych punktach pracować będziemy, gdy materiał monograficzny się wzbogaci w cenne nabytki wiedzy, dopiero wtedy nastąpi czas jednej wielkiej, harmonijnej syntezy filozoficznej.

Fr. Klimke.

W NIEWOLI JAPOŃSKIEJ R. 1905.

Z PAMIĘTNIKA ŻOŁNIERZA-POLAKA.

...Po zawziętej strzelaninie, w czasie której padło wielu — a jak później okazało się, przeciwnikami nie byli wcale Japończycy, lecz nasi, posłani celem obejścia — dotarliśmy wśród ciemnej nocy do osady Onor. Było to z piątku na sobotę 29 lipca 1905 r.

Forsowne marsze wzdłuż i wszerz Sachalinu, dały mi się we znaki. Z osłabienia przyszły jakieś dziwne halucynacje. Nie pytając już gdzie jestem — dość mi było, że widzę jakieś domy dokoła siebie — rzuciłem się na gołą ziemię i zasnąłem snem twardym.

Nie długo jednak spać mogłem, dojmujące zimno obudziło mię.

Switało... W mętnej świetle poranku ujrzałem majaczące budynki i zorientowałem się, że leżę ...na środku rynku. Między żołnierstwem rozpoczynał się ruch, bo spać nie mogli. Stojąc kupkami rozpalali ogień.

O pościgu japońskim za nami nikt nie umiał czegoś dokładniejszego powiedzieć.

Główne nasze siły rozlokowały się w mieście, dookoła którego rozstawiono pikiety. Cały ten dzień sobotni zeszedł nam w niepewności; część twierdziła, że tu mamy wydać główną bitwę, inni przeczyli. Ci ostatni podnosili ten decydujący moment, że nie mamy sił po temu. Zostało nas, jak mówili, mało co wię-

cej nad 2.000, japońska zaś siła wynosi 20.000 i lada dzień nadejdą im wielkiego kalibru armaty, dla braku których jedynie opóźniają atak. Jeżeli będziemy się opierali, na proch nas zetrą.

Roty postawione przy wejściu do miasta, by w razie ataku dały pierwszy odpór, zmieniano często, by dać spocząć, po forsownym marszu, trwającym dwie noce i dzień.

Pod wieczór ujrzeliśmy na wzgórzach okalających miasteczko, piechotę i jazdę japońską. Nie atakowali nas, litując się widocznie nad naszą garstką. Widok ten jednak wystarczył, by w tej garstce wywołać przykre uczucie niepewności.

Odetchnęliśmy dopiero całą piersią, gdyśmy na drugi dzień w niedzielę 30 lipca ujrzeli, że adjutant naszego generała, w towarzystwie dowodzącego konną drużyną Gregorjewa, umiejącego po francusku, na koniach pocwałowali ku Japończykom z białą chorągiewką. Radość wśród żołnierzy rosyjskich była tak wielka, iż jedni drugim rzucali się w ramiona, winszując sobie ocalenia.

W parę godzin adjutant wraca. Ujrzawszy go z daleka, wszyscy wylegli na drogę, by zachwycić języka. Wkrótce sformułowano nas w rotę i kazano wszelką broń, jaką tylko kto posiadał, rzucać na jedną kupę, amunicję na drugą. Po tym wstępie zapowiedziano, że gdyby przy wejściu Japończyków do miasta, odezwał się z naszej strony jakiś strzał, to wszyscy co do nogi zginiemy. Nie było o to jednak obawy; wszyscy byli zadowoleni, że raz przecie skończył się strach o życie. Noc z niedzieli na poniedziałek spaliśmy już w błogim spokoju. Nad ranem obudził mnie jakiś szmer... podnoszę głowę i coś widzę: na środku rynku rozłożone ogniska, przy których najspokojniej gotują sobie śniadanie Japończycy. Było ich nie więcej, jak jedna rota. Żołnierz rosyjski, z początku z bojaźnią i z daleka przypatrywał się im; zwolna jeden, drugi śmielszy zaczął ku nim podchodzić i jeła zawiązywać się łamana, przy pomocy gestów, rozmowa. Wkrótce jał się ustalać serdeczniejszy stosunek, tamci dali nam ryżu, myśmy się im wywdzięczyli cukrem.

Gdy się na dobre rozwidniło, przybyła jeszcze druga rota Japończyków. Starszyzna japońska przyjęła od Rosyan składy, gmachy, stawiając zaraz przy nich swą straż i nalepiając stoso-

wne obwieszczenie. Nas, sformowanych rotami, Japończycy przeliczyli i dodając do 400 mniej więcej ludzi konwój z 4 swoich żołnierzy, wyprawili w powrotną drogę.

Szliśmy naturalnie w najprzekładniejszym porządku. Do Rybowska, gdzie była główna kwatera japońska, pędzono nas forsownie. Tu przekonaliśmy się, że Japończycy ani myśleli z Rybowska głównych sił ruszać, wiedząc i tak, że sami prędzej czy później poprosimy o łaskę. Urojoną armią japońską, której podaliśmy się, stanowił tylko podjazd, wysłany celem śledzenia naszych ruchów.

W Rybowsku zatrzymano nas dwa dni i przez ten czas wszystkich spisano. 4-go sierpnia nocowaliśmy w Derbińsku, 5-go na Armudanie, 6-go w Arkowie, 7-go wreszcie przybyliśmy do Aleksandrowska. Po drodze spotykaliśmy ustawicznie furmanki rosyjskich włościan pod konwojem japońskim, wiozących ryż i inne artykuły żywności. W ciągu kilku dni Japończycy rozłali się po całej wyspie.

W Aleksandrowsku na spotkanie nasze wyległo wszystko, co żyło. W takiej asyście wprowadzono nas do miasta. Dziwne są te chwile pierwszych spotkań. Krzyk, wrzawa, dopytywanie się o znajomych czy żyją, jedni śmieją się i cieszą, inni oplakują poległych, zamęt dokoła.

Ponieważ wkoszarach nie mogliśmy się wszyscy pomieścić, ustawiono japońskie namioty po placach i dziedzińcach. Mężczyznom przystęp do nas był wzbroniony, jużto, by nie ułatwili komu ucieczki, jużteż i dla tego, by ktoś nie należący do wojska nie pozostał pomiędzy jeńcami, gdyż amatorów na japońską niewolę było wielu. I nie dziwnego, była to dość dobra sposobność, by wydostać się z nieszczęsnej wyspy. Natomiast w oznaczonych godzinach, swobodnie przepuszczano dzieci i kobiety, które obficie dostarczały nam pożywienia ze zrabowanych składów. Rabunku dokonano w momencie, kiedy Rosyanie opuścili miasto, a Japończycy jeszcze nie weszli. Kiedyindziej rabunek byłby niemożliwy, bo Japończycy po opanowaniu miasta, przy wszystkich budynkach rządowych i składach stawiali zaraz straż swoją. Opowiadały kobiety, że dziesięciu hultajów, którzy puscili się na kra-

dzień, Japończycy niezwłocznie powiesili na środku rynku i zwłoki przez parę dni zostawili na postrach. Tym więc sposobem, czego dawniej rząd rosyjski nie mógł osiągnąć długie lata, Japończycy w jedną godzinę wprowadzili, to jest ład i porządek. Rozlepili też po domach manifest do mieszkańców, aby się niczego nie obawiali, gdyż oni przyszli walczyć z wojskiem, a nie z mieszkańcami i zapewniają wszystkim opiekę i sprawiedliwość, wicherzycielom zaś karę doraźną.

Zajawszy wyspę, Japończycy nawieźli całe góry najrozmaitszych towarów, nie mówiąc już o żywności. W parę dni nie tylko wszystkie składy były pełne, ale i całe stosy ułożono na wybrzeżach. Do wyładowywania używano jeńców, lecz tylko na ochotnika, płacąc, prócz żywności, po rublu dziennie od ręki.

* * *

Z wyspy wyprawiano nas, po 400—500 dziennie, na transportowych parowcach, którymi przybywało japońskie wojsko. Opuszczałem Sachalin 15-go sierpnia, na parowcu »Tayotomi-Maru-Kobe«. Dzień był prześliczny, tafla morska perliła się w słońcu. Oprócz zwykłej służby parowcowej, konwojowało nas tylko dwóch żołnierzy, którzy zresztą cały czas spali; można było opanować parowiec i jechać do Nikolajewska. Ale kto o tem myślał wszyscy byli szczęśliwi, że jadą do niewoli japońskiej.

Pożywienie w drodze składało się z ryżu, trawy jakiejś morskiej, bardzo słonej i małych rybek. Trudno to było przełknąć, zwłaszcza, że chleba ani okruszyny. Po dwóch dobach wyładowaliśmy we wschodnio-północnym porcie japońskim Aomori. Co tylko żyło wyległo na nasze spotkanie pomimo słoty. Uszykowawszy nas w szeregi i przeliczywszy, odprowadzono nas jednych do baraków, innych do szkoły, dokąd i ja się dostałem. Cóż to była za rozkosz, kiedy po tylu trudach i znojach, znalazłem się nareszcie w pokoju obszernym, widnym, czystym, jak lustro.

Na pożywienie dano nam chleb biały, zupeę na mięsie, herbatę z cukrem. Nadto na dole, w wielkiej sieni, ustawili się przekupnie japońscy z wszelkiego rodzaju towarem i żywnością. Straż

przestrzegała uczciwości kupców — jednego przekupnia za to, że brał więcej niż się należało, oficer kazał wyrzucić. Na drugi dzień rano znaleźli się i fryzjerzy, nawiasem mówiąc, bajecznie tani.

Obchodząc sale szkolne, na jednej tablicy w ścianie, przytwierdzonej u góry, spostrzegłem cały Sachalin nakreślony kredą, z oznaczeniem najszczegółowszem gór, rzek i dróg, ścieżek niemal, nie mówiąc już o miastach i wioskach. Oto jak przygotowano żołnierza japońskiego w pochód na Sachalin. I nie tylko to. Był na Sachalinie w czasie przed wojną kupiec-japończyk, to znów fotografista, to subjekt w sklepie u Rosyanina Borodina i wielu innych. Po wypowiedzeniu wojny, władze rosyjskie wysłały ich do Japonii. Kiedy wojsko japońskie przybyło na Sachalin, cóż się okazało? Kupiec ów, to japoński generał, subjektem oficer, fotografistą główny tłumacz i t. d.

Wypocząwszy trzy dni w Aomori, w takim porządku jak przybyliśmy, udaliśmy się na dworzec kolei żelaznej. Nagle rozlega się komenda oficera japońskiego po rosyjsku: »Polacy na-przód«. Zdumieni, formujemy osobny oddział i pierwsi idziemy do wagonów, oficer pospołu z żołnierzem do klasy trzeciej. Jednemu, drugiemu oficerowi, który na widok takiego braterstwa broni zaczął nosem kręcić, łagodnie wytłumaczył oficer japoński, że niewola dla wszystkich jednakowa. Co to za radość szalona, gdy Polonia znalazła się osobno. Co za uściski, jakie akcenty szczerości, fantazyja jaka? Wtedy to japońskie ziemie usłyszały zapewne po raz pierwszy dźwięk polskiej pieśni. Wiara grzmiała z piersi, co sił starczyło, a grzmiała żywą wiarą. Po jednej pieśni pobożnej szła druga: »Kto się w opiekę«, »Serdeczna Matko«, »Pod Twoją obronę« i t. d. Nastrój uroczysty udzielił się wszystkim, niektórzy z rozrzewnienia płakali, inni na głos składali Bogu dziękczynienie za wybawienie.

Partya nasza przeznaczona była do Nahrosino, o 20 klm. od Tokio. Wogóle 28 było miejsc, gdzie trzymano jeńców, których liczba dochodziła do 100.000. W Nahrosino było 15.000. Jechaliśmy do tego miejsca koleją dwie doby; 3 razy dziennie na dużych stacyach, wyprowadzano nas z pociągu do dużych baraków, umyślnie na to przygotowanych, gdzie były ustawione

stoły, zastawione żywnością składającą się z chleba, ryżu, jarzyny, i wieprzowego mięsa. Panie japońskie, bogato ubrane w swe narodowe stroje, z wielką gracyą obchodziły z czajnikami i nalewały nam herbaty. Oficerowie i żołnierze, którzy choć jako tako parę słów umieli po rosyjsku, starali się zabawiać nas rozmową, a czego nie umieli powiedzieć, pokazywali na migi, pocieszając, że układy o pokój już się toczą w Ameryce, że więc niedługo przyjdzie nam być w niewoli, że wkrótce »ruski pajdu Moskwa«. Do późna w noc, wszystkie stacye poprostu obleżone były publicznością składającą się z kobiet, starców i dzieci; przy ruszaniu pociągu rozlegał się jeden niemilknący okrzyk: *bajzan, bajzan, ruski*. W niektórych miejscach Japonki przygotowały się z podarunkami, jak owoce, papierosy a nawet wachlarze. Wogóle duma japońska czuła się mile polectaną widokiem jeńców rosyjskich — i to tak, że nie umiano wcale tej radości ukryć.

Nahrosino — wioska oddalona od plantu kolei o jakie 4 klm. Ponieważ nie byłoby gdzie taką ilość jeńców umieścić, wycięto kawał lasu i w ciągu jednego miesiąca zbudowano drewniane, blachą kryte, baraki, tak obszerne, że 15.000 żołnierzy wygodnie się w nich pomieścić mogło.

Na miejscu stanęliśmy 23 sierpnia. Jak w drodze, tak i tam Polacy mieli osobny oddział, gdzie w jednym z baraków była urządzona katolicka kaplica. Kaplica ta stoi mi dziś jak żywa przed oczyma. W jej ścianach ubogich przekonałem się niejednokrotnie, jak żywą i szczerą jest religijność polska. Nieraz z wichrem życia ta religijność uleci, ale przychodzi chwila, w której zdrętwiała dusza budzi się ze snu. Ludzie wojny oficerowie i żołnierze, ociekający krwią i ocierający się o śmierć tyle razy, tu jak dziatki wiejskie klęczeli przed obrazem.

Ciekawem było obserwować to wszystko. Przystrojeniem kaplicy zajęli się naturalnie sami żołnierze-Polacy. Jeńcy z Port-Artura przywieźli wiele kosztownych rzeczy, jak jedwabie, chętnie więc złożyli je do ozdoby ołtarza, ściany prezbiterium, i podłogę obito kołdrami, gdyż każdemu Japończycy dali po dwie; obrazów też nie brakło. Raz w tydzień Japończycy pozwalali kilku żołnierzom udać się do pobliskiego lasu, znoszono więc moc

kwiecica, gałązek, liści dębowych, z czego robiono bukiety, girlandy, tak, że cała kaplica była wciąż umajona. Każdy miał jaki taki grosz, Japończycy bowiem płacili pensję każdemu, podług wojennego stanu, a więc nawet rzęsiście ołtarz był oświetlany. Nigdy przez cały dzień, świąteczny czy powszedni, kaplica nie była pustą, zawsze ktoś był z modlących się, tak jakby to było wystawienie czterdziestogodzinne — a rano i wieczór nie mogła pomieścić pobożnych, tak że i plac dookoła niej był niemi zajęty.

Pomiędzy jeńcami było dwóch organistów, ci więc przewodniczyli w śpiewaniu Różańca, Godzinek i innych pieśni pobożnych, intonowali nieszpory po polsku, a gdy ksiądz przyjeżdżał śpiewali po łacinie w czasie Mszy świętej.

Księdzem, służącym nam swą pracą duchowną był misjonarz francuski, ks. Edmund Caloin, mieszkający w Chiba, oddalonem o dwie godziny drogi koleją. Przyjeżdżał co dwa tygodnie w poniedziałki, odprawił Mszę św. i spowiadał. Któż opisać zdoła te chwile wielkiego wzruszenia, jakie wówczas wielu przy spowiedzi i Komunii św. przechodziło.

Z żołnierzami nie umiejącymi po francusku, ksiądz radził sobie tak, że miał tabliczkę, na której z jednej strony był rachunek sumienia po łacinie, a z drugiej po polsku. Penitent pokazywał palcem księdzu na punkt, do którego się poczuwał. U dołu tabliczki była też pokuta trojakiego rodzaju, tu znowu ksiądz palcem pokazywał.

Polacy amerykańscy przysyłali naszej polskiej kolonii gazety, książki polskie, które każdy rozchwytywał. Poza tem czas schodził na opowiadaniu wzajemnem rozmaitych epizodów wojennych. Jeńcy byli zmieszani z najrozmaitszych etapów wojny, ten z Laojanu, ów z Mukdenu, inny wzięty do niewoli jeszcze przed zabranie Portu Artura, więc na temacie nie brakło.

Z licznych opowiadań utkwil mi szczególnie jeden epizod.

»Uciekaliśmy dokąd kto mógł — opowiadał jeden z żołnierzy — rozpróśzeni na wszystkie strony. Ja w towarzystwie czterech innych Polaków skryłem się w zarośla. Zrobiła się cisza, więc wychodzimy, aby uciekać dalej. W tem z za pagórka ukazała się większa liczba Japończyków. Pokazują na migi, byśmy od-

rzucili broń od siebie. Rozkaz naturalnie w tej chwili spełniony. Wtedy przystępują do nas i zaczynają nam odpinać mundury. Struchleliśmy — czy rozstrzelanie? Tymczasem oni kładą rękę pod koszulę i za cześć szukają. Natrafiwszy na krzyżyk, oglądają, a widząc, że katolicki, z uśmiechem klepią nas po plecach i mówią: *polando, polando je rusi*, (dobrze). Najgrzeczniej odprowadzili nas do swego obozu i sownie ugościli«.

Czas schodził miło, zwłaszcza, że stosunek Japończyków względem nas był najlepszy. Nie czuło się po prostu, że się jest w niewoli. Pomimo to wszystko, kiedy mi oznajmiono, że mogę wracać do kraju, nie posiadałem się z radości. W domu najlepiej.

13-go października 1905 r., w sam dzień ratyfikacji pokoju, wsiadłem na okręt.

SONETY Z CYKLU „MITOLOGIE“.

ATLAS.

W przestworzu sklep szafirów stoi nieruchomy:
Gwiazdy płomienne wiecznie krążą po tym globie,
Noc po nim kiry swoje rozwłóczy w żałobie,
Chmury po nim latają i Zeusowe gromy.

Wóz Heliosa przez jego toczy się ogromy,
Nań swój pas Iris rzuca w tęczowej ozdobie,
Łuną go swoją zorze wyzłacają obie,
I ludzie wzrok swój na nim wieszają znikomy.

Atlas wiecznie wyteęża mocarne ramiona
Glob niebieski dźwigając. — Na posępne lica
Rozpacзлиwa zaduma wypełzła mu z łona:

Nie świata strop lecz świata cięży mu granica,
Ta, za nią niewiadoma i nieodgadniona
Nieskończonych bezkresów głucha tajemnica!

Tonie 12/I. 1907.

TANTALOS.

Skwar wieje przez Erebu kamienne kotliny,
Ku mrocznym chmurom pną się czarnych skał urwiska;
Z pod gładów kryształowe, chłodne źródło tryska
I w tafli wód strop niebios odzwierciedla siny.

Nad źródłem z winorośli bujnej płataniny
Girlanda gron pod liściem zielonym wybłyska
I soczystym ciężarem ugina się zniska
I odbija w przeźroczu krynicznej głębiny.

Spragniony Tantal w wodzie stoi aż po szyję
A trupia siność wargi mu wyschłe obleka...
Czemu kona w spiekocie? Dlaczego nie pije?

Nachylał ust, lecz woda w skał szczeliny ścieka
Sięgał w górę — z pod rąk mu winograd ucieka...
Pragnie... schnie... grona błyszczą i krynica bije!

Tonie 11/I. 1907.

IFIGENEJA.

Morze zamarło. Nawy martwe śpią w Aulidzie,
Najłżejszy podmuch wiatru żagli nie wydyma.
Milczą ponure hufce, żal im duszę ima,
Patrzą, jak na brzeg z ojcem białe dziewczę idzie.

Wśród wojsk, w myrtowym wieńcu i dziewiczym wstydzie
Stąpa ze spuszczonej lekliwie oczyma;
Agamemnon jej rękę w swoim ręku trzyma
Płaszczem zakrył oblicze w bólu i ohydzie.

Doszli na brzeg. — Staęła na stopniach ołtarzy,
Oczy błękitne wbiła w senny błękit morza
I dwie lzy ciche, ciężkie płyną jej po twarzy.

Wtem źrenice w słoneczne podnosząc przestworza
Łabędzie piersi sama z pod rąbków obnaży...
— Lecz on strętniał i długo nie mógł podnieść noża...!

Tonie 12/I. 1907.

HELENA.

Huk pożogi, ryk ludzki... Ilion, jak bróg słomy
Bucha ogniem, dymami aż pod gwiazdy wali
A purpurowa łuna gra na morskiej fali
I całe niebios nocnych czerwieni ogromy.

Ulicami rumowisk, między świątyń złomy
Zewsząd krew nakształt płynnych leje się koralu;
Trojański lud Achaje różną zapamiętali
Serca u nich jak skały, a miecze jak gromy.

Dziewki za włosy ciągną i krępują w pęta
Starców po bruku wloką za srebrzyste brody
O węgły roztrącają nagie niemowlęta...

Wtem stanęli jak wryci: przez kamienne schody
Szła ku nim z akropolu blada, uśmiechnięta
Helena w blaskach ognia i boskiej urody!

Tonie 11/L. 1907.

HEKABE.

Pożar Troi dogasa; nad zgłiszcza olbrzymie
Wzbijają się ku niebu dymów rude słupy;
Pomiędzy gruzem leżą krwawe, nagie trupy
I sterczą murów złomy poczerńiałe w dymie.

Mrok już zapadł; lecz obóz Achajski nie drzymie,
Dłońmi, na których przyschły skrzepłej krwi skorupy
Szarpia się między sobą o branki, o łupy...
Z całej Troi zostanie jeno wielkie imię!

Hekabe w tłumie branek płaczących w przystani
Nędzna, bosa, w podartej stoi przyodziewie,
Ona — Ilionu wczoraj królowa i pani!

Krwawe oczy wlepiła w dymiące zarzewie
Jęk synowych ni córek serca jej nie rani:
Zywy trup... nie nie myśli... nie czuje... i nie wie...

Tonie 12/I. 1907.

MEMNON.

Czarna noc, gwiazd złotemi gwoźdźmi roziskrzona,
Blednie i srebrnym rąbkiem od wschodu się bieli;
Brzask na Nilu rozlewnej szarzeje topieli,
Gdzieniegdzie z mroku palmy wykwita korona.

W pustyni siedzi posąg olbrzymi Memnona
Bogi mu nieśmiertelność w piersz kamienną tchnęli:
Martwy głaz — lecz gdy zorza czerwona wystrzeli
Twarz mu i bazaltowe zróżowi ramiona —

Wtedy Memnon, co synem niegdyś był Jutrzenki
Zadrgnie i w odpowiedzi na matki spojrzenie
Z ogromnej skalnej piersi dziwne wyda dźwięki:

Jakieś tęskne, przeciągłe, żalosne westchnienie
Niby strun pękających rozplakane jęki...
Zmilkł... bo nad światem słońce roztacza promienie.

Tonie 12/I. 1907.

Lucyan Rydel.



TEORYA MENDELEJEWA O ETERZE.

W celu wytłumaczenia całego szeregu zjawisk: światła, magnetyzmu i elektryczności, a nawet powszechnego ciężenia przyjmuje nauka istnienie nadzwyczaj delikatnej materji wypełniającej cały wszechświat, zwanej eterem. Nawet i teorya atomistyczna, tak wszechwładnie panująca do ostatnich czasów w chemii, nie wystarcza już sama i szuka pomocy w tym samym eterze.

Pierwszym, który wprowadził do nauki pojęcie eteru, był Kartezjusz. W dziele swem o systemie świata¹ mówi on, że światło i siła ciężenia mają swe siedlisko w nadzwyczaj delikatnej materji, wypełniającej cały wszechświat; materya ta składa się z cząsteczek stykających się ze sobą bezpośrednio i przenoszących zmiany, powstające w przestrzeni, za pomocą ruchu falistego.

Wkrótce potem, gdyż już w r. 1678 przedstawił Christian Huyghens² akademii paryskiej memoriał, w którym rozwinął szczegółowo tę teoryę. Według niego, nadzwyczaj delikatna materya wypełnia cały wszechświat; pod wpływem świecących ciał ulegają cząsteczki tej materji drganiu, które rozchodzi się falisto we wszystkich kierunkach. Jak ruch falisty powietrza, spowodowany dźwięczącym ciałem, wywołuje w uchu wrażenie dźwięku, tak samo i ruch falisty eteru wywołuje w oku wrażenie światła. Eter ten wypełnia nie tylko przestrzeń pomiędzy ciałami niebieskimi,

¹ *Le Monde de M. Descartes au le traité de la lumière*, Paris 1664.

² *Traité de la lumière*.

ale także i puste miejsca pomiędzy drobinami wszystkich ciał; jest on ciałem tak subtelne, że poruszające się w przestworzach wszechświata gwiazdy nie natrafiają w nim na żaden opór i nie porywają go nawet ze sobą.

Klasyczne doświadczenia Tomasza Younga, Fresnela, Foucault'a i innych uzasadniły tę teorię światła i rozwinęły ją we wszystkich kierunkach. Badania te wykazały, że pod wpływem świecących się ciał powstają w eterze drgania eliptyczne, w szczególnych razach prostolinijne lub koliste, w płaszczyznach prostopadłych względem kierunku promieni świetlnych. Od ilości tych drgań w jednostce czasu, wynoszących setki bilionów razy w jednej sekundzie, zależy barwa światła, a od wielkości ich amplitudy — natężenie światła.

Drgania te przenoszą się w eterze falisto we wszystkich kierunkach z szybkością 300 000 000 m sek⁻¹.

We wszystkich ruchach falistych zachodzi pomiędzy szybkością przenoszenia się fali, elastycznością ośrodka, w którym to przenoszenie się ma miejsce, i jego gęstością, stosunek, który wskazuje, że eter, t. j. ośrodek, w którym te fale przebiegają, musi posiadać bez porównania większą elastyczność, a mniejszą gęstość, niż wszystkie znane ciała.

Pojęcie eteru, wprowadzone początkowo do nauki tylko w celu wyjaśnienia zjawisk świetlnych, stało się wkrótce niezbędnem również do wytłumaczenia zjawisk elektro-magnetycznych.

Początkowo przypuszczano, że zjawiska elektryczne i magnetyczne zawdzięczają swe istnienie czterem płynom (fluidom): dwóm magnetycznym i dwóm elektrycznym. Gdy jednak w r. 1820 powiodło się Ampereowi wytłumaczyć zjawiska magnetyczne za pomocą drobinowych prądów elektrycznych, zredukowała się ilość tych płynów do dwóch: płynu elektrycznego dodatniego i płynu elektrycznego ujemnego. Na tej podstawie opracował Weber¹ teorię elektryczno-magnetyczną, według której te dwa płyny składają się tak samo, jak eter i wszystkie ciała, z drobin; drobin

¹ W. Weber: *Werke*. Herausg. v. d. k. Geselsch. d. Wissensch. zu Göttingen. 6 Bde. Berlin 1892—1894.

te posiadają swe siedlisko w przewodnikach, nieprzewodniki zaś czyli izolatory zapobiegają tylko spłynięciu tych elektrycznych płynów. Działanie jednego przewodnika na drugi jest działaniem na odległość.

Wręcz przeciwny pogląd o istocie zjawisk elektrycznych wypowiedział w r. 1837 Faraday¹. Dla Faradaya było rzeczą nieulegającą dyskusyi, wprost pewnikiem, że materya może tylko tam działać, gdzie jest, a nigdy tam, gdzie jej niema, t. j. na odległość, biorąc za podstawę swych rozumowań światopogląd Kartezjusza. Według niego siedliskiem sił elektrycznych jest *dielectricum*, nadzwyczaj delikatna materya wypełniająca cały wszechświat; wyobraża on ją sobie w postaci materyalnych linii naprężonych i odpychających się wzajemnie. Pod wpływem sił elektrycznych w jakimkolwiek punkcie przestrzeni ulegają cząsteczki tego dielectricum zmianie, przyczem elektryczność przesuwa się w nich w kierunku linii, wskutek czego jeden ich koniec staje się dodatnio, a drugi ujemnie elektrycznym; ten stan nazywa Faraday dielektryczną polaryzacją. Na przestrzeni całej linii nie możemy skonstatować tego stanu elektrycznego, gdyż tam każde dwie sąsiadujące ze sobą cząsteczki stykają się różnoimiennymi biegunami; spostrzegamy ją jednak na końcu linii, tam mianowicie, gdzie łączy się z przewodnikiem. Cała linia dąży przytem do ukrócenia się, gdyż pojedyncze cząsteczki starają się do siebie zbliżyć, równocześnie jednak odpychają się cząsteczki w kierunku prostopadłym do poprzedniego. Płyny (fluidy) elektryczne poprzednio opisanej teoryi są więc w świetle teoryi Faradaya końcami tych linii, a sam nabój elektryczny nie jest pewną ilością tego płynu, lecz całą masą takich naprężonych linii, jakby sprężyn.

Czem są właściwie te przesuwane się cząstki tych materyalnych linii nie powiedział Faraday; matematyczne rozwinięcie tej teoryi przez Jamesa Clerka Maxwella² wykazało jednak, że

¹ Faraday: *Experimental researches in Electricity*. London 1839—55. — Helmholtz: *Die neue Entwicklung von Faraday's Ideen über Elektrizität*. Vorträge u. Reden. Braunschweig 1903.

² J. C. Maxwell: *Lehrbuch der Electricität u. d. Magnetismus*. Tłumaczenie niemieckie I. Weinsteina 1883.

jest to ten sam eter, który przenosi zjawiska świetlne. Maxwell przyjmuje, tak samo jak Faraday, istnienie dielektrycznego ośrodka międzyplanetarnego, wypełniającego nie tylko przestrzeń pomiędzy gwiazdami, ale przenikającego również wszystkie ciała, wypełniające w nich przerwy pomiędzy atomami i — być może — przenikającego nawet same atomy. Wyobrazimy sobie w tym ośrodku dielektrycznym płaszczyznę, na której wszystkie cząsteczki uległy spolaryzowaniu, t. j. które uległy pod wpływem siły elektrycznej działającej z zewnątrz wyprowadzeniu ze stanu równowagi, przypuśćmy dalej, że ten nadany im moment elektryczny jest u wszystkich cząsteczek tej samej wielkości i posiada u wszystkich ten sam kierunek, mianowicie równoległy do płaszczyzny obranej. Jeżeli elektryczna siła, która spowodowała ten stan, przestanie działać, to momenty elektryczne muszą zniknąć, gdyż każda polaryzacji wymaga do utrzymania się siły z zewnątrz; wywierają one jednak podczas swego istnienia na sąsiednie cząsteczki wpływ elektrostatyczny i elektrodynamiczny, t. j. spolaryzują je; te cząsteczki spolaryzują znów sąsiednie i t. d., wskutek czego powstanie, jak wykazało obliczenie Maxwella, faliste rozszerzanie się elektrycznej polaryzacji w kierunku równoległym do cząsteczek już spolaryzowanych. Jeżeli przyjmiemy, że ten ośrodek posiada również własność magnetyzowania się, to każde elektryczne poruszenie się cząsteczek spowoduje równocześnie poruszenie się magnetyczne, a to ostatnie wywoła znów powstanie sił elektromotorycznych; te przesuwania magnetyczne muszą się odbywać — o czem poucza nas wpływ prądów elektrycznych na magnesy — w kierunku prostopadłym do przesunięć elektrycznych i w tej samej płaszczyźnie, co te ostatnie. Powstaną więc w przestrzeni dwie fale: elektryczna i magnetyczna. Szybkość obu tych fal musi być jednakowa; obliczona według wzorów matematycznych, znalezionych przez Maxwella, wynosi ona 29975×10^{10} cm sze⁻¹, czyli prawie 300.000 klm w sekundzie.

Wobec tego, że szybkość światła wynosi 29964×10^{10} cm sze⁻¹, a więc jest taką samą jak szybkość fal elektromagnetycznych, należało wymiarkować, że jeden i ten sam ośrodek, mianowicie eter, przenosi fale elektro-magnetyczne i świetlne i że światło jest

niczmem innem, jak falami elektryczno-magnetycznymi. Przypuszczenie to zostało wkrótce (w r. 1889) stwierdzone przez doświadczenie H. Hertza¹, któremu powiodło się otrzymać fale elektromagnetyczne, zastosowane obecnie w telegrafach bez drutu, i udowodnić doświadczalnie, że zachowują się one zupełnie identycznie z falami świetlnymi. Różnica pomiędzy obu rodzajami tych fal polega tylko na ich długości i na czasie ich trwania: fale Hertza powtarzają się setki milionów razy w sekundzie i posiadają długość od kilku milimetrów do 1000 metrów, fale świetlne powtarzają się setki bilionów razy w sekundzie, a posiadają długość kilkudziesięciotysięcznych milimetra. Następujące zestawienie długości tych fal wykazuje te różnice:

Fale elektryczne telegrafów bez drutu	100—1000 m
Elektrodynamiczne fale Hertza (najkrótsze)	4 mm
Fale promieni ultraczerwonych, ciepłikowych (najdłuższe)	0.061 mm
Promieni Röntgena (prawdopodobnie) około	0.0000001 mm

Istnienie eteru jako ośrodka w którym odbywają się zarówno zjawiska świetlne jak i elektro-magnetyczne, jest zatem obecnie więcej niż hipotezą, jest — można prawie powiedzieć — pewnikiem.

Prawdopodobnem jest również, że eter jest — jak to już przypuszczał Kartezjusz — powodem siły ciężenia i nie brak prób wyjaśnienia istoty siły powszechnego ciężenia, tej siły, którą można rachunkowo najdokładniej ze wszystkich zbadać, o której istocie nie posiadamy jednak żadnego pojęcia; niestety żadna z nich nie jest wystarczająca. Najwięcej uwagi zwróciła następująca hipoteza Le-Sage'a²:

Wszechświat jest napełniony niezmiernie drobnymi cząsteczkami grawitacyjnymi (*corpuscules ultramondains*) biegnącymi z ogromną szybkością we wszystkich kierunkach. Posiadają on tak ogromną przenikliwość, że mogą one przejść poprzez słońce i planety, nie ulegając przytem znacznieszemu pochłanianiu; ulegają one jednak częściowemu pochłanianiu i oddają ciałom, które prze-

¹ H. Hertz: *Gesammelte Werke*. Leipzig 1892—1895.

² *Deux Traités de Physique Mécanique*, publiés par Pierre Prevost, comme simple Éditeur du premier et comme auteur du second. Genève 1878.

nikają, pewną ilość swej energii ruchu. Pojedyncze ciało, wystawione na uderzenie części przenikających go cząsteczek, zachowuje się tak, jak gdyby tych cząsteczek wcale nie było, gdyż uderzenia te następują ze wszystkich stron i równoważą się wzajemnie. Stosunki te zmieniają się jednak, jeżeli w pobliżu pierwszego ciała znajduje się drugie, osłania ono bowiem pierwsze przed pewną ilością pocisków tych cząsteczek grawitacyjnych, któreby na nie upadły; tak samo zachowuje się pierwsze ciało względem drugiego, osłaniając je również przed pewną ilością pocisków. Na strony wewnętrzne obu ciał spada więc mniej cząsteczek, niż na strony zewnętrzne, oba ciała są zatem popychane ku sobie, czyli pozornie ciężą ku sobie.

Według Natansona¹ hipoteza ta tłumaczy proporcjonalność ciążenia ciał niebieskich do mas, jeżeli cząsteczki materii zajmują drobną część pozornej objętości ciał. Jeżeli ciążenie każdych dwóch cząsteczek ma być proporcjonalne do ich mas, to cząsteczki powinny posiadać budowę klateczkową, jaką dotychczas przypisywaliśmy ciałom.

W ostatnich czasach zaczynają rzeczywiście przypisywać cząsteczkom materjalnym budowę złożoną², warunkom znalezionym przez Natansona stałoby się więc zadość; spotykają jednak tę hipotezę jeszcze inne zarzuty. Svante Arrhenius³ zarzuca jej jak również innym podobnym hipotezom, polegającym na ruchu ośrodka pomiędzy ciałami to, że ciążenie przechodzi przez wszystkie ciała, bez względu na ich grubość, bez żadnego osłabienia. Tak np. działa słońce na cząsteczkę znajdującą się w środku ziemi poprzez wszystkie ponad nią leżące warstwy, w ten sam sposób, jak na cząsteczki leżące na powierzchni ziemi. Ponieważ ten wpływ musi polegać na jakiegokolwiek zmianie ruchu ciała ulegającego wpływowi, przeto musimy przypuścić, że cząsteczka znajdująca się poza inną cząsteczką, przynajmniej częściowo nie ulegnie temu

¹ Władysław Natanson: »Wstęp do fizyki teoretycznej«. Warsz. 1890.

² I. I. Thomson: *Elektricität und Materie*. Braunschweig 1904. — Lockemann G.: *Die Entwicklung u. der gegenwärtige Stand der Atomtheorie*. Heidelberg. — Lorentz: *Ergebnisse und Probleme der Electronentheorie*. Berlin i. t. d.

³ Svante August Arrhenius: *Lehrbuch der kosmischen Physik*. Lipsk 1903.

wpływowi, w przeciwnym razie należałoby przyjąć, że na linii łączącej cząsteczkę, umieszczoną w środku ziemi, i jakikolwiek punkt na powierzchni słońca, niema absolutnie żadnej innej cząsteczki. Wynikałoby z tego, że cząsteczki, na które działa siła ciężenia mają nieskończenie mało objętości, że są punktami matematycznymi.

Maxwell zwrócił znów uwagę na to, że przeniesienie energii ruchu ciałek grawitacyjnych Le-Sage'a na ciało, które przenikają, pociągnęłoby za sobą zmniejszenie się ich energii kinetycznej i że ta strata energii wystarczyłaby do ogrzania przenikanego ciała do białego żaru. Zarzut ten zbija Thomson¹ wskazując na to, że energia kinetyczna cząsteczek grawitacyjnych niekoniecznie musi się zamienić na ciepło; musi ono zamienić się na inny rodzaj bardzo przenikliwych promieni, które uchodzą z ciała ciężącego, np. w rodzaju promieni radioaktywnych.

Nie będziemy zajmowali się dalszem omawianiem tej sprawy, gdyż zaprowadziłoby nas to zbyt daleko; w każdym razie można przypuścić, że i przy powszechnem ciężeniu odgrywa ośrodek międzyplanetarny, czy jako eter, czy też jako cząsteczki grawitacyjne lub w postaci promieni Röntgena (Thomson l. c.) pewną rolę.

Pomimo swego znaczenia pozostaje dla nas eter zupełną zagadką; wiemy, że istnieć musi, przypisujemy mu rozmaite własności, zupełnie odmienne od tych, jakie posiadają wszystkie ciała, czem właściwie jest — nie wiemy.

Niedawno ogłosił Dymitr Mendelejew² swe poglądy o eterze; rozpatruje on go z punktu widzenia chemika i dochodzi do wniosku, że eter jest najlżejszym pierwiastkiem gazowym, należącym do grupy argonu.

Wyniki, do których Mendelejew dochodzi, nie tłumaczą nam wszystkich własności przypisywanych eterowi, są one jednak pierwszą próbą rozwiązania tej kwestyi na podstawach chemicznych i przedstawiają tyle interesu, że ośmielam się ją przedstawić polskim czytelnikom szczegółowo, dodając tylko miejscami

¹ I. I. Thomson: *Elektricität u. Materie*. Braunschweig 1904.

² Tłumaczenie z rosyjskiego w *Prometheus* nr. 735—738.

wyjaśnienia niezbędne do zrozumienia kwestyi poruszonych przez Mendelejewa dla niechemików. Jest to zresztą pracą twórcy peryodycznego systemu pierwiastków, co ją dostatecznie poleca.

Mendelejew sam spostrzega w swej hipotezie braki, gdyż mówi, że przed trzydziestu laty, gdy ogłaszał swój system peryodyczny pierwiastków, nie nie ryzykował, czynił to bowiem na podstawach realnych. Obecnie, ogłaszając swe poglądy o eterze, ryzykuje, gdyż brak mu takich podstaw; wstrzymywał się też z wypowiedzeniem się w tej kwestyi przez długi czas. Gdy jednak zobaczył teraz zjawisko radioaktywne, zdecydował się ogłosić swe poglądy, gdyż być może naprowadzą one kogo innego na właściwą drogę, niż ta, »która przedstawia się mojemu osłabionemu wzrokowi«.

Większość myślących przyrodników-realistów — mówi Mendelejew — przyjmuje obecnie trzy podstawowe pojęcia: materię, energię i ducha; znajdują oni na tych podstawach uspokojenie w swych badaniach materyi, jej kształtów i sił działających w nich z wieczną prawidłowością. Istnieją jednak pomimo tego liczne powody ciągłego niepokoju, a jednym z nich jest wypełniający wszechświat eter.

Za czasów Galileusza i Newtona można było nie zajmować się chemizmem eteru, obecnie jednak jest to niemożliwe. Od Lavoisier'a, Daltona, Avogadro i Gerhardt'a nabyła chemia prawo obywatelstwa w szeregu nauk przyrodniczych, a przez przyjęcie za podstawę swych uogólnień masy (ciężaru) oparła się o Galileusza i Newtona. Nawet cała wiedza przyrodnicza nabyła dążenia do rozwiązania wszystkich zagadnień, dotyczących skończonych i wymiernych ciał i zjawisk, za pomocą wzajemnego oddziaływania na siebie nadzwyczaj małych składników, atomów, dopiero na podstawie chemii.

Eter, wprowadzony do nauki przez fizyków, musi więc być przedmiotem badań chemii i koniecznem jest postawienie pytania, czem on jest pod względem chemicznym.

Możnaby przypuścić, że składa się on z nadzwyczaj rozcieńczonych gazów i par rozmaitych ciał znanych. Jest to jednak niemożliwe z tego względu, że gazom i parom brak zdolności

przenikania rozmaitych ciał, co jest jedną z podstawowych cech eteru. W miarę zwiększania się ciśnienia, zgęszczają się gazy i pary, i nie możemy sobie ich wyobrazić we wszystkich ciałach, pomimo tego, że są one w małych ilościach rozpowszechnione w całym wszechświecie (np. w aerolitach). Oprócz tego zachowują się rozmaite gazy pod względem chemicznym bardzo odmiennie przy zetknięciu się z innymi ciałami, eter zaś — o ile wiemy — zachowuje się zawsze jednakowo.

Następnie możnaby przypuścić, że eter jest materiałem pierwotnym, pramateryą, z którego powstały wszystkie inne pierwiastki, co utrzymują niektórzy zwolennicy jedności materii. Jedni przypuszczają, że atomy bezustannie rozpadają się na eter i znów z niego powstają; inni utrzymują, że takie rozpadanie się i powstawanie atomów odbywa się najwyżej w wyjątkowych wypadkach i że sam proces powstawania pierwiastków jest rzeczą dokonaną, a istniejący eter jest resztką pozostałą przy tym procesie. Mendelejew nie zgadza się z tymi poglądami, gdyż gdyby atomy rozmaitych pierwiastków mogły rzeczywiście rozpadać się na eter i znów z niego powstawać, to zamiana jednych pierwiastków na drugie lub też zniknięcie pewnej ilości materii, poddanej doświadczeniu, byłoby możliwe. Nigdy dotychczas nie zauważono czegoś podobnego; za każdym razem, gdy utrzymywano, że znaleziono sposób zamieniania jednego pierwiastka na inny, okazało się następnie, że popełniono błąd. Ale nawet bez takich chemicznych dowodów jest jakiegokolwiek realne przedstawienie sobie eteru jako pramaterii niemożliwe, gdyż najważniejszymi atrybutami rozmaitych pierwiastków są ich własności chemiczne i ich masa. Masa wyjaśnia większość zjawisk zachodzących w rozmaitych odległościach, włącznie w nieskończenie wielkich, a własności chemiczne wyjaśniają zjawiska zachodzące pomiędzy ciałami przy niewymiernie małych odległościach. Gdyby rozchodziło się tylko o eter wypełniający przestrzeń międzyplanetarną, to możnaby poprzestać na zajmowaniu się jego masą, nie zajmując się wcale jego własnościami chemicznymi, — możnaby wtedy uważać eter za pramateryę. Nie można tego jednak zrobić z eterem,

który jest nie tylko ośrodkiem międzyplanetarnym, ale również i materią przenikającą, wszystkie inne ciała.

Ta zdolność przenikania wszystkiego jest nie tylko niezbędną do zrozumienia wielu zjawisk fizycznych, ale jest ona również skutkiem sprężystości eteru i małych rozmiarów jego atomów; wyjaśnia nam ona również niemożliwość chwytania eteru, gdyż wszystkie ciała są w stosunku do eteru tem samem, czem są sita względem wody lub powietrza.

Przenikliwość eteru można uważać za najwyższy stopień dyfuzji, którą Graham zbadał dla wielu gazów względem kaučuku, a Deville, Bellati i Lussana i inni dla wodoru względem platyny i żelaza. Wskutek małego ciężaru atomowego i małej gęstości jest wodór w stanie nie tylko łatwiej i prędzej wypływać z małych otworów, czyli dyfundować przez inne ciała, niż jakikolwiek inny gaz, ale jest on również w stanie przechodzić przez ścisłe ściany takich ciał jak platyna, a szczególnie palad, które stanowią dla innych gazów zupełną zaporę. Powodem tego jest jednak bez wątpienia nie tylko mały ciężar gatunkowy wodoru, a zatem i znaczna szybkość ruchu jego drobin, lecz także pewnego rodzaju własność chemiczna, która bierze również udział przy powstawaniu tak zwanych nieokreślonych połączeń, np. połączeń z wodą, rozczynów i t. p. Mechanizm przenikania można sobie przedstawić w ten sam sposób, jak rozpuszczanie się gazów w cieczach: pomiędzy cząsteczki cieczy wnikają drobinny gazu i zwalniają tam swój ruch, ulegając przytem pewnego rodzaju zgęszczeniu; wchłonięty i zgęszczony gaz rozchodzi się w masie przenikniętego ciała we wszystkich kierunkach, dyfundując z jednej warstwy do drugiej. W podobny sposób odbywa się przechodzenie gazów przez ciało stałe: gromadzą się one najpierw w warstwie zewnętrznej, w którą weszły, zwalniają tam swój ruch, ulegając zgęszczeniu, wnikają następnie w głębsze warstwy i dochodzą ostatecznie do drugiej strony, przez którą znów występują. Przenikanie to trwa dopóki ciśnienie danego gazu nie wyrówna się z obu stron ciała przenikanego; lecz i wtedy nie ustaje ono w rzeczywistości zupełnie, lecz następuje teraz ruchomy stan

równowagi, t. zn., że z obu stron ściany wnika i wychodzi równocześnie jednakowa ilość atomów lub drobin gazu.

Dyfuzyę taką spotyka się również pomiędzy ciałami stałymi; węgiel jest np. w stanie przejść przez ściany porcelanowego tygla, Spring pokazał, że stały węglan sodowy i siarkan borowy przenikają się wzajemnie, a Roberts-Austen, że złoto dyfunduje w ołowiu.

Jeżeli przyjmiemy, że eter jest pierwiastkiem posiadającym zdolność przenikania wszystkich ciał, to musi on mieć większą sprężystość a mniejszy ciężar atomowy, niż wodór. Równocześnie musi on się jednak odznaczać większą biernością chemiczną, t. j. posiadać mniejszą zdolność wytwarzania z rozmaitemi ciałami określonych połączeń chemicznych, wtedy bowiem tylko może on nie ulegać pomiędzy atomami rozmaitych pierwiastków, oprócz zgęszczenia, żadnym innym zmianom.

Przed odkryciem argonu byłoby uznanie eteru za pierwiastek niezdolny do wytwarzania z innemi ciałami, określonych związków chemicznych niemożliwe, gdyż wszystkie bez wyjątku podówczas znane pierwiastki wytwarzały pomiędzy sobą połączenia, niekiedy wprawdzie nie bardzo trwałe, w każdym jednak razie ściśle określone. Gdy jednak w r. 1894 Rayleigh i Ramsay odkryli argon, a następnie Ramsay — hel, którego istnienie w atmosferze słonecznej było znane przedtem dzięki badaniom Lockyer'a, a ostatecznie Ramsay i Travers odkryli jeszcze pierwiastki neon, krypton i ksenon, przekonano się, że obok dotychczas znanych pierwiastków, z których wszystkie bez wyjątku wytwarzały z innymi związki chemiczne, istnieje jeszcze cała grupa pierwiastków, odznaczających się zupełną biernością chemiczną. Pierwiastki te są tylko w stanie rozpuszczać się w płynach, t. j. wytwarzać luźne, łatwo rozpadające się i nieokreślone połączenia; nie wytwarzają one jednak wcale — przynajmniej o ile dotychczas wiadomo — związków chemicznych w ścisłym tego słowa znaczeniu.

Jeżeli eter jest pierwiastkiem, to musi posiadać pewien ciężar atomowy, — jaki jest ten ciężar, i gdzie jest miejsce dla eteru w systemie peryodycznym pierwiastków!

Zanim przystąpimy do odpowiedzi, jaką daje Mendelejew,

na te pytania, zajmiemy się przez chwilę samym systemem pierwiastków.

Już w r. 1829 zwrócił Döbereiner¹ uwagę na to, że wszystkie podówczas znane pierwiastki można było ugrupować w triady, których fizyczne i chemiczne własności wykazują wielkie podobieństwo, przyczem równocześnie i ciężary pierwiastków każdej triady są w pewnych regularnych stosunkach. Następnie² robiono jeszcze wielokrotnie próby ugrupowania wszystkich pierwiastków w pewien system, bez osiągnięcia jednak ważniejszych rezultatów. Dopiero w r. 1864 zrobił Newlands próbę ugrupowania wszystkich pierwiastków w pewien system na podstawie ich ciężarów atomowych, dzieląc je na t. zw. oktawy (*the Law of Octaves*), a Dymitr Mendelejew³ i Lothar Meyer⁴, zupełnie niezależnie jeden od drugiego i od Newlandsa ugrupowali niemal jednocześnie (1869—1870) pierwiastki prawie w jednakowy sposób, wykazując, że chemiczne własności pierwiastków są funkcyami ich ciężarów atomowych.

Jeżeli — według Mendelejewa — uszeregować wszystkie pierwiastki według wzrastającego ich ciężaru atomowego, to łatwo się spostrzeżę, że podobne chemiczne własności powtarzają się peryodycznie. Naprzykład z pierwiastków posiadających ciężary atomowe mieszczące się pomiędzy 7 i 35.5 otrzymuje się dwa szeregi,

I.	Li—7.0; lit.	Be—9.1, beryl	B—11.0; bor	C—12.0; węgiel	N—14.0; azot	O—16.0; tlen	Fl—19.0 fluor
II.	Na—23.0; rod	Mg—24.3; magn	Al—27.0; glin	Si—28.4; krzem	P—31.0; fosfor	S—32.0; siarka	Cl—35.5 chlor

w których główne chemiczne własności wykazują w każdej parze pierwiastków, jak w Li i Na, Be i Mg, B i Al i t. d. znaczne podobieństwo. Pominąwszy podobieństwa, względnie różnice, wła-

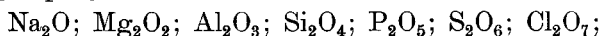
¹ Döbereiner: *Paggend. Annalen* 1829, 15, 301.

² Zestawienie odpowiednich prac znajduje się u K. Seibert. *Zeitschr. unorg. Chemie.* 9, 334 (1895).

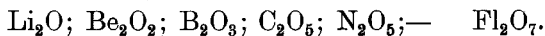
³ *Bull. d. petersb. Akad.* 16. — *Liebig's Annal.* 1871. 8. Suppl. Bd. *Compte rendu.* 1876. 81. *Ztschr. f. Chemie* 1869.

⁴ *Liebig's Annal.* 1870. 7, Suppl. Bd. *Die modernen Theorien der Chemie.* Breslau 1884.

sności fizycznych, zdolności łączenia się z innymi pierwiastkami i własności ciał przy tem łączeniu powstających, na szczególną uwagę zasługują ich najwyższe połączenia tlenowe. Szereg dolny naprzykład wytwarza, biorąc wszędzie po dwa atomy pierwiastka, następujące połączenia tlenowe:



w szeregu dolnym spotykamy zupełnie analogiczne związki, mianowicie:



Okazuje się z tego, że szereg odpowiadający wzrastającym ciężarom atomowym, jest szeregiem liczb 1—7, wskazującym równocześnie ilość atomów tlenu, z którą łączą się dwa atomy każdego pierwiastka. Przynależenie naprzykład fosforu do grupy V oznacza równocześnie, że najwyższe tlenowe jego połączenie posiada pięć atomowych tlenu na dwa atomy fosforu, t. j. P_2O_5 .

Na tej zasadzie można było podzielić wszystkie podówczas znane pierwiastki na VII grup, z których każda obejmowała pewną ilość pierwiastków, wytwarzających razem 12 szeregów. Oprócz tego została utworzona grupa VIII, obejmująca pierwiastki pośrednie.

W grupie I i w szeregu 1. mieści się wodór, posiadający najmniejszy ciężar atomowy (1.008) i najmniejszy ciężar drobinowy. W systemie tym były liczne puste miejsca, wskutek czego Mendelejew przepowiedział istnienie jeszcze innych, niepoznanych wówczas pierwiastków, których własności fizyczne i chemiczne, a także i ciężary atomowe, można było w przybliżeniu określić. Przepowiednie te zostały w następstwie kilkakrotnie stwierdzone przez odkrycie w r. 1875 przez Lecoq de Boisbaudrau'a galu (Ga), który okazał się Mendelejewa hipotetycznym ekaaluminium, przez odkrycie w r. 1886 przez Nilsson'a skandu (Sc), przewidziany przez Mendelejewa jako ekobar, przedewszystkiem zaś przez odkrycie przez Cl. Winklera w r. 1886 gerum (Ge), opisanego przez Mendelejewa pod nazwą ekosiliciun. Odkryty przez P. i S. Curie rad¹ znalazł również swe miejsce w systemie peryodycznym.

¹ P. et S. Curie: *Compte rendu*. 126. 1101 (1897).

W przepowiedniach swych opierał się Mendelejew na podstawach realnych, gdyż określenie własności tych podówczas nieznanых pierwiastków polegało na interpolacji, t. j. na wyszukiwaniu punktów pośrednich na podstawie danych punktów końcowych i znanego prawa, według którego te punkty następują po sobie, czyli na podstawie znanej krzywej linii łączącej punkty krańcowe.

Ponieważ stwierdzenie takiego przepowiadania jest w każdym razie wzmocnieniem wartości całego systemu, można zatem dziś — mówi Mendelejew — po odkryciu galu, skandu i gerum, polegać na tem, co w r. 1860—1871 było tylko prawdopodobieństwem, t. j. na tem, że chemiczne własności pierwiastków są w peryodycznej zależności od ciężarów atomowych.

Następnie odkryto jednak cały szereg nowych pierwiastków, których istnienia nie można było przewidywać, nie tylko na podstawie peryodycznego systemu, lecz również wskutek ich własności chemicznych, zupełnie odmiennych od własności wszystkich znanych pierwiastków; są to pierwiastki hel, neon, argon, krypton i koźnon, które — o czem już poprzednio wspomniano — odznaczają się zupełną biernością chemiczną.

Jeżeli jednak zestawimy te pierwiastki według ich wzrastających ciężarów atomowych i porównamy je z innymi grupami pierwiastków, np. z chlorowcami, to spostrzegamy, że zachodzi tu zupełna analogia, że te nowoodkryte pierwiastki tworzą taką samą naturalną grupę, jak np. chlorowce. Ponieważ te pierwiastki nie wytwarzają żadnych połączeń chemicznych, należy więc utworzyć dla nich nową grupę, mianowicie grupę 0, przez co właśnie wyraża się ich bierność chemiczną.

Ciężary atomowe pierwiastków takiej grupy zero muszą być odpowiednio mniejsze od ciężarów atomowych pierwiastków grupy I, t. j. biału, radu, potasu, rubidu i cezu, a odpowiednio większe od ciężarów atomowych pierwiastków grupy VII, t. j. fluoru, chloru, bromu i jodu; zestawiając te trzy grupy, spostrzegamy, że tak jest rzeczywiście.

(Dok nast.).

F. E. Polzeniusz.

STAROPOLSKIE KAZANIA AUGUSTYAŃSKIE.

et sic alij iato postea tunc doctor / Cris / si nial utem tunc
 leuisticz iactare paupers iato ho / stazowisko albo wojewodztwo
 iactan trolitum iij nial iato / wrowij w fado potwolo regos troliz
 ta sin niozmogol niozmogol / a tunc niozmogol / sin niozmogol utappat
 uerum utem
 the niozmogol
 gijel troliz
 iactas trolitopolis Galilee / hunc enim audisset
 gloune troliz
 tunc bil / quia ihu adueniet a iudea in Galili-
 iactas bil / cam, abiit ad eum et rogabat eum
 iactas bil / ut descenderet et sanaret filium eius
 iactas bil / mori / Glo hunc factum
 gulus enim audisset quia ihu adue-
 nit a iudea in Galileam, abiit ad
 eum factum personalit et rogabat eum
 mfirmaretur / tunc rogabat eum ut
 descenderet nota Cana Galilee erat in
 alto loco sita factum Capharnaem erat
 in secundo loco et distabat a Canaga-
 ruzareth per unam diectam go petruit ut de-
 scenderet et sanaret filium eius factum

Zakonnicy świętego Augustyna na Kaźmierzu w Krakowie przechowują nieocenione zabytki z czasów piastowskich i jagiellońskich, a pomiędzy tymi skarbami zachowali setki rzadkich po-

mników piśmiennych: dyplomów papieskich i królewskich, inkunabułów i rękopisów średniowiecznych.

Śród tej spuścizny z przełomu wieków 14-go i 15-go spotykamy dwa zeszyty, oznaczone u dołu arabskimi cyframi ówczesnymi 44 i 45. Oba te nieoprawne zeszyty zawierają łacińskie kazania: koniec jednego na ewangelię z niedzieli 19-ej po Zielonych Świątach, dwa całe kazania na ewangelie z niedziel: 20-tej i 21-ej, i bez końca drugiej części kazanie na ewangelię z niedzieli 22-ej po Zielonych Świątach.

W kazaniu na ewangelię z niedzieli 20-ej, pomiędzy wierszami łacińskiej treści i z boku, znajdujemy dopiski, których język przedstawia oczywiste piętna starej polszczyzny, jak o tem świadczy podobizna na początku umieszczona. Czytelników *Przeglądu* zająć może ten kaznodziejski zabytek z przed pół tysiąca lat, wyrażony w pisowni dzisiejszej, jak następuje:

»Czasu pogańskiego, gdy jeszcze na świecie nie byli chrześcijanie, a to przed narodzeniem Bożym, był niektóry król bogaty; a ten miał jedynego syna, jenże mu niemógł na śmierć. Ten król przereczony dał a polecił swa dobra i krolewstwo przyjacielowi; a poleciwszy uczynił się sam barzo ubogim a k temu jego ubostwu i on syn jedyny jego umarł jest jemu, na jego większy smutek. Ktoregoż syna ten król barzo żałując ustawicznie płakał, wielką nędzę w ubostwie po nim cirpiąc. Tego też przereczonego czasu, gdy ten król był w takim smętku i nędzy, byli też trze filozofowie mistrzowie nauczenszy: pirwemu (mówiono) dziano Arystotiles, 2-u Plato a 3-u Cicero. Ci trze silni mędrcey zbieżawszy się poczęli sobie gadać o onem to krolu w wielikiee nędzy będącemu i radzili się społu, żałując go, aza by mu który z nich mógł nieco dopomoc. I rzekł jeden z nich, a to Arystotiles: jać go zasię ubogacę. A drugi, jako Plato, rzekł: a ja go z jego niemocy uzdrowię. A trzeci z nich rzekł, a to Cicero: a ja mu syna umarłego ożywię; a doradziwszy się tak, poszli do niego i dał mu jeden imienie wielkie, a drugi go uzdrowił, a trzeci jemu syna wskrzesił. I był zasię on król w wielkiem bogactwie a w wiączszee radości i uciesze, niżli kiedy przed tym był.

»Duchownie miła bracia ku naszemu nauczeniu przez tego krola, giż się był tak zubożył, rozumie się Adam nasz pirwszy ociec, któryż też znamionuje się tu w dzisieesze ewanieliee przez krolika. Przez przyjaciela onego, jemuż był polecił rządzić swe wszystkie dobra, rozumie się Ewa pirwsza mać nasza, któree też Adam w raj u wszystko rządzić był polecił, a ona, [źle rządząc] wszystkie dobra rajskie utraciła tak, że nie tylko sama siebie zubożyła, ale i Adama w nędzy zostawiła, a to przez ukuszenie zakazanego japlka. Przez syna umarłego onego to krola rozumie się dusza Adamowa, jaż, jako i ten syn, była umarła i na wieczne potępienie przesłana; a gdyż się tak to Adamowi i Jewie stało, owa trze nauczeńszy magistry obżałowawszy się jego ubostwa i nędzy weszły są w radę doradzając sobie, ażaliby mu nieco mogły dopomóc. I rzekł pirwszy mistrz jako Arystotiles, któryż był ubogacił owego krola, przez ktoregoż duchownie rozumie się dusza Chrystusowa, jaż w radzie rzekła: jać człowieka zasię ubogacę. Przez drugiego mistrza Platona, giż był uzdrowił onego krola, rozumie się Bostwo Chrystusowo, któreż w radzie święte Trojce rzekło: jać ji, czusz Adama, z jego niemocy uzdrowię. A przez trzeciego mistrza jako Cicerona, giż był wskrzesił umarłego syna onego to krola, rozumie się wierne człowieczeństwo Chrystusowo, któreż też w radzie rzekło: jać Adamowi wskrzeszę syna, to jest: duszę jego przez moją śmierć wyrwę od wiecznego zatracenia. I stało się jest, iż ci trze jako dusza Chrystusowa, Bostwo Jego i człowieczeństwo Jego święte ubogacili są zasię Adama, wskrzesili jemu syna i uzdrowili go pospołu z Jewą i ich dziatki jako nas, tak iż już Adam z Ewą i swymi niektórymi dziećmi jest w więcsze radości i więczszem wiesielu, niżli kiedy przedtym w raj u był. To tak rozumieecie. A jako przez tego krola rozumiał się Adam, tako też tenże Adam rozumie się w dzisieesze ewangelie przez tego syna krolika, o którymże się toczy wszytka ewangelia, jaż się tak poczy na:

»Był niektóry krolik, ktoregoż syn niemógł (zaniemógł) na śmierć. I w ktory się to czas działo? rozumiee, iż ty rzeczy, o których się ewangelia toczy, działy się aprosto w poł roku tegoż lata pirwszego, gdy Chrystus przyszedłszy do Judee uźrzał syna Alfeusa

na ciele siedzącego, którego wezwał i naśladował go. Jezus ze swymi zwolennikami przyszedł do onej studnie, jako o tem bywa ewangelia pościć. Przy której studnie z wielkiego udręczenia siadł na krawędzi, chcąc sobie odpocząć tam siedząc. Przyszła do Niego niewiasta Samarytanka, z którą bardzo długo się z nią rozmawiał jest, aż do niego zwolennicy przyszedli. Od tej studni szedł do Galilee do tej to ziemi, a gdyż wszedł w Kanę, w taką rzekącą wieś, tamże proszony jest od tego krolika dzisiejszego i odpowiedział mu Pan Jezus: syn twój żyw jest. I wykladał ty słowa s. Chryzostom: A rzeczon jest królikiem a nie królem, bo nie miał wszystkiego królestwa, ale, jako powiada tenże doktor s. Chr., iż miał w temże królestwie niektóre państwo jako dzisiaj starostwo albo województwo; i rzeczon królikiem, iż miał jakoby pierwszy urząd po królu. Tegoż krolika syn nie mógł na śmierć, a to niemocą zimnicę, w Kafarneum, w tem to mieście, które miasto było główne, w którymże był i arcybiskup, jakoby dzisiaj Gniezno albo Kraków. Ten gdy usłyszał, że Jezus był przyszedł z Judee do Galilee, prosił Go, aby uzdrowił syna jego, gdyż już począł umierać. Kako szedł do niego? Atoli nie przez żadnego posła swego, ale jako rychło usłyszał, iż Jezus przyszedł, szedł do Niego sam w swej własnej osobie a to przeto, by Jezus widząc, iż taki pan wielki przyszedł sam do Niego, raczyłby się skłonić tym rychle na jego własną prośbę. A przyszedszy do Niego ten krolik co uczynił? Atoli prosił Jego bardzo pokornie, by zstąpił do niego a uzdrowił syna jego; i mowi to ewangelia, iż ten krolik szedł do Jezusa, nie jał, ale szedł piechotą, a to przeto, by Jezus widząc jego pilność, tym rychle wysłuchałby go. Ale kako daleko Jezus był od niego? Atoli Kana Galilee, ta wieś, w której był Jezus, była na gorze, na wysokim miejscu, a Kafarneum, to miasto główne, w którymże był ten krolik, było pod górą, na niskim miejscu, jakoby w pół mili. A przeto, iż było niedaleko, a iż Go też o wielką rzecz chciał prosić, przeto nie jał, ale szedł do Niego. Z wielką wiarą i pokorą Jego prosił, aby uzdrowił syna jego. A gdyż przyszedł ten krolik, rzekł mu Pan Jezus ty słowa z ewangelii: acz znamion i dziwów nie uźrzącie, nie wierzącie. I odpowiedział mu krolik: Panie, zstąp pirwe, niżlić umrze

syn moj! I odpowiedział nie na Jezusowa słowa, ale na swą rzecz. A to przeto, bo dla wielikee żalości a boleści słów Chrystusa nie rozumiał, a przeto Mu tak odpowiedział. Cóż mu tuta Chrystus rzekł? jedno znamion a dziwow nie uźrzyćcie, nie uwierzyćcie. Znamiona, miła bracia, sąć dziwy niesłychane ani też zwykłe. Ale euda sąć dziwy widome, któreż aczkoli oblicznie bywają widany, a wszakoż wżgam (wždy) nieco inszego na przyszły czas znamionują. A przeto w tych słowiech, gdzie rzekł krolik: Panie! zstąpij, skaran jest od Pana Jezusa z jego niedowiarstwa, iż był mgłee wiary; ale w czym się to znamionuje, iż był mgłee wiary? W tem, iż prosił Jezusa, by sam oblicznie do niego zstąpił, jakby niedowierzał, by Pan Jezus mógł uzdrowić syna jego nie zstępując oblicznie do niego. Abo też niedowierzając, by mógł wskresić martwego. A przeto rzekł: zstąpij, niżlić umrze. Rzekł mu Jezus: idź! syn twój żyw jest! i wykładają to doktorowie, iż jak rychło wyrzekł ty słowa Jezus, natychmiast był zdrow syn jego. I uwierzył on to krolik rzeczy Chrystusowee, któraż rzekł jemu. I powiada Beda ten magister, iż ten krolik nabył wiary pewnee z tych słów Chrystusowych. A stąd mamy baczyć, iż żaden człek nie może mieć doskonałee wiary, aliż mu jee Pan Bóg dopożyczy. A czemu to? bo wiarą człek przychodzi ku dobrodziejstwu Bożemu, to jest ku odpłacie wiecznee. A przetoż ten krolik będąc już posilon we wierze ze słów Chrystusowych szedł z dowiarstwem do domu. A gdy już z góry stąpił, owa z domu jego słudzy zabieżeli jemu powiadając jemu uciechę i wiesiele, rzekąc: syn twój żyw jest. I bieżeli tu słudzy przeciw jemu wzjawiając mu zdrowie syna, aby on już dał pokój Chrystusowi, rzekąc: niepotrzebienci już żaden lekarz na uzdrowienie twego syna, a przeto nie pracuj się; jużci zdrów. I spytał ich krolik: w którą by się godzinę lepiej miał? i rzekli posłowie: wczora o siedmeee godzinie opuściła go zimnica. I uznał on krolik, ociec tego syna, iż ta godzina była, kiedy rzekł Jezus: idź! syn twój żyw jest«.

Pominać tu można rozbiór szczegółów językowych, a dodać słowo o zabytkach kaznodziejskich w księgozbiornie augustyjańskim ze względu na wymowę kościelną.

W zabytkach tych można odróżnić dwa rodzaje przemów: czysto wykładowe jedne, drugie apologetyczne.

W pierwszych mowca pomija głębiny teologii, obojętne dla słuchacza, póki z uczelni akademickich innowiercy nie wyprowadzają w szerokie warstwy społeczeństwa sporów dogmatycznych. Wiara pewna siebie rozciąga swój wpływ na obyczaje i na tem polu rozwija żywotną potęgę. Na polu dogmatycznym mówca tego rodzaju występuje tylko jako sprawozdawca z nauki kościelnej wobec słuchaczy, zupełnie spokojnych o to, że kościelny duch nawskróś zachowawczy podaje od apostołów z wieku do wieku naukę odziedziczoną po przodkach, a potępia wszelką nowinę we wierze. Stąd i w omawianej przemowie i we wielu, podobnie ułożonych, mowca przywodzi za swoją nauką zwykle jedno świadectwo Augustyna albo Złotoustego, a najczęściej Bedy. Wystarcza to, aby słuchacz naukę przyjął, bo wie, że ten świadek powtarza, co podali apostołowie; inaczej nie uchodziłby za Ojca Kościoła, tylko nowinkarza, kacerza.

Apologetyczni kaznodzieje augustyjańscy występują wyraźnie w obronie wiary zagrożonej ruchem husyckim. Zachowawczy zmysł katolicki w społeczeństwie wymaga od mowcy wyraźniejszej rękojmii, że z jego ust nie płyną słowa przekrecone któregoś z Ojców. Słuchacz chce świadectw liczniejszych a zgodnych w tej samej myśli; nie sprawozdawców z wiary chce słuchać, ale jej ścisłych obrońców. Więcej tedy ścisłej nauki wprowadzają ci ostatni mowcy do swoich wywodów. Ale za to mniej czasu znajdują na uprawę pola obyczajowego. Niejeden przecie na tem nie traci: im krócej mówi, tym jędrniej, raźniej, dosadniej wyklada obowiązki, w serce bije, psychologię słuchacza zna.

I pod względem zmysłu psychologicznego zarówno omawiana przemowa, jak kazania opatrzone przypiskami, dostarczają wzorów, jak mowca ma polskiemu słuchaczowi wykladać każdą myśl osobną i z nich układać całość organicznie spójną.

Streszczoną naukę przodków po łacinie czytamy, a z narzucanych słów i dopisków polskich spostrzegamy, że mowca sprowadzał książkowe wywody na poziom umysłowy słuchacza. Mniej jeszcze uderza, że mowca usiłuje przystępnie wyłożyć suche do-

wody teologów: więcej podziwiać można wprawę, z jaką kaznodzieja przenosi ludowe homilie Ojców na tło polskie, nawet krakowskie. Co głęboki Augustyn w dowodach teologicznych zestawiał dla uczonego czytelnika, to każdy widzi, że wystarczyło dla wytwornego świata rzymskiego, a potrzebuje zrozumialszych wykładów na polskiej kazalnicy. Ale rzadko kto umie cudzoziemską mowę, nawet ludową, tak nawskróś spolszczyć, jak mówcy augustyjańscy. Wszystko u wielu z nich swojskie, miejscowe, tchnie duchem rodzimym; nie tylko cześć żywa Patronów polskich i klasztornych, nie tylko niewyczerpany zasób myśli nabożnych o Paninie Maryi, zwłaszcza o Niepokalanem Jej Poczęciu, osobliwie sławionem w Krakowie; (Augustyianie stali na czele tego nabożeństwa, jak świadczą roczniki klasztorne;) ale cały tok i przebieg wywodów potwierdza świadectwo Szujskiego i Łuszczkiewicza, że w 15-m stuleciu klasztorowi na Kaźmierzu nie brakło bogomyślnych i uczonych Polaków, profesorów wszechnicy i narodowych kaznodziei. Tacy zdołali potrzebę swojego słuchacza rozumieć: zapisać dla pamięci własnej wyniki dedukcyi, a po polsku rozwijając już indukcyę, z doświadczalnych zjawisk prowadzić słuchacza do oderwanych pojęć, z prawd uchwytanych do zasad obyczajowych. Więc w omawianej przemowie pisarz wyjaśnia szczegóły ewangelii na polskiem tle. Porównuje królika z ewangelii do polskiego pana na urządzie: jakoby na starostwie albo województwie; a miasto onego królika nie było podłe, tylko główne, jakoby u nas Gniezno albo Kraków; ale w Polsce taki pan wielki nie chodzi piechotą, tylko kolebą jachać lubi: przecz on królik nie jał a piechotą szedł do Pana Jezu Krysta? bo magnat taki umiał barzo pokornie prosić...

A gdzie Panna Marja jest Panią i gospodzą? Drudzy święci mają kożden swoje państwo: Rzymem Piotr i Paweł się opiekata, Jadwiga Szlązaki wysłuchawa, za Polaki stawa Wojciech w Poznaniu, a za nami w Krakowie Stanisław, inszym świętym takież Pan Bóg dawa włodarstwo na kiladziesiąt mil, ale Pannę Marję wyznawa Panią po wszem świecie cokoli żywie, wszystko słusza Jej głosa od roda do roda.

Jak łatwo rozumiał Polak takie wykłady, tak bez trudu

mógł je spamiętać, bo bardzo pracę pamięci ułatwia układ mowy przejrzysty, z myśli zestawionych ze sobą w związku istotnym. Otóż w znacznej części kazania augustyjańskie uderza układ z części jasno pomyślanych, powiązanych zręcznie, a niewyszukanych daleko. Takie kazanie, to nie zbieranina kawałków krasomostwa, pościąganych do kupy, tylko budowla, w której jedno wymaga drugiego, a wszystko razem tworzy całkowitą jednostkę. Najczęściej w tych kazaniach podział wynika z hermeneutycznej zasady, że całą myśl Pisma św. wyczerpuje rozbiór czworaki: najprzód dosłowny na podstawie tła dziejowego, następnie wykład zastosowany do obyczajów, potem obrazowy wywód prawd Nowego Zakonu ze Starego, na koniec rozbiór prawdy przenośnie wyrażonej. Rozbiór ten czworaki, ze swoimi podziałami nasuwa owym kaznodziejom wytyczną myśl nauki z jej częściami i podziałami, choć nim nie skrzepowani opuszczają często wywód obrazowy, dla słuchacza naszego rzadko przydatny.

W omawianej przemowie i w następnych z tegoż zbioru widzimy przenośną myśl ewangelii, ubraną w szatę przypowieści — jak nazywalibyśmy dziś: przykładu — którym mówca zaczynał naukę bez żadnych przedwstępów. Nawiązał swoją przenośnię do najdonioślejszych słów ewangelii i od razu barwnym opisem wypadku zaciekaiał słuchacza. Na tym przykładzie mówca rozwijał którąś z prawd zasadniczych katechizmu i dawał tło następnych dwu części.

W przechodzie z części wstępnej do właściwej treści kazania spotykamy raz czy dwa razy dopisek: »canas Bogarodzica«, a żadnej nigdzie więcej uwagi albo zapowiedzi, że kończy jedną część a drugą zaczyna. Nie potrzebowały kazania takich zapowiedzi, bo całe przejrzyste uderzały uwagę słuchacza i zostawały w pamięci.

Pierwszą część właściwej treści stanowił dosłowny wykład na sposób homilii, z uwagami głównie dodawanymi o dogmatach, zawartych w ustępie ewangelii niedzielnej. Tego ustępu mówca nie przedstawiał bez związku z całym żywotem Chrystusa; łączył każdy wypadek nowy z tokiem dziejów opowiedzianych poprzednio. Przez kilkadziesiąt przemów w ciągu roku kościelnego mógł

sluchacz widziec przesunieią przed okiem całą widownię Palestyny z rozkładem miejsc i dróg, przez które Chrystus przechodził; nie nad oderwanym od świata i ludzi wypadkiem czy dogmatem natężał uwagę, ale obcował z żywą postacią Jezusa wśród apostołów pomiędzy rzeszą i spostrzegał myśl przewodnią, którą ożywiony Chrystus nauczał i dzieła swojego dopełniał.

A gdzie dogmat wymaga pojęć metafizycznych, tam kaznodzieja w dopiskach zostawił dowód, że umiał nawet takim pojęciom dać wyraz polski i ze spuścizny języka piastowskiego czerpać zasób słów dostateczny, aby wyjaśnić *esse substantiae, reatum poenae, virtus formativa* etc.

Nie trzeba podkreślać, że w drugiej części znajdujemy stosownie opisane obowiązki chrześcijańskie; na uchwytnem tle stosunków żywotnych umiał mowca przedstawiać prawdę namacalnie, kiedy w skarbnicy języka znalazł do obrazu prawd nieuchwytnych.

Przynac tu trzeba, że nie każde kazanie jednakowo służyć może za wzór. Nawet w zbiorze pisanym jedną ręką uderzają między dobrými utworami wyroby słabe albo zaprawione jakimś smakiem dość dziwnym. Zwłaszcza na święta uroczyste nieraz kazanie wygląda na popis krasomówcy zaproszonego skądinąd, aby uświetnił dzień odpustowy: na wniosek taki może naprowadzić uwaga, że mowca na dzień św. Augustyna mianuje patrona zakonu »sanctus« tylko bez »Pater«, jak wymaga zwyczaj augustyański. Na ten dzień właśnie czytamy panegiryk z części aż siedmiu, zapowiedzianych także wbrew zwyczajowi we wstępie: święty Augustyn 1) dorównał aniołom, 2) archaniołów naśladował, 3) patryarchów doścignął, 4) przeszedł proroków, 5) przyemił męczenników, 6) przerósł wyznawców; 7) przewyższył dziewice. Innym razem mowca staje jako lekarz przed duszą chorą i co usta otworzy, to wygłosi nowy przepis Hipokratesa, Galena czy Eskulapa i zastosowuje aptekę całą maści i pigulek do duchownej zimnicy albo ograżki.

I takich kazań nie braknie — na setki pisanych poważnie. Poważnej właśnie strawy od kaznodziei swoich musiało wtedy wymagać krakowskie społeczeństwo i dość jej dostawać, kiedy złożyło dowód wielkich zasobów ducha chrześcijańskiego: wypie-

lęgnowało u siebie taki poczet mężów, znamienitych cnotą w ciągu dwu pokoleń czy trzech, jakim rzadko który wiek zajaśniał w dziejach Kościoła. Taki nastrój ducha wymagał kaznodziei, godnych kościelnej mównicy. Praca ich zostawiła wzór, który nawet co do budowy kazania i podziału jego części znajduje wyraźnie naśladowców w mowcach złotego okresu, ze Skargą na czele. Najświeńniejsza doba w rozwoju kaznodziejswa polskiego nie nastąpiła bez przygotowawczej pracy poprzedniej; nastąpiła po okresie wymowy poważnej i zasłużonym poprzednikom zawdzięcza drogę, którą poszła dalej aż do pełni rozkwitu. O tem składają świadectwo szczątki augustyańskich zabytków.

W innym znowu rękopisie B 280 znajdujemy przekład kanonu Mszy od Sanctus do Pater; dla miłośników staropolskiego języka można tu w dzisiejszej pisowni załączyć ustęp następny:

»Ciebie tegodla namiłościwszy oócze przez Jezu Krysta Syna Twego pana naszego nábożni prosimy i też modlimy się, jako przyjemną miałby i przeżegnałby te dary, te datki i te święte objaty czyste, naprzód które dajemy (objatujemy) tobie za cyrkiew świętą (albo za zgromadzenie) wyernego chrześcijaństwa, którąż upokoić, strzec, zgromadzić i też rządzić racz po wszem świecie ziem, pospołu z sługą Twym M.... i też biskupa naszego N i też wszystkim wliczającym się w wiarę krześcijańską wierne i też krześcijańskiej i apostołskiej wiary czczącym.

»Pamiętaj Panie sług, służebniczk i też twych, i wszystkich stojących przy bożej służbie, których tobie wiara znamienita jest i też jawne nabożeństwo, za które Tobie dawamy [abo którzy Tobie] dawają tę objatę chwały za się wszystkich, za odkupienie dús swych, za nadzieję zbawienia i za zdrowie swe, Tobie (i też) płacą obietnice swe, wiecznemu Bogu, żywemu, wiernemu i prawdziwemu.

»Pospołu wzywając (albo część mają) i też pamiątkę chwając náprzodku (nápirwej) chwałebnej zawsze i też dziewicy porodzielce bożej ... też i wszystkich świętych twych, których świętych zasługami modlitwami (prośbami) pożyczysz, aby we wszystkich zaszczycienia twego zawždy abychem byli zaszczycieni pomocą.

«Tę tegodlǎ obiatę służby naszej też i wszystkiej czeladzi twej prosimy Panie, aby upokojony (albo miłościwy) przyjąłby a też dni nasze w twem pokoju rozłóż (rozpraw) i też od wiecznego potępienia nas racz wyrwać i też w twych wybranych każy we trzedzie wliczyć przez Krysta pana naszego.

»Jaż obiatę Ty Boże we wszytkich prosimy święconą (błogosławioną), popisaną, twardą, rozumną, przyjemną i też uczynić raczy, [aby] nám Ciało i też Krew byłyby namilszego Syna Twego pana naszego Jezu Krysta.

»Jenże Kryst' pirwego dnia, niżli cierpiał, wziął chleb [w święcie] i też wielbnie swe ręce i też wzniowzwszy oczy swe w niebo do Ciebie oóca [swego] wszechmogącego, Tobie dziękę czyniąc, przeżegnał, przelomił, dał [i też] zwolennikom (uczniom) swym rzekąc:

»Weźmiecie (przymicie), używajcie (albo jeccie) z tego wszytcy: toć jest iże ciało moje.

»Takież gdyż wieczierzano jest, wziaw i też święty kielich [w święcie i] w dostojnie (w wielebnie) ręcie [swie], takież Tobie dziękę czyniąc przeżegnał, dał [i też] uczniom [swym, rzekąc:

»Weźmiecie] y picie z tego kielicha wszytcy: již (ten) jest iż kielich krewie mej nowego i wiecznego ustawienia, święta tajemnica (sacrosanctum) wiary, jaż krew za was i za wiele inszych będzie rozlana na odpuszczenie grzechów.

»To wzięcie ciała i krewie kielkokroć uczynicie, na mǎ pamięć uczynicie.

»Tegodla i też pamiętnicy my Panie Twoi słudzy i też i lud Twój święty tego Krysta Syna Twego pana naszego błogosławionego umęczenia i też z piekła wstania też i w niebiososa chwalebnie wstąpienie dajemy świętej chwale twej (albo światłemu wielmożstwu) z Twych darów i dawania obiatę czystą, obiatę świętǎ, obiatę niepokalanǎ, chlób święty wiecznego żywota [i] kielich zbawienia przezkoniecznego.

»Nad któreż to danie, Panie, [miłościwym] i też jasnym obliczym wejrzeć raczy i też wdzięczne (albo przyjemne) mieć, jako przyjemne mieć raczyłeś dary dziecięcia Twego sprawiedliwego [Abla i] świętǎ ofierǎ (obiatę) pirwego oóca naszego [Abrahama]

i którą tobie obiatę dał (albo obietował) napirzwy (albo wirzechni) kapłan takorzekący [Melchizedech] świętą ofiarę, niepokalaną obiatę.

»Nabożni Ciebie prosimy wszechmogący Boże każy te dary przenieść przez ręce anioła Twego na nawirzechni ołtarz Twój, przed obliczym bożskiej chwały (albo wielmożstwa Twego) i daj,—cokole ich z tego ołtarza używania — świętego Syna Twego Ciało i Krew przyjąlibychem, — kałiżdym przeżegnanim niebieskim i też miłości napelnieni bychom byli. Przez tego pana naszego stań się.

»Pamiętaj też Panie sług służebniczk [i też] Twych i tych ludzi, którzyż nas przeszli [ze] znamieniem wiary krześcijańskiej i śpią we śnie pokoju. I tym, coż my pamiętamy [Panie] wszystkim w Jezu Kryście odpoczywającym mieście ochłodzenia, światłości i pokoja aby dał prosimy.

»Nam także grzesznym sługam i też służebniczkom twym,— z wielkości miłości Twych uadziewającym [się], — części niektórej i towarzystwa darować raczy z twymi świętymi zwolenniki i też z męczenniki... i z wszystkimi świętymi Twymi, między którymi nas [w] towarzystwo, — nie Ważyciel odpłaty, ale miłosierdzia, prosimy, Dawca, — przypuść. [Przez Krysta pana naszego.

»Przez ktoregoż] to wszystko Panie zawżdy dobrze stwarzasz, święcisz, żywisz, błogosławisz [i] dawasz nám.

»Przezeń i z Nim i w Nim jest Tobie, Bogu Oćcu wszechmogącemu w jedności Ducha świętego wszystka cześć i chwała na wszystkie wieki wieczne. Stań się.

»Prosimy!

»Przykazaniem zbawiennym upominani i dostojnym (i bożskim) ustawieniem tworzeni, śmieli rzec:

Na tem można tu zakończyć ogólne uwagi nad świeżo odkrytymi zabytkami. Szczegółowy ich rozbiór wraz z odpisem starożytną pisownią i oceną języka wyjdzie niebawem dla zawodowych badaczy w Komisji językoznawczej krakowskiej Akademii Umiejętności.

Ks. K. Czajkowski.

PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Z historii sztuki.

Sprawozdania Komisji Historji Sztuki t. VII. — Trzy podręczniki historji sztuki: Doleżana, Wróblewskiego i Zubrzyckiego.

Nowy gruby tom Sprawozdań Komisji Historji Sztuki ukazał się na półkach księgarskich¹. Obejmuje on 1.018 szpalt druku królewskiej 4-ki, nie licząc wyczerpującego indeksu, który niebawem wyjdzie z pod prasy. Pojawienie się nowego tomu tej publikacji to niewątpliwie doniosły fakt w rozwoju naszych badań nad przeszłością sztuki w Polsce, której znaczenie po sumiennych pracach archeologicznych ostatnich lat dziesiątków okazało się w należytem oświeceniu, bo w świetle analizy i obszernej, źródłowej a ściślej znajomości rzeczy.

Tom rozpoczęła spuścizna literacka ś. p. profesora Wł. Łuszczkiewicza o romańskiej architekturze kościoła św. Andrzeja w Krakowie (o czem zdałem już sprawę w poprzednich moich tutaj relacjach) i rozjaśniła historję jednego z najciekawszych dzieł budowniczych naszej epoki romańskiej z XII wieku. Znaczenie stylu romańskiego w przeciwstawieniu do bizantyńskiego na ziemiach dawnej Polski, siłę oddziaływania wpływów Zachodu na Wschód i to właśnie w chwili wszechwładnego jego przenikania w objawach życia kulturalnego Polski Piastowskiej mierzy i ocenia praca pp. Mokłowskiego i Sokołowskiego

¹ »Sprawozdania Komisji do badania historji sztuki w Polsce«. T. VII, szp. 614 oraz CDIV z licznymi rycinami w tekście i tablicami.

z dziejów architektury cerkiewnej na Rusi Czerwonej. Kazimierz Mokłowski, którego śmierć przedwczesna jest dotkliwą stratą dla badań nad przeszłością naszego budownictwa, wydrukował nadto w omawianym tomie Sprawozdań cenną rozprawę o »Domach podcieniowych drewnianych w Polsce«, w której na podstawie zebranego, głównie na Czerwonej Rusi i Pokuciu materiału, dał nam charakterystykę tych domów budowanych na węgiel a starszych jego zdaniem od chat zagrodowych. Z przodu posiadają one podcienia słupowe najczęściej z gankiem, izby mieszkalne i wielką bramę wjazdową, a z tyłu stajnie i gospodarcze ubikacje. W tej samej materii zabiera głos p. Ludwik Puszet, znany autor »Studyum nad polskim budownictwem drewnianem I Chata« (Kraków 1903. Nakładem Akademii Umiej.) i z prawdziwym zapałem naprowadza na genezę tego rodzaju domu, wykazuje różnicę między chatą saską o ramowej budowie a naszym miejskim domem podcieniowym, który nie powstaje przez podział jednoizbowej hali, lecz albo przez łączenie dwóch odrębnych budynków w jedną całość, przez t. zw. »doklecanie« lub przez dostawienie ściany do okapu domu.

Do historii miast podkarpackich lub prowincjonalnych, ich budowl i urządzeń miejskich dostarczają obszernych wiadomości znakomicie opracowane przez pp. d-ra Fr. Bujaka i prof. M. Sokołowskiego: Materiały do historii m. Biecza. Starożytnego tego grodu kulturalne znaczenie zostało tutaj po raz pierwszy w umiejętny przedstawione sposób i nieznanymi dotychczas objaśnione wiadomościami. Ciekawego znów materiału rysowniczego dostarczył do znajomości zabytków architektonicznych m. Jarosławia dr. Jan Sas Zubrzycki. Objaśnienia jego są jednak niedostateczne a częstokroć błędne, znalazły też one w tym samym tomie doskonałego korektora w p. Ignacym Rychliku, który w dopełnieniach wiadomości o Jarosławiu sprostował nieuzasadnione twierdzenia p. Z. W rozprawie następnej p. Zubrzyckiego o kościołach i cmentarzach warownych w Polsce, rozprawie opracowanej wspólnie z prof. M. Sokołowskim znać przedewszystkiem przewagę i bystrość spostrzeżeń współpracownika i daje ona też więcej pozytywne rezultaty badań a na ogół korzystniej się przedstawia.

Ważnych przyczynków do historii budownictwa w Polsce dostarczyły również krótkie wiadomości pp. F. Bostla, St. Cerchy, Z. Hendla, M. Sokołowskiego, Ad. Szyszko-Bohusza i G. Worobjewa.

Jakimi szlakami szedł rozwój rzeźby naszej w XV i XVI wieku pouczyła nas rozprawa prof. Maryana Sokołowskiego, o której pisa-

liśmy już na tem miejscu. Nadto liczne objaśnienia i pomniejsze dysertacye rozsute w drugiej części tomu w t. zw. komunikatach pchają rzecz naprzód, zwłaszcza bardzo interesującym jest wywód prof. S. o nagrobkach dzieci i ich stosunku do trenów Jana Kochanowskiego i zasługuje na silniejsze podkreślenie. Uzupełniają dalej dział rzeźby krótkie, atoli dla poznania jej rozwoju w Polsce doniosłe komunikaty przedewszystkiem: p. Ludwika Puszcza o rzeźbionych w drzewie figurach Matki Boskiej w Krużlowej, Grybowie, Poznaniu, stiuku z XIV w. w Drogini przedstawiającego Pietę i o alabastrowych posążkach tak zwanej Matki Boskiej Jackowej. W sprawie tej skulptury rozwinęła się tutaj żywa a bardzo ciekawa polemika, wywołana komunikatem d-ra Władysława Łozińskiego (szp. CCCV oraz nast.) wniesiona na posiedzeniu Grona lwowskiego. Wbrew dawniejszym poglądom (Rocznik Tow. nauk. krak. z 1872, str. 76), które odnosiły ją do XIV wieku p. Łoziński przypisał posążkowi wiek późniejszy i datę powstania kładł na koniec XV lub początek XVI stulecia. Prof. Bołoz-Antoniewicz poszedł jeszcze dalej i widział w niej wpływy szkoły Stwoszowej a datę powstania naznaczał między lata 1517 t. j. chwilę rozpoczęcia procesu kanonizacyjnego św. Jacka a r. 1525. Tymczasem członkowie krakowskiej komisji oświadczyli się na podstawie charakterystycznych cech, zbliżających ją do rzeźby francuskiej z połowy XIV wieku jednoznacznie za pierwotną determinacją ś. p. prof. Władysława Łuszczkiewicza. Przy tej sposobności p. Julian Pagaczewski zestawił krytycznie statuetki t. zw. Matki Boskiej Jackowej, jakie się znajdują obok Lwowa, także w katedrze łacińskiej w Przemyślu i u Dominikanów w Krakowie a prof. Sokołowski uzupełnił te wiadomości porównawczo z zabawkami rzeźby francuskiej. Różnią się one zasadniczo od lwowskiej, obie siedzące z Dzieciątkiem Jezus na kolanach, w przeciwieństwie do lwowskiej, która stojąc trzyma na ręku Dzieciątko. Jakkolwiek obie siedzące, wyrzeźbione z jednakowego materiału, bo z alabastru i jednej są wielkości, to przecież odróżniają się ujęciem artystycznym; przemyska grupa pojęta rodzajowo pochodzi z początku XVI wieku, zaś krakowska z Madonną o typie polskim, gdzieś około 1583 powstała roku. Pewne między nimi powinowactwo nie zacierają znacznych stylistycznych różnic. Dla porównania Madonny Jackowej lwowskiej przytacza prof. M. Sokołowski statuetkę z kościoła św. Jana w Toruniu, tylko zauważyć musimy, że p. Józef Zieliński, który komisji fotografie nadesłał twierdzi, iż jest ona z terrakotty, zaś prof. M. Sokołowski przedstawia ją jako alabastrową a wiek jej na pierwszy dziesiątek

XV stulecia oznacza. Przyczynków do historii rzeźby krakowskiej dostarcza nadto dr. Józef Muczkowski, omawiając piękną figurę XV-to wieczną św. Barbary z kościoła Bożego Ciała dłuta nieznanego pierwszorzędnego mistrza na niemieckich kształconego wzorach, potem Madonnę z Dzieciątkiem z klasztoru OO. Augustyanów, wreszcie z jednego kamienia wykutą grupę: Pieta w kaplicy Najśw. Panny Bolesnej kościoła św. Barbary, dzieło z początku XVI w., na które już Pruszczyk w »Klejnotach m. Krakowa« zwracał uwagę, bo jak powiadał lud krakowski miał do niej wielkie nabożeństwo.

Gdybyśmy przejrzeni całe wydawnictwo komisji historii sztuki snadnie spostrzeżelibyśmy, że prawie kątem zamieszkały w niem badania nad dziejami malarstwa. Jakim to stało się sposobem, nie dociekamy ale stwierdzamy pod tym względem stanowczą zmianę na lepsze w tomie, o którym mówimy. Wiedzieliśmy, że zbiory petersburskie zawierają wielkie, niezbadane dotąd fachowo materiały wywiezione przed 100 laty z Polski i nagromadzone w tamtejszych bibliotekach i muzeach. Ich zawartość zbadał dopiero dr. Feliks Kopera, który przed kilku laty bawiąc dłuższy czas na studiach w Petersburgu, dotarł do nich i umiejętnie część ich znaczną opracował i następnie w Sprawozdaniach niniejszego tomu p. t. »Miniatury rękopisów polskiego pochodzenia w Bibliotece publicznej w Petersburgu« w 3 odrębnych częściach ogłosił. Zilustrował on je licznym a mozolnie zebranych zasobem fotografii. Nagle ujrzelibyśmy teraz niesłychanie ciekawy, poczynawszy od XI aż do XVII w., rozległy, chronologicznie uporządkowany skarbiec płodów artystycznych Polski. Szereg wspaniałych miniatur z najrzadszych kodeksów z po-benedyktyńskich i po-cysterskich klasztorów związanych najściślej z rozwojem cywilizacyjnym Polski z Piastowskiej i Jagiellońskiej epoki. Zdobyć to dla nauki polskiej pierwszorzędnego znaczenia. Najwspanialszą z miniatur opublikowanych, to wielka iluminowana kolorami karta pergaminowa z Biblii z XII w., zdobiąca Księgę Rodzaju. Widzimy na niej sceny odtworzone z dziejów stworzenia świata. Prześliczny rysunek mówi nam o nieznanym znakomitym mistrzu benedyktyńskiej celi. Artyzm jego zrodził się pod wpływem bizantyńskim i starochrześcijańskim i oparł się o wzory celtycko-karolingskie z czasów Fryderyka Barbarossy, jakie widzimy w starożytnem centrum sztuki niemieckiej w Hildesheimie. Znamienity ten kodeks znajdował się w XVI wieku w rękach Andrzeja Batorego, później przeszedł w posiadanie kolegium jezuickiego, następnie do Załuskich, wreszcie dostał się do Puław, skąd przewieziono go do Peters-

burga. Po pracach d-ra Kopery znaczenie pomników malarstwa miniaturowego na ziemiach Polski przedstawia się nam jaśniej i wiemy od-
tąd, że sięgało ono głęboko w nasze życie kulturalne, wiązało się
z niem i spełniało doniosłą rolę.

W kwestyi malarstwa miniaturowego obszerniejsza notatka profesora Sokołowskiego wyjaśnia, jak miniaturzyście Gradału katedry krakowskiej z r. około 1494 posłużyła do plastycznego przedstawienia: Sądu Salomona, obca rycina Franciszka Bocholta (czy Izraela van Meeckenen). Dawniejsi pisarze nasi domyślali się w miniaturze tej króla Kazimierza Jagiellończyka, siedzącego na majestacie. Że wpływ ryciny lub drzeworytu oddziaływał silnie na naszą sztukę i cywilizację i przetrwał do ostatnich czasów, poucza rozprawa tegoż autora p. t. »Drzeworytnictwo u nas«, w której pisze o drzeworytach ludowych, kołtryniarstwie (rodzaj drzeworytnictwa dekoracyjnego, tapety), w Polsce i kulturze ludu naszego. Liczne opisy obrazów malowanych temperą lub olejno, oraz wiadomości o artystach pomieszczone, na różnych miejscach i przez różnych autorów, jak. pp.: Antoniewicza, Batowskiego, Hendla, Kopere, ks. Kozickiego, Łozińskiego, ś. p. Łuszczkiewicza, Mycielskiego, Pagaczewskiego, Puszeza, Smolińskiego, Tomkowicza a skupione w jedną całość w indeksie, rozszerzają i pogłębiają nasz pogląd na całokształt dziejów malarstwa.

Ale to nie dosyć, bo nieprzebrane przyczynki odnoszące się do artystycznego przemysłu lub kulturalnych zjawisk iskrzą świeżością odkryć, dają prawdziwą kopalnię większych lub drobnych, zawsze charakterystycznych, zawsze pożądaných monografii. Takie rozprawy, jak d-ra F. Kopery: »Oprawa srebrna ewangeliarza z XII w., księżnej Anastazyi, żony Bolesława Kędzierzawego«, »oprawa książki Jana Długosza«; lub wspólnie z prof. M. Sokołowskim napisana rzecz o »mieczach poświęconych i ofiarowanych przez papieży królom polskim«, dalej d-ra Władysława Łozińskiego: »Ormiański epilog lwowskiej sztuki złotniczej«, p. Juliana Pagaczewskiego: »Mozaika z przedstawieniem N, Panny« w kościele św. Andrzeja w Krakowie (bizantyńska z XII w.), tegoż »Jasełka« w wymienionym co dopiero kościele, prof. M. Sokołowskiego rozliczne uzupełnienia i z niebywałą erudycją pisane komunikaty pogłębiają i rozszerzają naszą wiedzę. Pomniejszych, ale wielce ciekawych wiadomości dostarczyli następnie pp.: Helena d'Abancourt, M. Bersohn, A. Borawski, A. Brückner, ks. A. Brykczyński, St. Cercha, A. Chmiel, ks. K. Chodyński, L. Fournier, A. Janowski, dr. J. Kieszkowski, dr. K. Köhler, dr. Kutrzeba, H. Łopaciński, L. Le-

pszy, dr. F. Piekosiński, dr. K. Potkański, dr. J. Ptaśnik i dr. E. Świewkowski.

Szczere, głębokie uznanie należy się też redaktorowi tej publikacji prof. Maryanowi Sokołowskiemu, że umie jednać dla wspólnej pracy ludzi rozmaitych kierunków wiedzy i zachęcać ich do łączenia się przy jednym warsztacie celem tworzenia dziwnie pięknej zaiste budowy zjednoczonymi siłami. Praca wydaje owoc dojrzwały i wspaniały.

Zdawałoby się, że wobec znakomitego postępu nauki historii sztuki w Polsce, jaka dzięki blisko trzydziestoletnim usiłowaniom Akademii umiejętności oraz wielkiej pracy badawczej uczonych, równym krokiem za tymi wynikami podążają popularyzatorzy wiedzy. Czy tak jest, zobaczymy. Leżą przed nami trzy książki noszące tytuł »Historii sztuki«. Biorę z nich pierwszą z brzegu, p. Zubrzyckiego¹, krakowianina, najwięcej u nas reklamowaną i widniejącą za oknem każdej niemal księgarni. Bezimienne sprawozdania w krakowskich dziennikach codziennych, tudzież w »Architekcie«, którego Szan. autor był członkiem Redakcyi, głosiły bardzo pochlebne sądy, natomiast lwowskie i warszawskie pisma miażdżące pomieściły o niej oceny.

Nie mogąc pogodzić tak wprost przeciwnych sądów, zadałem sobie trud i przeczytałem książkę od deski do deski. Pozostał niesmak i znużenie, jakiego doznajemy po długiej podróży w pustkowiu, wśród chwastów i nieugoru.

Próżno będę się pytaniem pocóż i dla kogo napisał Szan. autor tak grubą, a tak mało interesującą książkę, skąd nabrał tej śmiałości, by podjąć zadanie do którego się zupełnie nie przygotował. Książkę wypełniły poglądy osobiste autora bez oglądania się na rezultaty badań naukowych, bez znajomości literatury przedmiotu. Punkt jego widzenia estetycznego, to ten nasz domorosły i bezkrytyczny z przed kilkudziesięciu co najmniej lat, a język, pożałuj Boże, skażony ortograficznymi i stylistycznymi błędami.

Ilustracje nieliczne, źle dobrane i źle odbite.

Bez porównania lepiej wywiązał się z zadania p. Doleżan². Młodzież nasza potrzebuje przewodnika w nauce historii sztuki. Podręczniki istniejące nie spełniają tego zadania z dwojakich względów, bo raz, że napisane były przez autorów, którzy sami historii sztuki nie

¹ Dr. Jan Sas Zubrzycki: »Zwięzła historia sztuki od najpierwszych jej zaczątków po czasy najnowsze«. Kraków 1904, w 8-ce, str. 421, ryc. 108.

² Wiktor Doleżan: »Historia sztuki«. Podręcznik do nauki szkolnej. Kraków 1904, w 8-ce, str. 344, nl. 18, ryc. 120.

umieli i kompilacyi swoich lub tłumaczeń i uzupełnień dokonali w zupełnie nieumiejętny sposób i dowodzący nieznamomości przedmiotu, powtóre brak im było tego, co stanowi całą podstawę i treść studyum t. j. należytego zasobu ilustracyi, podającego w wizerunkach zasadnicze formy w najgłówniejszych pomnikach sztuki. Do tego pewnika, że nauka historii sztuki bez ilustracyi jest mozołem próżnym i bezcelowym przyszli pedagogzy już dawno. Wyobrażenia jest zawodną, fantazya, oparta na gołem słowie, tworzy fałszywe wyobrażenia, prowadzi na błędne drogi. Podręcznik p. Doleżana nie jest bogato ilustrowany, zaledwo 120 klisz zdobi wydawnictwo, co jest choćby na najskromniejsze wymagania za mało, bo aczkolwiek przyznać trzeba, że ilustracye są dobrze wybrane, przecież nie są w stanie dać dostatecznego objaśnienia uczniowi i dopomóż mu w zrozumieniu głównych przejawów formy. Nadto ilustracye są źle odbite. Nazwisko p. Doleżana nie było nam dotąd znane, jest to jego pierwszy występ literacki — nie powiem naukowy, bo autor, jak z książki widać, nie był dostatecznie przygotowanym do jej napisania, ale odczuwał potrzebę, pragnął ułatwić swym uczniom naukę historii sztuki, więc bez głębszej znajomości przedmiotu na podstawie bardzo nielicznej dostępnej mu w tym zakresie literatury zacytowanej w przedmowie i na str. 144 skompilował dosyć szczęśliwie nowy podręcznik. Świadczy on w każdym razie o tem, że autor ma dosyć wrodzonego poczucia piękna i zmysłu literackiego. Wciągnął on w ogólne dzieje kształtu historię sztuki w Polsce oparłszy się głównie na tomie VI Rocznika krakowskiego publikacyi Towarzystwa miłośników historii i zabytków m. Krakowa, która w bogato ilustrowanej monografii »Kraków, jego kultura i sztuka«, pouczyła publiczność polską o skarbach sztuki w omszałych wiekami murach starożytnego grodu. Autor wskutek niedostatecznego obznajomienia się z przedmiotem popełnia niejednokrotnie błędy, rażące zwłaszcza tutaj, bo w podręczniku przeznaczonym dla młodzieży, np. »sgraffito uważa za ornament wyrzynany w murze, kamee nazywa kruszcami, emalię siatkową widzi w filigranach z kości, o miedziorycie powiada, że powstaje przez żłobienie igłą w połączeniu z wygrzyzaniem« i t. p.

Wreszcie mam do zanotowania wydawnictwo prof. Karola Wróblewskiego, dotyczące również całokształtu historii sztuki a chociaż jej tytuł¹ mniej obiecuje, daje więcej i trafniej, niż jego poprzednicy.

¹ Karol Wróblewski: »Zasady piękna w sztuce«. Architektura, rzeźba,

Praca to rzetelna szczerego odczucia formy i oryginalna. Celem jej, jak sam sz. autor w przedmowie powiada, jest naukowe wytłumaczenie zjawisk pięknych w dziedzinie trzech sztuk plastycznych. Logicznie wychodząc z tego założenia, oparł więc swoje dzieło na filozoficznej podstawie. W pierwszej części ogólnej rozwinął naukę o pięknie, o sztuce i twórczości. W części drugiej usiłował wnikać w istotę, cele i granice architektury, rzeźby i malarstwa, wydobywał i zszeregował te znamiona, które zdały mu się najbardziej charakteryzujące przedmiot, przelał w tę książkę część własnej duszy, świat własnych pojęć, które dały jej życie i uczyniły oryginalną. Książka zasługuje ze wszechmiar na pochwałę i każdego, ktokolwiek pragnie zaznajomić się z zasadami piękna w sztuce, wygłoszonymi popularnie i z wielkim odczuciem zadań sztuki, oraz ktokolwiek pragnie pouczyć się o historycznych przejawach form pięknych, niechaj weźmie dziełko p. Wróblewskiego i przeczyta je z uwagą a z pewnością z wielką korzyścią dla siebie z bogaci swą wiedzę. Słabszą stroną książki jest dział historii sztuki w Polsce, jedynie tylko zabytki Krakowa zostały w niej należycie uwzględnione, natomiast wszystko, co wychodzi poza mury tego miasta, rozplywa się w ogólnikach i niedostatecznie jest przedstawione. A pochodzi to stąd, iż autor czerpał z drugiej ręki i nie sięgnął do najważniejszych publikacji polskich, dotyczących przedmiotu, jak przedewszystkiem do »Sprawozdań komisji do badania historii sztuki«, wydawnictw Grona konserwatorów galicyjskich, Towarzystwa miłośników historii i zabytków m. Krakowa (sz. autor zna jeden tylko tom), prac naukowych pp. Sokołowskiego, Łuszczkiewicza, Łozińskiego, Przeździeckiego, Kopery, Kohtego, Ehrenberga, Marcconiego, Demetrykiewicza i t. p. To jest też powodem, iż obraz zwłaszcza historii budownictwa w Polsce jest niezupełny i wykazuje rażące braki lub błędne informacje, jak o katedrze płockiej rzekomo najcharakterystyczniejszej budowie romańskiej (*sic*). Twierdzenie szan. autora w przedmowie, iż »historia sztuki już się dziś przeżywa« nie usprawiedliwi go tem bardziej, że nie jest ono zupełnie przekonywującym. Znaczyłoby to, iż twórczość artystów już się wyczerpała, a ludzkość zamknęła ostatnią kartę w rozwoju sztuki; z drugiej strony co do jej przeszłości stwierdzić należy, że do zupełnego zgłębienia dziejów sztuki jeszcze bardzo a bardzo wiele pozostaje do zrobienia. Każdy historyk

sztuki, który dotknął się nieco tylko głębiej swego przedmiotu wie dobrze, jak nam ogromnie dużo brakuje do zupełnej jego znajomości, na jakie niespodzianki i odkrycia coraz to nowe natrafia się przy choćby powierzchownem badaniu. Ograniczeniem literatury sz. autor ułatwił sobie zadanie, lecz rzeczy nie pogłębił, ale mimo to dał nam książkę bardzo pożyteczną, bardzo na czasie, z niepowszednim napisaną talentem pisarskim i z wielkiem zrozumieniem tej pięknej acz trudnej wiedzy.

Leonard Lepszy.

Teka grona konserwatorów Galicyi Zachodniej. Tom II z 258 ilustracyami w cynkotypii, 3 w światłodruku i 3 tablicami w heliografurze. Kraków. Nakładem Grona Konserwatorów Galicyi Zachodniej. 1906. Str. 558 in folio.

Czas pożera wszystko: marmur kruszeje, żelazo rdza pożera, gmachy płoną lub rozpadają się w gruzy, jak kampanila wenecka. Zostaje po nich żal, lecz i ten wietrzeje; zostaje pamięć jeśli ją zbożne dłonie ująć w słowa i spisać umiały. To dla potomnych. Ale i dla współczesnych potrzebnem jest przypomnienie a często i uświadomienie o pięknych rzeczach, które mają w pobliżu, na własnej ziemi, a które pomijają szukając na obczyźnie piękności. »Gdyby to, co mamy w Bieczu i w Haliczu — mówił raz znawca po raz pierwszy zwiedzający te strony — było w rękach Włochów, umieliby zrobić około tych pomników reklamę ściągającą ludzi z daleka!« Toż samo można śmiało powiedzieć o Krakowie i jego okolicach pełnych wspomnień, pełnych pamiątek i śladów dawnej kultury i sztuki, których nie zdołały jeszcze zatrzeć starość i nieumiejętne przeróbki. Z tymi dwoma wrogami (drugi groźniejszy od pierwszego) prowadzi niezmordowaną a czasem bardzo ciężką walkę grono konserwatorów, walkę z żywiołami i niestety zbyt często z ludźmi dobrej woli, ale złego smaku. Działalność ich wszakże znojna a bezinteresowna nie ogranicza się na bojowaniu o zachowanie pomników. Do tej zasługi dodają drugą: katalogowanie, opisanie i odrysowanie wszystkiego, co posiada artystyczne lub historyczne znaczenie. W tym roku drugi już tom wyszedł z pod tych pracowitych rąk, tom ogromny, poświęcony głównie powiatowi krakowskiemu. Na komitet redakcyjny złożyły się trzy nazwiska: PP. dr. St. Tomkowicz, Krzyżanowski i Lepszy, nie licząc wymienionych w przedmowie współpracowników, którzy mozolnem zdejmowaniem planów, fotografowaniem, spisywaniem dat i wiadomości kronikarskich lub tradycyjnych, przy-

czynili się do uzupełnienia dzieła. Ów poseł do Sejmu, który mówił, że »nie lubi Krakowa i jego okolic, bo tu niema wspomnień historycznych«¹, zdumiałby się, widząc wielki snop kłosów, jaki intelligentna a usilna praca umiała zebrać, na tej pustej według niego ścierni. Autor opisu dr. Tomkowicz, obrał formę alfabetyczną zaczynając np. przez opis Batowic, a kończąc na Zwierzyńcu. System ten ma swoje wady; utrudnia bowiem czytającemu zdanie sobie sprawy z całości obrazu, którego poszczególne części przedstawiają się luźnie; ma jednak i wielkie zalety, a mianowicie łatwość znalezienia w książce żądanej miejscowości, niemniej jak możność dla autora dodania ewentualnie później, jakichś nowo odkrytych szczegółów. Te zaś zawsze znaleźć się mogą, gdyż niepodobna jednemu zwiedzić wszystkie kąty, a tem mniej od ludzi — zazwyczaj czem innem zajętych — wszystkich wiadomości zasięgnąć². Zda się wszakże, iż tego coby tu mogło brakować, będzie bardzo nie wiele, zwłaszcza na głównych punktach, jak Bielany, Mogiła, Ruszcza, Zwierzyniec i t. p., które są wyczerpane chyba do głębi. Opis każdej miejscowości opatrzone jest wiadomością historyczną, na dokumentach opartą, oraz rycinami, z których niejednen mieszkaniec dworu lub wioski dowie się dopiero, obok jak cennych rzeczy obojętnie codzień przechodził.

Ogół książki robi wszakże smutne wrażenie: wzrok błąka się po tych pięknych odrzwiach, gzemсах, grobowcach i zczerniałych obrazach w pośród otoczenia nowszego i banalniejszego rozsianych i usiłuje dawną całość w myśli odtworzyć. Podobnie na twarzy sędziwej kobiety, która dużo cierpiała, szuka się śladów piękności i choć się jakiś odnajdzie trudno uwierzyć, iż była niegdyś podobną do starego portretu. Piękną była niegdyś nasza Ziemia Krakowska, piękna nie tylko mnogością gajów dębowych i stawów, ale liczbą, kształtem i artystyczną ozdobnością swych gmachów — przeważnie pobożnych. W Polsce, podobnie trochę, jak w Egipcie, wspaniałość ludzka objawiała się głównie w świątyniach: były u nas rody, które wznosiły kościoły bez końca, a prawie nie pomyślały o postawieniu dachu nad własną głową... Dziś niestety gaje wycięto, wysuszono stawy, a budynki w znacznej części poprzzerabiano tak, iż z dawnej całości pozostały tylko szczątki.

¹ Powiedzenie mimo swej potworności prawdziwe — na własne uszy słyszane.

² O krytykę zawsze łatwo, ale o dokładne informacje u ludzi miejscowych bardzo trudno.

Lecz i te są drogie, bo prócz wspomnienia mieszczą w sobie wzory i pobudkę do pracy nowszych pokoleń. Cześć tym, którzy je wydobywają z ukrycia i każą drugim poznawać, ukochać i chronić.

Opisy powiatu krakowskiego pióra d-ra Tomkowicza zajmują 318 stron in folio obszernej Teki. W ślad za nimi widnieje przez p. Leonarda Lepszego skreślony opisowy katalog Muzeum dyecezanego w Tarnowie, założonego w r. 1888 staraniem dzisiejszego rektora Seminarium, ks. kanonika Józefa Bąby. Czcigodny ten kapłan ulitował się nad drobniejszymi starymi zabytkami, pleśniąjącymi po ubogich parafiach i umyślił dać im przytułek. Rzecz udała się znakomicie, bo do nowego Muzeum jeły wnet napływać starożytnie aparaty kościelne, obrazy, tryptyki i przeróżne sprzęty, tak, iż czytając ich spis trudno pojąć, że zostały w tak krótkim czasie zebrane. Dodać należy, że piękniejsze a bardziej zniszczone malowidła zostały restaurowane i to pędzlem niepoślednich artystów... Muzeum tarnowskie można piękną rokować przyszłość i należy mu jej gorąco życzyć — o ile zbierane w nim przedmioty cierpiały na poprzednim, wadliwym umieszczeniu. W naszych czasach atoli panuje taki prąd kolektywizmu, iż trzeba przestrzegać, aby kościoły mogące bez szwanku przechowywać stare obrazy i hafty nie ogałacano dla zebrania ich do jednego mianownika, do bezosobowego, chłodnego właściciela, jakim jest każde muzeum. Być może, iż dzieła mistrzów rozsiane po weneckich kościołach zyskałyby na zgromadzeniu ich w osobnym gmachu, ale kościoły stanowczoby na tem straciły. Toż samo i u nas: niech tam gdzie jest proboszcz światły i porządny kościelny, ornaty i kapy służą na chwałę Bożą, na którą je przeznaczili ongi ofiarodawcy, a niech te tylko, które są w niebezpieczeństwie, przyciągnie muzeum tarnowskie.

W dalszym ciągu »Teki« p. Adam Chmiel, podaje illustrowaną rozprawkę o średniowiecznych rzeźbionych kaflach, znalezionych w Oświęcimiu przy kopaniu w r. 1900 fundamentów pod dom księży Salezjanów, a dzięki prof. Odrzywolskiemu zachowanych po części w tworzącem się Muzeum narodowem, a po części w gabinecie archeologicznym uniwersytetu w Krakowie. Kafle te przedstawiające w płaskorzeźbie różne obrazki np. polowanie, postać świętego i t. p. pochodzą z zameczku Wołek, gdzie pono podobnych szczątków znajdowało się więcej. Dobrze, iż choć te udało się ocalić, bo sądząc z rycin, muszą być bardzo ładną i ciekawą próbką średniowiecznych wyrobów garncarskich.

Po kaflach mamy szczegółowy i bardzo fachowy opis wieży Ma-

ryackiej i prac spowodowanych jej restauracją — autorem tego artykułu jest dr. Zubrzycki, który tekst swój uzupełnił wielką ilością rycin, wymiarów i planów.

Po wieży następują wyciągi z protokołów posiedzeń Głównego Konserwatorów, świadczące same przez się o rozmiarach i usilności pracy tych miłośników kraju i piękna, a w końcu — jeden z wybitnych dowodów tej pracy: katalog abecedowy nazw ludzi, miejscowości i przedmiotów opisanych lub wymienionych w »Tece«. Jest to istotnie nie jeden, ale kilka katalogów zajmujących około 100 stronnic, dzieło benedyktyńskiej cierpliwości i inteligentnego trudu p. Władysława Podlasy. Katalog alfabetyczny — rzecz wydaje się prosta, ale niech go kto z długiego dzieła wypisać spróbuje! W tym wypadku ów katalog jest istotną koroną »Teki«, bo dzięki jemu każdy może się zorientować od razu i wyszukać — nie tylko nazwę miejscowości, bo tę dzięki systemowi d-ra Tomkowicza nawet i bez spisu znaleźć można — ale rodzaj zabytków, które go osobiście zajmują, oraz miejscowość lub człowieka, do których się poszczególne przedmioty odnoszą. Za wszystko razem każdemu z pracowników serdeczne »Bóg zapłać!«, a na przyszłość równie serdecznie i równie gorące: »Szczęść Boże!«

T. Wodzicka.

Casus conscientiae in praecipuas quaestiones theologiae moralis.

Proposuit et solvit dr. *Carolus Szczeklik*, theol. mor. in Semin. Tarnov. prof. ord. Tarnoviae. Sumptibus auctoris, typis Josephi Styrna. 1906.

»Tyle zagadnień w dziedzinie teologii moralnej nierozwiązanych, a teologowie niektórzy jeszcze się kazuistyką zajmują« — tak wyrzekł niedawno jeden ze zwolenników nowej szkoły. Odpowiedź na takie oświadczenie jest ta: Tyle zagadnień w medycynie dotąd nierozwiązanych, a lekarz, miasto zajmować się badaniem istoty chorób i istoty lekarskich środków, jeszcze się praktyce oddaje. Żle chyba robi nasz *Przegląd lekarski*, stawiając wniosek, by medyk po złożonym egzaminie lekarskim, zanim otrzyma dyplom, upoważniający go do leczenia, odbył jeszcze praktyczny kurs w jakimś wzorowym zakładzie leczniczym. A kurs prawa cywilnego lub kościelnego teoretycznie może i z chlubą skończony, dając on niewątpliwą rękojmę, że sędzia, adwokat czy notaryusz, w stosowaniu paragrafów nigdy się nie pomyli? Owóż czem są kursa praktyczne w innych umiejętnościach, tem kazuistyka w teologii moralnej. Najznakomitszy teolog, pod względem teoryi

wszechstronnie wykształcony, obeznany dokładnie z odnośną literaturą, ileż może zamętu wywołać w duszy, ile spaczyć i wywrócić sumień, jeśli w swym zawodzie nie posiada praktycznego wyrobienia! Ileż do-
brych lub czysto obojętnych objawów ludzkiego serca włoży na rachunek grzechu, a z drugiej strony ile istotnych grzechów płazem pu-
ści lub co gorsza za czyn moralny poczyta? Potrzeba więc spowiedni-
kowi praktyki. A gdzież jej nabyć? *Usus te plura docebit*, powtarza się często. Lecz czy właściwym terenem tego *usus* jest konfesyonał? Bez wątpienia konfesyonał i dopiero konfesyonał wyrabia prawdziwie doświadczonych kierowników dusz. Ale nie czerpiąc doświadczenia skądinąd, iść po takowe do konfesyonału i tu uczyć się praktyki na sumieniach ludzkich, to zakrawałoby na on przysłowiowy eksperyment *in anima vili*. Zresztą spowiedź to sprawa wyłącznie między spowiednikiem a penitentem, tu już nikt i nic, chyba nadzwyczajna Opatrzność Boża pokieruje spowiednikiem. W tej praktyce niema człowiek obok siebie mecenasa, do którego mógłby się w wątpliwości zwrócić, jak to się dzieje w praktyce sądowej czy adwokackiej. A przeto *usus* mógłby tu przejść w *abusus*. I stąd niema innego sposobu do praktycznego wyrobienia się na dobrego spowiednika, jak zapomocą t. zw. kazuśów, podawanych w czasie teoretycznych wykładów teologii moralnej, tudzież przez czytanie i studyowanie prywatne odpowiednich dzieł kazuistyk.

Mamy pod ręką takie dzieło *Cusus conscientiae*, ks. d-ra K. Szczeklika, prof. zwycz. teologii moralnej przy tarnowskiem seminaryum. Obejmuje ono tylko te działy, które ściśle wchodzą w zakres teologii moralnej, a więc z wykluczeniem takich materji, jak o Sakramentach, cenzurach i t. d.

Pierwszą zaletą książki jest to, że podaje wypadki proste i niezawikłane, podobnie jak *Cusus conscientiae* Gurego, Génicot'a, Elbla. Doświadczenie uczy, że wypadki zbyt skomplikowane wcale się nie nadają ani do wprawienia młodych w praktyczne myślenie, ani do wyrobienia wogóle praktycznego zmysłu, owszem przywodzą często do małoduszności, do jakiegoś lęku czy zniechęcenia. Prawda, że w życiu ludzkim częściej może, niżby się początkującemu zdawało, zachodzą wypadki zawiłe, bo *conscientia hominis abyssus multa*; ale i w tych razach powikłaną właściwie jest tylko całość, podczas gdy pojedyncze elementy tejsze są zwykłemi wydarzeniami, których rozwiązanie nie robi tak wielkich trudności i cała sztuka wyjścia z pozornej matni leży tylko w tem, żeby umieć przeprowadzić w całości analizę i wy-

dzielić z niej te odrębne elementy. Proste wypadki i to jeszcze mają za sobą, że zwolna i stopniowo uzdalniają alumna do rozwiązywania trudniejszych.

Druga zaleta to aktualność. Nie są to wypadki zaczerpnięte ze sfery spekulacji, ale jakby wczorajsze zdarzenia, zaszłe gdzieś blisko obok nas. Kto z dziełka ks. Szczeklika parę przerzuci kartek, powie sobie od razu: »Istotnie, to wszystko zdarza się między ludźmi, między naszymi, sam nieraz byłem świadkiem podobnych zajść«. Bo też nieraz czytamy po książkach tego rodzaju kazusy, które swą treścią i formą przypominają raczej matematyczne formułki, niż dzieje ludzkiego sumienia.

Aktualność tę podnosi jeszcze ta okoliczność, że przedstawione wypadki zarysowują się na tle naszego polskiego życia, naszych stosunków, zwyczajów, nawyków i potrzeb duchownych. Wprawdzie natura ludzka wszędzie jedna i ta sama, i cnota i grzech w swej ogólnej istocie nie inne u Polaka jak u Francuza lub Niemca; jednakże człowiek w odmiennych konkretnych warunkach, w innem otoczeniu i jakby w innem środowisku, ulega dobrym i złym wpływom tegoż także i pod względem duchowym i moralnym tak dalece, że dusza jednostki w jasnych i ciemnych swych stronach jest żywym odbiciem społeczeństwa czy narodu. Stąd też kazuista, chcąc być praktycznym, musi uwzględnić ten ważny punkt, t. j. musi brać wypadki z życia tego społeczeństwa, wśród którego czytający, względnie uczący się pracuje lub pracować będzie. I tu zaznaczyć trzeba, że jak Szanowny Autor tę właśnie myśl za cel sobie wytknął, tak też cel swój w zupełności osiągnął.

Sam sposób przedstawienia rzeczy jest jasny i przejrzysty. Są trafny a stanowczy, choć daleki od przesadnego rygoryzmu. Z drugiej strony niema tu miejsca zbyt, źle zrozumiana pobłażliwość. W pojedynczych wypadkach, można mieć zdanie odmienne — ale różnica zdań w rzeczach niezasadniczych i spornych jest często pożądaną dla samego wyjaśnienia kwestyi.

Podręczniki kazuistyczne chybiamy często wskutek pewnego, że tak powiem, szablonu. Tu grzech ciężki, tam powszedni, tam żadnego — i na tem koniec. A jakież stąd wynik? Ten, że uczeń lub początkujący spowiednik łatwo urojony kazus i rozwiązanie autora przenosi żywcem w dziedzinę praktyki i stosuje je do konkretnego wydarzenia, w którym się dopatruje pewnej analogii czy tożsamości, nie zwracając baczej uwagi na zewnętrzne i wewnętrzne warunki danej osoby. A przecież

spowiednik jest nie tylko sędzią, wyrokującym na podstawie prawa o przestępstwie, lecz i lekarzem zarazem, który ma dobrać trafny środek na zagojenie rany lub trafne antidotum przeciw grożącej chorobie na nowo. On jest też, w ścisłym tego słowa znaczeniu, przewodnikiem duszy na drodze chrześcijańskiego życia. Żeby tedy przedmiotowy wydać wyrok, żeby odpowiednie przepisać lekarstwo, żeby bezpiecznie pokierować, musi spowiednik znać wysmieniecie konkretne warunki postępów swego penitenta. I tu jest odpowiedź, czemu w podręczniku kazuistycznym szukamy kasusów praktycznych. W tym względzie celuje Génicot, który w porównaniu z innymi nieraz wślawionymi autorami, jest prawie niedościgłym. Na pierwszy rzut oka wpada ci w oczy nie tylko mąż nauki, ale i wytrawny znawca serc ludzkich. Tę właściwość znajdujemy również u autora w pracy, którą oceniamy. Nie tylko przedstawia ściśle okolicznościami określone wypadki, ale też ponadto poucza wybornie, czego się trzymać, żeby się dobrać do istoty rzeczy, jakie penitentowi nasuwać pytania, jak mu ułatwić szczere wyznanie winy, żeby należycie grzech ocenić i o nim zawyroковать i jakie wreszcie wskazać mu środki, by go od ponownego upadku uchronić.

Z szczerem tedy zadowoleniem i wdzięcznością dla Autora wamy jego pracę i gorąco ją wszystkim, zwłaszcza młodym teologom polecamy. Gdy z uwagą odczytają odpowiednie do wykładu kazusy z dzieła ks. d-ra Szczeklika, wielką bez wątpienia odniosą korzyść dla przyszłej swej pracy duszpasterskiej.

Mielibyśmy jedno życzenie, mianowicie: żeby autor w następnym wydaniu pomnożył swoje dzieło, na wzór innych autorów, kasusami z zakresu Sakramentów, zwłaszcza o pokucie i z partyi o karach kościelnych. Chociaż bowiem te przedmioty, według przyjętego u nas systemu zaliczają się powszechnie do innych działów teologii, niema jednak wątpliwości, że pomiędzy kasusami przeróżnych działów, choćby z samego względu na ich cel i użytek, ścisła zachodzi łączność.

Wkońcu ośmielamy się podnieść jedną myśl, która — zdaniem naszym — bez zbytnich trudów i wysiłków w czyn wprowadziłby się dała. Przy egzaminach *ad ordines suscipiendos* i do otrzymania aprobaty, tudzież w pracach kandydatów *ad obtinendum beneficium* wymaga się zwykle rozwiązania jakiegoś wypadku z zakresu teologii moralnej. Po naszych kościelnych czasopismach trafiaamy często *casus conscientiae*; na kongregacjach dekanalnych wypracowuje się aktualne zagadnienia z moralnej teologii: we wielu zakonnych zgromadzeniach odbywają się w tej mierze dyskusye od czasu do czasu. Otóż łatwo wybrać z tego

co lepsze, zebrać razem i systematycznie kontynuować, jako *Collectanea casuum conscientiae*, jak to się praktykuje w niektórych dyecezyach zagranicą, np. w Belgii lub w Rzymie w Kolegium św. Apolinarego. Korzyść z tego byłaby niezmierna. Bo nasamprzód obudzi się większe zainteresowanie się tą nauką, pozna się lepiej niedostatki nasze i potrzeby naszego społeczeństwa, a wiele kwestyi moralnych, »dotąd nierozstrzygniętych« znajdzie swe rozwiązanie. Doskonały początek dał nam ks. dr. Szczeklik.

Ks. R. Kudasiewicz.

Z piśmiennictw obcych.

Die Lehre des hl. Paulus von der natürlichen Gotteserkenntnis und dem natürlichen Sittengesetz. Eine biblisch-dogmatische Studie von *dr. Joseph Quirnbach*. (Strassb. theol. Studien. Bd. VII. Heft 4). Freiburg, Herder 1906. Str. X, 93.

Die Persönlichkeit Gottes und ihre modernen Gegner. Eine apologetische Studie von *dr. Josue Uhlmann*. (Strassb. theol. Studien. Bd. VIII. Heft 1 & 2). Freiburg, Herder 1906. Str. XII, 237.

»Niezbędnym pierwiastkiem i zasadniczą podstawą życia duszy, powiada już na początku III wieku chrześcijański filozof i Ojciec Kościoła, Klemens z Aleksandryi, jest znajomość Boga. Nieznać Boga — to śmierć duszy, poznawać zaś jego wieczność, nieskończoność, potęgę, jedność i za pomocą tego poznawania do Boga się zbliżać — oto fundament wszelakiej wiedzy, dla naszego życia pożytecznej«. Prawda ta nie przebrzmiała dotąd w sferze myśli ludzkiej, choć ujętej w kleszcze jednostronnej filozofii, która nie przyznaje racyi bytu wierze i wyrokuje o rozdzwieku między wiarą a wiedzą. Instynkt samozachowawczy duszy wciąż prze ją do szukania Boga, a szerokie panowanie monizmu w dzisiejszym świecie naukowym jest jaskrawym wyrazem tej tendencji umysłu ludzkiego. Bóg osobowy, którego niezależna filozofia niechce uznać, zastąpionym bywa surogatem jakiegoś absolutu nieosobowego, mającego zaspokoić żądzę niezmiennej, wiecznej prawdy a przytem uwolnić od przykrych dla wybujałego indywidualizmu konsekwencji, które wypływają z pojęcia Stwórcy świata i Sędziego ludzkości. Bóg osobowy jest według modernistycznej filozofii co najwyżej postulatem religijnego uczucia, którego wiedza uzasadnić nie zdoła.

Nauka zna wyłącznie nieosobowego Boga, jakiś absolut, będący ostatnią racją wszechświata. Wobec tego stanu rzeczy prawda o osobowości Boga, stanowiąca podstawowy temat dogmatyki czyli chrześcijańskiej nauki wiary, jest dzisiaj najbardziej aktualną kwestią w umysłowej walce między wierzącą a niewierzącą filozofią. A nie jest to bynajmniej kwestya czysto teoretycznej natury, bo osobowego Boga domaga się nie tylko teologia jako wiedza, ale sama religia i Kościół, owszem nawet moralność sama, a zatem cała nasza egzystencja duchowa.

Wobec tego z radością powitać należy ostatnie rozprawy naukowe »Teologicznych studyów, wydanych przez d-ra A. Ehrharda i d-ra E. Müllera, profesorów uniwersytetu strassburskiego«. Zawierają one studyum egzegetyczno-dogmatyczne d-ra Quirmbacha p. t.: »Nauka św. Pawła o naturalnem poznaniu Boga i o naturalnem prawie obywatelstwie«, oraz studyum apologetyczne d-ra Uhlmann'a p. t.: »Osobowość Boga i nowocześni jej przeciwnicy«. Przypatrzmy się bliżej naukowej wartości tych prac.

I. Kwestya naturalnego poznania Boga i łączącego się z tem naturalnego prawa moralnego dotyczy przede wszystkim pogan, pozbawionych światła nadprzyrodzonego Objawienia. Z natury rzeczy »Apostoł pogan«, św. Paweł, musiał wypowiedzieć tu zdanie i tem się tłumaczy, że właśnie jego nauka stała się przedmiotem osobnej monografii. Temat nie przedstawia zbyt trudności i nie wymaga rozległych badań, bo na pięciu tekstach¹ wyczerpują się źródła całego studyum.

Św. Paweł stwierdza nie tylko możliwość, ale i fakt naturalnej znajomości Boga wśród pogan. Treścią tego rozumowego poznania Boga jest Jego wszechmoc i najwyższy majestat (Rzym 1, 20), Jego nieskończona miłość i dobroć, objawiająca się w niezliczonych dobrodziejstwach i darach natury, oraz nieskończona Jego mądrość, o jakiej świadczą ład i celowość w przyrodzie (Dz. Ap. 14, 15—17), nareszcie Jego osobowość i godność jako Stwórcy świata (Dz. Ap. 17, 28—29). Poznanie to nie jest oczywiście widzeniem Boga »twarzą w twarz«, lecz wnioskowaniem rozumu, prowadzącem do znajomości Boga zapomocą poznania stworzeń, »przez zwierciadło, pod zasłoną«, jak się wyraża św. Paweł (1 Kor. 13, 12). Natomiast niedoskonałość

¹ Dz. Ap. 14, 15—17 i 17, 26—30; 1 Kor. 13, 12; Rzym. 1, 18—32
2, 14—15.

tego rozumowego poznania Boga nie wyklucza bynajmniej oczywistości i pewności, ani nie uwalnia od obowiązku »szukania Boga«, będącego według św. Pawła pierwszym i najważniejszym zadaniem człowieka na ziemi (Dz. Ap. 17, 27—28).

Nieznajomość Boga u pogan, o której św. Paweł tu i ówdzie wspomina, jest w pierwszym rzędzie natury praktycznej, »gdyż poznawszy Boga nie chwalili Go jako Boga, ani mu dziękowali, ale znikczemnieli w myślach swoich i zaciężone jest bezrozumne serce ich... i odmienili chwałę nieśmiertelnego Boga w podobieństwo obrazu człowieka śmiertelnego i ptaków i czworonożnych zwierząt i węzów« (Rzym. 1, 21—22). Że zaś wobec bałwochwalstwa w praktyce może ostać się jasne poznanie jednego, prawdziwego Boga, o tem świadczy historia ludu Izraelskiego. Nieznajomość Boga u pogan może mieć poniekąd także cechy teoretycznej niewiedomości, gdyż niemal wszyscy poganie zaniechali pracować nad wyzwoleniem się z więzów zmysłowości i nie myśleli podnieść się siłą umysłowej pracy do jasnego poznania Boga. Nie wymaga św. Paweł od pogan poznania, opartego na naukowem badaniu, gdyż taka znajomość Boga może być wyłącznie przywilejem stosunkowo niewielu, ale żąda tej znajomości, jaką każdy o Bogu łatwo i bez trudu może osiągnąć, mianowicie owego elementarnego poznania Boga, które jako naturalna spuścizna ludzkiego ducha rozwija się w umyśle mimochodem, prawie nieświadomie i z pewną koniecznością natury. Stąd mówi o »zatrzymywaniu«, gnębieniu prawdy Bożej (Rzym. 1, 18), której jednak człowiek pozbyć się całkowicie nie może.

Podaliśmy umyślnie streszczenie wyników badania, do jakich doszedł autor, bo przejawia się tu wielki umysł filozoficzny i psychologiczna znajomość dusz, cechująca apostoła narodów.

Na końcu pierwszej części autor zestawia naukę Soboru Watykańskiego z nauką św. Pawła. Wszystkie szczegóły określenia Soboru zawierają się w nauce św. Pawła, ale nie cała doktryna apostoła została określona. Zestawienie to, oraz przeciwstawienie nauki św. Pawła dogmatycznym błędom tradycjonalistów, ontologistów i reformatorów XVI w. podnosi wielce dogmatyczną wartość tego studyum.

Nauka św. Pawła o naturalnem prawie obyczajowem opiera się wyłącznie na Rzym: 2, 14—15. Autor w egzegezie tego tekstu idzie za naturalnem znaczeniem słów i wydaje sąd samodzielny, nacechowany dojrzałym zrozumieniem filologicznym. Św. Paweł mówi o fakcie

zachowania prawa naturalnego wśród pogan, nie wchodząc w to, czy wielu, czy mało je zachowuje, ani czy zachowują całe prawo, czy tylko pewne przepisy, ani nareszcie, czy wsparci są łaską, czy nie. Twierdzi apostoł w przeciwstawieniu do prawa Mojżeszowego, że i poganie mają prawo, »sami sobie będąc z a k o n e m« i dla udowodnienia tej tezy odwołuje się na świadectwo sumienia, tudzież na fakt doświadczalny, że poganie osądzają uczynki innych według normy obyczajowej. Uzasadnia autor ten sposób komentowania na podstawie rzeczowych i gramatycznych racyi, dając tak zadawalniający sens wierszowi 15, który tłumaczono przeważnie o wzajemnem oskarżaniu się myśli w człowieku. Treścią naturalnego prawa moralnego w myśl św. Pawła jest w istotnych punktach dekalog. Z poznaniem tego prawa łączy się poznanie sankcyi (Rzym. 1, 32), którą poganie powinni byli odnieść do Boga i w rzeczywistości też odnosili.

Wobec tego zapatrywania autora dziwnem wydaje się zdanie jego, wypowiedziane na str. 54: »Co się tyczy sumienia, czyli naturalnego prawa moralnego, św. Paweł nigdzie nie zaznacza wyraźnie, że powinno, lub że może być środkiem prawdziwej znajomości Boga«. W tej także części uwzględnione zostały dogmatyczne błędy heretyków i odrębne tłumaczenia teologów. Nie ominął autor i rezultatów przychylnych nauce św. Pawła, do których doprowadziły badania nad religią starożytnych ludów kulturalnych, oraz studia porównawcze nad religiami pogańskich szczepów. Dzięki temu książka nosi na sobie cechy apologetyczne.

Możnaby autorowi uczynić zarzut, że bez dowodu, a nawet bez bliższego objaśnienia przypuszcza na wstępie swej pracy, iż poganie posiadający jeszcze ślady jakiegoś pierwotnego Objawienia mogą być stawieni na równi z poganami bez Objawienia wogóle. Trudno się zgodzić na to przypuszczenie, zwłaszcza, że nie brak teologów, którzy ten ślad pierwotnego objawienia uważają, nie bez podstawy, za czynnik zbawienia u pogan. Dalszem tylko następstwem tej metody autora jest niedostateczne uwzględnienie nauki tradycjonalistycznej.

Szczególnie należy jeszcze podnieść, że autor ze swobodnem przedstawieniem rzeczy umiał łączyć nadzwyczajną jasność i siłę w dowodzeniu.

II. Ze względu na dopiero co wymienione zalety jasnego i przejrzystego układu odbija od pracy d-ra Quirmbacha obszerne i gruntowne studyum d-ra Uhlmann'a. Trzeba tu jednak dla sprawiedliwej

oceny uwzględnić trudność przedmiotu, który autor obrał za temat monografii. Dr. Quirnbach traktował tylko o naturalnem poznaniu Boga i to wyłącznie na podstawie nauki św. Pawła; w obecnej zaś książce chodzi o filozoficzno-teologiczny rozbiór dowodów za istnieniem osobowego Boga z uwzględnieniem zarzutów nowoczesnych przeciwników. Takich zaś jest legion, a tem samem rośnie zawiłość zagadnienia. To też nie dziw, że autor w tej książce rozprawia się wyłącznie z monizmem w głównych swoich przejawach i zachowuje sobie na później poszczególne monografie, skierowane przeciw dualizmowi i satanizmowi, oraz pracę osobną nad wyświehleniem stosunku osobowego Boga do zła w życiu obecnem i pozagrobowem. Teza, stanowiąca treść rozprawy, krótko tak daje się sformułować: Teizm z podstawowym swym postulatem osobowego Boga może wyłącznie zadość uczynić wymaganiom nauki i religii, filozofii i teologii.

Objawienie poucza nas, że w jednym Bogu są trzy Osoby, czyli że natura Boska, jedna i niepodzielna, jest samoistną w trzech różnych od Siebie Osobach. Istotna więc zachodzi różnica między osobowością Boga, nie utożsamioną z naturą Boską, a osobowością istot stworzonych, utożsamioną z ich naturą indywidualną. Rozum ludzki sobie pozostawiony nie może dojść do poznania Trójcy Przenajświętszej — to pewna. Zachodzi więc pytanie, czy rozum może poznać Boga osobowego, nie wpadając przytem w błąd przeciwny Objawieniu przez to, że zawyrokuje o jedynej tylko Osobie w Bogu? Kwestya to wcale subtelna i nie brakło w łonie scholastyki teologów, wprawionych z powodu niej w niemałe zakłopotanie. Dr. Uhlmann liczył się w swem dziele z tą trudnością i odróżnił w całym toku rozprawy rozumowe poznanie osobowości Boga od wyłącznie przez Objawienie nam danego poznania Trzech Osób w Bogu. Wywody jego są zupełnie poprawne, a przytem ściśle naukowe, oparte na dokładnej analizie pojęcia osoby i pojęcia osobowości. Jedno tylko niewłaściwe wyrażenie należy stanowczo zganić, choć autor rozumie je w prawdziwym sensie. Oświadczając się mianowicie za określeniem osoby, podanem przez Boecyusza i tradycyjnie przyjętem w scholastyce, powiada, że *tres personae divinae = tres individuae substantiae divinae*. W ten sposób chce poprawkę określenia Boecyusza, uczynioną przez Ryszarda a St. Victore († 1173) rugować jako nieuzasadnioną. Ryszard bowiem w określeniu Boecyusza: *Persona est naturae rationalis individua substantia*, zastąpił wyraz *substantia* ściślejším *subsistentia*. Ta obrona definicyi Boecyusza nie da się utrzymać. Sam Boecyusz

żali się już, że terminologia kościelna (*usus ecclesiasticus*) nie pozwala na wyrażenie *tres divinae substantiae*, jak to należałoby powiedzieć według jego określenia. Tem mniej dzisiaj taka terminologia może być usprawiedliwioną. Nadto poprawkę Ryszarda już uczynił w VI w. współczesny Boecyuszowi Rusticus dyakon, broniąc dogmatu o Trójcy Przenajśw. przeciw heretykom, posługującym się określeniem Boecyusza. Poprawka ta jest wcale uzasadnioną: to przyznają wszyscy teologowie, którzy wyraz *individua* u Boecyusza każą brać w sensie słowa *incommunicabilis*, to sam nawet dr. Uhlmann zdaje się przyznawać na str. 2, kiedy zastępuje wyraz *substantia* przez *subsistentia* = *subsistens* dla uniknięcia nieporozumień.

Tyle o wywodach teologicznych d-ra Uhlmanna, które oprócz tej drobnej usterki są wyborne i głębokie.

Wyjaśnwszy pojęcie osoby i osobowości, oraz zastosowanie tychże w kwestyi osobowości Boga, autor poddaje krytyce monizm materyalistyczny, panteistyczny i filozoficzny (tak nazywa monizm oparty na porządku etycznym), oraz rozwodzi się obszerniej nad zarzutami panteizmu przeciw osobowości Boga. Niepodobna tu krótko naszkicować toku jego myśli, bo zawiłe te kwestye filozoficzne i ich analiza wymagają szerokich rozmiarów, na które recenzya nie pozwala.

W osobnym rozdziale traktuje dr. Uhlmann osobowość Boga ze względu na stosunek religijny człowieka do Boga. Na końcu wdaje się w polemikę z krytyką osobowości Boga przeprowadzoną przez protestanckiego profesora dogmatyki w Zurychu, E. Biedermanna († 1885), ucznia Hegla. Polemika ta obszerna obejmuje 73 strony a zatem prawie trzecią część całej książki. Przechodzi tu autor wszystkie dowody przemawiające za istnieniem Boga, oraz przymioty metafizyczne i psychologiczne Boga i wykazuje, że nie sprzyjają wcale tezie Biedermanna, owszem prowadzą do poznania osobowości Boga. Biedermann utrzymywał, że dowody za istnieniem Boga pokazują wyłącznie istnienie absolutnego wprawdzie, ale nieosobowego i duchowego pierwiastka bytu i życia. Z natury rzeczy więc wynika, że autor polemizując z nim powtarza liczne wywody, już przytoczone uprzednio w krytyce panteistycznego monizmu.

Ta właśnie okoliczność zdaje się potwierdzać wrażenie, jakie odniósł recenzent z tej gruntownej pracy d-ra Uhlmanna, że mianowicie metoda przeprowadzenia rzeczy nie jest zbyt szczęśliwą. Dowody za osobowością Boga w formie zbijania zarzutów przeciwnych nie występują w jednolitym swym całokształcie, co ujemnie wpływa na jasność

w przeprowadzeniu i na przejrzystość w układzie. Rozprawa zyskałaby bardzo na tem, gdyby najprzód zestawiono pozytywnie wszystkie racje, świadczące za osobowością Boga, a następnie dopiero odparto zarzuty przeciwników. Metoda obrona przez autora utrudnia zrozumienie rzeczy, ale nie ujmuje przez to wcale wartości tego cennego studium. Dr. Uhlmann wypełnił przez swoje dzieło lukę, która w podręcznikach filozofii scholastycznej daje się częstokroć dotkliwie uczuć. Oczywiście nie jest to książka dla szerszych warstw, lecz teologiczne studium, przeznaczone w pierwszym rzędzie dla księży i teologów z zawodu, oraz dla ludzi wykształconych, obeznanych z terminologią filozoficzną. Dla apologetyki jest dzieło d-ra Uhlmann'a bardzo ważnym nabytkiem wobec szerzenia się monizmu w kołach intelligencji.

Ks. E. Matzel.

Dějiny filosofie. *Dr. Josef Kachnik.* V Praze 1904. Knihtiskárna a nakladatelství V. Kotrba. 8-ka, str. XII, 380.

Przyklasnąć musimy pobratymcom naszym nad Elbą, iż wyprzedzili nas myślą na pozór skromną, ale zdolną wiele dokazać w rozwoju filozofii, zwłaszcza chrześcijańskiej, i wykonaną szczęśliwie. Pobudka i pierwszy zawiązek myśli szczęśliwej dla chrześcijańskiej nauki od kogóż wyjść miały w Pradze? Odgaduje to każdy czytelnik, bliżej zapoznany z ruchem chrześcijańskich umysłów i rozwojem katolickiego piśmiennictwa w Czechach. Oczywiście, jak zawsze, tak i teraz ks. dr. kanonik Tumpach tak długo chodził około nowego nabytku do swojej *Knihovny katolickéj*, aż ściągnął do niej wraz z ks. d-rem Podlahą pracę, której wiele zawdzięczać będą filozofowie czescy: mianowicie książkę ks. d-ra Kachnika, profesora w Olomuńcu.

Podręcznik ten dziejów filozofii służyć może za strawę pożyteczną dla każdego umysłu, żadnego wiedzy poważnej, ale największą oddać zdoła usługę profesorowi, bo łączy w sobie dwie zalety, nader cenne przy wykładach: bogactwo treści a zarazem układ jej całkowity w jedną, ustrojową budowę. Dzięki księdzu K., profesor może na oku mieć cały obraz filozofii, kiedy dobiera z niego szczegółów, aby oprowadzić słuchacza po labiryncie szkół, prądów, zwrotów i nazw; przy wykładzie spotka na niezliczonych miejscach tego podręcznika bogatą ośnowę szczegółów jędrnie ujętą kilku słowami; uczuje nieraz potrzebę dłuższej wycieczki na pole pełne skarbów filozoficznych, ale spostrzeże łatwo niebezpieczeństwo. Ks. dr. Kachnik tak powiązał zręcznie działy i doby filozofii, tak umiał uwydatnić związek między częściami i wagę

każdej oznaczyć, że profesor postrzeże łatwo, jak skrzywdziłby słuchaczy, gdyby zbyt często rozszerzał treść książki wyrazistszymi opisaniami szczegółów; mniej pomógłby jaśniejszym rzutem oka na tę czy ową dobę, niż zaszkodziłby, gdyby nie wypełnił obrazu całej budowli; pod przewodnictwem podręcznika najwygodniej można obejść całą filozofię od wieków najdawniejszych po dzisiejszy jej stan.

Jakżeż autor pojął wytyczne chwile filozoficznych przełomów, aby według nich poustawić szczególne części drogi w postępie myśli badawczej?

Wszystko w tej książce nosi piętno wielkiej prostoty, kryje cenę wielką i myśl bardzo stosowną przy nauce podstawnej. Podział tej książki wygląda ciosane bardzo grubo: pierwsza część zawiera filozofię przed Chrystusem, druga filozofię z czasów chrześcijańskich; pierwsza zawiera dwa działy: najprzód filozofię wschodnich narodów w Azji, potem filozofię w Europie u Greków i w Rzymie; druga część książki obejmuje trzy działy: najprzód dobę Ojców Kościoła, potem czasy szkół z perypatetyczną na czele, na koniec nowożytną dobę, i tu znajdujemy osobno opis filozofii wyzwolonej z pod wpływu szkół dawnych, osobno opis filozofii chrześcijańskiej aż do najnowszych jej przedstawicieli.

Każdy z powyższych działów ustawia potem w szczegółnych rozdziałach pojedyncze szkoły i gromady filozofów; wypełnia ośnowę tych rozdziałów treścią nauki najwybitniejszego z przedstawicieli każdej szkoły albo gromady; w końcu wylicza dość dokładnie imiona i dzieła głównych pracowników, ustawionych około przewodców.

Kto pozna cały ten podręcznik dziejów filozofii, ten zda sobie sprawę dość wyraźnie, skąd wyszliśmy w dziejach tej umiejętności, jak błędziliśmy, którądy dróg mamy dalej szukać, jak przy głównych gościńcach boczne szkoły ubijają sobie ścieżki swobodne.

Czy więcej wymagać można od pracy, podjętej ze skromnym zamiarem, aby zastąpiła przewodnika w pierwszych krokach na polu dziejów filozofii?

Od ludzkiej pracy zawsze ktoś może czegoś więcej jeszcze wymagać, bo doskonałych dzieł ludzie nie tworzą. Postaciom, przeprowadzonym przez wiekowe drogi myśli filozoficznej, wystarczy znaleźć w *dieinach* podobieństwo do siebie, choćby mglisto wykonane, ale wierne chwyczone; ale nie wystarczy miejsce wyznaczone czasem wśród obozu raczej wrogiego, niż przyjacielskiego. Tu trzeba wytknąć, że niejeden filozof zdziwiony poznałby swój obrazek wśród obrońców

chorągwi, pod którą nie walczył nigdy. Polski czytelnik najłatwiej oceni ten niedobór stanowisk, wyznaczonych czasem filozofom, kiedy znajdzie np. wśród zastępu pozytywistów, w równym rzędzie z Comtem, Littrem, Ochorowiczem, Masarykiem także Śniadeckiego, a co jeszcze dziwniejsze, nawet profesora M. Straszewskiego. Również zdziwi nas dwoisty ks. prof. S. Pawlicki, umieszczony raz (str. 292) jako jeden z najnowszych komentatorów Kanta na Wszechnicy Jagiellońskiej, gdzieindziej (str. 375) wcale udatnie opisany, jako wybitny pracownik na polu filozofii chrześcijańskiej. Oczywiście nie trzeba dodawać, że takie przygody bardzo rzadko spotykają filozofów w książce ks. d-ra K.

Jeszcze o innym braku wspomnieć wypada, za który mogą jedni pochwalić wstrzemięźliwego autora, drudzy zganić zbytnią obawę przed opisami szczegółów. Autor wspomniał o Husie bardzo krótko, bo też pobieżnie przeszedł walkę realizmu z nominalizmem i nie zwrócił uwagi na udział Wiklefa w tej walce. Tymczasem spór Wiklefa z Kościołem był filozoficznym w pięciu siódmych, na tle właśnie walk o realizm, a ledwo drasnął dogmatykę, więc zasługuje na wzmiankę w dziejach filozofii. W czeskim podręczniku dziejów ten szczegół tem więcej zasługuje na wzmiankę, im jaśniej zdoła przedstawić związek Husa z Wiklefem. W ostatnich latach wydany rękopis¹ dzieł Wiklefa zawiera własnoręczne uwagi Husa, który angielskiego mistrza z początku chlostał zawzięcie. Czytamy tam różne docinki i zagrywki do imienia Wiklefa, jako wikłacza sumień. Nie prędko ustała ta walka zasad na polu filozoficznym; ostatecznie jednak Husa uwikłał Wiklef, ale w czym i pogo? w sporach filozoficznych, w których za Husem nie stoją wcale dzisiejsi czciciele jego: wielbią w nim przewodcę ducha narodowego a nie mają najmniejszego pojęcia o dziwacznych sporach, którymi Hus równie jak Wiklef zaczął płać filozofię a skończył na walce o dogmat. Brak tego szczegółu uderza w niniejszej pracy ks. K.; jak w każdym dziele bardzo dobrem rażą drobne braki tem jaskrawiej.

Ks. K. Oxaykowski.

Protestanstvi v Čechách až do bitvy Bělohorské (1517—1620) sepsal *dr. Fr. Xav. Kryštofek*. Praha 1906. Nákladem Dědictvi sv. Prokopa. W 8-ce, str. 423.

Autor znalazł się w tem szczęśliwym położeniu, że mógł dla swego dzieła skorzystać z tak znakomitych prac, jak np. Friend *Die Kirchen-*

¹ Przez lektora Wszechnicy Jagiellońskiej p. H. Dziewickiego.

Geschichte Böhmens, Gindeli, »O reformacyi i braciach czeskich«, Winter *Život církevní v Čechách* i t. d. Dlatego też nowego nie wiele dowiadujemy się z niniejszej pracy, jest to raczej pilne zestawienie najnowszych i najlepszych badań odnoszących się do dziejów reformacyi w Czechach od r. 1517—1620 czyli do rozstrzygającej bitwy pod Białą Górą.

Smutne to były czasy. Zaledwie ziemie czeskie trochę odetchnęły po owych strasznych zaburzeniach wojen husyckich, już nowa zerwała się burza, podwójnie i potrójnie dla tych ziem zgubna, bo czesko-nacyonalna herezya zawiera teraz sojusz nie tylko z niemiecką ale i z niemczącą herezyą luteranizmu i sprowadza nowe wielkie materialne i moralne klęski na kraje czeskie. Zdawało się za energicznych rządów Ferdynanda I (1526—64), że da się jeszcze tę burzę zażegnać, gdyż sprowadzenie Jezuitów i ich usilna reformacya katolicka, obsadzenie arcybiskupstwa praskiego w roku 1562, które od 1431 było bez pasterza i tylko przez administratorów zarządzane, a nareszcie usiłowania na wskrós katolickiego króla, rokowały do tego najlepsze nadzieje. Lecz śmierć Ferdynanda zmieniła od razu sytuację. Niedołężne albo nieprzychylne katolikom rządy następców jego, energiczna pomoc udzielana luteranom od niemieckich książąt protestanckich, coraz większe wewnętrzne rozgoryczenie i wzajemna nienawiść zaprowadziły kraj nad brzeg przepaści.

Tak zastał sprawę Ferdynand II, człowiek dzielny i szczerzy katolik. Byłoby i jemu może trudno wybrnąć z tych rozpaczliwych stosunków, gdyby nie przyszła *salus ex inimicis*. Niedołężny i śmieszny król zimowy Fryderyk z palatynatu staje na czele protestanckiej opozycji; w rozstrzygającej bitwie pod Białą Górą szczęście przechyliło się na stronę katolicką, a następujące odnowienie katolicyzmu zachowało także Czechów, jak słusznie zauważa autor, przy narodowości. Późniejsza germanizacya, która rozpoczęła się za Maryi Teresy i Józefa II, nie stoi w żadnym związku z bitwą pod Białą Górą.

Te to więc czasy i wypadki obejmuje niniejsza praca. Ponieważ autor ogranicza się na przedstawieniu zewnętrznej historyi reformacyi w Czechach, całość robi wrażenie monotonne, gdyż przedstawia się jako nieprzerwane pasmo ciągle powtarzających się narad, układów, spisywania skarg, żądań i konfesyi, przerywanych chyba tu i ówdzie bitką uliczną, śmiercią starego, albo wstąpieniem na tron nowego cesarza, choć autorowi przyznać trzeba, że skrzętnie zebrał wszystko,

co do zewnętrznego przebiegu reformacyi w krajach czeskich się odnosi.

Praca byłaby dużo zyskała, gdyby autor był uwzględnił i inne kwestye, tyjące się tej epoki. Tak np. bardzo mało dowiadujemy się o pracach literackich tak katolików jako i opozycyi; o spaleniu ksiąg heretyckich, które tyle krwi już w Czechach napsuło, autor krótko tylko wspomina; o stanie naukowym i moralnym kleru prawie nic nie mówi, życie po klasztorach niemal zupełnie pominięte. Cała reforma-cya katolicka jest bardzo skąpo uwzględniona i ogranicza się prawie tylko do paru stronic, mówiących o sprowadzeniu i pracach Jezuitów. Z charakterystykami wybitnych ówczesnych katolików mało się spotykamy, a jednak to wszystko byłoby się nie tylko dużo przyczyniło do urozmaicenia całego obrazu, ale i do pogłębienia znajomości owych czasów. Mamy nadzieję, że autor w drugim wydaniu tej pracy, na podstawie gruntownych studyów źródłowych, biorąc sobie za wzór znakomitą pracę Janssena, te braki uzupełni. Może być, że nie było wcale zamiarem autora przedstawić wszechstronnie czasy reformacyi w Czechach, ale o tem trudno sądzić, gdyż autor przedmowy w dziele swoim nie umieścił, w każdym razie dobrzeby zrobił, gdyby pracę swoją w rzeczony sposób wydoskonalił.

Przy końcu dołączył jeszcze autor z »Pamiętników Slawaty« list Rudolfa II z roku 1609, przyznający Kalixtynom wolność wyznaniową i ugodę między katolikami i Kalixtynami z tego samego roku.

Pracą tą Kryšťufek nie tylko dopomógł czytelnikom do łatwiejszego zorientowania się w czasach reformacyi, ale spełnił zarazem także niejako dzieło misyjne, bo nie na jednym miejscu dość jasno daje poznać, że pragnąłby, aby historia owych czasów była wobec usilnej agitacyi protestanckiej nauką dla Czechów dzisiejszych. Te katolickie i patryotyczne pragnienia zamieniły za często historyka na misyonarza tak, że na błędy i fałszywe kroki ze strony katolików za mało otwarte miał oko.

Ks. A. Starker.

Etudes d'art étranger. *William Ritter.* Paris. Société du Mercure de France. 1906. Str. 471.

Jest to zbiór studyów i artykułów o sztuce, mianowicie o malarstwie i muzyce. Autor ich niepospolitym jest estetą o rozległym i wszechstronnem wykształceniu i bardzo wyrobionym guście. Co prawda ten ostatni ujawnia się tylko w sądach krytycznych, nie we własnym

stylu krytyka, który pisze niezwykle (jak na autora francuskiego) ciężko i zawile. Być może winno temu poniekąd niefrancuskie pochodzenie autora. Posiada on zresztą inną jeszcze rzadką u Francuzów cechę, tym razem jednak dodatnią, mianowicie żywe i szczere zainteresowanie się twórczością różnych ludów, oraz silne a sympatyczne odczuwanie jej płodów, niekiedy nawet mało znanych i mało cenionych w Europie.

Wszystkie artykuły zbioru dotyczą artystów niefrancuskich przeważnie słowiańskich, po części norweskich i niemieckich. Artykuły te różnych są rozmiarów i różnej wartości. Najobszerniejszy z nich i najbardziej zajmujący jest pierwszy z rzędu, dotyczący nader ważnych i zasadniczych zagadnień estetycznych. Z powodu dzieła innego estetyka francuskiego, Kamila Mauclair, rozwija p. Ritter swój gruntownie uzasadniony pogląd na odwieczną a zawsze żywotną kwestyę stosunku treści do formy w sztuce, obstając gorliwie za ideowem i uczuciowem źródłem natchnień twórczych, wbrew krytykowanemu autorowi, który je wyprowadza li tylko z czynników estetyczno-formalnych. W związku z tą jest inna poruszona też przez p. Ritтера kwestya zespolenia sztuk w ideale jednolitej sztuki przyszłości, do jakiej dążył Ryszard Wagner. Interesujące są wielce uwagi autora o owych dążeniach mistrza niemieckiego i o częściowej ich realizacji we własnej jego twórczości. Ciekawe są też okolicznościowe w tymże artykule wzmianki o artystycznej krytyce francuskiej, nie tylko w dziennikach, lecz nawet w najpoważniejszych miesięcznikach, wielce jakoby stronnej a nawet — przedaźnej.

Ze studyów artystycznych najbardziej dla nas zajmujące te, które autor poświęca twórczości Józefa Mehoffera. Jest ono bardzo szczegółowe, gruntowne i bardzo entuzjastyczne. Autor zajmuje się głównie witrażami namalowanymi przez naszego artystę do katedry fryburskiej. I przedtem dochodziły nas wieści o wielkiej ich piękności, mieliśmy też sposobność widzieć niektóre do nich kartony na wystawach w Warszawie i w Krakowie, ale po raz pierwszy w studyum p. Ritтера spotykamy nader wyczerpujący o nich sąd kompetentnego znawcy, który miał sposobność (jako rodowity pono fryburzanin) dokładnie się z nimi obznajomić i na podstawie tej znajomości poczytuje je za jeden z najpiękniejszych i najgłębszych wytworów wszechświatowego malarstwa dekoracyjnego, a wrażenie artystyczne od nich otrzymane zalicza do najsilniejszych, jakich kiedykolwiek doznał.

Jeśli dodamy do tego, że krytyk francuski co krok zaznacza przejawiający się w twórczości Mehoffera z samorzutną, żywiołową

nieomal siłą charakter narodowo-polski i entuzjastycznie patryotyczny — to coś powiemy o niedojściu do skutku lub niedokończeniu zamierzonych i rozpoczętych przez naszego artystę prac na Wawelu i w katedrze płockiej?

Pan Ritter z niemniejszym zachwytem mówi o freskach na sklepieniu w skarbcu wawelskim, nazywa je najpotężniejszym objawem nowożytnego geniuszu dekoracyjnego w jego zastosowaniu do starożytnych sklepień gotyckich, a przerwanie dalszej działalności Mehoffera na Wawelu przypisuje interwencji hr. Lanckorońskiego, z którego winy miał jakoby nie dojść też do skutku projekt witrażów do katedry płockiej. — »Pewną jest rzeczą — dodaje autor — iż hr. Lanckoroński pozbawił swą ojczyznę dwóch znamienitych arcydzieł... Prawda, że za to imię jego ma pewną szansę przejścia do potomności. Wielcy artyści krzywdy, jakich doznają, płacą mimowolnie osławieniem swych krzywdzicieli«.

Różnorodne są tematy i rozliczne, różnonarodowe indywidualności twórcze, któremi autor zajmuje się w pozostałych swych studyach: malarz norweski Munch, rumuński Grigorescu, amerykański Urban, muzyk czeski Kovarovic, niemiecki Mahler i t. d. I pomiędzy tymi artykułami są bardzo zajmujące i gruntowne, jak np. o Böcklinie, ale są też dość powierzchowne, jak o pewnej operze Rimskiego Korsakowa, lub o walcach Jana Straussa, chociaż o tych ostatnich czyni autor nader trafne uwagi, nacechowane wytwornym gustem oraz subtelnem odczuciem odrębnego charakteru i niezrównanego w swoim rodzaju artyzmu walców straussowskich.

W. Gostomski.

Pei sentieri fioriti dell' arte. *P. Giovanni Semeria.* Roma. Federico Pustet. 1906.

Jednym z cenionych młodych uczonych we Włoszech jest Barnabita Ojciec Semeria. Wykaz jego dorobku literackiego jest znaczny; zaczął od badania pierwszych dwóch wieków chrześcijaństwa, które to dzieła dały materyał do dość żywych kontrowersów. Lecz potem zwrócił się O. Semeria do przedmiotów, które go pociągały osobiście i w które wkładał całą żywą bystrość swego umysłu. »Konflikt między nauką a wiarą«, ten zarzut przeciw religii zbija O. Semeria z siłą wymowną przekonań katolickich, ale zarazem i z gorącością człowieka nowoczesnego, miłującego swoją kulturę i swój wiek, postęp i życie. Patryota pełen uwielbienia dla Włoch ale zarazem obrońca Kościoła, — O. Se-

meria przedstawia sympatyczny typ nowoczesny. Dzisiaj, ażeby trafić do przekonania bardzo wierzących, ale urobionych nowoczesną kulturą ludzi — trzeba wyjść z za szranków formalistyki i dogmatyzującej pustej frazeologii. Jak to pięknie podnosił w jednej ze swoich konferencji Najprzew. ks. arcybiskup Teodorowicz — trzeba wyjść śmiało naprzeciw swej epoki w uzbrojeniu jej zdobyczy wiedzy i kultury, by mózr zwycięsko powiedzieć: Mam to, co i ludzie niewierzący, tę samą wiedzę, ale mam nad nią coś więcej, co mi da pewność zwyciężającej prawdy: wiarę! — O. Semeria najchętniej też wybiera tematy szeroko obchodzące cywilizowane społeczeństwa, ale dotykając je znowu nawraca się do św. Pawła, jakby na to, by zaczerpnąć nowej podniety i nowej siły w czystym źródle listów tego genialnego Apostoła narodów, łączącego w swoim umyśle ogień miłości Chrystusowej i głęboką wszechwiedzę ludzkiej natury.

Studia p. t. »Na ukwieconych szlakach sztuki« wyszły ubiegłego roku w Rzymie u Pustet'a, jako zbiór dziesięciu konferencji w różnych miastach włoskich wygłaszanych. Kilka z nich dotyczy reformy muzyki kościelnej we Włoszech i jej znaczenia dla ogólnej atmosfery nabożeństw kościelnych i podniesienia kultu. Najciekawsza jednak dla mnie była rzecz o wiekach średnich i Odrodzeniu (sądy i przesady), która w połączeniu z innemi studjami oraz książeczką *Gente che torna, Gente che si muova*, daje miarę nowoczesności O. Semerii i jego trafnego zrozumienia tego stosunku zgody między wiarą a postępem, którego zła wola dopuścić nie chce.

Ogólnym przesądem uważa się wieki średnie, jako uosobienie chrześcijaństwa, a Odrodzenie, jako epokę pogaństwa — i dalej idąc historycy nazywają wieki średnie barbarzyństwem a Odrodzenie kulturą. Tymczasem słusznie zwraca uwagę Semeria, że trudno objąć jedną charakterystyką epokę tysiąca lat i że trzeba w niej dostrzedz to powoli budzące się wyrobienie formy, otrząsającej się z pęt martwoty bizantyńskiej, które przygotowuje następnie nagły rozkwit sztuki w epoce Odrodzenia. A teraz co do tego utożsamienia wieków średnich z ideą chrześcijaństwa w przeciwstawieniu z pogańskim Odrodzeniem, Semeria wskazuje, że te pojęcia pokutują u dwóch umysłów kompletnie różnych: Carducci wysławia pogaństwo Odrodzenia a prof. Toniolo idealizuje wieki średnie. »Ależ żadna epoka nie jest dosyć chrześcijańska, by mogła służyć jako typ idei chrystyanizmu!« — owszem wiek każdy więcej wprowadza w społeczeństwo jej czynników i pod

pewnym względem nasza epoka stoi bez porównania wyżej od wieków średnich, których ustrój był oparty jedynie na przywilejach. A dlaczego wieki średnie uważa się za wrogie sztuce? — dlatego, że ascetyzm, umartwienie były wtedy ideałem. Semeria wykazuje fałsz tego twierdzenia: wszak zwykłe życie intelektualne i naukowe a nie tylko życie moralne opiera się na ofierze, na umartwieniu zmysłów, na karnem opanowaniu strony materyalnej. Wyrzeczenie się wszystkiego, co ludzkie, które nakazuje chrystyanizm, oto mylny zarzut, tak często spotykany! Nie dlatego, że ludzka, ale że nieprzyjazna wyższym czynnikom strona zmysłowa człowieka, musi być ujęta w karby! Twierdzić zaś, że Odrodzenie to epoka pogańska, chyba może tylko ten, kto nie spojrział w głąb geniuszów tej epoki Michała Anioła, Rafaela czy Leonarda. Byli i wtedy artyści, którzy nie wierzyli: ale atmosfera epoki była tak silna, że wrażliwy malarz odczuwał ją właśnie tą siłą wrażliwości artystycznej, która daje moc szczerości w danej chwili i zdolność sympatyzowania i zlania się przez swoje natchnienie z ideałem, który woła chce wyrazić. Wielka to kwestya czy Sodoma należał do artystów wierzących — a jednak kto widział jego św. Katarzynę w Sienie, św. Benedykta w Monte Olivetto, ten może to powiedzieć: »Nie wiem, czy ten artysta sam się modlił, ale w chwili natchnienia miał wizję tego, czym jest modlitwa« — i ta atmosfera, którą mimowiednie oddychał, dała mu intuicyę do rzeczywistego oddania życia dusz różnych od swojej, ale żyjących obok niego.

Za długo byłoby przechodzić każde ze studyów O. Semerii, ale jeszcze podnieść chcę śliczną konferencyę »O poczuciu natury« tak bardzo wrośniętej atawizmem w nasze dusze, że choć miasta stały się ogniskiem cywilizacyi, to jednak tylko wśród przyrody szuka się odrodzenia życia i zmęczonych sił.

Bardzo znaczące są uwagi o tem, że w naszej epoce zbankrutowany sceptycyzm szuka w wierze wyrazu dla tej siły twórczej, jaka się wymyka z pod sfery określonej wiedzą dotykálną. Uzupełniając te uwagi broszurą *Gente che torna*, widzimy, że O. Semeria bardzo trafnie ocenia sławne nawrócenia Brunetière'a, Coppe'e'go, Huysmans'a, z których każdy przyszedł do Kościoła drogą boczną! I tak Brunetière siłą zamięłowania porządku i powagi, Coppée potrzebą wzmocnienia, Huysmans ukochaniem misternej i subtelnej sztuki. Słusznie zaś podnosi wyższość umysłów, dla których wiara to czyn, to życie, witając w filozofii Olle-Laprune uosobienie tego właśnie poglądu.

Do tak sympatycznej charakterystyki O. Semerii jako uczonego, rozumiejącego swą epokę, dodajmy to jeszcze, że osobną ma przyjaźń dla Polski, a szczególnem uznaniem otacza twórcę *Quo vadis*.

Marya Harsdorf.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Rozprawy Akademii Umiejętności. Wydział filologiczny. Serya II, tom XXIV. Ogólnego zbioru tom trzydziesty dziewiąty.

Znaczną część tego tomu zajmuje dokończenie bardzo obszernej pracy »Amor i Psyche w poezji starofrancuskiej«. Ślady mitu o Amorze i Psyche znalazł prof. Maksymilian Kawczyński w cyklu pieśni o rycerzu z łabędziem. Podanie o łabędziu nie łączy się w literaturze starofrancuskiej z popularną zwłaszcza przez operę Wagnera postacią Lohengrina i legendą o św. Gralu, lecz z osobą przodka zdobywcy św. Grobu, Gotfryda. Autor połączył z rozbiorem poematów poświęconych rycerzowi z łabędziem poematy opisujące pierwszą wyprawę krzyżową i bohaterские czyny Gotfryda. Są to utwory *La chamon d'Antioche*, *Les chétifs*, *La conquête de Jérusalem*. Organicznie poematy te nie łączą się z *Chamon du chevalier au Cygne*, lecz dla wyjaśnienia genezy pieśni o rycerzu z łabędziem poznanie ich daje dużo momentów wytycznych. Ze stanowiska konstrukcji technicznej wytknąłby można jedynie, że rozmiary części poświęconej rozbirowi poematów o zdobyciu Jerozolimy przewyższają część przeznaczoną omówieniu właściwego tematu pracy i usuwają go w cień.

Poemat *Du chevalier au Cygne* składa się z dwóch części, z których druga

powstała prawdopodobnie przed pierwszą. Pierwsza część mówi o młodości, druga o późniejszych czynach rycerza z łabędziem.

Szukając genezy podań o łabędziu, cofa się autor aż do mitów starożytnych, do króla Genusa, przyjaciela Phaetona. Stąd pierwiastek opowieści o przemianie człowieka w łabędzia. Pomysł o użyciu łabędzia do ciągnięcia łodzi z rycerzem znajduje się w tradycji starożytnej, że łabędź za pojazd służył dla bogów lub bogiń greckich. Grecy mieli też rodzaj łodzi, zwany kyknos.

To jest wytłumaczenie łodzi i łabędzia. Pierwiastków zaś opowiadania o przyczynach odjazdu rycerza od żony szukać należy u Apulejusza, w jego powieści o Amorze i Psyche. Amor również zakazał Pysze pytać, skądby pochodził, a gdy w niej przemogła ciekawość i zadała fatalne pytanie, Amor ją opuścił.

Ta część poematu powstała przed r. 1180. Później dołączono do niej część obecnie będącą pierwszą, o młodości tajemniczego rycerza.

Autor rozbierając poszczególne pierwiastki, które się złożyły na pomysł tej części, dochodzi do następujących wyników.

Temat o nieprawości pochodzenia bliźniąt, znany był w literaturze. Łańcuszki, które Feje wkładają niemowlętom, zapożyczone są ze staroży-

tności. Na pomysł o przemianie dzieci w łabędzie wpadło kilku twórców poematów z tamtej epoki, lecz są one późniejsze od omawianej przez autora opowieści.

Prof. Kawczyński omawia też w końcu poemat o młodości Gotfryda, a kończy wzmianką o kilku poematach, będących dalszym ciągiem pieśni o rycerzu z łabędziem lub o zdobyciu Jerozolimy.

Jakieś już zauważyli, poematy o pierwszej krucjacie stoją tylko w luźnym związku z pieśnią o rycerzu z łabędziem i tkwiącą na dnie tej opowieści reminiscencją Amora i Psychy. Błąd ten konstrukcyjny nie pozwala jednak zamilczeć o wartości pracy i jej naukowych wyników. Rozbiór całego cyklu poematów o Gotfrydzie z Bouillon, jego pochodzeniu i czynach późniejszych, wyróżnienie w nich pierwiastków historycznych od poetycznych pomysłów i upiększeń żonglerów, prawdopodobnych twórców tego cyklu, wyjaśnienie genezy ich inwencji, to wszystkie wyniki badań autora stanowią trwałą zdobycz naukową.

Dalej zawiera ten tom rozprawę Stanisława Schneidra »Rzut oka na dzieje orfiki« i Leona Sternbacha *Spicilegium prodromeum*.

B.

W ojczyźnie bohatera. *Stanisław Bełza.* Warszawa-Kraków. Gebethner i Sp. Poznań. Leitgeber. 1905. Str. 70.

Nowa praca sympatycznego i chętnie czytanego autora, ma wszystkie właściwości swoich poprzedniczek — łatwość i prostotę opowiadania, treściwość myśli i jakąś cichą słowiańską tęsknotę. Malutka, elegancka, jak w dobrym tonie wojażerka, książeczka, miłym jest przewodnikiem, po Muzeum w Insbruku, gdzie w sali Fran-

ciszka Deffregera, swojego malarza, Tyrolczyk znajduje wspomnienia z czasów najścia na Tyrol Francuzów — a w tych wspomnieniach bohatera ojczyzny Andrzeja Hofera.

Deffreger, chłop tyrolski artysta i Hofer, chłop tyrolski wojownik, zamykają tutaj w sobie poetyczną a męską naturę dzieci tej pięknej krainy, w której nawet kobiety, nie pozbawioną wdzięku dziarskość mają.

Zdrowy i piękny kraj — zdrowych i pięknych ma ludzi. Przyrodę jego, różnicę charakteru gór północnego a południowego Tyrolu, subtelnie, jak zwykle odczuwa i wypowiada autor, a prowadząc czytelnika śladami bohatera, przechodzi przez Meran i w tej cudnej zaciszy przepachnionej kwiatami, przesłonecznionej, ukazuje z pewnym tragizmem istotę młodą, ale »już nie dla świata«, biedactwo młode w suchotach. Na te gasnące w Meranie życia spogląda z żalem, bo i miła, elegancka, w wiosennej barwie książeczka, poświęcona jest »mojej biednej Halinie, jako wspomnienie kraju, w którym cierpiała i kołała«.

I ma się wrażenie, jakby ból osobisty, w podnioslejszych uczuciach miłości ojczyzny, uosobionej w losach popularnego bohatera zamykał, jakby wstręt do wszelkiego judaszostwa w Franciszku Rafflu wypiętnował — sprzedawczyk Andrzeja Hofera, jasna rzecz, że duszę Polaka obrzydzeniem napełnił.

A. R.

O masonery i masonach. Szkic popularny. Przez *Andrzeja Niemcewskiego*. Warszawa 1906. 8-ka, str. 84.

Równie niedołężnej kompilacji, dawno nie wydarzyło się nam czytać, więc też i poddawać jej krytyce nie warto. Błuznierca Bóstwa Chrystuso-

wego, potwarca honoru NMP. w głosnych »Legendach«, które także są kompilacją żydowskiej elukubracji (*Geschichte des Rabbi Jeschua ben Joseph hanootzi genannt Jesus Christus*. Hamburg 1901, wydanie 8-me, str. 178 i nast.), nie dziwnego, że w masonii widzi apostołkę »wolnej myśli«, drugoczącej wszelkie przesady religijne i wszelkie tyranie, klerykalne czy monarchiczne. Celem, oraz »sekretem« masonii dawnej i dzisiejszej było i jest »odchrześcijanienie społeczeństwa«. Do tego samego celu dąży otwarcie »liga myśli niepodległej«, której p. N. chce być apostołem, tylko, że dla historyka katolika, to odchrześcijanienie społeczeństwa jest zbrodnią, którą napiętnować musi, dla kompilatora zaś ateusza jak p. Niemojewski, wydaje się być ideałem, za którym wszyscy pójść powinni, ale dla tej różnicy punktu widzenia, tak jak kompilatora ateusza nie można nazwać historykiem, tak historyk katolika nie godzi się nazywać »historycznym kalumniatorem«.

S. Z.

Apologie des Christentums. Fr. Albert Maria Weiss O. Pr. I. Band: Der ganze Mensch. 4 Auflage. (Str. XVI i 947). IV Band: Soziale Frage u. soziale Ordnung. 4 Aufl. (Str. XVI i 1219). Freib. im Br. Herder.

Niepospolite zalety Apologii O. Weissa zbyt są znane, abyśmy osobno mieli zachęcać czytelników naszych do jej lektury. Mało jest książek, pisanych ze stanowiska katolickiego, któreby tak dokładnie oryentowały w zamęcie idei i haseł tegoczesnych, w tej olbrzymiej walce duchowej, której widownią jest świat dzisiejszy. Obydwa tomy, wyżej wymienione, zawierają w tem nowem wydaniu liczne poprawki a przede-

wszystkiem uległ gruntownemu przeobrażeniu wykład o stosunku społeczeństwa do państwa tudzież nauka o procencie i lichwie.

H. L.

Der Panslavismus. Eine national politische Betrachtung von B. Cilli 1906. 8-ka, str. 67.

Gojący patryota słowiański kreśli w tej broszurze program polityki powszechno-słowiańskiej. Co czynić, by ocalić naród słowiański, który coraz bardziej topnieje pod naporem rozwścieklonej hakaty austriacko-niemieckiej? Oto pytanie, służące autorowi za punkt wyjścia dla jego rozważań politycznych. Hasła, pielęgnowane dotychczas lub do niedawna wśród Słowian południowych (autor je szczegółowo rozbiera) — to albo marne frazesy i czeze illuzye, albo pomysły na razie nie do wykonania. Potrzeba nam nie haseł mniej lub więcej jałowych, lecz polityki czynnej, akcyi dodatniej, polityki opartej na podstawach realnych i liczącej się z rzeczywistymi warunkami a zwłaszcza ze zmianą stosunków w Rosyi, Austrii i na półwyspie Bałkańskim. To pewne, że i teraz w Rosyi tylko Słowianie mogą znaleźć dość silne i niezawodne oparcie, atoli nie w Rosyi biurokracycznej, do której wzdychało dotąd moskalofilstwo, lecz w Rosyi odrodzonej politycznie i wewnętrznie skonsolidowanej czyli w Rosyi demokratycznej. Do szybkiego odrodzenia zaś Rosyi i do sprzymierzenia z nią Słowian zachodnich i południowych nieodzowną jest autonomia Polski w granicach jak najszerszych.

Polska samorządna zabezpieczy Rosyę raz na zawsze od strony Niemiec i będzie łącznikiem między nią a resztą Słowian, bo będzie gwarancją dla nienaruszalności ich odręb-

nych typów etnograficznych. Rusyfikacja Polski — to utopia, to marnowanie sił słowiańskich. Tak więc autonomia Kongresówki byłaby pierwszym krokiem do polityki powszechno-słowiańskiej, zaczem w dalszem następstwie poszłaby rychła reorganizacja Rosyi, uwolnienie Austrii od nacisku Niemców, przymierze rosyjsko-austriacko-francuskie, złamanie pangermanizmu przez odosobnienie Niemiec i nowe ugrupowanie polityczne Europy odpowiednie interesom całego świata słowiańskiego. Oto główne myśli autora, którego rozumowanie jest ogółem trzeźwe i nie pozbawione słuszności. Broszura bezimiennego Słowienica jest wielce godną czytania, gdyż dotyka kwestyi aktualnej dla nas Polaków i jest jednym z licznych objawów stwierdzających, że idea słowiańska weszła do niedawna w nową fazę rozwoju. Godzi się też zaznaczyć, że program patryoty słowiańskiego schodzi się w głównych liniach zupełnie z programem rozwijanym przez krakowski »Klub słowiański«, choć punkt wyjścia obu jest odmienny.

H. L.

Der junge Priester. Konferenzen über das apostolische Leben von *Herbert Kardinal Vaughan*. Frei nach dem Englischen von Dr. Matthias Höhler. Freiburg im Br. 1906. Herder. Str. XII, 345.

Sacerdos alter Christus — oto dewiza tej cennej, przedśmiertnej pracy świątobliwego kardynała Vaughana. W wolniejszych chwilach złożył sędziwy arcypasterz w tem dziełku owoce długoletnich swych doświadczeń i ustawicznych dążeń do ideału kapłańskiego. Czuć to nieraz ze słów, że dostojny kardynał opisuje stany własnej swej duszy, zwłaszcza kiedy

zwraca uwagę na mozolne i niestrużone wysiłki, którymi przez długi szereg lat trzeba się wznosić do ideału apostoła-kapłana. Dzięki tej indywidualności wszystkie konferencye tchną duchem wiary, głębokiej pobożności i ojcowskiej miłości ku młodym kapłanom, podczas gdy z drugiej strony doświadczenie życiowe nadaje całemu dziełku cechy praktyczne, nader cenne dla dojrzałości sądu i rozumnej wyrozumiałości.

Dogmatyczne uzasadnienie godności kapłańskiej, objaśnienie stosunku kapłana do Eucharystyi, a zwłaszcza rozdziały o cnótach apostołskich i o znaczeniu modlitwy w działalności pasterskiej są niemal klasyczne, a zawsze połączone z praktycznymi wskazówkami, które nie tylko młodym, ale i osiwiłym już w pracy apostołskiej kapłanom będą pożytecznymi. Konferencye te nie przedstawiają wprawdzie całokształtu obowiązków kapłańskich, lecz rozwijają tylko obraz o ogólniejszych rysach, — ale jest to raczej zaletą książki, bo dzięki tej szerszej podstawie dzieła, ideał kapłańskiej działalności występuje barwniej i przemawia wymowniej do duszy czytelnika. Podnieść należy i to, że dostojny autor oparł swe konferencye przeważnie na oficjum ku czci apostołów, wyjętem z brewiarza. Styl odpowiada wzniosłej treści, i dziwnie ujmuje spokojnym tonem.

E. M.

J. S. Bach, le Musicien-Poète. Par *Albert Schweitzer*. Préface de Ch. M. Widor. Paris. Costallat & Cie. 1905. Str. 455.

Jakkolwiek autor tej najlepszej francuskiej monografii Bacha nie jest zawodowym muzykiem względnie historykiem muzyki, to jednak czyta się to dziełko, oparte na słynnej książce Spitty, z wielkiem zadowoleniem ze

względem na wiele pięknych i prawdziwie wzniosłych pod względem estetycznym myśli. Oczywiście ze stanowiska umiejętności muzycznych nie jest to czyn heroiczny, najlepszym tego dowodem jest pewne lekceważenie »Pasyi św. Jana« (str. 253) i przypisywanie Bachowi symboliczno-programowych tendencji, których nigdy u Bacha nie spotykamy (zwłaszcza rozdział p. t. *Le symbolisme de Bach!*) Gdyby Schweitzer był więcej wykształconym muzykiem i nie ujeżdżał wygodnego rumaka estetyki, byłby uniknął tego zasadniczego błędu. Poza tem nie zarzucić mu nie można. Owszem, to co mówi o orkiestrowej muzyce Bacha, jest jako zestawienie z francuską instrumentalną muzyką bardzo ciekawe.

A. Ch.

Johann Sebastian Bach von *Philipp Wolfram*. XIII u. XIV Band der »Musik« herausgegeben von Richard Strauss. Berlin. Bard, Marquardt et Co. 1906. Str. 180.

Z wielkiem zadowoleniem czyta się to dziełko, choć i ono nie jest samostne, lecz zupełnie zależne od znanego dzieła Spitty o »lipskim kantorze«. Z tego jednak nie wynika, aby ktoś, wyznający zasady Spitty, nie umiał napisać o Bachu pięknie i świeżo, zwłaszcza jeśli jest tego rodzaju myślącym artystą i znawcą Bacha, jak prof. Wolfram (Heidelberg). Tę wyższość ma książeczka Wolframa nad Schweitzerem, że nie wykrawa Bacha z epoki jako coś absolutnie odrębnego, lecz przedstawia go w stosunku do swego czasu. W tem dziełku zajmuje się Wolfram instrumentalną muzyką Bacha. Nie ze wszyskiem można się bezwzględnie zgodzić, ale po największej części uwagi są nadzwyczaj trafne. Mała wycieczka pod adresem

Mendelsohna jest wprawdzie słuszna, ale to, co W. pisze przeciw Händlowi jest zanadto subiektywne i niezgodne ze stanem najnowszych badań nad twórczością tego mistrza.

A. Ch.

Das Verhängnis meines Lebens. Aufzeichnungen aus dem Kerker. *Linda Murri*. Herausgegeben von Luigi di San Giulio. Autoriserte Übersetzung von E. Leimdörfer und G. Pardo. Wien 1906. Str. 448.

Zanim kto weźmie w rękę powyższe pamiętniki, spisane w więzieniu, niech sobie przeczyta i rozmyśli rozprawkę Marka Twaina p. t. *Lionising Murderers* (Czynienie bohaterów z morderców). Artykułik ten nastrojony z początku na zwykły ton humorystyczny, poważnieje z biegiem myśli i wypowiada sąd bardzo słuszny na iście chorobliwe zajęcie, jakie wzbudza osobistość każdego zbrodniarza. Gdyby pozostał uczciwym człowiekiem, gdyby ręce urobił po łokcie, by wyżywić rodzinę i zmożony znojem przez pół roku konał na suchoty — niktby o niego nie spytał a za trumną nędzarza poszłyby tylko sieroty... Lecz niech ten sam człowiek zamorduje starą kobietę, wnet staje się interesującym; niech obok starej kobiety zarznie jej służącą, już zajęcie wzrasta. Jeśli zaś zamordowana była jego matką lub babką, słowem, jeśli okoliczności zbrodni wzmogą jej ohydę — ot i wielki mąż gotów! Dzienniki podają jego portrety i jego biografię, czytamy szczegółowy opis jego usposobienia, rozkładu jego dnia w więzieniu, wiemy jak mu służy sen i apetyt, czy, i do kogo pisał, kto go odwiedzał; każde jego słowo chwytają w lot reporterzy, by niem uradować publiczność. W Ameryce jeszcze jest lepiej, bo

tam wysoko myślące niewiasty ob-
syłają go podarunkami, ślą kosze o-
woców i snopy kwiatów... Zwarty
tłum z bijącym sercem tłoczy się na
miejsce stracenia; biada katu, jeśli
skazaniec o trzy minuty dłużej po-
cierpi, niż czas przepisany koniecznie
wymaga! Poprzednio nikt się nie tro-
szczył o straszne męczarnie, w ja-
kich ofiary jego konały — ależ bo one
były niewinne a zatem nie interesu-
jące! W naszym Krakowie znalazł
się wieniec na trumnę człowieka,
który popełniwszy fałszerstwo, za-
strzelił matkę a potem siebie. Pyta-
nie, za co go wiencono: za fałszer-
stwo? za matkobójstwo? za samo-
bójstwo?

Linda Murri, hrabina Bonmartini,
nie wzbudzała by niczyjego zajęcia,
gdyby jej nie zasądzono za współu-
dział w zamordowaniu męża. Któżby
czytał 448 stron pamiętników porzą-
dnej kobiety, nie wmieszanej do po-
litycznych wydarzeń? Tymczasem
wspomnienia Lindy Murri, choć są
wyłącznie prywatnej i nie bardzo bu-
dzącej natury, znajdują sporo czy-
telników. Na niemieckiem wydaniu
stoja cyfry: *Erstes bis fünftes Tausend*.
Pisząca wypiera się zupełnie współ-
winy w morderstwie wykonaniem,

jak twierdzi, wyłącznie przez jej
brata, oburzonego na postępowanie
hr. Bonmartini względem żony. Sama
przyznaje się do postępowania, które
musiłoby wzbudzić słuszny gniew
każdego męża a przytem ma za złe
mężowi, że na jej sprawki nie pa-
trzał z uśmiechem. Współobwiniony
z nią i z bratem dr. Secchi był wi-
docznie złym duchem całej rodziny.
Wiadomo, iż w tę historię zawikłane
były włoskie łóże masonskie, że uła-
twiły ucieczkę wykonawcy mör-
derstwa. Murri wywołała europej-
ski skandal. Linda wypuszczona o-
becnie z więzienia gwoi choroby, u-
siłuje, zda się, uniewinnić w pamię-
tnikach nie tyle siebie, co d-ra Secchi.
Rzecz sama niezabawna a w szcze-
rość wierzyć trudno. Zatem — *non*
raggionam di lor — ma guarda e passa!

T. W.

Prostytucja i jej skutki. Skreślił *Antoni*
Wystouch. Poznań 1903.

Autor w krótkiej broszurce kreśli
przyczyny prostytucji, tak obecnie
zakorzenionej, że stała się nawet in-
stytucją tolerowaną przez władze;
maluje jej zgubne skutki i przed-
stawia środki zaradcze.

A. B.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Jeden z czterdziestu nieśmiertelnych, Akademik Faldalszy ciąg
kulturkampfu guet, odpowiadając na urządzoną przez genewską *La francuskiego. Semaine Littéraire* noworoczną ankietę: »Czego kto pragnie dla siebie lub dla drugich«, wypowiedział, robiąc aluzję do francuskiej walki kulturalnej, to z pewnością niespodziewane zdanie: »Pragnę umrzeć, zanim doczekam się wszystkich nieszczęść, które mój ogłupiały kraj (*mon stupide pays*) ściąga na siebie«.

Sąd ostry i gorzki, lecz niestety! uzasadniony. Walka, do której łoża i ulegający jej rząd niebacznie popchnęły kraj, zaczyna napełniać nieufnością i niepokojem te nawet koła, które się bynajmniej do katolickich nie zaliczają. Wydane w różnych miejscowościach zakazy dzwonienia w czasie nabożeństw, zniesienie pasterki, o której krakowska *Nowa Reforma*, — która, nawiasem mówiąc, ma zawsze o wszystkim, co się odnosi do francuskiej walki kulturalnej, ciekawe, dziwnie z *Naprzodem* i pokrewnymi mu duchem dziennikami zgadzające się wiadomości, — pisała z niesłychanym lekceważeniem, nadchodzące z prowincyi wieści o prześladowaniach duchownych i katolików, wywołują niesmak w sferach nawet liberalnych, nie mogących zrozumieć, jak droga, na którą wszedł Clémenceau i Briand, prowadzi do »wolności i bra-

terstwa«. Obojętne dla Kościoła stronnictwa i tłumy zaczynają powoli poznawać, że blok zadrwił sobie po prostu z kraju; od sześciu przecież lat ogranicza się działalność parlamentu do uchwalania nowych praw przeciw Kościołowi, pomija zaś zupełnie życie publiczne. Na polu ekonomicznem widać ciągle cofanie się, nie znać za to choćby najmniejszego postępu. Rządy wolnomularskie dały Francji prawa, których korzyści nikt jeszcze nie doznał, ale których ciężary wszyscy odczuwają.

To też łatwiej już zrozumieć można, że odzywają się dziś we Francji głosy, do jakich dotychczas nie byliśmy tam przyzwyczajeni; różne stronnictwa poznały, że w swej polityce zeszyły na fałszywe tory i że czas już zawrócić. Nacyonalisci np. którzy dotychczas wszystko widzieli w innem świetle, jak reszta ludzi, i którzy na tych fałszywych podstawach budowali swoje teorye, tracą powoli na optymizmie i nie myślą więcej o używaniu drastycznych środków, lecz chcą uprawiać trzeźwą politykę.

»Nie możemy się łudzić — pisze w *Patriote* nacyonalista Ludwik Teste — olbrzymia większość parlamentu jest przeciwko nam, jesteście zwyciężeni i powaleni. Ale w długich stuleciach naszych dziejów niejednen raz znaleźliśmy się nawet głęboko pod ziemią, a jednakśmy powstałi... We wszystkich rozporządzeniach danych przez naszych biskupów klerowi czytam, że księżom nakazano pod surowemi, kanonicznemi karami odprawiać w kościołach nabożeństwa tak długo, jak długo im przemocą tego nie zabronią. Nie stoję tu na stanowisku religijnem, stoję przeciwnie na stanowisku czysto ludzkim i rzeczowem i jako bezstronny widz sądzę, że takie rozporządzenie mógł tylko zdrowy rozum podyktować; jestem przekonany, że gdyby księża, nie będąc do tego siłą zmuszeni, poopuszczali swe kościoły (tego spodziewał się rząd), publiczność nie zrozumiałaby ich i jabym ich tak samo nie rozumiał, jak wszyscy inni wytrawni politycy. Nigdy nie trzeba się cofać dlatego tylko, że nieprzyjaciół tego gorąco pragnie. Nie sądzmy, że opuszczenie kościołów przez kler, naraziłoby rząd na jakiekolwiek trudności; co napełnia rząd niepokojem, to fakt, że nabożeństwa odprawiają się dalej tak samo, jak gdyby nic nie zaszło. A dlaczegoż opuszczenie kościołów przez księży byłoby

wodą na młyn rządu? Dlatego, że niktby ich nie zrozumiał i wielu jeszcze bardziej zniechęciłoby się do religii».

Z innego punktu wychodzi dawny minister spraw zewnętrznych, Hanotaux. Sądzi on, że i rząd i biskupi szukają wyjścia i porozumienia, nie mogą się jednak do tego publicznie przyznać. Stąd też przypomina rządowi, że wielu katolików po całej ziemi kocha jeszcze we Francyi tylko »najstarszą córkę« i cierpi, widząc, co się obecnie tam dzieje; biskupów zaś poucza, że dalsza walka może tylko religii zaszkodzić, i że powinno dojść koniecznie do porozumienia się. Tego pragną Briand i Clémenceau i gdy który z biskupów do nich się zgłosi, »gawędzą« z nim po przyjacielsku; Hanotaux twierdzi nawet, że gwarancye, jakie dawał Briand, były przez niektórych biskupów uznane za wystarczające.

Jeżeli w wywodach byłego ministra znajduje się lekka aluzya do niejedności, panującej rzekomo w wyższych sferach kościelnych, to gazety antyreligijne o tej niejedności piszą całe szpalty i w swych »autentycznych wiadomościach z Watykanu«, na niej budują, tak dalece, że radzą już biskupom oderwać się od Rzymu a za głowę Kościoła francuskiego uznać np. kardynała-arcybiskupa Lecot z Bordeaux; cała kwestya będzie od razu rozwiązana. Tu już objawia się starodawna dążność do wywołania schizmy francuskiej i ta mniej lub więcej ukryta dążność przyjęła oklaskami niekoniecznie roztropną i niekoniecznie na czasie będącą mowę posła X. Lemire'a, który naprawy i ułożenia się stosunków oczekuje »od szlachetności i sprawiedliwości« rzeczypospolitej.

Że na rozdwojeniu rządowi wieleby zależało i że on pragnie tego, to jasne; dlatego przecież rozpuszczono pogłoskę, że biskup z Tarentaise, Lacroix, zgodził się na zgłaszanie nabożeństw w urzędzie gminnym, choć ten sam biskup właśnie z powodu zaniedbania tego zgłoszenia był już do odpowiedzialności pociągniętym. Niestety jednak wszystko, co się o niezgodzie między biskupami lub między biskupami a Rzymem pisze, jest fałszywem i wyraża tylko pobożne pragnienie, żeby tak było.

Ojciec św. mimo trudnego położenia, w jakim się znajduje, nie traci nadziei. »Doczekaliśmy się — mówił do ambasadora hi-

szpańskiego, Ojedy, — wielkich i ciężkich burz i wobec smutnego położenia katolików i duchownych we Francyi, jesteśmy przygotowani na gorsze jeszcze przejścia. Historia Kościoła jest długim, nieprzerwanym łańcuchem prześladowań, z którymi się jednak zawsze łączyły tryumfy... Kościół na przekór wrogom katolicyzmu będzie nadal wnikał w dusze ludzkie a papieństwo i na przyszłość pozostanie niezwykłą, uświęconą potęgą». W tem przekonaniu utwierdza papieża nie tylko wiara w Opatrzność i w obietnicę Chrystusową, ale właśnie ta jedność, o której braku piszą wrogie Kościołowi gazety. Jeżeli w samym początku tu i ówdzie pojawiły się odrębne zdania, pochodziło to tylko z niezrozumienia rzeczy. Dzisiaj już wszyscy pojmują, że trzy zasadnicze żądania Piusa X: uszanowanie hierarchii, nietykalność dóbr kościelnych i wolność, są postulatami opartymi na zasadzie słuszności i sprawiedliwości. I dlatego nawet taki protestancki, nieprzychylny dla papieństwa *Temps*, pisze: »Nieraz już jeden wspominałem o dziwnem zjawisku, które niemało przyczynia się do utwierdzenia Piusa X w jego obecnej polityce względem Francyi. Duchowni i wybitni świeccy Rzymu, którzy z początku postępowania papieża nie pochwalali, doszli dziś do przekonania, że nie mógł on inaczej działać. Tak zwana opozycja kardynałów nie wchodzi tu wcale w grę. Jest przecież zupełnie naturalną rzeczą, że wszyscy kardynałowie grupują się koło Stolicy św. Całe kolegium kardynalskie stoi przy tyarze«.

Jedność francuskich katolików między sobą i ich łączność z Rzymem zaznacza też nowa encyklika papieska z 6 stycznia bieżącego roku, w której Ojciec św. między innemi słusznie kładzie nacisk na to, że dowodem tej łączności i jedności najlepszym jest fakt, że prasa rządowa i antyreligijna wszelkimi używa środkami, by opacznie tłumaczyć postępowanie papieża, podejrzeniami, oszczerstwem nawet, tę łączność i jedność rozerwać. Po ogłoszeniu encykliki, w której Ojciec św. raz jeszcze wykazuje, dlaczego tak a nie inaczej postąpił, zjechał się cały prawie episkopat francuski, bo 78 biskupów na 86 w celu narady nad sytuacją; zjazd odbył się w pałacu hr. de Franqueville. Chodziło o zorganizowanie kultu, o kwestyę seminariów i scentralizowanie

dochodów w rękach biskupów w tym celu, aby iść z pomocą uboższym dyecezyom. Do jakich rezultatów doszła konferencya, przedwcześnie o tem pisać¹; w każdym razie o ile obrady utrudniała niemożliwość bezpośredniego porozumienia się z Rzymem, o tyle mogła je ułatwić krążąca od kilku już dni a dziś sprawdzona pogłoska, że rząd zniesie obowiązek zgłaszania nabożeństw.

W postępowaniu władz przebija tymczasem zaciekłość, ale równocześnie i brak świadomej akcyi; siła ma zastąpić sprawiedliwość i zmusić do zachowania prawa, co wszystko pragnie rząd osiągnąć przez małostkowe szykany. Duchownych skazują na kary za to, że nie zgłaszają Mszy św. lub nie pozwalają na dzwonicie w czasie cywilnych pogrzebów; w jednym tylko departamencie Maine-et-Loire złożono z urzędów 142 burmistrzów, ponieważ umieścili krzyże w salach szkolnych; żeby uniemożliwić nabożeństwa wezwano w departamencie Meurthe-et-Mosele 36 proboszczów do ćwiczeń wojskowych na niedzielę, a 5.500 seminarzystów i księży powołano do odsłужenia drugiego roku przy wojsku; z kaplicy klasztoru w rue de Donay w Paryżu zrobiono tingel-tangel; w Montcel nie pozwolił burmistrz na pochowanie zmarłego, żeby tylko księdza do kościoła nie dopuścić; w Val d'Ajol wykluczono na miesiąc ze szkoły dziewczęta, ponieważ nosiły one na piersiach krzyżyki i nie chciały ich zdjąć; postanowiono nawet cofnąć zapomogę szkołom francuskim na Wschodzie, gdyż, jak się wyraził minister Pichon, szkoły świeckie uczą lepiej

¹ Chociaż obrady zjazdu były trzymane w największej tajemnicy, zdaje się jednak, że *Nowa Reforma* miała na nich swego delegata, gdyż to jej się »wydaje pewnem, że episkopat francuski podzielony był na dwa obozy... Nieprzejezdanymi są biskupi, utrzymujący ścisłe stosunki z arystokracją, albo też z bogatym mieszczaństwem, posiadający osobisty majątek, a więc i byt zapewniony; paktować z rządem chcą ubodzy książęta Kościoła, którzy mają także ubogie dyecezye, na których pomoc liczyć nie mogą. Ci nie chcą też wyrzekać się finansowej pomocy, którą im zapewnia poddanie się pod ustawy kościelne« (nr. 42). To przynajmniej jasne i rozumiemy taką taktykę. Że jednak takiemu zapatrywaniu zadaje kłam adres biskupów do Piusa X, stwierdzający, że biskupi »protestują w zgodzie z papieżem przeciw pogwałceniu najświętszych praw« i że »energicznie odrzucają podejrzenie, że episkopat francuski posłuszny jest papieżowi więcej ze względów karności, aniżeli z wewnętrznego przekonania«, to już powyższych twierdzeń nie obala.

od kongregacyjnych, które zadawalniają się wykładem religii w języku krajowym a zaniedbują języka francuskiego. »Niech już Francya raz przestanie być na Wschodzie państwem katolickiem, niech w oczach tamtych szczepów przedstawia wyzwolenie dusz i współczesne idee«.

Ciekawym zwrotem w całej tej walce kulturalnej jest wystąpienie Combesa, który się przyznał, że on to wypowiedział wojnę Kościołowi — więc nie po stronie papieża winą — i który stanowczo potępia politykę rządu, nazywając ją polityką ignorantów. Nie czyni Combes tego z poczucia sprawiedliwości, gdyż proponuje inne środki, prowadzące jego zdaniem, bezpieczniej i pewniej do tego samego celu, ale samo jego wystąpienie wskazuje na coraz to wyraźniej zaznaczające się rozdzielenie w szeregach wrogów Kościoła. Stanowisko zaś, jakie w sprawie walki kulturalnej we Francyi zajęła zagranica, z pewnością nie przyczyni się do uspokojenia ministrów francuskich, ani też nie podniesie ich na duchu.

Arcybiskup z Baltimore, kardynał Gibbons, nazywa w dłuższym artykule postępowanie rządu »niesprawiedliwem i niehumanem«, podyktowanem jedynie i wyłącznie »przez nienawiść religii«, niemożliwem w Ameryce, jak niemożliwemi byłyby w ustach amerykańskiego prezydenta, nienawiści i zaciekłości pełne mowy Brianda lub Viviani'ego; zdziwienie i oburzenie wywołuje konfiskata dóbr kościelnych i cofnięcie pensyi, które prawem klerowi przyznane były, jako wynagrodzenie za zabrane dobra. »Gdy to mówię nie powoduje mną nienawiść lub złość; moje słowa, to słowa człowieka, który się kieruje zasadami sprawiedliwości«. Tak mówi kardynał wprawdzie, ale słowa tego kardynała przedrukowały najrozmaitszych kierunków dzienniki amerykańskie i zaaprobowwały jego poglądy tak dalece, że jak donosi *Echo de Paris*, ambasador francuski w Waszyngtonie, zawiadomił podobno rząd w Paryżu o rozgoryczeniu, jakie wskutek antyreligijnego prądu we Francyi, ogarnęło szerokie masy społeczeństwa amerykańskiego. Gorzej jeszcze, że nawet »liberalny« arcybiskup Irland, ten »wytrawny książe Kościoła« i »prawdziwy chrześcijanin« (*Matin*), którzy rzekomo zganił krok papieża, kleru i katolików

francuskich, w rzeczywistości potępił stanowczo stosunki francuskie, twierdząc, że obecnie nic więcej nie pozostaje, jak odrzucenie prawa, duch ofiarności i apelowanie do narodu. A wiedzieć trzeba, że arcybiskup Irland jest słusznie czy niesłusznie popularny we Francyi i jego głos zawsze tam jeszcze coś znaczy.

W Holandyi znów zabrał głos wielki wódz konserwatystów, dawny prezydent ministrów, protestant Kuijper. Ostro potępia w swoim *Standaard* francuskich protestantów, że nie tylko prawo przyjęli, ale się i chętnie na nie zgodzili, »podczas gdy Kościół katolicki wystąpił do walki za swoje wielkie duchowe dobra i tak — z żalem przyznać to muszę — stanął na wyższem stanowisku, jak reformowani. Poddać się, to praktycznie i korzystnie, ale to świadczy o braku charakteru«. Tą samą kwestyą zajmuje się *Standaard* w innym numerze: »do wszelkiej ofiary byłby u nas zdolny każdy kalwinista, gdyby o podobną chodziło tu walkę... Dziś rozstrzyga się pytanie, czy władza państwowa może Kościołowi przepisywać prawa. I zaprzeczając tej uroszczonej pretensyi, dokonał Pius X dzieła, które całem sercem witamy«.

I Włochy nie obeszły się lepiej z Francją. Wspomnieliśmy już w zeszłym numerze *Przeglądu*, że francuski poseł w Rzymie, Barrère, z uznaniem i radością przyjmował republikańskie i socjalistyczne demonstracye, urządzone z okazji prześladowania Kościoła we Francyi. Ten dyplomatyczny nietakt posła, napsuł we Włoszech tyle krwi, że stał się aż przedmiotem dyskusyi w parlamencie. »Wypraszamy sobie, pisze liberalny *Popolo Romano*, importowanie antyklerykalizmu z Francyi do Włoch... Nie na czase i niemądre są takie demonstracye, które obrażają uczucia religijne pewnej części narodu, tem bardziej, że jak słusznie zauważył w izbie prezydent ministrów, podobnym demonstracyom łatwo nadają dwuznaczny charakter elementy, które te demonstracye wywołują i dążności, które pod sztandarem antyklerykalizmu się ukrywają«. Tak też pojmuje rzecz i angielski *Times*. »Włochy, pisze, są nie tylko krajem katolickim, ale dla różnych, zrozumiałych zresztą przyczyn, znają dokładnie wytyczne zasady polityki papieskiej. Rząd francuski rozpoczął agitować za sobą wśród niekatolickich narodów twierdzeniami, którym we Wło-

szech nikt, albo prawie nikt nie wierzy. Włosi nie uwierzą nigdy, że episkopat i kler we Francyi pragnął poddać się prawu o rozdziale i że dopiero *veto* papieża wyłączenie, albo przynajmniej głównie „stworzyło obecną sytuację. Jedność panująca w Kościele francuskim, jednomyślne posłuszeństwo względem hierarchicznych przełożonych przekonały Włochów, że decyzja papieża odpowiadała dokładnie uczuciom i poglądom szerokich mas francuskich katolików».

Zabrał wreszcie głos znany z boerskiej wojny generał Butler: »sprawiedliwość niech będzie tą cnotą, którą zwalczać będziemy wszelkie okrucieństwo i niesprawiedliwość w świecie, choćby ta niesprawiedliwość dotyczyła rzymsko-katolickich księży we Francyi, których wypędzono z ich mieszkań i ich świątyń«.

Te głosy prasy i wybitnych ludzi z pewnością nie dodadzą otuchy francuskim ministrom, a prawdopodobnie wzbudzą ukryty żal, że się zaszło na drogę, z której trudno zawrócić.

Kilka tygodni temu pojawiły się w prasie polskiej alarmujące artykuły: »Język rosyjski w Kościele«, »Zmiana dekretu Kongregacyi Inkwizycyi z 11 lipca 1877 r.« i podobne. Niektóre z pism zajęły stanowisko, częściowo przynajmniej, wyczekujące, inne, które się wogóle Kościołem nie zajmują, chyba tylko wtedy, gdy można do tegoż Kościoła szerzyć w społeczeństwie nieufność i naród do niego zniechęcać, wpadły w ton dziwnie wojowniczy. Tak np. warszawska *Ludskość* widzi już, że »prądy we Watykanie nie uwzględniają w tej chwili interesów polskości, pomimo gorliwie katolickich uczuć polskiego ludu. Jest to niepomysłna wskazówka dla postawy Rzymu wobec walki dzieci polskich w Księstwie Poznańskim o naukę polską religii. Obawiać się trzeba, że i tu kurya rzymska poświęci swoich wiernych dla korzyści swej świeckiej polityki«. Krakowska *Nowa Reforma*, której dobro Kościoła w pewnych chwilach też leży bardzo na sercu, przepowiedziała nawet, że niezadługo przyjdzie nam stoczyć walkę o język polski w Kościele, tak jak ją obecnie toczyliśmy w szkole. Niestety! te przewidywania zawiodły i spełniło się przysłowie: *tant de bruit pour une omelette*.

O cóż więc właściwie chodziło? odpowiedź na to daje nam dekret papieski, który tu w zgodnem z oryginałem tłumaczeniu podajemy.

»Stolica Apostolska, mając po wsze czasy dobro dusz na widoku i stojąc gorliwie na straży poszanowania godnych tradycyji, zezwalać zwykła, by w tak zwanem *nabożeństwie dodatkowem* (mianowicie: głoszenie słowa Bożego, katechizacya, pytania przy udzielaniu chrztu św. i ślubów, oraz t. p. obrzędy) każdy naród mógł posługiwać się własnym językiem. W narodzie polskim istotnie podobne zastosowanie języka polskiego z dawien dawna było starannie utrzymywane i sama Stolica Rzymska stanęła w obronie tego zwyczaju starożytnego w odpowiedzi, danej przez Kongregacyę św. Officium (Obrządków) z dnia XI lipca MDCCCLXXVII r.

Dziś, gdy w Państwie Rosyjskiem zmieniły się stosunki religijne i każdemu dana jest możność przystąpienia do wiary katolickiej, łatwo przewidzieć się daje, że niektórzy z narodu rosyjskiego przy pomocy Bożej przyjmą katolicyzm. By usunąć wszelkie wątpliwości i zabezpieczyć się przeciwko mogącym powstać trudnościom, Jego Świątobliwość uważa za słuszne zaznaczyć, co następuje:

Dokument Kongregacyi św. Officium, wyżej wymieniony, jest jedynie odpowiedzią na specjalnie zadane pytania. Pytano mianowicie:

1o. *Czy w nabożeństwie, t. zw. dodatkowem, język polski, będący od niepamiętnych czasów w użyciu, wolno zamienić na język rosyjski, niezależnie od władzy Stolicy Świętej?* 2-o. *Czyby Stolica Święta tolerowała i czy można przypuszczać, że toleruje takiego rodzaju zamianę?* Św. Kongregacya odpowiedziała: *Na pierwsze i drugie pytanie: przecząco.*

W istocie rzeczy, jeśli wyżej wymieniona odpowiedź i wówczas nie zabraniała Rosyanom-katolikom (gdyby istnieli) używania swego języka w nabożeństwie t. zw. *dodatkowem*, to tembardziej obecnie zakaz podobny nie może być uważany za istniejący, gdy Rosyanom (*russicis*) wolno wyznawać wiarę katolicką. Stąd wynika, że Stolica Św. wcale nie zabrania Rosyanom rodzicom

chrzestnym i małżonkom przy chrzcie św. i obrzędach ślubnych na pytania odpowiadać w języku rosyjskim (*russica lingua*). Co się zaś tyczy kazań, katechizacyi, modlitw i śpiewów kościelnych, to wogóle stosowany być winien język, będący językiem większości mieszkańców lub społeczności wiernych, dla których dany kościół specjalnie został przeznaczony. Jeśliby się zaś znalazła znaczna, chociaż mniejsza część wiernych, używających innego języka, należy dbać o to, aby i oni mieli we własnym języku katechizm i kazania, a w razie, gdyby się to okazało na czasie — modlitwy publiczne i śpiewy kościelne. Gdyby w wypadkach pojedynczych miały z tego powodu powstać wątpliwości i trudności, należy zwracać się do Stolicy Św.

Miło mi decyzję tę, którą Ojciec św. zechciał wydać dla wzrostu religii i dobra ludów, berłu rosyjskiemu podległych, z rozkazu Ojca św. zakomunikować twej Dostojności, byś przyłożył starań do jej zastosowania w swej dyecezyi, gdyby zaszła tego potrzeba«.

R. Kard. Merry del Val.

Postrzymujemy się od osobistych uwag o dekrete, wolimy oddać głos tym, którzy mogą nas o jego prawdziwym znaczeniu autentycznie poinformować. Ks. Arcybiskup Symon w liście do warszawskiego *Słowa* z dnia 5 stycznia, pisze: »Ten dekret (z 11 lipca 1877) i dzisiaj pomimo nowego okólnika kurji rzymskiej do biskupów polskich, zachowuje moc swoją tak, że i teraz nie wolno wprowadzać do nabożeństwa dodatkowego języka rosyjskiego na miejsce polskiego, lecz dozwolono tylko, względnie zalecono nawet, używać go obok zwyczajnego polskiego tam, gdzie się okaże potrzeba, jak np. przy uformowaniu się gdzieś licznej grupy nawróconych do katolicyzmu prawdziwych Rosyan.

Jednocześnie wszakże takie samo prawo przyznano w podobnych wypadkach i innym językom i narzeczom. Że jednak mogłyby stąd wynikać pewne trudności, nieporozumienia i zatargi, Stolica Apostolska ostateczną decyzję zastrzegła sobie«.

Obszerniej omawia sprawę ks. biskup Niedziałkowski w trzecim zeszycie *Wiary*. »Dekret bynajmniej odmieniony nie został

i po dawnemu obowiązuje Polaków... Przytoczywszy powyższy dekret kardynał sekretarz stanu pisze dalej: „otóż jeżeli pomieniona odpowiedź już wówczas nie obowiązywała katolików Rosyan (gdyby tacy byli) i nie zabraniała im używania ich ojczystego języka w nabożeństwie dodatkowem, o ile więcej obecnie, gdy Rosyanom wolno wyznawać wiarę katolicką, nie zakazuje im tego — to też Stolica Apostolska nie zabrania, żeby odpowiedzi chrześtnych rodziców przy chrzcie i małżonków przy ślubie były dawane po rosyjsku przez Rosyan“. Widzimy więc z dosłownego tłumaczenia listu, jaki od kardynała Merry del Val otrzymałem, że wzmianki nawet o odmianie dekretu 1877 r. nie ma; że on po dawnemu obowiązuje Polaków; Stolica Apostolska wyjaśniła tylko, że się on wcale nie stosuje do Rosyan. I to rzecz całkiem naturalna i sprawiedliwa. Rosyanin ma też samo prawo do używania przy nabożeństwie języka rosyjskiego, jakie my mamy do polskiego i jak my mieliśmy słusność, nie przyjmując narzucanego nam przed laty języka państwowego, tak samo Rosyanie mają prawo nie przyjmować naszego. Dlaczegożby zresztą Rosyanie czy Rusini katolicy nie mieli tegoż samego prawa, jakiego używają Litwini, Łotysze, Francuzi, Niemcy wśród nas i z nami żyjący?... Dekret więc Stolicy Apostolskiej nic nowego w nasze życie nie wprowadzi, rozjaśnia tylko wątpliwość, która mogła powstać z racyi owego dekretu Inkwizycyi a rozjaśnia w taki sposób, że po dawnemu obowiązuje Polaków, a nie stosuje się wcale do Rosyan. Przewidywania trwożliwe, co i jak będzie, gdy większa liczba Rosyan przyjmie katolicyzm, nikogo niepokoić nie powinny i stosunki się ułożą tak, jak wszędzie, gdzie jest ludność mieszana. Każda narodowość będzie miała swoje świątynie i swoich kapłanów, albo też, gdzie tego nie będzie można od razu ustanowić, będzie urządzona kolej — jak wszędzie. W każdym razie czasy te, jeżeli przyjdą, jeszcze bardzo dalekie i obecnie wcale się na nie nie zanoszą... Stolica więc Apostolska dała wyjaśnienie, które nas nie tyczy się wcale, a ze względu na Rosyan katolików było konieczne«.

Od siebie dodajemy jedną tylko uwagę. Może być, że mimo tak jasnego brzmienia tekstu ze strony rządu rosyjskiego zajdą

kiedys jakieś nadużycia, ale z tego, że prawo może być przez kogoś nadużyte, nie wynika jeszcze, że nie powinno ono być wydane, jeżeli względy dobra publicznego tego wymagają lub jeżeli ma ono rozwiązać jakieś wątpliwości. Zresztą Stolica Apostolska wyraźnie zaznacza, że w wypadkach następujących trudności, biskupi mają się zwracać wprost do Rzymu, tak że papież i biskupi stać będą na straży naszych kościelnych interesów.

Na zakończenie pytanie: Czy godność i powaga naszej prasy nie żąda koniecznie nie spieszyć się zbyt z wydawaniem sądów? Czyż nie nakazuje ona o rzeczy się informować, a dopiero potem zdanie swoje wygłaszać? Czyż pismo szanujące się ma rzucać tylko zarzewie niezgody i nieufności, a nieprostować swoich poglądów, gdy ich bezpodstawność poznało? Dziwny to postęp i dziwna kultura, jakimi tak niesłusznie pewien odłam naszych pism się szczyci.

»Cud św. Ja- Włoskiemu chemikowi-socjaliście, Giaccio'wi, udało się
nuarego«. na drodze doświadczenia chemicznego powtórzyć w Rzymie »cud św. Januarego«. Zawartą w szklanej rurce skrzeplą cielejącą krew, przemienił, dodawszy do niej pewnych chemicznych substancji, w płyn i doprowadził do wrzenia. »Klerykalne oszustwo ujawniono w sposób naoczny, nieodparty, niesłychanie kompromitujący pachciarzy zyskownego cudu«. Tak pisze *Naprzód* w numerze trzynastym i takby dla tryumfu socjalistycznej sekty być powinno — niestety jednak było inaczej.

Na zapowiedziane i usilnie reklamowane widowisko zgromadził się w *Casa di popolo* żądny cudu tłum. Giaccio czterdzieści minut ogrzewa puszkę nad jarzącą się świecą, rusza nią, obraca w różne strony i oświadcza wreszcie, że krew stała się płynną. W rzeczywistości od skrzeplej masy oddzieliło się skutkiem ruszania i gorącą kilka również skrzeplonych grudek. Zawiedziona publiczność krzyczy, śwista, hałasuje, tupie — tak się skończył pierwszy akt.

Gorzej jeszcze było z drugim. Nie w porę znaleźli się między widzami dwaj chemicy-katolicy. Jeden z nich, Cingolani, zarzuca Giaccio'wi publicznie szalbierstwo i mistyfikację, a obaj

robią mu następującą propozycję: przedstawienie — inaczej tego nazwać nie można — odbędzie się raz jeszcze, ale pod następującymi warunkami: 1) rurkę szklaną przygotuje laboratorium chemiczne; 2) preparat aż do maja (między innymi w pierwszą sobotę maja krew św. Januarego w Neapolu przechodzi w stan płynny) będzie zamknięty na trzy zamki. Jeden klucz zatrzyma Giaccio, drugi chemicy - katolicy, trzeci ktoś w sprawie nieinteresowany; 3) w maju będzie eksperymentator powtarzał doświadczenie przez przeciąg ośmiu dni i to przy temperaturze od 19—30° C, przyczem proces przechodzenia skrzepłej masy w stan płynny, powinien trwać od minuty do kilku godzin, a sam preparat w czasie przejścia z jednego stanu w drugi powinienby przybrać na masie i wadze aż do 23 gramów. Ten trzeci warunek postawiono dlatego, ponieważ wszystko to dzieje się przy prawdziwym cudzie w katedrze św. Januarego w Neapolu. Oznaczono równocześnie dla zwycięzcy nagrodę w kwocie 1000 franków.

Giaccio, jak można było przewidzieć, warunków nie przyjął, a jego godny towarzysz, Podracca, redaktor-pornograf, który przedtem widział już »dzisiejszą naukę miażdżącą klerykalną kanalię« oświadczył, że wezwania nie przyjmuje, bo wogóle nie przywiązuje do rzeczy żadnej wagi.

I oto tak się ujawniło »w sposób naoczny, nieodparty i niesłychanie kompromitujący«, nie klerykalne, ale socjalistyczne »oszustwo«. »Cud św. Januarego« w oświeceniu *Naprzodu* źle świadczy o sprawie, która dla swego rozpowszechniania aż do takich ucieka się środków; gorzej świadczy on o moralnej wartości kierowników pisma, którzy mogli i powinni byli znać prawdziwy stan rzeczy i pewnie go znali; najgorzej jednak świadczy o umysłowym poziomie czytelników, którzy podobne rzeczy za dobrą monetę przyjmują. Może to nie wypada, ale naprawdę! chciałoby się zawołać: »hańba«.

Ks. Wiktor Wiecki.

Ze spraw społecznych.

Statystyka samobójstw. — Akcja przeciw samobójstwom. — Samobójstwa w Krakowie.

Ks. Krose, znany w literaturze niemieckiej statystyk, specjalista dla statystyki kryminalnej i obyczajowej w Niemczech, zebrał swe badania o samobójstwach w dwóch dziełkach: *Der Selbstmord im XIX Jahrhundert* i *Die Ursachen des Selbstmordes*, jako 90 i 91 *Ergänzungsheft zu den Stimmen aus Maria Laach*.

Kilkadziesiąt tablic wykazuje tutaj cyframi, ile samobójstw zdarzyło się w ubiegłym wieku w każdym z państw europejskich. Naturalnie, że i tutaj Niemcy pierwsze zajmują miejsce pod względem opracowania, gdyż autor mówiąc o Niemcach, nie zadowolnił się ogólnem podaniem cyfr, jak w każdym innem państwie to czyni, ale poświęcił nadto kilka tablic poszczególnym prowincjom państwa niemieckiego.

Z tablic tych dowiadujemy się tak ciekawych rzeczy, jak np. że co do ilości samobójstw, pierwsze miejsce zajmuje niemieckie państwo (w r. 1890—1900, 10.849 samobójstw [liczba absolutna]). Potem Dania, Finlandya, Szwajcarya, Francya, Prusy (właściwe) (300—200 na milion mieszkańców). Poniżej 150 samobójstw (na milion mieszkańców), liczy Austria, Bawarya, Szwecya, Belgia, Alzacya. Poniżej 100 Angli., Norwegia, Szkocya, Hollandya, Włochy. Reszta krajów, jak Rumunia, Serbia, Rosya, Irlandya, liczą samobójstw mniej niż 50 (na milion). Najmniej, bo 19 na milion, liczy Hiszpania. W samych zaś Niemczech prym trzymają okolice czysto protestanckie, jak królestwo saskie, Hamburg, Brema, Brunświk i t. d., gdzie frekwencya dochodzi do trzystu kilkadziesiąt na milion, w jednej zaś miejscowości (Koburg-Gota) aż do 420!

Jeśli by ta liczba miała być oznaką wyższej kultury, to chętnie ustępujemy pierwszeństwa, mając do zaznaczenia tylko 97 wypadków na milion u nas (w Poznańskim). Również i w Austrii jedno z ostatnich miejsc zajmuje Galicya, bo 97 na milion. Szkoda, że nie mamy odpowiednich danych i z państwa rosyjskiego, wtedy możnaby mieć dokładniejsze wiadomości o ile i w tym względzie naśladujemy zagranicę. A naśladownictwo jest silnem, gdyż co roku zwiększa się i u nas liczba samobójstw (przeciętnie można brać, że co roku o 10%); nie ustępujemy więc pod tym względem w niczem zagranicy... A przy-

rost jest tam wprost zatrważający! Od r. 1890 do 1900 wzrosła liczba samobójstw w Szwecyi o 227 (podaję liczby absolutne samobójstw), we Francyi o 1399, we Włoszech o 438, we Węgrzech o 1250, w Niemczech o 1053 i t. d. Ludność wzrosła w Europie przeciętnie o 60 %, samobójstwa o... 400 % !! Zgroza przejmuje na myśl, co to będzie, jeśli w tem samym tempie wzrastać będzie liczba samobójstw. I mimowoli nasuwa się pytanie, jaka tego przyczyna? Pytanie to roztrząsał autor w drugiej książce p. t. *Die Ursachen der Selbstmordhäufigkeit*.

Nasamprzód zastanawia się autor nad tem, czy klimat wpływa na samobójstwa, jak to utrzymywało wielu psychologów. Ale statystyka wykazuje co innego: Grecya, Włochy i Hiszpania wykazują całkiem odmienne cyfry! Maj i czerwiec, kiedy właśnie cała przyroda tchnie nowem życiem, to miesiące, w których najwięcej samobójstw się zdarza; niedzielę możnaby nazwać ulubionym dniem samobójstw dla kobiet (36 % na 100 samobójstw mężczyzn), a poniedziałek dla mężczyzn (69 %). Choćby ten tylko fakt nasuwa na myśl, że w samobójstwach przeważną rolę odgrywają kwestye nie tyle fizyologicznej, jak raczej moralno-socyalnej natury; że stosunki społeczne rzeczywiście decydują tutaj, na to wskazuje i Japonia, gdzie na 100 samobójstw mężczyzn liczy się 57 samobójstw kobiet (czyli 57 %) — a znanem jest powszechnie, jak bardzo różni się stanowisko kobiety japońskiej a naszej, — wskazuje na to i ściślejsze badanie samobójstw w krajach katolickich i niekatolickich.

Również i wiek wpływa na liczbę samobójstw. Kobieta-matka (lata mniej więcej 25—40), mężczyzna w pierwszych latach ustalenia swego losu i szczęścia rodzinnego (30—40), jako też i bardzo podeszły starzec, nie myślą o skróceniu sobie życia, gdy przeciwnie, czas rozczarowań i pierwszych zawodów młodości (u mężczyzn od 20—35, u kobiet nieco wcześniej) nasuwa im te myśli. Zatrważającym jest przyrost samobójstw u dzieci od lat 10—15. Jaka tego przyczyna? Przeważnie szkoła. Na 289 samobójstw uczniów największa część (70) odebrała sobie życie z obawy przed karą! Największy też przyrost samobójstw dzieci okazał się w Prusiech od lat 30, t. j. od czasu wielkich reform na polu szkolnictwa (ze 191 samobójstw w roku 1869—1873, na 324 w r. 1894—1898). Byli to przeważnie uczniowie leniwi, stąd częsta a słuszną obawa przed karą — a szkoła, wedle systemu pruskiego, tworzy osobny świat i całkiem może nawet szkodliwie działający na rozwój myśli i ideałów u dziecka, przedewszyst-

kiem przy zbyt niem przeciążeniu naukowem. Że właśnie ten fałszywy rozwój myśli dziecięcej jest przyczyną samobójstw, dowodem, że to samo dziecko w domach zamożnych rodziców, karmione zepsuciem salonowego powietrza, lub zapatrzone na zbyt realną może nierzadko muzę teatralną, przedstawia podatniejszy materiał, a tem samem i większy procent samobójstw, niż dziecko robotnika. »W Anglii uczą się dla życia, w Niemczech uczą się dla szkoły. Stąd — powiada Masaryk — młodzieniec angielski wie jak żyć, a niemiecki paczy się w pracy i ginie«. Może nie tylko o niemieckiej młodzieży należy to powiedzieć. Ciekawe szczegóły w tym względzie przyniósł kongres w sprawie dzieci, zwołany do Berlina w pierwszych dniach października zeszłego roku. Skonstatowano zatrważający wzrost samobójstw u dzieci we Francji: w latach 1865 — 1875, 321 samobójstw; od 1895 — 1905, 695!!!

Sprawdzono, że w istocie najczęstsza przyczyna samobójstw tych jest obawa kary i złem wychowaniem spaczona zasada dziecka. »Zabiję się — pisze 13-letni desperat — bom nie dostał w szkole nagrody«. »Utopię się — woła krnąbrny chłopak — bo mnie ojciec niesłusznie ukarał«. U dziewcząt nieletnich, powody te nierzadko mają już zabarwienie kobiece, bądź w guście »zawodów«, bądź próżności niewieściej lub utraconych nawet wdzięków¹.

»Oczywiście każde dziecko, dopuszczające się samobójstwa jest umysłowo chore i cierpi na jakieś odziedziczone zboczenie« — mówią nasze gazety². A co mówi o tem »umysłowem zboczeniu samobójców« nauka?

Trochę inaczej. Że wielki wpływ na samobójców mają choroby umysłowe, to prawda, ale nie taki znowu, jakby się zdawało. Prawda, że ze wzrostem ludności wzrasta i liczba samobójców, podobnie jak i liczba kalek, i liczba chorych i liczba umysłowo chorych i t. d. i t. d., ale nie można twierdzić, chyba że się ma pretensye do pseudonaukowości tylko, że jeżeli np. Austria w latach 1870—1879 w szeregu państw zajmuje miejsce dziewiętnaste co do liczby umysłowo chorych (1451 na milion mieszkańców), takie same też miejsce musi zajmować w statystyce samobójstw, gdyż było ich tylko 106 na milion (dzieliące miejsce wśród państw europejskich).

¹ Cf. referat d-ra Rubinowicza.

² *Słowo Polskie* nr. 448, doniesienie o berlińskim kongresie w sprawie dzieci.

A i szczegółowo zebrany materiał statystyczny wzrastającej co roku liczby samobójstw nie pozwala na to, by w jakimkolwiek dziele stojącym na wyżynie dzisiejszych badań statystycznych śmiało twierdzić można, że wzrastająca liczba umysłowo chorych wpływa na istotny przyrost samobójstw. Że zaś w wielu wypadkach nie można mieć najmniejszej pewności, iż choroba umysłowa była rzeczywiście przyczyną samobójstwa, to pewna, bo któż stwierdzi wiarygodność notatek, jakie pozostawiają denaci, któż ręczy za naukową nieomyłność orzeczeń sądowych w tym względzie, a przede wszystkim któż ręczy za zgłębienie tajników ludzkiego umysłu i serca, gdy wszelkie nieszczęście lub podłość pokrywa się płaszczykiem »rozstroju umysłowego«! Owszem dziwić się należy — mówi autor — że wobec tego prądu nie wzrosła przyczyna samobójstw »z powodu rozstroju umysłowego« do $\frac{1}{4}$ ogólnej liczby samobójstw. Wogóle, jeśli chodzi o właściwe powody samobójstw, to trudno w tej mierze o jakieś pewne statystyczne dane, gdyż chodzi tutaj o przeniknięcie ducha ludzkiego, o rzecz niemożliwą do stwierdzenia.

Łatwem zato jest stwierdzenie rodzaju śmierci. U dzieci występuje charakterystyczne powieszenie się (u chłopców) i utopienie (u dziewcząt). Młodzieniec oraz mężczyzna w pełni sił mniema, że »odbiera sobie życie z honorem« kulką, kobieta zaś w tymże wieku przenosi stryczek ponad wodę. Gdy mężczyźni zabraknie fantazyi młodzieńczej, chwytą za sztylet lub częściej brzytwę, a kobieta stryczkiem znowu pragnie ulżyć swej starości. Otoczenie i zajęcie wpływa też decydująco w tym wyborze: urzędnicy zazwyczaj trują się gazem, wojskowi strzelają, służące, włóczęgi, wszyscy zajęci na wolnem powietrzu topią lub wieszają, aczkolwiek wogóle powiedzieć można, że śmierć przez powieszenie jest najczęściej spotykanym rodzajem samobójstwa (prawie wszędzie 40—50 %).

Rozdziały traktujące o samobójstwie w stosunku do oświaty, moralności i religii są może najciekawszymi, boć tu przecież dopiero zaczyna się rozwiązanie zagadki tych smutnych dramatów życia. Ale są też te rozdziały najtrudniejszymi do opracowania. Bo i cóż wziąć za normę np. oświaty? Taki stopień oświaty, który można łatwo skontrolować. Naturalnie, łatwo to powiedzieć, ale zważyć należy, że takim stopniem jest zazwyczaj tylko ilość analfabetów w danem państwie. Pomijając, że tylko w przybliżeniu można znać ich liczbę, ważniejszą jest kwestya, czy samo »czytanie« jest dostatecznym stopniem

oświaty, do powstrzymania człowieka od samobójstwa? Każdy przyzna, że samo »czytanie«, to trochę za mało. I statystyka też to samo wskazuje, że oświata, — o ile ona podpada pod kontrolę statystyki, — nie przeciwdziała samobójstwu, owszem, raczej przeciwnie. Większa ilość analfabetów danego kraju prawie zawsze jest wskazówką bardzo małej ilości samobójstw.

Jeszcze trudniej oznaczyć, o ile brak moralności wpływa na samobójstwo. Bo naprzód, co oznaczyć jako normę moralności danego kraju? Mogą to być tylko fakta, bo oczywiście tylko te mogą podpadać pod statystykę. Ale śmiesznością jest przyjąć np. takie fakta, jak to uczyniono w Bawarii w latach tysiąc ósmset pięćdziesiątych — ilu z pośród samobójców było »religijnych«, ilu »niereligijnych«, ilu zaś »niepewnych« co do swej wiary. Przybliżoną tylko normą moralności w danym kraju może być ilość nieślubnych narodzin, ilość alkoholików lub rozwodów. Ale statystyka znowu wykazuje, że ilość nieślubnych niema żadnego wpływu na samobójstwa (np. w Austrii jest najwięcej nieślubnych dzieci z pośród państw Europy, a co do liczby samobójstw jest Austria dopiero dziewiątą). Wśród państw niemieckich znowu Bawaria ma najwięcej nieślubnych a prawie najmniej samobójstw (na 25 państw dziewiętnaste miejsce). Bardzo dokładnie trzeba by sprawdzić, o ile np. pijaństwo albo rozwody były przyczyną samobójstwa. A tego nawet w przybliżeniu sprawdzić absolutnie nie można. Ale za to można twierdzić, że jak czy to nieślubne narodziny dziecka, czy pijaństwo, czy rozwód (zazwyczaj) jest zewnętrznym objawem niereligijności; tak też i właściwą przyczyną samobójstw jest niereligijność i brak wiary prawdziwej. Bo alkoholizm, zajęcie, oświata i t. d., nie są przyczynami samobójstw, to tylko okazyje co najwięcej, jak wykazuje niezgodność proporcji między tymi objawami a liczbą samobójstw: ponad te wszystkie objawy jedną jedynie prawdziwą przyczyną jest kwestya, jak kto patrzy na życie, wedle jakich zasad kto żyje; od tego to zależy, czy ma hart potrzebny w duszy i pomoc w swoich zasadach do wytrzymania wszelkich zawodów i przeciwności życia. Wszelkie dane do tego ma tylko wiara katolicka, twierdzą uczeni statystycy, nawet tacy, co sami występują z łona Kościoła katolickiego (Masaryk). Również i cyfra każe nam przyjąć tę wyższość religii katolickiej. Na milion przypada przeciętnie 58 samobójstw katolików, 190 protestantów i t. d., przyznaje Morselli, darwinista. Widać to dokładnie ze zestawienia lekarzy pruskich (np. za

rok 1818—1822¹. Niema tu wprawdzie osobnej rubryki dla katolików i protestantów, ale »wszędzie stoi liczba samobójstw wprost w odwrotnym stosunku do liczby katolików«. Od połowy XIX stulecia poczęto w pruskich statystykach uwzględniać wyznanie denatów. Na milion mieszkańców przypadało w latach 1849—55 na protestantów 159, na katolików 49 samobójstw. To samo powtarza się i w innych krajach.

Dla dokładności można jeszcze zestawić liczbę samobójstw katolików i protestantów w tem samym państwie i w tej samej prowincyi; ale i tu przebija się wyższość katolicyzmu. (np. w Westfalii na milion protestantów samobójstw 141, na milion katolików samobójstw 64). Bijącą w oczy jest wysoka liczba samobójstw w krajach ściśle protestanckich, gdzie katolicyzm niema żadnego wpływu (np. Szlezwig-Holstein, na milion protestantów 306 samobójstw), a niska liczba samobójstw, w krajach ściśle katolickich (np. w Poznańskim na milion katolików tylko 49 samobójstw) i jak nawet choćby tylko po zwiększonej (proporcjonalnie) liczbie samobójstw wśród katolików, można poznać, że w danym kraju zamieszkuje ludność mieszana, a protestantyzm oddziaływa destruktywnie w tym kierunku i na katolików (np. w Brandenburgii, o ludności bardzo mieszanej, 268 samobójstw na milion katolików, a 284 samobójstw na milion protestantów). Daty są zebrane z ostatnich dziesiętności lat ubiegłego wieku, a różnica ta wystąpi jeszcze silniej, jeżeli zestawimy samobójstwa samych kobiet, które z natury więcej uległy wpływom religijnym, znajdują w nich wielką pomoc wśród drogi życia (np. w Prusiech odebrało sobie życie protestantek 104, katoliczek 32).

Mała stosunkowo liczba samobójstw wśród Żydów nie zdziwi tego, kto zna choć w przybliżeniu ich przepisy i zasady ich wyznania. Życie doczesne jest największem, najwyższem błogosławieństwem dla Żyda; z jakimś, nieznanym nam katolikom, zabobonem i przesądem religijnym, trzymają się oni nie życia, ale długiego życia. Ale jeśli tylko Żyd zatraci pamięć na owe tradycyjne błogosławieństwa, które już w Starym Zakonie wszystkie koncentrowały się w długim życiu na tej ziemi i na tem kończyły, to Żyd taki jeszcze gorzej od protestanta ulega zbrodni samobójstwa.

Każdy niemal autor prac statystycznych nad samobójstwem szuka środków w celu zapobieżenia szerzącemu się złemu. Karami (Legoyt),

¹ Kasper: *Beiträge zur medicin. Statistik und Staatsarzneikunde im Jahre 1825*, 13.

podniesieniem dobrobytu (Brierre de Boismont, Liesle), zmniejszeniem rozrostu ludności (Morselli), oświatą ale w duchu Lamarck'a (Rehfish), chcą uleczyć ludzkość ze samobójczego obłądu, ale doświadczenie i cyfra zebrana przez mężów nauki i urzędy mówi, że wszystkie te środki do celu dotychczas nie doprowadziły, to tylko półśrodki. Raczej przyznać trzeba, że słuszność ma taki Masaryk, Kasper, Prinzing lub Wagner, którzy choć nie kryją swej niechęci do katolicyzmu, jednak otwarcie przyznają, że urządzenie Kościoła katolickiego, jego zasady i wpływ na umysły ludzkie, ma tę siłę, by ich ustrzedz przed zamachem na swoje życie¹. Statystyka zaś wskazuje na prawdziwość tego twierdzenia, a i historia mogłaby dorzucić niejedną szczegół na potwierdzenie.

Z tego zestawienia widać, jak wiele materiału zawiera praca ks. Krose. Ale materiałem tym operować trzeba z wielką umiejętnością, — jak to czyni ks. Krose — w zestawianiu cyfr trzeba brać na uwagę wszystkie czynniki, wpływające na dany fakt (np. wielka liczba samobójstw w Austrii w latach 1865—1875 z powodu krachu wiedeńskiego oraz głośnych wydarzeń politycznych), czego nie podaje biuro statystyczne, a co jest niezbędnem, aby się nie narazić na zarzut stronniczości.

Albo że wspomnimy o pijaństwie. Przedstawia je zazwyczaj biuro statystyczne ilością konsumcyi piwa; ale ilość piwa, a choćby nawet spirytusu zużytego w danym kraju, nie może jeszcze świadczyć o niemoralności kraju; spirytusu używa się przecież i do celów przemysłowych; i picie samo trzeba brać w stosunku do ludności, boć przecie może być ono miernem i w tym wypadku chyba znowu nie niemoralnem. Lepszą, ale znowu niezupełną oznaką niemoralności w tym względzie jest proces o nałóg pijaństwa, jak przedstawia pijaństwo galicyjski Wydział Krajowy w swej statystyce. Jeszcze większej ostrożności trzeba przy innych rubrykach.

Lat temu niespełna trzydzieści przestrzegał pewien protestant, uczony autor statystyki moralności¹, von Öttingen, w swem powszechnie znanem dziele, przed zgubnym kierunkiem wychowania francuskich szkół. »Jeśli tylko pójdzie się nadal we wychowaniu za tem zdaniem, że religijność jest tylko przeszkodą we wychowaniu

¹ cf. *Trunksucht und Selbstmord* von F. Prinzing. Leipzig 1895, pag. 30—40.

¹ *Moralstatistik*, str. 768.

i wykształceniu, ...doczekamy się jeszcze czasów, że szkoła ludowa wyzwolona z pod jarzma religii, będzie rozsądnikiem samobójców».

Najnowsze badania statystyków francuskich¹ dowodzą, że odpowiednie uczonego protestanta już zaczęła się sprawdzać.

*

*

*

Statystyka odkrywając w społeczeństwie naszych czasów ranę samobójstwa, zwróciła tem samem baczniejsze oko ogółu. Może dla sensacyi, może z powodu wrodzonej swej zapobiegliwości, rasa anglosaksońska zajęła się szczególniej tą kwestyą, a może dlatego, że straszne postępy czyni w Anglii klęska samobójstwa. W r. 1885 2.007 samobójstw; w r. 1890 o 202 więcej; w r. 1895 o 790 więcej; w r. 1900 o 889; w r. 1904 o 1338 więcej: dość, że specyalna prasa angielska zajęła się tą kwestyą, zachęcając do akcji ratunkowej. Głos prasy był głosem z nieba dla Amerykanina, generała Bootha, wskazującym mu nowy teren walki dla jego »armii zbawienia«. I oto generał Booth wydaje walkę samobójstwu. Z uznaniem podnieść to należy — wedle tego, co donoszą amerykańskie dzienniki — że generał, jak na dobrego wodza przystało, od razu zorientował się w sytuacji, i nie chwytając się półśrodków, od razu trafił w samą istotę rzeczy, i podjął się taktyki jedynie skutecznej. Bo wedle jego zapatrywania, na przyczynę samobójstw wpływają wprawdzie rozliczne wady i okoliczności, jak pijaństwo, rozpusta, nędza i zboczenia umysłowe, ale główną przyczyną samobójstw ma być ta okoliczność, że człowiek przyciśnięty nieszczęściem, trudnością, nie patrząc odpowiednio na rzeczy, nie mając gruntownych zasad, na których mógłby się oprzeć jego rozum i dodać stalowego hartu jego woli, wyobraża sobie, że się znajduje w położeniu bez wyjścia, więc... łamie się życie i człowiek ginie. Aby temu zaradzić, otwiera generał »Biuro porady dla mających zamiary samobójcze«. Celem biura jest, aby każdemu, coby myślał o samobójstwie, udzielić — oczywiście z zapewnieniem wszelkiej dyskrecyi — rady i dać odpowiednią wskazówkę, i w ten sposób odwieść go od nieszczęsnego zamiaru. Osoby stojące na czele tej instytucyi mają dużo doświadczenia, są już wiekowe i znają głęboko psychologię ludzką.

Ale czy się kto zgłosi po radę? Owszem, w kilku pierwszych

² cf. Fouillée: *Le jeunes criminels, l'école et la presse: Revue des Deux Mondes*. 1897, 417—449. — E. Rostanel: *Pourquoi la criminalité monte en France et baisse en Angleterre: Réforme sociale* 1897, 345, 531, 585.

dniach (od 1—5 stycznia) zgłosiło się tam przeszło stu interesantów, nie mówiąc nic o listownych zapytaniach. Byli to ludzie wszystkich kategorii, znajdujący się częstokroć w położeniu rzeczywiście bez wyjścia, tak, że zdawałoby się, że trzeba by tutaj czynnej, materyalnej pomocy, gdyż sama rada nie wystarczy. Biuro jednak nie udziela nigdy pomocy materyalnej, i ponoś w każdym dotychczas wypadku, choć nieraz z wielką trudnością, — udało się odwieść każdego desperata od samobójczego zamiaru, a generał Booth, ucieszony tem pierwszym powodzeniem, chce pomnożyć te biura, i cały świat obdarzyć tą dobroczynną instytucją.

* * *

Przeglądnijmy »statystykę miasta Krakowa«.

Niestety! Aczkolwiek »Statystyka« jest wydana i prowadzona »po europejsku«, tablice zestawiające cyfry szczegółowe i kombinowane, »bardzo sumiennie zestawione«, jednak nie możemy się z tej statystyki niczego więcej dowiedzieć ponad tę wzmiankę, że np. w r. 1901 było w Krakowie 16 samobójstw (t. j. z wypadkiem śmiertelnym), a w r. np. 1902 21; z tego mężczyzn 14, kobiet 2 i t. p. rubryki, co do zajęcia, wieku, zamieszkania. Braki te uzupełnia obecnie sprawozdaniem »Krakowskie Towarzystwo ratunkowe«, które ogłasza, że w r. 1906 interweniowało w 49 wypadkach samobójstw (z tego 11 o wyniku śmiertelnym). a na mocy kombinacji zwykłej przyjąć możemy, że we wszystkich wypadkach nie interweniowało, oraz, że Kraków należy do miejscowości o średniej, a może nawet o wysokiej liczbie samobójstw w Europie (między 200—300 na milion ludności).

Wśród rodzajów śmierci przeważa wybitnie postrzelenie (15 wypadków) obok zatrucia fosforem (14 wyp.), następnie utopienie (4 wyp.), oraz zrzućcenie się z wysokości i t. d.

Wobec tego podniósł prof. dr. Domański — już nie po raz pierwszy — czyby nie było rzeczą pożądaną, by za przykładem Francji i Niemiec wycofać z obiegu zapalki fosforowe, gdyż przez codzienne ich użycie daje się ludziom łatwą okazję do zatrucia. Ktoś inny znowu złośliwie zauważył, że trzeba by też Wisłę przykryć betonem, bo nasuwa okazję do samobójstw przez utopienie. Ale usuwając żart na bok, uznać należy, że jak z jednej strony usuwać trzeba — wedle możliwości — wszelkie okazyje i okoliczności sprzyjające samobójstwu,

tak znowu jest to tylko pośrodek. Więcej daje do myślenia skuteczny sposób, jakiego użył generał Booth: wpływ na rozum, serce i wolę. W każdym razie miłość ewangeliczna ma nowe pole do twórczości i działalności.

Ks. K. Konopka.

Ze spraw ekonomicznych.

Uwagi o upaństwowieniu kolei północnej.

Czytelnicy przypominają sobie, że pierwszego dnia po upaństwowieniu kolei północnej, coś się zepsuło w aparacie ruchowym, ruch towarowy między Przerowem a Boguminem utknął i niby z powodu zasp śnieżnych, został wstrzymany na kilka dni.

Nowo kreowany urząd ruchu zawiadomił ministerstwo kolei żel., że cały aparat ruchowy, sztucznie niejako łątany dla przetrzymania z dnia na dzień, odmówił posłuszeństwa bezpośrednio przed oddaniem całego przedsięwzięcia na rzecz państwa. Sprawa nie dała się ukryć, zanosilo się na burzę i ogromny skandal. W urzędowym doniesieniu zawiadomiono ministerstwo kolei żelaznych, że park parowozowy jest niewystarczający tak ilościowo, jak i jakościowo do tego stopnia, że z 600 lokomotyw przeciętnie 100 znajduje się stale w naprawie; jeszcze gorzej przedstawia się stan parku wozowego, wkońcu oszukano państwo i na zapasach węgla na stacyach.

Zapasy te, t. zw. rezerwa, których ruszać nie wolno, muszą być w tej ilości, aby mogły pokryć 14-dniowe zapotrzebowanie pełnego ruchu, i przepis ten przestrzegany bywa bardzo ściśle; otóż na kolei północnej zapasy te naruszono, i w ostatnich dniach nie dochodziły nawet do *minimum* dyktowanego żądaniami strategicznymi, zaś w wielu stacjach nie było węgla zupełnie.

Dla uspokojenia opinii publicznej oburzone ministerstwo kolei zapowiedziało surowe dochodzenia w tej sprawie, zaś kolej północna usprawiedliwiając się zapewnia, że niedobory w zapasach węgla pochodzą jedynie i wyłącznie z winy dostawców (jakich?) — a o stanie inwentarza wiedziało ministerstwo bardzo dobrze. Zresztą dawny zarząd powołuje się na protokół spisany 31 grudnia 1906 r. przy sposobności objęcia kolei północnej przez rząd, a podpisany przez obustronnych zastępców. W protokole tym oświadczają zastępcy rządu, że oddany im inwentarz

jak i majątek przedsiębiorstwa nie wykazuje żadnych braków, tymczasem wspomniany wyżej komunikat urzędowy przedstawia sprawę zupełnie odwrotnie! Komu więc wierzyć?

Do procesu między ministerstwem kolei żel. a dawnym zarządem kolei północnej nie dojdzie, bo pan »hofrat Jajteles« mając pewne atuty w ręku jest zupełnie kryty i uśmiecha się tylko na groźby pana ministra kolejowego. Jest to smutną oznaką bezsilności biurokratyzmu wobec żydowskiego sprytu dawnej dyrekcyi.

Pan hofrat Jajteles miał kosztem kolei północnej wspaniale urządzone apartamenta biurowe, podobnie i naczelnicy niektórych oddziałów: 31 grudnia odchodząc prosił pana Bannhaus, aby pozwolił mu na pamiątkę zabrać meble, z którymi wiąże go tyle wspomnień. Pan Bannhaus nie miał nic przeciwko temu, z czego skorzystali urzędnicy, zabierając wszystko — nie tylko inwentarzową bibliotekę i obrazy, lecz szklanki, karafki, wyciągając nawet gwoździe ze ścian, tak, że nowy zarząd musiał wydać już w pierwszych dniach znaczną kwotę na umeblowanie biur i wytapetowanie obdrapanych pokoi. Zaś przed świętami szefowie biur rozebrali między siebie fundusz podręczny dochodzący do miliona koron, o którego istnieniu ministerstwo kolejowe nic nie wiedziało (?). Przyczem z naciskiem podnosimy, że wiadomości te zaczerpnęliśmy z zupełnie pewnych źródeł, a umieszczamy nie dla senszacyi kronikarskiej.

Za to wszystko nie można winić pana »Jajteles«, który pobierając 104.000 koron rocznie, administrował wprost świetnie, zupełnie słusznie nie dbając o to, co się stanie z koleją po jej upaństwowieniu. Winę głównie ponosi były minister kolei żel. dr. Wittek, który, jak go słusznie ocenia *Słowo Polskie* z dnia 5 stycznia b. r., poza mrówczą pracowitością zwyczajnego kancelisty nie posiadał najmniejszych zalet i zdolności na tak odpowiedzialne stanowisko. Człowiek wprost ciasny, oceniający wszystko według szablonu biurokratycznego, zawinił najwięcej brakiem kontroli, pozwalając zarządowi kolei północnej na prowadzenie tak rujnującej gospodarki oszczędnościowej. Nic więc dziwnego, że dochody tej kolei z 48.5 milionów koron w r. 1886 doszły w r. 1904 do cyfry 92.6 milionów — zaś dochód czysty, na podstawie którego wypośredkowano rentę skupu podniósł się w tym czasie z 22.6 milionów na 35.5 milionów, podczas gdy stan przedsiębiorstwa znacznie się pogorszył.

Z upaństwowieniem kolei północnej załatwił się rząd po tyloletnich wahaniach z zadziwiającą szybkością, przedkładając Radzie Pań-

stwa do zatwierdzenia umowy zawartą dnia 3 marca 1906 r. między zastępcami minist. kol. w imieniu rządu a Radą Nadzorczą kol. półn. w sprawie wykupna tej kolei. Umowę zatwierdzono, i ustawa w trzy dni po uchwaleniu w Izbie posłów przeszła Izbę panów otrzymując sankcyę cesarską. Pośpiech rządu był w tym wypadku łatwo zrozumiały. Przedstawicielom rządu chodziło prawdopodobnie o to, aby nie wywołać dyskusyi, z natury rzeczy dla nich nie bardzo miłej; a szkoda, bo wprawdzie byłoby to całą sprawę nieco opóźniło, ale za to przekonano by się jeszcze w sam czas, że niezwykle wysoka cena wykupna nie stoi w żadnym stosunku do wartości nabyć się mającego majątku i prawdopodobnie wytargowano by znacznie dogodniejsze warunki. Po drugie okazałoby się, że podobnie połowiczne załatwienie tej sprawy, wykupując tylko część przedsiębiorstwa, nie odpowiada celowi, chodzi mianowicie o koleje górnicze i kopalnie węgla, które nie były objęte wykupnem, tak więc rząd obejmując skarbiec kolei północnej, klucz do niego pozostawia nadal w ręku dawnych właścicieli.

Przedłożenie rządowe tłumaczy to tem, że obliczenie wartości tych przedmiotów wymaga dat zupełnie pewnych, opartych na długoletnich studyach, co w danym wypadku musiałoby wywołać konieczne opóźnienie całej akcyi. A jest to sprawa właśnie dla zarządów kolei państwowych pierwszorzędnej doniosłości. Już o ile chodzi tylko o zapotrzebowanie węgla dla ruchu kolejowego, każdy zrozumie łatwo, że zarządy kolei państwowych, które nie posiadają żadnych własnych kopalni węgla i w wielu wypadkach muszą zaspokajać swe potrzeby, nawet dla ruchu pospiesznego, mniej wartościowym węglem brunatnym, powinien tak ze względów technicznych jak i finansowych postarać się o nabycie pokładów węgla, tem więcej posiadających tak znaczną wartość, jak zagłębie ostrawsko-karwińskie, leżące do tego bezpośrednio przy będącej w mowie linii kolejowej.

Widocznie osobistościom decydującym zdaje się, że dla administracyi kolejowej będzie bezwarunkowo korzystniejszym nabywanie obcego węgla po wysokich cenach, niż własnego po najniższych, ha — na głupotę lub złą wolę niema lekarstwa.

Sprawozdanie rządowe motywujące wniesienie ustawy o upaństwowieniu kolei północnej wspomina, że objęty wykupnem inwentarz przedsiębiorstwa znajduje się w stanie zupełnie odpowiednim do użytku, mimo, że z uwagi na inwestycye wykazuje częściowe braki i nie stoi na wysokości najnowszych wymagań. Jest to pojęcie bardzo szerokie,

a w kołach fachowych pojęcie, że coś odpowiada celowi, mieści się w granicach daleko ściślejszych.

Dnia 10 stycznia 1906 r. wykoleił się pociąg pospieszny koło Hohenau¹ (mała stacyjka między Gänserndorfem a Lundenburgem); przy sposobności dochodzeń dowiedziano się »ze zgrozą«, że na linii światowej »Wiedeń-Kraków« o pierwszorzędnym ruchu pospiesznym, na całym szlaku istnieje jeszcze przestarzały system nawierzchni nie odpowiadający nowoczesnym potrzebom. Szyny o ciężarze 35 kg. na metr bieżący leżą nie zmieniane od r. 1884, podczas gdy we wszystkich krajach cywilizowanych już od szeregu lat stosuje się szyny silniejsze, o ciężarze 40—50 kg. na mb. A taka zmiana nawierzchni na 412 km. szlaku Wiedeń-Kraków i Lundenburg-Berno (60 km) przedstawi niemały wydatek. Przytem zachodzi konieczna potrzeba i to prawdopodobnie będzie pierwszą czynnością nowego zarządu państwowego, założenia na całej linii centralnego ustawienia zwrotnic, elektrycznego blokowania szlaku i ubezpieczenia sygnałów wjazdowych, aby umożliwić pociągom pospiesznym przejeżdżanie stacyi z normalną chyżością i tym podobnych urządzeń, zabezpieczających ruch na rozjazdach na wolnym szlaku, które istnieją od dawna nawet na drugorzędnych liniach państwowych (także i w Galicji), brak ich jedynie na kolei północnej.

Początkowe dochody upaństwowionej kolei północnej, nawet przy najlepszej administracji, prawdopodobnie nie będą świetne, już bez względu na żądane obniżenie taryf, same zmiany w służbie ruchu, a szczególnie konieczne inwestycje, spowodują przejściowy spadek dochodów, w pierwszych latach, możliwe, że i poniżej wypłacanej rocznej renty skupu.

Różne inwestycje przeprowadzone na liniach kolei północnej w ostatnim dwudziestoleciu (1886—1905) kosztowały 110 milionów koron, co wprawdzie wartość majątku cyfrowo podniosło, lecz przecież odpowiada to wydatkowi rocznemu 5.5 miliona koron, który nie pozostaje w żadnym stosunku do potrzeb, aby podobnego rodzaju przedsiębiorstwo utrzymać w stanie, jaki głównym kolejom stawiają dzisiejsze wymogi ruchu. Nic więc dziwnego, że dzięki umiejętnej dla dawnych właścicieli administracji ostatnich lat, której głównem zada-

¹ Wypadek ten był swego czasu szeroko omawiany; sześć osób zostało ciężko, 17 lekko poranionych. Zarząd kolejowy chciał zważyć winę na *vis maior*, tłumacząc, że przyczyną katastrofy było pęknięcie szyny z powodu mrozu, za co kolej zupełnie nie odpowiada. Kolej przegrała jednak proces w ostatniej instancyi, w połowie grudnia 1906 r.

niem było sztuczne podniesienie cyfry czystego dochodu, bilanse lat przyszłych będą musiały być z natury rzeczy obciążone koniecznymi, bardzo znacznymi wydatkami.

Następujące zestawienie podaje w milionach koron porównanie czystych dochodów i wydatków na inwestycje, rosnących, względnie malejących w sposób wprost rażący i tak

w r. 1901	wynosiły	dochody	25·8	mil. kor.,	inwestycje	9·4
» 1902	»		27·3	»	»	5·3
» 1903	»		31·7	»	»	1·5
» 1904	»		35·5	»	»	1·3

W tym czasie nie sprawiono dla linii głównej ani jednej lokomotywy, a już, nie mówiąc o większem zapotrzebowaniu parowozów z powodu coraz silniej rozwijającego się ruchu, zużycie roczne, licząc, że jedna lokomotywa może pracować lat 30, wymaga przy 556 lokomotywach uzupełnienia o 18 sztuk.

Podobnie przedstawia się i stan parku wozowego; — z końcem r. 1905 posiadała kolej północna na liniach głównych 1.293 wozów osobowych, zaś na 17 liniach lokalnych tylko 13 własnych wozów, a z 21.547 wozów towarowych większą część stanowią stare pudła, które wkrótce trzeba będzie wycofać z obiegu.

Prawdopodobnie nie odpowiadający naturalnym potrzebom ruchu stan parku wozowego był powodem, że ruch towarowy niezwykle silnie rozwijając się na wszystkich autryackich liniach kolejowych, na kolei północnej wzrósł w ostatnich siedmiu latach (1898—1905) z 1908 milionów netto, zaledwie na 2.047 milionów, to jest o 7·3 %, czyli 0·91 % na rok. Przedłożenie rządowe wspomina też w swym elaboracie, że obecny stan parku wozowego nawet ilościowo nie wystarczy na rok przyszły.

Kolej północna, pierwsza w Europie wprowadziła w r. 1895 nowy amerykański typ budowy lokomotyw »Atlantic«, lecz rok ten był zarazem i kulminacją na drodze rozwoju. Od tego czasu datuje się ogólny zastój; zarząd wiedząc o nastąpić mającem upaństwowieniu wprowadził stan, jaki często charakteryzuje niektóre przedsiębiorstwa stojące przed pewną w niedalekiej przyszłości likwidacją. Zresztą Rada Państwa uchwalając w r. 1885 na wniosek rządu przedłużenia koncesyi kolei północnej na dalszych 55 lat, pozwoliła jej niejako przygotować się na mające nastąpić upaństwowienie.

Brak parowozów w chwili objęcia kolei przez państwo i niedostateczne zapasy paliwa na linii mającej własne kopalnie węgla, są

dowodem oszukańczej manipulacji dawnych właścicieli, którym udało się »wykiwać« nowonabywcę, jak również dowodem zaniedbania obowiązków przez władze powołane do kontroli i czuwania nad administracją kolei północnej.

W ustawie koncesyjnej z d. 15 stycznia 1886 Dz. u. p. n. 47 zastrzeżono, że zarząd kolei północnej będzie zobowiązany do bezwarunkowego wykonywania wszystkich nowych urządzeń, które powołane do kontroli organa państwowe uznają za konieczne, — państwo jednak ani razu nie zrobiło użytku z przysługującego mu prawa, mimo, że na kolei północnej o jakichkolwiek większych inwestycjach mowy nie było. Teraz więc rząd będzie musiał usuwać szkody powstałe z długoletniej rabunkowej gospodarki i własnej niedbałości.

Na konieczne rozszerzanie wielu dworców, trzeba będzie w wielu wypadkach wywłaszczać parcele, zabudowane często w bezpośredniej bliskości dworców zakładami fabrycznymi. Przytem sam stan wielu budynków stacyjnych i magazynów jest fatalny, a nawet urągający przepisom bezpieczeństwa ogniowego — najlepszym dowodem zeszłoroczny pożar magazynów kolejowych w Krakowie. A za to wszystko ma państwo wypłacać akcyonaryuszom do końca roku 1940 tytułem renty, wolnej od podatku i jakichkolwiek opłat, uszczuplających dochód akcyonaryuszy, kwotę 30,537.000 kor. za linie główne i 1,616.166 koron za 16 kolei lokalnych, zaś za kolej lokalną Kromieryż-Zborowice wypłacić ma jednorazowo kapitał 1,559.654 koron.

Jak widać, państwo nie zrobiło tak świetnego interesu nabywając kolej północną, winę tego ponosi bezwarunkowo rząd, który nie potrafił w stosownej chwili wyzyskać swych praw zwierzchniczych, ustawowo przyznanych, — lecz można się przynajmniej pocieszyć, że prawdopodobnie będzie to pierwszym krokiem na nowej drodze racjonalnej polityki gospodarczej, jak również pierwszym krokiem do nowej umiejętnej organizacyi zarządów kolejowych, gdzie w grę nie będą wchodziły względy narodowo-polityczne, tak krzewione przez niemieckich centralistów.

Ak.

Z publicystyki zagranicznej.

Głos cudzoziemca o Polsce.

Przed kilku miesiącami wyszła w Bukareszcie książka pod tytułem »Rosyanie i Rumuni« — pełna trafnych historycznych i politycz-

nych spostrzeżeń. Autorem dzieła jest książę D. C. Moruzi, potomek rodziny, której przodkowie zasiadali niegdyś na tronie Multan i Wołoszy. Autor, dziś wiekiem podeszły, przeżył lata dzieciństwa i młodości w swych dobrach w Besarabii, bywał w wielkich miastach Europy, w wysokich towarzystwach rosyjskich i polskich, zna dobrze warstwy omawianych przez siebie społeczeństw, kocha sprawiedliwość i prawdę, broni Polski i sławy polskiego narodu.

Dwa rozdziały poświęcił Moruzi sprawie polskiej; jeden pod napisem: »Pogląd historyczny na naród polski«, drugi: »Wysoka arystokracja i dworzanie«. Tak pierwszy, jak i drugi przytaczam w obszerniejszych wyjątkach.

»Mimo wszystkich zbytków możnych i niedoli małuczkich, wspinałym i rycerskim był w historyi ten naród! Wojowniczy, czasem nawet nieposkromiony pan polski dzielił swe życie między obóz wojenny a pałac pełen bogactw i zabaw, między bój a rozrywkę. Nie trzeba nam przytem zapominać, że naród polski uratował chrześcijaństwo i oświatę pod Wiednia murami.

W sztuce i literaturze stali Polacy na poziomie narodów czasu onego najbardziej wykształconych. Nawet w niedoli dnia dzisiejszego wydali ludzkości poetów, muzyków, malarzy i pisarzy pierwszorzędnych, których ciemniźcyiele ich nie prześcigną nigdy — mimo wszelkiej reklamy francuskiej.

A lud?!... Biedny lud, nękany przez swoich — jak to było we wszystkich krajach feudalnych — lud ten, nawet pod zdobywcami innej wiary, którzy usiłowali go rozjątrzyć przeciw byłym panom, został wiernym swemu Kościołowi katolickiemu, bo jedynie Kościół katolicki przedstawia mu jeszcze i uosabia niewzruszoną miłość narodu. A gdy go przemocą zmuszono i różnemi sztuczkami przywiedziono do tego, by przyjął wiarę zwycięzców, wystarczył jeden ukaz carski, aby wieśniak polski wracał tysiącami do starego swego Kościoła. Być katolikiem znaczy u ludu Królestwa Polskiego tyle, co być Polakiem.

Chłopek polski jest przeświadczony, że mu szlachta zniweczyła byt państwowy. Gdy go więc zapytasz, kogoby sobie wziął za króla, gdyby mu z pod jarzma wyswobodzono ojczyznę, on odpowiada:

— Pewnie, że nie Rosyanina, ani Niemca, ale też i nie pana polskiego.

— Kogóż tedy?

— Matkę Boską Częstochowską!

A odpowiedzi jego towarzyszy głębokie westchnienie.

Czy wy to czujecie, jak głębokie znaczenie mają te słowa?! W nich się odzwierciedla cały stan duchowy ludu polskiego. Niezłomna wiara w Kościół katolicki, który mu wyobraża ojczyznę zmarłychwstałą i nieśmiertelną! Wie, że naród jego ma prawo do życia i bytu państwowego. Czuje się pokrzywdzonym, ale nie może przypuścić, by Matka Boska Częstochowska — serce Polski — która się pogniwała i niniejszem karze jego panów, nie miała Polsce przebaczyć. A gdy Matka Boża Polsce przebaczy, wtedy, oddając jej i ludowi wolność, pokaże również, w jaki sposób i przez kogo ma być rządzoną.

O, spróbujcie jeno, wy, przyszli obywatele ludzkości, wy, co znoscie granice, języki, narody, spróbujcie jeno, jeżeli się czujecie na sile i liczbie, spróbujcie wpoić wasze myśli niemądre w tych dziewięć milionów istot, które uważacie za ciemne, a one tymczasem stoją oparte o wiarę wyższą, starszą i bardziej Boską, niż wasza!... Miłują swe ognisko i język i naród — zachowane im i bronione przez Matkę Boską Częstochowską«.

* * *

»Wiadomo, że rozbiór Polski przypisać należy nie tylko pragnieniom tych trzech sąsiadów, co ją otaczali, ale i nieporozumieniom, ambicyom i zaciętym walkom stronnictw politycznych, których wodzowie wzywali na pomoc cudzoziemca, by łącznie z nim walczyć przeciw swym braciom. Wiadomo również, że, według ustaw Królestwa Polskiego, uchwały i postanowienia sejmu mogły wejść w życie jedynie za zezwoleniem i zgodą wszystkich w sejmie udział biorących, i że wystarczyło, by jeden tylko, choćby najnieznaczniejszy ze szlachty poselskiej, szablę z pochwy wydobył i, sparszy jej koniec o ziemię, wyrzekł swe: *veto!* tem samem unicestwił nawet najpilniejsze i najnieodzowniejsze dla bezpieczeństwa Rzeczypospolitej plany sejmu.

Więc łatwo zrozumieć, jakim sposobem naród polski, posiadając starszą i wyższą oświatę, posiadając język i literaturę bardziej wykształconą i rozwiniętą, niż języki i literatury innych narodów słowiańskich, posiadając znaczenie i sławę historyczną, zdobytą przez rycerskość i męstwo, przez poetyczność i polot, przez strategiczną znajomość i biegłość, — zobaczył się naraz rozdartym i rozbitym na trzy kawały, przez trzech sąsiadów, z których dwóch tylko może mu było równych przeszłością i oświatą.

Nie wchodzi w ramy tej pracy szczegółowy opis podejść i knowań dyplomacyi austriackiej, rosyjskiej i pruskiej, która umiała po-

różnić i powaśnić ze sobą znakomitych naczelników tego szlachetnego a nieszczęśliwego narodu, podniecając ich namiętności, aż ich oślepiła tak dalece, że poświęcili swym nierozważnym popędom narodowość, język i niezawisłość całego narodu, ba nawet i byt państwowy i polskie imię, — oni, którzy dla tego imienia tyle krwi wylali z dziadów-pradziadów i tyle chwały roznieśli i światła! Dosyć, że od onego czasu okupują grzech swój i ciężki swój błąd. Kto wie, wkrótce już może pokuta się skończy.

Sąsiedzi Polski dopięli celu swych wicherzeń.

Cesarstwo austriackie upstrzyło się znowu dwoma więcej narodami — Polakami i Rusinami, przerzucając swe granice poza Galicyę i Wielkie Księstwo Krakowskie. Prusy jednolite, niemieckie Prusy, przeznaczone do tego, by spoić w przyszłości to wszystko, co po niemiecku czuje, myśli i mówi, nie cofnęły się przed gwałtem zadany narodowi nie mającemu nic wspólnego z Germanami, gdy, marząc o połączeniu w jedno wszystkich Germanów, zaczęły o Polaków, społy ze sobą Wielkie Księstwo Poznańskie. Wkońcu jądro i serce tego wielkiego narodu — Warszawa, Królestwo i Litwa — padły zdobyczą carów rosyjskich.

Jaka okrutna losów igraszka! Ludzie, którzy sobie wywalczyli prawo broniące ich wolności osobistej, którzy sobie zdobyli przywilej nietykalności osobistej tak wysoko wysrubowany, iż dla osobistej wolności wolność narodową zniszczyli, ludzie ci widzą się teraz niewolnikami: »Twa wola i słowo twoje będą nam prawem!«

* * *

»Największa część Królestwa Polskiego przeszła pod panowanie cara. Naturalną więc rzeczą i wysoka arystokracja polska przeszła tam w większej liczbie, gdzie miała znaczniejsze posiadłości. Na dworze carskim bywała arystokracja polska przyjmowana zazwyczaj z przepychem; z przepychem i serdecznością bywała goszczona przez arystokrację rosyjską. Wpływ panów polskich był w carstwie przez długie czasy najpotężniejszym.

Przeświadczeni o wyższości narodu swego nad moskiewskim używali arystokraci polscy swego wpływu, by do służby państwowej wprowadzić we wszystkich prowincjach carstwa i w liczbie jak największej małego szlachcica polskiego; celem ich było może polonizować zwycięskie cesarstwo albo co najmniej faktycznie niem ovladnąć. I to nam pono może wytłumaczyć, jak się to stało, że się energiczniej nie sprze-

ciwili — przynajmniej na początku, — by drobne urzędy w Polsce dostały się w wielkiej części Rosyanom. Snać mniemali, że im z tej strony niebezpieczeństwo nie grozi, a spodziewali się pewnie, że ci Słowianie stopią się z narodem polskim i przejdą do Kościoła katolickiego. Rachuba ta nie była właściwie zbyt mylną, bo chociaż wypadki nawrócenia się urzędników rosyjskich i zlania z ogółem polskim są bardzo rzadkie, to jednak faktem jest dzisiaj, że nie znalazłbyś w całym cesarstwie miasta, o jakim takim znaczeniu, któreby nie miało licznej, mocnej i wpływowej kolonii polskiej z katolickim kościołem.

Ale wróćmy do sposobu życia przedstawicieli narodu po rozczłonkowaniu kraju. Spędzali oni życie zazwyczaj w bogatych swych zamkach, gdzie przepych Wschodu i hojność słowiańska jednoczyły się z najwyrafinowańszym zbytkiem i kulturą Zachodu, przyjmując często i goszcząc samego nawet cara w swych podwojach i tytułując go z dumą: »Wasza Królewska Mość!« A dopóki im jeszcze cień sejmu pozostał, chętnie w Warszawie spędzali swe życie, gdzie huczne i buńczuczne wydawali w swych pałacach zabawy i bale. W Petersburgu spotykałeś ich rzadko; zjawiali się tam jako osobiści przyjaciele carów i carowych raczej, niż jako poddani, z góry patrząc na szlachtę rosyjską.

Lecz stan taki nie trwał długo i na pierwsze hasło rzucone przez Napoleona Bonaparte, porzucili wszystko — rodzinę i mienie — byle tylko zmyć błędy przeszłości choćby krwią swoją. Wiemy, jak się skończyła ta świetna epopeja, zamknięta i zapieczętowana śmiercią Poniatowskiego w mętnych nurtach Elstery. Od roku 1815 do 1830 przeszedł naród polski przez nieprzerwany szereg cierpień, prześladowań i upokorzeń wszelkiego rodzaju — odwet za chwilę zapału.

Potem przyszło wspaniałe powstanie z roku 1830 — cuda bohaterstwa kmiotków Kościuszkowych — podniecane i podtrzymywane przez wszystko, co naród lechicki miał najdumniejszego i najznakomitszego. Bitwy pod Ostrołęką, na pragskim przedmieściu... zajęcie i spalenie Warszawy, a wkońcu: szubienice... konfiskowania posiadłości... długie szeregi jeńców pędzonych ku ciemnej północy... ku zamarzłej Syberii... *Pochód na Sybir!*¹

A w kilkadziesiąt lat później, w 1863 r., wskutek pobudki innego już Napoleona, nowa znowu nadeszła chwila ocucenia... nowe

¹ Aluzya do poezji Aleksandriego *Pohod na Sybir*, w której poeta opisuje czarną dolę wygnańców.

rozzczarowanie... nowy przelew krwi... nowe zgłiszczają i szubienice... nowe szeregi brańców... nowy Pochód na Sybir!

A którzy uszli śmierci, Sybiru i konfiskaty, opuszczali wszystko i uchodzili do Genewy albo Paryża. Zdaje się, że zgniecionym przez caryzm rosyjski ta jedynie droga stała otworem. Branicki i Krapotkin, Czartoryski i Neczajew uchodzą do Paryża i Genewy! Aż krew żołdatów Kutuzowa i Suwarowa, przelana na ziemi wolności w celu utrzymania niewoli, nie jest dla niewolników hasłem pobudki do walki za wolność?!

A mimo to wszystko dowiedziona jest rzeczą, że ze wszystkiej arystokracji różnonarodowej, różnoreligijnej i różnojęzycznej — która cara otaczała — jedna tylko jedyna została wierną swej wierze i narodowi swojemu, a tą jest: wysoka arystokracja polska!

Znajdą się bez wątpienia i w jej szeregach iskaryoci, odstępcy i perekińczycy; poznałem nawet osobiście pewien rodzaj... Jasińskiego, co nosił hrabiowską koronę i zaszedł wcale wysoko.

Jasiński, katolik, urodzony w Polsce, z polskich rodziców, staje się naraz prawosławnym — Jasińskij. A strasznym jest Jasińskij! Zachowaj mnie Boże od losu biednego Polaka, który wpadł w ręce Jasińskiego, a przy swej wierze i narodowości stoi wytrwale!

Ale, jeżeli wziął za przykład odstępstwa takiego Jasińskiego, nie chciałem dać przez to do zrozumienia, że ten naród waleczny, co jaśniał w historii, jest skłonny do odstępstwa i zdrady. Przeciwnie — wyjątki te są bardzo rzadkie i nie zaciemniają w niczem sądu czytelnika o stanie duchowym pierwszego i najwyższego szczebla towarzysztwa rosyjskiego, które czytelnik może obecnie objąć swym wzrokiem w całości«.

* * *

»Sądzę tedy, że z tego, com dotąd wykazał, każdy sobie obecnie zdaje sprawę ze stanu duchowego polskiego narodu pod zaborem rosyjskim i z usposobienia, z jakim naród ten przyjąłby konstytucję rosyjską lub sfederalizowanie z dotychczasowymi ciemiężycielami. Że w obecnej chwili naród polski przyjąłby nie tylko sfederalizowanie czy konstytucję rosyjską, ale i nikły, bezbarwny samorząd (autonomię) — w to wierzę; aleby ją przyjął tak, jak żołnierz ranny przyjmuje pieczę lekarską od wroga. Przyjmuje pieczę, by nie umrzeć, lecz wyzdrowieć. Ale że ten żołnierz — wyzdrowiawszy i czując się na siłach,

by bronić i pomścić swój naród — pójdzie sam dobrowolnie bić się obok swego wroga i w obronie swego wroga... w to niechaj sobie uwierzą, jeśli mogą, przyszli obywatele ludzkości!»

Na tem kończą się refleksye o Polsce.

I. M. Zattokiewicz.

Listy z Warszawy.

Dwa lata w życiu Warszawy.

(Dokończenie).

Od wszystkich grup narodowych odcina się bardzo wyraźnie »postępowa demokracja«, stawiająca cele i ideały ogólnoludzkie ponad cele narodowe. Grupa ta nie chce zrozumieć, że wszelką budowę nowego gmachu należy rozpocząć od fundamentów. Nikt nie buduje kościoła, pałacu, nawet najprostszej chałupy od dachu. Społeczeństwo, któremu wypadki polityczne odjęły elementarne warunki istnienia i rozwoju narodowego, które nie posiada prawa być sobą u siebie, nie może się bawić w uszczęśliwianie ludzkości. Cóż nas w tej chwili może obchodzić ludzkość, którą my nie a nie obchodzimy, która nas wykreśliła z listy narodów niezależnych? Zdobycie praw i swobód narodowych jest obecnie naszym najbliższym, jedynym celem, naszą »koszulą«, i dlatego mają tylko stronnictwa narodowe sens polityczny, praktyczny.

Demokraci postępowi chcą być już dziś obywatelami świata, postępowcami w rozumieniu radykalistów francuskich. Są oni, jak mieszczaństwo francuskie z czasów wielkiej rewolucji, »osobistymi wrogami« księdza katolickiego i szlacheica. Nie omijają żadnej sposobności, aby wyrazić w organach swoich, w *Prawdzie* i w *Ludzkości* (dawnej *Gazecie Handlowej* i *Gazecie Nowej*) »swojej pogardy dla wsteczników«, którzy uznają tradycję historyczną naszego kraju i szanują Kościół katolicki, albo choćby tylko religię wogóle. Jest to dla nich »średnio-wieczysta«.

Zrazu rekrutowała się »postępowa demokracja« z niedobitków byłego pozytywizmu warszawskiego pod komendą głównego szampiona owego pozytywizmu, Aleksandra Świętochowskiego, kokietowała wcale niedwuznacznie socyalistów, umizgała się z przymrużonemi miłośniczymi oczami do wszelakich jawnych wywrotowców, gdy jednak tragizm ter-

roryzmu wytrzeźwił, ochłodził w zapale radykalnym głowy rozważniejsze, zostali pod sztandarem »pedeków« prawie tylko sami oświeceni Żydzi, i wówczas »wyszły szydła z worka«. 'Postępowi demokraci, zowiący wszelki nacjonalizm grzesznym szowinizmem, niekulturalnem wstecznictwem, uprawiają po cichu najgorszy, najzacieklejszy z wszystkich nacjonalizmów, bo żydowski. W grupie tej wodzą rej dwaj bracia Kempnerowie, Stanisław i Gabryel.

Od postępowych demokratów odcięła się gromadka dawnych pozytywistów i utworzyła »polską partję postępową«. Nieliczną tę gromadkę prowadzą: Antoni Sygietyński i Henryk Konic. Organem ich jest dziennik *Przełom*.

Ani postępowi demokraci ani polscy demokraci postępowi nie wpływają na szersze masy. Są oni sztabem bez wojska. Na szali walki wyborczej mogły ciężarem swojej liczby zaważyć tylko dwa stronnictwa: narodowi demokraci i socjaliści, a ponieważ socjaliści nie kwapili się do urny wyborczej, przeto było zwycięstwo narodowej demokracji koniecznością matematyczną.

I zwyciężyła narodowa demokracja bez wielkich wysiłków. Bruźdili trochę Żydzi, przebudzone jednak poczucie narodowe było tak potężne, iż usunęło wszelkie przeszkody. Do Petersburga, do dumy pojechali sami narodowi demokraci. Realisci i postępowcy ponieśli zupełną klęskę. Naród nie powierzył im ani jednego mandatu.

W Warszawie tymczasem i w kraju srożyła się burza anarchii, z każdym tygodniem groźniejsza. Bojowcy partyi socjalistycznych »konfiskowali pieniądze skarbowe i u burżujów«, ograbiali kasy rządowe, bankierskie, fabryczne, napadali wkońcu pociągi kolei żelaznych, przewożące większe sumy. Wyroki śmierci, wydawane przez ukrytych dyktatorów i wykonywane z błyskawiczną szybkością z za węgla, zniecka, skrytobójczo, szły po sobie nieprzerwanym szeregiem. Codziennie donosiły gazety o zabójstwach politycznych, codziennie ginęły na bruku miast i miasteczek, w restauracjach, w szynkach albo przedstawiciele policji i władz innych, albo jacyś winowajcy.

Grozę położenia powiększył zwykły objaw wszelkich anarchii — bandytyzm. Własność prywatna znalazła się nagle na łasce i niełasce pierwszego lepszego rabusia, któremu przyszło do głowy po nią sięgnąć. W jasny dzień, na ulicy, wśród tłumu ludzi, rzucali się bandyci na przechodniów, zabierali im pieniądze, zegarki, kosztowności w jasny dzień, w sąsiedztwie patrolów wojskowych i posterunków policyjnych wpadali do sklepów, do kantorów, do banków i wypróżniali kasy.

A wszędzie, gdzie spotkali choćby najmniejszy opór, tam strzelali, zabijali. Za kilka rubli, za kilka złotych mordowali bez namysłu człowieka, nie oszczędzając kobiet i dzieci.

Warszawa oniemiała z osłupienia, z przerażenia. Skąd wzięli się ci rozbójnicy w mieście jeszcze niedawno tak spokojnem, tak bezpiecznem? Wracało się nocą do domu bez laski, spotykało się na ulicach różne podejrzone figury, a nikomu nie przyszło na myśl lękać się tych bezdomnych paryasów wielkich miast. I im nie przyszło na myśl rzucać się na bezbronnego człowieka. Skąd nagle ten legion rabusiów i morderców, to zuchwalstwo, ta zbrodnia, chodząca w pełnem słońcu?

Każde społeczeństwo posiada w swoim łonie różne męty, szumowiny — złodziei, rabusiów, morderców. Ale ta plugawa czeladź szatana kryje się w czasach spokojnych, uregulowanych w norach i dziurach, lękając się światła dziennego, wie bowiem, że gdyby się ośmieliła wyściubić nos w jasny dzień, weźmie ją czujna ręka sprawiedliwości za kołnierz i osadzi za okratowanymi oknami kryminału.

Ta cała zuchwała hołotka wychodzi w czasach niespokojnych, w chwilach, kiedy rewolucye osłabiają ramię władzy, rozprzegają wiązania porządku, ze swoich kryjówek na drogi, na ulice i zaczyna gospodarować, jak u siebie. Tak działo się we wszystkich rewolucjach przeszłości.

Warszawa posiadała już przed wybuchem rewolucyi bogaty materiał na bandytów. Byli nim t. zw. nożowcy, różne męty przedmiejskie, załatwiające między sobą wszystkie spory i rachunki za pomocą noża.

Z tych mętów przedmiejskich rekrutowali się prawdopodobnie nasi pierwsi bandyci.

Byli to zrazu bandyci dosyć niewinni. Pod pozorem zbierania składek na różne cele rewolucyjne, chodzili po domach i prosili o pieniądze, ale prosili w sposób tak stanowczy, tak groźny, iż każdy, czując za tą prośbą nóż lub rewolwer, dawał czempredziej kilka złotych, kilka rubli, byle pozbyć się czempredziej szczególnego rodzaju »delegatów«. Znajdowali się między tymi pierwszymi bandytami humoryści. Głównie Żydzi grabili z humorem. Siedzi sobie »burżuj« żydowski przy stole, zajada smacznie obiad lub kolację, a tu wchodzi od tyłu, przez kuchnię gromadka wyrostków żydowskich, którzy strzeliwszy dla postrachu w sufit, mówią: dawaj obiad, dawaj kolację, jesteśmy komunistami-anarchistami! »Burżuj« karmi »komunistów-anarchistów«, daje im w garść trochę grosza. Syci, zadowoleni z siebie działacze, każą

sobie jeszcze zagrać na fortepianie, tańczy, bawią się i odchodzą. Nikomu nie przychodzi na myśl wezwać policyi, wie bowiem, że gdyby »zdradził« panów »anarchistów-komunistów«, dni jego są policzone. Jutro, pojutrze położy go nóż, rewolwer na bruk, na wieczny spoczynek.

Powodzenie zachęca, podnieca apetyt, rozzuchwala. Kiedy tak dobrze idzie, można się odważyć na większe imprezy. I oto zaczynają się napady na większą skalę, napady na ulicy w biały dzień na inkasentów, idących z pieniędzmi, na kasyerów, wiozących pieniądze do wypłaty robotników lub do banków, na instytucje finansowe, sklepy i t. d. Przy takich większych napadach trzeba się bronić. Zwykły rabuś staje się mordercą.

Na rozwój bandytyzmu wpłynął niewątpliwie terror rewolucjonistów. Żłódziej, rabuś, dowiadujący się codziennie o »konfiskatach« i zabójstwach, zarządzanych przez »partye«, widząc, że te konfiskaty i zabójstwa odbywają się najczęściej bezkarnie, nabrał animuszu. Zbrodnia jest zaraźliwa, jak zakaźna choroba. Co wolno innym, to wolno także mnie.

Bandytyzm przeniósł się z miast na wieś. Gromady uzbrojonych rabusiów napadają dwory, plebanie, bogatszych chłopów, wiążą, maltretują służbę, właścicieli, w razie, gdy służba, właściciele odmawiają wydania pieniędzy, kosztowności, wskazania miejsca, schowka, gdzie się znajdują pieniądze, kosztowności, poddają mieszkańców torturom. Panu Wacławowi Mińskiemu, obywatelowi z Grójeckiego, nacinali tępym nożem skórę, w innym majątku wlekli za włosy po wszystkich pokojach dziedzickę staruszkę. Wymógłszy w ten sposób wskazanie schowanka, zabierają wszystko, co posiada jakąś wartość, każą sobie zaprządz do wozu, do bryczki i odjeżdżają najspokojniej. Bywają nawet tacy eleganci, jak się zdarzyło p. Orsettiemu w Kutnowskim, którym mało bryczki. Karetą każą się odsyłać. Inni znów siadają do stołu przed odjazdem i gniewają się na ograbionych, gdy nie chcą pić »na ich zdrowie«. Nie zbywa na humorystycę tej straszliwej tragedyi.

Od początku r. 1906 zostajemy pod ciągłą grozą bandytyzmu. Czasem ucichnie ta okrutna groza na tydzień, dwa i wybucha znów z podwojoną gwałtownością.

Większe napady bandyckie zdumiewały doskonałemi informacyami i sprawnością napadających. Rabusie wiedzieli zawsze, gdzie ktoś szedł z większymi pieniędzmi, gdzie, kiedy ktoś odebrał z poczty, z banku

jakąś znaczniejszą sumę. Napadając, uciekając, działali zawsze podług pewnego, umiejętnie obmyślanego planu, słuchali jakiejś komendy. Było widoczne, że nie pojedyncze indywidua działają, lecz jakaś dobrze zorganizowana, wytresowana banda. Było tak w istocie, co odkrył wypadek.

Przy jakimś napadzie w Warszawie w październiku (1906 r.) raniono i ujęto jednego z napastników, jakiegoś Makowskiego. Ten Makowski, czy pod wpływem wyrzutów sumienia, skruchy, czy też z innych powodów, »wyspiewał« tajemnice bandytyzmu. Od niego dowiedziała się policja, że główni bandyci wychowali się w dobrej szkole bojówki socjalistycznej.

Kiedy socjalizm postanowił »konfiskować« mamonę rządową i burżujów i stosować krwawy terror do policji, urzędników administracji i różnych »burżujów«, skazanych przez jego trybunał na śmierć, trzeba było utworzyć legię bojową, czyli wykonawców. Zadania tego podjął się niejaki Bogdan Rudomina, młody chłopiec, cieszący się wielkiem uznaniem wśród młodzieży szkolnej, obdarzony niezwykłym talentem organizatorskim. Udało mu się w krótkim czasie zebrać gromadę zuchów, zdecydowanych na wszystko. Wymusztrowawszy bojowców, zaczął »konfiskaty« i egzekucye.

Przez pewien czas konfiskowali i zabijali bojowcy tylko w służbie swoich partyi. Zmiarkowawszy jednak, że rabunek i mord prowadzą prostą drogą do majątku, że można żyć nie tylko wygodnie, ale nawet dostatnio, gdy się umie zręcznie grabić i bez miłosierdzia zabijać, pewna część bojowców wymówiła posłuszeństwo i zaczęła uprawiać »konfiskatę« na swój własny beneficj. Na postanowienie to wpłynęła oszczędność komitetów partyjnych. Pomiedzy innemi urządzili bojowcy napad na IV-te warszawskie Towarzystwo wzajemnego Kredytu. Napad udał się, do kasy partyi wpłynęła znaczna suma, bojowcy zaś wzięli za fatywę, za ryzyko tylko po pięć rubli od głowy. Oburzyła ich ta oszczędność ich władzy, i wówczas odczepiła się pewna część bojowców od organizacji i zaczęła działać na własną rękę. Z »odłamek bojówki socjalnej demokracji« połączyła się inna grupa, t. zw. »zmowa robotnicza«. Dwie te grupy utworzyły jedną bandę, która była doskonale zorganizowana, miała swojego szefa sztabu, niejakiego Bronisława Iwanowskiego (Abrahama), przygotowującego plany napadów, musztrującego rekrutów, i swojego jenerała wykonawczego, niejakiego Majteczaka (Napolicza), prowadzącego bandytów do boju.

I oto przyjęła znów kształty plastyczne stara prawda, że czło-

wiekowi nie wolno pokazywać zbrodni jako ideału, jako czynu obywatelskiego, bo gdy przywyknie do bezkarnej swawoli i poliże krwi, budzi się w nim brutalne, drapieżne zwierzę. Nie tacy ludzie, jak członkowie bojówki socjalistycznej, zasmakowawszy w bezkarności gwałtów, grabieży i zabójstwa, współzawodniczyli z pospolitymi bandytami. Wśród terrorystów francuskich XVIII stulecia plamili się kradzieżą i niewinnie przelaną krwią »filozofowie«, »oświeceni«, którymby nigdy nie było przyszło na myśl pracować dla gilotyny, gdyby rewolucya nie była w nich przebudziła i podnieciła *la bête humaine*. Zbrodnia polityczna wyradza się w końcu zawsze w zbrodnię pospolitą. Trzeba być bardzo ostrożnym z krwią. Zapach jej odurza, upaja, osłepia człowieka.

Wszakżeż i twórca bojówki warszawskiej, Bogdan Rudomina, w pierwszej chwili niewątpliwie tylko fanatyk rewolucyjny, nie umiał zapanować nad pokusą łatwego zarobku. Jego własni współwyznawcy, jego »towarzysze« zastrzelili go, jak wściekłego psa, za to, że, zamiast oddawać tajnemu komitetowi wszystkie zrabowane pieniądze, zatrzymywał pewną ich część dla siebie.

Członków »odłamu bojówki socjalnej demokracji« i »zmowy robotniczej«, wskazanych przez owego Makowskiego, ujęła policya, widocznie jednak nie tylko oni połakomili się na »pieniądze burżu-jow«, bandytyzm bowiem nie ustał.

Ofiarą bandytów padł Jan Gadomski, literat-publicysta, autor »Larika«, redaktor *Gazety Polskiej* (d. 9 października 1906 r.). Kula pospolitego łotra pozbawiła nasze społeczeństwo jednego z tych niewielu u nas publicystów, którzy umieli w chwili ogólnego pomieszenia pojęć zachować spokój, przytomność umysłu, którzy umieli być rozsądnymi w chwili, kiedy bezkrytyczny entuzjazm poniósł nawet zdolne skądinąd głowy. Ogromna szkoda tej jasnej, logicznej, przytomnej głowy, wzmocnionej odwagą cywilną i uczciwością obywatelską.

Gadomski walczył od samego początku odważnie z bandytyzmem i nawoływał społeczeństwo do samoobrony. I właśnie on musiał zginąć z ręki skrytobójcy. Rewolucye komponują niezwykle tragedye.

Obok wielkich rekinów zbrodni gospodaruje w Warszawie i na prowincyi od samego początku anarchii tysiące drobnych płotek grzechu. Zuchwali żebracy, którzy żebrzą, pokazując pięść, złodzieje, włamywacze, fałszerze pieniędzy, szulerzy, szantażyści — cała, słowem, służba szatana, wylała się na nasz skołatany kraj cuchnącą powodzią. Aż dziw, skąd się w Królestwie wzięło tyle szumowin, gdzie się to

wszystko legło, ukrywało; dopiero czasy anarchii wskazują, jak bardzo jest ludziom potrzebna religia i silna, sprężysta władza.

Wytworzył się u nas nowy typ złoczyńców... dawniejsi rekrutowali się zwykle z najniższych nizin, pogrążonych w ciemnocie, pijanństwie i grzechu. Dziś chwytą policja na gorącym uczynku bardzo często młodzieńców, odzianych wytwornie, wyrażających się poprawnie, należących do pół-intelligencji. Tu i owdzie brały nawet dzieci, młodzież szkolna udział w napadach bandyckich. Procent wyrostków w legionach zbrodniczych jest bardzo znaczny.

Z powodu częstych napadów na poczty, zamknęła władza w Królestwie 150 biur pocztowych (9 marca 1906 r.). Z powodu napaści na banki, na sklepy, uzbroili się urzędnicy banków, a kupcy otwierają drzwi sklepów dopiero po przypatrzeniu się klientowi przez szybę.

Kiedy Warszawa zamienia się w jaskinię zbrodni, Petersburg przygotowuje się do przyjęcia Dumy w pałacu Taurydzkim. Otwarcie sejmku poprzedziła dymisja hr. Wittego (4 maja 1906 r.) i nominacja Goremykina na prezesa ministrów a Durnowa na ministra spraw wewnętrznych, którego miejsce zajął w kilka dni potem (10 maja) Stolypin.

Nadszedł nareszcie długo, gorąco oczekiwany dzień 10 maja. Posłowie zjechali się do Petersburga — pałac Taurydzki otworzył dla nich swoje podwoje.

Nadzieje wszystkich ludzi rozważnych leciały radośnie ku owej dumie, ku owemu pierwszemu sejmowi rosyjskiemu, spodziewając się od niego uspokojenia wzburzonych umysłów.

Nadzieje te zawiodły. Zamiast wejść na drogę twórczej pracy prawodawczej, дума powiększyła jeszcze rejwach polityczny, wi-chrzący od lat dwóch w imperyum, zamiast rozpocząć przebudowę państwa od dołu do podwalin, zabrała się od razu do szczytu, do dachu.

Że pierwszy sejm rosyjski roztrwonil dużo czasu na jałową, cczą gadaninę doktrynerską, popisową, temu się dziwić nie można. Kto milczał przez szereg pokoleń, ten chce się raz dobrze, do syta »wygadać«, wyrzucić z wnętrzości wszystkie swoje żale, nienawiści, nadzieje. Wszystkie pierwsze sejmy grzeszą z początku marnotrawstwem słowa i wszystkie posiadają w łonie swoim znaczny procent nowicuszów i ambitników, którzy chcą się popisać przed licznem, szerokiem audytoryum talentem oratorskim, zabłysnąć, zwrócić na siebie uwagę. Ludzie są ludźmi.

Ale dziwić się należy mężom oświeconym, z których się pierwsza дума w większej połowie składała, że stanęli od razu na stanowisku tak skrajnie radykalnem, tak bezwzględnie wywrotowem, na jakie się dotąd żaden sejm europejski a nawet amerykański nie odważył. Prawo własności, podstawę wszystkich społeczeństw cywilizowanych, chciała przerwrocić pierwsza дума rosyjska, i postawić na miejscu własności prywatnej eksperymenty kolektywistyczne. Popełniła ona ten błąd niespodziewany w nadziei zjednania dla celów rewolucyi wielkich, milionowych mas proletaryatu ludowego i w zamiarze zmuszenia rządu, w którego szczere intencye nie wierzyła, do uległości.

Ale rząd nie ustraszyl się bardzo śmiałych, grożących przemówień posłów. Zmiarkowawszy, że дума dąży do powiększenia chaosu anarchistycznego, że dolewa oliwy do wielkiego już i bez tego ognia, rozwiązał pierwszy sejm rosyjski (dnia 22 lipca 1906 r.), naznaczwszy zwołanie nowego, drugiego na marzec 1907 roku.

Był to krok bardzo ryzykowny. Nawet najspokojniejsze żywioły spodziewały się teraz wybuchu, zbrojnej demonstracyi narodu. Tymczasem okazało się po raz wtóry, że rewolucya przecenila swoje siły, że nie była jeszcze dojrzała. Bo na zamach rządu odpowiedziała cisza. Naród cały, jak mniemały partye skrajne, nie zaprotestował z bronią w ręku.

Najrozważniej zachowało się w dumie »Koło polskie«. Nie ośniewało ono wprawdzie zebrania w pałacu taurydzkim ani talentami oratorskimi ani zdolnościami politycznemi w szerszym stylu, jako korporacya jednak, jako ciało zamknięte, zwarte, jednolite, jako »delegacya polska« okazało dużo spokoju i zrozumienia potrzeb naszego kraju. Za ten spokój, za tę rozwagę wylały na posłów polskich nasze stronnictwa skrajne ogromny kubeł pomyj, nazwały ich chuliganami, czarną sotnią, wstecznikami i t. d., w polityce trzeba się jednak przyzwyczaić do tego rodzaju krytyki. Stronnictwo polityczne przemawia wszędzie i zawsze bez rękawiczek, posługuje się wszędzie i zawsze słownikiem rozniewanych przekupek.

Równocześnie z rozwiązaniem dумы nastąpiła w naczelnym rządzie państwa ważna zmiana. Miejsce Goremykina na stanowisku prezesa ministrów zajął Stołypin, mąż stanu szerszych poglądów i człowiek uczciwy.

Zawiedziony w nadziei uspokojenia imperyum przy pomocy dумы, rząd postanowił na własną rękę stłumić rewolucyę. Zabrał się do tego trudnego dzieła Stołypin bardzo energicznie. Zaprowadził

w prowincjach najburzliwszych stan wojenny i t. zw. wzmocnioną ochronę, nakazał nie oszczędzać rewolucjonistów.

Na energię rządu odpowiadały stronnictwa rewolucyjne buntami wojskowymi i zamachami na urzędników administracji i policji. Zbuntowały się załogi w Kronsztadzie, zbuntowali się majtkowie na okręcie »Pamięć Azowa« (w pierwszych dniach sierpnia). Buntury te stłumiono bardzo prędko.

W Warszawie i w Królestwie wtórowali rewolucyoniści akcyi swoich towarzyszków rosyjskich grabieżami w wielkim stylu i licznymi zamachami na funkcyonaryuszów rządowych. Szybko szły po sobie napady na pociągi kolei żelaznych, wiozące znaczniejsze sumy pieniędzy (napad na pociąg na linii Herby-Częstochowa; napad pod Warszawą, pod Włochami) i różne zamachy. »Krwawą środą« nazywała Warszawa dzień 15 sierpnia 1906 r. Pod kulami rewolucyi padło tego dnia w Warszawie i w miastach prowincjonalnych kilkudziesięciu policyantów i żołnierzy. W trzy dni potem (18 sierpnia) rzucono bombę na generał-gubernatora warszawskiego Skałłona, w dziewięć dni po tym zamachu zabito warszawskiego generał-gubernatora wojennego Wonsarskiego (27 sierpnia) i t. d. Krwawo zapisał się sierpień 1906 r. w kronice rewolucyi. Na ten sam miesiąc (25-tego) przypada zamach na prezesa ministrów Stołypina w willi na wyspie Aptekarskiej.

Wzmocniony ruch partii rewolucyjnych spowodował wzmocnioną obronę rządu. Odpowiadając na zamachy bojowców, ogłosiła władza centralna sądy polowe (6-tego września).

Zrobiło się w Warszawie duszno. Rewizye domowe, rewizye uliczne, przeciągające bezustannie po mieście patrole piesze i konne z bronią nabitą, gotową w każdej chwili do strzału, wypłoszyły z »grodu syreniego« bojaźliwszych, a tych, którzy nie mogli sobie pozwolić na wyjazd, zamknęły w domach wśród czterech ścian.

Ale człowiek ma dziwnie giętką naturę; przywyka do wszystkiego. Co go dziś przeraża, przestaje być jutro dla niego groźnem. Już w połowie października zaroila się znów Warszawa, i rusza się, pracuje, bawi się, chodzi do teatrów, na koncerta, na odczyty, gawędzi w cukierniach, jak gdyby czerwony sztandar nie powiewał nigdy nad jej dachami, jak gdyby sądy polowe były słomianym straszakiem.

A sądy polowe nie próżnują. Co kilka dni odbywają się w Warszawie i w miastach prowincjonalnych przyspieszone egzekucye (szubienica i kula karabinowa). Rzekę krwi ludzkiej wytoczyła już z młodych przeważnie ciał rewolucya i jeszcze się nie nasyciła. Zabija rząd,

zabijają partye wywrotowe, zabijają bandyci. I nie widać końca tej straszliwej roboty.

Znalazł się w Petersburgu jakiś cierpliwy statystyk, który obliczył w dzienniku *Strana*, ile ofiar pochłonęła dotąd rewolucya. Według niego zabito i raniono w państwie rosyjskiem z przyczyn natury politycznej aż do 1 listopada 1906 r. 16.962 osób. Z cyfry tej przypada na obywateli 13.381, reszta zaś na przedstawicieli władzy.

»Obywatele ginęli w sposób następujący: powieszono 215 osób, rozstrzelano na mocy wyroków »zwyczajnych« sądów wojennych 341, powieszono i rozstrzelano na mocy świeżo powstałych sądów polowych 221 osób (w ciągu 2 miesięcy), ekspedycje karne pochłonęły 741 ofiar, reszta zaś ciąży na rachunku żołnierzy, kozaków, rewirowych, policyantów, »chuliganów«, »ekspropyatorów« i innych.

»Z przedstawicieli władzy wykonawczej najbardziej ucierpieli żołnierze i kazacy (750), następnie policyanci i strażnicy (452), za nimi komisarze, rewirowi i »urjadnicy« (226), urzędnicy (123), oficerowie (109), żandarmi i agenci policyi śledczej (96), generał-gubernatorowie i wyżsi przedstawiciele władz (81), »isprawnicy« i policmajstry (60), wreszcie gubernatorzy i wyższe władze żandarmeryi (33).

»Podział zabójstw i porażeń na okręgi tak się przedstawia: Najwięcej ofiar z pośród obywateli zabrała rewolucya na południu Rosyi (4.368 osób), następnie w Petersburgu i Moskwie (2.364), przyczem niemałą rolę w utworzeniu tej cyfry odgrywa rewolucya moskiewska, potem środkowe gubernie cesarstwa (2.086), a za niemi — t. zw. kresy: Polska (2.010), kraj Nadbałtycki (1.610), Kaukaz (1.516), Syberya (1.086) i kraj Północno-zachodni (851).

»Co się tyczy przedstawicieli władz, pierwsze miejsce zajmuje kraj północno-zachodni (354), dalej Polska (282), za nią obie stolice (239), południe Rosyi (233), gub. centralne (221), kraj Nadbałtycki (216) i Syberya (91). Dla generał-gubernatorów, gubernatorów i innych wyższych przedstawicieli władzy cyfry te grupują się nieco inaczej, a mianowicie: Południe (21), następnie centrum (20), stolice (19), Polska i Kaukaz (po 15), kraj Północno-zachodni (13), kraj Nadbałtycki (7) i Syberya (2).

»Ruch rewolucyjny wydał również bardzo obfite plony pod względem zamachów na cudzą własność. Liczba samych tylko grabieży dochodzi do 2.000. Składa się ona z następujących pozycji: ograbiono poczt, kas, cerkwi i różnych instytucji rządowych — 940 (z tego 524 sklepów monopolowych); reszta przypada na własność prywatną. Straty,

spowodowane grabieżą, wynoszą, według obliczeń prowizorycznych, około 7 milionów rubli. Należy tu mimochodem podkreślić dwa charakterystyczne zjawiska, towarzyszące tego rodzaju przestępstwom w ciągu roku ubiegłego: 1) że większość ich spełniona została wśród białego dnia i 2) że sprawcy nie zostali przeważnie wykryci. Pod tym ostatnim względem pierwsze miejsce zajmuje Królestwo Polskie.

Cyfry, podane przez statystyka *Strany*, nie mogą być oczywiście dokładne, ściśle; imperyum bowiem rosyjskie jest tak rozległe, iż nie wszystko, co się dzieje na jego olbrzymich przestrzeniach, dochodzi do wiadomości władzy i dzienników. Tysiące ludzi zginęło niewątpliwie podczas różnych napadów, grabieży, bójek i demonstracji ulicznych, o których nikt nie wie. Nie omyli się prawdopodobnie, kto do cyfry podanej przez *Stranę*, doloży jeszcze tysiąc, dwa tysiące ofiar, czyli, że rewolucya pożarła dotąd lub okaleczyła około 20.000 osób. Gdy się rozważy, że tak straszna, tak krwawa wojna, jak japońska zabiła 31.187 ludzi, nie przesadzi, kto nazwie dotychczasowe rezultaty ruchu wolnościowego drugą wielką klęską wojenną. A przecież to jeszcze nie koniec.

Nie koniec, bo sądy polowe pracują w tempie przyspieszonym, a robotnicy zaczynają się pomiędzy sobą mordować.

Nie wszyscy robotnicy należą do partii socjalistycznych. Są między nimi narodowcy, którzy nie pochwalają taktyki i metody terrorystów, którzy są patryotami. Przeciwno tym robotnikom-narodowcom zwróciła się nienawiść socjalistów. Fabryki, w których pracują socjaliści i narodowcy, są areną bezustannych bójek, kończących się zwykle śmiercią lub okaleczeniem kilku ludzi. Głównie miasta fabryczne, Łódź i Zgierz, przerażają krwiożerczością. Niema dnia, w którymby dzienniki łódzkie nie zapisały jakiegoś morderstwa partyjnego. Zmęczone temi ciągłemi zabójstwami, ogłosiły matki, żony, córki i siostry robotników łódzkich w *Rozwoju* łódzkim (w ostatnich dniach października 1906 r.) odezwę, wzywającą swoich ojców, mężów, braci do zaprzestania walki bratobójczej.

»Po tylu krwawych kłótniach i wyrzucaniach wzajemnych — skarżą się kobiety — my, robotnice fabryczne, świadki tego wszystkiego, nie możemy się powstrzymać, żeby nie zawołać na was, ojcowie, bracia, mężowie nasi, ze łzami w oczach i okropnym bólem w sercu:

»Zastanówcie się, co robicie, przelewając krew bratnią, płacz matek, żon i dzieci waszych woła już o pomstę do nieba! Jak w taki sposób postępować będziecie, to nie potrzeba innych nieprzyjaciół, bo

się sami pomordujecie. Wstyd dla nas i hańba, że synowie jednej ziemi tak się zabijają, następują na siebie, jeden drugiemu wydiera ten ciężko zapracowany kawałek chleba, nie zważając na głód i nędzę dzieci swoich. »Nie wiecie czyjego ducha jesteście«. Wstyd dla naszej Polski przynosicie, bo inne kraje już się wyśmiewają z naszej gospodarki.

»Bracia kochani! zaprzestańcie już tych walk bratobójczych, przecież my wszyscy na jednej ziemi polskiej żyjemy, jej chleb jemy, jedne troski w fabrykach dzielimy, wspólnie pracujemy, razem jesteśmy gnębieni i razem w jednego Boga wierzymy — a przykazania najświętszego miłości nie wypełniamy. Czy ty, ojczyznowco, czy ty, synu socjalisto, czy ty, pepeesie albo esdeku, opamiętajcie się, przecież wyście wszyscy Polakami!

»Dosyć już tych walk, dosyć łez, dosyć krwi i mordów! Błagamy was na Chrystusa rany, pogódźcie się wszyscy, podajcie sobie bratnie dłonie, niech zgoda, jedność i miłość zapanują nareszcie pośród nas, bo tylko w jedności lepsza przyszłość dla ludu roboczego i siła ukochannej naszej Ojczyzny.

»Niech Królowa Korony Polskiej, Matka Boska z Jasnej Góry, wyjedna nam to i poruszy serca tych zakamieniałych, zaślepionych i chwiejnych braci naszych, wesprze nasz głos i uprosi zgodę tak upragnioną«.

Zdawałoby się, że tak prosta, tak serdeczna skarga wzruszy nawet oszalałe namiętności stronnice.

Nie wzruszyła... Na odezwę robotnic narodowych odpowiedzieli socyal-demokraci łódzcy odezwą, wzywającą do mordowania narodowców.

Teodor Jeske-Choiński.



WIELKI WYNALAZEK

I. NADZWYCZAJNE TEGOŻ SKUTKI.

Po przeczytaniu powieści Wellsa, wielki a zasłużony hellenista mr. Smith, rozmawiał długo wieczorem ze swoim młodym a już znakomitym przyjacielem, historykiem sztuki, któremu było na nazwisko mr. Jones, o tem, jakaby to im rozkosz sprawiło, gdyby to tak było można pojechać nie w przyszłe, fantastyczne światy, o których Wells chętnie rozprawia, lecz w przeszłość rzeczywistą, do starożytnych Aten, albo choćby do renesansowej Florencyi. Wiedzieli obaj sławni angielscy uczeni, że to niepodobieństwo, że dla nich Londyn, w którym zamieszkali, pozostanie jedyną powszednią rzeczywistością, że tylko książki albo widome przeszłości zabytki mogą im świadczyć o cywilizacyach zaginionych, opartych na bardziej idealnej podstawie, ale jednak oddali się tej miłej a niewinnej zabawie, iż dłuższy czas lubowali się w urojonych podróżach do siedzib dawnej myśli i dawnej sztuki. Mr. Smith, powróciwszy do domu, bawił jeszcze swoją żonę rozmową o projektach, których wykonanie było zupełnem niepodobieństwem, o tem samem marzył usypiając, pożegnawszy się wpierv z dozgonnym przyjacielem, który odjechał nocnym pociągami do dzieci przebywających w Devonshire, nad brzegiem morza.

Było jeszcze bardzo wczesnie, kiedy nazajutrz mr. Jones wpadł do samotnej sypialni wielkiego hellenisty. Nie tylko niebywała godzina odwiedzin, ale cała postawa i wyraz twarzy mło-

dego dziejopisarza sztuki świadczyły o tem, że jakąś nadwyzczajną przynosił wiadomość.

Jakoż w istocie Jones zawołał, siadłszy na krzesle koło łóżka przyjaciela:

»Wyobrażcie sobie, jaka dziwna zaszła koincydencya! Gdyśmy wczoraj wieczór rozmawiali, zdawało nam się, że pleciemy koszałki opalki; a tu oto, w dzisiejszym numerze *Timesa* stoi wyraźnie, że mr. Egerton zrobił istotnie odkrycie, za pomocą którego można się żywcem przenieść na czas dłuższy w dowolnie obraną chwilę przeszłych wieków i w miejsce upragnione wśród tej przeszłości. Stoi nawet w gazecie, że biuro Cooka będzie, począwszy od dziś, sprzedawać bilety na podróż w przeszłość. Będziemy zatem mogli urzeczywistnić to, co nam się wczoraj wydawało bajecznem marzeniem«.

Smith myślał zrazu, że śni; ale potarł sobie ręce, potarł sobie oczy i przekonał się, że jest na jawie, najpewniej na jawie. Wydarł przyjacielowi z rąk gazetę, przeczytał w niej kilkakrotnie ustęp donoszący o zadziwiającem odkryciu, przekonał się, iż jest wydrukowany w miejscu, a napisany tonem nie dopuszczającym mistyfikacyi, że to wiadomość poważna i wiarogodna; zerwał się zatem na równe nogi, umył się, ubrał, przecesał rude faworyty — bo wąsów nie nosił, trzymając się uporczywie zarzuconej już zresztą narodowej mody, — wypił naprędce poranną herbatę, zjadł dwa jaja na miękko i trochę zimnego mięsa, i wnet znalazł się przy boku Jonesa na ulicy. Obaj szli przyspieszonym krokiem, w kierunku niezbyt odległych biur międzynarodowego towarzystwa Cooka.

Przyjaciele rozmawiali na drodze o tem, dokąd pojadą. Oczywiście, że do Hellady starożytnej i to najpierw do Aten, skąd porobią wycieczki w inne strony kraju, o ile się potrzeba okaże a sposobność nadarzy. Smith nakupi rękopisów co niemiara i obdarzy ludzkość nowożytną zatraconemi dziełami wielkich starożytnych pisarzy; Jones porobi fotografie starożytnych gmachów, posągów, rzeźb i obrazów — być może kupi nawet jakiś starożytny obraz sztalugowy inkaustem malowany, na każdy sposób rozstrzygnie ostatecznie różne kwestye sporne, dotyczące się topo-

grafii starożytnej i historii sztuki greckiej; obaj zaimponują światu i zakasują wszystkich dotychczasowych hellenistów i archeologów. Ze względu na te zamierzone sukcesy, chcieli się zrazu wybrać w późniejszą starożytność, w czasy rzymskie, a przynajmniej macedońskie, bo w tych czasach znajdują i rękopisów i dzieł sztuki większą nierównie obfitość. Przeważyły jednak inne względy, a zanim obaj przyjaciele do biur Cooka dotarli, postanowili pojechać do Aten w czasie wojny peloponezkiej; w tym bowiem czasie mogli oglądać pełń starohelleńskiego życia, mogli być świadkami wypraw wojennych i narad politycznych albo rozpraw sądowych, mogli oglądać najświetniejsze przedstawienia teatralne; — a co najważniejsza, pan Smith mógł poznać osobiście pana Sokratesa, którego był niezmiernie ciekaw.

Gdy się w biurze Cooka dowiedziano, jaka sprawa obu panów sprowadziła, wskazano im osobny pokój, w którym siedział przy dużym biurku Egerton, słuszny i śniady sprawca niesłychanego wynalazku. Egerton wysłuchał z uwagą żądania obu przyjaciół, a odrzekł potem z prostotą i powagą znamionującą znakomitych ludzi:

»Istotnie zrobiłem wynalazek, który panowie wspominacie. Biuro Cooka gotowe panom żądane wydać bilety, radzę jednak się namyslić, zanim się na to karkołomne puściecie przedsięwzięcie«.

»Karkołomne!« — zawołał Smith — »a to dlaczego?»

»Mniejsza o to« — ciągnął dalej Egerton — »że w kraju starożytnym zamieszany w dodatku bratobójczą a nieubłaganą wojną, niejedno niebezpieczeństwo i zdrowiu i nawet życiu grozić będzie. Ale łatwo być może, iż popadniecie w niewolę u jednej ze stron wojujących, a wtedy nie będziecie się mogli na czas stawić z powrotem. Wiedźcie zaś o tem, panowie, że jeśli zabawicie w Helladzie starożytnej dłużej jak sześć miesięcy, powrót stanie się niepodobieństwem, swoich nie zobaczycie nigdy, będziecie musieli żyć i umierać w starożytności, a dla waszych przyjaciół i krewnych pomrzecie od razu«.

Smith i Jones popatrzyli po sobie; ale po chwili namysłu oświadczyli zgodnie, że dla takiej imprezy warto się na niebezpieczeństwa największe narażać.

»Ale na tem nie koniec« — rzekł Egerton — są większe jeszcze niebezpieczeństwa, które się dotyczą już nie was samych tylko panowie, ale całego społeczeństwa. To też nie radziśmy byli z opublikowania mojego wynalazku; tylko małe grono najpoważniejszych uczonych powinno o niem wiedzieć, a bilety możemy dawać tylko ludziom zupełnie godnym zaufania. Widzicie panowie, gdyby który z panów wmieszał się niebacznie do spraw publicznych starożytnej Hellady za czasów wojny peloponezkiej, mógłby bieg dziejów zmienić, a wtedy musiałoby się odstać wszystko, co się od owego czasu aż po dziś dzień stało. Wszystko, co się dzieje, bywa możliwem tylko na podstawie tego, co się działo w przeszłości; gdyby zatem który z panów był tak nieostrożnym, iżby stał się w starożytności, przed dwoma tysiącami i trzemaset laty, czemś innem jak prostym i biernym widzem, gdyby którykolwiek z panów wpłynął na ówczesny tok zdarzeń, cały przebieg tych dwu tysięcy trzechset lat musiałby być odmienny, a nikt nie zdołałby tego przewidzieć, jakby głęboko te zmiany sięgały, czyby teraźniejszość wobec tych zmian mogła być tem, czem jest obecnie. Widzicie zatem, panowie, że może tu chodzić o rzeczy najdonioślejsze, nawet wprost o potęgę Anglii. Panowie jesteście ludźmi, o których wiem, że skoro zostaliście przestrzeżeni, do żadnych obaw nie dacie powodu; wydam zatem panom bilety, ale pod warunkiem, abyście się zobowiązali słowem angielskich dżentelmenów, że tam w starożytności wstrzymacie się od wszelkich rad i od wszelkich czynów politycznych«.

Usłyszawszy te słowa wynalazcy, Smith i Jones popadli wprawdzie na chwilę w nastrój uroczysty; dali jednak żądane słowo, i kupili bilety na pobyt sześciomiesięczny w starożytnych Atenach, gdzieś pod koniec piątego stulecia przed Chrystusem. Egerton nie mógł poręczyć ani za dzień, ani za miesiąc, ani nawet za rok, w którym do Aten przybędą. Że zajadą do Aten, to było rzeczą pewną, równie pewnem było i to, że za sześć miesięcy najdalej powrócą do Londynu, i to pewnie na Palmal. Wynalazek pozostawiał jednak dotąd o tyle do życzenia, że można było tylko oznaczyć trzydziestolecie, w którym pobyt w starożytności wypadnie, a zatem ogólnie »czasy wojny peloponezkiej«. Cena

biletów była wcale słoną; każdy z nich kosztował pięćset funtów szterlingów. Smith pocieszał jednak siebie i przyjaciela tem, że życie w starożytności będzie bardzo tanie z powodu wielokrotnie wyższej w owych czasach wartości złota.

Wyjazd mógł dopiero za kilka tygodni nastąpić, a obaj śmiali podróżnicy zajęli się przez ten czas uporządkowaniem interesów. Bywali także w klubie, gdzie nawet letnią porą zawsze kilku przyjaciół napotkać mogli. Tu chwalili się niemało swoim śmiałym przedsięwzięciem, korzyściami, jakie dla nauki przyniesie i niebezpieczeństwami, na jakie się dla dobra ludzkości narażą. Milczeli oczywiście o tem, że postępowanie z ich strony nierozważne — mogłoby ewentualnie brytyjską potęgę na szwank narazić, ale rozwodzili się szeroko nad osobistemi niebezpieczeństwami, połączonemi z podróżą w daleką przeszłość; prawili o wojskach nieprzyjacielskich nastających na siebie, o zbójach, mordach i pożarach, o tem, że mogli łatwo, wraz z ludnością całą jakiegoś zdobytego miasta, popaść w niewolę, albo położyć głowę pod topór, słowem, że tak łatwo w tej wyprawie przepaść mogą, iż koniecznie spiszą przed wyjazdem testament. A mówili tak, aby drugich od podobnych podróży odstraszyć i w ten sposób zapewnić dla siebie całą chwałę i całą zasługę, a potem i może głównie dlatego, aby przybrać pozę bohaterską i stać się przedmiotem powszechnego podziwu. To ostatnie udało im się tak dalece, że niebawem cały Londyn prawił tylko o ich męstwie szalonym.

Pomiędzy przyjaciółmi napotykanymi w klubie zajmował mr. Brown jedno z miejsc najpoważniejszych, jako sławny a straszliwie uczony przyrodnik. Brała go zazdrość, kiedy słuchał przechwałek. Stanowisko swoje towarzyskie zawdzięczał nie tyle nauce, ile sławie nieustraszonej, którą pozyskał na dwu naukowych wyprawach. Raz w życiu wyprawił się w samo serce Afryki, aby tam zupełne zaćmienie słońca obserwować, drugi raz przedsięwziął badania geologiczne w środkowej Azji, gdzieś nad owem jeziorem Kukunoon, nad którego brzegami błdzą dzikie wielbłądy. Teraz owi podróżnicy w przeszłość gotowi byli przyćmić jego chwałę; tego przenieść nie mógł i oświadczył, że wybierze się do starożytności wraz ze Smithem i Jonesem.

Jones próbował wytłumaczyć Brownowi, że nie będąc ani hellenistą, ani miłośnikiem sztuk pięknych, gotów się w Atenach za peloponezkiej wojny nudzić; ale przyrodnik odparł, iż musi się przyłączyć do wyprawy, nie mogąc pominąć sposobności przekonania się, czy flora i fauna Grecyi nie uległa jakiej fizyologicznej albo morfologicznej zmianie w ciągu dwu tysięcy trzechset lat. Stało się tedy na tem, że Smith i Jones poszli do Cooka kupić trzeci jeszcze, dla Browna przeznaczony, bilet podróżny. Nie pożałowali tego ustępstwa, bo Brown dał im nieocenione wskazówki praktyczne; za jego namową postanowili ograniczyć jak najbardziej podróżne przybory, przyoblec nieplamiste ubrania z lekkiego sukna, popielate, w czarne kratki, a prócz tego kamasz i kapelusze panama z płócienną zasłoną, zwisłą ponad karkiem. Każdy z podróżnych wziął z sobą tylko po jednej dużej, pakownej, ale dającej się w rękę ponieść, skórzanej torbie podróżnej, do której włożył, prócz niezbędnych naukowych przyborów, bieliznę i drugie ubranie, podobne do tego, które przyobłókł, i wreszcie krótką sztukę złota. Brown bowiem słusznie zauważył, że w Atenach starożytnych pieniądze angielskie gotowe kursu nie mieć, że najbezpieczniej będzie tam szczerę złotą do mennicy oddać i na starożytne statery przekuć.

Gdy nadszedł dzień odjazdu, pożegnali się uczeni z najbliższymi, a nie chcąc swoim odjazdem widowiska sprawiać, udali się samotrzeć do biura Cooka. Egerton zaprowadził ich do ustronnego pokoju, w którym stało ogromne pudło, podobne z kształtu do hotelowego »liftu«, ale pozbawionego okien. Gdy podróżni do tego pudła weszli, znaleźli się zrazu w zupełnej ciemności; wnet jednak wpuszczono do wnętrza najrozmaitsze niewidzialne albo słabo jaśniejące promienie: promienie x, promienie n, promienie Crooxa i promienie Bequerela, promienie katodyczne i promienie anodyczne, promienie Röntgena i promienie radu. Wszystkie te promienie pomieszane razem, sprawiły we wnętrzu pudła niestworzoną awanturę, tak że aż straszno chwilami było nieustraszonym nawet podróżnikom. Stękało, brzęczało, jęczało, stukało, pukało, drapało, kichało, błyskało, migało, a całe pudło drżało i wirowało w sposób przeraźliwy. Nareszcie pudło wstrząsło się

tak silnie, że podróżnicy ledwo się na nogach utrzymać mogli. Uspokoilo się wszystko.

Smith zawołał: Wreszcie jesteście w starożytności!

Brown przypomniał sobie wtedy, że wybierając się w podróż tak daleką, zapomnieli o bardzo ważnej rzeczy; nie zaopatrzyli się u Cooka w bilety hotelowe. Ale teraz było już za późno, aby zapomnienie naprawić.

Jones otworzył drzwi od pudła. Trzej przyjaciele ujrzeni znowu światło dzienne, a wyszedłszy z pudła, znaleźli się w obszernej pieczarze Erichtonyusza, którą za czasów przedhistorycznych wykuto w żywej skale. Pieczara ta, podobnie jak wiele innych w Grecyi, przypomina kształtem wnętrze olbrzymiego ula, a została później ujęta w przestrzeń bezpieczną, odgraniczoną od reszty Attyki przez długie mury Temistoklesa, łączące miasto z Pirejem.

Jones i Smith bywali już kilkakrotnie w Attyce pod koniec dziewiętnastego wieku. Wyszedszy jednak z pieczary na świat szeroki, ledwo krajobraz poznać mogli; widywali niegdyś źle uprawne, kamieniste, rzadką pszenicą porośnięte pola, przez które prowadził gościniec obsadzony smutnymi brzoźami. Teraz roztoczył się przed zdziwionym wzrokiem widok na bujne winnice i gaje oliwkowe, na śliczne, cieniste, gęsto posągami przystrojone ogrody i na barwny a wykwintny tłum pań i panów — chcę mówić mężów i niewiast — przechadzających się wśród marmurów i zieleni.

Jones zaraz w pierwszej chwili zauważył głośno, że stroje antyczne wyglądają całkiem inaczej na scenie, na obrazach i nawet na posągach starożytnych, a całkiem inaczej na ludziach, którzy tego stroju poczynawszy od dzieciństwa i nie dla komedyi używają.

Ale wnet przyjaciele zauważyli, że się sami stali przedmiotem powszechnej ciekawości. Zwrócili na siebie uwagę obcislęm ubraniem w kratki, wielkimi torbami podróżnymi, faworytami rudymi i okularami hellenisty, rudym wąsikiem historyka sztuki, a rudą brodą przyrodnika. Zrazu kilka grup przechodniów przypatrywało im się ciekawie, z daleka, ale wnet otoczył ich

gęsty tłum mężczyzn, niewiast i dzieci, obywateli meteków i niewolników. Wszyscy gapili się z niemałym podziwem na ten nie widziany dotąd i niesłychany gatunek barbarzyńców.

Mr. Smith był w Londynie przekonany, że umiał doskonale po starogrecku; pisywał nawet w tym języku elegie, którym krytyka współczesna pochlebnie wydała świadectwo. Chciał się tedy wdać w rozmowę z otaczającym tłumem i szlachetnym Hellenom wytłumaczyć, że to niewinni turyści, Hyperborejczycy spragnieni hellenńskiej mądrości stanowią przedmiot ich podziwu. Okazało się jednak niestety, że wymowa uczonego hellenisty, a wymowa starożytnych Ateńczyków różniły się tak dalece od siebie, iż porozumienie się było niepodobieństwem. Słowa niezrozumiane wymówione przez Smitha, wywołały tylko głośny śmiech u tubylców i wzmogły ich ciekawość tak dalece, że się stała wprost natrętną.

Położenie naszych podróżników stawało się zenującem. Oswobodziła ich nareszcie ateńska policja — chcę mówić, łucznicy scytyjscy, którzy ładu w mieście pilnowali. Wzięto wszystkich trzechuczonych w areszt i zaprowadzono — nie na odwach — tylko wprost do portyku, przed trybunał jednego z dziewięciu archontów, sprawujących doroczne rządy w mieście.

Rozmówić się z archontem nie można było na żaden sposób, choć przywoływał tłumaczy mówiących rozmaitymi barbarzyńskimi językami. Przesłuchanie stawało się zresztą coraz bardziej nieprzyjemnem, bo tłumy wiedzione ciekawością mnożyły się nieustannie, zapełniając sobą otwarty portyk i przypatrując się Anglikom zupełnie tak, jak gdyby to były jakieś dziwaczne okazy ludzkości, wystawione w cyrku Barnuma.

Archont był to człowiek oświecony i ludzki, a wcale nie jakiś okrutny barbarzyńca. Zawyrokował, że wprawdzie obecność takich trzech ludzkich dziwadeł w Atenach, i to w czasie wojny jest rzeczą podejrzaną i domagającą się obywatelskiej czujności, że jednak srogie obejście z przybyszami sprzeciwiałoby się prawom gościnności, mogłoby gniew bogów nieśmiertelnych sprowadzić na rzeczpospolitą, a ubliżałoby z pewnością dobrej sławie Aten; kazał ich zatem zaprowadzić do swego skromnego, ale dość dostatniego domu. Tu będą goście bezpieczni przed natrętną zgrają

i wypoczną z nużącej może podróży, a będą równocześnie pod okiem i pilnie strzeżeni dopóty, póki się archont nie przekona dowodnie, że nie są szpiegami, że w niczem miastu zaszkodzić nie mogą.

W domu archonta zaprowadzono zrazu Anglików do gościnnego pokoju, wychodzącego na kwiatami i drzewami owocowymi obrosły dziedziniec. Pokój był bardzo pierwotnie urządzony, a otrzymywał światło dzienne tylko przez drzwi. Były tu jednak łoża i podróżnicy mieli gdzie złożyć swoje pakunki. Brown skrzywił się trochę na niewygodę, ale dodał, że gorzej w środkowej Afryce bywało.

Archont zjawił się po chwili u swoich gości i zaprosił ich na posiłek, który się składał z placków, kuci, rybek suszonych i fig i który się wcale Brownowi nie podobał, a u Smitha wywołał pochwalne dla klasycznej kuchni wykrzykniki. Wszystkich rozculiła prostoduszna uprzejmość archonta i domowników, a podobał się niezmiernie wdzięk młodej jeszcze małżonki gospodarza. I tu byli Anglicy przedmiotem ciekawych oględzin, ze strony kilkunastu znajomych i przyjaciół domu, którzy się zeszli, aby oglądać cuda. Ciekawość tych dobrze wychowanych Ateńczyków była jednak dyskretną a raczej miłą. Poprawiły się uczonym humory, a Jones podziwiał coraz bardziej gospodynię, która siadłszy pod gruszą na dziedzińcu i przywoławszy do siebie troje ślicznych dzieci, wyglądała jak cudowny a żywy posąg.

Jones pobiegł wreszcie do pokoju przeznaczonego dla nieznanymi podróżników, a wrócił niosąc trójnog jakiś o przedługich, niepięknych kształtach i czarne, dotąd nigdy w Helladzie niewidziane pudełko; zwrócił szkło w pudełku osadzone w stronę pięknej archontowej, wrócił potem z pudełkiem do swojej izby, zatrzasnął drzwi za sobą, a po niejakiem czasie przyniósł archontowej na czarnej tabliczce szkiełko. Spojrzała pani na szkiełko i wydała okrzyk zadziwienia; spojrzał jej mąż, spojrzeli goście, dzieci i domownicy i widocznie oczom swoim wierzyć nie mogli, bo na tem szkiełku widniał wizerunek gospodyni otoczonej gronem dzieci.

Wiść o zdjęciu fotograficznem rozeszła się piorunem po

Atenach. Każdy chciał archonta odwiedzić, zobaczyć gości i stworzony przez nich obrazek, a podziw wzmógł się jeszcze, gdy zamiast dość niewyraźnego obrazka na szkłe, pochwalił się Jones dwunastoma fotografiami gotowemi, na kartonie w formacie wizytowym. Mnóstwo cywilizowanych ludzi usiłowało się porozumieć z przybyszami, a skutkiem tych usiłowań było to, że Smith wreszcie pochwycił wymowę Ateńczyków. Sądził wprawdzie, że jest wadliwą, ale koniec końcem postanowił przemówić do nich niewłaściwym akcentem, ludzi nie posiadających widocznie dostatecznych filologicznych wiadomości, bo czuł, że tego potrzeba, aby się móżdż porozumieć. Brakło tylko zrazu kurażu do pierwszej przemowy.

Zjawił się wreszcie w domu archonta Krytyasz, o którym Smith wiedział z ksiąg starych, że to wielki pan, a wielki wszelkiej sztuki i nauki miłośnik. Kazał sobie najpierw pokazać obrazki, o których tyle w całych Atenach mówią, a obejrawszy fotografie i wypytawszy się gospodarza o sposób ich powstania, zawyrokował, że to wynalazek barbarzyński, który się rzeźbiarzom i malarzom na coś przydać może. Zbliżył się potem do cudzoziemców, patrząc ciekawie na ich postacie cudackie.

Teraz Smith zebrał się w kupę i ku największemu zadziwieniu otaczających, przemówił po grecku w sposób wcale zrozumiały. Rzekł: »Myśmy podróżni z kraju Hyperborejczyków, a przybyliśmy do boskich Aten, wieńczonych fiołkami, jedynie w zamiarze nauczzenia się helleńskiej mądrości, o której słyszeliśmy tyle, że ją nad wszystko inne wynosimy«.

»Przybyliście z kraju Hyperborejczyków? — powtórzył Krytyasz z widocznem niedowierzaniem, — a jakążecie to drogą dostali się do Aten?«.

Smith odrzekł: »Za pomocą bogów nieśmiertelnych, w sposób, który nam nie wolno Ateńczykom wyjawiać«.

»No, — rzekł Krytyasz — słyszałem już wiele o tem, że Hyperborejczycy, od bogów ukochani, dostali się w przeciagu wieków dwukrotnie, na wyspę Delos, aby uczcić Apollina i Artemidę. Ale tę opowieść zaliczałem pomiędzy bajki. Skoro powiadacie, że

jesteście Hyperborejczykami, gotówem we wszystkie babskie bajki uwierzyć».

Krytyasz rozmawiał teraz czas dłuższy ze Smithem. Przekonał się wreszcie, że to barbarzyńiec wcale do rzeczy, niepozba- wiony nawet pewnych rudymentów wykształcenia. Zakończył tedy rozmowę mówiąc: »Zapraszam was do domu mego, gdzie większej zażyjecie wygody i gdzie się większą swobodą cieszyć będziecie, skoro sam przyjmę całą odpowiedzialność za postęпки moich go- ści. *Ma femme sera charmée*«.

II.

Jones rozkoszował się w domu Krytyasza pięknymi porty- kami, rozkosznymi wirydarzami, zaludnionymi przez śpiewne ptac- two i mnóstwem rozmaitych dzieł sztuki, które się w wielkopań- skiem znajdowały mieszkaniu. Brown narzekał na to, że brakło najelementarniejszych wygod, mimo niezliczonej służby; nie było ani jednego materacu, ani jednego meblu na resorach; i kuchnia dyabła była warta. Przyznawał wprawdzie, że w dawniejszych po- dróżach większych nierównie doznawał niewygód; wołał jednak, że nigdzie nie kazano mu pić rzeczy tak bezsensowej i niesmacznej, jak greckie wino żywicią zaprawne. Smith unosił się; był w sió- dmym niebie, na samą myśl, że mieszka u tego samego Krytya- sza, którego znał z dyalogów Platona, że codziennie obcuje z in- nymi znajomymi tychże dyalogów i z komedyi Arystofanesa. Zresztą i Brown nawet musiał przyznać, że życie w domu Krytyasza było na ogół wcale przyjemne, tem bardziej, że podróżnicy cie- szyli się teraz zupełną wolnością i mogli się tłuc po mieście i poza miastem, ile im się tylko podobało.

Smith i Jones bawili się w sposób bardzo niewinny, niemo- gący nikomu szkody przynieść. Wyrobiła się zatem w Atenach opi- nia powszechna, że to barbarzyńcy nieokrzesani wprawdzie i cie- mni, ale spokojni, na których pochwałę wypadało przyznać, iż są spragnieni helleńskiej mądrości. Jones latał zrazu po wszyst- kich świątyniach i portykach Aten, zdejmując skrzętnie fotografie ze wszystkich posągów i płaskorzeźb, fresków i obrazów inkau- stem wypiekanych, które przechowywano w miejscach dla publi-

czności przystępnych; wybrał się potem zrazu statkiem do Argos, a następnie z pielgrzymką do Olimpii, a bawił w Olimpii długo, fotografując rozmaite rzeczy, a przedewszystkiem fotografował słynnego Zeusa Fidyaszowego, z przodu, z tyłu i ze wszystkich stron, tak w całości, jak w szczegółach. Smith chodził w Atenach po bibliopolach, to jest po sklepach, któreśmy dziś, barbarzyńskim językiem księgarniami nazywać przywykli, poszukując pilnie rozmaitych rękopisów. Mógł się niebawem pochwalić tem, że kupił kilka poematów cyklicznych, stworzonych przez naśladowców Homera, wszystkie tragedye Sofoklesa, wszystkie komedye Arystofanesa, kilka dramatów Agatona, kompletne wreszcie dzieła filozofów Demokryta i Heraklita. Byłby zapewne ten skarb znakomitych, a za dni naszych zatraconych pism znacznie powiększył, gdyby nie to, że raz przypadkiem spotkał na ulicy jegomościa łysęgo, mającego czoło niezmiernie wypukłe, oczy na wierzchu i nos zadarty, a chodzącego boso po bruku ateńskim. Odgadł zaraz, że to ów Sokrates, którego nadewszystko był ciekaw, poznał pana Sokratesa, zbliżył się do niego, został przezeń uprzejmie przyjęty do koła przyjaciół i słuchaczy, i spędzał odtąd cały czas wolny od jedzenia i spania na ustawicznych rozmowach z ekscentrycznym, przenikliwym, a dowcipnym mędrceem.

Biedny Brown nudził się w Atenach. Kilka dni wystarczyło na stwierdzenie, że w przeciągu dwu tysięcy trzechset lat, ani fauna ani flora żadnej istotnej nie uległy zmianie. Zaczny przyrodnik spróbował zaznajomić się z Atenkami; sprzykrzyły mu się jednak wkrótce, gdy się przekonał, że trudno było rozmówić się z tymi paniami po angielsku. Zachodził do różnych gimnazjów, w których się młodzież ćwiczyła cieleśnie zapomocą atletycznych sportów, a umysłowo przez rozminowy ze starszymi; uczył nawet efebów gry w *cricket* i w *football*; nie w smak mu poszło jednak odkrycie, że starożytni Ateńczycy, mieli co do spraw miłosnych smak przewrotny; zaniechał tedy niebawem chodzenia po gimnazyach.

Z nudów wybrał się Brown do Faleru, wojennego portu Aten, gdzie się gotowała flota mająca niebawem wypłynąć na morze. Tryremy Ateńczyków wydały mu się mizernemi łodziami

o naiwnej a niezręcznej budowie. Nauczył się już mówić łamaną greczyzną, oglądając tedy owe statki, nie mógł się powstrzymać od poczynienia kilku uwag, co do sposobu, w któryby można szybkość i obrotność tryrem znakomicie powiększyć. Trafność tych uwag uderzyła żeglarzy; powtórzono zatem słowa hyperborejskiego barbarzyńca obydwom najdzielniejszym wodzom ówczesnych Aten, Trezybulowi i Kononowi. Wodzowie kazali Browna do siebie przywołać, a stało się niebawem, że Brown przebywał tak samo nieustannie w generalnym sztabie rzeczypospolitej, na rozmowie z hetmanami, jak Smith w towarzystwie Sokratesa. Zwróciło to na siebie uwagę wszystkich w mieście, stało się przedmiotem mnogich uwag i domysłów.

Sokrates spytał się raz Smitha na przechadzce: »Czy nie wiesz, czy się nie domyślasz, o czym hetmani nasi mogą całymi dniami rozmawiać z twoim towarzyszem Brownem? Wszystkich to zaciekawia, mnie to czasem niepokoi. Mam wrażenie, jakoby mnie mój Demon przestrzegał, że z tego coś niedobrego wyniknąć może«.

»Nie wiem napewne — odrzekł Smith — ale domyślam się, że snadno z tego dla waszej rzeczypospolitej wielkie dobro wyniknąć może. Zapewne przyjaciel mój Brown ważnych nauk Kononowi i Trezybulowi udziela«.

»Na psa, egipskiego Boga! — zawołał Sokrates — czyż hyperborejski barbarzyńiec czego nauczyć może mężów, którzy słyną pomiędzy najmędrszymi, w najmędrszym mieście Hellady?»

»Wiedz o tem, o synu Sofroniska i Filarety, — odparł Smith — że ja i Jones jesteśmy pokornymi uczniami waszymi, a wiemy na pewne, że wszelka cnota i wszelka umiejętność dzisiejszych Hyperborejczyków, rodaków naszych, początek swój czerpie w mądrości waszej, o boscy Helleni! Brown jednakże to wcale inny człowiek. Nie tylko mnie i Jonesa prześcignął, ale mądrością swoją ponad wasze nawet wyrasta głowy, a może zaiste występować jako nauczyciel wobec Trezybula i Konona«.

»O popopopopopoj! — zawołał Sokrates — jakież to wielkie wyrzekłeś słowo! Przejąłeś serce moje niewysłowioną radością, gdym się oto dowiedział od ciebie, że spotkałem istotnego mędrca,

który mądrości wcale już nie szuka, a mądrość znalazł. Takiego mędrca szukam całe życie, ale dotąd znaleźć go nie mogłem. Spotykałem ludzi, którzy się mądrością swoją chełpili, ale gdy im zawierzyć chciałem, zawodziły ich przepowiednie, rady nie dopisywały, a same ich wywody okazywały się sprzeczne z sobą, albo niejasne, skoro się skrzętniej o przyczynę ich zdania dopytywałem. Czyżby Brown miał być podziwu godnym człowiekiem, mogącym dać rady, na które spuścić się można bez obawy zawodu i wskazywać niechybnie drogi mądrości?»

»Tak jest — potwierdził Smith, odczuwając w głębi duszy cichą radość za odwet, który mógł wziąć na Sokratesie. Mimo całej swojej czci dla mądrości Ateńczyków i choć się sam przed sobą do tego nie przyznawał, obrażało go to i upokarzało jego miłość własną, że ilekrotnie próbował się wdać w jakąś dyskusję z Sokratesem, a wypowiadał zdanie zaczerpnięte z najbardziej zachwalonych nowożytnych teorii filozoficznych, spletał się w labirynt nierozwikłanych sprzeczności, skoro próbował odpowiadać na pytania zadawane mu przez Sokratesa. Teraz czuł się na pewnym gruncie i wołał z akcentem tryumfu: »Tak jest, kiedy Brown coś twierdzi, nie tylko niezawodne poda wskazówki, ale umie je uzasadnić nieomylnie. I Brown nie sam jeden w naszym kraju taką odzierżył mądrość; on jeden z pośród wielu, choć jeden z najznakomitszych. Porzuciwszy manowce gołosłownych twierdzeń i błędnych rozumowań, pytali się mędrcy nasi doświadczenia, zmuszali doświadczenie do dawania wyraźnych odpowiedzi, stali się uczniami przyrody i wyuczywszy się jej tajników, posiadli nie już mniemania niepewne, tylko wiedzę niezawodną«.

»Przedziwne mówisz mi rzeczy, o najdroższy! — rzekł na to Ateńczyk — a gdy tę twoją słyszę odpowiedź, nie mogę się temu nadziwić, jaka to ciekawość was aż w nasze dalekie zawiodła strony, czego się od nas pragniecie nauczyć, kiedyście taką przedziwną posiadli wiedzę. Ale skoro tak wychwalasz mądrość Browna, raduję się szczerze, że się od niego potrafię czegoś nauczyć. Pragnę od dawna cnoty nadewszystko; ojcowie bowiem przekazali nam od ojców swoich wiarę, iż cnota to najwyższe dobro, a wiem na pewne, że najdzielniejszym pośród ludzi byłby ten,

któryby cnotę prawdziwą, cnotę ludzką posiadał, tak samo jak nazywamy najdzielniejszego konia niekiedy koniem cnotliwym. Lecz na to, aby cnotę posiadać, trzeba jej się nauczyć, a na to, aby jej się nauczyć, trzeba wiedzieć czem jest? A tego właśnie żaden z Hellenów powiedzieć nie umiał. Nieprawdaż, o najlepszy, dowiem się teraz od Browna tego, czego się dotąd daremnie dopytywałem? Skoro posiadał mądrość tak rzetelną a niezawodną, powie mi, czem jest cnota?»

Smith odpowiedział nieco zawstydzony: »Nie Sokratesie; tego ci ani Brown, ani żaden z naszych mędrców na pewne powiedzieć nie zdoła. Mozolili się niegdyś nad tem u nas i u sąsiednich narodów mężowie uczeni, tocząc ustawiczne pomiędzy sobą spory, ani się wzajemnie przekonać nie mogli, ani nie dotarli do niczego, coby im było mniemaniem tylko, zdaniem tej lub owej sekty albo szkoły. Zaniechano tedy od stu blisko lat daremnych dociekań, a tacy mędracy jak Brown nie pytają się nawet już o to, czemby cnota była, ani siebie ani drugih myślą o cnocie więcej nie zaprzatają«.

»Więc skoro nie wiecie czem cnota i nie dbacie nawet o tę wiedzę — podjął Sokrates — musicie posiadać chyba szczęście tak zupełne, iż poprzestajecie na niem, więcej niczego nie żądacie, a sądźcie, że nawet posiadanie cnoty w niczem do większego szczęścia przyczynić się nie może. Nie tylko wiecie, na czem szczęście prawdziwe a trwałe zależy, ale znacie drogę prowadzącą niezawodnie do szczęścia; a raczej mędracy wasi, do których Browna zaliczasz, znają tę drogę, a gdy Brown hetmanów naszych drogi do szczęścia już wyuczy, a czas znajdzie, aby się zająć nic nie znaczącym człowiekiem prywatnym, będzie mógł mnie także tej drogi wyuczyć, tak, iż nie tylko sam szczęśliwym będę, ale także żony i dzieci i przyjaciół swoich pouczę. Nieprawdaż, o boski!«

Anglik zakłopotał się teraz srodze; odrzekł westchnawszy wpierw ciężko: »Niestety, nikt u nas pewnej drogi do szczęścia nie zna. Ludzie szukają u nas tak jak u was szczęścia w dostatku najczęściej, albo w zadośćuczynieniu ambicyi, albo w folgowaniu namiętnościom, a zatruwają sobie życie walką z drugimi i dochodzą najczęściej do samych zawodów i utrapień. Jak mam ci rzecz

prawdę, nie sędzę, aby ludzie w moim kraju w czemkolwiek byli szczęśliwsiymi od tych, których tu widzę w Atenach, i owszem żyją w ciągłym niepokoju, a nie miewają owych błogich wczasów, których tak rozkosznie umiecie używać na słuchaniu pieśni, oglądaniu piękna i rozmowie o prawdzie. Pradziadowie nasi zanim posiadli mądrość nową, szczęśliwsiymi od nas bywali, choć nie w takich jak my żyli dostatkach; cieszyli się bowiem tem co posiadali, a przystawali na los, który im przypadł w udziale.

Dziś u nas nikt z tego nie rad, co dlań jest przystępne, wszyscy pragną tego, czego żadną miarą posiadać nie mogą, a zazdroszczą tym, którzy więcej od nich otrzymali. Z każdą chwilą mniej bywa zadowolnionych u nas ludzi, a przeto stajemy się chyba z dniem każdym mniej szczęśliwsiymi.

»Zasmucasz mnie, — rzekł Sokrates — bo wnoszę z tego coś rzekł, że Brown, chociaż wie jaka droga do szczęścia niezawodnie wiedzie, nie zechce mnie tej drogi nauczyć, skoro wasi mędracy, podobnie jak egipscy, mądrość swoją zazdrośnie przed gminem ukrywają, zezwalając na to, aby pospółstwo w zgubnym trwało obłądnie».

Smith, który nie umiał wobec Sokratesa nie być prawdomównym zupełnie, szepnął teraz ze spuszczonei oczyma: »Brown tobie drogi do szczęścia nie wskaże, nie przeto aby mędracy nasi wiedzę swoją ukrywali; mądrość swoją wykładają owszem wszystkim, bez najmniejszej ogródki. Tylko, że Brown sam drogi tej nie zna i nawet o nią nie pyta. Wcale czem innem zaprzatają się mędracy owi, pomiędzy którymi Brown tak zaszczytne zajął stanowisko; nie pytają ani o to na czemby szczęście zależało, ani o to jakby do szczęścia dojść mieli; a gardzą nawet temi pytaniami».

Mędrzec starogrecki zawołał: »Więc rozumiem; nauka Browna jest wznioslejszą i surowszą; choć nie wie czem cnota, szczęściem samem gardzi, a żąda sprawiedliwości. Brown nie dba o ludzką jednostkę, a myśli tylko o rzeczypospolitej; nie wie czem sprawiedliwość. Dlatego rozmawia z hetmanami Aten, a nie z sofistami, bo chce pouczyć przewodców narodu, jak mają sprawiedliwie rządy zaprowadzić, najpierw w Atenach, a potem w całej

Helladzie i tym sposobem położyć koniec domowej waśni i wojnom ościennym. Błogosławię dzień w któryście z dalekiej krainy Hyperborejczyków do Aten przybyli, skoro mędrzec wasz zna najlepsze prawa, jakie władać powinny w rzeczypospolitej, i ma dowody oczywiste, którymi o słuszności tych praw wszystkich u nas tak dalece przekona, iż nikt nie sprzeciwi się zaprowadzeniu tych praw i nikt nie będzie mógł działać w sposób tym prawom przeciwny. Oczywiście bowiem, którą daje prawdziwa wiedza, w przeciwieństwie do zdań omylnych i mniemań niepewnych zmusza każdego, aby ją uznał i do niej się stosował. My Helleni posiadamy wiedzę niezawodną o liczbach i miarach i dlatego nie spieramy się o to czy dwa razy dwa jest cztery, ani o to, czy trzy kąty trójkąta równają się dwom kątom prostym. Wiemy owszem, że jedno i drugie jest prawdą, a niktby nie słuchał wywodów niedorzecznych, usiłujących nas przekonać, że dwa a dwa to trzy, albo pięć. Nikt, prócz obłąkańca, nie zechce u nas działać tak, jakby musiał działać, gdyby wierzył, że dwa a dwa to pięć. Pod tym względem panuje u nas powszechna jedność i zgoda. Nie wiemy natomiast czem jest sprawiedliwość i jakie w państwie winny być prawa; wypowiadamy zatem sprzeczne pod tym względem zdania i spieramy się o nie ustawicznie. I postępowanie nasze w sprawach dotyczących się prawa ludzi pojedynczych, prawa rzeczypospolitej i praw stanowiących o stosunku rzeczypospolitej do państw ościennych bywa przeto różnorodne i częstokroć sprzeczne. Z tego, że nie posiadamy wiedzy o sprawiedliwości i prawie, wynikają zatem wszystkie nasze spory i waśnie prywatne, domowe i ościenne. Skoro nam Brown swojej wiedzy udzieli, staniemy się ze ślepców widzącymi. Nie będzie już procesów, nie będzie ani zbrodniarzy, ani nawet występnych. Długie narady nad sprawami rzeczypospolitej staną się zbytecznymi, zamieszki domowe staną się niepodobieństwem, stronnictw ~~nawet~~ nie będzie, wbrew prawu Solona, które każdego zmusza obywatela, aby się do jednego z dwu wielkich stronnictw ateńskich zapisał. Wojny ustaną ze wszystkim, a sporu pomiędzy rzeczami pospolitemi nie będzie; każdy bowiem będzie rozsądzony, zanim powstanie. Władzy, urzędu zgola potrzebować nie będziemy, a chyba nauczyciel

sprawiedliwości będzie położonym państwa. Oczywiście bowiem wynikająca z niezawodnej wiedzy, skuteczniej od wojsk i od siepaczy wszystkich do zgodnego a słusznego zmusi postępowania».

Smith wysłuchiwał tych wywodów; odrzekł potem: »Mylisz się, o Sokratesie, jeżeli się spodziewasz, że Brown hetmanów ateńskich pouczy o tem, czem jest sprawiedliwość; sam o tem wcale nie myśli, a jeśli kto miana sprawiedliwości u nas używa, to prawie zawsze tylko na to, aby wytłumaczyć, że to, co jemu, jego stronnictwu albo jego narodowi dogadza, jest rzeczą jedynie sprawiedliwą, choćby najsroższą krzywdą drugich nawiedzało. Tak jak u was, tak i u nas wszyscy się spierają namiętnie o to, co sprawiedliwe, a z czego wynika, jak mnie o tem przekonałeś, że nikt u nas nie wie, czemby sprawiedliwość była, a być może, iż się nikt o to nie troszczy, choć wszyscy miana sprawiedliwości na darmo używają. Wielu znajdziesz u nas myślicieli, mowców i pisarzy, którzy rozprawiają o tem, jakie winno być prawo, jakim być powinien ustrój państwa, jak się należy stosunki pomiędzy państwami urządzić. Brown temi rzeczami nie zajmuje się wcale. Ale niewielebyście zarobili na tem, gdyby Brown był nauczycielem prawa, czy też nauk politycznych. Wysłuchawszy twego pytania, wiem na pewne, że nikt u nas nie wie, czem prawo, jakim powinno być państwo, bo nigdy i nigdzie nie spierano się może tak namiętnie o polityczne i społeczne sprawy, jak właśnie w krajach, z których pochodzę, w chwili, w której te kraje opuściłem, aby tu do was przybyć. Nie masz żadnej u nas oczywistości, któraby nas do zgodnego zmuszała działania; bywają ustawicznie prywatne spory i procesy, ilość zbrodni mnoży się w ostatnich czasach w sposób zastraszający, każde państwo podzielone na stronnictwa, które się nienawidzą nawzajem i które się zwalczają namiętnie, chwytając nareszcie nieraz za oręż, wśród walk ulicznych, albo mordując przeciwników swoich pojedynczo. Wojny narodu z narodem nie ustały bynajmniej, a gdy wybuchną, wiedą do rozlewu krwi, o jakim nikt w Helladzie niema wyobrażenia; jeśli się ostatnimi czasy stały o tyle rzadszemi, o ile są okropniejszymi jak niegdyś, to zaiste nie przeto, aby zgoda była zapanowała pomiędzy narodami, tylko przeto, że państwa lękają

się wojny ościennej, wiedząc, że stanie się u zwyciężonego hasłem do straszliwej wojny domowej».

»Więc na czemże zależy mądrość Browna« — spytał się Sokrates z naciskiem. — »Chyba jest lekarzem doskonałym i umie ludziom dać zdrowie niezachwiane, każdą odegnać chorobę?«

Smith odpowiedział: »Lekarzem Brown także nie jest, a lekarze nasi, lubo liczni, a po części sławni, nie wiedzą wcale, jaką jest istota zdrowia i choroby, oczywiście pod tym względem nie posiadają wiedzy; co kilka lat inne zalecają leki, spierają się nieraz pomiędzy sobą przy łożu chorego, chorób na pewno ani odwrócić, ani na pewno uleczyć nie umieją«.

Ateńczyk zawołał: »Więc teraz, mężu przedziwny, nie wiem już wcale na czemby mądrość towarzysza twego, przez ciebie tak zachwalona, zależeć mogła. Pytałem się o wszystkie rzeczy, których roztropny człowiek pożądać może, o cnotę, szczęście, zdrowie i słuszny społeczeństw ustrój, a okazało się, że Brown i wszyscy Hyperborejczycy o tych rzeczach tak samo jak Helleni nic nie wiedzą. Pytać się zatem dalej nie będę, a poczekam aż mnie sam rzecz tę wyjaśnisz«.

Anglik czuł się dotąd strasznie omotanym przez pytania Sokratesa. Teraz odetchnął swobodnie; napoiło go błogie poczucie niezaprzeczonej wreszcie wyższości ludzi nowożytnych, podniósł głowę i rzekł: »Widziałeś, Sokratesie, owo czarne pudełko, za pomocą którego przyjaciel mój Jones umie w jednej chwili, bez trudu, sporządzić wierną podobiznę ludzi, gmachów, posągów i obrazów. Brown potrafi ci niezawodnie wytłumaczyć, jak się takie pudełka sporządza«.

Sokrates odparł: »Jeśli na tem cała mądrość Browna zależy, nie podziwiam jej wcale. Kuglarstwo takie dzieci i niewiasty zabawić może, mężom nie na wiele się przyda, sztuki prawdziwej nie zastąpi, skoro podobizny tak sporządzone, które widziałem, nie tętną duchem, nie są na prawdę piękne i są dziełem rzemieślniczem — w najlepszym razie, a stać się może szkodliwem o tyle, iż wielu gotowo zabawkę nad sztukę przełożyć, a tem samem do uprawiania sztuki prostej a pięknej zniechęcić«.

»Pojmuję« — podjął Smith — »że wynalazek, o którym dla

przykładu wspomniałem, może ci się blahym wydać. Ale Brown potrafiłby wam wyłożyć sposób sporządzania niezliczonych podobnych rzeczy, o których w Atenach wcale nie wiecie, a które służą ku wygodzie pospolitej Hyperborejczyków».

To powiedzenie Anglika Sokratesa nie zadziwiło i nie przekonało. Zmarszczył z lekka brwi, a podejmując znowu swoje zapytanie, rzekł: »Gościu hyperborejski, powiedz mi, czy obuwie przyczynia się do ludzkiej wygody, czy się do niej przyczyniają wozy, szaty, domostwa i sprzęty domowe?»

Anglik odpowiedział potwierdzająco na to zapytanie.

Sokrates ciągnął dalej, pytając i dając na zapytania oczywiście odpowiedzi: »Aż nie szewc wyrabia obuwie?—Szewc a nie kto inny.—A kto wyrabia wozy? Kołodziej. A kto szaty?—Wszak tkacz albo krawiec. A kto domostwa? Cieśla albo murarz. Kto wreszcie wyrabia sprzęty domowe? Czy nie stolarz? Stolarz, nie kto inny.—Powiedz mi, gościu, czy tak samo bywa u was Hyperborejczyków? Czy trafiają się u was szewce, kołodzieje, tkacze, krawce, cieśle, murarze i stolarze, i czy wyrabiają rzeczy ku powszechnej służące wygodzie?»

Smith odrzekł: »Tak jest u nas, jak rzekłeś, o Sokratesie».

»A jakżeż tych ludzi nazywacie?» spytał się Sokrates. »U nas nie nazywają się mędrkami, a nazywają się rzemieślnikami».

»I u nas także«, odparł Smith, który czuł, że popadł znowu w sieć pytań nieubłaganego towarzysza swego.

»A zatem«, napierał dalej Ateńczyk, »nazywacie ludzi wyrabiających rzeczy ku powszedniej wygodzie służące rzemieślnikami, a wcale nie mędrkami. Browna przeto i ludzi do niego podobnych winniście zachwalać jako zręcznych rzemieślników, a z tego, co mówisz, wnoszę, że niepodobna, aby czegoś pożytecznego mężów stanu albo myślicieli nauczyć mogli, i nie pojmuję zgola dlaczego Konon i Trezybul tak ustawicznie z towarzyszem twoim rozmawiają, boć ich przecie niegodną byłaby ciekawość choćby najogólniejszych przepisów odnoszących się do waszych rzemiosł».

Teraz krew uderzyła do twarzy Anglika. Mimo czci dla Sokratesa, uniósł się prawie oburzeniem. Zawołał: »U nas mędrcem nie nazywamy nikogo, ale ludzi podobnych do Browna, mie-

nimy słusznie uczonymi; skoro potrzebują ogromnego ćwiczenia pamięci, aby drugim dopomódz wiedzą swoją do wynalazków, donioslejszych może, donioslejszych na pewne od wszystkich wniosków, do których Helleni w swoich dochodzą rozmowach. Brown może hetmanów waszych pouczyć, jak broń wytworzyć daleko-nośną, ognistą, której pociski w jednym dniu zniszczą całe wojsko Spartyatów, w przeciągu pół godziny obronne mury Aten w perzynę obrócić. Brown może was, Ateńczyków, nauczyć nierównie dziwniejszych rzeczy, których znajomość oddałaby w wasze ręce nie tylko całą Helladę, ale całe państwo króla perskiego i wszystkie barbarzyńskie kraje w Europie, Azji i w Libii i umożliwiłaby wam stałe rządzenie tymi krajami, wyzyskiwanie całego ziem okręgu na waszą jedynie korzyść. Od Browna nauczyłbyś się, jak można sporządzić rydwany, poruszające się bez koni, z taką szybkością, iż mógłbyś się niemi za trzy lub cztery godziny dostać z Aten do Sparty, dowiedziałbyś się, jak można drut sporządzić, za pomocą którego mógłbyś, pozostając tu na miejscu, tak samo rozmawiać z mędrcami w Babilonie lub w Tebach egipskich, jak teraz rozmawiasz ze mną, słysząc wyraźnie ich głos i każde wymówione przez nich słowo. Takich to rzeczy i innych dziwniejszych jeszcze używamy powszednio, i nie możemy zaiste, tych, którzy te rzeczy wynaleźli, równać z waszymi szewcami albo tkaczami«.

Sokrates stał teraz, jakby ośłupiały, wpatrując się nieruchomym wzrokiem w twarz Anglika; zawołał wreszcie: »Jakżeż wy, Hyperborejczycy, musicie być przedziwnie cnotliwymi, kiedy możecie wytrzymać te straszliwe waszych rzemieślników wynalazki! Choć przeczyłeś temu, abyście wiedzieli, czym jest cnota, musicie ją posiadać w niezwykłej mierze, jeśli to u siebie cierpicie. Nasby niezawodnie zgubiły. Oddałyby, jak rzekłeś, okrąg świata w nasze ręce, ale kusząc nas łatwą zdobyczą, zniszczyłyby w nas do reszty ów wstyd, który od popełniania krzywd ludzi wstrzymuje. W wyniosłości grzesznej zrodziłyby się u nas, zrodziłyby się musiały nieokiełznane hucie; mogąc zdobyć skarby większe nierównie od Krezusowych i od bajecznych Midasowych, myślałby każdy o tych skarbach tylko i o używaniu zmysłów; wśród wy-

gód i rozkoszy ciała, zaniedbałby niemal każdy sprawy ducha, niktby nie dbał o piękno i dobro, o myśl prawdziwą, mowę dźwięczną, sztukę podnoszącą wyobraźnię ponad kał ziemski, mądrość czyniącą ludzi podobizną bogów. Świat ideału musiałby zniknąć z poprzód oczu naszych, a brnęlibyśmy w błocie, na podobieństwo, nie już ludzi, a wieprzów. Dzielniejsi wydzielaliby sobie bezwzględnie skarby i dostatki, nie dbając o nędzę, jaką swoim bogactwem szerzą dokoła i nie dbając o krzywdę tych, których pozbawiają mienia, chcąc się własnej wyzbyć nędzy; słabsi, zwyczajni ludzie pieściliby tylko siebie, we własne wrażenia póty zapatrzeni, póki wreszcie życia sobie nie zmierzają a w samobójstwie nie znajdują ukojenia żądz nieokiełznanych. Gdybyśmy wasze znali wynalazki, stalibyśmy się za kilka pokoleń z Hellenów spróśnymi a ciemnymi barbarzyńcami».

Skończył Sokrates przemowę, którą widocznie wzruszonym wypowiedział głosem, a Smith podjął po chwili: »O synu Sofroniska! Cnoty większej od was nie mamy; ale pośród wynalazków, które u nas już od dawna spowszedniały, jest jeden mogący każdy naród na pewno od ciemnoty i barbarzyństwa ochronić. Posiadamy przyrządy, za pomocą których każde pismo mnożymy po tysiące, po setki tysięcy razy, wedle potrzeby, broniąc je na wieki od zatracenia, czyniąc je dla każdego przystępnem, rozpowszechniając je po całej przestrzeni kraju. Dzięki tym przyrządom, twoje rozmowy, mężu przedziwny, bywają częściej czytane u nas, w kraju Hyperborejczyków, jak w twojej Helladzie».

Sokrates pochylił się ku Smithowi pytając: »A czy posiadacie sposób, za pomocą którego możecie na pewne odróżnić pismo piękne i pożyteczne, głoszące prawdę, od nikczemnego, kłamliwego i zgubnego?»

Anglik zawahał się znowu a po namyśle wyjąknął: »Nie; takiego sposobu niezawodnego, aby odróżnić prawdę od fałszu, rzecz szkodliwą od pożytecznej, nie posiadamy wcale».

Sokrates zawołał teraz, jakby trwogą na wskroś przejęty: »A zatem mnożycie i rozpowszechniacie bez wyboru wszystkie pisma, które ktokolwiek do rozpowszechnienia przeznaczy?»

»Tak jest« — odpowiedział Smith nieśmiało. — »Niektóre

rządy usiłowały czynić wybór między pismami; pozwalały na rozpowszechnianie jednych, drugie zakazywały. Okazało się jednak, że w ten sposób nie dopuszczano nieraz wypowiedzenia prawd najszlachetniejszych, a puszczano w świat tylko rzeczy oklepane, a często właśnie rzeczy nikczemne. Rozpowszechniamy zatem każde pismo, które ktoś napisał, do rozpowszechnienia przeznaczy«.

»W takim razie« — rzekł Sokrates poważnym a smutnym głosem — ten wynalazek, którym się na końcu pochwaliłeś, nie mógłby u nas odwrócić złego, musiałby owszem złe skutki tamtych wszystkich wynalazków stokrotnie spotęgować. Skoroby się pisma wszystkie z największą łatwością po całym świecie rozchodziły, straciłoby słowo mówione znaczenie swoje, władłoby słowo pisane wszystkimi umysłami. Otóż ludzie u nas słuchają chętnie podchlebstw, niechętnie słuchają prawdy, a skoroby ich tamte wynalazki popsuły, prawdyby już wcale słuchać nie chcieli. Podbilibyśmy świat cały, a w tym świecie nie byłoby nikogo, któryby chciał surową przeczytać prawdę; garstka ludzi znalazłaby się może, któraby chciała czytać dzieła mędrców albo poetów prawdziwych; ogół niezliczony trułby się pismami pochlebców, zachęcających do zmysłowej rozkoszy, albo rozbudzających zawiść motłochu przeciw pięknym i dobrym. Wiareby znaleźli ci, którzyby przeczyli bogom, cnocie, obowiązkowi, a rozgrzeszali samolubstwo i występki. Zepsucie szerzyłoby się tak szybko, jak się posuwają owe bezkonne pojazdy, o których wpierw mówiłeś; każdy unikałby wszelkiego ciężaru; żonyby się buntowały przeciw mężom, dzieci przeciw rodzicom, słudzy przeciw panom. Każdy nieuk miałby się za mądrego, dlatego, że przeczytał mnóstwo niedorzeczności bezecnych, które go tylko beznadziejnie głupim uczyniły. Ludzie zdolni tylko do rzemieślniczej pracy chcieliby rządzić państwem, cnotliwychby do rządu nie dopuszczali, słuchaliby ślepo głosu demagogów nakłaniających do zbrodni, a przyrzekających niepodobieństwa, i ludzkość zdziczała, dostawszy się pod rząd niewolników bezrozumnych, popadłaby w nieład okropny. Nie byłoby wkrótce ani rodziny, ani prawa, a ludzie pozbawieni wiary i woli, a zakochani w osobistej, bezmyślnej wygodzie, za-

niechaliby wreszcie płodzenia ślubnych dzieci. Gdzie ludne są miasta, tam musiałyby wreszcie nastać pustka straszliwa. Błagam ciebie, zaklinam gościa, biegnij do towarzysza twego i zaklinj go, niechaj tajemnic waszych naszym hetmanom nie zdradzi, bo zaiste nie posiadamy dość enoty, abyśmy znajomość tych tajemnic znieść mogli. A strach mnie bierze, czy wypadkiem nie jest już za późno, aby straszliwemu przeszkodzić nieszczęściu.

»Uspokój się, przyjacielu — odparł Smith. — Brown tych tajemnic nie zdradzi, bo gdyśmy z kraju naszego odjechali, zobowiązaliśmy się słowem, że na bieg waszych dziejów nie wpłyniemy z obawy, aby się nie odstał dalszy tok dziejów, który waszą przeszłość od naszej dzieli teraźniejszości, aby się zatem teraźniejszość nasza na gorsze nie odmieniła.

»Nie rozumiem słów twoich« — spytał się mędrzec ateński.

Stało się teraz, że Anglik przyznał się do tego, że dzięki najdziwniejszemu ze wszystkich wynalazków, zajechał do Aten starożytnych z dalekiej przyszłości. Zdziwił się niemało Sokrates, ale nie śmiał odmówić wiary opowiadaniu. Zafrasował się jednak bardzo, kiedy sobie Smith przypominał, że zapomniano Browna przestrzedz, iż bawiąc w przeszłości trzeba być widzem tylko, na tok dziejów przeszłych pod ciężką grozą w niczem wpływać nie wolno; i odtąd popadał tak wielomówny mędrzec nieraz w ponure milczenie, z którego żadne młodych przyjaciół zagadnienie wyrwać go nie mogło.

III.

Niebawem flota wojenna Ateńczyków wypłynęła z Faleru, aby ostatni a stanowczy ze Spartyatami bój stoczyć. Zrazu działo się wszystko dosłownie tak, jak to stoi napisane w Ksenofoncie i Plutarchu. Dziesięciu wodzów, pomiędzy którymi Trezybul największą posiadał powagę, pokierowało statkami na północ, ku wybrzeżom Trackim, a flota stanęła przy Trackiem wybrzeżu koło miejscowości zwanej Aigos Potamoi. Wodzowie kazali okręta wyciągnąć na ląd i na lądzie otoczyć wałem. Alcybiades, który wygnany z Aten zamieszkał w bliskim zamku, będącym jego własnością, przybył do wojska ateńskiego i usiłował przekonać wo-

dzów, że wyciągnąwszy okręta na ląd, narażają Ateny na ciężką klęskę, pozbawiwszy się samowolnie najdzielniejszego oręża narodu żeglarzy. Ale od tej chwili tok wypadków stał się odmiennym od opisanego przez Ksenofonta i Plutarcha. Stoi bowiem u tych historyków, że Trezybul poparł zdanie Alcybiadesa, i że nie wskórawszy nic, opuścił obóz zniechęcony. Teraz zaś, uśmiechnął się tajemniczo, a machnąwszy ręką, powiedział Alcybiadesowi, że głupi, że nigdy nie potrafi przejrzeć planu Ateńczyków.

Wielokrotnie zwycięski wódz Spartyatów, Lizander, wyładował niebawem w pobliżu z wojskiem swoim. Dostrzegłszy statki ateńskie wydobyte na ląd, ucieszył się niemało, pewny, że staną się łupem spartańskich hopletów. Uszykował żołnierzy swoich i wstępnym bojem ruszył na obóz ateński. Gdy się do niego na ośm staj zbliżył, stało się coś, o czem w Helladzie nie miano wyobrażenia. Wały Ateńczyków pokryły się, wśród strasznego huku, ogniem i dymem. Okręty ateńskie zagadały gromami Zeusa, a pioruny Zeusa były na wojsko Spartyatów. Kule ogniste wpadały między szeregi a pękając rozrywały wojowników na kawały, drobniejsze zaś, dla oka ledwo dostrzeżone pociski, przylatywały sycząc i przeszywając tarczę i pancerz, kładły szeregi pokotem. W ciągu pół godziny wyginęło całe wojsko spartańskie, a sam Lizander legł śmiercią bohaterów.

Trezybul kazał statki znowu wyciągnąć na morze a okręty Ateńczyków, wieńczone różami i jaśminem, wracały w tryumfie do Aten. Zanim jednak do Faleru dopłynęły z powrotem, przybyło do Aten poselstwo ze Sparty i błagało czołobitnie o pokój.

Na spotkanie wodzów zwycięskich wyległ z miasta do Faleru pochód uroczysty. Wyszły dziewice w bieli wieńczone kwiatami; towarzyszyli im młodzieńcy śpiewając pieśni wojenne i starcy z gałązkami oliwki i wawrzynu. Wśród pieśni i płasów odprowadzono zbawców na Pnyks, kędy lud cały oczekiwał hetmanów; gdy się Trezybul zjawił na czarnej skale, zastępującej mownicę, powitano go burzą okrzyków i oklasków. Uciszyło się wreszcie, a Trezybul przemówił.

Rzekł: »O mężowie ateńscy! nie zasłużyłem na wasze pochwały, nie ja jestem zbawcą Aten a pogromcą Sparty, innego

męża zesłali na chwałę miasta olimpijscy bogowie, Zeus, ojciec Bogów i ludzi, Pallas Athene i Foebos Apollo; a tym mężem jest ten oto tu mr. Brown».

Rzekłszy to, wyprowadził na skałę Pnyksu poprzed lud Browna, przyobleczonego w turystowską odzież w kratki, kape-lusz panama z welonem z tyłu i kamasze. Gdy Ateńczycy zesłańca bogów ujrzeli, powitali go nową burzą oklasków.

Brown, pewny siebie, przemówił do ludu w te słowa łamaną greką: »Mężowie ateńscy! ja jestem *british subject*«.

Ateńczycy nie pojęli całej doniosłości ostatnich słów, wy-powiadających, że Brown jest poddanym brytyjskim, ale właśnie dlatego, że to były dla nich słowa ze wszystkim niezrozumiałe, popadli w szal zachwytu, a oklaski rozległy się głośniejsze i dłuż-sze, jak dotąd. Mowca jakiś wydarł się na skałę, stanął obok Anglika, a uciszywszy lud skinieniem ręki, postawił wniosek, aby Brown był odtąd gościem ludu w Prytaneum, i aby dodatkowo spełniono dwa życzenia, które zesłaniec bogów wypowie. Oba wnioski przyjęto jednogłośnie i teraz dopiero nie było końca okrzykom i oklaskom.

Przez czas, w którym naród udzielny hałasował, mógł Brown pomyśleć o tem, czego mu żądać wypada dla pożytku i chwały Wielkiej Brytanii, bo Anglikowi nieodrodnemu ojczyzna była przedewszystkiem na myśli. Zdał sobie przytem jasno sprawę z tego, że skoro ludzi zdołano w daleką przeszłość wyprowadzić, ta sama droga dla innych także przedmiotów stanęła otworem.

Gdy się wrzawa uciszyła, Brown przemówił w te słowa: »Żądam po pierwsze od was, o Ateńczycy, abyście żadnego cła nie nakładali na towary angielskie, to jest na towary pochodzące z mojego kraju. Po drugie żądam od was i proszę, abyście odtąd nosili szaty, podobne do moich krojem i materią«.

Drugie żądanie postawił Anglik przemysłny dlatego, ponie-waż wiedział, że tkaniny angielskie mogą mieć odbyć należyty w takim tylko kraju, w którym ludność europejski strój przyjęła.

Naród uchwalił jednomyślnie oba wnioski postawione przez swego dobrodzieja; odprowadzono Browna uroczystie do Pryta-

neum, gdzie czas spędzał bardzo przyjemnie, ponieważ żony i dziewice Aten otaczały zesłańca Olimpu.

Krawcy i szewcy ateńscy mieli dużo roboty, aby dla wszystkich obywateli zrobić odzież i obuwie podobne do tych, w których angielscy podróżnicy chodzili. Gdy się wreszcie wszyscy mężowie ateńscy przebrali w tużurek i w spodnie w kratki, wyglądali bardzo opacznie i nawet niepięknie, a to tem bardziej, że trefili dalej grzywkę i brodę. Brała Jonesa rozpacz, gdy przebranych Ateńczyków oglądał, i wyrażał przed Brownem obawę, że z jego winy nie będzie już wszelkiej późniejszej rzeźby greckiej, skoro rzeźbiarze klasycznych wzorów więcej na ulicy nie zobaczą. Praksyteles nawet i Skopas nie stworzą po peloponezyjskiej wojnie dzieł swoich, a skutki zaszłej zmiany stroju mogły być najboleśniej. Prawie żadnego antyku nie znajdują już podróżnicy po muzeach, gdy wrócą do Europy. Gorzej jeszcze, kto wie, czy znajdują którekolwiek z dzieł sztuki tak drogich sercu Jonesa; bez antyku nie może być ani renesansu, ani nawet wogóle tej sztuki chrześcijańskiej, którą Jones tak kochał, nie może być także ani Ruskina, ani wogóle tej historii sztuki, którą Jones znał. Wszystkie studia Jonesa straciły dawną wartość a pozycya jego towarzyska przepadła.

»To daremne!« — odparł Brown ruszając ramionami — dla waszych estetycznych fraszek nie mogłem poświęcić interesów handlowych Anglii. Majątek narodowy jest rzeczą ważniejszą od artystycznych zachcianek garstki wykształconych dyletantów; bez pieniędzy nie obejdzie się naród, a żyć będzie dalej w dostatku, choćby przepadły cała sztuka i literatura klasyczna grecka i rzymska, o które i tak nikt za lat kilkanaście dbać nie będzie, jak tylko dalszy postęp filologiczne i historyczne nauki z programu szkolnego narodów cywilizowanych wykreśli, i każe oprzeć wychowanie młodzieży na przyrodniczych naukach i na umiejętnościach technicznych«.

Wśród chwil miłych w Prytaneum, wpadło Brownowi na myśl, że Helleni, jako naród bardzo ubogi, niewiele towaru angielskiego kupią, i że na to, aby handlowi Wielkiej Brytanii przysłużyć istotną wyrządzić, trzeba koniecznie tubylców Hellady

ze wszystkim zangielszczyć. Zwierzył się tedy Kononowi, że może nauczyć Ateńczyków wielu jeszcze i to nadzwyczajnych wynalazków. Ucieszeni tem hetmani, przysłali mu, na jego żądanie, kilku matematyków i fizyologów, jak wtedy przyrodników zwano, a że Grecy byli narodem istotnie bardzo pojętnym, prędko umieli wyrabiać maszyny drukarskie, prędko wyuczyli się tajemnie nowożytnej fizyki i chemii. Pierwsza gazeta drukowana ukazała się niebawem w Atenach, pierwsze automobile przebiegły po mieście, ustawiono sieć telefoniczną i słupy telegrafu, a trasowano linię przyszłej drogi żelaznej z Aten do Koryntu. Brown zacierał sobie ręce tryumfalnie, a Jones dostrzegał ze smutkiem, że Ateny stawały się codziennie brzydszemi i bardziej trywialnemi, nie mógł się powstrzymać od okrzyku zgrozy, kiedy ujrzał tramwaj elektryczny pomykający po Ceramiku.

Smutniejszym był jeszcze Sokrates; ugiął się pod brzemieniem troski o przyszłość swego narodu; a na domiar złego, prawie ze wszystkim osamotniał. Arystokratyczna młodzież nie chciała już rozprawiać z najsławniejszymi sofistami o wymowie, prawie i sztuce rządzenia, a cisnęła się jedynie na odczyty uczniów Browna, spragniona nowej, praktycznej, przyrodniczej wiedzy. Ani Trazymach, ani Hippiasz z Elidy nie mieli słuchaczy, a wszyscy młodzi przyjaciele odbiegli Sokratesa; pozostał przy nim tylko poważny a entuzjastyczny Platon, od niego zdolniejszy jeszcze, ale ekscentryczny Antistenes i mr. Smith.

Zbliżał się kres ostateczny pobytu Anglików w starożytności, a Smith oświadczył Sokratesowi, że będzie się z nim musiał niebawem pożegnać i powrócić do swojego domu w czasach nowożytnych.

Sokrates spytał się: »A pocóż chcesz odjeżdżać? Radzę ci szczerze, wolisz tu z nami pozostać«.

»Nie mogę« — odparł śmiały turysta, — nie możemy tu ani jeden dzień dłużej nad sześć miesięcy pozostać, jeżeli wogóle do domu powrócić chcemy. A musimy wracać nie tylko na to, aby się naszą zdobyczą naukową pochwalić, ale przedewszystkiem dlatego, że w Anglii i w przyszłości żonę i dzieci pozostawiłem, że

na Jonesa czeka narzeczona, że Brown wreszcie swych przedsięwzięć i swych interesów dopilnować musi.

»Ależ, — zawołał Sokrates — nic z tego, nic zgola nie zastaniecie. Przerobiliście historię, wszystko co się stało było, zanieśliście waszą Anglię porzucili, odstało się teraz, i wracając w przeszłość, gotowicie popaść w stosunki, o których żadnego pojęcia nie macie, a prawie pewnie w stosunki barbarzyńskie. Wszak mówiłeś mi wielokrotnie, że wasze narody wyszły z zupełnego barbarzyństwa tylko dzięki naukom zaczerpniętym u naszych następców; że nie spisane dotąd dzieła tego tu młodzieńca Platona i ucznia jego Arystotelesa, który się teraz jeszcze nie narodził, nauczyły was myśleć i badać; że od nich i od późniejszych Hellenów i Italików nauczyliście się prawa i rządu państw; że nawet wiara, przyjęta późno od jakiegoś zesłańca niebios, od męża zupełnie sprawiedliwego, który się narodził w Palestynie i którego tamże umęczono, mogła się tylko rozszerzyć wśród stosunków wynikłych bezpośrednio z naszego życia, takiego jakim było przed waszym nieszczęsnym przyjazdem, a ci, którzy tę naukę głosili i z niej dogmata wyłuszczaali, tak byli przejęci nienapisanemi dotąd pismami Platona i Arystotelesa, że bez nich nawet wiara nasza musiałaby inaczej wyrażać się od tej, o której opowiadałeś, a którą podziwiałem. Przez długie wieki byliście we wszystkim naszymi uczniami, a przede wszystkim uczniami następców naszych, a dopiero przez nich wychowani staliście się narodem oświeconym. We wszystkim zresztą mogliście nam conajmniej dorównać, tylko w wiedzy przyrodniczej przewyższyliście nas niezmiernie, ale powiadasz, zawdzięczacie to jedynie oświacie na wzo-
rach naszych urobionej. Wiedza przyrodnicza umożliwiła wam poczynienie zadziwiających wynalazków i sprawiła, że się pojawili u was straszliwi rzemieślnicy, których czcicie na równi z uczonymi i artystami, a których wielu ponad mędrców i poetów wywyższa. Wyście mogli te wynalazki wytrzymać, dzięki tej nauce którąście od naszych mędrców zaczerpnęli i dzięki wierze, która za naszych następców powstała; sądzą, że bylibyście wkońcu tym wynalazkom ulegli i popadli w ponowne barbarzyństwo, porzucając i wiarę i filozofię i sztuki, które u samolubów musiały

zwolna popaść w pogardę. Ale mogliście się jednak dłużej bronić. Wasz towarzysz Brown podał nam teraz wasze zgubne wynalazki, w chwili, w której nie wydała jeszcze Hellada tych pism i tych praw, a nie przyjęła tej wiary, które wam dodały sił. Niezawodnie pism tych, praw tych już teraz nie będzie. Zdziczenie które u was groziło z daleka, musi u nas przyjść prędko. Podbijemy świat, popadniemy w zwierzęce samolubstwo, władnąc nami będzie motłoch ciemny i za kilka pokoleń zginiemy ze wszystkim. Lecz skądże wezmą wtedy przodkowie wasi naukę, prawo, sztukę, wiarę? Przez nieostrożność Browna odstała się cała historia waszych narodów i za dwa tysiące trzysta lat nie może być u was nic innego oprócz dziczy, zatrutej barbarzyństwem, jakie u nas niebawem nastanie. Więc powiadam ci, nie powracaj do domu, którego nie będzie, a pozostań z nami!«

Te słowa Sokratesa srodze Smitha zafrasowały. Zwierzył się z troską swoją przed Brownem, ale Brown pocieszył go zupełnie, mówiąc, że to przesądne a bezpodstawne gadanie jednego z ateńskich tubylców, niepojmujących dobrodziejstw nowożytnej cywilizacji.

Dzień odjazdu Anglików nadszedł, odprowadził ich cały lud procesjonalnie do pieczary Erichtonyusza, a gdy się zamknęli w swoim lifeie, byli dobrej myśli. Każdy z nich miał się czem pochwalić: Smith rękopisami kompletnych dzieł obu filozofów, płaczącego Heraklita i śmiejącego się Demokryta, poematami cyklicznych epików, wszystkimi tragedjami Sofoklesa, wszystkimi komedjami Arystofanesa, wreszcie niektórymi dramatami zupełnie dotąd w Europie nieznanego Agatona; Jones fotografiami z obu Pallad i Zeusa Fidyaszowego, z kolosalnej Hery Polikteta, z Dyonyzosa Alhamenesa, z obrazów Polignota w portyku ateńskim zwanym Pojkile i z niezliczonych innych dzieł sztuki, nawet małym posążkiem Alhamenesa ukradzionym w domu Krytyasza; Brown wreszcie nowemi drogami zbytu dla towarów angielskich; było zaiste czem świat uczony w podziw wprawić, a mężów stanu i przemysłowców ucieszyć.

Za pociśnięciem guzika wdarły się do ciemnego wnętrza liftu promienie n, promienie x, promienie Crooksa i promienie Be-

querela, promienie katodyczne i promienie anodyczne, promienie Röntgena i promienie radu i wyprawiły nielada hecę; dudniły i brzękały, błyskały i migały. Wreszcie nastąpiło większe wstrząśnienie.

Brown zawołał z nieklamana radością: »Wreszcie jesteśmy na Palmal!«

Podróżnicy zabrali swoje manatki, a otwierając drzwi liftu, byli przekonani, że staną wśród okazałych kamienic najpiękniejszej ulicy Londynu, na której się gnieźdzą różne pierwszorzędne kluby angielskiej stolicy. — Ujrzeni światło dzienne; ale, o zgrozo! ani kamienia, ani ulicy, ani wogóle Londynu. Niebo było mgliste, jak na Anglię przystało; wilgotne a przenikliwe zimno dokuczało dotkliwie ludziom, przebranym w lekki strój turystów. Dokoła rozlegał się ogromny bór dziewiczy, pełen trzęsawisk, a ptactwo wodne przelatywało nad głowami licznymi stadkami.

»A to fatalny wypadek! — zawołał Jones. — Gdzieśmy zabłądzili i lift wysadził nas w jakiejś odludnej okolicy ziemi, zamiast nas do Londynu odwieść«.

»To nic — odrzekł Brown spokojnie — założymy tu brytyjską kolonię«.

Ale nie łatwo było ten zamiar wykonać. Nie mając strzelb, nie można się było zwierzyną pożywić, a zimową porą żadnych jagód, żadnych grzybów nie było w lesie. Turysci brnęli przez moczary, przelazili przez pnie powalone, o głodzie i chłódzie. A wkrótce nabyli okropnej pewności. — Byli w Londynie, czyli raczej na miejscu, na którem Londyn być powinien, a nie było ani śladu Londynu. Nie można było o tem wątpić, bo Tamiza, niezawodnie Tamiza płynęła przez posępny bór, tylko, że się w Tamizie kąpały lwy i żubry; dopływ Tamizy, dobrze Londyńczykom znany, Serpentyua, toczyła krętem korytem wody, nierównie czystsze od tych, przed którymi trzej przyjaciele niegdyś nos zatykać musieli; wreszcie stoki wzgórza Primrosa¹ Hill, wzgórza pierwsiońków, rysowały się wyraźnie przed oczyma trzech uczonych. Niebawem noc zaczęła opadać, a złowrogie wycie wilków dało się słyszeć wśród gąszczy.

»Przeklęty przyrodniku — zawołał Smith na Browna — to tyś.

swoim rzemieślniczym przemysłem nas zgubił. Sokrates miał słuszość. Zabiłeś cywilizację Hellenów, a nasza wcale powstać nie mogła. Anglia przepadła, niema jej i nie było nigdy! Wraz z nią przepadły wszystkie narody nowożytnej Europy. Nam tu przyjdzie marnie zginąć z głodu, bo wskutek przeklętych wynalazków i przeklętych nauk, zgłupieliśmy tak dalece, że żaden z nas ani pociskiem ręcznym zwierzyny ubić, ani nawet ognia wśród puszczy wskrzesić nie potrafi.

Błądząc po lesie, ujrzeli wreszcie podróżni jakieś ognisko. Przy tem ognisku siedziały jakieś rude dzikusy, przyobleczone w skóry zwierzęce i spożywały ludożerczą biesiadę z ubitego wroga. To byli mieszkańcy Anglii w dwudziestym wieku. Jones i Smith pełni oburzenia słusznego, postanowili się pomścić na Brownie, wydając go na pastwę ludożercom...

Wtem usłyszał Smith znajomy głos służącej, zwiastujący, że herbata gotowa. Obudził się w swoim łóżku, w Londynie. Chwała Bogu, pokazało się, że to tylko wszystko snem było. Tem lepiej smakowało śniadanie znakomitemu helleniście.

Wojciech Dzierduszycki.



FAŁSZOWANIE KIERUNKU DOBY OBECNEJ.

Stoimy, w obecnej chwili, w Europie, wobec całego szeregu pewnych społecznych objawów, z których należy od razu zdać sobie sprawę, znaczenie ich jasno określić i w należytej kategorii faktów ustawić. To ustawienie w należytej kategorii jest dlatego niezbędne, bo właśnie twórcom tych społecznych objawów chodzi o to, by objawy te wysunąć ponad wszystkie kategorie, luźność, jaka między niemi a bieżącym życiem zachodzi, zatrzeć i przedstawić je jako jeden konsekwentny łańcuch faktów, jako nowy potężny a światowy prąd, który jest jakoby emanacją dzisiejszej europejskiej duszy. W myśl tej taktyki, ma to być nowy duch czasu, geniusz wieku XX-go.

Cel tej taktyki widoczny. Duch czasu jest tym władcą, przed którym cały świat się chyli, z którym w zapasy wchodzić jest niewymownie trudno. Tylko nieliczna garstka fanatycznych zacofańców lub ludzi wybranych śmie mu stawić czoło, reszta zaś, wielojęzyczny tłum, poddaje się bez oporu i to poddaje się w krótkim bardzo czasie, zanim racjonalność nowego kierunku może być widoczną. Wystarczy szereg powodzeń na zewnątrz. Niech tylko w jednym kątku świata kierunek ten nowy dojdzie do decydującego wpływu, niech w innych kątach rozpoczną mu wtórować echa a wnet wszystkie dziedziny życia jednostkowego i publicznego stają przed nowym zdobywcą otworem — pracownie uczonych, przybytki sztuki, biura prasy, nawet obyczaj codzienny i terminologia potocznej mowy, wszystko to w lot przybiera zna-

miona nowej, panującej idei. Gdyby więc taktyka powieść się miała, perspektywa otwiera się przed nią ogromna. Chodzi tylko o to, by przez jakiś czas zapewnić tej idei szereg powodzeń i zwycięstw.

W twórczości dzisiejszej cywilizacji, ta twórczość fabrykująca ducha czasu jest kunsztem najnowszym a może i najtrudniejszym. Wchodzi w nią i znajomość praw historii i psychologii tłumu, umiejętne wyzyskanie i współczesnych teorii i aktualnych dążeń, posługiwanie się wreszcie wszystkimi środkami, jakie kultura dzisiejsza daje. Głównym motorem w tej maszynie jest prasa.

Ogniskiem, w którym obecnie skupia się wytężona praca, tworząca owego rzekomego ducha czasu, jest kraj, z którego zazwyczaj szły nie tyle pierwsze impulsy, co raczej pierwsze głośnie hasła nowych idei — Francya. I tu już łatwo sobie domówić, jaką fizyognomię ma mieć ten nowy duch wieku XX-go.

Ma to być duch antyreligijny.

Określenie to jednak nie odtwarza jeszcze całej fizygnomii. Walkę z religią toczył cały ubiegły wiek i toczy ją obecna chwila, nie zatem nowego dzisiaj hasło to nie przyniosłoby.

Ale w walce z religią mogą być różne stadya i stopnie.

I tak, na przykład, od ostatnich dziesiątków ubiegłego wieku aż po dzisiejszą chwilę patrzyliśmy, jak ta walka na wielu polach zaczynała łagodnieć, jak wrogie prądy antyreligijne, jak pozytywizm, jak liberalizm, z placu boju, jeden po drugim ustępowały, jak w miarę tego następował wzrost religijności, zarówno w wybranem kole wyższych umysłów jak i w szerokich warstwach. W wybranem kole wyższych umysłów, przebudzenie się religijności i jej wzrost płynęły z nieprzepartej potrzeby duszy ludzkiej, broniącej się przed ostatecznem wyjałowieniem, jakie niesła ze sobą walka antyreligijna, zbyt długo i zbyt despotycznie ujarzmiająca to, co samą istotę ludzkiej natury stanowi. Wystarczy tu, na dowód, z samej Francyi, przytoczyć nazwiska Bourgeta, Brunetière'a, Coppée'go lub nawet cały kierunek tak zwanego neo-chryścjanizmu. W szerokich zaś warstwach wzrost ten religijności łączy się z chwilą, w której, na terenie panującej dziś

idei i reformy społecznej, przeciw antychrześcijańskiemu socjalizmowi stanął katolicyzm ze swoim programem reformy. Nadto, nowy duch twórczy, jaki powstał w katolicyzmie, niosący w sobie szereg nowych idei i czerstwą siłę żywotności, nie mógł nie wywrzeć wpływu na szerokie warstwy i nie podzielać stanowczo na złagodzenie walki antyreligijnej.

Tak było w ostatnich latach w całym świecie, nie wyłączając żadnego kraju, i tak jest po dziś dzień nadal wszędzie — ale już z wyjątkiem Francyi. Przed laty kilku, nagle, jak piorun z jasnego nieba, spadła na kraj ten walka antyreligijna, tak zażarta, jakiej historia już dawno nie pamięta. Jak huragan, wyrzuciła ta walka w jednej chwili poza kraj wszystkie zakony, zerwała stosunki z Rzymem, przedarła związek państwa z Kościołem, a ostatecznie — mimo ostatnich pozornie pokojowych enuncyacji i kroków rządu francuskiego — dąży do zupełnej zagłady nie tylko katolicyzmu, ale wszelkiej wogóle religii. Wystarczy rozpatrzyć się w ostatnich enuncyacjach masonskiej loży, w której ręką faktycznie rządy dzisiejszej Francyi spoczywają, dość przegłędnych uchwały kongresów »wolnej myśli« lub produkcye wybitniejszych autorów francuskich, których ta burza ze sobą porwała, by zrozumieć, że duch ten antyreligijny w dzisiejszej Francyi, to już nie duch umiarkowanej walki antyreligijnej, jaki panował tam w pewnych warstwach jeszcze lat temu kilka, ale, że to duch Woltera z zapiekłem od nienawiści hasłem *écrasez l'infâme*, powiększony o ducha najczerniejszego jakobinizmu, prącego gwałtem do ostatnich granic konsekwencji.

I oto fizyognomia tego rzekomego ducha czasu.

Pod jego znakiem stoi dziś Francya. A że główna jego twórczyni, dzisiejsza królowa Francyi, masonia, ma gniazda swoje po całym świecie, że nadto *les esprits forts se rencontrent*, że są, dalej, jeszcze umysły, którym wszystko co francuskie imponuje, że wreszcie francuscy fabrykanci ducha czasu dmy, co sił starczy, w surmę reklamy — więc duch ten zaczyna w ostatnich miesiącach przekraczać terytoryum francuskie. Objawów tego ducha można dopatrzyć się w nowem prawie szkolnem angielskiem, w zamieszkach Hiszpanii i w antykościelnych zakusach jej rządu,

w dążeniach austriackiej »wolnej szkoły« i w walce przeciw nierozzerwalności małżeństwa, odbija się ten duch nawet w wyborczem hasle rządu niemieckiego, skierowanem przeciw katolickiemu centrum. Nie mówimy już o takich demonstracyach jak we Włoszech i Chorwacyi. W Pradze liczne towarzystwa akademickie układają manifest, którego celem usunąć z uniwersytetu wszystko, co ma jakikolwiek związek z religią i manifest ten przysyłają podobno akademikom krakowskim, z zachętą do naśladowania. Takich faktów sporo. U nas w tych ostatnich czasach powstaje w Królestwie antychrześcijańskie stronnictwo postępowo-demokratyczne, odsłania przyłbicę warszawska masonia, tworzy się żydowska loża w Krakowie, powstaje kilka pism ziejących siarką na katolicyzm, nawet pewne liberalne pisma, które dotąd w okresach świątecznych przybierały zawsze barwę katolicką, obecnie coraz częściej kierują kryte szychy w stronę katolicyzmu. Zbyt otwartych wystąpień zakazuje prosty rozsądek, bo nuż wkrótce pokaże się, że wielki dramat antyreligijnego ducha czasu jest tylko jednodniową francuską farsą. Takich i tym podobnych komicznych scen nie brak w całej akcyi. I tak, na przykład, jedno z pisemek warszawskich sławi Anatole'a France'a, jednego z wodzów tego ruchu, wykwintnego stylistę ale człowieka mniej niż tuzinkowego, jako najwyższy wyraz XX wieku. Albo, cóż świetniejszego, jak, gdy ten sam Anatole France, w jednym za swoich ostatnich fejeletonów, pisanych przed kilku tygodniami, nawołuje Niemcy, by szły za wzorem Francyi. Oto ustęp z tego manifestu:

»Nie mogę wstrzymać się od porównania między Francją a Niemcami. Nie chciałbym jednak, by się ktoś ludził co do uczucia, które mi to porównanie podsuwa. Każdy naród ma w tem interes, aby wolnościowe i kulturalne idee rozszerzały się równomiernie we wszystkich krajach Europy i wszystkich państwach świata. Należy to do dobrej i mądrej polityki, życzyć sąsiadom duchowego i moralnego dobrobytu, i tak dla Niemców jak i dla Francuzów jest rzeczą ze wszechmiar pożądaną godną, by postęp społeczny w ich obu wielkich państwach szedł tem samem razem tempem. Dlatego też patrzę ze smutkiem i troską, jak te oświecone Niemcy, które niegdyś tak majestatycznie przez swoją re-

formację wysunęły się na czoło, dziś, może nie bez zewnętrznych konieczności, tyle okazują potulności wobec wzrostu ultramontańsko-klerykalnych wpływów, ile Francya — jakkolwiek smutną jest jej przeszłość katolicka — rozwija energii przy wyrzucaniu rzymskiego mnichostwa, które opanowywało dotychczas jej szkoły, jej ministerya i jej wojsko. Gdy my państwo sekularyzujemy, gdy odbieramy zakonnikom naukę szkolną, gdy buntowniczych mnichów rozpędzamy — cóż w tym czasie robi wasz Niemiec? Wy znosicie artykuł drugi waszej ustawy jezuickiej z r. 1872 po to, aby »ojcowie«, ci niszczycciele państw przez wyłom ten w prawie, powrócili znowu pod opiekę bezpieczeństwa publicznego. Wy wpuszczacie związki maryańskie do Prus a przez pruską ustawę szkolną dochodzicie prawie do szkół wyznaniowych. W Bawaryi, w prowincyach nadreńskich, w Westfalii, wszystkie prawie szkoły żeńskie wpadły w ręce klerykałów. W Prusiech i w Bawaryi powstają wciąż nowe klasztory. Klerykali zdobywają przeważny wpływ na władzę państwową, zwłaszcza na pruskie ministerstwa spraw wewnętrznych i wyznań, na rząd Bawaryi i Alzacyi. Katolickie stronnictwo wtyka bezczelnie nos w zarządzenia władzy wykonawczej, jak to świeżo miało miejsce przy omawianiu wypadków kolonialnych. Książęta Kościoła przywłaszczają sobie prawa państwa i przed niedawnym czasem można było obserwować, jak rząd w konflikcie z jednym prałatem (Stablewski) poniósł najprzykrzejszą porażkę. I aby dojść do szczytu, »wniosek tolerancyjny« przez swój artykuł 12 wydaje duchownym niemieckie szkoły. Ale jak mówi Corneille: »W waszej mocy los przemieniać. I tego życzę wam w imię samodzielności, rozumu i wolności«.

Warto było pouczający ten ustęp w całości przytoczyć. Najpierw, z ust jednego z wodzów antyrelijnej kampanii staje się widocznem, że kampania taka wcale nie leży w duchu czasu, bo o miedzę, i to w potężnem państwie, zupełnie innym biegiem toczą się stosunki. Wyborcze zwycięstwo katolickiego centrum jest nowym tego dowodem. Następnie, widać z tego ustępu tę taktykę, fabrykującą sztucznie rzekomego ducha czasu, o której piszemy, eksploatującą w tym celu wszystkie wzniosłe hasła samo-

dzielności, rozumu i wolności. A wreszcie, leży w tym ustępie ten moment, który byłby wprost komicznym, gdyby nie łączył się z tragedją. Oto, Niemcom, państwu, które mimo wszystkich swoich słabości, jest dziś pierwszorzędną potęgą i w pierwszym szeregu postępu idzie, stawia Francuz za wzór dzisiejszą Francję, tę biedną rozklekotaną Francję, która zabrnęła dziś w sam środek bagna rozkładu i upadku i od wyziewów tego bagna cierpi na antyreligijną malaryę, która pod niejednym względem jest dziś jednym z najzacofańszych krajów świata, nie mówiąc już o moralności i religii, bo pod tym względem stała się maniakiem narodów. W niejednych oczach, zwłaszcza polskich, Francya otoczona jest jeszcze po dziś dzień nimbem. Raz już jednak należy sobie zdać sprawę z faktów oczywistych, wobec których nimb ten należy do legend przeszłości. Po wielkiej twórczości wielkiego narodu pozostaje już dziś tylko kilka dziedzin, w których pulsuje własne silne życie, pozostaje też jeszcze ta zdolność robienia szumnej reklamy i przylepiania etykiet, która różnym odbiorcom europejskim imponuje i narzuca modę. Ale nie uprzedzajmy wywodów, które przyjdą niżej.

Chodzi teraz o to, by nowe to zjawisko, jakim jest owo fałszowanie ducha czasu, poznać w jego istotnych przyczynach, a następnie na tej podstawie dojść do jego oceny i do wniosków na przyszłość. Stąd zadanie nasze polegać będzie na zestawieniu faktów, jak one działały się lub dzieją — faktów, które złożyły się na właściwego dzisiejszego ducha czasu, i faktów, które składają się na dzisiejszy fabrykat rzekomego ducha czasu. Trzeba będzie tylko te fakty tu i ówdzie wyplatać z tej gmatwaniny, jaką namiętna przypadkowość lub tendencja, przyczem pewne zjawiska staną w bardzo interesującym świetle. W ten sposób dojdziemy również do właściwego syntetycznego poglądu na dzisiejszą chwilę.

I.

Rozwodzić się zbytnio nad głównym prądem dzisiejszego życia, uzasadniać, że nim jest ten kierunek a nie inny, znaczyłoby to, podług klasycznego przysłowia, nieść sowy do Aten. Wszyst-

kim jest oczywiste, że obecna epoka, datująca się bezpośrednio od wielkiej rewolucyi francuskiej, wniosła na pierwszy plan sprawę praw człowieka i obywatela. Wszystkim też jest jasne, że sprawa ta po dziś dzień ani na chwilę z pierwszego planu nie zesłała, owszem swoje zakresy rozszerzyła i pogłębiła swoją intensywność.

Kiedy po krwawych przewrotach politycznych, w końcu XVIII i w pierwszych dziesiątkach XIX wieku, stało się jasnem, że idee rewolucyjne tryumfują, weszły rządy europejskie z niemi w kompromisy. Kompromis polegał na tem, że państwo zachowało swoją zewnętrzną maszyneryę państwową a rewolucya w zamian ożywiła tę maszyneryę swoim duchem wolnościowym. W tym kompromisie leży geneza i istota kierunku społeczno-politycznego, zwanego liberalizmem, kierunku, który przez cały wiek XIX panował nad światem.

Liberalizm przejął wprawdzie w spadku po rewolucyi wszystkie hasła: »wolność, równość, braterstwo«, ale wobec ciężarnej wagi każdego z nich nie mógł nawet mieć siły po temu, by wszystkie te hasła wprowadzić w życie. Stąd też nie kusił się nawet o rozwiązanie problemu równości i braterstwa i tylko pierwszą z brzegu wolność na swym sztandarze wypisał. W dziedzinie politycznej wolność tę przeprowadził o tyle, że rozszerzył formę rządu przez udział społeczeństwa. W okresie lat 1848—1864 absolutyzm był już prawie wszędzie usunięty przez ustrój mniej lub więcej demokratyczny, przypuszczający szersze warstwy do rządu — a za dni naszych widzimy, jak nawet kordon rosyjski i azyatycka Persya przed tym ustrojem otwierają wrota.

Wolność ta polityczna jest jedynym sukcesem liberalizmu. Natomiast przez dwa inne kierunki wolności — wolność ekonomiczną, przez którą cały proletaryat rzucił na łup kapitalizmu, i wolność intelektualną, tę ostatnią prawie równoznaczną z walką przeciw religii — przez dwa kierunki wykopał sobie liberalizm grób. Wskutek tych dwu kierunków powołał on przeciw swojej liberalnej demokracji dwie inne demokracje do życia: demokrację socyalną i demokrację chrześcijańską. Dziś demokracja liberalna wszędzie, z wyjątkiem jednej Francyi, z dniem każdym coraz bardziej ustępuje z widowni, natomiast świat dzielią dzisiaj mię-

dzy siebie na dwie połowy — dwa przeciwne sobie demokratyczne obozy: chrześcijański i socjalistyczny.

»Kwestye społeczne«, »dobrobyt materyalny proletaryatu«, »zdobycie praw obywatelskich dla proletaryatu« — hasła te, górujące dzisiaj ponad wszystkimi innemi hasłami, należy pojąć w ścisłym związku z całą ewolucją społeczno-polityczną wieku XIX-go, wogóle, całego peryodu porewolucyjnego. Tak jak przez wielką rewolucję otworzył sobie wrota do publicznego życia stan trzeci, mieszczaństwo, tak obecnie naturalnym rozwojem rzeczy dobija się o wstęp na tę szerszą widownię stan czwarty, proletaryat. Jest to naturalna ewolucya ustroju demokratycznego, który dąży do tego, by do praw obywatelskich przypuszczać coraz szersze warstwy społeczne, a zwłaszcza do tego, by sprawiedliwość społeczną wprowadzić w życie, w słusznym rozdziale praw i obowiązków wszystkich grup i jednostek. W obecnem stadyum tej ewolucyi stoi na pierwszym planie kwestya proletaryatu, bo ten przez państwowy ustrój liberalizmu jest najbardziej pokrzywdzony, ale gdy raz niedomagania i nierówności tego ustroju zostaną zrównane, kwestya jednej klasy, kwestya proletaryatu, ustąpi miejsca sprawie ogólniejszej, obchodzącej w równej mierze wszystkich członków społeczeństwa, sprawie sprawiedliwości społecznej, której kres ostateczny jeszcze bardzo daleki.

Ten ogólny pogląd na obecny bieg rzeczy podpisują i socjaliści i chrześcijańscy demokraci, rozchodzą się jednak w ścieżkach wiodących do tego celu.

O tych ścieżkach, jakimi szedł i idzie socjalizm możnaby spisać tomy. W łonie socjalizmu zachodziły już niejednokrotnie przeobrażenia i zapewne jeszcze niejednokrotnie zajdą. Przecież dopiero lat temu kilka, jak wbrew teoryi, że do ostatecznego celu należy dojść przez krwawą rewolucję, powstała w łonie socjalizmu teorya, że do tegoż celu przez pokojową ewolucję zdążać należy.

Nie miejsce po temu, by wyłuszczać szczegółowo teorye i dążności socjalizmu. Jedna jednakowoż dążność socjalizmu wchodzi istotnie w zakres naszej pracy. Jest nią wrogie stanowisko socjalizmu wobec katolicyzmu.

To stanowisko socjalizmu, jeżeli bierze się rzeczy zasadniczo jest nierozwiązalną zagadką. Przecież do dobra społecznej sprawy dąży i socjalizm i katolicyzm ze swoją demokracją chrześcijańską! Różnią się wprawdzie zasadniczo, bo socjalizm opiera się na pogańskim materyalizmie, w całym jednak szeregu postulatów schodzą się, schodzą się zwłaszcza w walce przeciw liberalizmowi. Przynajmniej zatem do czasu, dopóki liberalizm nie jest doszczętnie pogrzebany, dobrze zrozumiany własny interes powinien nakazać socjalizmowi zawieszenie broni. Skądżeż zatem to stanowisko wrogie socjalizmu?

I oto, dochodzimy do momentu, w którym zaczyna się pierwszy etap tego objawu, jaki, w tytule tego artykułu, nazywamy fałszowaniem kierunku doby obecnej. Przez kierunek doby obecnej rozumiemy sprawę społeczną, w pomienionem znaczeniu.

Socjalizm w swoich początkach wcale nie odnosił się wrogo do katolicyzmu. Właściwy twórca systemu socjalistycznego Marx, choć w opiniach prywatnych był pod wpływem uprzedzeń liberalnych, choć nawet w swoim systemie cały pogląd historyczny opiera na pogańskim materyalizmie, nie stawia jednak jako zadania socjalizmu walki z katolicyzmem. Praktycznie, ten niewrogi stosunek socjalizmu do katolicyzmu przejawiał się w znaczący sposób, w czasie rewolucyi paryskiej 1848 roku. W czasie najbardziej rozruchanej walki ulicznej, gdy socjalistyczny proletaryat odrzucał wszelkie pośrednictwo, arcybiskup Paryża Affre w orszaku duchowieństwa idzie na barykady. Przywódcy wychodzą z czią na spotkanie arcybiskupa i zaczynają się układy. W toku układów źle zrozumiany sygnał daje hasło do rozpoczęcia walki na nowo, a jeden z żołnierzy, walczących przeciw proletaryatowi, rani biskupa wystrzałem. Z zamętu wyrwywają robotnicy ранego arcybiskupa, wnoszą na barykady i pielęgnują troskliwie.

Skądżeż tedy wzięła się ta antykatolicka, zawzięta, nienawiść w łonie socjalizmu?

Dokonał tego liberalizm.

Wpływ liberalizmu na socjalizm w tym kierunku był najpierw pośredni. W chwili, kiedy socjalizm przekształcał się z mgławic teoryi i dążności w organizm, słońce liberalizmu stało z ze-

nicie. Był to system panujący, któremu hołdowali wszyscy; ze środowiska też tej opinii wyszli ówcześni przywódcy socjalizmu. Wskutek spłotu historycznych wypadków i pomieszania pojęć, katolicyzm był uważany powszechnie za najsilniejszy filar absolutyzmu, wszyscy zatem zwolennicy ustroju demokratycznego i nowego początku rzeczy występowali przeciw katolicyzmowi wrogo.

Bardziej jednak decydującym od wpływu pośredniego był wpływ bezpośredni, plan ze świadomością celu przeprowadzony. Z chwilą, kiedy socjalizm zorganizował się jako doktryna i stronnictwo, kiedy ze świadomością swej siły rozpoczął występować na widownię publiczną i brać udział decydujący w bieżących wypadkach, zrozumiał liberalizm od razu, że w socjalizmie ma śmiertelnego wroga, który pod jego egzystencją grób kopie. Już w samej teorii jest socjalizm bezwzględną antytezą liberalnej doktryny ekonomicznej — cóż dopiero powiedzieć o tem przeciwieństwie, jakie między dążnościami socjalizmu a praktycznymi interesami zwolenników liberalizmu istnieje. Znaczna część stronników liberalizmu to klasa posiadająca, kapitaliści, bogate mieszczaństwo, których interes jest w dyаметralnej sprzeczności z interesem proletaryatu. Kapitał uczuł się zagrożonym.

Postanowiono zatem socjalizm opanować — wciągnąć go najpierw w przyjacielski sojusz, przypuścić go potem do rządów, dostarczyć mu środków do działania i rozwoju, ażeby w tym żelaznym uścisku serdecznej przyjaźni, narzucić mu swoje cele, w tym wypadku walkę z katolicyzmem, walkę, która z natury rzeczy wymaga i wiele czasu i przy ciągłym rozbudzaniu antyreligijnego fanatyzmu, pochłaniania całą uwagę — a w ten sposób właściwe postulaty socjalizmu społeczno-ekonomiczne odsunąć na dalszy plan.

Widownią tego manewru, fałszującego sprawę społeczną, a więc dzisiejszego ducha czasu, była i jest po dziś dzień Francja. Widzimy, jak już w rewolucyi 1848 roku stają liberali i socjaliści obok siebie na barykadach — a po abdykacyi króla, widzimy znowu, jak spełniają się żądania socjalisty Blanc'a, kiedy ten żąda udziału w rządzie dla siebie, dla kierownika *Reformy* i *National* i dla robotnika Alberta. Nie trzeba już chyba wskazy-

wać na dalsze dzieje, zwłaszcza dzisiejsze rządowe stanowisko socjalizmu francuskiego.

Plan liberalnego mieszczaństwa francuskiego powiódł się zupełnie. W socyalistach zyskało ono najzaciętszych nieprzyjaciół katolicyzmu, a kapitałom swoim zapewniło po dziś dzień spokojną egzystencję. Socjaliści francuscy, w nagrodę, opływają w znaczenie i władzę, ale w zamian za tę władzę oddali to, co ich istotę i istnienie stanowi, kwestyę społeczną. Miską soczewicy był tu portfel ministeryalny. Od czasu do czasu, dla uspienia niebezpiecznego sojusznika, pozwalają liberali na jakąś nieszkodliwą ustawę ekonomiczną, w rezultacie widzimy jednak to oryginalne zjawisko, że Francya socyalistyczna, w której socjaliści są istotną częścią stronnictwa rządowego, na polu reform społecznych jest jednym z najbardziej spóźnionych krajów.

I oto pierwszy etap sfalszowania kierunku doby obecnej.

Zdolność francuska do reklamy sprawiła, że antykatolickie dążności socjalizmu francuskiego wsiąkać zaczęły w socjalizm całego świata tak, że stanowią one dziś główną jego cechę. Kiedy cztery lata temu redakcyja socyalistycznego miesięcznika *Mouvement socialiste* urządziła ankietę o stosunku socjalizmu do antyklerykalizmu, w której wzięli udział najwybitniejsi socjaliści Europy, wszystkie odpowiedzi stwierdziły mniej lub więcej dosadnie antykatolickie stanowisko socjalizmu. Wyjątkowo i to z wyraźnem zastrzeżeniem celów taktycznych, zabląkała się tu i ówdzie w zgodny ten chór głosów, jakaś cicha przestroga przed zbyt pohopnem i bezwzględnem łączeniem się z hasłami antyreligijnymi. W tym względzie znaczącą była, zwłaszcza dla stosunków socjalizmu francuskiego, odpowiedź Kautsky'ego, w której przestrzega przed zbyt otwartym sojuszem z antyklerykalnem mieszczaństwem, ażeby w ten sposób nie odwrócić od socjalizmu robotników, którzy są jeszcze chrześcijanami. »Należałoby raczej — pisze w dalszym ciągu — wskazać tym robotnikom, że walka klas ma o wiele większe znaczenie, aniżeli wszelkie różnice religijne. Należy dążyć nie do wzrostu ale do zmniejszenia interesu, jaki przywiązywać mogą warstwy robotnicze do

spraw religijnych czy teologicznych, a dążyć w ten sposób, by zająć ich uwagę zagadnieniami życia materyalnego».

Katolicyzm miał już czas pogodzić się z myślą o wrogiem sobie stanowisku socjalizmu. Zwiększyło to nawet rację jego programu społecznego. Perspektywa zaś na przyszłość ułożyła się tak, że z walki tych dwu obozów wynikać ma dla świata sprawiedliwy ustrój społeczny. Pierwsze to zatem stadyum sfałszowania ducha czasu nie zmieniło jeszcze istotnie właściwej jego fizyognomii.

Ale oto, w naszych oczach zaczyna się stadyum drugie.

Socjaliści francuscy, mimo wszystko, nie zapomnieli jeszcze o swoim programie społecznym. Pozwalają na zwłokę, ale im ta zwłoka dłuższa, tem ich żądania natarczywsze. I oto w takiej chwili wybucha nagle tak silny płomień antyreligijnej walki, że sobą wszystko przesłania. Zjednoczone siły kapitalistów, mieszczanstwa i masoneryi, czynniki tysiącnymi węzłami wzajemnych interesów splecione, rzucają ostatnie swoje i najsilniejsze atuty na szalę. Po jednej kwestyi religijnej wypływa w lot druga, po niej trzecia, dziesiąta — jedna od drugiej coraz bardziej skomplikowana, obliczona na długi szereg lat, rozdmuchiwana coraz silniej do niezwykłych rozmiarów, wprawiony w ruch cały aparat środków reklamy, urabiania opinii, rozniecania fanatyzmu antyreligijnego aż do czerwoności wolteryjańsko-jakobińskiej.

Nie twierdzimy, że jedyną przyczyną tej obecnej rozognionej walki religijnej, jest chęć zasłonięcia kapitału przed proletaryatem. W dalszym ciągu wskazujemy i na inne przyczyny. Ale niewątpliwie jest to jedna z głównych przyczyn. W samym związku obecnego stadyum walki religijnej, kiedy socjaliści domagali się między innemi, tak niewinnej rzeczy, jak ubezpieczenia robotników na starość, ówczesny prezydent gabinetu, Waldeck-Rousseau, obiecuje spełnić to żądanie. Lecz co się dzieje? Zamiast reform społecznych, wysuwa minister na pierwszy plan ustawę przeciwkongregacyjną. Ale trzeba było w ten wir nowej walki wciągnąć i socjalistów. I oto w przeciwkongregacyjnym projekcie rządowym czytamy, że z majątków po kongregacjach stworzy się fundusz na ubezpieczenie robotników na

starość. W ten sposób interes socjalizmu łączy rząd nierozzerwalną związką z wojną antyreligijną i zyskuje przez to tem fanatyczniejszych zwolenników tej wojny; wojna zaś ta w dalszym ciągu, przez umiejętne stopniowanie nowych form walki, tak pochłania całą uwagę, że projekt ten ekonomiczny niezalatwiony po dziś dzień w tece projektów pokutuje, podczas gdy fundusz pokongregacyjny już cały roztrwoniony. W podobny sposób obiecuje dziś rząd robotnikom wszystkie budynki pokościelne, co ostatecznie mógłby nawet bez trudności spełnić, bo nic go to nie kosztuje. Poza tem w pewnych chwilach, dla miłej różnaitości, pozwoli się Jaures'owi wygłosić jakiś ognisty projekt socjalistyczny, co socyalistom daje uczucie ulgi, że coś zrobili, a wszystkim innym estetyczne wrażenie akademickiej mowy, która do niczego nie obowiązuje. Kiedy zaś wyjątkowo uda się jakiej sprawie ekonomicznej wtargnąć w przedsionek projektu rządowego, jak obecnie kwestyi podatkowej, to cała przemożna klasa Francyi, liberalne mieszczaństwo, w taki wpada paroksyzm, tak w swojej prasie szczerzy zęby, że żadne ministeryum, któremu chodzi o egzystencję, nie waży się tej sprawy poważnie traktować. Socyalizmu niema się co bać, bo przez swe rządowe stanowisko jest trzymany w szachu.

Jakież z tego wszystkiego następstwo? To, że sprawa społeczna, która jako właściwy duch czasu, rządzi dziś całym światem — we Francyi, przynajmniej w obecnej chwili, znikła zupełnie z widowni. Jeżeli czasem wychyli głowę z toni zapomnienia, to nie jako jakiś system, nie jako najważniejsza sprawa chwili, ale tylko jako jakaś luźna przypadkowa sprawa, w tej samej linii jak sprawa weterynarska albo chowu drobiu, na której omówienie wystarczy kilka godzin co dziesięć lat. Natomiast na pierwszy i jedyny plan wyszła walka z katolicyzmem na śmierć i życie.

To co się dziś we Francyi dzieje, jest wielkiem *memento* dla wszystkich, ale może największem dla socyalizmu. Walka z religią jest to wir topieli, który wciąga aż na dno. Pochłania ona cały umysł tak, że na inne sprawy albo wcale albo prawie nie zostaje sił i czasu. Jest to naocznem w omawianych zakusach, dążących do sfalszowania ducha czasu. W pierwszym stadium

tych zakusów walka z religią była pojęta jako jeden z postulatów sprawy społecznej, w obecnem stadyum drugim sprawa społeczna znika zupełnie i pozostaje tylko walka z religią.

Jeżeli zaś do tego wszystkiego dodamy ten decydujący moment, że drugim przedstawicielem sprawy społecznej jest demokracja chrześcijańska — we Francyi słaba ale gdzieindziej silna, co ostatecznie i na Francję kiedyś podziałać musi — demokracja zwalczająca liberalizm i kapitalizm a zarazem wnosząca na pierwszy plan chwili żywotność katolicyzmu, to stanie się jasnem, dlaczego kapitalizm, liberalizm i masonia wszystkie wyężdżają siły, ażeby sprawę społeczną zaprzepaścić i zastąpić ją walką z katolicyzmem.

Na ten falsyfikat przyklepia się etykietę geniusza wieku i puszcza się w świat. Geniusz ten, rzekomo nowy i młody, a w rzeczywistości odświeżony starzec z epoki Woltera i jakobinizmu, znajduje już tu i ówdzie w Europie, jak to wskazaliśmy we wstępie, życzliwe przyjęcie. Czy trwale? czy potrafi on zdezonizować właściwego ducha czasu, tak głęboko wkorzoną w krew dzisiejszych społeczeństw sprawę społeczną, tak krzyżującą, tak powszechnie i tak głęboko odczuwaną, kwestyę społecznej sprawiedliwości? Na to pytanie nie trzeba chyba odpowiedzi.

II.

Rozpatrzyliśmy jedną z przyczyn tego nowego zjawiska. Rozglądnijmy się w dalszych przyczynach, na jakie składają się czysto lokalne stosunki francuskie, których gdzieindziej niema, które też wskutek tego sprawiają, że rzekomy ten duch czasu może chwilę jakąś królować we Francyi, ale poza Francją nie znajdzie dla siebie odpowiedniego gruntu.

Głównym momentem dzisiejszych stosunków francuskich jest to, co na pierwszy rzut oka może wydać się paradoksem, że Francja, choć z niej szły w Europę pierwsze impulsy wolnościowo-demokratyczne, jest najmniej w Europie, z wyjątkiem Rosyi i Turcyi, wolnościowym i demokratycznym krajem. To co po wyjściu z Francyi, w innych krajach przyjęło się i głębokie zapuściło korzenie, we Francyi nie znalazło podatnego gruntu

i tylko pozorną wiedzie egzystencyę. Pod szychem pozorów i słów, pod odmiennym szyldem, istnieje w całej mocy, w dzisiejszej, porewolucyjnej Francyi, to samo, co było przed rewolucyą.

Pierwszy rzut oka na bieg wypadków przekonywa o tem. Co do czasów wielkiej rewolucyi, to każdy chyba rozumie, że były to chwile gwałtu i szaleństwa. Obalono pasożytny i despotyczny absolutyzm królów, ale zastąpiono go krwiożerczą gilotyną terrorystów. Wystarczy czytać te wypadki u niepodejrzanego w tej mierze Taine'a, za którym też idzie cały szereg historyków, ażeby rozczarować się zupełnie do haseł francuskiej wolności, równości i braterstwa. Hasła miały w sobie wiele idealnych stron, ale do urzeczywistnienia tych haseł brakło idealnych ludzi. Na tych chwilach spełniają się słowa Montesquieu'go: »bez cnoty obywatelskiej nie może być demokratycznego państwa«. A dodalibyśmy, już nawet w tem miejscu, pewną uwagę ogólniejszego znaczenia, która odnosi się i do dalszych wypadków. Oto, we Francyi ogromnie trudno o szczerze demokratyczne państwo, bo do tego, prócz innych przymiotów niezbędnem jest zrównoważone poczucie obywatelskiej godności drugich, gdy tymczasem, jak o tem poucza choćby przelotna znajomość Francuzów i cała historia, każdy Francuz, na ogół, jest z temperamentu urodzonym despota, tem straszniejszym, że ukrytym pod ogładą towarzyskich form.

Jak kruchymi były republikańskie węzły, które założyła rewolucya, świadczy cały wiek XIX-ty. Zmiany formy rządu idą jedna po drugiej, przeplatane raz po raz absolutyzmem. Po anarchii rewolucyjnej następuje despotyczne państwo Napoleona, po niem monarchia restauracyi, pełna chwiejności ale i ultraroyalistycznych i centralistycznych zakusów, i znowu po kilkuletniem zawichrzonem istnieniu drugiej rzeczypospolitej wraca absolutne państwo Napoleona III.

Ze trzecia rzeczpospolita jest tylko w materyalnem tego słowa znaczeniu demokratyczną, przekonywać nie trzeba. W niej jednej monarchii niema tak centralistycznego ustroju rządowego, jak dzisiejszy rząd francuski, takiej biurokracyi i takiej zależności od władz administracyjnych. Toż z prawami obywatelskimi

Tak elementarny naprzykład przywilej wolności obywatelskiej, jak prawo stowarzyszania się, dopiero od 1884 roku istnieje. Głośna wolność polega właściwie na możności udziału w rządzie — sam rząd jednak jest centralistyczny. Za królów był absolutyzm królewski, dziś jest absolutyzm mieszczański — forma inna, ale rzecz ta sama. Jak przed wielką rewolucją król ze sferami dworskimi gniótł warstwy mieszczańskie i ludowe, tak samo dzisiaj te ostatnie, doszedłszy do władzy, postępują ze swymi przeciwnikami.

Głównym takim przeciwnikiem dzisiejszej republiki, w przekonaniu republikanów francuskich, jest francuski katolicyzm. W rzeczywistości za czasów królewskich, katolicyzm francuski był zawsze głównym filarem monarchii, po upadku zaś monarchii szedł ręka w rękę z rojalistami, zapatrzonymi ciągle w monarchię, jako w ideał, i zdążającymi do tego ideału nieustannie. I stwierdzić należy, że to stanowisko katolicyzmu francuskiego wrogie republice, a związane z ideałem monarchii, trwa, na ogół, po dziś dzień.

Oto dalsza, a w historycznym biegu rzeczy, pierwsza przyczyna dzisiejszego antykatolicyzmu we Francyi. Nie należy jednak pojmować, jak gdyby to tło polityczne było jedynem zabarwieniem uczuć antykatolickich republiki. Już to samo, że ta opozycja katolicyzmu francuskiego trwa długie lata, wywołuje w przeciwnym obozie pewną ciągłość tradycyi antykatolickiej, a przy każdej tradycyi zanikają mniej lub więcej szczegółowe motywy i rzecz sama o swojej sile istnieć zaczyna. Nadto, rozwydrzenie obyczajowe, wywołujące w radykalnych temperamentach w rezultacie walkę z religią, trwa już we Francyi z górą dwa stulecia, a w ostatnich dziesiątkach lat anormalnie wzrasta. Temu rozwydrzeniu tamy skutecznej duchowieństwo francuskie nie umiało stawić, już choćby dlatego, że, niestety, z szerszymi warstwami, zwłaszcza z ludem w małym pozostawało kontakcie. Praca duchowieństwa była znaczną w szkołach, z czego jednak rezultatu w życiu publicznem nie widać — na polu zagranicznych prac misyjnych, na polu dobroczynności i w armii. W armii rezultaty były obfite i są po dziś dzień, choć, po sprawie Dreyfusa, odkąd armia

przeszła pod ścisły nadzór rządu, szeregi żołnierzy-katolików znacznie się przerzedziły, wypadły zwłaszcza z rąk katolickich naczelne stanowiska.

W takich stosunkach, zdawałoby się, że pogodzenie się z ustrojem republikańskim jest pierwszym obowiązkiem katolicyzmu francuskiego. Czemuż tego nie czyni?

Tego upartego trwania katolicyzmu francuskiego przy stanowisku wrogiem republike, nie można prawie zrozumieć, jeżeli nie przypatrzyło się tym stosunkom z bliska, na miejscu. Nawoływał już katolików francuskich do szczerego pogodzenia się z republiką Leon XIII, ale prawie bezskutecznie. Również bezskuteczne były perswazye licznych katolickich pisarzy ze wszystkich kątów świata. I w naszej prasie padał niejednokrotnie na ten opór czy zacofanie wyrok potępienia.

Ostatniego lata bawiąc we Francyi, szukałem istotnej przyczyny tego uporu. Poszukiwanie szło trudno, bo sama rozmowa o tym temacie nie jest mile widzianą w francuskich katolickich kołach. Jeden z duchownych, na przykład, dał mi do zrozumienia, że w pewnych towarzystwach katolickich Leon XIII, wskutek wzmiankowanego nawoływania, jest tak niepopularną postacią, że lepiej o nim nie zaczynać rozmowy — cóż dopiero gdyby chciało się mówić o demokracji chrześcijańskiej, a zwłaszcza o zgodzie z republiką. Albo inny fakt. Marc Sangnier, twórca stowarzyszenia »Sillon«, jeden z nielicznych, który poszedł za radą Leona XIII, jest w tych kołach uważany prawie za heretyka. Nie chcemy już przytaczać innych, bardziej drażliwych szczegółów.

Główny zarzut w tych kołach przeciw kierunkowi, poleconemu przez Leona XIII, jest ten: Jakżeż katolicyzm może popierać republikę, kiedy ta republika walczy z katolicyzmem? Odpowiedź moja, że zarzut taki nie wytrzymuje krytyki, że co innego republika a co innego obecny jej rząd, że z obecnym masonskim rządem walkę utrzymać należy, a tymczasem przez szczerę republikańskie przekonania i demokratyczno-chrześcijańską akcyę przygotowywać zwolna grunt w ludzie do nowej większości parlamentarnej i do nowego rządu republikańskiego — odpowiedź ta

spotykała się kilkakrotnie ze stereotypowem mruknięciem: »wy nas nie rozumiecie«.

Początkowo brałem to za frazes. Dopiero, kiedy szereg obserwacyi w całość się złożył, zrozumiałem, że tkwi w tem głęboka prawda, która sprawia, że pogodzenie się sfer katolickich, w dzisiejszych warunkach, z republiką, może nie jest absolutnie niemożliwem, ale jest czemś tak trudnem, że, na ogół, prędko spodziewać go się nie można.

Prawda ta mieści się w tem, do czego powyższym naszym wywodem zdążaliśmy. Jakiegokolwiek porzucenie starych przekonań a przyjęcie nowych, zwłaszcza przekonań polityczno-społecznych, wymaga niezbędnie świadomości, że te nowe przekonania są lepsze. W danym wypadku, musiałaby być świadomość, że francuski ustrój republikański ma wyższość nad monarchią, a więc przede wszystkim, że daje większą wolność i pełnię swobód obywatelskich. Musi to być zawsze jakiś ideał wyższy, dla którego porzuca się ideał dawny, zwłaszcza, jeżeli ten ideał dawny jest gorąco ukochany, jeżeli mimo wszystko ma swoje świetne strony, jeżeli nadto tym, co do niego dążą, wydaje się możliwym do urzeczywistnienia, a wydaje choćby dlatego, że w jednym stuleciu trzykrotnie się urzeczywistnił. Tymczasem dla antyrepublikańskiej Francyi taka świadomość wyższego ideału lub choćby równego jest niemożliwą, bo cała dzisiejsza republika jest tylko inną formą absolutyzmu, bez jego świetności. I jakby, na dobitek, ten mieszczański absolutyzm wszystko robi, aby stanąć w jak najjaskrawszej formie, aby przedstawiać się wciąż, jako dalszy ciąg terrorystycznych chwil wielkiej rewolucyi. I nie mówimy już o większych przedsięwzięciach, jak obecna walka z katolicyzmem, jak cały szereg radykalnych zarządzeń i dążeń, ale nawet widać to w najmniejszych drobiazgach, w błahostkach, które, swoją drogą, stronę przeciwną bardziej drażnią od rzeczy wielkich, bo od razu wpadają w oczy. Są to po prostu dziecinstwa, które gdzieindziej ani dnia istnieć nie mogłyby; we Francyi one istnieć muszą, bo Francuz konsekwencyę doprowadza do ostateczności, do najmniejszych drobnostek na zewnątrz. Taka np. rzecz jak hymn narodowy. W iluż to państwach rewolucyoniści zdobywali swoje prawa przy

hymnach rewolucyjnych — prawa zdobyli i o hymnie zapomnieli. We Francyi po dziś dzień narodowym hymnem jest Marsylianka. Z emblematem czapki frygijskiej, z postacią bogini rozumu co krok we Francyi spotkać się można. Nawet w takim miejscu poważnem jak Sorbona maluje się w dziedzińcu freski, przedstawiające rewolucyjny pochód gawiedzi — nawet na kościołach kuje się w kamieniu rewolucyjne hasło.

Takie drobiazgi mówią wiele, nieraz więcej, jak donioślejsze zdarzenia, zwłaszcza, jeżeli z takimi donioślejszemi zdarzeniami są ściśle połączone. W tym wypadku mówią one wymownie, że dzisiejsza Francya, pod względem społecznej ewolucyi, ani kroku nie postąpiła poza stadyum rewolucyi wielkiej — i że dzisiaj po całym stuleciu, w tym samym zasadniczo chaosie znajduje się, w którym była wówczas, ze zmianą, oczywiście, przygodnych szczegółów i dekoracyi. W tym chaosie pełno widzi się powikłań i sprzeczności, pełno dziwacznych zespoleń form i idei. Katolicyzm w nierozzerwalnym związku z rojalistycznym konserwatyzmem, unieruchomiony przez widmo monarchii — burżuazyjny socjalizm i socyalistyczna burżuazya, jedno i drugie spowite jakobinizmem — demokracja i republika oparta na absolutyzmie. Takie sprzeczności mogą się do jakiegoś czasu utrzymywać na powierzchni, na mocy bezwładności, ale też na mocy tego samego prawa muszą rozsypać się, kiedy nastąpi wstrząśnienie.

To wstrząśnienie wywołaćby mogła obecna walka religijna, gdyby się rozogniła, ale w to, wobec tego, że większość ludu francuskiego jest bezreligijna, nie bardzo wierzymy. Natomiast możliwą wydaje się chwila, w której proletaryat rozdrażniony wyrwie się ze smyczy swoich zbalamuconych przewódców. Wtedy liberalny kapitalizm złorzeczyć będzie chwili, w której z dusz robotniczych zaczął wyrywać główną tamę zbrodni — religię.

Najprostszą kombinacją na przyszłość w myśl tych wywodów, byłoby, że przez to wstrząśnienie, które z natury rzeczy nastąpić musi, Francya, pozostająca dziś pod względem ewolucyi społecznej w tyle Europy, postąpi naprzód tam, gdzie dziś jest Europa. Wtedy katolicyzm francuski oparłby się na demokracji chrześcijańskiej i stanąłby przeciw socyalizmowi na dogasających

zgliszczach innych kierunków. Bywały już wypadki w historii, że Francya spaźniała się i doganiała Europę. Tak było w literaturze francuskiej z klasycyzmem i romantyzmem, na początku XIX wieku.

Tak mogłoby być i dziś, ale w przepowiednie bawić się trudno, zwłaszcza, że inne jeszcze dane należałoby brać w rachubę. Wobec rozbujania indywidualizmu do ostatnich granic, Brunetière przeczuwa, że Francję może spotkać los Polski. Wobec ogromnego upadku moralności, strasznej, w następstwie, depopulacji, zanikania twórczości, inni mówią nawet o wygasaniu rasy. W roku 1870 liczyły Francya i Niemcy, mniej więcej równo po 38 milionów ludności. Dziś Niemcy liczą 60 milionów, Francya tę samą cyfrę 38 milionów. Cyfra ta będzie się teraz, jeżeli nie zmienia się stosunki, coraz zmniejszać. Pomijamy całe szeregi faktów z różnych dziedzin, świadczących o głębokim upadku Francyi.

Jakkolwiek rzeczy się mają, jedno z tego wszystkiego jest jasne, że jakiegokolwiek wysuwanie dzisiejszej Francyi za wzór społeczny, przedstawianie jej lokalnego antyreligijnego ducha, jako ducha czasu jest mistyfikacją i to tak wielką, że trudno o widoki jej powodzenia. Zdarzało się, że jakiś kierunek doby, przerwany był przez krzyżujący się inny kierunek, jak doba rewolucyi przez dobę napoleońską, ale był to kierunek wypływający z życia i z silnym prądem życia płynący. A i wtedy nawet przerwa ta trwała tylko jakąś chwilę, po której dawny kierunek wracał napowrót do życia. Tej jednak siły żywotnego kierunku sztuczny fałszyfikat posiadać nie może.

Wobec hasła, że walka z katolicyzmem jest duchem czasu, dla katolicyzmu najbardziej wskazaną jest drogą iść tem usilniej za właściwym duchem czasu, w kierunku pracy nad sprawą społeczną. Po bardzo krótkim okresie pokaże się, kto poszedł na przód, a kto został w tyle.

Ks. J. Pawelski.

BITWA NA WAŁACH¹.

Pamięci ojca poświęca

Syn.

Mężny syn Menajtiów leczył tak w namiocie
Rannego Eurypila. Wzdy Argiwów krocie
I Trojan bój staczały. Już dłużej osłony
Nie miał dawać Danajom rów ni wał przestrony,
Którym obwarowali byli swe okręty, 5
5 I w krąg obwiedli rowem; lecz ofiary świętej
Nie dali byli bogom, by w twierdzy obronę
Chyżże nawy i łupy miały niezliczone.
Ta, iż wbrew bogom była wzniesiona zuchwale
Nieśmiertelnym — nie długo ostała się w cale: 10
10 Dopóki żyw był Hektor i póki niesyty
Gniewu trwał Achil, póki gród stał niedobyty
Władcy Priama — póty i ogromne wały
Dźwignione przez Achiwów, niewzruszenie trwały;
Lecz gdy z pomiędzy Trojan co lepszych nie stało, 15
15 Gdy padła część Argiwów, a część uszła cało,
Kiedy Priamów runął gród w dziesiątem lecie,
A w korabiach Argiwi raz wrócili przecie

¹ Podajemy jedną z najpiękniejszych pieśni Iliady (Księga XII) w prześlicznem tłumaczeniu polskiem. Jest to opis wycieczki trojańskiej na obóz achajski.

Redakcyja.

Do swej ojczyzny miłej — wówczas, wszedwszy w radę,
 Posejdon i Apollon wałów tych zagładę 20
 Wzięli przed się, puszczając na nie rozpęd wściekły
 Rzek onych, co z Idajskich gór ku morzu ciekły:
 20 Heptaporu, Grenika, Rodiosa, Karezu
 Ajzepa i Skamandru boskiego i Rezu
 I Simoejsa, kędy tarcz z bykowca tyle 25
 I hełmów czworoczubych wałało się w pyle
 I mężów napół boskich* całe pokolenie.
 Feb Apollo gardziele rzek tych jąwszy, żenie
 Ich wody przez dni dziewięć, zalewając mury,
 25 A Zeus w tym czasie deszczom służy rozwarł z góry, 30
 By rychlej wał podmyty zwalić w morskie tonie,
 Sam zasię lądów Targacz, trójzęb jąwszy w dłonie,
 Wiódł rej: posady twierdzy zniósł w odmet głęboki,
 Które w znoju nielada z tramów i opoki
 Zwlekli byli Achaje — i na wszystkie strony 35
 30 Rozmiótł nad Hellespontem, co szalał wzburzony;
 Zaczem piaskami zasul szerokie wybrzeże,
 Gdzie rozwalil był twierdzę; potem zasię w mierze
 Wstecz wciągnął wszystkie rzeki, by w koryta swoje
 Wróciły, kędy która toczy jasne zdroje. 40
 Takie to kiedyś mieli konać groźne sprawy
 35 Posejdon i Apollon. Tymczasem śród wrzawy
 Gorzał bój podle wałów potężnej zagrody;
 O wieże gromko dudniąc uderzały kłody,
 Argiwi zasię biczem Zeusowym smagani 45
 W nawach się wydrażonych sparli u przystani;
 Lęk brał ich przed Hektorem, władnym sprawcą trwogi.
 40 Ten — jak wprzód — nakształt burzy pędem bił na wrogi:
 Jako w pośrodku psiarni, a łowców nawały
 Dzik albo lew się miota w siłę zaduwały, 50
 Wzdy oni w szyk wprawieni ławą naprzód idą
 I stając przeciw niemu, z prawicy nań dzidą
 45 Szyją gęsto, on zasię w zuchwałym zapędzie
 Nie cofnie się przed nimi, ni go strach obsiedzie

- I tak własna odwaga zatrutą mu będzie, 55
 Więc na szeregi mężów często godzi w skoku,
 Gdzie natrze, tam szeregi ustępują kroku —
 Tak Hektor w tłum nacierał. Swoim kazał rowy
 Przesadzić, lecz się żaden nie ważył bojowy
 50 Rumaków chyżych zaprząg. Rzęc jęły co siły 60
 Wspięte na stromym brzegu, gdyż się przestraszyły
 Tak szerokiego rowu — mocą bowiem żadną
 Przesadzić go, ni przezeń przejść nie było snadno,
 Z obojej bowiem strony spadziste miał stoki,
 55 A z tamtej sterczał nad nim ostrokół wysoki: 65
 Syny Achajskie palów nabili tam sporo
 Miąższych, wielkich, by wrogom stanęły zaporą.
 Koniowi, zwłaszcza z wozem, przejść tam było bieda,
 Lecz kusili się piesi, zali się im nie da.
 60 Wtem Polydam podszedłszy do Hektora powie: 70
 — »Hektorze, sprzymierzeńców i Trojan wodzowie,
 Nie g'rzeczy nam do rowu chyże gnać zaprzęgi,
 Złyć tam zjazd, bo częstokół broni rowu tegi,
 A za nim wał Achajski mocno przejścia strzeże;
 65 Ani zjechać, ni walczyć na wozach rycerze 75
 Nie zdolą — zginą raczej rażeni w ciasnocie.
 Jeśli Zeus, grzmiący z nieba, zgubić chce w istocie
 Gniewem swoim Achajów — i Trojan posila,
 To pragnę, iżby zaraz nadeszła ta chwila,
 70 By z daleka od Argos niesławnie zginęli; 80
 Lecz jeśli się odwrócą — i odpór jeżeli
 Dadzą nam do okrętów, jeśli nas w te rowy
 Głębokie zepchną, nikt stąd nie uniesie głowy;
 Do miasta poseł kłęski nie powróci żywy,
 Gdyby* na nowo jęli nacierać Achiwy. 85
 75 Hejże, posłuszni wszyscy bądźcie memu słowu:
 Woźnice niech rumaki zadzierżą u rowu,
 A my, zbroją pancerni, rzucimy się pieszo
 I za Hektorem wszyscy pójdziem zwartą rzeszą.
 Nie wytrzymają tego natarcia Achaje, 90

- Skoro już kres ich zguby przybliżyć się zdaje!«
- 80 Rzekł Polydam, a Hektor nie przął radzie zdrowej,
Wnet z wozu na ziem skoczył w zbroicy bojowej;
Inszy Trojanom także wóz się nie przygodzi,
Skoczyli wszyscy widząc, że sam Hektor schodzi, 95
Każdy swemu woźnicy przykazał słowem,
- 85 Iżby rumaki w sprawie dzierżeli nad rowem,
Poczem sami się dzieląc i szykując sami
W pięć oddziałów, ruszyli za swymi wodzami.
W Hektora i w mężnego Polydama ślady 100
Największe, najdzielniejsze biegały gromady.
Ci najskwapliwsi byli przedrzeć się przez wały
- 90 I w nawach wydrażonych zwieść bój zagorzały.
Trzeci za nimi pędem Kebrionos goni:
Kogo inszego Hektor ostawił u koni, 105
Co był od Kebriona pośledniejszym wojem;
Huf drugi pod Parysem szedł i Alkathojem
I Agenorem; trzecim Helen rządził młody
I Deifobos, bogom podobien z urody,
- 95 Syny Priama. Z nimi rycerz Asios bieży, 110
Asios, syn Hirtakosów: z Selejsu wybrzeży,
Z Arizby wielkie ryże konie go przyniosły.
Czwartym hufcem dowodził Ajnejas wyniosły,
Syn Anchiza; dwaj przy nim Antenora syny
- 100 Archeloch i Akamas, wprawni w bitne czyny. 115
Przesławnych sprzymierzeńców Sarpedon swym tropem
Wiódł z Glaukiem i Aresa wojem, Asteropem,
Ich bowiem tuż po sobie w całym swym oddziale
Miał za najwaleczniejszych, sam zaś o wiele
Brał górę nad wszystkimi. — Więc kiedy pospołu 120
Sprzęgli tarcze działane ze skór zdartych z wołu,
Szli żwawo na Danaów, a ci śnać za słabi,
Nie zdzierżą i wyginą u czarnych korabi. —
Gdy sławni sprzymierzeńcy z wszystkimi Trojany
Czynili, jak Polydam nieposzlakowany 125
- 105 Doradził, wždy wódz mężów, Asios syn Hyrtaków

- Wzbraniał się od woźnicy odejść i rumaków,
 A zaprzęgiem na chyże uderzyć chciał nawy.
 Szaleniec! nie miał Doli ująć swej niełaskawej,
 Ani z wozem i końmi od naw nie miał potem 130
- 115 Wnijsz do przewiewnej Troi z radosnym powrotem,
 Śmierć go bowiem dosięgła wprzód, okropnica,
 Idomenaja włóczęgą Deukalionowica.
 Od naw na lewo pędził, kędy w onej chwili
 Achaje z zaprzęgami z pola uchodzili, 135
- 120 Nie znalazł tam zapartych wierzei u brony,
 Ani grubej zawory w poprzek założonej,
 Trzymali ją na ścieżaj męże dla ochrony
 U naw, gdyby w ucieczce biegł z walki druch jaki.
 Tam on zapamiętalec obrócił rumaki, 140
- 125 Z nim inni z głośnym wrzaskiem: śnać Achaje słabi
 Nie zdzierżą i wyginą u czarnych korabi.
 Szaleńcy! na potężnych u wrót mężów idą,
 Dwóch potomków Lapitów wprawnych toczyć dzidą:
 Jeden syn Pejrithoja, Polypojes hoży, 145
- 130 Ów Leontes, mężobój Aresa niegorzej.
 Ci dwaj stali u bramy z wysokimi wroty.
 Jak dwa dęby, co w górach na wichry i słoty
 Łby rozsochate wnoszą wciąż nieprzemnienie,
 Rozciągnawszy potężne, rozłogie korzenie — 150
- 135 Tak ci dwaj, zadufawszy siłom swoich ręk,
 Asiosa, gdy nadjeżdżał, czekali krom lęku.
 Na wał wprost z gromkim krzykiem biegli tamci męże,
 Wznosząc wzwyż z wolej skóry suszone pawęże.
 W okół Asiosa władcy pędzi cała zgraja: 155
- Jamen, Orest i Thoon, obok Ojnomaja
 140 I Adamas Asiosów. Owi obaj zasie
 Po danajskim obozie dali znać na czasie,
 Izby u naw stawali odpór dać straszliwy,
 Którzy u kolan spiżę naszają, Achiwy. 160
- Lecz widząc, iż huf Trojan wprost na wał się żenie,
 Wzdy u Danaów słysząc wrzask i przerażenie,

- 145 Obaj walczyć przed bramą wypadli bojarze,
 Podobni dwom odyńcom, kiedy w górskim jarze
 Odpór dawają groźny psów i łowców tłuszczy 165
 I miecą się z ukosa i krze łomią w puszczy,
 Rwąc je w pień, a wokoło tętni łomot kielców,
 150 Aż celnym bełtem ktoś je powali ze strzelców:
 Tak na piersiach tych obu pod pocisków grotem
 Lśniące spiże tętniały potężnym łoskotem, 170
 Bo walczyli okrutnie, dufni w siłę swoją
 I że tamci na wale z pomocą im stoją.
 Jakoż z wieżyc budownych wałą głąz za gładem,
 155 Broniąc i siebie samych i namiotów razem
 I naw szybkożaglownych. Jak gdy w szumnym biegu 175
 Wichier nagna chmur ciemnych, lecą płyty śniegu
 Gęsto sypiąc na ziemię, która wszystko żywi —
 Tak z rąk leciały bełty: te miecą Achiwi,
 160 Te Trojanie. I w hełmy z trzaskiem suchym tłukły
 Głazy jak z żarn i w tarcze o miedzi wypukłej. 180
 Jęknął Asios Hyrtaków, po udach rozpacznie
 Uderzył się i prawić rozjątrzony zacznie:
 — »Ojczyce Zeusie, tyś także — jako mi się zdaje —
 165 Rad kłamstwu! Nie myślałem, by mężni Achaje
 Wytrzymali nasz rozpęd i rąk naszych ciosy; 185
 Jak pszczoły, albo jako zwinne w pasie osy,
 Kiedy się gdzie zagnieżdżą w przydrożnym wądole,
 To już nie wylatują wszystkie naraz w pole,
 Jeno w swej wydrażonej ostają siedzibie,
 170 By swoich małych bronić, gdy kto na nie dybie — 190
 Tak ci, chocia we dwójkę, nie chcą miarą żadną
 Zdać bram, aż nas pożyją, albo sami padną«.
 Tak rzekł; umysłu Zeusa tą mowę nie ruszy,
 Bo ten Hektora wsławić postanowił w duszy.
 175 Inni przy innych bronach bój zwodzili krwawy. 195
 Nie ja — bóg jaki chyba opowie te sprawy!
 Bo wkrąg wałów kamiennych buchnęły pożogi
 Straszne — z bogów dopustu. Aczci pełni trwogi,

- Ale musieli bronić korabiów Argiwi.
- 180 Truchleli bogi, w walkach Danaom życzliwi, 200
 Gdy pośród bitwy jęli rzeź czynić Lapity.
 Polypojt, Pejritoów syn ów znamienity
 Dosiągnął włócznią Damasa w miedzianą przyłbicę:
- 185 Nie zdzierzał hełm spiżowy, przeszył go na nice 205
 Grot ze spiżu i czaszkę rozbił, iż się wszędzie
 Rozprysnął mózg — tak pożył onego w rozpędzie.
 Pylona i Ormena wnet ze zbrój obnaża.
 Leontes, szczep Aresów, krzepkiego bojarza
 Hippomachosa, syna Antimacha, zasię
 Zgnął włócznią i onego przebił w samym pasie; 210
- 190 A w mig dobywszy z pochew ostrego brzeszczota,
 Wprzód się na Antifata poprzez ciżbę miota:
 Ciało na odlew, ów ano wstecz się zwałił w pyłę;
 Menona, Jamenosa wzdy za małą chwilę
 I Oresta obalił na kupę z tamtymi, 215
 Wszystkich trzech rozciągnawszy na żywiącej ziemi.
- 195 Gdy onych odzierano z błyszczących pancerzy,
 Z Hektorem, z Polydamem ruszył huf młodzieży:
 Najliczniejsi, najkrzepszi, a w żądzę zawziętej
 Dobycę wału i pożar cisnąć na okręty. 220
 Ci nad rowem stanęli, w myślach pogrążeni,
- 200 Bo gdy mieli przechodzić, zjawił się w przestrzeni
 Ptak, orzeł górnołotny i od lewej strony
 Drogę hufcom przeleciał, a krzywymi szpony
 Niósł olbrzymiego węża, co choć krwią ociekły, 225
 Żyw jeszcze, wił się, walki nie przestając wścieklej,
 Albowiem, gdy się pozad wykręcony wiję,
 Orła, co go niósł, użre ponad piersią w szyję;
- 205 Ow, rażon bólem, od się precz na ziem go ciska
 I rzucił go w sam środek wojów rojowiska, 230
 A sam kwiląc uleciał, tchnieniem wiatru gnany.
 I wzdrygnęły się zgrozą patrzące Trojany
 Na zmija, co oślizły pośród nich się tarza,
 Widomy znak od Zeusa, Ajgidy Mocarza.

- 210 Wtem Polydam podszedłszy do Hektora powie: 235
 — »Hektorze, acz rozsądek bywa w mojej mowie,
 Zawżdy w radzie coś najdziesz ku mojej naganie:
 Skąd podwładnemu inne głosić w radzie zdanie
 Lub w bitwie?... raczej ciebie wzmaczać w twej powadze!...
- 215 Lecz dziś, co mi się słusznem widzi, to ci radzę: 240
 Nie chodźmy z Danajami walczyć na ich nawy,
 Bo mi się zły wydaje koniec tej rozprawy.
 Jeśli Trojanom ptak ów iście ku przestrodze
 Gdy przez rów przejść już mieli — zjawił się na drodze,
 Ten orzeł górnotny, co od lewej strony 245
 Drogę hufcom przeleciał, a krzywymi szpony
 Niósł olbrzymiego węża, co acz krwią ociekły,
 Żył jeszcze — puścił orzeł, gadziny zacieklej
 W gniazdo miłe nie zdążył donieść do swych dziątek —
 Tak my choć wał i brony weźmiem na ostatek 250
 W krwawym trudzie i chocia tyły śród pogromu
 Podadzą nam Achaje — lecz od naw do domu
- 225 Tymże torem pod sprawą nie pójdziem z powrotem;
 Wielu Trojan ostawim, którzy pod brzeszczotem
 Achajów, nawy swoje broniących — polegą. 255
 Takby to wróż wyłożył, co znaku bożego
 Dobrze świadom i za to ufność ludu zyska«.
- 230 Z pod brwi nań pojął Hektor, co szyszką błyska:
 — »Polydamie, co rzekłeś, to ja lekce kładę;
 Na lepsząbyś jakąś mógł się zdobyć radę. 260
 Jeśli to rzekłeś iście po rozwadze ścisłej,
 To ci widno bogowie odebrali zmysły,
- 235 Gdy zabyć każesz Zeusa gromowego słowo,
 Które mi sam objawił i przytwierdził głową!
 Wzdybyś ty nam kazał kierować się raczej 265
 Wedle ptaków, szeroko lecących skrzydlaczy?!
 Ja na nie ani spojrzę, nic mi nie zależy,
 Na prawo-li, za słońcem, lot ich w zorzę mierzy,
- 240 Na lewo-li, gdzie zachód w pomroce zapada.
 Uczynim, jak Zeusowa nakazuje rada, 270

- Co potężny, śmiertelnym jak i bogom włada.
 Jednać jest wróżba: stawać w ojczyzny obronie!
 Przed orężną rozprawą przecz lęk w twojem łonie?
- 245 Choćbyśmy wszyscy padli w tej potrzebie krwawej
 U naw Argejskich, ty bądź krom wszelkiej obawy, 275
 Bo nie masz serca k'temu, byś w nawałę wrogą
 Bił mężnie. Lecz od boju, jeśli umkniesz z trwogą,
 Lub od walki namową odwiedziesz mi kogo,
 To wnet życia pozbędziesz przebodzon mą dzidą!«
- 250 Tak rzekszy ruszył naprzód, a ci za nim idą 280
 Z groźnymi okrzykami. Wtem z Idajskiej góry
 Zeus gromowładny zesłał szalone wichury,
 Które przeciw okrętom prosto dęły kurzem;
 Tem skaził duch w Achiwach, męstwem zasię dużem
- 255 Tchnął w Trojan i w Hektora. — Ufni niezachwianie 285
 W znak Zeusa i w swe siły, kuszą się Trojanie
 O nieprzełomnej twierdzy Achajskiej dobytec:
 Zburzą zębate wręby, na wież mocnych szczycie,
 Zwalą zachrony, tramy wystające porzną,
- 260 Wbite w ziem przez Achajów, by stały przemożną 290
 Posadą wież. Podpory one podrywali,
 W nadziei, że się twierdza Achajska zawali.
 Wzdy Achiwi ni pędzią nie cofnęli kroku,
 U zachron z tarcz wołowych dach czyniąc w otoku,
 Z wału na nich pocisków miecą zawieruchę. 295
- 265 Na wieżach dwaj Ajaksy wzbudzali otuchę,
 Obchodząc wszędy, zapal wzniecali bojowy;
 Tych pochlebnemi, tamtych surowemi słowy
 Podżegali, zoczywszy, kto w bitwie ustaje:
 — »Druhy! czy wy, co naprzód rwiecie się, Danaje, 300
 Wy, co miernie chadzacie, i wy opieszalce!
- 270 — Nie wszyscy bowiem ludzie równi sobie w walce —
 Teraz do czynu wszyscy jesteście wezwani.
 Niech mi się nikt nie zwraca ku nawom w przystani,
 Choć posłyszysz pogróżki krzykaczów zwyczajem; 305
 Naprzód iść, ducha sobie dodawać nawzajem!

- 275 Może Zeus Olimpijczyk piorunowy zdarzy
Odepchnąć szturm i w miasto lud zapędzić wraży». —
Tak Achiwów do boju krzyk obu podnieci.
Jak śniegu płatki gęsto padają w zamieci 310
Zimą, kiedy śnieżycę Zeus puści wspaniały,
- 280 Aby ludziom ukazać i te swoje strzały —
I uciszywszy wichry, śnieży wciąż, niezbyty,
Aż gór czuby zasuje i przylądków szczyty,
Łąki w cząber okwite i uprawne niwy; 315
Śnieg na wybrzeża toni słonej, siwogrzywej
I na zatoki sypie, lecz go fale chłoną
- 285 Wzdęte, gdy wszystko inne osute zasłoną
Zwalającej się z góry Zeusowej zamieci —
Tak z obu stron kamienna gęsta zamieć leci: 320
To w Trojan, to od Trojan pada na Achaje.
Aż cały wał od ciosów głuchy jęk wydaje.

(Dok. nast.).

Lucyan Rydel.

„NOWA REFORMA“, PAPIEŻ I DROGA ROZSĄDKU.

»Czego Kościół pragnie, tego stanowczo odmówimy, tego właśnie i jedynie, a mianowicie: ucisku prześladowczego«.

Tak oświadczył Briand w senacie z końcem roku ubiegłego. I zebrał za te słowa oklaski rzesiste.

Cóż tak dogodziło senatorom francuskim?

Senatorzy francuscy nie taili zasad nigdy i jawnie wyznawali już nieraz poglądy wolnomysłne: więc oczywiście nie z przyjaźni dla katolików uradowani usłyszeli o niechęci Brianda do ucisku prześladowczego. Nie chcą wywoływać niepokoju, w którym zapal katolicki mnoży wyznawców; wolą cicho uspioną wiarę i z przezornymi niedowiarkami różnych odcieni nie cierpią stosunków, w których Kościół zdoła rozwinać potęgę dusz bohaterskich.

Czytelnicy Spencera, uczniowie Renouviera nie chcą puścić Kościoła na pole zapasów męczeńskich. Senat grzmiał oklaskami na przezorną zapowiedź Brianda: Rząd swego dokaże, ale środków prześladowczych nie użyje, Kościołowi na przekór.

Wobec tej niechęci do ucisku wręcz prześladowczego dostrzedz już można przewodnią nić wśród wypadków, których widok we Francyi wygląda skądinąd dość zagmatwany.

Katolicy podnoszą głos sprzeciwu wobec ustaw, w których widzą krzywdę dotkliwą. Bezwyznaniowcy powtarzają, że w duchu pojednawczym idą względem Kościoła do najdalszych krańców ustępstwa.

Gmatwaninę pojęć wywołała ustawa o rozdziale państwa od Kościoła; długo układana przez rząd, różnie obrabiana w Izbie i Senacie, przystosowywana do związków najprzód wyznaniowych, potem do przedsiębiorstw osobistych, następnie do mniej jeszcze wykończonych pomysłów, przebywała różne zmiany, ale w każdej postaci i przy każdej przeróbce przechowuje w sobie trzy zasady nietykalne; jedną wyrażoną najjaśniej, mianowicie: zabór dóbr kościelnych; drugą zawartą bez słów, mianowicie: pogląd na Kościół jako nie na ustrój jednolity, tylko zbiorowisko księży samodzielnych; trzecią zasadę kryje ustawa w słowach wsuniętych jakby bez najmniejszego nacisku, mianowicie: państwowy nadzór nad nabożeństwem.

Wobec zasady o zaborze dóbr Kościół poprzestaje na sprzeciwie; środków uchwytnych nie posiada, aby utrzymać majątek wobec przemocy wydzierców.

Wobec zasady o rozstroju stosunków wewnętrznych duchowieństwa Kościół poprzestaje na wpływie swoim i utrzymuje kilkadziesiąt tysięcy księży w związkach ścisłych z biskupami, którzy okazują jednomyślne ciało.

Wobec zasady o poddaństwie księży przy obrzędach pod dozór państwowy, Kościół zajmuje stanowisko niewzruszone: zechce rząd zachować jawne obrzędy bez państwowego nadzoru? Kościół jednomyślnie cały we Francyi zawrze umowę z urzędami; nie zechce rząd odstąpić od nadzoru? Kościół bez jawnych obrzędów spełni swój obowiązek.

I w tej tu mierze sprawa najbardziej sporna, utrudnia rządowi każdy krok: odbierze Kościołowi jawne obrzędy? zamykać kościołów nie zdoła bez widowiska krożańskiego... a za nic nie chce wywierać jawnie przemocy. Pozostawi Kościołowi jawne obrzędy? bez swojego dozoru na nie przystać nie chce, a pod dozorem Kościół nie stanie.

Na czemże polega ta najdrażliwsza sprawa dozoru?

Na to pytanie darmo szukać odpowiedzi w sprawozdawczych zapiskach dziennikarskich. Choć chciałby może który dziennik wyjaśnić sprawę, jednak nie łatwo zdoła, bo ustawa rozdziałowa jakby naumyślnie tę właśnie sprawę, najważniejszą, zaciemniła

w ustępie zręcznie wsuniętym na miejsce niepoczesne. Wykryć tę rzecz można tylko w samym tekście ustawy, który rzadko komu wpada do ręki; można to dostać w Księdze Białej Watykanu, wydanej urzędowo, aby sprawę wyświecić. Polski czytelnik najprędzej znajdzie prawdę w pracy prof. Brzezińskiego, pod napisem: »O stosunku Kościoła do państwa we Francyi, w świetle dokumentów Białej Księgi Stolicy Świętej« (Kraków 1906). Z naukowej tej pracy czytelnik spostrzeże, jak dzienniki wolnomysłne zręcznie prawdę przekręcają, a zachowawcze nie bez wielkich wysiłków zdołają rozplątać pojęcia.

Otóż ten ustęp wtrącony gdzieś chyłkiem do ustawy, jako jej tytuł piąty: *police des cultes*, odtwarza dokładnie ustawę Wielkiej Rewolucyi z 21/2 1795, która zniosła wszelkie obrzędy i oznaki wyznaniowe zewnątrz budynków, przeznaczonych na nabożeństwa, a dozorcóm państwowym poddała cały przebieg nabożeństw i obrzędów. Zasada ta wciągnięta jako tytuł piąty do ustawy rozdziałowej, zawiera jej artykuły od 25-go dalsze, a przepisuje drobiazgowo, jak rząd pozwala wiernym zbierać się na obrzędy, jak zachować się mają zgromadzeni, jakim podlegają karom zarówno z przewodnikiem duchownym wszyscy uczestnicy nabożeństwa, kiedy przeciw myśli rządu wystąpią.

Najprzód artykuł 25-ty stanowi, że zgromadzeni zbierają się urzędowo i podlegają dozorowi władz bezpieczeństwa; tylko za ich wiedzą mają dostęp do miejsca zbornego.

Artykuł 26-ty stanowi, że w miejscu zbornem dla obrzędów nie wolno toczyć narady politycznej; ale oczywiście nie określa, jaką np. część kazania może przedstawiciel rządu w imieniu władzy ogłosić za polityczną i nazwać przestępstwem ustawy.

Artykuł 27-my opisuje zakres władzy burmistrzów co do porządku obrzędów, pochodów nabożnych, wstępu na dzwonnice i innych objawów zewnętrznych nabożeństwa. Oczywiście w za-targu z duchownym co do myśli ustawy rozstrzyga burmistrz.

Artykuł 28-my rozporządza, o ile wolno wystawiać krzyże i godła wyznaniowe na budynkach obrzędowych i cmentarzach, po wystawach i w muzeach.

Artykuł 30-ty wyznacza godziny nauki wiary poza szkol-

nemi godzinami i wiek dzieci, którym ksiądz tej nauki może udzielać.

Artykuł 29-ty i końcowe od 31-go do 36-go przepisują za różne przestępstwa poprzednich artykułów, kary dla świeckich i dla sprawców obrzędu. Np. wyznaczają karę pieniężną od pięciuset franków do trzech tysięcy, albo więzienną od miesiąca do roku, albo obie razem, jeżeli sprawca obrzędów obrazi przedstawiciela władzy na miejscu zbornem, bądź słowem, bądź pismem, czy to odczytanem, czy wyrzeczonem, czy doręczonem komu z obecnych. Karze więziennej od trzech miesięcy do dwóch lat podlega duchowny, jeżeli wzywa słowem czy pismem, ogłoszonem albo rozpowszechnionem, do oporu przeciw ustawie, albo przeciw prawowitemu czynowi przedstawiciela władzy. Oczywiście spis tych kar nie określa bliżej, jaką np. wzmiankę o ucisku Kościoła pod rządem innowierczym może dozorca w imieniu władzy poczytać za przytyk do ustawy rozdziałowej i skaże księdza z wiernymi na grzywny czy na kajdany przez pół roku, a w następstwie zamknie kościół, jako pustkę nieużywaną przez dłuższy czas.

Otóż ten cały ustęp ustawy niknie wśród kilkudziesięciu innych przepisów, zebranych w porządku niezrozumiałym, przerywanych ciągle wycieczkami do innej treści, zaciemnionych wyjątkami albo wzmianką o dalszych wykładach, których dopiero szukać trzeba o kilka stronie dalej. Rzeczony profesor Brzeziński nie umie wymienić drugiego przykładu ustawy, ułożonej tak zawile, jak rozdziałowa. Może nie zawinili w tem pisarze niezręczni, tylko właśnie dowcipni twórcy schowali właściwą pułapkę pod stosem śmiecia pisarskiego.

Otóż tego właśnie jądra ustawy, owego nadzoru urzędowego nie tykał rząd przy żadnem ze swoich rozgłoszonych ustępstw, któremi rzekomo ułatwiał Kościołowi drogę do zgody na ustawę: drogę istotnie do zasadzki ukrytej.

Tę drogę najprzód przedstawił rząd Kościołowi w swoim pomysle związków wyznaniowych, zwanych pogardliwie wyznaniówkami. Był to pomysł istotnie prostacki. Dziwić może, że grono ludzi światłych wpaść mogło na taki pomysł z nadzieją, że Kościół na coś podobnego przystanie. Odmówił tedy Kościół

i wywołał wrzaski, jakoby uporem udaremniał najlepsze chęci rządowe.

Na czemże te chęci polegały?

Tytuł czwarty ustawy przepisał, jak mają powstawać wyznaniówki, aby ich członkowie nabywali prawa uczestniczyć w obrzędach pod dozorem już opisanym.

Mocą artykułu 18-go ustawy rozdziałowej, oraz 5-go ustawy z 1-go lipca 1901 można założyć wyznaniówkę, prawnie uznaną, jeżeli rząd dostanie opis jej dokładny, z jasno określonym jej celem, nazwą, czasem — na który się zakłada, — siedzibą, zasobami pieniężnymi, sposobem wpisu i wypisu członków, zasadą rządu wewnętrznego i sprawami, dla których członkowie mają się schodzić. Należy do tego opisu włączyć prośbę, żeby władza uznała wyznaniówkę, ogłosić wszystko w dzienniku urzędowym i również przed władzą zgłaszać i w urzędowym dzienniku oznajmiać wszelką zmianę w pierwotnym opisie wyznaniówki, zaszłą z biegiem czasu i potrzeb.

Mocą artykułu 19-go wyznaniówka mogła prawowicie urządzać obrzędy jawnie i nic więcej; zatem zakresu swojego nie mogła rozciągnąć na nic, co prócz obrzędów należy do Kościoła: na zakłady dobroczynne, na dzieła wychowawcze i prace naukowe, na prace społeczne i t. d. A wyznaniówkę założyć ma liczba osób przepisana: siedm, piętnaście, albo dwadzieścia pięć, wedle liczby mieszkańców w okolicy.

Mocą artykułów 22 go i 23-go, wyznaniówki miały co roku przedstawiać urzędom świeckim, stan swojego majątku, wykazy dochodów i spisy rozchodów.

W braku majątku, uznanego przez rząd za dostateczny, albo przepisanej liczby członków, w razie półrocznej przerwy w nabożeństwie, albo innych przestępstw ustawy rozdziałowej, rząd może mocą artykułu 23-go rozwiązać wyznaniówkę i okładać członków jej karami do pięciu tysięcy albo do roku kaźni.

I pocóżby wierni mieli zakładać wyznaniówki? Wszak takie związki całym ustrojem swoim urągają pojęciu swobody nabożeństwa i istocie wolnych związków kościelnych. Co za pożytek czerkałby wiernych w takiej niewoli?

Rząd w nagrodę za wyznaniówki obiecywał część dóbr kościelnych. Przedstawiał stąd dla Kościoła korzyści nieobliczalne! Istotnie trudnoby obliczyć starte na proch okrucy, którymi rząd zamierzył pocieszyć katolików po zaborze majątków duchownych. Podzielił te majątki na mnóstwo rodzajów, odmian i nazw, aby oświadczyć, że pozostawia sobie wszystko, co wierni złożyli przed wielką rewolucją na Kościół, co rewolucya zabrała a konkordat w części zwrócił Kościołowi, co znowu ustawa rozdziałowa przywłaszczyła państwu; z pozostałych znowu majątków rząd odbiera dla siebie wszystko, do czego za konkordatu Napoleon albo jego następcy wkładali pieniądze, rzekomo ze skarbu państwa; czego według powyższych rozdziałów nie zagarniał rząd, z tego wydziełał darowizny skarbowi departamentów i gmin na przeróżne użytki, a nakoniec jakąś część opisaną pod przeróżnymi nagłówkami przeznaczał na wyznaniówki. A przytem zastrzegał, żeby wyznaniówki objęły swój majątek w krótkim czasie, bo inaczej nie dostaną nic, i żeby sprawowały się po myśli rządu, bo inaczej stracą wszystko napowrót.

Wszystkie te przepisy powikłane między sobą, obejmują dwa pierwsze tytuły ustawy rozdziałowej, od artykułu 2-go do 17-go i mogą wybornie zmydlić oczy, bo brzmią uroczyście, jakoby spis majątków nadawanych Kościołowi ręką szczodłą, a tymczasem Kościół właściwie nie dostaje ani żdźbła własnego, duchowienstwo traci kongruę i zamiast niej dostaje tylko odprawę coraz mniejszą przez kilka lat, a prawa Kościoła względem obrzędów i co do użytku mniejszej części majątków przechodzą mocą ustawy na wyznaniówki; w braku ich właścicielem całego majątku pozostaje urząd świecki stopni przeróżnych.

Tytuł VI zawiera artykuły z poszczególnymi wskazówkami dla urzędników, jak mają rozumieć następstwa rozdziału i przeprowadzać o nim ustawę bez zatargu z mieszkańcami. Wszystko tu technicznie duchem przezornym, aby cały przewrót stosunków nastąpił gładko i cicho, układnie i przyzwoicie.

Te wszystkie obsłony i przykrywki posłużyły rządowi znakomicie na dowód najlepszych chęci. Pisma bezwyznaniowe podziwiała spokojny tok myśli w ustawie, wolnej od wszelkiego

pozoru chęci prześladowczej. Nawet dzienniki przychylnie Kościołowi nie zdołały od razu wyjaśnić, dlaczego Rzym duchowieństwu we Francji nie pozwalał przystępować do wyznaniówek. Bez nacisku wsunięta wzmianka o nadzorze urzędowym nabożeństwa nie uderzała oczu. Nic nie wyglądało natchnionem zasadą szkodliwą dla wiary.

Papież zdradzieckiej ustawy nie uznał za możliwą.

Wtedy Briand okólnikiem z początku roku obecnego zapowiedział nowe ustępstwo: odstąpił prawo Kościoła względem obrzędów i bezpłatny użytek świątyń przedsiębiorstwom osobistym, gdyby te powstawały po myśli ustawy z 1, 7, 1901, a właścicielką całego majątku kościelnego oczywiście świecka władza ma zostać.

Otóż w tych przedsiębiorstwach osobistych miał Kościół znaleźć wygodniejszą drogę zamiast wyznaniówek, aby dojść przecie do jądra sprawy: do poddaństwa świekim nadzorcom obrzędów.

Do tej dziury mysiej drogę Briand Kościołowi otworzył okólnikiem, w którym usuwa z ustawy rozdziałowej kolce, istotnie zbyt niezgrabnie powystawiane w pomysle o wyznaniówkach. Teraz zasadzkę przezorniej ukrył. Skorzystał najprzód ze zamieszek przy zaborze budynków, aby powydawać nowe przepisy, jak urzędnicy mają odbierać budynki i spisywać skarbcę kościelne. Przepisami tymi tak nadział pierwotną ustawę, że jej właściwe jądro jeszcze lepiej nikło wśród pstrokacizny dodatków. Na takiej ustawie, coraz mniej zrozumiałej, oparł okólnik. Nie przelał całego prawodawstwa względem obrzędów w jedną ustawę: nagromadził kupę nagłówków, zaopatrzonych jedne w arabskie liczby ustawy pierwotnej, drugie w liczby rzymskie okólnika, inne w datę uchwały parlamentarnej czy senackiej, albo w datę przepisu ministeryalnego. W tej kupie ustaw poprzekreślał tylko ustępy o wyznaniówkach; innych przepisów prześladowczych nie naruszył; owszem, słowami wyraźnemi zaznacza, że porządek podczas obrzędów zostaje zastrzeżony artykułem 32-im ustawy rozdziałowej jako też innymi przepisami tytułu piątego, zwłaszcza przez artykuły 26-y, 34-y i 35-y. Słowem: okólnik pobieżnie i bez nacisku, chyłkiem przemyca całe poddaństwo Kościoła pod władzę świecką, ale zastrzega je słowami najzupełniej wyraźnemi.

Zatem okólnik nie odstępował w niczem od istoty ucisku, od najważniejszej zasady co do przewagi wszechwładztwa państwowego nad potęgą Kościoła; zostawia duchowieństwo ściśnięte w kleszczach i zmuszone do wyboru: albo wyrwie w przemowach cały wpływ nadprzyrodzony Kościoła na wiernych i narazi się na zarzut przed rządem, albo uwzględni wszechwładzę państwa i rozcieńczy wpływ Kościoła na bezwonny płyn bez sił nadprzyrodzonych.

W tej niemocy okólnik chce utrzymać pracę duchowieństwa; w tej mierze Kościołowi wodzów nie popuszcza. Ulgę przynosi pod względem sposobu, w jaki duchowieństwo ma zdobyć wstęp do świątyni. Już nie potrzebuje pisać prośb do urzędu z opisem sprawy i ogłaszać po dziennikach urzędowego związku. Już wystarczy podpis imienny przedsiębiorców, aby urząd oddał im świątynię do bezpłatnego użytku. Zamiast najeżonej kolcami drogi, mogą wierni, jakby po gładkiej podłodze, podejść do urzędnika z pismem, na którem dostaną pieczęć, że państwo uznaje w parafii nabożeństwo za jawne i prawomocne. Zatem co nastąpi? To samo właśnie, co czekało wyznaniówki: zamiast nich z tytułem czwartym ustawy przychodzą przedsiębiorstwa z okólnikiem i jednakowo poddają Kościół w obrzędach pod dozór władzy państwowej, okładają wszelkimi karami, przepisaniem tytułem piątym ustawy, zamykają kościoły użyte do przemów przeciwnych myśli rządowej. I Briand wcale nie o Canossie myślał w swoim okólniku, tylko gotów ciemnić Kościół bądź przez wyznaniówkę, bądź przez przedsiębiorstwa, zmienił głos szorstki na łagodny i grzeczniej pokazuje drogę w zasadzkę.

Żartobliwie, wesoło, dowcipnie wyraża Briand zasadę, że nie trzeba mieć obaw zbytecznych o sposób, jak mogą księża dostać świątynie do obrzędów; nie potrzebują zgłaszać prośby przed każdym nabożeństwem; nie potrzebują sami prośby podpisywać; trudów i zabiegów i zachodów uciążliwych nie trzeba. Porządek będzie tam wprawdzie wymagał nadzoru i ściśle nakładał kary pieniężne albo więzienne, ale tylko przewidziane w ustawie rozdziałowej; rząd wprawdzie pozabiera budynki duchowne wszystkie bez wyjątku, ale cóż z nimi począć, skoro wyznaniówki nie

powstają? Dobrze wszystko będzie, bo prześladować okrutnie nie trzeba; tej pociechy musimy odmówić Kościołowi, tej jedynie od-mawiamy stanowczo. Zadawać Kościołowi będziemy ciosy wol-ności!

Pius 10-y umiał ocenić stanowisko Brianda i nie pozwalał zakładać przedsięwzięciom osobistych.

Więc pisma wolnomysłne wszczęły wymówki. Przy nich stała polska *Nowa Reforma* w Krakowie: tak pisała z innymi przedstawicielami ducha przeciwkościelnego, jakby śmiała nawo-ływać papieża na drogę rozsądku. Czytaliśmy wtedy w numerze 283-im z 13-go grudnia ustęp pod napisem: »Dwie drogi«.

»Kościół we Francyi a właściwie kurya rzymska, nie chce sepa-racyi, którą uchwałyli znaczną większością obydwaj ciała prawodawcze. Rząd francuski oddzielił się od kościoła, a tymczasem kościół od pań-stwa oddzielić się nie chce. Watykan nie pozwala na tworzenie zwią-zków religijnych w myśl ustawy o rozdzieleniu kościoła od państwa, rów-nie jak w ostatniej chwili zabronił wykonywania obrzędów kościel-nych na podstawie ustawy o zgromadzeniach z r. 1881. Czegóż więc pragnie Watykan? Czy powrotu do stanu dawnego? Ależ przywróce-nie *status quo* na polu kościelno-politycznem mogłoby w obecnych wa-runkach nastąpić tylko po krwawej wojnie domowej.... o wskrzesze-niu »szuaneryi« dzisiaj we Francyi nie ma już mowy.

»W tych warunkach nieprzejezdne stanowisko Watykanu sprze-ciwia się wprost zdrowemu rozsądkowi i może tylko przynieść szkodę kościołowi....

»Tymczasem rząd francuski kroczy wytyczoną drogą. Uczyniwszy kościołowi wszelkie możliwe ustępstwa, sięgające do ostatnich granic pojednawczości, obecnie przystąpił.... do obmyślenia środków na przy-szłość w razie dalszego oporu ze strony kuryi rzymskiej i episkopatu francuskiego.

....Niższy kler francuski skutkiem oporu papieża, za którym, dotąd przynajmniej, idą biskupi, znaleźć się może w położeniu bez wyjścia....

»Wreszcie kilku radykalnych deputowanych wdrożyło prywatną akcyę w sprawie kościelnej. Deputowani ci.... wystąpili z wnioskiem, by w każdej gminie zamiast proboszcza dwie osoby świeckie złożyły wobec burmistrza oświadczenie, przepisane ustawą.... Akcyą tą może stać się przykładem dla innych osób świeckich poza Izbą deputowanych.

»Teraz papież ma jeszcze sposobność do zaszczytnego odwrotu, później droga stać się może rzeczywiście cierniową. Dwie drogi do wyboru«.

Nieraz *N. Reforma* zaznaczała, że uważa w tem przeciw sobie zarzut niesłuszny, kiedy ją kto pomawia o nastrój przeciwkościelny. Zwłaszcza przed dwoma laty silnie odpierała ten zarzut. Wobec jej świadectwa o sobie, że katolickiem pismem jest i być chce, wypada widzieć nierozmyślną zaczepkę Kościoła w słowach przytoczonych z *N. Reformy*, tylko skutek pośpiechu dziennikarskiego. Można było z równym nakładem czasu i pracy zaczerpnąć o Stolicy świętej szczegółów ze źródła bezstronnego, ale wpadł pod rękę opis, jakich najwięcej dziś można znaleźć: pośpiech dziennikarski wyjaśnia, że *N. Reforma* powtórzyła pogląd natchnięty zasadami Brianda. Później znowu parę razy zabierała głos w tej sprawie, ale już nie obrażała tak wyraźnie uszu katolickich, jak w przestrodze dla papieża przed brakiem rozsądku.

Powyżej przytoczone szczegóły z ustawy rozdziałowej i okólnika wystarczają, aby naprowadzić na wniosek, że Watykan nie mógł wydać duchowieństwa pod nadzór państwowy w obrzędach. Do wniosku tego doszłaby *N. Reforma* łatwo, gdyby podstawiała zamiast pracy kościelnej pracę inną: narodową, redakcyjną, szkolną albo wogóle obywatelską. Niech gubernator czy landrat zabierze majątek, złożony na taką prasę przez jej krzewicieli, i ogłosi, że tę pracę dalej prowadzić pozwala jawnie, byle pod dozorem urzędników. Zabór majątku dość pokazuje, czy życzliwie ów dozorca urzędowy zdawałby władzom sprawę z przebiegu pracy, czy z pierwszej chwili sposobnej nie skorzysta gubernator, aby całą pracę pogrzebać. Podobnie *N. Reforma* może wnosić, że nadzór wszechwładnego państwa nad pracą kapłańską zabiłby ją we Francyi, jak zabija na Wschodzie, gdzie samowładca trzyma na uwięzi duchowieństwo i nawet za spełniony obowiązek ściśle zawodowy może wezwać duchownego pod sąd.

Na następstwa takiej niewoli pod nadzorem rządowym *Nowa Reforma* nie zwróciła uwagi, kiedy oceniła stosunki Kościoła we Francyi. Żadnego redaktora nie nazwałaby nieprzejednanym w uporze, któryby nie przystał na nadzór czynowniczy nad swoją pracą i każdą naradą redakcyjną. Podobnie Watykan nie zasłużył na przestrogi przed nierozumnym uporem, iż nie przystał na

tytuł piąty ustawy rozdziałowej, zachowany niewzruszenie w okólniku o przedsiębiorstwach osobistych.

A ducha pojednawczego okazywał Rzym aż nadto dowodnie, kiedy przez kilkadziesiąt lat utrzymywał najusilniej konkordat, mimo złośliwego dowcipu, z jakim niejeden rząd francuski pacyzył konkordat przez swoje Artykuły organiczne.

Sprawę tę trzeba tu przedstawić dokładniej, aby wyjaśnić, jak Rzym troskliwie pielegnował ostatni węzeł dobrych stosunków z państwem francuskim.

Napoleon Pierwszy zawarł z papieżem konkordat, ale wciągnął do księgi praw państwowych już nie sam konkordat tylko: wraz z nim ogłosił jednocześnie tak zwane Artykuły organiczne, a w nich krępował dotkliwie duchowieństwo wbrew umowie, wyrażonej jasno w konkordacie. Papież niezwłocznie założył sprzeciw na dodatek, podstępnie złączony z obustronną umową, jednak nie dopuszczał myśli o powrocie do stanu bez konkordatu. Skorzystał z zabiegów Napoleona o koronę, aby od niego żądać stanowczo swobody ruchów dla Kościoła, przyznanej w konkordacie, zaprzeczonej w artykułach; bez stanowczej odpowiedzi Napoleona nie pojechałby na jego koronację. Dostał odpowiedź Talleyranda z 18 lipca 1804 r., że konkordat pozostaje stanowczo w całej mocy, jako uгода dwustronna, a Artykuły, jako ustawa jednostronnie wydana dla potrzeb tymczasowych, nie tworzy części konkordatu i ulega zmianom, według potrzeb chwilowych. Poprzestał na tej odpowiedzi papież, jako na urzędowym świadectwie, że nietykalna sprawa konkordatu nie wyklucza dalszych kroków w sprawie Artykułów.

Podjął też Rzym kroki właściwe najprzód u Ludwika 18-go w naradach, odbywanych w ciągu lat 1816-go, 1817-go i 1819-go. Utrzymał konkordat w jego mocy, ale nie zdołał obalić Artykułów. W dalszym biegu wypadków trwają te same zabiegi Rzymu, aby wyzwolić duchowieństwo z jarzma Artykułów a ochronić konkordat przed napaściami coraz częstszymi.

W napaściach tych przewodniczył l'Avenir od r. 1831-go. Zaraz Grzegorz 16-ty wystąpił 15-go sierpnia 1832 r. z encykliką przeciw rozdziałowi.

Za drugiej rzeczypospolitej Rzym dopiął przynajmniej tego, że rząd przystał na ulgi w Artykułach.

Za Napoleona 3-go biskupi parli, żeby rząd już ostatecznie załatwił sprawę z Artykułami; przekraczali je jawnie i ponosili za to kary, ale nie doprowadzili do zmiany w ustawodawstwie.

A z drugiej strony rosły zabiegi przeciw konkordatowi. Pius 9-y w Syllabusie potępił zdanie 55-e, jakoby potrzeba było rozdzielić Kościół od państwa i państwo od Kościoła.

Odtąd oczywiście żaden katolik francuski nie popierał ruchu za Rozdziałem.

Ale ruch ten nabierał sił ustawicznie w obozie przeciwkościelnym i doprowadzał do uchwał coraz jawniejszych. Komuna pierwsza powzięła taką uchwałę uroczyście, jako rzekomy rząd francuski, a następne rządy trzeciej rzeczypospolitej co kilka lat słuchały w izbie wniosków rozdziałowych. Za każdym razem rosła liczba zwolenników.

Leon 13-y odpowiadał ścisłymi rozkazami, aby katolicy mimo najcięższych walk nie ustawiali w obronie konkordatu i w roku 1892-m, 16-go lutego, wydał znany list, aby wezwać katolików do stanowczej zgody z ustrojem państwa. Tym dowodem przekonywał świat, że nie do rozdziału prze wbrew zasadom Syllabusu, ale niewątpliwie do zgody. Kilka razy jeszcze powtarzał papież tę zasadę stanowczo i dokazał tyle, że rząd francuski uznał oczywiste skutki papieskich zabiegów. Minister Constans stwierdził 4 czerwca 1893 roku, że wpływ Leona 13-go usposobił pojednawczo katolików wobec rzeczypospolitej. Prezydent Faure listownie 5-go lutego 1896-go dziękuje papieżowi za zmianę nastroju wśród katolików. W izbie podniósł to samo Waldeck-Rousseau 17-go grudnia 1901-go.

Co roku tedy jawniej do obozu przeciwkościelnego należeli wszyscy przeciwnicy konkordatu, którzy zaczęli wkońcu tworzyć liczbę ledwo nie przeważną wśród posłów do izby. Wnioski ich w tej myśli stawiane mogły już lada dzień przejść. Na ten widok Pius 10-y zabrał głos uroczyście 27-go marca 1905-go, aby oświadczyć, że najusilniej pracował, aby oddalić to wielkie nieszczęście, i że w tej pracy wytrwać zamierza do końca.

Rząd wkońcu wypowiedział konkordat.

Wszystkie, odnośne do tych wypadków urzędowe dowody, wyszły z Watykanu w tak zwanej Białej Księdze. O powadze tych świadectw wierzytelnych nie wątpi żaden z przeciwników Kościoła; ale nie każdy dziennik czerpie z tego źródła dziejowego swój opis sprawy: redakcyje nie powiadomione o wypadkach rzeczowo, szerzą d Watykanie poglądy, jakimi rząd francuski usiłuje swoje stanowisko upozorować.

Ale mimo wszelkich wysiłków rządu, stanowisko jego nawet dla mnóstwa jego zwolenników pozostaje zagadką, póki ci nie wykryją klucza do łamigłówki w hasle Brianda: odmówić Kościołowi upragnionego ucisku! Hasło to wyjaśnia grę ukrytą rządu wobec najnowszego występu biskupów. Gra to jeszcze nie zakończona, ale jej tok obecny nie prowadzi do innego wniosku, tylko że z obawy przed wybuchem ucisku jawnego ruszy Briand w podróż do Canossy albo ustąpi z gabinetu; i to podobniejsze do prawdy.

Biskupi wypowiedzieli po naradach trzy wytyczne zasady:
Praw do zabranego majątku nie zrzekają się.

Jako jednolite ciało wraz z duchowieństwem parafialnem mogą stanąć przed urzędami władzy świeckiej do jednakowego wszędzie układu o użytek świątyń i taką ugodę albo zawrą wszyscy albo żaden, gdyby któryś urząd nie miał jej przyjąć.

Dozór nad porządkiem wśród zgromadzonych przy obrzędach należeć ma do proboszcza, nie do urzędu świeckiego.

Taka postawa jednomyślnego duchowieństwa i te ich stanowcze zasady zaskoczyły rząd nieprzygotowany. Jego zwolennicy skrajniejsi znaleźli przy sobie samego naczelnika rządu; Clémenceau, oburzony odwagą biskupów, widział w ich uchwale rękawicę rzuconą państwu i zapowiedział, że rękawicę podejmuje, i żaden urząd nie przystanie na ugodę, narzuconą wszystkim według jednolitego wzoru; Briand wręcz przeciwnie upatrzył w uchwale biskupów nie rękawicę rzuconą do zapasów ze rządem, tylko przyjętą jakbądź ustawę rozdziałową z roku obecnego, zatem dowód, że o zwycięstwie Kościoła nad państwem mówić nie można. Uśmierzył tedy gorliwego pana Clémenceau i z różnych stron usiłuje torować biskupom drogę na stanowisko rządowe. Wysiłki

te, co parę dni nowe, nie ukrywały dotąd dość zręcznie ostatecznego zamiaru przeciwkościelnego: żaden nie uzyskał zgody ze strony papieża.

Kościół francuski przejrzyście określił swoje zasady: gotów mówić z państwem, jak potęga z potęgą, zastrzega sobie samorząd wewnętrzny, życzy utrzymać obrzędy jawne. Oczywiście prawa do obrzędów jawnych nie okupi odstępstwem od samorządu i poddaństwem pod świeckim nadzorcą. Samorządu potrzebuje ze swojej istoty, a bez prawa do obrzędów jawnych umiał żyć i rozkwitać. W ostatnich też dniach telegramy doniosły, że papież miał zwrócić uwagę biskupów francuskich, że może już czas nie o jawnych nabożeństwach myśleć, tylko ułożyć przepisy, jakby księża urządzali obrzędy w domach zamkniętych.

Briand zagadkami przemawia do tych, którzy nie rozumieją jego obawy przed ostrymi krokami prześladowawczymi: gotów mówić z Kościołem na pozór jak z równorzędną potęgą, zamierza koniecznie podkopać jego samorząd a boi się przeciągnąć struny, aby Francya nie została bez jawnego nabożeństwa. Clémenceau niewątpliwie doprowadziłby stosunki do jawnego ucisku, ale ustępuje przed zręczniejszym Briandem, który świeżo dowiódł już przy zatargu z Clémenceau, że zdoła ustąpić z gabinetu, ale nie zmienia swoich poglądów na walkę z Kościołem, — a za sobą widzi przeważną część obozu rządowego.

I w ostatnich dniach znowu Briand zbierał żywe, długotrwałe oklaski w Izbie — według telegramu *N. Reformy* z 20 lutego 1907 — kiedy przemówił »do sumienia republikańskich stronnictw, aby przyczyniły się do przeprowadzenia ustawy o rozdziale kościoła i państwa, ustawy zapewniającej hegemonię państwu i uspokojenie umysłów«.

Hasło ciągle to samo służy Briandowi do jego zamiarów: Kościół państwu poddany — spokojnie!

Przy obecnym tedy składzie rządu, z jego strony Kościół nie może oczekiwać dla siebie wniosków istotnie zgodnych z kanonicznym samorządem, a innych nie może przyjąć. Ale może tak tę burzę przeczekać, jak przebył innych dziesiątki.

Ks. K. Czaykowski.

Z POLSKIEGO RUCHU ETYCZNEGO.

„CZYSTOŚĆ“.

Aby uniknąć jakichkolwiek nieporozumień, zaznaczamy na samym wstępie, że w tej pracy nie chodzi nam bynajmniej o całość kształt polskiego ruchu etycznego, nie chodzi o jego historię i rozwój na ziemi polskiej, ani o szczegółowy rozbiór jego zasad. Z tego ruchu, który u nas koncentruje się w rozmaitych stowarzyszeniach i ma na celu podniesienie moralności w każdym kierunku, wybieramy na razie ten jego odłam, którego zadaniem bezpośrednim jest zwalczanie prostytutki i nierządu, o ile ta dążność ujawnia się w dwutygodniku *Czystość*¹, wydawanym od 20 czerwca 1905 r. w Krakowie, a wychodzącym od stycznia bieżącego roku w Warszawie. Czynimy to głównie dlatego, ponieważ, chociaż cały ruch wywołuje u nas sprzeczne zdania i sądy, to jednak ta różnica zdań jest krańcowa, o ile się odnosi do *Czystości*; przyczem nie zaszkodzi zauważyć, że zdania ujemne słysząc nie tylko w sferach duchownych, jakby się może zdawało, ale i w szerokich sferach świeckich, i to niekoniecznie takich, które stoją na gruncie ściśle wyznaniowym.

I.

Główne rysy programu ruchu etycznego w ściślejszem znaczeniu skreślił naczelny redaktor, dr. Wróblewski.

¹ *Czystość*. Dwutygodnik bezpartyjny, poświęcony sprawom zwalczania prostytutki i nierządu.

»Dążymy do zreformowania obyczajów ludzkości a przede wszystkim naszego narodu, wytępiając prostytucję i rozpustę a wprowadzając czystość obyczajów, jako powszechny zwyczaj.

»Żądamy czystości życia do małżeństwa i poza małżeństwem. Pod małżeństwem rozumiejąc kościelne, cywilne lub wolne małżeństwo.

»Żądamy czystości obyczajów w małżeństwie.

»Żądamy przede wszystkim zniesienia reglamentacji prostytucji.

»Dążymy do zupełnego wyniszczenia prostytucji, nierządu i rozpusty we wszelkich ich przejawach.

»Poprawę stosunków zaczynamy od siebie samych. Aby się łatwiej utrzymać na dobrej drodze życia czystych obyczajów, łączymy się w stowarzyszenia spójne jednością myśli, uczuć i dążeń. Zorganizowani w stowarzyszenia stawiamy dla dopięcia postulatów wyżej przytoczonych, żądanie reformy wychowania domowego i szkolnego i przede wszystkim reformy szkoły. W szkole powinno być systematyczne uświadamianie uczniów w sprawach płciowych, w sprawach dotyczących pokus i rozpusty, oraz rozbijanie ich w walce z rozpustą.

»W szkole powinny być dozwolone i popierane samodzielne uczniowskie kółka etyczne, pielęgnujące czystość życia młodzieży i walczące z zepsuciem moralnem w szkole.

»Żądamy wprowadzenia systemu koedukacji¹.

Ponieważ zaś »w walce dążącej do powszechnej zmiany obyczajów, jednym z najważniejszych postulatów jest czasopismo, któreby było strażnicą, czuwającą w pochodzie idei, któreby niosło sztandar w walce«, którego zadaniem byłoby »służenie za wyraz opinii istniejących towarzystw moralności, odgrywanie roli ich organu«², i takim właśnie pismem jest *Czystość*, przeto powyższy program jest także programem *Czystości*. W tym programie leży *Czystości* silna i słaba, dodatnia i ujemna strona.

Pojedyncze zeszyty *Czystości* przedstawiają w ponurych bar-

¹ *Czystość* r. II. str. 153 nast.

² l. c. I, str. 1.

wach życie polskiej młodzieży, często i polskiego społeczeństwa. Widać coraz większy zanik pojęć i poglądów moralnych. Charakterystycznym w tym względzie jest przesłany Redakcyi list, w którym kilku »młodych« zapytuje, czy wstrzemięźliwość płciowa jest możliwą, czy »ze względu na przyszłe małżeństwo jest pożądaną, czy słuchając we wszystkim *Czystości* nie narażamy się na niebezpieczeństwo wstąpienia w związek małżeński jako impotenci. Jak długo tego nie wiemy z całą stanowczością, przecież na niepewną drogę czystości i wstrzemięźliwości bezwzględnej puszczając się chyba nie będziemy«¹.

Takim poglądom odpowiada praktyka życia. Kiedy według statystycznych danych na tysiąc akademików w Cambridge tylko pięciu odwiedzało domy zepsucia, to niestety! w Warszawie, według ankiety d-ra Kowalskiego z r. 1898, dopuszczało się tego występku na tysiąc młodzieży aż 864, a według ankiety z r. 1903 popadało w ten sam grzech 855 %; w Krakowie na 700 członków Wzajemnej Pomocy słuchaczy uniwersytetu było zarażonych w 1905 r. 20 %²; we Lwowie zaś leczyło się na choroby zakaźne na poliklinice 69 uczniów szkół średnich w roku 1901, a 139 w r. 1904³; to też nie należy się dziwić, że w tym względzie panują między młodzieżą wprost niebywale stosunki, że »młodzież demoralizuje się, idyocjeje i staje się coraz mniej zdolną do zajmowania się ważniejszymi kwestyami. Prostytucya, neurastenia i choroby weneryczne pustoszą w zastraszający sposób młodzież«⁴, że »już w szóstej, najpóźniej w siódmej klasie prawie wszyscy, podnieceni ustawicznie rozmowami, czytaniem odpowiednich książek i pism pornograficznych w stylu *Bocianów*, dostarczanych im przez usługnych starszych kolegów, zatrutowani tytoniem, a nawet nierzadko alkoholem, spadają do najniższego stopnia, jaki sobie można pomyśleć«⁵.

W pracy na tej smutnej niwie uznajemy wielkie zasługi *Czystości*.

W gorących i szczerych słowach wynosi *Czystość* potęgę

¹ l. c. I, str. 76.

² l. c. I, str. 298.

³ l. c. I, str. 118.

⁴ l. c. II, str. 35.

⁵ l. c. I, str. 211

i znaczenie moralności dla życia pojedynczego człowieka i całego społeczeństwa. »Równolegle z uformowaniem stosunków płciowych rosła kultura człowieka... Czuł to człowiek stojący na wyższym szczeblu drabiny cywilizacyjnej i starał się na swój sposób uporać z tą wciąż powracającą kwestyą. Gdziekolwiek tylko spojrzymy, widzimy ludzi prowadzących świat przez czystość do szczęścia«¹. »Intelligencya nasza będzie bystrzejszą, praca umysłowa wyda nam się łatwiejszą a pamięć dzielniejszą... Pamięć staje się szybką i lotną, myśl żywą i płodną, wola energiczna, charakter nabiera siły, o której rozpustnik nie ma pojęcia. Tylko przez pryzmat czystości wydaje nam się otoczenie w barwach jasnych, ona to oświeca swymi promieniami najmniejsze przedmioty wszechświata i przenosi nas do uciech najczystszych i szczęścia trwałego. Zachowując czystość rozwijacie w sobie najpiękniejszą część ludzkiej istoty, istotę moralną. Wola wasza pokona łatwiej przeciwności, piętrzące się zwykle na drodze życia, zapewni wam — jakiegokolwiek będzie stanowisko wasze w społeczeństwie — miejsce uprzywilejowane wśród tych, którzy nie nauczyli się tak jak wy, tłumić swoje namiętności... Unikniecie przedewszystkiem tych wyrzutów sumienia, które zatrwały niejedno życie stworzone do szczęścia«².

Tem jaskrawiej odbija od tego jasnego obrazu obraz występnego życia. »Zakazane zaspokojenie rodzącej się żądz nie tylko jest czynem niemoralnym, ale i okropną szkodą wyrządzoną ciału. Nowa potrzeba staje się tyranem, jeżeli jej ulegz. Występne ustępstwo podtrzyma ją i uczyni nakazującą siłą. Każde nowe ustępstwo ukuje nowe ogniwo w łańcuchu nałogów. Wielu za mało posiada sił, by łańcuch ten złamać, bezsilni dochodzą do upadku fizycznego i umysłowego, niewolnicy nawyknięcia«³. »Coraz szerzej słychać głosy, mówiące o zaniku duchowych i fizycznych sił ogółu naszego społeczeństwa. Toczy się ludzkość w przepaść a z każdym rokiem przybywa coraz więcej ofiar«⁴. »Narody giną przez utratę moralności«⁵. To objaw łatwo zrozu-

¹ l. c. I, 67.² l. c. II, 44.³ l. c. II, 26.⁴ l. c. I, 212.⁵ l. c. I, 305

niały, bo następstwem niemoralności to »upodlenie i poniżenie moralne całych społeczeństw, zatrata sił fizycznych i duchowych, choroby straszne, jakich nie zna świat zwierzęcy, wreszcie degeneracya, zepsucie zarodków ludzkich i zwyrodnienie pokoleń, powszechny rozstrój nerwowy, choroby psychiczne, rozpowszechnianie się ogólnej sugestyi, że zło jest dobrem i niezbędnem«¹.

Wobec takiego stanu rzeczy jest już jasnem, dlaczego *Czystość* gromi i zwalcza niemoralność we wszystkich jej przejawach. Nikt nie zaprzeczy, jak ważną rolę w umoralnieniu społeczeństwa odgrywa kobieta i to tak w znaczeniu dodatniem, jak i ujemnem. »Historya cała uczy nas, że ludy czyste, te które szanują kobietę i zazdrośnie chronią ją od skażenia, są trwale i płodne, są to rasy rozwijające się, wzmagające, najszlachetniejszego typu, najwytrwalsze w postępie i najpewniej zyskujące nad innymi przewagę. Nigdy nie spotkacie ludu rozwijającego się stale, jeżeli stanowisko kobiety u niego jest poniżone, mężczyźni rozpustni a społeczeństwo zepsute«². Olbrzymia więc część *Czystości* poświęcona jest walce o umoralnienie kobiety, o wyrwanie jej z bagna i nie-szczęścia.

Pomijamy tu całą seryę artykułów p. t. »Stosunek mężczyzny i kobiety podług A. Towiańskiego«, nie jakbyśmy się nie pisali na takie np. zdanie: »Podstawową zasadą stosunku mężczyzny i kobiet jest... szacunek wzajemny i bratnia spółka w Chrystusie, do której obie płcie w zetknięciu ze sobą bezustannie dążyć powinny. Mężczyzna związany taką czystą, na wyższej ideowości opartą przyjaźnią z całym szeregiem kobiet podniosłego ducha, nie może czuć skłonności do rozpusty«³, zdanie, uczące innemi słowy, że ze stosunku mężczyzny do kobiety trzeba wyeliminować, ile się da, element seksualny, nie widzieć w niej tylko przedstawicielki innej płci, lecz człowieka, — ale dlatego, że te poglądy w obecnym stanie społeczeństwa wydają się nam trochę utopijne, mgliste i nieuchwytnie. Wyrobienie moralne szerokich warstw musiałoby być inne, żeby takie zapatrywania mogły się przyjąć i na ogół, a szczególnie na młodzież, oddziaływać.

¹ l. c. I, 125.² l. c. I, 249.³ l. c. I, 171.

Pomijamy także niewystarczająco przez *Czystość* podkreślone pytanie, ile kobieta sama zawiniła i ile ona przyczyniła się do moralnego upadku; pomijamy je zaś dlatego, że tę kwestyę porusza *Czystość* za pobieżnie. Twierdzi wprawdzie: »Bóg wie, dla ilu z pomiędzy młodych mężczyzn początkiem rozbicia moralnego było postępowanie jakiegoś młodego dziewczęcia, które przez próżność i nieznajomość życia, bawiąc się i żartując, zachwiało w jego sercu po raz pierwszy wiarę w kobietę... Chciałbym szanować kobiety, ale te panny, które w towarzystwach spotykam, nie pozwalają mi na to. Lubią mię za to, że postępuję z nimi swobodnie, za to, że rozmawiam z nimi o kwestyach drażliwych i one to czynią mnie tem, czem jestem«¹, lecz można i trzeba by o tem więcej napisać a niejedna rzecz pewnieby się lepiej wyjaśniła i w innem przedstawiła świetle. Za wielką za to zasługę poczytujemy *Czystości* w jej walce o umoralnienie kobiety jasne i stanowcze wystąpienie przeciw prostytucyi, żywemu handlowi i podwójnej moralności.

»Domy nierządu to jedna wielka zbrodnia, zbrodnia społeczna. Zbrodniarzami są wszyscy ci, którzy w jakikolwiek sposób przyczynili się do istnienia tych zakładów, zbrodniarzami są wszyscy ci, którzy korzystali z istnienia tych zakładów. Zbrodniarzami na koniec są wszyscy ci, którzy nie protestowali, ale odwracając oczy, zasłaniali się fałszywą skromnością«². Stąd też całe szpalty pisma poświęcone są rozpatrywaniu tej przykrej kwestyi, jej rozwojowi, reglamentacyi ze strony państwa, następstwom, jakie za sobą pociąga a przede wszystkim strasznej bezcelowości uprawnionego nierządu, który wywołuje wprost przeciwnym oczekiwany skutki. »Prostytucya jest zasadniczem pogwałceniem praw higieny... uprawianie nierządu zasługuje na potępienie zarówno u mężczyzn, jak u kobiet... reglamentacya niszczy ideę prawa moralnego jednego dla obu płci... każdy system organizujący prostytucyę podnieca do nierządu, wzmacnia liczbę urodzeń nieprawych, rozwija prostytucyę tajemną i obniża poziom moralności publicznej i prywatnej... stosując reglamentacyę państwo,

¹ l. c. II, 140. ² l. c. I, 41.

obowiązane do równej opieki nad obu płciami, w istocie demoralizuje mężczyznę i kobietę, oraz poniża ostatnią... dając koncepsyę domom nierządu i czyniąc zeń zawód, państwo sankcyonuje niemoralny przesąd, jakoby rozpusta była konieczną dla mężczyzny«¹. To podstawowe rysy tych zasad i poglądów na kwestyę prostytucyi; im przeciwstawia *Czystość* dodatnie następstwa zniesionego oficjalnie nierządu. »Zniesiono reglamentacyę w Norwegii, w północnej Szwajcaryi, w wielu miastach niemieckich, holenderskich, w Anglii, z wyjątkiem czternastu miast portowych. Statystyka miasta Zurychu dowodzi wyraźnie, że po zniesieniu prostytucyi w kantonie zurychskim ilość nieprawych narodzin się zmniejszyła, jak również ilość zakażeń. W Kolmarze po zamknięciu domów publicznych, oraz po bardzo silnem ograniczeniu prostytucyi pojedynczej, zauważono poprawę stosunków obyczajności oraz dobry wpływ na moralność ogólną«².

Że prostytucya nie upada a nierząd się szerzy, przypisuje *Czystość* między innemi społeczeństwu, w szczególności zaś mężczyznom. »Czy nie społeczeństwo samo niesie okropną odpowiedzialność za istnienie tych istot? Iluż to mężczyzn przyczyniło się do zguby niejednej niewinnej dziewczyny, a dzisiaj z taką pogardą i oburzeniem mówią o prostytucyi. W przeciągu piętnastoletnich prac kapłańskich Pan Bóg udzielił mi łaski nawrócenia kilka takich nieszczęśliwych istot i zawsze z opowiadań ich dowiadywałem się, że główną przyczyną takiego życia był jakiś mężczyzna, który uwiódł je a później porzucił. A społeczeństwo przez swoją niesprawiedliwość dopełnia miary ich nieszczęścia. Bardzo łagodnie patrzy społeczeństwo na grzechy mężczyzny. Poczytuje się u nas za szczególną rycerskość, chwalić się łatwem zwycięstwem nad nieszczęśliwą dziewczyną... Łagodnie patrząc na postępowanie młodzieńca, inaczej sądzi społeczeństwo taką upadłą dziewczynę. Tu ono surowe, tu wydaje wyrok niecofnięty... Ci sami mężczyźni, którzy prowadzą życie najniemorálniejsze, pogardzają kobietą, która jeden tylko raz upadnie, chociażby najzupełniej bez swej winy«³.

¹ l. c. I, 87.² l. c. I, 21.³ l. c. I, 27.

Ten ustęp prowadzi nas już do surowych wyroków wydanych na podwójną moralność. »Gdy społeczeństwo odejmuje prawo rozpusty kobietom, powinno je też odjąć i mężczyznom«¹, a tymczasem »młodość musi się wyszumieć... Ach, niestety! wy rodzice przecież pobłażliwym uśmiechem witacie syna, gdy po zmarowanej nocy przed waszemi oczyma stanie. Wy, ojcowie i matki, którzybyście wykleli i wyrzucili precz z waszego domu córkę, jeżeliby się raz odważyła do domu na noc nie wrócić, wy tylko się uśmiechacie, gdy syn wasz trwoni ideały i życie w uściskach kupnej dziewczyny«². »Od siostry wymaga brat niewinności, ale on sam uważa prostytutkę za swój przywilej całkiem naturalny i po latach życia nierządnego niewinność stawia dziewczynie za warunek wejścia z nim w związki małżeńskie... Najsilniejszą sprężyną tajemną, główną przyczyną rozpowszechniania się nierządu w naszych czasach, są zapatrywania społeczeństwa... Przesady te opierają się na uznawaniu innej moralności dla mężczyzny, innej dla kobiety, na tem wierzeniu, że czystość płciowa szkodzi mężczyźnie, że prawo natury wymaga od niego zadowolenia żądzy płciowej«³. Dlatego można się zupełnie i bez zastrzeżeń pisać na hasło przez *Czystość* głoszone: »Walczmy z prostytutką w imię podniesienia sponiewieranej przez nią godności ludzkiej — w imię wyrównania krzywd, wyrządzonych jej ofiarom, w imię ochrony ludzkości przed moralnem i fizykiem zwyrodnieniem«⁴.

Wehodząc w przyczyny i źródła niemoralności, piętnuje *Czystość* energicznie i dosadnie to wszystko, co nierząd wywołuje i rozpowszechnia.

Ostro występuje więc przeciwko niemoralnym ogłoszeniom i inseratom po gazetach i pismach⁵, i co uważamy za dowód cywilnej odwagi, nie cofa się nawet przed wypowiedzeniem surowych sądów o dzisiejszej sztuce. »Wobec rozpowszechnionych pojęć o wolności sztuki i ogromnej liczby artystów, karmiących społeczeństwo nieraz estetycznie pięknymi opisami tego, czego nie można nazwać inaczej jak błotem, nasuwa się każdej myślą-

¹ l. c. I, 6. ² l. c. I, 45. ³ l. c. I, 94. ⁴ l. c. I, 138. ⁵ l. c. II, 12. 130 sq.

cej jednostce pytanie, czy jednak talent uprawnia do podawania ludziom rzeczy brudnych i szkodliwych, choćby w najpiękniejszej szacie. Niestety talent zamiast służyć wyłącznie dobru i pięknu... w rękach niskich i podłych szerzy zło i zabija dobro na swej drodze... Mimo całej artystycznej piękności nadobnej literatury, otrzymuje się od niej niekiedy wrażenie, jak gdyby dane społeczeństwo było stadem zuchwałych samców i rozwydrzonych samiec... Pod marką sztuki wychodzą na świat rzeczy w istocie swej treści zupełnie niegodne jej wielkiego imienia, nieraz arcydzieła formy, które jednak sieją w społeczeństwie zgniliznę tem więcej i skuteczniej, im właśnie piękniej są napisane«¹.

Gorzkie prawdy mówi też *Czystość* pewnej klasie lekarzy, którzy zbrodniczymi radami młodzież do niemoralności popychają. »Takich bezwstydných nieuków, pozbawionych moralności, którzy noszą tytuł lekarza i mają wskutek tego legalną możność się demoralizację, mamy na nieszczęście dużo. Trzeba, aby przeciw nim wystąpili wreszcie lekarze sami, aby korporacja lekarzy polskich oczyściła się od tego piętna hańby, jakie nosi na sobie«². Kiedy przed dwoma laty we Lwowie wydawać zaczęto pozornie popularno-naukowy, w rzeczy zaś samej pornograficzny miesięcznik *Świat płciowy*, doradzający umiarkowaną rozpustę i pouczający, jak się strzedz zakażenia, rozpisala *Czystość* między lekarzami i profesorami wydziału lekarskiego na uniwersytecie lwowskim ankietę w sprawie tegoż *Świata płciowego* i miażdżący wynik tej ankiety ogłosiła w kilku zeszytach. Głosy pewnej części lekarzy i profesorów polskich stwierdziły, że nie chodziło tu o naukę, lecz o całkiem inną rzecz.

W śledzeniu przyczyn i objawów niemoralności nie darowała *Czystość* nawet tek »niewinnej« rzeczy, jaką jest flirt, wykazując, że i tu celem jest tylko podniecenie popędu płciowego³.

Za największą jednak zasługę *Czystości* uważamy ankietę: czy możliwem jest zachowanie bezwzględnej czystości. Mógłby ktoś powiedzieć, że sprawa ta już dawno przez naukę twierdząco rozstrzygniętą została. To prawda! ale niemniej prawdą jest, że

¹ l. c. II, 75 sq.² i. c. II, 69. I, 215.³ l. c. I, 57.

takie rzeczy do nas podobno później dochodzą, jak gdzieindziej a i to jest też prawdą, że taka rzecz zawsze zasługuje na to, by ją z jak największym naciskiem podkreślać i uwydatniać. *Czystość* zebrała głosy wielkich powag na polu nauki całego świata stwierdzające z wszelką stanowczością, że bezwzględna czystość jest bez niebezpieczeństwa dla zdrowia możliwą, że niema choroby wypływającej z czystości obyczajów, gdy przeciwnie życie rozpustne bez liku tych chorób sprowadza. Wszystkie te głosy koncentrują się w sądzie fakultetu lekarskiego w Chrystyanii: »Zapatrywanie, wyrażone tu i ówdzie w ostatnich czasach, jakoby obyczajne życie i wstrzemięźliwość płciowa połączone były z niebezpieczeństwem dla zdrowia, jest według naszego zgodnego doświadczenia błędem. Nie znamy żadnego wypadku choroby lub słabości, któryby można uważać za spowodowany przez czyste, obyczajne życie«¹.

Zauważyć przytem należy, że głosy te stwierdzają nie tylko, że czystość obyczajów nie jest szkodliwą, ale zaznaczają równocześnie, że ona jest możliwą. »W mej dwudziestoletniej praktyce, pisze np. prof. Ribbing ze Sztokholmu, nie spotkałem nigdy ani jednego mężczyzny, dla któregoby przy dobrej woli było niemożliwem panowanie nad sobą«².

II.

Staraliśmy się uwydatnić w pierwszej części naszej pracy ważniejsze dodatnie strony *Czystości*, których, biorąc rzecz sumiennie, bezstronnie a sprawiedliwie przeoczać nie wolno; to jeszcze nie znaczy, że zgadzamy się na wszystkie zapatrywania pisma i na jego kierunek. Nie zwracamy tu uwagi na kwestyę literackiej wartości dwutygodnika, zbyt ni optymizm i iluzję Redakcyi, która naiwnie sądziła, że jej wezwanie znajdzie od razu oddźwięk w sercach i dlatego w najrozmaitszych sprawach życia płciowego zabierała głos, urządzając ankiety po ankietach a nie przypusz-

¹ l. c. I, 116; oprócz tego I, 64, 78, 92, 97, 99, 111, 113, 115, 118, 129, 167, 229, 281, 297, 300, 306, 330; II, 13, 26, 28, 35, 76, 132.

² l. c. I, 117. Głosy te wyszły później w osobnej odbitce i zasługują na gorące poparcie.

czając ani na chwilę, że przecież jest moralnem wprost niepodobieństwem, żeby np. chlebowodawca odpowiedział szczerze na takie pytania: »czy służąca była moralnego prowadzenia się przed wstąpieniem do nich na służbę, czy jest moralną obecnie, jeżeli upadła to z czyjej winy i jakiego powodu, czy chlebowodawca stara się o szczerość i patryarchalność« i t. d.¹; pominiemy nawet milczeniem rozróżnianie etyki proletaryackiej i burżuazyjnej, choć takie pojęcie nie zgadza się ani z nauką, ani z rzeczywistością; nie będziemy też spierać się o koedukację a częściowo i uświadamianie, gdyż w tych sprawach nasze pismo niezadługo zabierze głos. W tej części naszej pracy chodzi nam wyłącznie o zarzuty natury moralnej.

I tak zdaje się nam, że *Czystość* nie zawsze oddaje sprawie, której służy, dobre przysługi. Jesteśmy przekonani o tem, że wszystko było tam w najlepszych zamiarach pisane, o złą wolę nikogo nie podejrzujemy; przyznajemy i to, że w kwestyi tak drażliwej trzeba często rzecz jasno postawić i nazwać ją po imieniu, ale dlatego właśnie, że to kwestya tak drażliwa, potrzeba niesłychanej delikatności uczucia i wielkiego taktu, żeby nie wywołać przeciwnego wrażenia. *Czystość* obrachowana jest na szerokie warstwy młodzieży; to serca nieraz najszlachetniejsze, pełne ideałów i wysokich aspiracyi, ale równocześnie narażone na tyśiączne pokusy, oddychające często zatrutą atmosferą. Do nich na rozmaitych drogach garnie się zepsucie, a brak im hartu, wyrobienia, zasad. Pisząc dla nich, nie wolno stosować do artykułów miary odpowiadającej dojrzałemu wiekowi. Pod tym względem *Czystość* zawiniła.

Pewne szczegóły publicznej spowiedzi d-ra Wróblewskiego² z pewnością nie były potrzebne; drugie takie wyznanie nieznanego autora, w artykule p. Starskiego³ można było też przemilczeć; opisywanie różnych objawów życia seksualnego, ich powstania, rozwoju, warunków, co wszystko obszernie przedstawia ankieta o młodzieży warszawskiej, może raczej zaszkodzić jak pomódz. I to zdanie podzielają nawet niektórzy współpracownicy

¹ l. c. I, 177 sq.² l. c. I, 13.³ l. c. I, 68 sq.

Czystości. »*Czystość*, pisze pewna maturzystka, może w rękach wielu ludzi odgrywać rolę podobną, jak pornograficzna książka. *Czystość* powinna o ile możności robić wrażenie zawsze i wszędzie czyste i stać się takim pismem, któreby wprost nie mogło być na korzyść brudnych instynktów wyzyskanem«¹. »Wątpię, pisze inna czytelniczka, by w *Czystości* tak można dobierać wyrażań, by ktoś ich na złe nie obracał, ale to prawda, że niektóre artykuły raziły wprost niepotrzebnem i niepożytecznem rozwlekaniem tego, co powinno być omówione jasno i dobitnie, ale i krótko«².

Przechodzimy teraz do zarzutu, naszym zdaniem, najważniejszego, choć zdajemy sobie z tego dokładną sprawę, że Redakcyi *Czystości* nasze stanowisko się nie spodoba.

Przyczyny niemoralności wśród młodzieży i społeczeństwa widzi *Czystość* w rozpuszcie mężczyzn, w podwójnej moralności, w anormalnych stosunkach warstw wyższych do niższych, w nędzy, w brakach wychowania, w czytaniu złych książek, w złych towarzystwach, w braku dostatecznej ilości przytułków dla kobiet upadłych, w nieuświadamianiu młodzieży, w skłonnościach dziedzicznych, w szkole, w niezajmowaniu się studentów życiem publicznem³ — nie wspomina ani słowem o zaniku ducha religijnego, jako jednej z ważnych przyczyn tego smutnego objawu, owszem p. Bujwidowa pyta się, »czy matki nie powinny zwrócić się do Sejmu, aby dano zamiast nauki religii, naukę higieny«⁴.

Jako środki ochronne, mogące skutecznie przeciwdziałać nierządowi i zwalczać go, poleca *Czystość* uświadamianie, koedukację, skupianie ducha w pracy, wyrabianie silnej woli, zdobywanie zasad moralności w szkołach wielkich myślicieli, unikanie okazji, organizowanie się w kółka etyczne, czyste stosunki z kobietami, zwalczanie pornografii, zdrową lekturę, dobre towarzystwo, umiarkowanie w jedzeniu i picciu, antyalkoholizm, gimnastykę, pływanie, wycieczki, wczesne wstawanie, życie na polu natury⁵, i tym podobne — religię *Czystość* pomija; raz tylko między

¹ l. c. II, 46. ² l. c. II, 70.

³ l. c. I, 106 sqq., 290, 312. II, 29. ⁴ l. c. I, 108.

⁵ l. c. I, 47, 68, 93, 102, 132, 135, 149, 162, 171, 183, 212, 214. 221, 334; II, 12, 36, 41, 163.

innemi przytacza zdanie prof. Christa o »pielegnowaniu żywej zdrowej, religijności«¹, nie tłumacząc jednak nigdzie, jak tę żywą zdrową religijność rozumieć; jedna tylko korespondencya mówi, że kółko etyczne w pewnej niewymienionej miejscowości, obrało sobie za wzór »Niepokalaną Dziewicę, starając się ją naśladować«², jeden tylko artykuł uważa za niepośledni czynnik wychowawczy »wpajanie prawdziwej religijności, ale tej żywotnej, ciągle w praktyce stosowanej«, dodając równocześnie »badającej raczej sumienie niż dogmaty. W uleganiu zaś przed złem raczej należy się powoływać na brud i wstręt do tegoż, niż na uczucia i wzruszenie religijne«³, dlatego też podkreśla *Czystość* zdanie, że serca i umysły młodzieży zdobędzie się »wyłącznie apelem do rozsądku, kołataniem do uczuć, a przedewszystkiem danym jej przez nas samych przykładem«⁴.

Pominięcie religii w walce z rozpustą zarzucił *Czystości* w zeszłym roku *Dwutygodnik katechetyczny* (str. 121 sq., 221), który trochę niefortunnie wysunął na czoło dyskusyi sprawę osobistą d-ra Wróblewskiego, ale nie pominął i dodatnich stron czasopisma. *Czystość* odpowiedziała z wielkiem rozdrażnieniem⁵, nie cofając się nawet przed insynuacją: »pewna część duchowieństwa katolickiego czuje, że ze strony świeckiej coś im ponad głowy wyrasta i miotają się księża strachem przejęci«⁶. Kilka miesięcy później odzywa się głos świecki, tylko bardziej surowy i stanowczy, jak głos *Dwutygodnika*. »Jestem do głębi przekonany, pisze p. Naganowski, i przeświadczony, że daremną i ewentualnie nawet rozkładową jest wszelka w tym kierunku praca, która systematycznie i *de parti pris* wyklucza z szeregów czynników zapobiegawczych zepsuciu, a budujących prawdziwe życie moralne, czynnik najważniejszy — wiarę religijną. Kto z życia wypiera prostą, niewzruszoną wiarę religijną, a z nią Chrystusa i Jego naukę, ten wyrzuca modlitwę. Jestem w życiu dość doświadczoneym, by wierzyć z największym poetą angielskim, iż modlitwa stanowi wszechmoc człowieka na ziemi. Nie mogę pochwalać polskiego pisma,

¹ l. c. I, 93. ² l. c. II, 68. ³ l. c. I, 120.

⁴ l. c. I, 161. ⁵ l. c. I, 250 sq. ⁶ l. c. I, 252.

chcącego dążyć do zrealizowania jednego z najszczytniejszych ideałów ludzkości, a otwarcie nie chcącego oprzeć swej myśli na Chrystusowej Ewangelii... Chrystusowa Prawda nie przebija z żadnego numeru *Czystości* dotychczas wydanej. Co gorsza, niema w piśmie Pańskim ani cienia dążności do zrozumienia i wykładu nauki objawionej¹.

Na te zarzuty *Czystość* nie dała odpowiedzi, gdyż za odpowiedź trudno uważać twierdzenie: »wiary religijnej, a tem mniej Chrystusa i Jego nauki, ani z życia, ani z pisma naszego nie wypieramy« (wykażemy to poniżej), ani poglądu o modlitwie chrześcijańskiej, żydowskiej, buddyjskiej i innej².

Starajmy się jednak porozumieć! Nie chodzi nam bynajmniej o to, żeby *Czystość* stała się organem religijnym, gdyż wiemy dobrze, że wiele umysłów, nie rozumiejących religii lub niechających dla jakichbądź przyczyn mieć z nią do czynienia, taki charakter pisma mógłby odstraszyć. Nie chodzi też o to, aby między środkami czystości wyłącznie stawiać religię. Ale już chyba nie możemy zgodzić się na to, żeby wpływowi religii nie przyznano nawet takiego znaczenia, jakie *Czystość* przypisuje dobremu towarzystwu, higienie, gimnastyce, uświadamianiu i innym pierwiastkom.

Wyjaśnijmy sobie jeszcze pojęcie religii tak, jak ją tu rozumiemy. Nie uważamy za religię mogącą się do odrodzenia społeczeństwa przyczynić, tylko jej zewnętrznych objawów, tak jak nie możemy nazwać katolikiem człowieka, mającego z katolicyzmem jedynie wspólność nazwiska i chrztu; nie mówimy więc o religii, o ile się ona objawia w bezmyślnej modlitwie, w czysto zewnętrznym pełnieniu jej przepisów, w niedostatecznie przygotowanem przyjmowaniu Sakramentów — mówimy o tej religii, która w życie i czyn wprowadza naukę Chrystusa, o ile ta się koncentruje w nieomyłnej nauce Kościoła. Tak pojęta religia jest z pewnością pierwszą potęgą, która w naprawie anormalnych stosunków może odegrać najważniejszą, jeżeli nie jedyną, rolę.

Może to stanowisko będzie się redaktorowi *Czystości*, d-rowi

¹ l. c. II, 46. ² l. c. II, 48.

Wróblewskiemu, wydawało średniowiecznem, gdyby mu jednak danem było zaglądnąć w głęb dusz, poznałby, że tylko ta potęga utrzymuje tysiące i miliony — nie mówię tu o księżach i zakonnikach, żeby nie sądzono, że to *oratio pro domo sua*, ale o świeckich — w czystości obyczajów w małżeństwie i poza małżeństwem i że ona to wyrывa i wyprowadza z bagna. Człowiekowi patrzącemu się na życie poważnie i chcącemu przysłużyć się naprawdę społeczeństwu, tego czynnika przez dzieje ludzkości stwierdzonego, przeoczać nie wolno.

To wprowadzie bardzo piękny ustęp: »nagrodą naszą jest głos poniewieranej kucharki: ,to tylko *Czystość*, co się ujmuje za dolą hańbionych sług i sprzedawanych dziewcząt', jest szept młodzieńca na ucho: ,poprawiłem się', jest szczery, bratni uścisk dłoni i przyznanie: ,byłem onanistą, nie nie pomagało, ani kościół, ani spowiedź, ale idea narodowa mnie podźwignęła', jest list księdza-apostoła: ,winszuję wielkiego dzieła... jeszcze raz szczery podziw wyrażam', są roziskrzzone oczy młodzieży i okrzyk: ,będziemy tacy, będziemy czysti', jest łza spływająca po policzkach i pocałunek bratni i szept w łkaniu: ,byłem zły, ale poprawię się', jest 10 centów znalezione w skrzynce listowej, zawinięte w kartkę z napisem: ,jeszcze datek dobrowolny na prasę od jednego z kolegów'«¹, ale co winno temu, że ta kucharka jest poniewierana, że ten młodzieniec żyje w występku, że mu ani Kościół, ani spowiedź nie pomaga? Z pewnością także zaniedbanie i niezrozumienie zasad religijnych? Czy dalej nie ma w tem wszystkim przesady retorycznej? Wszak *Czystość* sama się skarżyła, że liczba jej prenumeratorów spadła z 240 w roku 1905/6 na 30 w drugim roczniku². Skądżeż tedy ten tak daleko sięgający wpływ? Zresztą czy takich faktów Redakcyja dużo zacytować może? cieszyłibyśmy się, gdyby tak było, pewnem jest jednak, że lepiej rozumiał psychologię serca ludzkiego, przytaczany z takim zamiłowaniem przez *Czystość* Towiański, kiedy pisał: »od wielu rodzajów złego sam rozum, sam wzgląd na prawa ziemskie, na opinie świata i t. d. może powstrzymać człowieka; na tem zaś polu ro-

¹ l. c. I, 252.

² l. c. I, 326; II, 1.

zum i wszelka siła ziemską jest bezsilną, bo tu złe samego ducha oślepia i pędzi po manowcu«¹.

Przeciw stawianym zarzutom o pomijanie religii, broniła się *Czystość* tem, że pomieściła artykuły ks. Żyskara, Towiańskiego, sprawozdania o kilku na religijnych podstawach opartych schroniskach dla dziewcząt upadłych, referat z książki Christa i kilka innych prac o charakterze literackim. Nie zdaje nam się jednak, żeby ta odpowiedź osłabiała powyższe zarzuty. W programowych artykułach ani słowem nie wspomniano nigdy o wpływie religii i Kościoła, czasami ten wpływ wprost dyskredytowano, jak np. w twierdzeniu, że zepsuciu między ludem Kościół tylko połowicznie zapobiedz może, gdyż »Kościół występuje w imię grzechu, z którego się tak łatwo można oczyścić na przymusowej wielkanocnej spowiedzi. Ja myślę, że ludowi nawet silnie z ambony powiedziane w tym względzie słowa, nie wiele albo też nie znaczą, bo kapłani nie mają u ludu ufności«².

Idziemy jeszcze dalej i sądzimy nawet, że odpowiedź *Czystości* można zwrócić przeciwko niej. Jakiegokolwiek ktoś względem Kościoła zajmuje stanowisko, jeżeli choć trochę uważnie patrzy na życie, nie może przecież wpływu Kościoła zaprzeczyć, jak nie może zaprzeczyć, że Kościół dla podniesienia obyczajów niesłychanie wiele czynił i zdziałał, choćby tylko przez powoływanie do życia kongregacyi, pod których kierunkiem tyle upadłych istot znajduje pokój serca i odnajduje dawną czystość duszy. Tego nie mogła zaprzeczyć i *Czystość* tem gorzej, że tego potężnego wpływu nie wciągnęła w program swej działalności.

Nie może więc dziwić, że kler wobec *Czystości* zajmuje stanowisko wyczekujące, a po troszę i nieufne; ma on do tego oprócz dopiero co omówionej przyczyny, jeszcze inne. *Czystość* jest dla duchowieństwa bardzo nieprzychylnie usposobiona, rzuca mu w twarz brutalne zarzuty, poniewiera jego godność i stan, obniża znaczenie. Czujemy, że to ciężkie oskarżenie, ale możemy je niestety udowodnić różnymi ustępami pisma³; wystarczy przeczy-

¹ l. c. I, 83. ² l. c. I, 327.

³ Np. l. c. I, 40, 56, 112. II, 117.

rać choćby tylko takie zdanie: »wielki już czas, żeby krzewicielami moralności przestali być księża i to nie tylko dlatego, że sami na ogół żyją niemoralniej, niż ich „owieczki“, lecz przede wszystkim dla ich nadzwyczajnej płytkości umysłowej«¹.

Czystość poniża i w podejrzenie podaje celibat księży i to nie w poszczególnych wypadkach, ale wogóle: »czy czystym jest celibat księży?... Azali bezżeństwo księży jest naprawdę owem otrzebieniem się dla Królestwa niebieskiego? Czy nie najlepiej ono właśnie okazuje, jak to, co ma być wynikiem indywidualnie wolnego rozwoju, uczynione przymusową formułkową normą, musi się stać źródłem kłamstw i zgorszenia«² — i tylko z konieczności dodaje, »że ci z duchowieństwa, którzy rzeczywiście spełniają ducha i literę ślubu czystości, liczniejsi są, niżby się to zdało«³.

Asceza też się *Czystości* nie podoba. Stała się »dziś niemal jałowym frazesem«, »została (z niej) tylko forma pusta« i zostały »strzępy, które się w sztandar *Czystości* zszyć ani złatać nie dadzą«⁴.

Wobec takich poglądów wydaje się »realizowanie Prawdy Chrystusowej« dość problematycznym, a już zupełnie nieprawdziwym, jeżeli uwzględnimy jeden jeszcze szczegół. Realizować Prawdę Chrystusową to przecież może oznaczać tylko wprowadzać ją w życie, a więc wszystko, co tą Prawdą Chrystusową jest.

Tymczasem *Czystość* godzi w podstawowe i zasadnicze artykuły tej Prawdy. »Obietnice szczęśliwego życia w raju zeszyły do poezyi, a my synowie ziemi szukamy tutaj szczęścia«⁵. »Jednym z czynników niemoralnych, podtrzymujących nierząd, jest spowiedź, ona bowiem zwalnia od wyrzutów sumienia i walki z sobą samym, gdy się wypowie grzech spowiednikowi«⁶. Autor tego artykułu zarzucił księżom »nadzwyczajną płytkość umysłową«, o jakiejż tedy głębi umysłu i wykształcenia świadczy takie pojęcie spowiedzi? Od spowiedzi żądamy szczerzego żalu, silnego postanowienia poprawy, a kto grzeszy w nadziei wypowiedzania

¹ l. c. III, 22. ² l. c. I, 18 i 19. ³ l. c. II, 25.

⁴ l. c. I, 19. ⁵ l. c. I, 67. ⁶ l. c. III, 22.

się, ten ze spowiedzi korzystać nie może; żaden grzeszący zresztą nie ma pewności, że będzie mógł do tego źródła siły i łaski powtórnie przystąpić. Rozumiemy, że nie mógł inaczej pisać uczeń Niemojewskiego, współpracownik *Mysli Niepodległej*, który łączy bezprzykładną ignorancję rzeczy religijnych z niską, sekciarską, niegodną kulturnego człowieka nienawiścią do wszystkiego, co jest Kościołem ale jeżeli się takie rzeczy umieszcza w swem piśmie, nie wolno wtedy mówić o realizowaniu Prawdy Chrystusowej.

Czystość wygłosiła wiele zdrowych sądów o małżeństwie, potępiła surowo wkradający się do nas wstrętny zwyczaj nadużywania małżeństwa, ale równocześnie obala tego małżeństwa podwaliny. Ciekawem jest żądanie większej tolerancji dla żyjących »na wiarę«¹, lub takie zdanie: »kiedy się chce wielką pogardę wyrazić dwojgu ludzi kochających się bez pozwolenia ustaw, to się mówi, że żyją ,na wiarę'. Na miłość potrzebna dziś także pieczęć — wszystko jedno cywilna czy kościelna, byle był papier i pieczęć«²; twarda niestety! rzeczywistość mówi, o jakiej to miłości świadczy to życie »na wiarę«. W artykule Forela jest rzeczą naturalną, że w pewnych wypadkach »związek, ewentualnie stosunek płciowy, zostanie rozwiązany«³, a gdzie konkubinaty nie jest bezpośrednio karany, mogą być zawierane wolne związki na mocy prywatnych kontraktów«⁴.

Czystość nie tylko poniża małżeństwo kościelne⁵, ale wzywa do małżeństw wolnych. »Kto chce się w czyste przestworze wydostać, przestąpić musi raz na zawsze próg obłudnej ,moralności' i tradycyi barbarzyńskiej. Nie oglądać się wam na faryzejskie ziemskich potęg ołtarze... W cichości, w obliczu wolnej, czystej przyrody, w jej szept odwieczny wsłuchani, wpatrzeni duchem w tęczę ideałów, ślubujecie sobie — nie miłość, nie wierność — lecz święte, silne, niewzruszone dążenie do ideału człowieka... Cóż z tego, że zawyje wówczas zastęp podpór społeczeństwa, a poddane mu stado baranie bekiem zawtóruje?«⁶. Do tego poglądu dodaje Redakcja od siebie: »wyraźnie zastrzegaliśmy niejedno-

¹ l. c. I, 6. ² l. c. I, 18. ³ l. c. I, 154.

⁴ l. c. I, 190; III, 9. ⁵ l. c. II, 121. ⁶ l. c. II, 124 sq.

krotnie, że małżeństwo rozumiemy w najszerszym znaczeniu tego słowa, a więc i wolne małżeństwo«. Wprawdzie na chwałę Redakcyi przyznać trzeba, że na takie pojęcie małżeństwa zamieściła gorącą replikę pióra jednej z czytelniczek¹, ale niezadługo słyszymy znowu: »jestem zdecydowanym zwolennikiem wolnego małżeństwa. Ludzi w taki związek wstępujących uważam za godnych najwyższego szacunku«², »obrządk i ustawy kościelne hańbią człowieka w kobiecie«³, dowiadujemy się nawet, że ludzie wstępujący w związki wolne stoją blisko szczytów moralności⁴ i t. d.

Być może, że taki pogląd na małżeństwo spowodowało głównie zamieszanie pojęć, nie umiejące odróżnić rzeczy istotnych od drugorzędnych, ustawy od jej nadużycia, ale powtarzamy to raz jeszcze: gdy się takie zasady głosi, nie wolno mówić o realizowaniu Prawdy Chrystusowej.

Pracę niniejszą pisaliśmy po długiej rozwadze i zastanowieniu się. Nie chcemy twierdzić, że nie możnaby jeszcze przytoczyć jakichś momentów pozytywnych, rzucających korzystniejsze światło na *Czystość*, ale nie możemy odwołać żadnego z zarzutów, uczynionych w drugiej części naszego sprawozdania. Dlatego, choć z przykrością, musimy powiedzieć, że jeżeli *Czystość* nie zmieni swego kierunku, lecz dalej w nim pójdzie, celu swego z pewnością nie osiągnie.

Historia przekazała nam cały szereg faktów stwierdzających potężny wpływ religii na umoralnienie społeczeństw, nie przekazała ani jednego faktu, któryby spowodował trwałe odrodzenie moralne narodów, a opierał się wyłącznie na pobudkach rozumowych, naturalnych. Stara Grecya i Rzym, Francya i różne systemy filozoficzne udowodniły przez szeregi wieków, dokąd prowadzi rozum odłączony od wiary.

W swojej dzisiejszej organizacyi może się *Czystość* tylko przyczynić do obałamucenia opinii i wytworzenia fałszywych sądów, korzyści realnych wiele nie przyniesie.

Ks. Wiktor Wiecki.

¹ l. c. II, 142.

² l. c. II, 168.

³ l. c. III, 14.

⁴ l. c. III, 37.

TEORYA MENDELEJEW A O ETERZE.

(Dokończenie).

Mendelejew mówi, że już w chwili postawienia peryodycznego systemu pierwiastków przypuszczał możliwość istnienia pierwiastków lżejszych od wodoru, nie chciał jednak tego wypowiedzieć, gdyż było to w każdym razie wątpliwe, a bał się osłabić znaczenie całego systemu przez umieszczanie w nim rzeczy niepewnych. Obecnie, po odkryciu grupy argonu i umieszczeniu ich w systemie jako grupy zero, obejmującej pierwiastki o ciężarach atomowych, mniejszych od ciężarów pierwiastków grupy I, jest zupełnie uzasadnionem przypuszczenie, że istnieją pierwiastki lżejsze od wodoru, a nawet niemożliwem jest przypuszczenie, aby takich pierwiastków nie było.

Takim lżejszym pierwiastkiem byłby przedewszystkiem pierwiastek zajmujący pierwsze miejsce w grupie 0, t. j. pierwiastek oznaczony w załączonej tablicy przez y.

Jaki w przybliżeniu ciężar atomowy może mieć ten pierwiastek?

Jeżeli przyjrzymy się stosunkom ciężarów atomowych pierwiastków należących do jednej grupy i do dwóch sąsiadujących ze sobą szeregów, to spostrzeżemy, że stosunek ten wzrasta w miarę przechodzenia do niższych grup, przyczem zwiększenie jest najwidoczniejsze przy przejściu od I grupy do 0. Możemy z tego wywnioskować, że stosunek He do y będzie jeszcze większy, niż stosunek Li do H; a ponieważ $Li : H = 6.97$, przeto

Serijski	Grupa 0	Grupa I	Grupa II	Grupa III	Grupa IV	Grupa V	Grupa VI	Grupa VII	
0	X								
1		H 1.008							
2	He 4	Li 7.03	Be 9.1	B 11	C 12	N 14.04	O 16	F 19	
3	Ne 19.9	Na 23.05	Mg 24.1	Al 27	Si 28.4	P 31	S 32.06	Cl 35.45	Grupa VIII
4	Ar 38(39.8)	K 39.1	Ca 40.1	Sc 44.1	Ti 48.1	V 51.4	Cr 52.1	Mn 55	Fe 55.9
5		Cu 63.6	Zr 65.4	Ga 70	Ge 72.3	As 75	Se 79	Br 79.95	Ni (Cu) 59
6	Kr 81.8	Rb 85.4	Sr 87.6	Y 89	Zr 90.6	Nb 94	Mo 96		Ru Rh Pd (Ag) 101.7 103 106.5
7		Ag 107.9	Cd 112.4	In 114	Sn 119	Sb 120	Te 127	J 127	
8	Xe 128	Cs 132.9	Ba 137.4	La 139	Os 140				
9									
10				Yb 173	Ta 183		W 184		Os Ir Pt (Au) 191 193 194.9
11		Au 197.2	Hg 200	Tl 204.1	Pb 206.9	Bi 208			
12			Rd 224		Th 232		U 238		

He: y będzie co najmniej $= 10$, prawdopodobnie jednak znacznie większy. Wobec tego, że ciężar atomowy helu równa się 4, może y posiadać ciężar atomowy najwyżej $\frac{4}{10} = 0.4$, prawdopodobnie jednak znacznie mniejszy; a ponieważ pierwiastki grupy argonu posiadają drobiny jednoatomowe, przeto należy przypuścić, że i pierwiastek y ma drobiny jednoatomowe, że zatem jego gęstość $= 0.2$.

Z kinetycznej teorii gazów wiemy — o czym będzie jeszcze następnie mowa — że drobiny wszystkich ciał gazowych posiadają pewien ruch postępowy i że szybkość tego ruchu jest w stosunku odwrotnym do gęstości gazów; drobiny pierwiastku y będą się poruszały z szybkością $\sqrt{5} = 2.24$ razy większą, niż drobiny wodoru (szybkość ruchu postępowego drobin wodoru $= 1844$ m w sek.⁻¹), a zatem z szybkością około $1844 \times 2.24 = 4130$ m w sekundzie. Wobec tego, że szybkość ruchu drobin helu i wodoru już wystarcza, aby gazy te mogły wybiegać poza sferę przyciągania ziemi, przeto gaz y, posiadający pięć razy mniejszą gęstość, niż wodór, a dwadzieścia razy mniejszą, niż hel, musi tem łatwiej wydobywać się ze sfery przyciągania ziemi. Nie jest to jednak szybkość wystarczająca do zupełnego oswobodzenia go z pod wpływu ziemi, musiałby on bowiem wtedy posiadać szybkość 11190 m w sek.; tem bardziej nie będzie on w stanie wydobyć się z pod wpływu tak olbrzymich mas, jaką posiada na przykład słońce, do czego jest potrzebna, jak to później zobaczymy, szybkość przewyższająca 608 000 m w sek. Gaz ten o gęstości 0.20 i szybkości postępowego ruchu drobin 4130 m w sek., nie może być zatem ośrodkiem międzyplanetarnym, t. j. eterem; znajduje się on zapewne w przestrzeniach międzyplanetarnych, wybiegając wypadkowo poza sferę przyciągania ziemi, słońca i gwiazd, nie może się on jednak wydobyć w zupełności z pod ich wpływu.

Tym pierwiastkiem y może być, zdaniem Mendelejewa, *coronium*, którego widmo znajduje się w koronie słonecznej, powyżej widma wodoru, a więc dalej od słońca. Ponieważ widmo to posiada tak samo prostą budowę, jak widmo helu, można więc przypuszczać, że należy ono do gazu podobnego do helu, przypusz-

czenie wypowiedziane już zresztą przez Lockyer'a i innych. Podczas zaćmienia słońca w r. 1869 pokazali Young i Harkness, niezależnie jeden od drugiego, że charakterystyczną linią tego widma jest zielona linia o długości fali $531.7 \mu\mu$ (milionowych milimetra). Zdaje się, że pierwiastek ten istnieje również na ziemi, gdyż Nasini, Andreoli i Salvadori przypuszczają, że w produktach wybuchów wulkanicznych w r. 1898 spostrzegli widmo coronium. Dowodem, że coronium musi posiadać mniejszy ciężar atomowy niż wodór, może służyć to, że znajduje się on w znacznie większej odległości od słońca, niż wodór, mianowicie w odległości kilku średnic słonecznych od atmosfery i protuberancyi, gdzie już nie dostrzega się widma wodoru.

Pierwiastek y nie może zatem być eterem; eter musi posiadać znacznie mniejszą gęstość i znacznie większą szybkość postępowego ruchu swych drobin. Ponieważ eter jest w pewnej mierze połączony z siłą powszechnego ciężenia, a z doświadczeń Bordy, Sabine'a, przedewszystkiem zaś Newtona¹ i Bessla² nad wahadłami z rozmaitych materiałów (dwa równe, okrągłe pudełka, z których jedno było wypełnione drzewem a drugie po kolei złotem, srebrem, ołowiem, szkłem, piaskiem, solą kuchenną), wiemy, że siła powszechnego ciężenia nie posiada ani śladu specyficznego chemicznego przyciągania, możemy więc powiedzieć, że eter jest pod względem chemicznym pierwiastkiem chemicznie biernym czyli podobnym do argonowców. Miejsca dla eteru w systemie peryodycznym należy więc szukać w grupie 0, t. j. w grupie argonowców. Tu niema już jednak miejsca dla pierwiastka lżejszego od helu, gdyż miejsce y zajmuje według poprzednich rozpatrywań coronium, który nie może być eterem.

Musi istnieć więc jeszcze jeden szereg pierwiastków, szereg 0, w którym na pierwszym miejscu, t. j. w grupie 0 znajduje się eter; jest to miejsce oznaczone w załączonej tablicy przez X.

Pierwiastek ten, jako należący do grupy 0 i szeregu 0, a któremu Mendelejew nadał nazwę *Newtonium*, jest więc naj-

¹ *Principia* III, 1.

² *Abhandl. Berl. Akad.* 1826, 1830.

lżejszym ze wszystkich pierwiastków, zarówno ze względu na swą gęstość, jak i swój ciężar atomowy; posiada on zatem również największą szybkość ruchu postępowego swych drobin. Jako argonowiec nie posiada on najmniejszej zdolności łączenia się z atomami innych pierwiastków lub drobinami, wytwarzając choćby w pewnym stopniu stałe połączenia, a jako pierwiastek znacznie lżejszy od wodoru odznacza się wielką przenikliwością.

Jest to wprawdzie — mówi Mendelejew — hipoteza, ale oparta na realnem dążeniu do zamknięcia peryodycznego systemu pierwiastkiem o najniższym ciężarze atomowym, jako dolną granicą, na której nie można postawić masy O.

Jak oznaczyć ciężar atomowy tego pierwiastka? Nie nadaje się tu ekstrapolacja zastosowana do oznaczenia ciężaru atomowego pierwiastka y, gdyż x znajduje się na granicy ciężarów atomowych, a przytem ciężary atomowe argonowców nie są zupełnie dokładnie znane, tak że trudno na ich podstawie wnioskować o tak małym ciężarze atomowym, jaki musi posiadać eter. Można najwyżej oznaczyć w ten sposób dolną jego granicę; dla prawdopodobnego ciężaru należy jednak poszukać innej drogi; Mendelejew obiera w tym celu szybkość ruchu postępowego drobin eteru.

Przystąpimy najpierw do obliczenia dolnej granicy, na podstawie ekstrapolacji. Jeżeli zwrócimy uwagę na stosunek ciężarów atomowych pierwiastków grupy argonu: $\text{Xe} : \text{Kr} = 1.58$; $\text{Kr} : \text{Ar} = 2.15$ i $\text{Ar} : \text{He} = 9.50$, to spostrzeżemy, że stosunki te wzrastają w miarę zmniejszania się ciężarów atomowych, tworząc razem parabolę drugiego rzędu, z której oblicza się stosunek $\text{He} : x$ un 23.6. Jeżeli zatem He posiada ciężar atomowy 4, to ciężar atomowy $x = \frac{11}{23.6} = 0.17$. Wartość ta jest bezwarunkowo za duża.

Nie zatrzymując się też nad tą wartością, przejdziemy do obliczenia x na podstawie szybkości ruchu postępowego jego drobin.

Jeżeli x jest pierwiastkiem podobnym do helu, argonu i t. d., to drobiny jego są jednoatomowe, gęstość jego wynosi zatem prawie $\frac{x}{2}$, jeżeli oznaczymy przez x jego ciężar atomowy. Ażeby

eter mógł rozprzestrzenić się w całym wszechświecie, musi $\frac{x}{2}$ być tak małe, aby ruch postępowy jego drobin pozwalał mu wybiegać poza sferę przyciągania słońca i największych gwiazd, co — jak już wspomniałem — jest niezbędnym warunkiem. Jeżeli poznamy zatem tę szybkość, to będziemy w stanie obliczyć wartość x .

Obliczyć tę szybkość pozwala nam teoria kinetyczna gazów, postawiona i opracowana przez Clausiusa¹, Maxwella², Boltzmana³ i innych. Według tej teorii znajdują się drobiny wszystkich gazów w bezustannym ruchu; jeżeli zamkniemy gazy w jakimkolwiek naczyniu, to drobiny te uderzają bezustannie w ściany i odbijają się od nich; ciśnienie na ściany naczynia jest skutkiem tych uderzeń.

Jeżeli znamy ciśnienie gazu wewnątrz naczynia p , jego objętość v i jego masę (ciężar) mn , to możemy łatwo obliczyć szybkość ruchu postępowego e , jego drobin, prosty rachunek bowiem

$$\text{wykazuje, że } e = \sqrt{\frac{3pv}{mn}}.$$

Szybkość ruchu drobin tlenu np. otrzymujemy w następujący sposób: ponieważ 1 g ($mn = 1$) tlenu, posiadający objętość 699.4 cm³ ($v = 699.4$), wywiera przy 0° ciśnienie 1 atmosfery, czyli w jednostkach *c. g s* (centymetr x gram x sekunda) 1.013.130 ($p = 1.013.130$), przeto szybkość ruchu postępowego jego drobin

$$e = \sqrt{\frac{3 \times 1\,013\,130 \times 699.4}{1}} = 46\,103 \text{ c s}^{-1},$$

t. j. przeszło 461 m w sekundzie.

Ta szybkość pozwala nam obliczyć ruch drobin każdego innego gazu o oznaczonym ciężarze gatunkowym (w stosunku do tlenu), uwzględniając bowiem, że $\frac{mn}{v}$, t. j. masa podzielona przez

¹ Clausius: *Mechanische Wärmetheorie*, III. Braunschweig 1889—1891.

² Maxwell: *Theorie der Wärme*. Braunschweig 1876.

³ Boltzmann: *Vorlesungen über Gastheorie*. Leipzig 1898. — Tenze: *Gastheorie*. Leipzig 1895. Breslau 1877. — Również O. E. Meyer: *Kinetische Theorie der Gase*. Breslau 1877.

objętość jest gęstością (s), otrzymamy, wstawiając tę wartość we wzór 1,

$$e = \sqrt{\frac{3p}{s}},$$

co wskazuje, że szybkość ruchu drobin rozmaitych gazów jest w stosunku odwrotnym do pierwiastków ich ciężarów gatunkowych, stosunek bowiem szybkości c i c_1 dwóch gazów o ciężarach gatunkowych s i s_1 wynosi:

$$\frac{c}{c_1} = \sqrt{\frac{3p}{s}} : \sqrt{\frac{3p}{s_1}} = \sqrt{\frac{s_1}{s}} \quad \dots \text{wzór 2.}$$

Drobiny wodoru posiadającego gęstość 1 (tlen = 16), posiadają zatem szybkość

$$c = 46\,103 \sqrt{\frac{16}{1}} = 46\,103 \times 4 = 184\,412 \text{ c. s}^{-1}.$$

Bezpośrednie zmierzenie tych szybkości jest niemożliwe, mechanika jednak, nie wchodząc wcale w budowę gazów, wykazuje również, że szybkość gazów wyciekających przez małe otwory w cienkich ścianach, jest w odwrotnym stosunku do pierwiastków ich gęstości, co zostało stwierdzone doświadczalnie.

Jeżeli wrócimy teraz do eteru i zastosujemy otrzymany rezultat do jego drobin, to otrzymamy dla szybkości ich ruchu według wzoru 2

$$c = 1844 \sqrt{\frac{1}{\frac{x}{2}}} = 1844 \sqrt{\frac{2}{x}} \quad \dots \text{wzór 3,}$$

gdzie $\frac{x}{2}$ oznacza gęstość eteru, a 1844 jest szybkością ruchu drobin wodoru w metrach i sekundzie. Jeżeli uwzględnimy jeszcze temperaturę gazu, która powiększa według kinetycznej teorii gazów szybkość ruchu drobin o 0.00367 część (α) na każdy stopień C, to otrzymamy

$$c = 1844 \sqrt{\frac{2(1+\alpha t)}{x}} \quad \dots \text{wzór 4.}$$

Do poznania szukanej wartości x musimy więc mieć c i t .

Że przestrzeń międzyplanetarna posiada pewną temperaturę, jest rzeczą jasną; wypełnia ją przecie eter, a nie jest ona próżnią,

której temperatury nie można sobie nawet wyobrazić. Obecnie przypuszczają, że temperatura przestrzeni międzyplanetarnej nie może być niższa od -150° , a wyższa od -40° ; prawdopodobnie jest ona około -100° do 60° . Wobec tego, że na ostateczne wartości x rozmaite temperatury pomiędzy -100 i -60° nie wywierają zbyt znacznego wpływu, przyjmuje Mendelejew -80° za temperaturę międzyplanetarną; wstawiając tę wartość we wzór 4, otrzymujemy więc

$$c = 1844 \sqrt{\frac{2(1 + 0.00367 \times -80)}{x}} = 1844 \frac{1.189}{\sqrt{x}} = \frac{2192.5}{\sqrt{x}},$$

skąd wynika, że

$$x = \frac{4808100}{c^2} \dots \dots \text{wzór 5.}$$

Jak już wyżej wspomniano, musi c , t. j. szybkość postępowego ruchu drobin eteru, być większą, niż szybkość pozwalająca wydostawać się jego drobinom ze sfery przyciągania nawet największych gwiazd.

Z mechaniki wiemy, że szybkość taka musi być większą od pierwiastka ilorazu podwójnej masy przyciągającego ciała i odległości pomiędzy ciałem przyciągającym i przyciąganem, a więc

$$c > \sqrt{\frac{2m}{r}} \dots \dots \text{wzór 6.}$$

Obliczymy najpierw c wystarczające do wydobycia się drobin materyalnych z pod wpływu ziemi, następnie z pod wpływu słońca, a ostatecznie — największych z gwiazd.

Masa ziemi wynosi, jak wiadomo, 398×10^{12} gramów; wstawiając tę wartość we wzór 6, otrzymamy

$$c > \sqrt{\frac{2 \times 398 \times 10^{12}}{6373000}} = 11190 \text{ m s}^{-1},$$

z czego wynika, że takie pierwiastki mogą się wydostać z pod wpływu ciężenia ziemi, których szybkość ruchu drobin wynosi więcej niż 11 190 m w sekundzie, a których ciężar atomowy (według wzoru 5)

$$x < \frac{4808100}{11190^2} = < 0.038.$$

Gazy zatem, posiadające ciężar atomowy większy niż 0.038, a więc nie tylko hel i wodór, ale nawet coronium (γ) muszą jeszcze pozostawać nawet w ziemskiej atmosferze.

Aby drobiny mogły się wydostać ze sfery przyciągania słońca, muszą one mieć szybkość znacznie większą, słońce posiada bowiem masę prawie 325 000 razy większą, niż ziemia, a zatem

$$m = 389 \times 10^{12} \times 325 \times 10^3 = 129 \times 10^{18};$$

promień słońca równa się 109.5 promieniom ziemskim, a zatem

$$r = 6\,373\,000 \times 109.5 = \text{prawie } 698 \times 10^6 \text{ m.}$$

Wstawiając obie te wartości we wzór 6, otrzymujemy

$$c > \sqrt{\frac{2 \times 129 \times 10^{18}}{698 \times 10^6}} = \text{prawie } 608\,000 \text{ m s}^{-1},$$

z czego wynika według wzoru 5, że

$$x < \frac{4\,808\,100}{608\,000^2} = 0.000013.$$

Gazy o ciężarze atomowym mniejszym, niż 0.000013 nie mogą więc pozostawać w atmosferze słonecznej; będą one jednak podlegały jeszcze wpływowi gwiazd większych, np. α Centauri, posiadającej dwa razy większą masę niż słońce, f Leonis o masie 5.8 razie większej, przede wszystkim zaś wpływowi tak olbrzymich gwiazd jak f Virginis, której masa równa się 32.7 masom słonecznym. Ostatnia ta gwiazda (podwójna) jest największa spośród znanych gwiazd; trudno przypuścić, zdaniem Mendelejewa, aby ona była wogóle gwiazdą największą, wystarcza jednak przyjąć, że największe gwiazdy nie przewyższają masy słonecznej więcej niż 50 razy, którą też liczbę przyjmuje Mendelejew w swoim rachunku.

Do wykonania naszego rachunku musimy jeszcze poznać promień gwiazd największych. Wobec tego, że analiza spektralna wykazuje, że nawet w najodleglejszych częściach wszechświata znajdują się nasze ziemskie pierwiastki, możemy przyjąć, że i inne światy posiadają budowę taką samą jak nasz, t. j. że wszędzie zapewne jest wewnątrz jądro bardziej gęste niż skorupa, otoczona coraz bardziej rozrzedzającą się atmosferą. Gęstość mas będzie zatem w tych gwiazdach zależała jedynie od ciśnienia

i temperatury. Ciśnienie, zależne od ilości masy, może być tylko odmienne w środku gwiazdy, nie może ono jednak mieć zbyt odmiennego wpływu na gęstość, gdyż i na słońcu znajdują się masy centralne pod tak olbrzymiem ciśnieniem, że gęstość ich zbliża się do granicy ściskalności. Co do temperatury, to można również przypuszczać, że nie jest ona zbyt odmienna od temperatury słońca; jest ona może wyższa w głębszych warstwach. wpływa jednak wtedy na zwiększenie się promieni gwiazdy, a więc pozwala wybiegać poza sferę ciężenia drobin o mniejszej szybkości. Możemy przyjąć wobec tego, że największe gwiazdy posiadają średnią gęstość taką samą jak słońce.

Posiadamy obecnie wszystkie dane potrzebne do obliczenia ciężaru drobin gazu, będącego w stanie wydobywać się dzięki szybkości ruchu postępowego swych drobin ze sfery przyciągania największych mas, mianowicie:

$$\text{masa gwiazdy, } m = 50 \times 129 \times 10^{18} = 65 \times 10^{20}$$

$$\text{promień gwiazdy, } r = 698 \times 10^6 \times \sqrt[3]{50} = 26 \times 10^8.$$

Wstawiając te wartości we wzór 6, otrzymujemy

$$c > \sqrt{\frac{2 \times 65 \times 10^{20}}{26 \times 10^8}} = 2\,240\,000 \text{ m s}^{-1},$$

co nam pozwala obliczyć x według wzoru 5:

$$x < \frac{4\,808\,100}{2\,240\,000^2} = 0.00000096.$$

Znaczna szybkość ruchu, jaką otrzymał Mendelejew, nasuwa mu pytanie, jak wielką musiałaby być gwiazda, która przy takiej samej gęstości masy, jaką posiada słońce, byłaby w stanie zatrzymywać drobiny gazu, posiadające szybkość taką jak promienie słoneczne, t. j. $300\,000\,000 \text{ m s}^{-1}$.

Ponieważ przy jednakowej gęstości dwóch gwiazd, szybkości ruchów cząsteczek, będących w stanie wybiegać poza sfery przyciągania, są w stosunku prostym do trzecich pierwiastków masy tych gwiazd, otrzymujemy więc, oznaczając masę gwiazdy przez M , a masę słońca przez 1.

$$\sqrt[3]{M} = \sqrt[3]{1 \times \frac{300\,000\,000}{608\,000}} = 493.4, \text{ skąd}$$

$M = \frac{3}{493.4} =$ prawie 120 000 000, co znaczy, że masa takiej gwiazdy równałaby się 120 000 000 mas słonecznych. Ciężar atomowy gazu będącego w stanie wydobyć się z pod wpływu takiej gwiazdy, wynosiłby według wzoru 5:

$$x = \frac{4\,808\,100}{300\,000\,000^2} = 0.000\,000\,000\,053.$$

Przy obecnym stanie nauki, mówi Mendelejew, nie nie upoważnia nas do przypuszczenia, aby istniały tak olbrzymie gwiazdy; możemy zatem przyjąć, że gaz wypełniający wszechświat posiada ruch postępowy drobin większy niż 2240 m w sek., a mniejszy niż 300 000 km. Przyjęcie tej ostatniej liczby równałoby się, zauważa Mendelejew, do powrotu do teorii emisyjnej światła.

Zdaniem Mendelejewa, można przyjąć, dopóki nie znajdzie się sposobów dokładniejszego obliczania, że drobiny i atomy eteru posiadają w przybliżeniu ciężar atomowy równający się jednej milionowej ciężaru atomowego wodoru i szybkość postępowego ruchu swych drobin około 2259 km. w sekundzie.

W ten sposób pojęty eter pozwala, według Mendelejewa, również zrozumieć niektóre, niedawno odkryte zjawiska fizyczno-chemiczne, których nie udawało się wprowadzić w ramy teraźniejszych poglądów naukowych, a które spowodowały, że już wielu powróciło częściowo do teorii emisyjnej światła i postawiło teorię elektronów, którą Mendelejew nazywa niezrozumiałą dla siebie. Do tych zjawisk należą przedewszystkiem zjawiska radioaktywne, które Mendelejew stara się wytłumaczyć w następujący sposób:

Ponieważ uran, tor i rad posiadają z pośród wszystkich pierwiastków największe ciężary atomowe ($U = 239$, $Th = 232$, $Rd = 224$), można więc je uważać za rodzaj słońc, posiadających w najwyższym stopniu rozwiniętą indywidualną zdolność przyciągania, która jest czemś pośredniem pomiędzy siłą powszechnego ciążenia i powinowactwem chemicznem. Jeżeli eter nie posiada tak samo jak hel, argon i reszta pierwiastków tej grupy,

zdolności wytwarzania stałych, określonych połączeń chemicznych, to jednak nie mamy prawa przypuszczać, aby nie posiadał zdolności skupiania się w pobliżu wielkich centrów przyciągania, jakimi są uran i tor. Skupiając się dookoła tych atomów, zmienia eter swój ruch tak samo jak gazy rozpuszczone w płynach, co jednak jeszcze nie jest połączeniem chemicznem. Jeżeli takie skupianie się ma miejsce, to można oczekiwać, że przy uchodzeniu nagromadzonego eteru i nabywaniu znów naturalnej szybkości a równoczesnem wnikaniu na jego miejsce nowych ilości eteru w sferę przyciągania drobin U i Th, powstaną pewne szczególne zjawiska. Te szczególne własności są właśnie — zdaniem Mendelejewa — promieniowaniem ciał radioaktywnych; otaczający eter ulega tu bowiem naruszeniu stanu równowagi, powodując świecenie. Tak jak wszelki ruch, jakiegokolwiek gazu można wywołać nie tylko za pomocą ciała stałego, lecz także za pomocą ruchu części tego samego gazu, tak samo i zjawisko świetlne, t. zw. transversalne drgania eteru mogą być wywołane nie tylko przez drobinowy ruch innych ciał, np. przez zarznięcie się ich, naruszając ruchomy stan równowagi eteru, lecz także przez pewną określoną zmianę ruchu drobin samego eteru.

Powodem takiego naruszenia stanu równowagi eteru przez substancje radioaktywne jest przedewszystkiem znaczna masa ich atomów, tak samo jak powodem świecenia słońca jest — zdaniem Mendelejewa — olbrzymia jego masa, która może zgromadzić dokoła siebie o wiele większą ilość eteru, niż planety, satelity ich i wszędzie znajdujący się pył kosmiczny.

Jeżeli okazałoby się, mówi Mendelejew pod koniec swej publikacji, że uznanie eteru za najłżejszy gaz, obdarzony najszybszym ruchem drobinowym i największą biernością chemiczną, jest mylne, to jednak nie można odmówić eterowi materialnego charakteru, — a wtedy znów wyłoni się pytanie, czem jest eter pod względem chemicznym?

Celem Mendelejewa — jak sam mówi — było dać pierwszą prawdopodobną odpowiedź na to ostatnie pytanie, a właściwie postawić je na porządku dziennym.

W tych poglądach Mendelejewa jest zapewne bardzo dużo

takich, które mogą wytłumaczyć wiele zjawisk, lub na podstawie których możnaby znaleźć ich wyjaśnienie. Są jednak w tej pracy pewne braki, a może tylko niedostateczne wyrażenie myśli, którą Mendelejew jeszcze uzupełni, nie zgadzające się z naszymi pojęciami o eterze. Jednym z tych braków jest przedewszystkiem to, że gazy wogóle nie są w stanie wykonywać drgań transversalnych, t. j. drgań w płaszczyźnie prostopadłej do kierunku ruchu fal, a tego rodzaju drgania posiadają właśnie fale elektro-magnetyczne a zatem i świetlne.

Eter taki, jakim ma być x Mendelejewa, t. j. gaz różniący się od znanych gazów jedynie swym małym ciężarem atomowym, nie jest w stanie wykonywać takich drgań. Bierność chemiczna, jaką x ma posiadać, nie jest w stanie też nic zmienić, — chyba że posiada on w zamian pewne inne szczególne własności, które nadają mu własności nieściśkalności, jaką eter musi posiadać, — ale jakie to są te własności? czy może wiry atomów, jak to przypuszczają niektórzy fizycy? o takich gazach nie mamy jednak pojęcia.

Także i siły ogólnego ciężenia, za przyczynę której Mendelejew również uważa eter, nie może nam wyjaśnić gaz x. Drobinę tego gazu nie są dostatecznie małe, aby osłabić wspomniane zarzuty Arheniusa.

Wszystkich zjawisk radioaktywnych nie może również gaz o własnościach x, wyjaśnić; przedewszystkiem nie wyjaśnia on stwierdzonego przez Rutherforda, Ramsaya, Soddy, Curie i in.¹ powstawania helu i całego szeregu rozmaitych produktów z emanacji radu. Być bardzo może jednak, że przez zestawienie poglądów Mendelejewa z poglądami I. I. Thomsona, Lorentza i in. o budowie materji znajdzie się w przyszłości wyjaśnienie tych sprzeczności.

F. E. Polzeniusz.

¹ Rutherford and Soddy: *Philos. Mag.* (6) 5, 441. — W. Ramsay: *Nature*. 1903. Str. 354. — W. Ramsay und Soddy: *Physik. Ztschr.* 4, 651. — Dewar et Curie: *Comptes rend.* 138, 190. — F. Soddy: *Nature*. 69, 418. — F. Soddy: *Die Entwicklung der Materie enthüllt d. d. Radioaktivität*. Leipzig 1904 i in.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Z dziedziny psychologii.

Władysław Heinrich: »Die moderne physiologische Psychologie in Deutschland«. — Tenże: »Zur Prinzipienfrage der Psychologie«.

Jednym z najpoważniejszych u nas obecnie pracowników na niwie psychologii jest dr. Władysław Heinrich, profesor nadzwyczajny tego przedmiotu na uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Nie należy on do umysłów przypatrujących się tylko z daleka temu, nad czym inni pracują. Dr. Heinrich bierze sam czynny udział w rozwoju nauki, przeprowadził też pomimo nader trudnych warunków, w jakich na krakowskim uniwersytecie pracuje, szereg badań szczegółowych, wiedzę zaś naszą w zakresie psychologii wzbogacił nabytkami posiadającymi, jak miemam, wartość istotną. Takiego uczonego poglądom programowym należy więc inne przypisywać znaczenie, aniżeli poglądom dyletantów naukowych, inaczej przeto z nimi rozprawić się wypada.

Przystępując obecnie do omówienia prac psychologicznych d-ra Heinricha, podzielimy je na dwie grupy t. j. na grupę obejmującą dzieła poświęcone głównie rozbiorowi programu i zagadnień zasadniczych psychologii dzisiejszej, wreszcie na grupę drugą, do której zaliczymy prace przedstawiające wyniki własnych badań autora nad zagadnieniami wchodzącymi przeważnie w zakres psychologii uczucia i wrażeń zmysłowych.

Miedzy pracami z grupy pierwszej należy wymienić na czele dzieło nieco większych rozmiarów, wydane po niemiecku p. t.: »Nowo-

czesna fizyologiczna psychologia w Niemczech»¹. Jest to pogląd krytyczny na rozwój i obecny stan psychologii głównie w Niemczech. Autorowi zależy widocznie w tej pracy na przygotowaniu gruntu dla własnego jego w psychologii stanowiska; taki więc mając cel przed oczyma pragnie rozprawić się krytycznie z najwybitniejszymi na wspólnej niwie pracownikami.

We wstępie, liczącym stronic 37, mamy podany zarys dziejowego rozwoju psychologii. Tu uderzy czytelnika brak zrozumienia i zbycie paru tylko nader pobieżnymi uwagami całej pracy i całego na polu psychologii dorobku czasów zarówno starożytnych, jak i wieków średnich. O filozofach greckich niema w dziele d-ra Heinricha wcale żadnej wzmianki. Augustyn, ten właściwy twórca psychologii doświadczalnej, nawet nie wspomniany, ze średniowiecznych wymieniony tylko Tomasz z Akwinu, ale bez zwrócenia uwagi na najważniejsze strony jego psychologii. Dopiero Kartezyuszowi poświęca nasz autor nieco więcej miejsca. Dlaczego to zaś czyni, nie jest rzeczą trudną zrozumieć dla tego, kto zna zajmowane przez d-ra Heinricha w psychologii stanowisko. Kartezyusz jest pierwszym głoszącym zasadę, iż życie jest wynikiem mechanizmu, niemającego z istnieniem duszy nic wspólnego, wybacza mu też nawet jego skrajny dualizm, mając już środek z góry przygotowany na jego usunięcie. Zasługi Leibniza i Wolfa, podniesione krótko, przyczem muszę nadmienić, iż autor nasz nie zużytkował tu wcale badań nad historią psychologii Sommera i Dessoira. O psychologii XVIII wieku zresztą niema wzmianki, myśliciele i badacze angielscy i francuscy pominięci (szczególnie zadziwiać musi całkowite pominięcie Hume'a), autorowi śpieszno do Herberta, którego uważa za pierwszego psychologa po myśli własnej. Przyznaje wprawdzie, że oparcie psychologii na metafizyce było błędem, dodaje jednak na str. 13 bardzo znamiennej uwagę, która rzuca już z góry pewne światło na kierunek prac psychologicznych d-ra Heinricha i dowodzi, że do badań psychologicznych nie przystępuje on bez pewnych uprzedzeń i z góry przyjętych założeń. Oto co pisze na str. 13:

»Zapewne trudno, aby ktoś zgodził się dzisiaj na zapatrywanie, iż psychologia musi opierać się o metafizykę, ale zasada ogólna, że psychologia nie może opierać się sama na sobie, musi być podtrzymy-

¹ *Die moderne physiologische Psychologie in Deutschland*. Eine historisch-kritische Untersuchung mit besonderer Berücksichtigung des Problems der Aufmerksamkeit. 2-te Auflage. Zurich 1899. Str. 249.

waną silniej, niż kiedykolwiek. Próby okazały, że niemożliwym jest postawienie systemu, któryby dał się wywieść z podstaw wyłącznie psychologicznych i któryby chciał objaśniać psychiczne przebiegi przez jakieś psychologiczne prawa. Nie mogą istnieć prawa, któreby się dały tak wprost wskazać, jako prawa psychologiczne i dla których nie powinno się szukać uzasadnienia w fizjologicznej działalności systemu nerwowego człowieka». Jako przykład, przytoczony jest w uwadze Fortlage ze swoim »Systemem psychologii«, przykład sam wybrany widocznie na chybił trafił a przytem bardzo niefortunny. Bo przecież Fortlage może słusznie uchodzić za przykład psychologa, jakim on być nie powinien; cała jego psychologia jest pozornie tylko empiryczną, w gruncie rzeczy zaś przeważa tam najgorszego gatunku metafizyczna spekulacja.

Charakterystyka psychologii Herbarta i jego szkoły jest w dziele Heinricha w ogólności słuszna, zależność od Leibniza uwzględniona, błąd tkwiący w braniu wyobrażeń za siły działające na sposób mechaniczny, uwydatniony. Parę uwag o Benekem kończy drugi ustęp wstępu. W trzecim ustępie przechodzi nasz autor do charakterystyki wpływów nauk przyrodniczych na rozwój psychologii dzisiejszej; tu mamy zwróconą uwagę najpierw na Jana Müllera: jemu to bowiem mamy, zdaniem autora, głównie zawdzięczać, iż »psychologia z duszą przeobraziła się w psychologię bez duszy«, do której to ostatniej przejściem mają być teorie i badania Ulricego i Lotzego. Co do pierwszego, to nie będę się wcale spierał z autorem, nie przyznaję bowiem jego pracom w zakresie psychologii nawet tego znaczenia, które mu p. Heinrich przyznaje, ale na stanowisko przejściowe wyznaczone w rozwoju psychologii dzisiejszej Lotzemu bezwarunkowo zgodzić się nie mogę. Lotze jest łącznie z Fechnerem twórcą psychologii dzisiejszej, choćby tylko dlatego, że był pierwszym psychologiem przejętym do głębi duchem metod przyrodniczych i że przez zwalczanie pojęcia siły życiowej usunął resztę nieporozumień zagradzających psychologii drogę do wejścia na stopień rozwoju prawdziwie naukowy. Niema też, mojem zdaniem, podstawy do przyjęcia wpływów Herbarta na Lotzego, tego ostatniego bowiem teorya współdziałania nie ma nic wspólnego z herbartowskiem spychaniem się wyobrażeń w świadomości.

W nowoczesny ruch psychologiczny wступujemy, zdaniem autora, z Fechnerem i Helmholtzem. Oni to mają być pierwszymi, którzy uprawiają psychologię bez duszy: Z jednej strony — pisze dr. Heinrich na str. 39 — występuje prawo utrzymywania się energii, z drugiej

strony gromadzi się coraz większa liczba doświadczeń klinicznych i oto dusza substancjalna musi upaść, niemożliwa do pogodzenia z faktami fizyologicznymi. Otóż na takim stopniu psychologii bez duszy staje Fechner w swojej psychofizyce, wyraża bowiem zapatrywanie, podzielane zresztą przez większą część przyrodników, iż siedzibą świadomości jest mózg wielki. Wybacz mi szan. autor, iż ja na tę charakterystykę Fechnera na żaden sposób zgodzić się nie mogę. Fechner nigdzie nie jest rzecznikiem psychologii bez duszy. Wystarczy przeczytać tylko uważnie ustęp na str. 6 jego *Elemente der Psychophysik*, aby nabrać przekonania, że on, pytanie, dotyczące istoty duszy, całkiem z psychologii usuwa, uważając je za pozbawione charakteru empirycznego, jemu bowiem zależy na badaniu faktów, nie zaś na metafizyce. Dziwne zaiste wrażenie robi na mnie ta nowa psychologia, za której rzecznika autor się uważa — ma ona opierać się wyłącznie na faktach, rozpoczyna zaś od czego? — od dogmatu metafizycznego, stwierdzającego nieistnienie duszy substancjalnej. Kliniczne doświadczenia miały stwierdzić prawdziwość nowego dogmatu metafizycznego o nieistnieniu duszy, fakt, że siedzibą świadomości jest mózg wielki ma tego również dowodzić! Jakież tu zadziwiające pomieszanie empiryi i metafizyki! Autor odrzuca jeden dogmat metafizyczny na to, aby przyjąć inny. Czyż wobec tego nie byłoby lepszem stanowisko agnostyka, który przyjmuje fakta zjawisk, a o istotę rzeczy nie pyta. Ale dr. Heinrich agnostykiem być nie chce, przeciwnie, on szuka dla psychologii nowej metafizycznej podstawy: z jednej strony kliniczne doświadczenia prowadzą go do odrzucenia duszy substancjalnej, z drugiej zasada utrzymania energii. Oto nowy dogmat, który obala już nie tylko teorię duszy substancjalnej, ale nawet teorię związku dziedziny psychicznej i fizycznej. Między teoriami psychologicznymi nie można, zdaniem autora, wybierać, istnieje tylko jedna zasada, posiadająca znaczenie aksyomu: jest nią zasada psychofizycznego parallelizmu, wymagająca z zasady utrzymywania się energii. Nowa przeto metafizyka, jako podstawa nowej psychologii, tak nam się przedstawia: Dusza substancjalna nie istnieje, każdemu zjawisku psychologicznemu odpowiada zmiana fizyologiczna w mózgu. Zmiana fizyologiczna jest zjawiskiem fizycznym, warunkiem zaś zjawiska fizycznego może być tylko inne zjawisko fizyczne; tworzą one bowiem wszystkie razem zamknięty szereg przyczynowy, który nigdzie przerwany być nie może. Wynika z tego, że w nowej psychologii będzie niemożliwą nie tylko dusza substancjalna, ale także związek między zjawiskami psychicznymi i fizycznymi. Wbrew oczy-

wistości on nie istnieje wcale. Oto punkt widzenia, z którego, jak sam autor powiada na str. 40 — należy oceniać wszystko, czego na polu psychologii w ostatnich latach dokonano. Otwarcie wyznaję, iż ja na taki punkt widzenia zgodzić się nie mogę. Będąc zwolennikiem nauki pracującej bez z góry przyjmowanych założeń, nauki, która tylko fakta za punkt wyjścia obiera, nie mógłbym przenieść na siebie, aby już naprzód wytykać nauce pozytywnej jakieś dogmatyczne łożysko. Godzę się najzupełniej, że pytanie dotyczące istoty duszy, do psychologii doświadczalnej nie należy, jest to zagadnienie wyłącznie metafizyczne — może też ono być rozstrzygane tylko na gruncie metafizycznym. Tymczasem p. Heinrich zanim się jeszcze zabrał do jakichkolwiek badań psychologicznych, to już z góry rozstrzygnął o substancjonalności duszy i dowodzi, że kto wraz z nim nie wierzy w zamknięty szereg fizyczny, w którym dla faktów psychicznych żadnego niema miejsca, ten nie jest psychologiem w znaczeniu najnowszym. To też oceny p. H., jakkolwiek w szczegółach trafne a nieraz nawet bardzo bystre, nie są jednak wolne od uprzedzeń. O ileż konsekwentniejszym od niego jest np. taki Helmholtz, który w swojej fizyologicznej optyce tak pisze: »Ja z mojej strony uważam za znacznie pewniejsze oprzeć objaśnianie zjawisk widzenia na przebiegach innych, potrzebujących wprowadzić także jeszcze objaśnienia, ale jednak danych faktycznie i działających (takimi zaś są najprostsze czynności psychiczne), aniżeli opierać się na hipotezach całkiem nieznanym i tylko *ad hoc* wymyślanych a dotyczących urządzenia systemu nerwowego i własności substancji nerwowej. Tak wyraża się empiryk prawdziwy, krytycznie myślący, nasz autor za jego wzorem nie idzie, patrzy też na całą psychologię niemiecką dzisiejszą pod kątem widzenia swojego nowego metafizycznego dogmatu. Wszelki dorobek w zakresie psychologii, który do jego założeń się zbliża, posiada w jego oczach wartość, skoro się zaś od nich oddala, zasługuje na odrzucenie. Przeważna też większość najwybitniejszych psychologów niemieckich współczesnych nie wygląda korzystnie w oświeceniu Heinricha.

Załatwiwszy się dosyć krótko z G. E. Müllerem i Pitzeckerem przechodzi następnie nasz autor do rozprawienia się z Wundtem. Temu uczonemu niewątpliwie najwięcej się dostało! Nie mam wcale zamiaru brać tutaj Wundta w obronę; przyznaję chętnie, że jego teoria apercepcji jest pełną sprzeczności, i że istotnie za wiele daje on folgi spekulacyom w swoich badaniach psychologicznych. Zupełną przyznaję również słusność p. H., gdy mając na myśli Wundta, dowodzi, że

»nie może być zadaniem psychologii budowanie systemów na podstawie apriorystycznych, filozoficznych rozważań« (str. 124), ale z drugiej strony muszą zwrócić się do naszego autora i zapytać go: a czemżeż to jest jego »teorya o pierwotności i niezależności szeregu fizycznego, gdy tymczasem szereg psychiczny musi być badany, jako zależny«; czyż to nie jest także naprzód przyjmowaniem założeniem wyspekulowaniem z zasady zachowania energii. Powiem otwarcie, że Wundt jest pod niejednym względem nawet lepszym empirykiem od swojego krytyka, jeżeli bowiem przyjmuje oddziaływanie szeregu psychicznego na fizyczny, to jest on w tej mierze w zupełnej zgodzie z doświadczeniem, p. Heinrich zaś zaprzecza najoczywistszym faktom tylko dlatego, że mu na ich uznanie własne nie pozwalają spekulacye. Wundt jest nieraz o wiele ostrożniejszym, on nigdzie nie twierdzi, że mózg jest duszą, — badaniami zaś klinicznymi nie postępuje się w celach metafizycznych. Jak daleko nieraz p. H. się posuwa w zaprzeczaniu czegoś, co jest wprost oczywiste, jeżeli tylko nie zgadza się z jego — z góry przyjętem założeniem — dowodzi tego najlepiej zapatrywanie na str. 103 wyrażone, t. j. że jakiejś obok wyobrażeń działającej czynności nie możemy pod żadnym warunkiem odczuć, czynność bowiem może być obok czuć i wyobrażeń tylko wywnioskowaną, nigdy odczuta. Tu zapytuję szan. autora, w jaki to sposób możnaby coś takiego jak czynność wywnioskować, gdyby ona nie była naszym bezpośrednim doznaniem? Niech kto np. wywnioskuje jakości świetlne, jeżeli ich nigdy nie doznał.

Po Wundcie zajmuje się p. Heinrich w dalszym toku swojego dzieła jeszcze N. Langem, Külpem, Münsterbergiem i Ziehenem. Wszystkich sądzi dosyć ostro, oceniając wartość ich prac tylko ze swojego, z góry przyjętego stanowiska, dochodzi wreszcie pod koniec do Avenariususa. Czytając to, co o nim stoi napisane, nabiera się wrażenia, że cała książka powstała właściwie tylko dla tego ostatniego rozdziału. Avenariusowi pierwszemu przyznana jest zasługa ściśle umiejętnego postępowania, tudzież zasługa umożliwiająca psychologię bez przybierania do pomocy świadomości. Psychologia bez świadomości, oto ideał, którego urzeczywistnienie p. Heinrich jako cel sobie wytyka, okazując się w tej mierze wiernym uczniem Avenariususa. Psychologia może, według naszego autora, tylko w dwojakim rozwijać się kierunku, może uświadamiać albo to, czego sami doznajemy, albo co na drugich dostrzegamy. Pierwszy sposób jest uprawniony, ale nie może on dać żadnego objaśnienia przebiegu zjawisk psychicznych w całości, czegoś

psychicznego bowiem można tylko doznać, badać zaś tego, zdaniem p. H., nigdy nie można. Pozostaje przeto właściwie dla psychologii szukającej zrozumienia całości zjawisk, tylko droga druga, t. j. zwrócenie się do naszych współbliźnich. Przez oświadczenia się człowieka w postaci wszelkiego rodzaju wypowiedzeń i ruchów, staje się dla nas jego życie wewnętrzne zrozumiałem.

Dobrze, odpowiem na to, ale pod jakimże to warunkiem jest coś podobnego możliwem? Oto tylko pod tym warunkiem, iż znam moje własne życie wewnętrzne, inaczej z cudzych ruchów i wypowiedzeń nic bym nie wydobył. A więc czyż wobec tego uganianie za jakąś psychologią bez świadomości nie okaże się mrzonką, bardzo podobną np. do próby badania zjawisk świetlnych bez współudziału zmysłu widzenia, a tylko zapomocą obmacywania cudzych oczu? Kończąc moje uwagi o tej pierwszej pracy p. Heinricha, muszę jeszcze nadmienić, iż znać w niej tu i owdzie zbyt wielką pewność siebie i apodyktyczność w twierdzeniach przy braku historycznej orientacji, co nie usposabia korzystnie dla autora. Pod tymi też względami lepsze odnosi się wrażenie po przeczytaniu drugiej pracy p. Heinricha, zajmującej się pytaniami dotyczącymi podstaw psychologii¹. Tu mamy sprawę psychologii postawioną na gruncie o wiele szerszym, a przytem także o wiele krytyczniejszym. Ze wszystkiego okazuje się, że krytyki i zarzuty, z którymi spotkała się pierwsza wyżej omówiona praca p. H. nie przeszły w jego umyśle bez śladu.

Rozbiór zasadniczego zagadnienia psychologii rozpoczyna autor od stwierdzenia, że filozofia grecka i średniowieczna pojmowała świat jako coś bezpośrednio danego. W nowszych natomiast czasach skutkiem rozwoju mechaniki z jednej, a fizjologii zmysłów z drugiej strony, wykształcił się pogląd dowodzący, że wszelkie jakości rzeczy są podmiotowe, zaś przedmiotowa rzeczywistość polega na mechanicznych zmianach substancji pozbawionej wszelkich jakości. Przedstawienie takie jest w grubym zarysie słuszne, jakkolwiek dokładniejsze wnikięcie w dzieje filozofii byłoby przekonało p. H., że pojmowanie jakości jako czegoś podmiotowego nie było obce zarówno niektórym kierunkom filozofii greckiej, jak i średniowiecznej. Pomijam Demokryta, niektórych sceptyków i Sexta Empiryka, ale przecież nie kto inny jeno Augustyn uzasadnił pogląd na podmiotowość jakości wrażeń w sposób tak bystry i głęboki, że to właśnie posłużyło następnie filozofii nowo-

¹ *Zur Prinzipienfrage der Psychologie*. Zurich. E. Speidel, 1899. Str. 74.

żytnej za punkt wyjścia. Ale mniejsza o to, faktem jest, że mechanistyczny sposób pojmowania zjawisk i fizjologia zmysłów doprowadziły łącznie z filozofią Kanta (o czym nasz autor nie wspomina) do skrajnego dualizmu między rzeczą w sobie, a zjawiskiem — między światem wewnętrznym a zewnętrznym — czyli między podmiotem a przedmiotem. Otóż ten dualizm usiłuje filozofia przewyciężyć i zamienić go w monizm, psychologia natomiast nie potrzebuje wcale tego dualizmu przewyciężać, zajmuje się ona bowiem tylko stosunkiem między mechaniczno-fizjologicznymi zmianami w organizmie, a zjawiskami świadomości. Ten jej parallelizm jest natury wyłącznie praktycznej (str. 2), metafizyczna strona związku pierwiastka psychicznego i materyalnego, psychologię nic nie obchodzi. Pogląd taki jest niewątpliwie słuszny, zaznacza on też wyraźny postęp w krytycznym myśleniu. Jakaż to różnica między poglądem dawniejszym, iż badania kliniczne obaliły istnienie duszy substancjalnej, a tym nowym sposobem patrzenia na założenia psychologii. Szkoda tylko, że nasz autor w dalszym ciągu nie wszędzie pozostaje wiernym swojemu własnemu krytycyzmowi. Psychofizyczny parallelizm ma więc obecnie dla p. H. znaczenie tylko metodologiczne, nie zaś metafizyczne. Przyznaje on, że pojmowanie świadomości jako funkcyi systemu nerwowego nie da się utrzymać, ale i współdziałanie, zdaniem jego, między duszą i mózgiem niemożliwe ze względu na prawo utrzymywania się energii zawsze w ilości stałej. A więc cóż pozostaje? Tylko, jak sądzi, dualizm, tylko praktyczny, psychofizyczny parallelizm. Chcąc go jeszcze lepiej objaśnić, robi autor następujące założenia:

1) Między psychicznością a fizycznością istnieje związek.

2) Psychiczność z fizyczności wyprowadzić się nie da.

Co się tyczy znowu związku, to tu możliwe są dwa przypuszczenia:

I) albo oba zakresy są częściowo od siebie zależne albo

II) zależność jest zupełna, a w takim razie może *a)* albo psychiczność zależeć od przebiegów fizjologicznych, albo *b)* fizjologiczne przebiegi zależeć od psychiki.

Ze wszystkich tych przypuszczeń są zdaniem p. H. możliwe tylko I, przyjmujące częściową zależność wzajemną i II *a*, przyjmujące zależność zupełną psychiki od przebiegów fizjologicznych, dla czego II *b* ma być całkiem niemożliwe, tego przyznają się nie rozumieć. Wszystko więc zależy od odpowiedzi na pytania: A) czy możliwą

jest przyczynowość psychiczna, B) czy zamknięta przyczynowość jest niezbędnym postulatem rozważania przebiegów świata zewnętrznego.

W ustępie poświęconym przyczynowości psychicznej, stawia Heinrich przede wszystkim zasadę, że biorąc rzeczy przedmiotowo jest sam człowiek dany tylko jako część składowa naszego otoczenia w postaci zmian fizyologicznych. Wobec tego ulega on oczywiście przyczynowości fizycznej.

Już to pierwsze założenie skierowane przeciw przyczynowości psychicznej jest błędne, inni bowiem ludzie są nam dani nie tylko w postaci zmian fizyologicznych, ale za pośrednictwem tych zmian są oni nam dani także w swojej treści wewnętrznej, którą to ich treść wewnętrzną każdy z nas we własną treść bezpośrednio wciela. Przecież mowa jest nie tylko szeregiem zmian fizyologicznych, ale przez te zmiany wciela się w świadomość każdego z nas także treść ideowa tkwiąca w znaczeniu słów. Proszę tylko zestawzić wpływ na psychikę mowy, którą rozumiemy z wpływem mowy, której nie rozumiemy, a zaraz przekonamy się, że człowiek jest nam dany nie tylko w swoich zmianach fizyologicznych, ale także i w swojej treści wewnętrznej. Przypuśćmy, że zacznie ktoś do mnie mówić po węgiersku, to w tym wypadku dokonywują się także różne zmiany fizyologiczne, ale one przecież nic a nic mi o tym człowieku nie powiedzą, jeżeli mowy nie rozumiem, gdy ten sam człowiek przemówi do mnie w mowie zrozumiałej, to zaraz rzeczy się zmienia, on będzie mi dany ze swoją treścią wewnętrzną. Ja go zrozumieć, poznać, dowiem się, co się w jego duszy dzieje, a to na podstawie czego? a przecież niczego innego, tylko na podstawie jakiejś psychicznej, ideowej prawidłowości, która nam wzajemne zrozumienie się umożliwia. Dobrze, odpowie mi na to p. H., ale wszystko co się o tym drugim człowieku dowiesz, to tylko treść twojej świadomości, nic więcej, boć przecież psychiki cudzej nie masz danej bezpośrednio. Słusznie, odpowiem na to, ale czy może otoczenie fizyczne, a więc i fizyczna przyczynowość wraz z prawem zachowania energii jest mi daną inaczej, jak w treści mojej świadomości?

O cóż więc chodzi? Czy fizyczna prawidłowość dana mi w moich treściach, a ułatwiająca mi zrozumienie otoczenia ma być przedmiotowo ważną, zaś psychiczna prawidłowość umożliwiająca dojście do skutku niezbitego faktu wzajemnego zrozumienia się i przenikania świadomości ma być tylko czemś podmiotowym? Nie, na takie stanowisko może zgodzić się chyba tylko ktoś taki, kto jak cyklop jednym na świat patrzy okiem.

Drugim argumentem przeciw psychicznej przyczynowości ma być, zdaniem p. Heinricha, ta okoliczność, iż związki takie nigdzie się nie uwydatniły! Jeżeli od dawna zauważono związki między zjawiskami przyrody, to powinno się było dawno dostrzedz i związki psychiczne. Coś podobnego jednak nie stało się nigdy, ba nawet postulat wolności życia psychicznego dowodzi czegoś wprost przeciwnego. Historia nie wykazuje wcale, aby kiedykolwiek usiłowano związki psychiczne objaśniać przez psychiczną przyczynowość, jedyną w tym kierunku próbą była psychologia Herbarta, ale ona zapożyczała się tylko u mechaniki. Otwarcie wyznaję, że gdy ten ustęp na str. 11 u p. Heinricha przeczytałem, w niemałe popadłem zdumienie i oczom własnym wierzyć nie chciałem; wkońcu przyszedłem do przekonania, iż w przeszłości historycznej widocznie można wszystkiego dopatrzeć się, stosownie do własnej potrzeby i własnych upodobań.

Ja, patrząc w historię psychologii bez uprzedzeń, dopatrzyłem się w niej całkiem innych rzeczy, a mianowicie widzę tam cały szereg prób, podejmowanych w celu zrozumienia psychicznej prawidłowości, o której wątpić filozofom nigdy do głowy nawet nie przychodziło. Walka zaś o wolność życia wewnętrznego jest właśnie niczem innym, jeno dążeniem do uzasadnienia całkiem osobnej psychicznej przyczynowości, mającej swój punkt wyjścia w każdej »psyche« z osobna. Czy się udało tę psychiczną przyczynowość należycie zbadać i określić, czy nie, to inna rzecz. Ale jak można przeczyć próbom w tym kierunku podejmowanym tego nie rozumiem.

W jak tani nieraz sposób próbuje autor nasz pozbyć się argumentów przemawiających za psychiczną przyczynowością, to tego dowodzi najlepiej jego rozumowanie na str. 15 i 16. Píše tam, że argumentem za ową przyczynowością jest powoływanie się na wartości etyczne, estetyczne i intelektualne naszych wyobrażeń, czyli mówiąc inaczej na ową czystą ideową treść naszych duchowych przebiegów. Na to odpowiada Heinrich: to nie należy do psychologii. Psycholog bada je tylko jako akty psychiczne »bez względu na ich znaczenie logiczne albo etyczne, wynikające ze społecznych form życiowych«. Ba, dobrze, ale przecież te logiczne i etyczne znaczenia to także fakty dane w świadomości, pytam się zaś, w jakiż to sposób mogłyby one wynikać, ze społecznych form życiowych, a nawet wogóle jak mogłyby się rozwinać formy życia społecznego, gdyby psychicznej prawidłowości nie było? Takie obejście zagadnienia nie jest w stanie usunąć go z porządku dziennego. Niech psychologowie z tej samej

co p. Heinrich szkoły przymykają oczy na pewne fakty, to im nic nie pomoże, fakt pozostanie faktem. Aby się z jakimś zagadnieniem załatwić, na to są co prawda dwa sposoby: albo rozwiązać je w sposób zadawalniający, albo powiedzieć: ja tego zagadnienia nie uznaję, ono dla mnie nie istnieje. Że ten drugi sposób nie jest zadawalającym, tego chyba dowodzić nie potrzeba.

Trzecim argumentem przeciw psychicznej przyczynowości ma być fakt, że kto nie ulega wpływom metafizyki musi przyznać, iż życie psychiczne nie posiada cech zmuszających nas do przyjęcia przyczynowości. Na to twierdzenie wypowiedziane w formie stanowczej, odpowiem równie stanowczo, iż pomimo swojej bardzo pewnej formy, jest ono najzupełniej błędne. Przeciwnie w życiu psychicznym już od tysięcy lat odnaleźli filozofowie i psychologowie mnogość cech, które w sposób niezbity dowodzą panującego w psychice ludzkiej ładu i porządku. Psychika nasza rozwija się ekonomicznie i prawidłowo zarówno w jednostce, jak i zbiorowo w społeczeństwie. Świat wewnętrzny ma swoje *logos*, ma swój ład i porządek i tylko na tej podstawie jest jego rozwój możliwy; pójdę nawet dalej i powiem, że dopatrując się ładu i porządku przyczynowości w świecie fizycznym, wkładamy często w otoczenie to, co jest w nas. Raczej przyczynowość fizyczną wraz z prawem zachowania energii możnaby poddać w wątpliwość, nigdy przyczynowość i ład w psychice. A cóżby autor powiedział, gdybym tak na próbę przemienił twierdzenie i postawił pytanie, czy w świecie fizycznym istnieje jaki ład? Może to my tam ten ład wkładamy, może to nam tylko tak z grubsza świat przedstawia jako coś przyczynowo uporządkowanego, stosownie do potrzeb naszej psychiki, w rzeczywistości zaś istnieje tylko różnorodność chaotyczna. Postawiłem rozmyślnie sprawę tak skrajnie, aby dowieść, że pogląd p. H. zaprzeczający przyczynowości psychicznej nie jest taki niewzruszony, oświadczam, że ja mojej skrajności potrafię tak bronić, iż mi p. H. z żadnej strony nie dojedzie.

Po tem, co już powiedziałem nie będę się wdawał w obszerny rozbiór dalszego ustępu o przyczynowości fizycznej. Dodam więc tylko jeszcze, że prawo zachowania energii nie jest czem innem, tylko środkiem pomocniczym naszej myśli, do ujęcia tego co się w otoczeniu naszym dzieje, w jakąś postać naukową, ono nie wypowiada nic — jak to zresztą sam autor mówi — o zmianach jakiejś substancji. Przyjmowanie takiej substancji »jest metafizyką wychodzącą daleko za granice wiedzy przyrodniczej« (str. 45).

Pojęcie energii jest urobione tak samo na obraz i podobieństwo ludzkie, jak i pojęcie siły.

W ustępie p. t. *Die Monismusfrage* wraca p. Heinrich znowu do swoich dawnych uprzedzeń, a to pomimo ostatecznego wyrażania się na początku pracy, obecnie rozpatrywanej i prawi nam znowu takie rzeczy, jak np. że »zagadnienie duszy rozwinęło się z obserwacji współczłowieka« (str. 50), albo określenie duszy jako istoty samoistnej można uważać za obalone«. Tu znikła naraz początkowa w rzeczach metafizycznych ostrożność i empiryk zmienił się w prawiącego o istocie rzeczy metafizyka. Wkońcu rozkłada się dla niego wraz z Machem świat i człowiek w kompleks elementów, który w gruncie rzeczy jest tylko jeden (pytanie, skąd autor wie, że tylko jeden?), z którego da się wydzielić »jaźń« i »ciało«. Heinrich widzi jasno, że taki pogląd prowadzi ostatecznie do zaprzeczenia świata, wraca więc jeszcze do swojego punktu wyjścia i rozważa założenie całej naszej wiedzy o świecie, wykazuje dalej bardzo trafnie, w jaki sposób doszło do powstania nowoczesnego subiektywizmu i dochodzi wkońcu do wniosku, że nie pozostaje obecnie wiedzy przyrodniczej nic innego, jeno brać świat takim, jakim on jest i jak się nam naiwno-realnie przedstawia, »skoro przestajemy uważać zjawiska jako ruchy, przestańmy i wrażenia zmysłowe pojmować jako spowodowane ruchami«. Zechćmy przeto zadowolić się tylko opisywaniem zjawisk, bierzmy je realnie, jak są, a o istotę rzeczy nie pytajmy. Na takie stanowisko możnaby się zgodzić, ale w takim razie zapytuję autora, dlaczegoż to dusza substancjalna ma wobec tego opaść? Dlaczego to co do świata mam być naiwnym, brać go realnie, a co do duszy mam być metafizykiem i twierdzić, że duszy żadnej nie ma. Jeżeli mam być naiwnym, jeżeli mam brać wszystko realnie, za takie, jak się podaje, to niechajże moja naiwność, mój realizm będzie sprawiedliwy i wszechstronny a nie jednooki.

Autor jednak pomimo usilnego wygrzebywania się nie przestaje być jednookim; dowodzi tego koniec jego rozprawy zajmujący się metodą w psychologii. Psychologia bez świadomości pozostaje i tu jego ideałem, zdaje mu się, że skoro rozpoznał zmiany w otoczeniu, zmiany w zmysłach i w systemie nerwowym, wreszcie objawianie się człowieka zewnętrzne, to wówczas zachowanie się człowieka będzie mu znane i zadanie psychologii spełnione. W taki oto sposób przedstawia się p. Heinrichowi zadanie psychologii »jako nauki przyrodniczej«. Ja oczywiście na taki pogląd zgodzić się nie mogę, dla mnie bezpośrednio danem jest nie tylko otoczenie, ale i świadomość,

otoczenie zaś jest dane jako treść w świadomości od niej odrębna; jeżeli mam brać naiwnie świat za taki, jaki jest mi dany, to w takim razie ktoś mi może zabronić brać równie naiwnie moje własne duchowe jestestwo, za coś indywidualnego i samoistnego. Dla mnie przyczynowość fizyczna jest wydedukowana, psychiczna zaś jest faktem. Heinrich powiada, nie można jej pojmować, bo niezgodna z zasadą zachowania energii, na to ja mu odpowiadam, jakto, ja mam oczywistość poświęcić dla jakiejś naukowej formułki! A zresztą czyż prawo zachowania energii sprzeciwia się przyczynowości psychicznej? Mam przeświadczenie, że się nie sprzeciwia. Psychiczność można bowiem pojąć jako energię potencjalną, która się wyzwala, tu niema przybytku z niczego. Psychologię bez świadomości zaś uważam za niemożliwą. Psycholog gdyby był pozbawiony świadomości, nie mógłby być psychologiem, przy eksperymentach znowu psychologicznych pytam się, w jaki sposób mogłaby osoba będąca przedmiotem eksperymentów czynić jakiegokolwiek wypowiedzenia, gdyby jej własne stany i doznania, nie były dla niej świadome. Co się tyczy wypowiedzeń w mowie, to autor nasz czuje doskonale w jakie zawikłał się trudności, uważając mowę nie za środek odtwarzania przebiegów świadomości, lecz tylko za fizjologiczne oznaki. Przyznaje na str. 72, że jest ona pośredniczką w stosunkach człowieka do otoczenia i do innych ludzi, przyznaje jej symboliczne znaczenie, zdaje sobie z tego sprawę, że skoro mowa przestaje być rozumianą, to wówczas dopiero staje się jedynie tylko głosem, ulegającym fizjologicznym prawom, a jednak nie spróbowałszy nawet cienia dowodu stwierdza, że mowa i w swoim symbolicznym znaczeniu jest tylko fizjologicznym przebiegiem, włączającym się w przyczynowe szeregi przebiegów bezpośrednio dostrzegalnych (str. 73). W takim razie treść i symboliczne znaczenie każdego słowa, wynikałyby z koniecznych przeobrażeń energii, a ja oczywiście wszystko co mówię, jako istota myśląca i świadoma, mówiłbym tak samo, gdybym był automatem bez śladu świadomości. Na tym punkcie autorowi naszemu jego teoria już wcale nie dopisała! Ratuje się też, wypisując twierdzenia wprost sprzeczne z sobą i niczem nie poparte. Bo przyznanie najpierwej symbolicznego znaczenia mowy i wyróżnienie jej treści od przebiegów fizjologicznych, włączanie jej zaś następnie wraz z tem symbolicznym znaczeniem w konieczny szereg przyczynowy, to sprzeczności, z których nikt wybrnąć nie zdoła.

Prof. dr. Maurycy Straszewski.

Z piśmiennictw obcych.

De Inspiratione Sacrae Scripturae. Auctore *Christiano Pesch S. I.*
Cum approbatione Rev. Archiep. Friburg. et Super. Ordinis. Fri-
burgi Br. Herder 1906. XII+654.

W ostatnich dziesięciu latach wydano ze strony katolickiej dość pokaźną liczbę mniejszych lub większych prac o kwestyach biblijnych. Wystarczy przypomnieć nazwiska Holzhey'a, Lagrange'a, v. Hummelauera, Petersa, Zapletal'a, Foncka i wielu innych. Z tych jedni i to większość oświadczyli się, że względu na olbrzymie postępy nauk historycznych i przyrodniczych, za mniej lub więcej postępowem objaśnianiem i tłumaczeniem ksiąg świętych. Drudzy zaś, znaczna mniejszość biblistów, zwalczają przeciwnie ten kierunek, częstokroć z wielką namietnością i bronią dotychczasowego, tradycyjnego tłumaczenia Pisma św., sądząc, że niema żadnej zgody potrzeby odstąpić od niego.

Nie łatwą zaiste rzeczą było zorientować się w tej walce o Pismo św., tem mniej ocenić wartość przedmiotową tych poglądów; raz dlatego, że oprócz bardzo licznych, popularno-apologetycznych broszur, nie omawiających przedmiotu swego dość rzeczowo i wyczerpująco, zbyt mała jest liczba gruntowniejszych prac o tym przedmiocie; powtórę i to przedewszystkiem dlatego, że ilość biblijnych zagadnień i trudności, które się w obecnej chwili wyłoniły, i różne nieraz bardzo śmiałe sposoby rozwiązywania ich, tak się namnożyły, że trudno je wszystkie objąć.

Oczywiście sprawiają między niemi największą trudność zasadnicze kwestye, jak np. kwestya o istocie i rozciągłości inspiracyi i z nią połączona kwestya nieomylności Pisma św. Z natury swej są to kwestye dogmatyczno-historyczne, które należą do zakresu tak dogmatyki, jak i historii. Czy zawsze są zgodne z sobą? Czy może zachodzą między niemi sprzeczności? Podobno wykazuje się tych sprzeczności dość wiele w rzeczach przyrodniczych i historycznych Pisma św.? Jak je pogodzić z charakterem boskim tych ksiąg?...

Dzieło O. Pesch'a *De Inspiratione Sacrae Scripturae* jest w tym sporze biblijnym jakby kamieniem granicznym; wszystkie kwestye dotyczące boskiej inspiracyi Pisma św. i sposoby umiejętnego ich rozwiązania zestawił i naukowo objaśnił ze stanowiska dogmatycznego.

Z góry podnieść należy, że nie ominął ani jednej ważniejszej kwestyi, że sposób pisania autora jest rzeczowy i jasny, a szczegó-
ł

nie, że polemika jego z przeciwnikami jest czysto obiektywna i szlachetna, w czym dzieło jego chlubnie się odróżnia od innych podobnych prac. Można zatem książkę ks. Pesch'a, mimo jej rozmiarów (654 str.), każdemu, a przede wszystkim czcigodnym kapłanom sumiennie polecić do poważnego studium. Kto pragnie zapoznać się z obecnym ruchem biblijnym i wyrobić sobie o inspiracyi zdanie katolickie i naukowo uzasadnione, nie może się żadną miarą bez niej obejść.

Już sam autor wzbudza w nas zaufanie, że przedstawi nam naukę zdrową. Pesch bardziej może niż ktokolwiek inny, był powołanym obecnie do gruntownego opracowania tego arcytrudnego problemu. Fachowe wykształcenie swoje w dziedzinie dogmatyki udowodnił dostatecznie w 9-tomowym dziele pod tytułem *Praelectiones dogmaticae*; kwestyę zaś o natchnieniu Pisma św. dokładnie śledził od 10 prawie lat; wyniki tych studyów ogłosił po części w *Zeitschrift für kath. Theologie*¹, po części w trzecim zeszycie swoich *Theologische Zeitfragen* (1902). Tak więc mógł się pokusić o systematyczne opracowanie tej kwestyi.

Dzieło jego *De Inspiratione Sacrae Scripturae* składa się z dwóch części: z historycznej i dogmatycznej.

Pesch widocznie nie podziela obawy, że historia dogmatów jest niebezpieczną dla wiary. Wszak studium nad stopniowym rozwojem dogmatu najpierw silną daje podstawę dla dalszych dogmatycznych wywodów; rzuca nieraz bardzo wiele światła na liczne trudności, a nadto uczy teologa być umiarkowanym i ostrożnym w swoich dedukcyach.

Na 375 stronach rozwija się przed nami zajmujący obraz z historii jednego z naszych dogmatów świętych — o boskim charakterze Pisma św. Starego i Nowego Testamentu. Dowiadujemy się naprzód, jakie były pod tym względem zapatrywania przedchrześcijańskiej synagogi, mianowicie, że już Żydzi oparci na nauce proroków najwyraźniej wierzyli w ten dogmat; czytamy tu również, że po Chrystusie hełeniści, a jeszcze więcej późniejsze szkoły rabińskie, częstokroć popadały w przesadne pojmowanie inspiracyi. Nie zostało to niestety bez wpływu i na teorye chrześcijańskie.

Następnie przechodzi autor do nauki Ojców Kościoła trzech pierwszych wieków; specjalny paragraf poświęcił szkołom egzegetycznym w Aleksandryi i w Antyochii, tudzież Ojcom greckim, syryj-

¹ T. xxv 1901. Str. 452 sqq. 594 sqq.

skim i łacińskim następnych wieków, soborom w pierwszym tysiącleciu, o ile się Pismem św. zajmowały, i teoryom scholastyków aż do Soboru Trydenckiego. Z tej części wyłania się wniosek, że wogóle era patrystyczna bardzo mało badała *ex professo* naturę i rozciągłość inspiracji. Ojcom zależało więcej na praktycznem homiletycznem komentowaniu Pisma św. dla wiernych. Jednakże można niewątpliwie stwierdzić, że Ojcowie wszyscy są zgodni w tem przekonaniu, że Bóg jest autorem ksiąg św., i że dlatego właśnie są one nieomyłne w całej swojej rozciągłości.

Nie może być zadaniem recenzji, wchodzić w szczegóły tego obszernego obrazu z historii dogmatów. Wystarczy zaznaczyć, że trudno wymagać, aby jeden autor skreślił we wszystkich częściach równie gruntowną historję o dogmacie inspiracji, obejmującą okres przeszło 2000 lat; zwłaszcza, że istnieją o tym przedmiocie bardzo nieliczne tylko monografie. Pesch naszkicował jedynie ogólne linie tego rozwoju, i te są niewątpliwie prawdziwe i trafne. W podrzędnych szczegółach, np. o stanowisku św. Hieronima, można być innego zdania; lecz mniejsza o to. Teraz powinny specyalne prace podane tu poglądy więcej pogłębiać, a wtedy dopiero będzie można napisać właściwą historję tego dogmatu; szerokie pole pracy dla teologów.

Na szczególniejszą wzmiankę jednak zasługuje sposób, w jaki Pesch roztrząsa zdania pojedynczych Ojców.

Rozważnie i trzeźwo wywiązuje się z tego zadania. Pamiętajmy, że to przecież dogmatyk mówi! Nie waha się wcale, tam gdzie potrzeba, wytknąć im ich przesadę retoryczną, jak to uczynił przy Klemensie Aleksandryjskim i przy Origenesie, owym pierwszorzędnym egzegecie pierwotnego Kościoła: »Jakkolwiek już Klemens zbyt przesadza w pojęciu natchnienia i za wielką przywiązuje wagę do allegorycznych tłumaczeń, to jednak bardziej jeszcze objawiają się te błędy u ucznia jego Origenesa« (str. 62); to samo mówi o św. Ambroży (str. 75) i o Teodorecie (str. 83). Nawet i o św. Chryzostomie robi taką uwagę: »Niemądrze postąpiłby, ktoby zbyt chciał polegać na retorycznych jego zwrotach i przypisać Chryzostomowi zdanie, jakoby Duch św. podyktował hagiografom poszczególne słowa, litery, punkciki« (str. 86 i 87). A o św. Augustynie pisze: »Pod podwójnym względem Augustyn mniej szczęśliwie wyjaśnił nadprzyrodzony charakter Pisma św. Najpierw oświadcza się za wielorakim sensem literalnym (jednego i tego samego zdania). Następnie zaś przesadnie wynosi powagę Septuaginty. Także w kwestyi działania inspi-

racyi na umysł hagiografa Augustyn utrzymuje taki wpływ, że może żaden z nowszych obrońców natchnienia literalnego za nim nie idzie» (str. 473). Podobnie o św. Grzegorzu: »Zdaje się, że jest to przesadne pojmowanie pierwiastku Bożego o natchnieniu Ksiąg św.« (str. 123) i t. d.

Lecz idźmy dalej!

W osobnym rozdziale przedstawia Pesch naukę protestantów o inspiracyi, poczynszy od samego Lutra — aż do angielskiego biblisty Clifforda w nowszych czasach. Co za smutna karta! Z jednej ostateczności popadali w drugą. Pierwsi reformatorzy mając Pismo św. za jedyne źródło wiary, utrzymywali, że wszystko w niem, nawet hebrajskie znaczki samogłosek są boskiego pochodzenia; — dzisiejsi zaś protestanci racjonalisci — głoszą, że ani mowy być nie może o jakiejś nadprzyrodzonej inspiracyi.

Następna część już jest więcej aktualną. Zastanawia się autor nad tem, co zdefiniował Sobór Trydencki o Piśmie św., a jak potem teologowie katoliccy rozwijali ten dogmat; zwłaszcza, że oni dopiero zaczęli się zajmować więcej psychologiczną stroną boskiej inspiracyi.

Siódmy rozdział jest wprost znakomity; poznajemy tu dzisiejszych teologów i biblistów wszystkich kierunków, od Bartoliego (1889), aż do Billota (1903) i ich zdania, które tak żywo umysłami poruszają.

Tutaj się przedewszystkiem odznacza Pesch niezwykłą przedmiotowością i spokojem wobec teoryi przeciwnych. W dłuższych cytatach dosłownych, bardzo zręcznie zestawionych, przedstawia nam wiernie i można powiedzieć dokładnie ich poglądy.

Tu się kończy część pierwsza, fundament silny, na którym niemniej obszerną i dokładną wznieść mógł drugą część dogmatyczną. Najpierw stawia sobie pytanie podstawowe, czy wogóle istnieją księgi natchnione od Boga, i na czem to natchnienie boskie właściwie polega.

Ileż to błędnych zupełnie zdań natrafia się często w tej materyi! I dziś jeszcze nieraz rozwiązuje się np. kwestye czysto literacko-krytyczne o Biblii, na podstawie inspiracyi. Wobec tego domaga się Pesch najśluszej, dokładnego rozróżniania tych dwóch kategorii zagadnień.

Przytaczamy tu niektóre zasady, których dziś nie można dosyć akcentować.

1. Z tego samego, że jakaś księga biblijna jest natchnioną, bynajmniej nie wynika, że właśnie ten jest jej autorem, któremu tę księgę przypisują. Obie te rzeczy z istoty swojej nie mają wspólne ze sobą. Przecież autorowie niektórych ksiąg św. są nam zupeł-

nie nieznani, inni są wątpliwi, a mimo tego księgi te pozostają zawsze natchnionemi.

2. Również nie należy z samego pojęcia boskiej inspiracyi rozstrzygać, czy księga jakaś ma jednego czy kilku różnych autorów, albo czy nie została może jej ostateczna forma przez późniejszego t. zw. redaktora opracowana, nawet i powiększoną. Temu się inspiracya jako taka wcale nie sprzeciwia. Bóg bowiem ostatniego redaktora mógł tak samo natchnąć, jak pierwotnego autora.

3. Mniej jeszcze wolno z samego natchnienia wnioskować o dalszych losach tekstu Biblii, albo jej tłumaczeń. Kościół katolicki nigdy nie uczył krańcowego natchnienia samych słów (*inspiratio verbalis*), jak to czynili Żydzi i protestanci XVI, XVII i XVIII wieku. Przeciwnie historia tekstu świadczy bardzo wymownie, że w ciągu wieków zaszły zmiany tekstu, wprawdzie nie istotne, ale jednak wcale liczne i znaczne. Wobec tego zadaniem krytyki biblijnej jest, o ile się da, zrekonstruować pierwotnej formy tekstu. Temu dogmat o inspiracyi ksiąg św. wcale nie przeszkadza, owszem, tej pracy krytycznej żąda.

4. Nie wyklucza także samo natchnienie boskie z natury swej żadnego rodzaju literackiego, wyklucza tylko kłamstwo i błąd formalny. Czemużby P. Bóg, skoro natchnął nam znane przypowieści w Nowym Testamencie np. o Synu marnotrawnym i inne, — właściwą historię, w Psalmach przesłiczne wiersze i t. d., nie mógł także natchnąć podań ludowych, dłuższych opowieści, albo allegoryi, czemużby nie mógł dopuścić, aby hagiograf posługiwał się w celu religijnego nauczania szatą najróżnorodniejszych form literackich? Samo natchnienie temu z pewnością nie stoi na przeszkodzie.

Są to tezy dla zrozumienia Pisma św. niezmiernie ważne, które dziś biblistyka katolicka prawie powszechnie przyjmuje; są tylko jeszcze za mało rozpowszechnione, mimo, że są tak bardzo potrzebne do rozwiązywania licznych trudności!

W następnych rozdziałach rozwodzi się autor nad rozciągłością natchnienia. W tej kwestyi niema już miejsca dla dyskusyi; zasadą katolicką jest, że wszystko co pochodzi od hagiografa, bez różnicy przedmiotu, jest rzeczywiście pod naprzyrodzonym wpływem Bożym pisane. Swoją drogą nie trzeba inspiracyi Boga pojmować jako Objawienia, w ścisłym znaczeniu tego słowa, albo nawet jako dyktacyi.

Atoli od razu nasuwa się, jako konsekwencya z poprzedniej tezy, pytanie: W takim razie niema żadnych zgoła błędów

w Piśmie św.? Oczywiście, brzmi odpowiedź ks. Pescha (rozdz. IV), że Pismo św. jest we wszystkich swoich częściach nieomylnem. Prawda ta wynika koniecznie z pojęcia inspiracji boskiej, jak ją określił Leon XIII w Encyklice *Providentissimus Deus*, jest ona zgodną nauką wszystkich Ojców Kościoła, Soborów i teologów katolickich: i dlatego żaden katolik nie może tej prawdy zaprzeczyć.

Lecz niemniej jest pewną rzeczą, że prawda czyli nieomyślność nie wszystkim częściom Pisma św. równomiernie przysługuje. Zawarte w niem nauki wiary i obyczajów są bezwzględnie prawdziwe; ale inna jest prawda logiczna np. w przypowieści, inna w Psalmie lirycznym, inna w opowiadaniu ściśle historycznym i t. d. Dalej trzeba mieć na względzie: że Pismo św. jest prawdziwem w tym tylko sensie, który hagiograf chciał wyrazić swojemi słowami; bo czego on pod natchnieniem Bożem niechciał wprost twierdzić i uczyć, tego też, jak trzeba suponować i Pan Bóg nie chciał uczyć, skoro użył hagiografa jako narzędzia swojego. A więc przede wszystkim trzeba skonstatować, na mocy reguł hermeneutyki i Tradycji w Kościele, rodzaj literacki jakiegoś ustępu w Biblii, a tem samem znajdziemy już normę dla przysługującej mu prawdy.

Czy zatem i wszystkie szczegóły należące do zakresu nauk przyrodniczych są nieomylnne?

Pesch odpowiada: Naturalnie, i te szczegóły są pod pewnym względem prawdziwe, mianowicie w następnym sensie: Duch św. przemawiający do nas przez hagiografa, absolutnie nie chciał nas oświecać i pouczać o kwestyach geologicznych, astronomicznych i t. p. Jego wyłącznym celem jest religijne nauczanie. Ubocznie zaś dotyka hagiograf tych rzeczy, używając ich jako formy do wyrażania prawd religijnych, i przytem zastosowuje się najzupełniej do pojęć ówczesnych i to jeszcze w sposób popularny, t. j. opisując rzeczy *secundum externam apparentiam*, czyli według zewnętrznych ich pozorów. Owszem; gdyby inaczej był się wyraził, stałby się zgoła niezrozumiałym dla ówczesnych. A więc, ponieważ Pismo św. wcale niema na celu pouczać nas o rzeczywistej naturze i wewnętrznej istocie zjawisk przyrodniczych, lecz wyłącznie się zastosowuje do sposobu mówienia o nich w owych czasach, (co zresztą sami także w XX wieku czynimy, jeśli np. nawet w książkach naukowych mówimy: słońce wschodzi, zachodzi, niebo jest błękitne i t. p.), przeto niesłusznie się zarzuca Pismu świętemu, że w rzeczach przyrodniczych uczy błędów; nie uczy, bo nic o nich nie twierdzi! (str. 507).

Trudniejszą jest odpowiedź na pytanie, czy wolno w podobny sposób patrzeć się na historyczne relacje, zawarte w Piśmie św.

Pesch zaprzecza temu, podając jako główną rację to, że cały szereg faktów historycznych wiąże się jak najściślej z całą ekonomią zbawienia; i dlatego domaga się dla nich wiary prawdziwej. Widozkiem jest, że tego nie można powiedzieć o żadnym szczególe przyrodniczym (str. 520). Jednak Pesch zgadza się natychmiast na pewne określenia nieomyślności opowiadań historycznych w Biblii. Naprzód Pismo św. nie musi być kompletną historią ludu wybranego; także niema wcale pretensyi być ściśle naukową i krytyczną; i tu celem głównym jest zawsze jakaś prawda religijna, specyalne przedstawienie rządów Opatrzności Boskiej; sam fakt, jako fakt jest dla hagiografa podrzędnej natury; dlatego podaje liczby i daty przeważnie tylko sumarycznie; często zadawalnia się przytoczeniem tylko tego, co znalazł w archiwach albo innych dokumentach. Tak np. w Księgach królewskich i Chronikach napotykamy wyraźne cytacye najrozmaitszych źródeł (str. 526). Sposób i metoda pisania historii wogóle nie są lepsze od historyjografii owych czasów. Legend jednakże i mytów absolutnie nie można przypuszczać w Piśmie św. Natomiast można w niem przyjąć podania ludowe; wszak wiadomości o najdawniejszych wiekach ludzkości nie zostały przekazane na piśmie, lecz przechowywały się całymi wiekami w ustnem podaniu, nad którem nie czuwała szczególna władza nauczająca, obdarzona przywilejem nieomyślności (str. 538). Z natury rzeczy historyczna prawda zachowuje się w ustnem podaniu ludowem zupełnie inaczej, niż w dokumentach, a przeto ma ona swoje odrębne właściwości; tak np. ubiera się w szatę więcej konkretną, plastyczną; osnowa jest bardziej poetyczna, żywa, obrazowa; wewnętrzne refleksye wyraża dyalogiem albo prostą mową; miary, liczby, lata i t. d. podaje zwykle sumarycznie; jednym słowem: pod względem formy przeważa pierwiastek ludowy (str. 549).

Kończę sprawozdanie, już i tak zbyt długie, o dziele uczonego dogmatysty. Dla wielu te poglądy będą zupełnie nowe. Niejeden znajdzie w nich pożądane naukowe rozwiązanie swoich kłopotliwych trudności; inne bardziej bojaźliwe umysły, będą się może jeszcze wahać.

Otóż nie chcę twierdzić — pewnie i ks. Pesch tego nie sądzi — że jego dzieło jest jakby ostatniem słowem w kwestyi biblijnej. Następne lata niejedno jeszcze zmienią, niejedną odpowiedź dokładniej określa, no! i w niejednym punkcie może i dalej jeszcze się posunąć.

W każdym razie dzieło ks. Pescha ma dziś swoją niezmierną wartość i zasługę, jako synteza tego, co liczni uczeni katolicy, miłujący wiarę św. i wiedzę, nagromadzili dla rozwiązania »kwestyi biblijnej«. Jest ono drogowskazem pewnym, który dobrze orientuje, a którego się można spokojnie trzymać, zwłaszcza że, jak skądinąd wiadomo, poddano je przed drukiem także w Rzymie ścisłej cenzurze. Niema więc racyi do obawy. Przeciwnie weźmy sobie do serca słowa tego samego autora, wypowiedziane na innem miejscu: »Dziś więcej niż dawniej powinniśmy pouczać wiernych, jak daleko się rozciąga obowiązek wierzenia, a co wcale podeń nie podpada. Nie należy zamilczać wobec świata chrześcijańskiego, że niektóre miejsca w Piśmie św. tłumaczone są w rozmaitym sensie i że niejedną trudność rozwiązuje się różnymi sposobami... Jakkolwiek niepewność obecnie istniejąca dla wielu może być nieprzyjemną, to jednak niema żadnej przyczyny niepokojenia się dla wiernych, słuchających Kościoła św. Prawda ostatecznie zawsze zwycięży, a każda nowa walka stanowi dla niej i nowe zwycięstwo«.

Ks. Oskar Rudzki.

Mess-Stipendien von *Otto Link*, Pfarrer. Regensburg, Manz 8-vo (XII i 339).

Podwójny cel zakreslił sobie autor niniejszego dzieła. W części pierwszej, historycznej (str. 3—190) usiłuje wyprowadzić powstanie zwyczaju stypendyów mszalnych z dawnych oblacyi i dać ogólny pogląd na związane z kwestyą nadużycia, oraz na ustawy, jakimi władza kościelna starała się te ostatnie usunąć. Część druga dogmatyczna (str. 195—339) daje przejrzysty wykład istniejącego obecnie prawa o aplikacyi mszy tytułem otrzymanego stypendyum lub beneficjum, o przyjmowaniu i odprawianiu mszy manualnych i fundowanych, o binacyi, o mszy wotywniej i o uprzywilejowanym ołtarzu.

Już pobieżne przerzucenie książki daje poznać, że autor nie mało sobie zadał pracy i trudu. O ile jednak tę okoliczność z chlubą dla autora podnieść musimy, o tyle odmówić nam trzeba uznania dla pierwszej historycznej części dzieła i to pod względem jej konstrukcyi zarówno jak i przeprowadzenia samej rzeczy. Szerokie rozwodzenie się nad zaopatrywaniem materialnych potrzeb kapłańskiego stanu tak w starym jak nowym testamencie (str. 3—22), a zwłaszcza nad dawniejszą liturgią i oblacyami w czasie liturgii i poza nią (str. 22—86) nie stoi w żadnej proporcyi z suchą i niewyczerpującą treścią wła-

ściwego tematu. Autor nie zamierzał wcale w tej mierze coś nowego podać. Więc lepiejby było raczej wspomnieć tylko o oblacyach i krótko zestawić wyniki nowszych badań w tej materii, a za to zająć się szczegółowem i głębszem obrobieniem właściwego przedmiotu. Pod względem przedstawienia samej kwestyi o stypendyach mszalnych w ich historycznej ewolucyi nie udało się autorowi rozgraniczyć należycie pojedynczych epok, ani też tego rozgraniczenia w toku rozprawy utrzymać. W pracy naukowej nie wystarczy pozbierać tylko postanowienia synodów z różnych epok i krajów: to samo nie stwarza jeszcze ani całokształtu rozwoju instytucyi kościelnej, ani nie dowodzi jednolitej jej ewolucyi w całym Kościele. Najobfitsze źródło znalazł autor w Berlendim, który w swem dziele *De Oblationibus missae, Venetiis 1743* z mrówczą prawdziwie skrzętnością zgromadził wszystko, co o stypendyach mszalnych przed nim pisano. Z tego to i z innych starszych pisarzy przejął autor zasobny materiał źródłowy, ale nie obrobił go naukowo i nie roztrząsał krytycznie pojedynczych tekstów. Tak np. myli się, (str. 138) sądząc, że w can. 29. Conc. Carth. III przepisuje się t. zw. *missa sicca*; słowa przytoczonego kanonu nie mówią nic innego, jak tylko to, że kapłan, nie będąc naczczu, ma odprawić zwyczajny obrzęd pogrzebowy bez mszy św. Tę samą myśl znajdujemy wyrażoną już u Teodora Balsamona, *Comment. ad. can. 44. Con. Carth.* (Migne 138, 170), gdy mówi, że obrzęd pogrzebowy składa się z *funebria cantica* i *oblacionis sacrificium* i dodaje: *Si ergo vespere, inquit canon, mortuus fuerit quispiam et non fuerint ieiuni, qui haec peragunt, solis precibus peragantur.* Przytoczenie Benedykta XIV, *De Syn. dioec.* l. V. c. 8. n. 8. z *Vita S. Thom. Cantuar.* c. 11, nie tylko nie dowodzi, ale nawet nie porusza zwyczaju powtarzania konsekracyi tej samej hostyi; mówi jedynie o powtórzeniu mszy św. dla niegodnych pobudek (str. 136). Rzeczą dla nas wprost niezrozumiałą jest, jak autor na str. 17 z pominięcia duchownych przez Tertulliana, Apolog. cap. 39. mógł wyciągnąć wniosek, że duchowieństwo za czasów Tertulliana »nie stanowiło jeszcze odrębnego stanu, tylko zaliczało się do *senes et egeni*«. W prostych słowach św. Cypriana ep. 7 *quantitas universa* widzi Link »olbrzymie dochody, niezliczone sumy«, które Święty wydawał na wspieranie wdów, chorych i biednych (str. 14). Wogóle autor ma tę słabą stronę, że skłonny jest do retorycznego przesadzania. Wystarczy przeczytać skreślenie moralnego upadku w XI w. (str. 104 sq.), żeby się o tem przekonać. Z pewnością żaden rozumny historyk nie zgodzi się na czarne zapatrywania autora w tym wzglę-

dzie. Co zaś jeszcze bardziej nas dziwi — to twierdzenie jego, że właśnie w tem powszechnem zepsuciu szukać należy przyczyny mnożenia się fundacyi mszalnych w XI wieku.

Te rozliczne uwagi, jakieśmy byli zmuszeni zrobić o pierwszej części, a których cyfrę znacznie podnieśćby można, nie przeszkadzają nam jednak, żebyśmy wspomnianego dzieła nie mieli polecić Wiel. Duchowieństwu. Rzadko które zagadnienie z zakresu kościelnej dyscypliny zajmowało do tego stopnia troskę Kościoła, ile stypendya mszalne. Prawdziwie, można powiedzieć, Kościół niczego nie zaniedbał i wszelkich możliwych użył środków, żeby je na należytym poziomie świętości i czystości zachować. Stąd wypłynęła ta ogromna moc przeróżnych ustaw i rozporządzeń w tej materii. Nie zrodziła ich jakaś nienasycona chęć szafowania dekretami, ale istotna potrzeba i nieustrudzona pieczołowitość ze strony kościelnej władzy, zdążającej z całą świadomością doniosłości sprawy do uchylenia wszelkich mniej szlachetnych pobudek i chciwych pokuszeń odprawiających mszę, a oraz do zabezpieczenia chrześcijańskiej miłości i sprawiedliwości względem wiernych ofiarujących stypendya mszalne. Wszystkie te zarządzenia autor systematycznie zestawił w drugiej części swego dzieła i wątpię, czy istnieje naprawdę jakaś kwestya, której rozwiązania nie znalazłby czytelnik w tej drugiej części. Nieliczne usterki, jakieśmy i tutaj zauważyli, są wobec tego mało znaczące. Przy powtórnym nakładzie książki życzylibyśmy sobie dokładnego spisu rzeczy, który ułatwiłby o wiele korzystanie z tego praktycznego dzieła.

Ks. Jan Roth.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Rozprawy Akademii Umiejętności. Wydział historyczno-filozoficzny. Serya II, tom XX. Ogólnego zbioru tom czterdziesty piąty.

Dr. Stanisław Zakrzewski w rozprawie »Malowidła w podziemnej bazylice św. Klemensa w Rzymie« na podstawie danych częściowo hipotetycznych dochodzi do wniosku, że między tą bazyliką a dyakonią i klasztorem św. Aleksego i Bonifacego na Awentynie zachodzi ścisły zwią-

zek, istnienie kultu tych samych Świętych, panującego w rodzie Krescencyuszów. Następna rozprawa tego samego mówi o dziejach klasztoru na Awentynie w latach 977—1085, interesującego nas głównie z tego powodu, że zostawał z nim w blizkich stosunkach św. Wojciech.

W rozprawach »O powołaniu Krzyżaków przez ks. Konrada« i »Ziemia Michałowska« wykazuje dr. Wojciech Kętrzyński, że stosunek Krzyżaków

do Polski, jak on się później ukształtował, ich roszczenia do ziem przez nich posiadanych opierał się na dokumentach podrobionych lub przynajmniej częściowo sfałszowanych.

Dr. Stanisław Kutrzeba w swej rozprawie o starostach kreśli genezę tego urzędu, jego zakres uprawnień, stosunek do urzędów ziemskich do końca XIV w. Sprawa ta pierwszy raz jest opracowana w naszej historyografii wyczerpująco. Na początku zestawia autor, w jakich ziemiach starostowie się pojawiają i podaje ich osoby.

Dr. A. B.

Czem byliśmy, czem jesteśmy, a czem być możemy? Część I, Księga II.

Geograficzno-historyczne stosunki na ziemiach Polski i wpływ ich na charakter społeczeństwa.

Pisząc o Księdze I powyższej pracy (*Przegląd Powszechny* nr. 264, grudzień 1905) przytoczyliśmy, jakie założenie postawił autor historyografii. By dojść do syntezy dziejów Polski, winna przedtem zbadać rozwój narodu na wszystkich polach, dzieje polityczne, prawa, administracji, handlu i t. d.

W Księdze II, którą mamy przed sobą, omawia autor związek między geograficznym położeniem i ukształtowaniem się ziem Polski, a charakterem społeczeństwa i jego ustroju.

Polisce brak było naturalnych granic. Ten brak nie zaważył zbyt wiele na szali dziejowej. Większą niedogodnością była trudność obrony Polski ze względu na kilka frontów, możność wzięcia ją we dwa ognie.

Z położenia swego miała być Polska pośredniczką między kulturą Zachodu a Wschodem. Gdy w XVIII w. z powodu bierności ówczesnej roli tej zaniedbała, ustalała dla niej racya istnienia.

Wybór Warszawy na stolicę Polski ujemnie wpłynął na rozwój jej dziejów. Wskutek położenia stolicy na Mazowszu rej w państwie zaczęła wodzić demokratyczna, drobna szlachta mazowiecka, obca interesom całości ziem polskich, niedbająca o obronę granic wschodnich.

Z powodu tego, że przeważnie ujścia rzek polskich do morza były za granicę Polski, — stąd brak powołania do opanowania morza.

Rozbierając charakter społeczeństwa polskiego stawia autor następujące tezy.

Polska była w klasie rządzącej rolniczą, bo mieszczenie, jako niemający praw nie wchodził tu w rachubę. Ogólny typ ziemianstwa była średnia własność.

W Polsce nie wyrobiła się arystokracja, jako partya zwarta, któraby była podporą tronu i wpływem swym podtrzymywała powagę panującego i przeprowadzała jego plany. Wobec panującej demokracji najbogatsi ubiegali się o łaski tłumów szlachty, umieli dbać o popularność. Stąd dla braku tradycyi możnowładztwa i monarchii nie mogła demokracja przejść w cezaryzm, lecz przeszła w drugą ostateczność, w anarchię.

Instytucje publiczne Polski nie były pomyślane źle, lecz w wykonaniu paczyły się dla braku zrozumienia ich podstawowych idei. Ukształtowane zbyt idealnie, wymagały idealnego społeczeństwa. Autorowie konstytucyi Rzeczypospolitej byli idealistami i zabezpieczyli wolność od tyranii, a nie zabezpieczyli jej od uzurpacji wolnych.

Pogodzenie idealistycznej konstytucyi z wysnuwaniami z niej w praktyce konsekwencyami, a raczej w rezultacie sprzecznościami nie było zbyt łatwe. Stąd nawet rozumni obywatele,

wychowani jednak wśród idealistycznych pojęć politycznych, nie umieli znaleźć rady praktycznej. Brak był równowagi społecznej przez istnienie tylko jednej klasy mającej znaczenie polityczne.

Wkońcu swej pracy zapowiada autor odpowiedź dalszą na pytanie, »czem byliśmy«, na podstawie wyrozumowania dziejów Polski wewnętrznych i zewnętrznych.

Autor postawił sobie za zadanie w tej części wyszukanie związku między położeniem geograficznym a charakterem ustroju i społeczeństwa Polski. W pierwszych siedmiu rozdziałach temat ten przeprowadzony jest ściśle i trafnie. Dalsze rozdziały omawiają pytania z założeniem mniej się łączące, cechy charakteru Polaków, pojęcia polityczne, ideały w dawnej Polsce. Odpowiedzi na to pytanie nie wysnuwa autor z obrazu położenia i ukształtowania geograficznego i nie widzimy wskutek tego systematycznego układu tych rozdziałów, logicznego rozwoju poruszanych w nich tematów i związku z całością. I tak po ustępie o szlachcie, mieszczańach i włościanach mamy rzecz o ufności dla obcych a nieufności dla swoich. To też wywody autora pomimo trafności jego spostrzeżeń i wniosków nie składają się na całość harmonijną, którąby można łatwo ogarnąć.

Dr. A. B.

Posłannictwo katolickiej niewiasty od początku chrześcijaństwa po nasze czasy.
Ks. Ventura de Raulica. Tłumaczył z drugiego wydania francuskiego oryginału Stanisław Koźmian. T. II, cz. II.

Znanego już czytelnikom naszym cennego dzieła, przybranego w polską szatę, wyszła część ostatnia.

Czcigodny autor omawia w niem

zasługi, wielkość i chwałę niewiasty katolickiej w czasach nowożytnych, »w których niewiasta katolicka naprawia i utrzymuje spustoszenia protestantyzmu i fałszywej filozofii, a zarazem pomnaża dzieła religijne i miłosierne«.

W tych słowach podał sam autor ogólną treść tej części swego dzieła. Zaczyna od odkrycia Ameryki, słusznie przypisując wiele zasługi w tem przedsięwzięciu wielkiej katolickiej niewieście, królowej Izabelli. Dalej wielbi wielkie zasługi tej samej królowej około rozszerzenia katolicyzmu na półwyspie pirenejskim. Dalej podnosi wielkie znaczenie i wpływ dodatni w historii Kościoła i dla społeczeństwa takich niewiast jak Maryi angielskiej i Katarzyny szwedzkiej, Urszuli Bucincasa, św. Teresy, Elżbiety, żony Filipa II, Małgorzaty II niderlandzkiej, św. Franciszki de Chantal i wielu innych, które zapisały się chlubnie inicjatywą w dziełach zbożnych, uczynkami miłosiernymi, wpływem na podniesienie wiary i życia katolickiego. Na końcu tej części wyciąga autor wniosek, że »papieże, apostołscy mężowie, założyciele duchownych zgromadzeń, świątobliwi księża, świątobliwi ludzie świeccy, a nawet królowie, którzy świętymi nie byli, nie zdziałali nic świętego, wielkiego, pięknego, użytecznego w interesie wiary, obyczajów, a nawet materyalnego szczęścia ludów bez współudziału w ten lub ów sposób katolickiej niewiasty«.

Część trzecia przedstawia warunki wielkości niewiasty katolickiej. Pierwszym warunkiem, by kobieta mogła rozwinąć tak obfitą w skutki działalność, jest obok szczytnych cnót, głęboka, wszechstronna znajomość religii. Dalszym warunkiem jest nieskazitelnność. A jeżeli niewiasta katolicka

wyposażona w te warunki, jest podporą Kościoła, to ma ona z drugiej strony w Kościele obronę swych praw, swej godności, swego stanowiska w społeczeństwie.

Do pracy tej jest dodany tegoż samego autora list do p. de Pontmartin z powodu artykułu, który ogłosił o niewieście katolickiej. Jest to polemiczny artykuł, broniący przeciw zarzutom, jakie de Pontmartin wytknął O. Raulica w recenzji jego dzieła.

To krótkie podanie treści ostatniej części wystarczy do ocenienia, że tłumacz dając nam przekład polski, wzbogacił cennem dziełem nasze piśmiennictwo. A przytem znana znakomita forma tłumacza ręczy nam, że przekład ten nie tylko przez oddanie głębokich myśli autora, ale i wykwintną formą obudził zainteresowanie kół czytających.

B.

Pisma Franciszka Zabłockiego. Ody, pastierki, satyry, wiersze rozmaite, pamflety polityczne wierszem i prozą, urywki różnych komedyi. Zebrał i wydał dr. Bolesław Erzepki.

Wydane są w tym zbiorze drobne wiersze i utwory Zabłockiego rozproszone po różnych niedostępnych drukach albo spoczywające jeszcze w rękopisach.

Z pisma »Zabawy przyjemne i pożyteczne« włączone są wszystkie wiersze Zabłockiego nawet i niedrukowane w edycji Dmochowskiego, jak »Bajki«, »Oda do przyjaciela«, »Rady młodej pannie dane«, poemat »Cztery żywioły«. Z nieznanych dotąd poezyi ogłoszone są w tym zbiorze »Oda do Antoniego Górskiego«, wiersz do Ignacego Krasickiego, kilka wierszy przypisywanych mylnie Naruszewiczowi »Do bizuna« i Węgierskiemu

(Dwa listy z Warszawy do przyjaciela na wsi i Poprawa Warszawy).

Dalej umieszczone są tu wiersze i pamflety polityczne z czasu sejmu czteroletniego, znane już jako utwory Trembeckiego, jak np. sławny swą siłą *Ioannes Sarcasenus*. Dodane są do nich nieznane pamflety (29) uporządkowane wedle następstwa chronologicznego. W objaśnieniach podaje wydawca czas i przyczyny powstania poszczególnych wierszy.

Nowym jest też dział politycznych pamfletów prozą.

W dodatku znalazły pomieszczenie obok »Kolendy nowej na rok 1791«, której autorstwo nie jest pewne, trzy wiersze z epoki sejmu czteroletniego, wystosowane do Zabłockiego i dotyczące jego pamfletów.

Nadto z twórczości scenicznej umieszcza dr. Erzepki urywek z tłumaczenia komedyi Molièra *Le misanthrope*, ustęp z komedyi »Zabobonnik« i inne.

Kończy wydawnictwo skorowidz osób i miejscowości, oraz słowniczek wyrazów Zabłockiego, przestarzałych lub tylko Zabłockiemu właściwych.

Wydanie niniejsze, choć niewiele może przysporzy nowych wawrynow ustalonej już sławie Zabłockiego, da jednak badaczom literatury możliwość pogłębienia znajomości i gruntowniejszej oceny całokształtu twórczości Zabłockiego.

L.

Muzyka kościelna w pierwszych wiekach chrześcijaństwa i reforma Grzegorza Wielkiego. Szkic historyczny. *O. M. Żukowski.*

Ze skromnych zaczątków w katakumbach wyrósł śpiew kościelny i rozwinął się wspaniale, wydając arcydzieła melodyi. Autor w krótkiej swej pracy szkicuje tylko zgodnie z zało-

zeniem historię śpiewu kościelnego do Grzegorza Wielkiego, jego zasady i cechy charakterystyczne, rozbiiera istotę reformy przez papieża Grzegorza przeprowadzonej i kreśli pokrótce historię jej przeprowadzenia.

W.

Dwa wykłady popularne o walce z gruźlicą u nas. Dr. Fr. Chłapowski.

Pierwszy wykład traktuje o zakładach ludowych dla chorych pierwsowych. Wykazuje potrzebę zakładów celem leczenia początków gruźlicy lub też predyspozycji do niej.

Drugi wykład wykazuje potrzebę środków profilaktycznych, usuwania warunków, wśród których gruźlica mogłaby się rozwinąć.

Temat poruszony przez prelegenta tak aktualny i piekący, bo ile sił społecznych zabiera nam gruźlica, a jak mało przeciw niej się robi, i wnioski przezeń wysnute winny zachęcić społeczeństwo do ofiarności na cele podane w jego wykładach do walki z tym wrogiem dziesiątkującym pozornie, po cichu i nieznacznie.

Dr. A. B.

Die römische Kurie. Ein kurzes Handbuch für die Kenntnis der gegenwärtigen Verfassung und ein kanonistischer Führer für den praktischen Verkehr mit den obersten päpstlichen Behörden in Rom. Von Dr. Nik. Hilling. Paderborn 1906. Schöningh. 12-ka (XII i 324).

Dziełko Hillinga służy przede wszystkim celom praktycznym. Chce ono czytelnika poinformować o dość skomplikowanej organizacji Kuryi rzymskiej, obznajomić go z zakresem działania poszczególnych Kongregacyi i z postępowaniem, zwłaszcza w Kongr. Soboru i Kongr. biskupów i zakonników przyjętem, tudzież dać mu praktyczne wskazówki, w jaki

sposób odnieść się należy do Kuryi rzymskiej. Wobec tak nakreślonego celu każdy zrozumie, iż autor w kwestyach czysto historycznych i naukowych ogranicza się do *minimum*; podając jednak odnośną literaturę, ułatwia niezmiernie zasięganie dalszych informacji o tym przedmiocie. Zbytętnem byłoby polecać naszym czytelnikom tę książkę; sama już treść ją zaleca nie tylko Konsystorzom biskupim, lecz nadto i pojedynczym także kapłanom, których praca duszpasterska nieraz zmusza do osobistego odniesienia się do kuryi rzymskiej. W takich wypadkach książka Hillinga najlepsze im odda usługi, zwłaszcza że informacye autora są dokładne i wyczerpujące.

J. R.

Immerwährender Kalender von Direktor Jos. Bach. Strassburg. 8-ka w. Str. 4.

I czytelników *Przeglądu* zaciekawia krótka wzmianka o wiecznym kalendarzu, któremu, ze względu na praktyczne urządzenie, żaden inny jeszcze nie dorównał. Często już usiłowano ten problem rozwiązać. Atoli zwykle otrzymywało się albo drogie olbrzymie tabele, albo żmudne obliczania, które nie wszystkim, używającym takiego kalendarza, były dostępne.

Kalendarz Bacha ogranicza się tylko do 4 stron. Na pierwszej stronie podani są Święci, na drugiej podane są daty wszystkie całego okresu Zmartwychwstania Pańskiego, według kalendarza juliańskiego do roku 1800; na trzeciej stronie są wszystkie daty tego samego okresu według kalendarza gregor. aż do r. 2100, prócz tego tabela ze wszystkimi świętami ruchomymi i tabela do wynajdywania dni tygodnia, które przypadają na jakikolwiek dzień miesiąca. Stronę 4 zajmują objaśnienia.

Metoda jest nie do uwierzenia prostą i genialną. W kilku sekundach można znaleźć, na jaki dzień przypada jakakolwiek data lub odwrotnie np. którego dnia w miesiącu wypada środa, najbliższa po Nawiedzeniu M. B. r. 1607.

Dla biur, urzędów sądowych i t. d. ma ten kalendarz bardzo doniosłe znaczenie.

B.

Gregorius Sturmfried. Ein Zeitbild aus dem Katholizismus der Gegenwart. Von *Arthur Achleitner*. In drei Bänden. Verlag von Kirchheim et Co in Mainz.

Jest tego trzy tomy po 450 stron niemieckiego druku! Treścią zaś są przeróżne momenty działalności proboszcza w różnych miejscach urzędowania. Rzecz mogłaby dobrą być i użyteczną, gdyby z trzech tomów zrobić jeden, wyrzucić nieskończenie długie dyskusye i wtrącone ustępy z odczytów, słowem, gdyby odlać dużo wody a skonsolidować resztę, zawierającą trafne myśli i epizody ciekawe. Przytem styl nieco dziwny: autor rzadko bardzo używa zaimka *Er* (on), co go zmusza do wymienia-
nia po dwa i trzykroć tej samej osoby w jednym zdaniu. Czyni to wszakże

pod odmiennymi formami; gotówby np. mówiąc o swoim bohaterze Grzegorz Sturmfriedzie napisać, że »Sturmfried zamknął okno, bo Grzegorzowi było zimno« i t. d. Aż się płakać chce, gdy się takie dzieło głęboko religijne, oparte na doświadczeniach życiowych i dające odpowiedź na różne sporne kwestye, a przytem tak rozwlekłe i nudne, porówna z czarującym stylem i sprężystością treści utworów protestanckich Frenssena! Św. Franciszek Salezy wyraża w »Filotei« życzenie, aby na zebraniach weselnych i innych, ludzie pobożni byli najstojniej odziani ze wszystkich; podobnie pragnęłoby się, aby książki katolickie, zwłaszcza te, które przybierają cechę obronna, były najlepiej i z największym talentem skreślone... W dziele A. Achleitnera można z pożytkiem i przyjemnością przeczytać dużo ustępów; nacieszyć się charakterystyką dobrze oddanych typów, ale przewertować jego trzy tomy w całości, byłoby ciężkiem zadaniem. Pono i Mesiały Klopstoka żaden żywy człowiek nie czytał w całości, bo nawet na tłumaczenie poematu złożyły się dwa pokolenia. Autor »Obrazu z życia katolickiego« może się zatem poszczycić, że się w nielada kompanii znajduje.

T. W.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

List pasterski
ks. biskupa
Pelczara.

Generalny przewodnik Apostolstwa Serca Jezusowego, rozpiisał dla wychodzących po świecie *Posłańców* na miesiąc kwiecień intencję za klasy pracujące. Wystarczyłoby wziąć ostatni list pasterski ks. biskupa Pelczara »O sprawie społecznej« i ogłosić go w *Posłańcu* — cel byłby osiągnięty, tak ten list pisany miłością, sprawiedliwością, spokojem, taka z niego bije gorliwość o chwałę Bożą, zbawienie dusz i dobro ojczyzny, tyle litości i współczucia dla ciężkiej doli robotnika. Nie mogło zresztą być inaczej: biskup przemyski znany jest z tego, że nie tylko w teorii uczy, ale i w praktyce stosuje naukę Chrystusa i słowa Kościoła i stąd jego wydatna działalność na polu pracy społecznej, w myśl jego własnych słów: »wszyscy w miarę sił i stanowisk powołani są do pracy dla społeczeństwa« (str. 2).

Cztery szczególnie ustępy listu zasługują na większą uwagę a najpierw przystępnie wyłożone pytanie: skąd się wzięła tak zwana kwestya społeczna. Przyczyn jej upatruje dostojny autor zgo-dnie z historią, nauką i doświadczeniem w zaniku ducha chrze-ścijańskiego, który dawniej goił rany społeczne, a którego brak spowodził upadek miłości i sprawiedliwości — i w powstaniu li-

beralizmu. Następstwem liberalizmu to jeszcze większy upadek wiary i moralności, nieograniczona wolność zarobkowania, wzajemna konkurencya, nagromadzenie kapitału w niewielu rękach, często wyzysk i lichwa, zdegradowanie pracy ludzkiej do rzędu towaru, zmiana na gorsze stosunku chlebobawcy do robotnika i wyzyskiwanie ostatniego. Nietrudną więc rzeczą »w takich duszach zbolałych i niezadowolonych ze swego stanu wzbudzić nienawiść do klas bogatszych i szczęśliwszych, zwłaszcza gdy muszą nieraz patrzeć na wyzysk i krzywdę, a nie mają tej siły odpornej, jaką daje religia« (str. 5).

Ku obronie robotników powstali socjaliści, których niektóre żądania i skargi są uzasadnione, ale którzy chcąc podźwignąć klasę robotników, rzucają między nich zgubne hasła i rozszerzają nienawiść do Kościoła i społeczeństwa, a nadto opierają się na błędnych podstawach i dążą przeważnie rewolucyjnymi drogami do swoich celów. »Niestety, wobec bezczynności ludzi dobrze myślących, a przy pomocy krótkowidzących, posiew rewolucji przyjmuje się łatwo« (str. 12). I nie trzeba się temu dziwić, gdyż działa tu niczem niekrepowana namiętność. A jednak powinno być inaczej.

Socjalizm, i tu przechodzimy do drugiego ustępu listu, nie uszczęśliwi robotników, gdyż trzymając się skrajnego materializmu odrzuca Boga i Jego prawo, zwalcza religię i moralność; społeczna zaś jego praca jest albo utopią, jak zniesienie własności prywatnej, przymusowy podział pracy i wyrównanie stanów, albo krepowaniem wolności osobistej, jak np. oparcie państwa na brutalnej sile lub zorganizowanie społeczeństwa na tejże podstawie, albo niebezpieczną dążnością, gdy znosi np. małżeństwo, odbiera rodzicom prawo wychowania dzieci, czyni szkołę bezreligijną, występuje przeciwko miłości ojczyzny. Ciężkimi ale niestety słusznymi zarzutami kończy ks. biskup ten ustęp: socjalizm jest wrogiem religii, gdyż wypiera ją z życia; jest wrogiem społeczeństwa, gdyż wywraca jego podstawy; jest wrogiem robotników, gdyż za garść korzyści materialnych i zwodniczych obietnic, odbiera im wiarę, nadzieję, miłość, a sieje natomiast niezgodę i nienawiść.

Od tej destrukcyjnej działalności odbija korzystnie akcyja Kościoła, który broni podwalin, na których opiera się gmach społeczeństwa, uświęca jednostki, rodziny i narody, podnosi godność ludzką, zaprowadzając wśród ludzi prawdziwe braterstwo, dźwiga z wiekowego poniżenia kobietę, broni słabych i opuszczonych, głosi równość wszystkich przed Bogiem i wobec prawa. Opiekoał się też Kościół zawsze robotnikami.

W wiekach średnich zakładał dla nich cechy i rzucał klątwy na ich krzywdzicieli, zawsze żąda sprawiedliwości w wymiarze i uiszczaniu zapłaty za pracę, łagodzi cierpienia pracujących, zachęcając bogatszych do miłosierdzia i tworząc zakłady dobroczynne, podnosi godność pracy, przypomina wszystkim ich obowiązki: bogatym obowiązek sprawiedliwości względem sług i robotników, robotnikom obowiązek względem chlebobawców, a państwu obowiązek ochraniania robotnika przed wyzyskiem i nadużyciem.

Końcowy wreszcie ustęp wykazuje, jak trzeba pracować. Nie wszystko wprowadzić da się od razu przeprowadzić w czyn, ale zawsze można będzie dużo zdziałać przy odrobinie dobrej woli. Trzeba się starać o odrodzenie ducha prawdziwie religijnego, zachęcać do wstrzemięźliwości, zakładać szkoły (głównie o kierunku praktycznym, np. rolnicze, tkackie) i czytelnie, rozszerzać książki i dobre pisma, których brak najwięcej dzisiaj szkodzi. Do poprawy stosunków przyczynią się niepomierne kasy pożyczkowe, tanie mieszkania, domy pracy, biura wywiadowe, spółki spożywcze, tanie kuchnie, bezpłatne łaźnie, biura porady prawnej, kasy chorych, kasy asekuracyjne i pogrzebowe, izby robotnicze i sądy rozjemcze, stowarzyszenia mieszane pracodawców i robotników, stowarzyszenia robotnicze ogólne pod hasłem katolickim, stowarzyszenia zawodowe. Arcypasterz przemyski nie pomija rzemieślników i włościan i rozwija i tu program pracy.

Warto sobie zapamiętać na zawsze te złote słowa, że socyalizm wbrew często jeszcze rozpowszechnionemu przesądowi, nie jest igraszką — »nie, to plaga groźna, podobna do apokaliptycznej szarańczy, która wychodząc z głębokiej studni przyémiła blask słońca i zniszczyła plony ziemi. Jeżeli zaśniemy w gnuśnej

bezczytności spadnie ta plaga na nasze miasta, potem na miasteczka, wkońcu na wioski i zrządzi wielkie sputoszenia» (str. 24).

Gorące wezwanie do wszystkich stanów społeczeństwa kończy list, a trzeba w tem wezwaniu zaznaczyć, że zwracając się do duchownych przypomina arcypasterz nie wszędzie jeszcze dostatecznie znane i uznane słowa Leona XIII: »Konieczną jest rzeczą, aby ksiądz wyszedł z zakrystyi, wszedł w bliższe stosunki z ludem i oddawał mu usługi... Nie wolno księżom zamykać się w kościołach i stalach«. Będą się na te słowa żyznać ci, którzy uważają wyłącznie siebie za powołanych do pracy nad rozwiązaniem kwestyi społecznej, zaprzeczyć jednak słuszności i sprawiedliwości tych słów nie może nikt.

Życzyłoby tylko należało, aby z taką miłością napisany list, przyjęty był z równą miłością nie tylko przez dyecezyę przemyską, lecz także przez całe społeczeństwo polskie.

Z włoskich demonstracji antyreligijnych. W podjazdowych utarczkach, które obecnie na całym świecie przeciw Kościołowi się toczą, nie mogły pozostać w tyle i radykalne elementy Włoch. Na 17 lutego zapowiedzieli republikanie, anarchiści i, rozumie się, socjaliści, których nigdzie braknąć nie może, gdzie chodzi o zamianowanie swej nienawiści do Kościoła, wielką antyreligijną demonstrację, do której sto miast włoskich zgłosiło swój udział, a która miała mieć nie tylko antyreligijny, ale i republikańskorewolucyjny charakter. Odezwa narodowego komitetu stwierdzała, że »z okazyi nowych prądów, nowych socyalnych nauk i nowych politycznych zadań skupiają się wszyscy ludzie dawnych poglądów i haseł, wszyscy starzy, dzielni, duchem wiary ożywieni parlamentarzyści w prasie, w izbie, w rządzie nawet, koło klerykalizmu«. Klerykalizm zmienił swoje zapatrywania na trzecie Włochy; miesza się do wyborów, by nadać państwu reakcyjny charakter w ustawodawstwie, administracyi, szkole. »Obowiązkiem każdego wykształconego jest starać się o to, aby ksiądz wrócił do zakrystyi, a przedewszystkiem, aby katolicyzm wyrugować ze szkół, z umysłów i serc młodzieży, i tak kształcić je dla pracy,

wolności i naturalnej cnoty. Niech ten program będzie programem waszych zgromadzeń, pochodów i mów w dniu 17 lutego.

Wywołany podobnemi hasłami nastrój zaczął pierzchać po obiorze prezydenta manifestacyi, radykalnego posła, Lucchiniego. W liście do *Trybuny* wyraził on powątpiewanie, czy zamierzona demonstracya odpowie celowi. Klerykali zyskują wprawdzie coraz więcej, kontrdemonstracya jest więc na czasie, ale na spokojny, systematyczny napór klerykałów odpowiadać hałasem ulicy nie prowadzi do celu. Pomniki, wystawione ku czci Giordano Bruno i Arnolda z Brescyi nie powstrzymały dotąd ruchu, wychodzącego z Watykanu. »Zacny, swym zasadom wierny katolik, i szlachetny wróg więcej znaczy, jak fałszywy liberał i przyjaciel chwili. Hałasować i krzyczeć po ulicach, nie wystarczy; trzeba użyć innych środków, żeby parlamentowi i rządowi prawa dyktować«.

Liberalny deputowany Gustavino, opierając się na poglądach, głoszonych przez socyalistę Turatiego, radykalnego księcia Borghese i Lucchiniego, potępia w artykule »Zbrodnicze agitacye«, ogłoszonym w genueńskim *Il Caffaro*, jeszcze stanowczej zamierzoną demonstracyę. »Przyglądnijmy się demonstracyom z bliska a poznamy, że te wszystkie błazeństwa upstrzone pustymi frazesami nie są wystarczającą obroną przed klerykalizmem. Republikanom, niektórym socyalnym demokratom i wogóle rewolucyonistom schlebia to, że monopol podobnych manifestacyi sobie przywłaszczyli«. Gustavino wzywa więc naród, by nie szedł za głosem podżegaczy, lecz w interesie kraju oparł się »niebezpiecznej dla państwa« agitacyi.

Niemniej surowo osądził agitacyę również radykalny poseł De Viti de Marco. »Jaki cel może się ukrywać w tem, że my, którzy tworzymy polityczną partycę, mamy przeciw innemu politycznemu stronnictwu manifestować, tego na prawdę nie rozumiem. Stronnictwo katolickie rozwinęło program swej politycznej działalności a ten program zjednał mu dużo takich, którzy przedtem do niego nie należeli. Z pewnością jednak 17 lutego nie znajdziecie żadnego programu na ulicach Rzymu lub innych włoskich miast«.

Takie głosy podziały trochę ochładzając na rozognione masy i napsuły krwi liberalnym dziennikom, nie odebrały jednak

zapału narodowemu komitetowi, który manifestacyami i zgromadzeniami werbował w całym Włoszech uczestników demonstracyi; nie brakło w tych staraniach i humorystycznych rysów. I tak np. włoski Związek ludowy, wydał protestującą broszurę p. t. *No*; na to odpowiedzieli liberali również kategoryczną broszurą *Si*. Jeszcze w dzień demonstracyi rozdawano odezwę, z której warto jeden ustęp zapamiętać: »Wypędzone niegdyś kongregacye religijne wracają bezkarnie do swych klasztorów; szkoły opierają swe wykłady na moralnych zasadach Jezuitów. Powstańcie z waszego ciężkiego snu, zjednoczcie wasze siły, szturmujcie mury Watykanu. Szkoła świecka żąda waszego bezwzględного poparcia, biedne sieroty, które po klasztorach uwięzione żyją, wzdychają do wolności«.

Demonstracya odbyła się ostatecznie według zwykłego w tych razach programu; było dużo wojska i policyi, trochę kwiatów i sztandarów, więcej krzyków i hałasów, kilka jadowitych swą nienawiścią mów, w których, jak zwykle, brali udział Żydzi — zresztą nie potrzeba było po to jeździć aż do Rzymu; widzimy i słyszymy to wszystko w każdą prawie niedzielę na ulicy Rajskiej w Krakowie.

Z powodu przyszłej konferencyi pokojowej. Ze źle tajoną radością, czasami wprost z brutalnym cynizmem, donoszą liberalne pisma, że papież stara się, by go przypuszczono do udziału w przyszłej konferencyi pokojowej w Hadze, że jednak mocarstwa na to się nie godzą. Pogłoskom tym zaprzeczył sekretarz nuncyatury w Hadze, msgr. Giovanini, dodając równocześnie, że papież nie myśli wcale narażać się na odmowę i kompromitację. To też jest przyczyną, że od roku 1902 internuncyatura w Hadze nie jest obsadzoną, wszyscy bowiem ambasadorzy tamtejsi należą do konferencyi, wykluczony jest od niej tylko internuncyusz.

Kiedy chodziło o udział papieża w pierwszej konferencyi zaprotestowała przeciwko temu podobno Austria — głośno przynajmniej wówczas o tem mówiono —; skądby dzisiaj podobny protest wyszedł, przewidzieć trudno. Pewnem jest, że znany apo-

stoł pokoju, protestant William Stead, wezwał za pośrednictwem kardynała-sekretarza stanu, Ojca św. do wielkiej manifestacyi i do odezw do narodów na rzecz światowego pokoju. I to jest pewnem, że tylko polityczna lub wyznaniowa nienawiść i zaciętość mogą protestować przeciwko udziałowi papieża, który bądź co bądź stoi ponad sporami narodów i przedstawia w sobie państwo pokoju.

To też chyba tylko przyklasnąć można słowom kolońskiej *Volkszeitung*, wykazującej, że, ponieważ konferencya zajmie się nie tylko reglamentacją wojny, ale przedewszystkiem kwestyą międzynarodowego pokoju, słusznem jest, aby przedstawiciel papieża, głoszącego naukę Chrystusa: »pokój na ziemi«, brał w niej udział.

Nie potrzeba wcale być katolikiem, lecz tylko bezstronnym i sprawiedliwym sędzią, żeby uznać słusność tego postulatu. Rozjemczego sądu papieża zażądał przecież nawet Bismarck w r. 1885 w sporze o Karoliny z Hiszpanią. W przemowie na Boże Narodzenie w r. 1893 rzucił Leon XIII myśl, że dobrzeby było, gdyby można zwołać międzynarodową pokojową konferencyę; myśl tę poparł w encyklice z r. 1894, a pięć lat później pisał kardynał Rampolla w imieniu papieża do Williama Steada: »Pańska walka o pokój zasługuje na wszelkie uznanie, gdyż zabezpieczenie pokoju powinno być najwznioślejszem zadaniem ludzkich dążeń. Stolica Apostolska, pozostając wierną swym tradycyom, niczego usilniej nie pragnie, jak, aby wszystkie narody węzłem pokoju po bratersku złączone były i aby w wzajemnych stosunkach państw panowała sprawiedliwość. Oby nasz wiek... przed swoim końcem stworzył coś takiego, coby mu zapewniło wdzięczność ludzkości, oby wynalazł środki i drogi, któreby w sporach między narodami zapewniły panowanie rozumu i roztropności«.

Takiem było zawsze stanowisko Kościoła w tej sprawie i chyba tylko trochę dobrej woli potrzeba, aby uznać, że jeżeli komu, to papieżowi przystoi brać udział w konferencyach pokojowych, gdyż państwa, które z polityki wykluczyły Boga a znają tylko etykę egoizmu, dla sprawy międzynarodowego pokoju wiele nie zdziałają. Ostatnie lata aż za dobitnie to wykazały.

Amerykańskie Podczas gdy niektóre nasze dzienniki z zasady ten-
głosy o kultur- dencyjnie przedstawiają bieg sprawy kościelnej we
kampfie francuskim. Francyi, uwydatniają wobec niby ugodowego stanowi-
ska rządu upór Kościoła, z poza redakcyjnego stolika udzielają
papieżowi przyjacielskich rad i napomnień, i wspominają czasami
nawet o braku rozsądku w taktyce Piusa X, zagranica, i to nie
tylko katolicka, inaczej na rzecz się zapatruje, wydobywa na
światło dzienne prawdziwe pobudki obecnego prześladowania
i odziera je z uroku frazesów i pustych haseł.

W Ameryce zwołano w tym celu w ostatnich dniach stycz-
nia olbrzymie zgromadzenie, w którem brało udział przeszło
20.000 osób, między niemi wielu z wybitniejszych nie tylko kato-
lików, ale i innowierców. Mowcy, jak np. sędzia Daly, członek
najwyższego trybunału Fitzgerald, prokurator Delaney bezstronnie,
sprawiedliwie ale i surowo wnikałi w szczegóły francuskiej wojny
religijnej.

Dziś we Francyi, mówił Daly, »wolność to ciemnienie,
równość to cierpienie, braterstwo to rabowanie«. We Francyi,
twierdził Fitzgerald, »nie chodzi o rozdział Kościoła od państwa,
ale o ujarznienie Kościoła. Polityka francuska ma na celu uśpie-
nie sumienia i legalizowanie jawnego rozboju«. Niesłuchanie ostro
brzmiały uchwały wiecu. Prawo rozdziału nazwano tam prawem
prześladowania, zrodzonem w kłamstwie i fałszu, nie dającym się
usprawiedliwić wobec rozumu i sumienia, podkopującym wszelką
wolność, ograniczającym niesłusznie prawa osobiste, zasługującym
na to, by pod pręgierzem stanęło. »Z ziemi wolności ślemy wy-
razy uwielbienia i zachęty dla Ojca św., dla jego stanowczego
wystąpienia i ojcowskich rad, jakich Kościołowi francuskiemu nie
poskąpił i zaklinamy naród francuski, by wszelkimi siłami wspo-
magał biskupów w ich pracy dla dobra ich własnej ojczyzny
i wolności«.

Znamiennym w tem wszystkim jest fakt, że po stronie
ciemnionych katolików francuskich stanęły w Ameryce koła nie-
katolickie, tak dalece, że biskup Kościoła episkopalnego w Stanie
Maine, Codman, wezwał wszystkich parafian swej dyecezyi do
odmawiania osobno w tym celu ułożonej modlitwy »za Kościół

katolicki we Francyi, prześladowany przez państwo antychrześcijańskie», a tematem kazań głoszonych po protestanckich świątyniach amerykańskich jest walka francuska i stanowcze jej potępienie.

Także prasa innowiercza w Ameryce wyraża się bardzo surowo o stosunkach francuskich. Podstawą rozdziału, pisze z okazji wyżej omówionego wiecu, demokratyczny *New Yorker Staats-anzeiger*, powinna być sprawiedliwość i poszanowanie praw. Co jest Kościoła, musi przy nim pozostać. »Prawo własności Kościoła jest starsze jak republika i dawniejsze jak konkordat«. W całej sprawie chodzi wyłącznie o polityczny manewr a pogwałcenie sprawiedliwości nasuwa myśl, że rysują się podstawy rzeczypospolitej. Wystąpienie Francyi jest złamaniem konkordatu. »Historia była często świadkiem takiego jednostronnego postępowania, ale świat przez to jeszcze nie zginął. Konfiskata dóbr kościelnych jest aktem samowoli, a taka samowola mściła się zawsze ciężko. Rządowi nie uda się nigdy oderwać Francyi od Kościoła«.

Cóż na takie poglądy, stwierdzające wnikanie w głąb i jądro rzeczy, i biorące sprawę nie powierzchownie i stronnictwo, lecz poważnie i bezstronnie, *Nowa Reforma* i jej podobne dzienniki?

Przeciwko W jednym z poprzednich numerów *Przeglądu* wykaza-
Izbie lordów. liśmy, że przyczyną coraz to pogłębiającego się rozdwojenia między Izbą lordów a parlamentem angielskim, było stanowisko, jakie lordowie zajęli wobec wniesionej przez rząd nowej, antyreligijnej ustawy szkolnej. Jeżeli do tej kwestyi raz jeszcze wracamy, to czynimy to dlatego, że nie jest ona tylko polityczną, ale na pierwszym miejscu moralną, i w dziwnem świetle stawia tolerancję stronnictw liberalnych, które, wzorem władcy z nad Sprewy, chcą strącić wszystko, co im na drodze staje.

Król Edward w wygłoszonej przy otwarciu parlamentu mowie tronowej mimochodem tylko dotknął »przykrej różnicy zdań obu Izb« i nadmienił, że ministrowie jego szukają rozwiązania drażliwej sprawy. Jakiem ono będzie? Na to pytanie nie czas jeszcze odpowiedzieć, jasnym jest jednak, jakim to rozwiązanie chciałby mieć rząd.

Gabinet już przedtem odgrażał się lordom i rzucał gromy

na »niemożliwie uprzywilejowane stanowisko« wyższej Izby, która stawiając swoje *veto*, stanęła tem samem od razu w sprzeczności z olbrzymią większością narodu, a na zgromadzeniu w Leeds zapowiedział Lawson Walton, że przed stronnictwem liberalnem staje zadanie, które się równa rewolucyi i które pociągnie za sobą dwa lub trzy rozwiązania parlamentu. Izba lordów, twierdził mowca, nie rozumie współczesnych prądów i musi upaść, tak jak padają ruiny starego zamku pod naporem fali. Jeżeli Izba lordów oprze się woli narodu, będzie podobną do kupy piasku, która wzburzonym bałwanom na drodze stoi. Rząd zadośćuczyni woli narodu przez uchwalenie ustaw, które parowie z pewnością odrzuca, a wtenczas złączy się korona z narodem, by zdruzgotać arystokrację.

Te gwałtowne zdania były wyrazem opinii rządu, ale tymczasem naród angielski jest niesłychanie konserwatywny a według ogólnie panującego w Anglii przekonania Izba lordów jest specyficznie angielską instytucją, wyrosłą ze specjalnych potrzeb konstytucyi. Naród widzi w Izbie lordów obronę przed anarchią i rewolucją, najsilniejszą podstawę państwa wobec nowych, często sprzecznych prądów nurtujących parlament; z wolą narodu Izby lordów w Anglii rząd, zdaje się, nie obali.

Gabinet to zrozumiał i dlatego prezydent ministrów oświadczył przy otwarciu parlamentu, że nie chodzi bynajmniej o zmianę ustaw Izby wyższej, lecz, co już jest przypuszczeniem prasy, o ograniczenie prawa *veto*. Fatalnym tylko w całej tej sprawie jest fakt, że i Izba lordów zabierze w niej głos, i nie pozwoli sobie tak łatwo wydrzeć uświęconych odwiecznym zwyczajem praw i przywilejów. Położenie rządu jest więc nie do pozazdrośczenia, tem bardziej, że z łona samego parlamentu słyszeć się dają ostre głosy, np. domniemanego następcy księcia Northumberland, Percy'ego, zarzucające, że rząd zaniedbuje socyalne ustawodawstwo i żywi wprost rewolucyjne plany względem odwiecznej instytucyi angielskiej, co na celu może mieć jedynie zniszczenie jedności państwa.

Ks. Wiktor Wiecki.

Ze świata artystycznego.

Cmentarzyska sztuki. — Cel muzeów. — Znaczenie darowizn. — Koszta utrzymania Muzeum narodowego w Krakowie. — Kwalifikacje zarządu i jego dotacya. — Zbiory p. F. Jasińskiego. — Materyalne znaczenie muzeów dla m. Krakowa. — Działalność Muzeum narodowego w ostatnim okresie: Galeria obcych mistrzów, nowe nabytki, lapidarium i wystawy specjalne.

Muzea, powiadają jedni, są cmentarzyskiem sztuki, inni, iż są jej krzewicielami. Tkwi w jednym, jak drugim powiedzeniu sporo przesady.

Zbiór niedostępny dla ogółu, dla żniwiarzy wiedzy, tam gdzie konserwacya pomników sztuki schodzi na plan drugi, tam gdzie giną zabytki, gdzie najwspanialsze tkaniny są paszą i hodowlą moli, gdzie snycerską robotą tuczy się robak, gdzie naiwny kustosz pomaga z całej siły zębowi czasu a ignorancya z indolencją idą w zawody, tam muzeum jest w istocie cmentarzyskiem sztuki. Znam muzeum polskie, w którym włosy Adama Mickiewicza uchodzą za sierść z konia Tadeusza Kościuszki — gdzie w katalogu jako autentyk figuruje tabakiera rzekomo Wita Stwosza, a w rzeczywistości jest marnym falsyfikatem z XIX w. — w którym fajka tegoczesna uchodzi za pamiątkę po Stefanie Batorym, gdzie mundury policyantów szwajcarskich nazwane są ubiorami wojsk polskich a pan kustosz urządził wspaniałym Falcom obstrzyżyny i obniżył ich wartość o 90 % ¹. To jest rzeczywistość prawdziwe cmentarzysko sztuki. Tam plewy mieszają się z perłami, a perły ogień głupoty niszczy; brak kontroli i niedostępność pomagają do utrwalenia martwoty zbiorów i ich zniszczenia.

Lecz muzeum może być regeneratorem sztuki, pielęgnować pomniki, konserwacją rozumną odświeżyć ich wygląd, zestawieniem szeregu zabytków przywołać do życia obraz kulturalny minionej epoki, i kształcić społeczeństwo na wzorach dawnych w pojęciu formy artystycznej; wpajać w szerokie warstwy i podnosić poczucie piękna. Jednem słowem pójść w usługi wiedzy i nauki a spełniać wielką i szczytną misję uszlachetnienia aspiracji narodowych pod względem kulturalnych zadań. Zakupnem lub darowiznami zabytków sztuki retrospektywnej muzeum uzupełnia swoje zbiory t. j. daje nam pełniejszy

¹ Rycina nieobcięta należy do rzadkości, ma też w handlu antykwarskim wartość bardzo znaczną, prawie poczwórną, n. p. rycina Falcka nieobcięta może kosztować 200 K, obcięta 60 K.

obraz przeszłości — natomiast zakupnem nowoczesnej sztuki ma nawiązać nić teraźniejszości z przeszłością i dać nieprzerwalny łańcuch zjawisk, w których typowe dzieła mają mieć znaczenie słupów granicznych.

Stąd jasno płynie wniosek, iż nie każda darowizna może być przyjętą wdzięcznem sercem. Nie każda rzeźba, rysunek, obraz lub artystycznego przemysłu utwór może mieć muzealne znaczenie. Przeciwnie darowizny bezwartościowe i rozmieszczenie ich wśród prawdziwych dzieł sztuki, mogą być darem Pandory, który wprowadzić zdolen całe zawieruszenie pomiędzy kapitałne dzieła, obniżyć poziom, rozdać flagę pospolitości i miernoty po salach muzealnych. Na szczęście Zarząd muzealny rozumie niebezpieczeństwo i unika zeszpecenia swoich zbiorów, sumarycznem wystawieniem tego, co napływa z ofiarności publicznej. Jakież jednak tu trudne zadanie, jak tu odmówić przyjęcia i zrazić ofiarodawcę na przyszłość, który innym razem może zaofiarować przedmiot pierwszorzędnej wartości. Droga zakupna będzie przeto najważniejszym zawsze źródłem zbogacenia zbiorów, bo prawie tylko drogą zakupna można uzupełniać braki i wypełniać luki w zbiorach muzealnych. Znaczniejsze zakupy dzieł sztuki czynią u nas muzea miejskie Lwowa i Krakowa. Nie sędzę, aby muzea miały odgrywać rolę mecenasa sztuki — nie, one mają przedewszystkiem dawać rzetelny obraz rozwoju cywilizacyjnego, a zatem przedewszystkiem powinny zająć przy nowych nabytkach stanowisko więcej retrospektywne, nie kierując się ani chwilowym gustem, ni też bieżącą chwilą walki prądów w dziedzinie sztuk plastycznych. Niektóre z muzeów stawiają zasadniczy warunek zakupna, że dzieła sztuki kupują jedynie po śmierci artysty. Czy i o ile spełniają to zadanie muzea nasze pragnęlibyśmy się nad tem zastanowić, a pozostawiając sobie lwowskie zbiory do późniejszej pogadanki, zajmę się krakowskimi zbiorami.

Niezmiernie ciekawe są wiele mówiące roczne sprawozdania Muzeum narodowego w Krakowie. Tak n. p. budżet muzealny z r. 1905 obracał się w kwocie 75.393 K, budżet Domu im. Jana Matejki dosięgnął 7.132 K, razem 82.525 K. Z zestawienia kasowego widzimy, że gmina m. Krakowa przyczyniła się do utrzymania obydwóch zakładów kwotą najznaczniejszą, bo 37.696 K, subwencje państwowe wyniosły 15.000 K, krajowe 5.000 K, miasta Lwowa 200 K a dochody własne muzeów osiągnęły kwotę bardzo również wysoką, gdyż 24.649 K.

Ofiarność krakowskiej Rady miejskiej godną jest wszelkiego uznania, niemniej ta hojność gminy wynika z dobrze zrozumianego

interesu własnego. Przyjrzyjmy się bliżej cyfrom i znaczeniu poszczególnych wydatków a wnet rozpoznamy doniosłość tych instytucji dla miasta Krakowa i ustrzeżemy się niedoceny lub przeceny ofiarności krak. Rady miejskiej. Otóż w zestawieniu rachunków muzealnych figuruje przedewszystkiem wydatek 30.000 K za lokal w Sukiennicach. Pominąwszy, że suma ta jest zbyt wysoką, zadziwia, że w wydatkach muzealnych spotykamy wydatki na rzecz gminy m. Krakowa, jak urządzenie kaloryferów i wodociągów 3.438 K 32 h. Wszak takie wydatki należą już do właściciela budynku a przez gminę posesyonatkę właściwie poniesione być winny. Prywatni właściciele domów liczą czynsz razem z centralnem ogrzewaniem skoro tylko takie istnieje, tu przeciwnie Muzeum płaci Gminie osobno za opał (wraz z Muzeum hr. Czapskich 2.300 K). Nadto wytknąć należy, że strumienie wody deszczowej, które przez rok cały spływają po ścianach muzealnych i niszczą rozwieszane tam zabytki, nie bardzo świadczą o gorliwości odnośnych organów miejskich względnie Gminy w spełnianiu obowiązków właścicielki gmachu.

Jeżelibyśmy pierwsze dwie kwoty, dotyczące najmu lokalu t. j. 33.438 K 32 h potrącili od ogólnej sumy wydatków, otrzymamy właściwe wydatki muzealne 42.955 K.

Przejdźmy do następnej znaczniejszej pozycji wydatków administracyjnych. Prawdziwe unicum, nie mające równego sobie chyba w całej zachodniej Europie — to dotacja personalu muzealnego — tej wielkiej instytucji narodowej, której zasobne zbiory reprezentują już dzisiaj milionową wartość. Od dyrektora począwszy, a na ostatnim pomocniku służącego skończywszy, t. j. cały personal tych stróżów drogiej nam skarbu kultury polskiej jest pod względem finansowym jak najgorzej uposażony. Biurokratyczny pogląd na działalność uczonego lub artysty przynosi zawsze tylko szkodę rzeczy samej, czyni ujmę temu, który pragnie zająć stanowisko mecenasu sztuki, a niema zrozumienia, że rozwój nauki i sztuki idzie tylko w parze z dobrobytem. Dziwna to zaprawdę sprawa. Oto jest martwe muzeum przemysłowe w Krakowie — prawdziwe cmentarzysko muzealne, a dyrektor jego pobierał pensję 4.320 K, asystent 2.400 K. — Tu przeciwnie kipi życie, wre praca, muzeum ciągle rozszerza swoje ściany, zatrudnia mnóstwo ludzi, ściąga tysiące frekwentantów z Polski całej i zagranicy, jego zarząd składa się z wybitnych naukową działalnością ludzi, wyposażonych znakomitą myślą organizacyjną, pracujących z całym poświęceniem od rana do nocy dla instytucji, a wynagrodzeni, jak

kanceliści lub woźni muszą wlec marny żywot i szukać chyba sposobności, by opuścić te niewdzięczne posady, dla których prócz obietnicy Gmina nie znajduje realnego uznania. Szczęśliwą należy nazwać rękę p. prezydenta miasta, który umiał dobrać tak właściwych ludzi na te stanowiska bez chleba — a tak odpowiedzialne. Dość powiedzieć, że płaca kustosa w Muzeum Czapskich wynosi 1.600 K, a w Domu Matejki 960 K — gorzej niemal niż pacholka miejskiego!

Nawołujemy więc do zmiany systemu oszczędnościowego w stosunku do tyle odpowiedzialnych stanowisk, na które zwrócone są oczy całego wykształconego społeczeństwa.

Słyszeliśmy opinię kół miarodajnych, że Gmina nie może traktować inaczej tych panów, tylko tak jak innych swoich funkcyonaryuszy gminnych. Pominawszy, że ten biurokratyczny punkt widzenia nie odpowiada faktycznemu stanowi rzeczy — dość wspomnieć o martwym Muzeum przemysłowem, Gazowni, Elektrowni, Talardzie miejskim itp. — przy których to zakładach dyrektorowie i urzędnicy ich znacznie lepiej są płatni, to trzeba przede wszystkim stwierdzić, że gdyby nawet wziąć cały zastęp najdzielniejszych urzędników magistratu i kazać im napisać dzieło jak n. p. p. Gumowskiego: »Medale Jagiellonów«, to prędzejby wszyscy zaświecili łysiną z wysiłku, niż zdobyli się na napisanie dzieła objaśniającego wyśmienicie zbiory i użyczającego im niejako żywego znaczenia naukowego. Postawienie na równi tych dwóch kategorii urzędników miejskich jest w zupełności niewłaściwe, bo wymagania społeczeństwa całego są nierównie wyższej miary wobec funkcyonaryuszy muzealnych, niż magistratu. Urzędnik muzealny musi pracować naukowo, chcąc sprostać zadaniu swego stanowiska i to na polu najkosztowniejsem, bo historii sztuki, gdzie podejmowanie kosztownych podróży, sporządzanie zdjęć fotograficznych lub technicznych, odlewów i t. p. połączone jest ze znacznymi kosztami. A dalej urzędnik muzealny musi ze względu na dobro instytucyi, której służy utrzymywać stosunki towarzyskie, bo tą drogą napływają dary dla Muzeum. Niemniej wchodzą tutaj w grę wydatki reprezentacyjne, o których się ani śni urzędnikowi Magistratu, jak należenie do wszelkich naukowych i artystycznych towarzystw, udział we wszelkich akcyach społecznych, jak n. p. w składkach na cele artystyczne i naukowe i t. p. Sprowadzenie więc urzędników magistrackich a funkcyonaryuszy Muzeum narodowego do jednego mianownika nie da się utrzymać.

Rozumieli tę sprawę dobrze Medyceusze lub nasi królowie Zy-

gmuntowskiej epoki, gdy hojnie nagradzali uczonych i artystów — w wieku złotym — nie mają dosyć zrozumienia ludzie, którzy ster dzierżyli dotąd w Gminie. Ufajmy, iż prezydent obecny miasta, który posiada tyle niezwyklej inicjatywy i energii w przeprowadzeniu swoich zamysłów — wglądnie w tę sprawę i usunie złe istotne, które jest stałą krzywdą wyrządzaną zasłużonym »nie urzędnikom«, lecz ludziom nauki, wiedzy i szczerzej pracy — i tej licznej służbie muzealnej, która wiernie stoi na straży drogocennych zbiorów, a niejednokrotnie nawet aktywowania swego doczekać się nie może. Winna ona być bezsprzecznie lepiej sytuowaną od pacholików roznoszących akty miejskie. — Tymczasem tak nie jest — i oby takie traktowanie sprawy nie pociągnęło za sobą kiedy fatalnych następstw.

Największą dźwignią rozwoju każdego muzeum jest jego zarząd, jeżeli rozumie swoje zadanie i jest fachowo uzdolniony. Nicby nie pomogły tysiące wyłożone na muzeum, gdyby kierownictwo spoczywało w rękach nieudolnych, niewłaściwych. Że muzeum tak spotężniało, że się stało instytucją takiego znaczenia i doniosłości — to jest dziełem i zasługą pracy lat ostatnich obecnego Zarządu.

Smutny los spotkał sprawę zakupna zbiorów p. Feliksa Jasieńskiego, bo przepadła. Wstawione w preliminarzu przez Radę miejską, 5.000 K na zakupno zbiorów pozostały jako oszczędność z r. 1906 w kasie miejskiej. Że kupno nie doszło do skutku, winą to po części i Rady miejskiej, która stanęła na obiektywnym stanowisku korporacyjnego znawcy i zamiast wysłuchać opinii miarodajnej, wołała w tym względzie dogodzić własnemu rozumieniu o rzeczy. W szczególności odpowiedzialność za niedojście do skutku zakupna spada na tych pp. radnych, którzy zwiedzając zbiory, przekroczyli własną kompetencję, zajmawszy niewłaściwe stanowisko surowego rzeczoznawcy.

Zbiory p. Jasieńskiego mimo przeciwnego zdania owych »wszystkoznawców« pozostaną pierwszorzędnej wartości dla sztuki polskiej, a jego zabytki zagraniczne doniosłej wagi dla sztuki wogóle. Takiego zbioru rycin lub takich japońskich zabytków niema drugich w Polsce. O tem nie ma co mówić.

Celem wykazania materialnego znaczenia, jakie z posiadania bogatych muzeów płynie dla ubogiego w zakłady przemysłowe miasta trzeba koniecznie zastanowić się nad kwestyą, czy i jakie finansowe zyski płyną z tego źródła dla mieszkańców Krakowa.

Otóż przedewszystkiem czytamy w zestawieniu rachunkowem za, r. 1905, iż Gmina m. Krakowa pobiera z Muzeum narodowego: za

czynsz, opał, oświetlenie, kaloryfery i wodociągi lwia część dochodów muzealnych, bo 35.782 K 55 h. Następnie utrzymanie liczego personelu, który żyje naturalnie nie gdzieindziej, jak w Krakowie, kosztą straży, umundnowania i t. p. osobiste wydatki kosztują 15.574 K 55 h. Zakupno dzieł, konserwacja, urządzenia, które wykonuje się przeważnie siłami miejscowymi 24.036 K 46 h. Pieniądz zatem wydany przez Zarząd Muzeum przysparza Gminie dochodów, wychodzi tylko w drobnej części z miasta i przyczynia się do ożywienia sztuki, rękodzieł i handlu.

Nadto nie trzeba zapominać, że kwota około 19.000 K, którą uścili zwiedzający w kasach muzealnych — pochodzi prawie wyłącznie od przejezdnych, którzy stanowią główny kontyngent frekwentantów, a jest to tylko drobny procent tego, co w Krakowie pozostawili po hotelach, handlach, teatrach, restauracjach itp. Są to bezpośrednie dochody mieszkańców miasta, nie dające się określić cyfrą, a których część procentowa w formie podatków gminnych i akcyzy sownie gminie się wracają. Czyżby wśród zawieruchy politycznej Królestwa przybyło do naszego miasta 20.000 przelotnych jego mieszkańców — gdyby Kraków nie dawał rozrywki umysłowej w Muzeach, teatrach i t. p. A zostawili oni tutaj nie setki, ale całe krocie rubli, przyczyniają się mimowolnie do podniesienia miasta. (W roku 1906 sprzedały zakłady Muzeum narodowego 41.620 biletów wstępu — rezultat wprost zadziwiający).

Te uwagi nasunęły się sprawozdawcy, gdy przyjrzał się dokładnie cyfrom sprawozdania.

Rzucmy jeszcze okiem na działalność Zarządu. Za najważniejszą zdobycz z r. 1905 uważam pozyskanie bogatych zbiorów p. Heleny z Dąbczańskich Budzynowskiej ze Lwowa, z czasem mają one przejść w spadku na rzecz Muzeum narodowego. Również ze Lwowa otrzymało Muzeum 39 obrazów od ś. p. Edmunda Łozińskiego, które wraz z innymi darami stały się zawiązkiem galerii obcych mistrzów, pomieszczonej w Muzeum hr. Czapskich, a liczącej już obecnie sto kilkadziesiąt obrazów i rzeźb. Nie posiada ona jeszcze wybitnego znaczenia, ale już może posłużyć naszej publiczności za vademecum w zaznajamianiu się z dziełami sztuki obcej — zwłaszcza w połączeniu ze zbiorami Muzeum XX. Czartoryskich. Ciekawy widz znajdzie w niej n. p. Madonnę Vivariniego, obrazy Allesandra Magnasco, głowę Van Dycka, krajobrazy Longhiego, portret własny Canowy w białym marmurze i dwa śliczne portreciki Niclasa Maasa i inne cenne dzieła

włoskiej, holenderskiej lub niemieckiej sztuki. Trudnoby nam było wyliczać wszystkich ofiarodawców — bo liczba ich wypełnia 10 stronnic spisu — znać jaką sympatią wielką otacza społeczeństwo polskie tę instytucję, która w niedługim już czasie zajmie godne siebie miejsce na pokojach królewskich Wawelu. W roku 1906 nabyło Muzeum dwa portrety własne artystów: Olgi Boznańskiej oraz Stanisława Wyspiańskiego, są to nabytki istotnie pierwszorzędnej i trwałej wartości. Ale ponad nie może przyjdzie stawić »folwark« Chełmońskiego, który w każdym muzeum wielkoświatowem zająćby mógł najpocześniejsze miejsce. Tyle w tem dziele prawdziwego artyzmu, wspaniałego odczucia natury, taka maestria technicznego wykonania, iż należy on wogóle swem znaczeniem do arcydzieł sztuki europejskiej. Dodajmy, że na takie zakupno Muzeum narodowe mogło się zdobyć jedynie dzięki zapisowi ś. p. X. Jachimiaka z Ameryki.

Zdawałoby się, że stare, zbutwiałe ozdoby architektoniczne, wyrąbane ze zburzonych murów starych domów krakowskich lub restaurowanych kościołów, fragmenty rzeźb kamiennych, słupów, nadproży, gźemsów i t. p. szczątków dawnej sztuki krakowskiej na nic się nie zdadzą. Wybredny smak, odczucie form, ujęcie tych fragmentów właściwe i trafne rozmieszczenie pokazały, jak one potrafią nabrać nowego życia i otoczyć się poezią zamierającego piękna. Z nich to bowiem urządził kustosz p. Pagaczewski prześliczne *lapidarium*, na kształt tych, jakie mają Cluny w Paryżu, a muzeum germańskie w Norymberdze. Gdy przejdiesz bramą obok szmerzącej wody, wybiegającej z lwiej paszczy do basenu ze złotymi rybkami — wita cię zdala sterczący obelisk z XIV w., to kamienny pinakiel ze szczytu Maryackiego kościoła, opleciony zielonym bluszczem. Bliżej ciebie brama gotycka z XV w. ukwieciona roślinnością. Wzdłuż pałacyku Czapskich renesansowa kolumnada, a pod przymurkiem ogrodzenia oparte stoją szeregi kartuszków, zwieszają się wspaniałe kamienne festony. Wszędzie stosownie dobrane wychylają się wśród tego barwne kielichy kwiatów, pną się powoje, rosną puszyste trawy i błakają pawie. Tuż przy werandzie stary, zmórzały krzyż z rozpiętym na nim Zbawicielem świata — podnieca ten dziwny a piękny wygląd, jakby zakłętego ogrodu o niesłychanym uroku i mistycznym nastroju.

Urządzanie peryodyczne specjalnych wystaw, podobnie jak to praktykują muzea zagraniczne, mające oddziaływać na społeczeństwo w celu podniesienia smaku i zaufania we własne siły — należy do ważnych zadań zarządów muzealnych. W roku 1905 widzieliśmy wy-

stawę retrospektywną drukarską i wystawę nowożytnych tkanin i wyrobów ceramicznych, obie one były doniosłego znaczenia i cieszyły się ogólnem uznaniem.

Leonard Lepszky.

W sprawie dróg wodnych.

Najpierw parę słów w sprawie kanału Dunaj-Wisła-Odra.

Dzienniki wiedeńskie z d. 13 września 1906, opisując podróż ministra handlu d-ra Forsta, do Moraw i Galicyi, informują czytelników o mowie wypowiedzianej w Przerowie podczas jakiegoś bankietu. Minister zapewnił, że w budżet w r. 1907 będzie wstawioną odpowiednia kwota na kreowanie ekspozytury budowy dróg wodnych w Przerowie, która ma rozpocząć badania co do ewentualnego urządzenia zbiorników w dorzeczu Bystrzycy. Z tego widać, w jakim stanie znajduje się sprawa budowy dróg wodnych, jeżeli do dziś dnia nie załatwiono kwestyi już nie spornych, co do ewentualnego urządzania systemu śluz czy też podnośni mechanicznych, lub lokalnych zmian w prowadzeniu trasy, ale tak zasadniczych, jak zasilanie kanału wodą.

W miesiąc później pan minister skarbu (Korytowski), w exposé wygłoszonem d. 12 października w Izbie posłów zapewniał o przykrości, jaką rządowi sprawia to, że w r. 1907 nie będzie mógł jeszcze przystąpić do rozpoczęcia robót około dróg wodnych. Chodzi tu, rzecz prosta, o kanał Dunaj-Wisła-Odra, który w programie robót ministerstwo handlu poleca pierwszy do wykonania. Powody opóźniające akcyę powtarza każdy przedstawiciel rządu, mniej lub więcej dobitnie, tłumacząc brakiem dostatecznych studyów. Naturalnie nikt w to nie wątpi, lecz przecież rząd mógł już od chwili wejścia w życie ustawy o budowie dróg wodnych załatwić stanowczo wszystkie kwestye sporne; czasu do namysłu było dosyć, bo całych 5 lat, tem więcej, że hydrotechniczne biuro ministerstwa handlu istnieje od r. 1893 i od tego czasu zajmuje się studyami nad kanałem Dunaj-Wisła-Odra, a na przestrzeni Wiedeń Bogumin miało już kilka dawnych gotowych projektów. Położenie trasy na przestrzeniach, gdzie przewiduje się założenie śluz zostało już dawno ustalone przy komisjach politycznych i obchodowych, nie ustalono jedynie kierunków przekroczenia działu wód między Beczwą i Odrą-Wisłą, bo decydujące czynniki nie mogą się pogodzić, jedni chcą stosować śluzy, inni podnośnie mechaniczne.

W kwietniu 1903 rozpisano konkurs międzynarodowy na system podnośni mechanicznej, przyznając pierwszą nagrodę 100.000, — nagrody przyznano, członkowie jury zostali udekorowani i na tem się skończyło.

Spokojna ludność krajów reprezentowanych w Radzie Państwa nabiera coraz silniej przekonania, że rząd zakpił sobie z niej w sposób trochę nieprzyzwoity.

Znany poseł dr. Steinwender omawiając w parlamencie sprawę upaństwowienia oświadcza, że zgadza się z tem, bo *die Nordbahn Verstaatlichung räumt diesen Schwindel mit dem Donau-Oder Kanal aus dem Wege.*

Przed sześciu laty zapalono się do nowej sprawy budowy dróg wodnych, podobnie jak i do kolei alpejskich, która dla krajów południowych miała być rekompensatą za obiecane prowincjom północnym roboty wodne; w lutym 1901 wniesiono kilkadziesiąt wniosków nagłych i memoriałów o przyspieszeniu budowy dróg wodnych, a tej samej treści wnioski posłów d-ra Beurlego i Dierzera wniesiony 22 lutego 1901 w Izbie posłów podpisało 238 deputowanych. Swoją drogą i otrzeźwienie przyszło i kiedy ministerstwo handlu wypracowało program robót, powychodziły na wierzch różne cele partyjne i nagle wystąpili różni przeciwnicy dróg wodnych.

W Niemczech agraryusze zwalczali ostatnie przedłożenie kanałowe, ale tylko dlatego, iż rząd nie chciał im podnieść pewnych cel, a kiedy je otrzymali opozycja znikła i ostatnia ustawa niemiecka z 1 maja 1905 o budowie nowych dróg wodnych już weszła w życie. U nas inaczej, ustawa z 11 czerwca 1901 stała się prawomocną, ale oponenci, bez wytkniętego kierunku mnożą się z dnia na dzień; o kanałach dyskutuje się przy każdej sposobności, tak przy przekroczeniach kosztów budowy kolei alpejskich, skandalach przy budowach portowych w Tryeście, jak i przy omawianiu reformy wyborczej i upaństwowieniu kolei północnej.

Szczególnie z powodu olbrzymich przekroczeń na kolejach alpejskich przestrzegano rząd, aby nie przystępował do budowy bez należytych studyów, na podstawie różnych dorywczych dat¹, o ile nie

¹ Coraz nowe stawiane warunki co do zmian projektu, prawdopodobnie podniosą znacznie kosztą budowy, a że podniesienie opłat przewozowych nie jest pożądanem, należy zmniejszyć kapitał budowy przez zredukowanie albo 1) powyższych kosztów albo 2) czasu budowy. Szczególnie co do 2) to w przewidywanym ustawą okresie budowy interkalarya dochodzą do 30%

chce się narazić po raz drugi na podobnie niemiłą niespodziankę. Podczas dyskusji nad upaństwowieniem kolei północnej twierdzono powszechnie, że kanał konkurując z koleją północną będzie prosperował jej kosztem, a w każdym razie o ile miałyby się procentować olbrzymi kapitał nakładowy, przewóz na kanale będzie droższy niż na również konkurującej kolei¹. Zarzuty te nie wytrzymują najsłabszej krytyki, gdyby kolejom po ich zaprowadzeniu przypadł tylko ówczesny ruch drogowy i rzeczny, nie stanęłyby na tym stopniu świetności i rozwoju na jakim stoją, a zauważyć trzeba, że z obniżeniem kosztów przewozu ruch wzrasta nieproporcjonalnie, lecz w progressyi bardzo silnej. Mówią wprawdzie, że gdyby kolej północna zadowolniła się 5 % od akcyi, mogłaby zniżyć cenę przewozu, to prawda, ale ze zniżką absolutnie nie mogłaby zejść do 40—50 %, jak na kanale, tem więcej nie może tego zrobić obecny zarząd, mając tak olbrzymie wydatki do pokrycia, a przytem, biorąc pod uwagę konieczne inwestycye, łatwo się przekonać, że czysty dochód z przewożonej tony towarów znacznie spadnie.

Na liniach głównych kolei północnej pobierano w r. 1904 według dat urzędowych za przewóz 1 tonkilom. 3.619 hal., kosztu własne przewozu wynosiły 2.310 hal., z czego różnica przedstawia nadwyżkę 1.309 hal. jako czysty dochód. Na kanale Dunaj-Odra-Wisła przewiduje się pobory od tonkilom. 2.112 hal., kosztu własne 1.174 hal., czysty dochód 0.938 hal. Gdyby prawdą było, że dochód czysty rośnie wprost ze wzrostem ruchu, to każdy zarząd kolei miałby w rękę podniesienie ruchu przez redukcję kosztów przewozu. Jednak tak nie jest,

kosztów całkowitych. Przy 4-letnim okresie budowy i całkowitych kosztach 310 milionów mogą być zredukowane do 54 milionów. Gdyby jednak warunki państwowo-finance nie pozwalały na to, można oddać budowę w przedsiębiorstwo prywatne, przez co odpadną tak olbrzymie czynsze interkalarne. Prywatne konsorcjum potrafi budowę taniej wykonać i powyżej wymieniony deficyt jeszcze bardziej zredukować niż administracya państwowa związana krępującymi formami biurokratyzmu.

Również po wykończeniu kanału przedsiębiorstwo prywatne potrafiloby lepiej rozwinąć ruch na nowych drogach, w sposób odpowiadający celowi, aby zaspokoić interesa tak swoje, jak i państwowe.

¹ Niektórzy twierdzą, że o ile ruch rozwinie się bardzo znacznie, raczej założyć osobny trzeci tor towarowy niż kanał, tak, ale te tory będą służyły jedynie dla ruchu towarowego, a przy tym samym kapitale zakładowym, wobec małych chyżości zdolność przewozowa toru kolejowego i taboru maleje, przez co i urządzenie całe nie pracuje ekonomicznie, przewożąc w danych okresach rachunkowych mniejszą ilość tonkilometrów.

bo o ile ze wzrostem ruchu ułamek kosztów zarządu przypadający na tonę maleje, o tyle inne wydatki przypadające na tonę i kilometr nie ulegają redukcji, owszem powiększają się o procent dodatkowego kapitału na sprawienie taboru i nowych urządzeń stacyjnych z powodu powiększenia ruchu. Nadwyżka ta przypada głównie na towar niżej taryfowany, wobec czego pobory znacznie opadają, przy nieznacznem obniżeniu własnych kosztów ruchu, dlatego zarządy kolejowe z uwagi na utrzymanie raty mają prawo bronić się przeciw obniżaniu opłat towarów nizko taryfowanych.

W tem leży właśnie wartość ekonomiczna naszych dróg wodnych, że jeszcze przy 4% kapitału nakładowego przewidywane koszta własne na 1 tonkilometr wyniosą 1·174 hal., w porównaniu do 2·310 hal., przy nowym ruchu 1·697 milionów tonkilometrów. Cyfry te są wypośredkowane z założenia, że po 8—10 latach ruch na drogach wodnych będzie przypuszczalnie równy obecnemu przeciętnemu ruchowi na liniach kolei północnej (2·047 milj. tkm. w r. 1904 na liniach głównych).

Podobne warunki istnieją w północno-francuskim zagłębiu węglowem. Na kanale St. Quentin, który przewozi przeważnie (70%) węgiel, przewieziono w 1904 roku 6,000.000 ton towaru, zaś nasza kolej północna na linii głównej wykazuje w tym czasie 1,972.000 t. na wszystkich liniach 6·5 miliona ton, a na najruchliwszym szlaku Bogumin-Wiedeń 5 milionów ton, — z kanałem St. Quentin konkurują przytem trzy wielkie linie kolejowe! Ta droga wodna łącząca francusko-belgijskie zagłębie węglowe ze Sekwaną i Paryżem jest wiernym obrazem kanału Dunaj-Odra-Wisła. Dlaczegożby więc nie miał się rozwinąć ruch na naszym kanale w podobny sposób, tem więcej, że w ostatnich latach rozpoczęto energiczniej eksploatację węgla z całego zagłębia dąbrowsko-jaworzniańskiego w W. Ks. Krakowskiem, obejmującego obszar przeszło 300 klm², a nie należy zapominać, że reszta Austrii jest niezwykle ubogą w węgiel i Styrya, Kraina, Karyntya, Istria węgiel i koks sprowadzają z Westfalii, Saarbrücken i Anglii. Mnożąc tych 6 milionów ton węgla przez średnią odległość transportu na kanale 100 klm. otrzymamy już 1200 milionów tonkilometrów samego węgla. Trudno tu wdawać się w wyszczególnianie różnych towarów, których nizka wartość nie wytrzymuje wysokich taryf, jak płody rolnicze i kopalniane, drzewo, piasek, szóter, faszyny, — a które są specjalnością Galicyi — tak, że ostatecznie nie trudno będzie uzupełnić powyższe 1200 milionów do 1700 milionów.

Projekt kanału Wiedeń-Kraków podnoszono już kilka razy w ostatnich 40 latach, zawsze upadał, bo czynniki miarodawcze obawiały się czy w Austrii można sobie wogóle na coś podobnego pozwolić. W r. 1873 prywatne konsorcjum starało się o pozwolenie na budowę kanału Wiedeń-Bogumin. Sfinansowaniem przedsięwzięcia miał się zająć Anglo-Bank, przewidując świetne wyniki tak rentownej drogi handlowej — niestety, obawiająca się konkurencji kolej północna miała silniejsze wpływy i koncesyi nie udzielono. W r. 1883 firma Redlich i Berger wniosła ofertę na budowę powyższego kanału dla łodzi 400 t., za cenę ryczałtową 45 milionów guldenów — zaś w r. 1895 Hallier i Dietz dla łodzi 600 t. obliczali już kosztą budowy na 72 milionów guldenów. Koszta te, z powodu ogólnego podrożenia podnoszą się z roku na rok o 5-7%. Ostatecznie rząd może zacząć od budowy części kanału między Wiedniem a Boguminem, a wyniki eksploatacyjne prawdopodobnie prędko przekonają i najzagorzalszych przeciwników tej drogi wodnej o jej znaczeniu i wartości.

Na zakończenie jeszcze słów kilka. Program wielkich robót inwestycyjnych obejmuje w myśl ustawy z 11 czerwca 1901 także przeprowadzenie regulacji rzek, tworzących jednolitą całość z projektowaną siecią dróg wodnych. W Czechach roboty te prowadzone są systematycznie i rozwijają się w całej pełni; obudowa potoków górskich, zalesienie stoków i budowa licznych zbiorników w źródłowych dorzeczach Łaby, Wełtawy, Sazawy i Aupy postępuje szybkim krokiem. U nas wprawdzie roboty regulacyjne postąpiły od r. 1904 tak znacznie, że w krótkim stosunkowo czasie zrobiono więcej, niż w ostatnich dziesiątkach lat — lecz cóż znaczy tych razem wziętych na wszystkich rzekach kilkaset kilometrów obustronnych, tam faszynowych i kilkadziesiąt kilometrów przekopów, kiedy o głównej przyczynie klęsk, i źródłowych obszarach rzek nie pomyślano, przepraszam — rozp. minist. do powyższej ustawy wspomina o tem, o obudowie potoków górskich w dorzeczach rzek regulować się mających, ale niestety, nic się nie robi.

Czeska komisya regulacyjna rzek wydała w roku zeszłym wspańnię, bogato illustrowane sprawozdanie z czynności w ubiegłym dwuleciu, objętości kilkuset stronic druku i rzeczywiście może być dumną z rezultatów swych prac. U nas inaczej, nawet wiadomości o wykonanych robotach publicznych dostają się do ogółu tylko dzięki niedyskrecyi prasy.

Pessimistyczne zapatrywania na wyniki i postęp robót około re-

gulacyi rzek galicyjskich, jak i na kwestyę budowy dróg wodnych podziela z mieszkańcami Galicyi i Wydział Krajowy w sprawozdaniu przedłożonem Sejmowi w listopadzie 1905 roku (*Słowo Polskie* z d. 7 listopada 1905 r. Nr. 518). Nie można jednak powiedzieć, aby wina zbyt wolnego postępu robót była zawsze po stronie władz centralnych, znaczną część tej winy ponoszą i nasze krajowe władze, szczególnie jeżeli chodzi o szybkie załatwianie spraw; — przytem składają się na to — brak prac przygotowawczych obejmujących zrealizowanie ogólnego programu, brak tego planu ogólnego, brak sił fachowych, a przede wszystkim ciężkie funkcyonowanie aparatu biurokratycznego. A że warunki galicyjskie tak dziwnie nas odbijają od braci z pod innych zaborów, zawdzięczać należy sławnemu systemowi austriackiemu, stosowanemu w pierwszych latach porozbiorowych.

Rząd austriacki, zagarniając Galicyę postanowił ten kraj za każdą cenę zniemczyć, zaś, aby tego dokonać chwycił się głupiego sposobu, który mógł rzeczywiście powstać tylko w głowie józefińskich ministrów, zubożenia ludności doszczętnie, zabrać jej to, co posiada i nie pozwolić aby przemysłem i handlem zdobyła sobie możliwe warunki bytu. I to ostatnie udało się rządowi wymienienie, bo po stuletniem ocknieniu nie łatwo nam dorównać postępom zachodnich krajów, tem więcej, że mimo wszystko warunki u nas o wiele gorsze niż gdzie indziej, a restytucyi żadnej. — Ale co do pierwszego, jak raz pisał *Przegląd Zdrowy*, rząd od początku doświadczył przykrych porażek, germanizatorowie stali się żarliwymi patryotami polskimi, a Polacy — podporą tronu.

Ak.

Z nowości geograficznych.

Wyprawy do bieguna.

Już tysiąc lat mija, jak wyruszyły z Europy pierwsze wyprawy do bieguna. Była to zwykła wędrówka Wikingów, którzy w XI w. na małych, żaglami i wiosłami pędzonych łódkach szukali w Grenlandyi nowych siedzib. Anglicy podczas swych rozbójniczo-odkrywczych wypraw dotarli wprawdzie do krajów podbiegunowych (J. Cook), atoli ani te w XVIII wieku, ani w XIX wieku sporadycznie, co 10—20 lat głównie przez Anglię, Austryę i Francję podejmowane wyprawy nie

mogły przynieść zadowalniających wyników. Brak bowiem doświadczenia, odpowiednich środków komunikacyjnych, przyrządów do badań naukowych, a nadewszystko może brak jedności w działaniu i systematyczności niweczył wszystkie wysiłki jednostek. Wiadomo, że wysiłki te, to czyny niemal heroiczne, stąd też otaczała tych ludzi aureola bohatera-męczennika w imię nauki. Celem tych wypraw było, aby dojechać do bieguna; wyprawiano się zaraz wczesną wiosną, by jak tylko spłyną lody na morzu, wdzierać się morzem jak najdalej, a przed zimą jeszcze wrócić, gdyż okręt zamrożony, ściśnięty lodami, ulegał zniszczeniu, często pękał i stawał się wspólnym grobowcem dla całej załogi. Naturalnie, że tym sposobem podróżowania nie możnaby się nigdy dostać do bieguna, bo na przebycie drogi mniejwięcej 2.000 km, nie rachując, ile czasu potrzeba na odszukiwanie drogi, na lawirowanie wśród pływających lodów i na powrót w przeciągu 70 dni letnich, to trochę za trudno.

Punktem zwrotnym w tym względzie były czasy głośnych wypraw Nansena. Odtąd trzymają prym w tych wyprawach narody skandynawskie. Doświadczenie, oparte na ofiarach z życia tylu podróżników i studia glacyologiczne nauczyły wiele. Obecnie urządza się te wyprawy na kilka lat. Najważniejszą kwestyę »chleba« ułatwiają niezmiernie wszelkiego rodzaju essencye, konserwy i ekstrakty. Wydoskonalone przyrządy naukowe i środki komunikacyi, zachęcają do badań naukowych, a od wielu chorób i zniechęcenia broni w praktyce zastosowany antialkoholizm. Z góry oznacza się na dalekiej północy kilka miejscowości, jakby składnice, do których mogłaby się wyprawa udać w razie potrzeby. Umówione bowiem wielorybniki — od których się roi morze podbiegunowe w miesiącach letnich — mają tutaj, przy okazji połowu za wielorybami, co roku przywieść i zostawić pocztę z Europy, oraz nowe zapasy węgla, prowiantów i świeżych lekarstw. Podróżnicy znowu, zabierając te zapasy, zostawiają tutaj listy i raporty, którymi za pośrednictwem tych wielorybników dają znać światu o losie swej wyprawy. Naturalnie, że w ten sposób nie rok już, ale kilka i kilkanaście lat można przebywać wśród lodów — o ile zdrowie służy — bez obawy o niedostatek lub brak opału. W razie nieszczęścia znowu, urządza okręt stacye sygnałowe, z dokładnemi wskazówkami, gdzie szukać nieszczęśliwych. Również zamarznięcie okrętu — po nabytem doświadczeniu i studiach nad wędrówką lodowców — nie jest połączone z tak wielkiem niebezpieczeństwem, jak dawniej, bo okręty zaopatrzane odpowiednio do żeglugi pomiędzy lodami, nie lękają się już

zwyczajnego ciśnienia marznącej wody, owszem zima ta, czas mitręgi dla dawniejszych podróżników, obecnie staje się czasem równie gorących wypraw. Bo gdy okręt zamarznie, jedna część załogi zaczyna zaraz badania na miejscu, druga zaś upatrzywszy dogodną pozycję w odległości kilkudziesięciu lub kilkuset kilometrów od okrętu, przenosi tam największą część swych zapasów oraz instrumenty naukowe i buduje tutaj rodzaj schroniska (z kamieni lub drzewa i miedzi, jeśli dla badań magnetycznych) a i pracownię naukową zarazem. Jest to też punkt zborny dla wszystkich wycieczek. Stąd dopiero na saniach, ciągnionych przez psy, rzadziej pieszo, wyjeżdżają podróżnicy partyjami na kilkumiesięczne nieraz wycieczki, wydzierając lodom te tajemnice, jakie dotychczas ukrywała przed okiem śmiertelnika niedostępna natura. A gdy lody zaczął puszczać i pozwolą okrętowi nieco swobodniej się poruszyć, jedzie on pomału do umówionej składnicy, zostawia tutaj listy do Europy, zbiory zoologiczne, kartograficzne, i raporty o uczynionych badaniach, zabiera świeże prowianty i znowu wraca między śniegi i lody. Dopiero gdy nadejdzie czas powrotu do Europy, wysypuje się na lodzie długą drogę piaskiem, aby lód prędzej stajał, i okręt skoro tylko pękną lodowe więzy, wraca do żyjącego świata. Bo gdyby po oznaczonym terminie nie wrócił, zaraz organizują w Europie wyprawy ratunkowe, które na mocy otrzymanych w ostatnim roku — za pośrednictwem wielorybników — raportów, szukają podróżników; jeśli w oznaczonym czasie nie wrócili, zapewne musieli uleść jakimś nieszczęściu.

Oto mniej więcej typ ostatnich wypraw podbiegunowych.

Ale ten typ nie jest znowu tak bardzo szablonowym, gdyż pomysłowość ludzka idzie tutaj równorzędnie z najnowszymi wynalazkami i coraz nowymi ofiarami życia ludzkiego. Andrée chciał balonem dostać się do bieguna, a dziś wznoszą w Szpicbergu tablicę z napisem, że 2. VII. 1897 wznosił się z tego miejsca balonem, i do dziś dnia nie wiemy, gdzie się znajduje; on czy jego zwłoki. Niezrażony losem Andréego aeronauta Marcillac chciał iść taką, jak i on drogą. Sądził, że nie ulegnie temu samemu losowi, gdyż zapomocą telegrafu bez drutu będzie dawał znać o sobie, zarówno jak i Wellman, który chciał w r. 1906 olbrzymim balonem (pojemności 224.000 m³) zaopatrzonym w dwa motory o sile 25 i 50 koni wznieść się ze Szpicbergu. Drogę (1.020 km.) do bieguna obiecywał sobie odbyć w 10 dniach. Niestety! Telegraf bez drutu zawiódł. Z powodu bliskości bieguna magnetycznego, telegraf bez drutu nie chce funkcjonować. Przecież

dopiero za pośrednictwem tych składnic — o których wyżej — i wielorybników dowiedzieliśmy się, że porucznik Peary¹ (wyjechał w lipcu 1905 wschodnim brzegiem Grenlandyi na północ) depeszował do Nowego Yorku — bez drutu — ale ani jedna depesza nie doszła!

W r. 1906 w lipcu, wyprawił się pod biegun Michelsen, aby zbadać, czy tam koło bieguna jest ląd stały, czy też tylko łańcuch wysp. Wskazuje na to prąd morski, biegnący wzdłuż północnego brzegu Syberyi, a nadto osobne studia nad przypływem i odpływem morza w tamtych okolicach, oraz lodowce, napływające ze samego bieguna. Obecnie bawi Michelsen na wyspach podbiegunowych półn. Ameryki, a w r. 1908 z wiosną wyruszy w trzy sanie (z kraju Banka) do bieguna. Wróci więc za dwa niespełna lata, i do tego czasu nie obiecuje dać o sobie żadnej wiadomości.

Isachsen, sławny kartograf, wybiera się do Szpicbergu, by cały ten kraj przejść wzdłuż i wszerz celem zdjęcia map. H. Arktowski wystąpił z najnowszym wynalazkiem: automobil zastosowany do jazdy po lodach i już układa się w Londynie o wyprawę do bieguna południowego. Okręt ma zawieść wyprawę do 78° poł. szer., resztę zaś drogi 1.300 km. spodziewa się odbyć w 9 dniach na trzech automobilach. Jeden automobil ma wieść prowianty, dwa inne, zapasy benzyny. Ekspedycya ma wyruszyć w sierpniu bieżącego roku.

Mylius Erichsen wyprawił się zeszłego lata do Grenlandyi. W tym roku ma badać północno-wschodnie brzegi, dotychczas absolutnie nieznanne. W lecie 1908 r. chce okrętem popłynąć nieco na południe, a w zimie 1908/9 przejechać saniami całą Grenlandyę, od wschodu do zachodu, przestrzeń około 1.000 km. Wyprawa ta jest znakomicie wyekwipowana, i oprócz aparatów do telegrafu bez drutu zabrał też Erichsen materiały do założenia linii telegraficznej na odległość 200 km.

Te coraz liczniejsze wyprawy, to po części owoc kongresu w Mons (1905) i w Brukseli (r. 1906), gdzie poruszono myśl założenia związku dla badaczy podbiegunowych krajów. Związek ma głównie za cel skupić wszystkie siły badaczy przez jedność w działaniu; pomaga on w układaniu wypraw, udziela wszelkich wskazówek, organizuje nadto ekspedycje ratunkowe, wykluczając z góry wszelkie finansowe operacje, gdyż dąży jedynie do naukowych celów. Ułatwiają to specjalne

¹ W roku 1906 dotarł do 87° 6' półn. szer. Dalej, niż wszystkie dotychczas wyprawy.

oddziały astronomii, geodezyi, hydrografii, topografii, meteorologii, magnetyzmu ziemskiego, elektryczności atmosferycznej, badania górnych warstw powietrza, trzęsienia ziemi, oceanografii, biologii, wyekwipowania, zaprowiantowania, transportu, aeronautyki dla transportu i wyprawy. Założono już odpowiednią bibliotekę, a król belgijski, stały protektor wypraw naukowych, i tutaj przyrzekł swoją pomoc. Równocześnie najznakomitsi podróżnicy (Lecointe, Arktowski, Nordenskjöld, Bruce, Nansen, Sverdrup, książę Orleanu, książę Abruzzów, Gerlach, Cooks, Drygalski, Pearys, Charcots) ułożyli plan podwójnej wyprawy do obu biegunów równocześnie. Wyruszyć mają najwcześniej w r. 1907 w jesieni i podobno już otrzymali na ten cel pół miliona franków.

Atoli nie wszystkie wyprawy są równie kosztowne. Wyprawa Wellmana kosztowała 250.000 dolarów¹: Sverdrupa (1898—02) 243.300 k. inne jeszcze mniej (n. p. Andersena). Zależy to oczywiście od czasu, jak długo trwa wyprawa, oraz od mniej lub więcej pretensjonalnych wymagań samych podróżników. Bo oczywiście inne wymagania będzie miał ten, co tylko dla nauki chce jechać, inne ten, co pragnie tam na lodach zatknąć sztandar swej ojczyzny, lub jakiś interes na tem zrobić, a jeszcze inne ten, co w ten sposób chce rozgłosić tylko swoje imię.

Ale wobec tego należałoby może jeszcze zapytać, czy się te wyprawy »opłacają«? To zależy od celu, jaki ma wyprawa. Tak np. podczas wojny japońskiej, w r. 1904 Rosya chciała przesłać do Syberyi wielki materiał kolejowy. Kolej syberyjska była przepełniona transportem wojsk. Zbiera więc — w największym sekrecie — 27 okrętów, głównie »szlepperów«, jeden drugi krążownik dla obrony przed »Japońcami«, a obładowawszy to wszystko materiałem kolejowym, wysyła je z Aleksandrowska (Laponia) pod wodzą Sergiefa morzem północnem do Syberyi. U ujścia Jeniseju przeładowano materiał na małe parowce, barki itp. i powieziono w głąb lądu, a Rosya przekonała się, iż ma jeszcze jedną drogę komunikacyjną na Sybir, choć tylko w porze letniej dostępną. Rząd zachęcony tem powodzeniem, urządza w tym roku drugą wyprawę, której celem będzie wynaleść wzdłuż brzegów Syberyi i cieśniny Behringa drogę wodną do Man-

¹ Wyprawę tę urządzał na wielką skalę swoim kosztem Wiktor Lawson, właściciel gazety *Chicago-Record-Herald*. Atoli wyprawa ta, przygotowywana z gazeciarskim iście hałasem, opóźniła się dla nieudanych prób i dopiero w bieżącym roku miała nastąpić, choć podobno sam Wellman stracił ochotę do tej podróży.

dżuryi, Japonii, złotonośnego Klondyke, Kalifornii i t. d. Naturalnie, że droga ta stałaby otworem tylko w porze letniej, gdy lody na morzu stopnieją. O doniosłości tego odkrycia można wnioskować stąd, że droga ta byłaby i krótsza o tysiące kilometrów, niż dotychczasowa przez kanał suezki, którędy muszą obecnie przepływać wszystkie na wschód zdążające okręty, byłaby i tańsza o drugie całe tysiące franków¹, nie mówiąc już nie o zysku na czasie, gdy wielką część drogi do brzegów północnych Rosyi można odbyć w dwóch dniach, na bardzo dobrej kolei rosyjskiej; a i wygoda podróży byłaby większa, gdyż nie potrzebowaliby się piec na okręcie w skwarze podzwrotnikowego słońca. Jeśli więc się uda tegoroczna wyprawa rosyjska, to będziemy mogli oczekiwać małego przewrotu w handlu i komunikacyi. U ujścia wielkich rzek syberyjskich powstaną olbrzymie składnice handlowe: tutaj przez cały rok, latem i zimą, bądź komunikacją wodną, bądź lądową zwozić będą produkty surowe, przedewszystkiem kopalniane — w jakie Syberya obfituje — za nadejściem zaś wiosny zaroi się morze od kupieckich okrętów, by zawieźć do portów północnej Europy złote skarby kopalń kalifornijskich, Alaski i Syberyi, jedwab z Chin, futra ze Syberyi i t. d. Oczywiście to wszystko jest dopiero marzeniem przyszłości, zależnem od tego, czy tegoroczna wyprawa naukowa się powiedzie; dlatego też pozostawmy te fantazyje raczej finansistom rosyjskim, którzy chcą temi nowemi drogami ratować swoje mocno podszarpane finanse, a raczej zwróćmy się do tych wypraw, które już coś realnego przyniosły.

I tak n. p. w Grenlandyi znajdowano od dawna już nieco metalu — rudę żelazną, miedź, cynę, ołów, głównie zaś kryolit — ale dopiero w r. 1903 bogaty kupiec z Kopenhagi, Bernburg, wysłał na własny koszt aż trzy wyprawy do Grenlandyi — opłaciły mu się one, bo znaleziono tam liczne pokłady grafitu, a obecnie ma Bernburg koncesyę na wydobywanie grafitu przez lat 20!

Inna znowu ekspedycja miała na celu zbadać wędrówki wielorybów. Wskutek tego odnaleziono ojczyznę najcenniejszego w handlu błękitnego podwala (na południe od przylądka Dobrej Nadziei), a konsorcyum norwęgskie urządziło w Nowej Georgii wielką stację, z olbrzymimi zakładami fabrycznymi dla handlu tranem wielorybim. Naj-

¹ Za sam przejazd przez kanał suezki płaci się po 10 fr. od jednej tonny, nie rachując osobnej opłaty od podróży: a więc każdy przeciętny parowiec musi płacić z góry około 50.000 franków za sam przejazd tam i napowrót.

ważniejszymi są jednak zdobycze naukowe. Dzięki tym wyprawom, wiemy, że w Grenlandyi istniała ongi wysoka kultura. Znalezione wiele ruin domów pochodzenia islandzkiego, cmentarzyska z czasów Wikingów jeszcze (wiek XI), ruiny kościoła i doskonale zachowaną chrzcielnicę czy kąpielnicę, naczynia gliniane i wspaniałą rzeźbę postaci ludzkiej na kości z zębu podwala (wyprawa D. Brunna w r. 1903); jeszcze poniżej 60° poł. szerok. (na wyspach Orkney) znalazł Bruce (1902—04) owady (*Collembola* i *Acurina*); Sverdrup (1898—1902) przekonał się, że półn.-zachodnia Grenlandya obfituje w zwierzynę — dobre zaprowiantowanie dla podróżników — psy morskie, niedźwiedzie, gronostaje, lisy, wilki i barany polarne (*ovibos moschatus*). Wiele miejscami trawy, pola pokryte wspaniałym kwieciem (*Linnaea*, *Ranunculi*, *Saxifragae*) i to zaraz u stóp góry lodowej! Również obfitą faunę spotkał w kraju Ellesmere na zachód od Grenlandyi, a florę jeszcze obfitszą, bo aż 35 gatunków roślin, a nawet ślady węgla kamiennego. Low (1904) zliczył ludność podbiegunowej Ameryki: 2.500 ludzi. Najważniejszymi są jednak zdobycze czysto naukowe odnoszące się do geologicznej budowy ziemi i jej starości. Skamieliny wydobywane w kraju Wiktoryi (biegun połudn.) (wyprawa Scotta i Skeltona z r. 1903) dowodzą, że musiała istnieć niegdyś łączność tych krajów ze stałym (dzisiejszym) lądem Ameryki i Australii, a nadto, że klimat bieguna połud. był ongi o wiele łagodniejszym, niżli dzisiaj, oraz że fauna i flora bieguna połud. i półn. jest niezupełnie równą (Norden-skjöld 1902—3). To samo da się powiedzieć o wyspach, leżących na północ od Syberyi (nieszczęśliwa wyprawa bar. Tolla z r. 1900), oraz o wyspach Ameryki północnej (Amundsen 1903—6). Amundsen jest też pierwszym podróżnikiem, któremu się udało przepłynąć całkowicie wzdłuż brzegów północnej Ameryki¹, choć z trudnością, z powodu płytkości morza (9 stóp i 6 cali), a nadto prowadził on dokładne obserwacje na samym biegunie magnetycznym². I te wyspy były prawdopodobnie połączone ze stałym lądem. Morze je rozdziela, bo zabiera ziemię z jednego miejsca, by ją znowu zanieść w inne (n. p. koło półwyspu Kola, gdzie w ciągu lat 80 utworzyło morze ławę

¹ Wiadomo, że podobną wyprawę podjął pierwszy Mc Clures w r. 1851 20 sierpnia, do 16 kwietnia 1853, atoli wielką część drogi odbył saniami (od kraju Banka do wyspy Melville).

² Biegun magnetyczny odkrył J. C. Ross r. 1830. Małą ilustracją tych badań może być notatka, że Amundsen przez całe dwa lata fotografował każdy ruch igły magnetycznej!

50 mil ang. długą) (Pachtussow r. 1904). Równocześnie wykupił Amundsen od Eskimosów kilka pamiątek po wyprawie ostatniej Franklina (przed stu laty), jakie ówcześni Eskimosi zabrali po zatonięciu Franklinowskiego okrętu. Do wyników naukowych trzeba też zaliczyć te nadzwyczaj liczne zbiory z zakresu oceanografii, zoologii i t. d.; n. p. wyprawa niemiecka »Gaussa« do bieguna poł. pod kierunkiem Drygalskiego z r. 1902—3 wysłała do Berlina 3 wagony okazów, oprócz tych zbiorów, jakie zostawiono po drodze w muzeach w Kilonii.

Ale zamiast suchego wyliczania tych wszystkich dorobków naukowych, najlepsze wyobrażenie mieć można jak liczne są wyniki podbiegunowych wypraw, jeśli zważymy, że nad opracowaniem i wydaniem materyałów zebranych podczas jednej tylko wyprawy (n. p. »Gaussa«) pracować będzie całe grono uczonych do r. 1912.

Ks. K. Konopka.

Z towarzysztw naukowych.

Muzeum katechetyczne. Dnia 18 stycznia 1905 r. Koło lwowskie X. X. Katechetów uchwaliło założyć we Lwowie *Museum katechetyczne*, które ma mieć na celu zbieranie zabytków i materyałów do dziejów nauczania religii i moralnego wychowania młodzieży, a zarazem gromadzenie dzieł nowoczesnych, wchodzących w zakres zawodu katechetów i środków, służących do uzmysłowienia nauki.

Stosownie do tego programu dla Muzeum katechetycznego požądane są:

1. Stare zabytki z dziejów wychowania i dzieła, wchodzące w zakres zawodu katechetów od najdawniejszych czasów.
2. Archeologia biblijna i liturgia kościelna z dawniejszych czasów.
3. Kurendy biskupie, odnoszące się do spraw szkolnych.
4. Dawne i nowe plany nauki religii.
5. Życiorysy zasłużonych katechetów, ich portrety i fotografie.
6. Katechizmy, biblie i wogóle wszystkie podręczniki do nauki religii w dawniejszych epokach i obecnie używane.
7. Środki naukowe, jak mapy i atlasy do geografii biblijnej i historii kościelnej.
8. Obrazy i wszelkie przedmioty, służące do nauki pogładowej.
9. Komentarze biblijne i katechizmowe.

10. Katechetyki i metodyki.

11. Egzorty drukiem ogłoszone i pozostawione w rękopisach po zmarłych katechetach.

12. Książki do modlenia i rozmyślenia, nadto śpiewniki przeznaczone dla młodzieży.

Najprzewielebniejszy Ordynaryat pochwalił tę myśl i w kuren-dzie z dnia 21/3 1905, L. 1918, polecił P. T. Duchowieństwu dyece-zyalnemu, aby w każdym kierunku popierało tę instytucję.

Zarząd ponownie, jak w ubiegłym roku, prosi o gorliwe popar-cie Muzeum. Z tą petycją zwraca się do wszystkich gotowych do po-pierania każdej akcji katolickiej, a szczególnie do katechetów, bo o ich interes tu chodzi.

Muzeum bowiem ma na celu oprócz zachowania zabytków, od-noszących się do dziejów nauczania religii, ułatwienie katechetom głę-bszych studyów zawodowych.

Muzeum takie powinnyby już od dawna istnieć. Muzeum, to ar-senał, w którym katecheta znajduje potrzebną mu zbroję i środki do wydoskonalenia swojej metody.

»Nie dziw — pisze Zarząd Muzeum w odezwie — że my ka-techeci nie mamy własnych prac gruntownych z dziedziny dziejów polskiej literatury katechetycznej, skoro brakowało dotąd nam takiego Muzeum. Nie dziw, że się tak długo szamoczemy nad sprawą utwo-rzenia doskonałego planu nauczania religii, skoro nie mamy arsenału rad, doświadczeń poprzedników naszych, wskazówek współczesnych myślicieli cudzoziemskich, zajmujących się kwestyą wychowania mło-dzieży«.

»Czyż zwłaszcza my katecheci mamy być obojętni na to, że przez niedbalstwo rokrocznie giną bezpowrotnie broszury i dzieła pol-skich pedagogów, katechetów? A choćby nie ginęły, to dlaczegoż, chowane po bibliotekach, nie mają służyć ku pożytkowi ogólnemu, ale leżeć w ukryciu przed okiem szukających? Dlaczegoż mamy być po-zbawieni łatwości poznania, na jakim poziomie za granicą stałyby studya nad wychowaniem religijnem młodzieży? Dlaczegoż to u nas jeszcze tak rzeczy stoją, że katecheta, pragnący głębiej poznać pi-śmiennictwo, dotyczące jego zawodu, jest zmuszony, mimo szczupłych finansów,łożyć wielkie sumy na zakupno dzieł zagranicznych? — bo gdzież ma sposobność pożyczenia tych książek?»

»Stopień rozwoju »Muzeum« to probierz nie tylko naszych dążeń

do nabycia wiedzy fachowej, ale też probierz poczucia solidarności i zmysłu wspólnej zawodowej organizacji!»

»Weźmy się gorliwie do dzieła! Ale wszyscy! Brak jednego, to już wiele znaczy, boć nas nie wielu!«

Wszelkie korespondencye, pisma i dary należy adresować: Muzeum katechetyczne we Lwowie, Plac Kapitulny l. 7.

* * *

Odezwa Sekcji filozoficznej X Zjazdu lekarzy i przyrodników polskich. — W dniach od 20 do 25 lipca 1907 odbędzie się we Lwowie X Zjazd lekarzy i przyrodników polskich. Zjazd ten będzie obejmował także sekcję filozoficzną. Tematów obrad dla tej sekcji mają dostarczyć przedewszystkiem zagadnienia z programu nauk filozoficznych i przyrodniczych; pożądane są jednak referaty i o innych jakichkolwiek bądź kwestyach z zakresu filozofii, tak, by Sekcja filozoficzna Zjazdu zbliżyła do siebie wszystkich naszych pracowników na polu filozofii, i była wyrazem ich badań i dążeń w dobie obecnej.

Tematy referatów tej objętości, by wygłoszenie każdego z nich nie zajęło więcej niż 20 minut, należy zgłaszać najdalej do dnia 31 marca 1907 r. pod adresem bądź podpisanego sekretarza Sekcji, bądź p. dra Władysława Werychy, wydawcy i redaktora »Przeglądu filozoficznego« (Warszawa, Nowogrodzka 44). Pod obranym adresem należy też do dnia 30 kwietnia 1907 r. nadesłać krótkie streszczenia zgłoszonych referatów, przeznaczone do Dziennika Zjazdu.



SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

	Strona
TWÓRCZOŚĆ MALARZA W ODCZUCIU POETY. Jacek Malczewski i Lucyan Rydel: 1. Kolęda. 2. Ojczyzna. 3. Los. 4. Pusta muszla	
CHRYSTUS I KOŚCIÓŁ. Przez <i>J. E. ks. Arcybiskupa J. Bilczewskiego</i>	1
BROSZURY SZECHA. Przez <i>J. E. ks. Arcybiskupa J. Teodorowicza</i>	12
NOWE TEORYE KOSMICZNE. Przez <i>ks. Feliksa Hortyńskiego T. J.</i>	28
Z PASTUSZKAMI. Z życia tereyarzy. Przez <i>Celinę Dębicką</i>	41
CERKIEW ROSYJSKA W OSTATNIEJ DOBIE. Przez <i>ks. Jana Urbana T. J.</i>	46
REFLEKSYE. I. Rozum nierozumiejący — wiara niewie- rząca. II. Świat bez duszy. Przez <i>Walerego Gostomskiego</i>	58
JEDNA Z NASZYCH SPRAW I DRAMAT O NIEJ. Przez <i>ks. Jana Pawelskiego T. J.</i>	141
REFORMA FILOZOFII KATOLICKIEJ? Przez <i>Fr. Klimkego T. J.</i>	158
W NIEWOLI JAPŃSKIEJ R. 1905. Z pamiętników żoł- nierza-Polaka	173
SONETY Z CYKLU »MITOLOGIE«. Przez <i>Lucyana Rydla</i>	181
TEORIA MENDELEJEWA O ETERZE. Przez <i>F. E. Polze- niusza</i>	186 388
STAROPOLSKIE KAZANIA AUGUSTYAŃSKIE. Przez <i>ks. K. Czaykowskiego T. J.</i>	200
WIELKI WYNALEZEK I NADZWYCZAJNE TEGOŻ SKUTKI. Przez <i>J. E. Wojciecha hr. Dzieduszyckiego</i>	293
FAŁSZOWANIE KIERUNKU DOBY OBECNEJ. Przez <i>ks. J. Pawelskiego T. J.</i>	325
BITWA NA WAŁACH. Przez <i>Lucyana Rydla</i>	345
»NOWA REFORMA«, PAPIEŻ I DROGA ROZSĄDKU. Przez <i>ks. K. Czaykowskiego T. J.</i>	355
Z POLSKIEGO RUCHU ETYCZNEGO: »CZYSTOŚĆ«. Przez <i>ks. Wiktora Wieckiego T. J.</i>	369

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa polskiego.

MOZART (w 150 rocznicę śmierci). Napisał Zdzisław Jachimecki. (<i>Adolf Chybiński</i>)	Str. 69
TOWARZYSTWO WARSZAWSKIE PRZYJACIÓŁ NAUK. Monografia historyczna, osnuta na źródłach archiwalnych. Przez Aleksandra Kraushara. (<i>Dr. St. Dobrzycki</i>)	77
MISTRZ Z NAZARETU. Napisał Antoni Wysłouch. (<i>K. Feliks T. J.</i>)	87
Z HISTORII SZTUKI. Sprawozdania Komisji Historii Sztuki t. VII. — Trzy podręczniki historii sztuki: Doleżana, Wróblewskiego i Zubrzyckiego. (<i>Leonard Lepczy</i>)	212
TEKA GRONA KONSERWATORÓW GALICJI ZACHODNIEJ. Tom II. (<i>T. Wodzicka</i>)	220
CASUS CONSCIENTIAE IN PRÆCIPUAS QUAESTIONES THEOLOGIAE MORALIS. Proposuit et solvit dr. Carolus Szczeklik, theol. mor. in Semin. Tarnov. prof. ord. Tarnoviae. (<i>Ks. R. Kudasiewicz T. J.</i>)	223
Z DZIEDZINY PSYCHOLOGII: Władysław Heinrich: »Die moderne physiologische Psychologie in Deutschland«. — Tenże: »Zur Prinzipienfrage der Psychologie«. (<i>Prof. dr. Maurycy Straszewski</i>)	401

Z piśmiennictw obcych.

LE MAÎTRE ET L'ÉLÈVE. Fra Angelico et Benozzo Gozzoli. Gaston Sor-tais. (<i>Walery Gostomski</i>)	88
GRUNDZÜGE DES KATH. KIRCHENRECHTES. Erste Abteilung. Haring Ioh. B., Dr. theol. et iur. (<i>Ks. Jan Roth T. J.</i>)	96
DICTIONNAIRE DE POCHE Français-Polonais et Polonais-Français. Par le Prof. Oskar Callier. (<i>Ks. Aleksander Mohl T. J.</i>)	98
FIGURES BYZANTINES. Charles Diehl (<i>T. Wodzicka</i>)	99
DIE LEHRE DES HL. PAULUS VON DER NATÜRLICHEN GOTTESERKENNTNIS UND DEM NATÜRLICHEN SITTENGESETZ. Eine biblisch-dogmatische Studie von Dr. Joseph Quirnbach. — DIE PERSÖNLICHKEIT GOTTES UND IHRE MODERNEN GEGNER. Eine apologetische Studie von Dr. Josue Uhlmann. (<i>Ks. E. Matzel T. J.</i>)	227
Dějiny filosofie. Dr. Josef Kachnik. (<i>Ks. K. Čzaykowski T. J.</i>)	233
Protestanstvi v Čechách až do bitvy Bělohorské (1517—1620) sepsal dr. Fr. Xav. Kryštůfek. (<i>Ks. A. Starker T. J.</i>)	235
ETUDES D'ART ÉTRANGER. William Ritter. (<i>W. Gostomski</i>)	237
PEI SENTIERI FIORITI DELL' ARTE. P. Giovanni Semeria. (<i>Marya Harsdorf</i>)	239
DE INSPIRATIONE SACRAE SCRIPTURAE. Auctore Christiano Pesch S. J. (<i>Ks. Oskar Rudzki T. J.</i>)	414
MESS-STIPENDIEN von Otto Link, Pfarrer. (<i>Ks. Jan Roth T. J.</i>)	421

Zapiski bibliograficzne.

BENEDICTI XIV PAPAE OPERA INEDITA. Primum publicavit Dr. Fr. Heiner. (<i>K. F.</i>)	106
DE EVANGELIORUM INSPIRATIONE. DE DOGMATIS EVOLUTIONE. DE ARCANI DISCIPLINA. Auctore P. Reginaldo Fei O. Pr. (<i>Ks. E. M. T. J.</i>)	107
Museum bibliických starožitností. Napsal dr. Jaroslav V. Sedláček. (<i>A. S.</i>)	108

ANALEKTA SANDECKIE DO XVI I XVII WIEKU. ARENDY KLASZTORU STARO-SANDECKIEGO W XVI I XVII W. Ks. Jan Sygański T. J. (A. B.)	108
MATERYAŁY I PRACE KOMISYI JĘZYKOWEJ AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE. Tom III. z. 1 i 2. (Dr. A. B.)	110
DZIEJE KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO. Napisał ks. Józef Boczor. (S. Z. T. J.)	110
DIE MUSIK IM ZEITALTER DER RENAISSANCE. Von Max Graf. (A. Ch.)	110
MONTALEMBERT ET SON CONFESSEUR LAÏQUE. (A. B.)	111
NOTATKA HISTORYCZNA O CUDOWNYM OBRAZIE W POCZAJOWIE i tamtejszym klasztorze. Krystyn Mazowiecki. — MATKA BOŻA ŁASKAWA W MACHIROWIE, SIEROCINIE I KROŻACH. Tenże. (A. R.)	111
ROZPRAWY AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI. Wydział filologiczny. Serya II, tom XXIV. (B.)	242
W OJCZYŹNIE BOHATERA. Stanisław Belza. (A. R.)	243
O MASONERYI I MASONACH. Szkic popularny. Przez A. Niemojewskiego. (S. Z. T. J.)	243
APOLOGIE DES CHRISTENTUMS. Fr. Albert Maria Weiss O. P. I. Band: Der ganze Mensch. IV Band: Soziale Frage u. soziale Ordnung. (H. L.)	244
DER PANSLAVISMUS. Eine national politische Betrachtung von (H. L.)	244
DER JUNGE PRIESTER. Konferenzen über das apostolische Leben von Herbert Kardinal Vaughan. (E. M. T. J.)	245
J. S. BACH, LE MUSICIEN-POÈTE. Par Albert Schweitzer. (A. Ch.)	245
JOHANN SEBASTIAN BACH von Philipp Wolfram. XIII u. XIV Band der »Musik« herausgeb. von R. Strauss. (A. Ch.)	246
DAS VERHÄNGNIS MEINES LEBENS. Aufzeichnungen aus dem Kerker. Linda Murri. (T. W.)	246
PROSTYTUCYA I JEJ SKUTKI. Skreślił Antoni Wysłouch. (A. B.)	247
ROZPRAWY AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI. Wydział historyczno-filozoficzny. Serya II, tom XX. (Dr. A. B.)	423
CZEM BYLIŚMY, CZEM JESTEŚMY, A CZEM BYĆ MOŻEMY? Cz. I, ks. II. — GEOGRAFICZNO-HISTORYCZNE STOSUNKI NA ZIEMIACH POLSKI i wpływ ich na charakter społeczeństwa. (Dr. A. B.)	424
POSŁANNICTWO KATOLICKIEJ NIEWIASTY OD POCZĄTKU CHRZEŚCJAŃSTWA PO NASZE CZASY. Ks. Ventura de Raulica. Tłum. St. Koźmian. Tom II, cz. II. (B.)	425
PISMA FRANCISZKA ZABŁOCKIEGO. Ody, pasterki, satyry, wiersze rozmaite, pamflety polityczne wierszem i prozą, urywki różnych komedyi. Zebrał i wydał dr. B. Erzepki. (L.)	426
MUZYKA KOŚCIELNA W PIERWSZYCH WIEKACH CHRZEŚCJAŃSTWA I REFORMA GRZEGORZA WIELKIEGO. Szkic historyczny. O. M. Żukowski. (W.)	426
DWA WYKŁADY POPULARNE O WALCE Z GRUŻLICĄ U NAS. Dr. Fr. Chłapowski. (Dr. A. B.)	427
DIE RÖMISCHE KURIE. Ein kurzes Handbuch. Dr. Nik. Hilling (J. R.)	427
IMMERWÄHRENDER KALENDER. Von Direktor Jos. Bach. (B.)	427
GREGORIUS STURMFRIED. Ein Zeitbild aus dem Katholizismus der Gegenwart. Von Arthur Achleitner. (T. W.)	428

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

STYCZEŃ.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Z <i>kulturkampfu</i> francuskiego. — Epilog sprawy szkolnej w Anglii. — Z Hiszpanii. — Epilog sprawy Maryawitów. Przez <i>ks. Wiktora Wieckiego T. J.</i>	112
ENUNCYACJE WSKUTEK REFORMY WYBORCZEJ. Przez <i>ks. J. Pawelskiego T. J.</i>	122
LISTY Z WARSZAWY: Dwa lata w życiu Warszawy. II. Przez <i>T. Jeske-Choińskiego</i>	128

LUTY.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Dalszy ciąg <i>kulturkampfu</i> francuskiego. — Język rosyjski w Kościele? — »Cud św. Januarego«. Przez <i>ks. Wiktora Wieckiego T. J.</i>	248
ZE SPRAW SPOŁECZNYCH: Statystyka samobójstw. — Akcja przeciw samobójstwom. — Samobójstwa w Krakowie. Przez <i>ks. K. Konopkę T. J.</i>	261
ZE SPRAW EKONOMICZNYCH: Uwagi o upaństwowieniu kolei północnej. Przez <i>Ak.</i>	270
Z PUBLICYSTYKI ZAGRANICZNEJ: Głos cudzoziemca o Polsce. Przez <i>ks. J. M. Załokiewicza T. J.</i>	275
LISTY Z WARSZAWY. Dwa lata w życiu Warszawy. II. (Dokończenie). Przez <i>T. Jeske-Choińskiego</i>	281

MARZEC.

SPRAWY KOŚCIOŁA: List pasterski ks. biskupa Pelczara. — Z włoskich demonstracji antyreligijnych. — Z powodu przyszłej konferencji pokojowej. — Amerykańskie głosy o <i>kulturkampfie</i> francuskim. — Przeciwno Izbie lordów. Przez <i>ks. Wiktora Wieckiego T. J.</i>	429
ZE ŚWIATA ARTYSTYCZNEGO. Przez <i>Leonarda Lepszego</i>	439
W SPRAWIE DRÓG WODNYCH Przez <i>Ak.</i>	446
Z NOWOŚCI GEOGRAFICZNYCH. Wyprawy do bieguna. Przez <i>ks. K. Konopkę T. J.</i>	451
Z TOWARZYSTW NAUKOWYCH	458